

Spis treści

Rola kochanek w historii.....	5
I Śmiertelna miłość Mary Vetsery.....	23
1. Wilhelmina von Lichtenau i jej duchy.....	67
2. Rywalki - Charlotta von Stein i Krystiana Vulpius	122
3. Teresa i „ojciec" Maigreta.....	144
4. Lola Montez: król i tancerka.....	150
5. Konstancja von Cosel - zapomniana kochanka. .	206
6. Tajemnica markizy de Pompadour.....	220
7. Joanna du Barry — okrutny los metres.....	267
8. Rozpustne kobiety Napoleona III.....	274
9. Katarzyna Schratt - towarzyszką śniadań cesarza	286
Literatura.....	325

listopada 1802 roku. Premiera w paryskim Theatre Francais*. Publiczność szaleje z zachwytu, oklaskom i wiwatom nie ma końca. Brawa należą się szczególnie pełnej wdzięku mademoiselle George, odgrywającej w sztuce *Ifigenia w Aulidzie* rolę Klitajmestry. Na scenę sypią się kwiaty, a piękna młoda aktorka w długiej i połyskującej przezroczystej szacie raz po raz składa ukłon. Niedawno skończyła szesnaście lat. Siedzący w łoży królewskiej niski mężczyzna, jak zwykle ubrany w zielony aksamit, skinął na swojego służącego Konstantego i szepnął mu coś do ucha. Służący zniknął, zanim jeszcze padły ostatnie słowa polecenia.

Następnego ranka przed mieszkaniem sławnej aktorki stanął elegancki zielony powóz. Mademoiselle George, ubrana w różową suknię z dużym dekoltem, szal i woal, wsiadła do powozu, który ruszył przez miasto w stronę Saint Cloud. Przed pałacem już na nią czekano. Kamerdyner poprowadził gościa przez oranżerię, a następnie przez amfiladę pokoi rozświetlonych kandelabrami z płonącymi świecami. Można było odnieść wrażenie, że wszystko przygotowano na jakiś uroczysty bal. W dużym buduarze, z którego okien rozpościerał się widok na taras i park i w którym stało wielkie łoże i jeszcze większa sofa, kamerdyner poprosił stremowanego gościa o chwilę cierpliwości. Jednak zanim mademoiselle George zdążyła rozejrzeć się po tym pokoju jak z bajki, otworzyły się drzwi obok kominka i oto stał przed nią on: Napoleon Bonaparte, pierwszy konsul Francuzów, jak się wówczas kazał nazywać, uderzająco niski mężczyzna, ubrany w zielony mundur z czerwonym kołnierzem i czerwonymi wyłogami, z niesfornym lokiem na czole.

* Oficjalna nazwa Comédie Française, francuskiego teatru narodowego założonego w Paryżu w 1680 roku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

7

„Madame”, rzekł Napoleon do wysokiej i szczupłej dziewczyny - „chciałbym pani pogratulować, była pani wspaniała!”. A gdy spostrzegł, że jego komplement sprawił młodą aktorkę w ogromne zakłopotanie, dodał: „Być może zauważyła pani, że jestem miłszy i grzeczniejszy niż pani”.

„Ależ jak to?” - wyjąkała zmieszana mademoiselle George.

„Czy już raz pani nie oklaskiwałem? Czy po przedstawieniu nie przesłałem pani 3 tysięcy franków? Czy kiedykolwiek mi pani za nie podziękowała?”.

„Ale ja nie wiedziałam... myślałam... obawiałam się...”.

„Bała się pani?”.

„Tak, Monsieur”.

„Mnie?”.

„Tak, Monsieur”.

Napoleon roześmiał się, głośno i serdecznie, a wtedy roześmiała się też dziewczyna.

Śmiali się tak dość długo, aż w końcu znaleźli się w swoich objęciach. Mademoiselle George została w pałacu cały dzień i całą noc. Jedyłą częścią garderoby, jaką w tym czasie na sobie miała, były pończochy.

Następnego ranka Napoleon podziwiał jej powieszony na krześle ubranie. „To za moje pieniądze?” - zapytał pewny siebie i przekonany, że to dzięki jego wsparciu mogła kupić sobie nowe ubranie.

Aktorka pokręciła przecząco głową.

„Inny mężczyzna, Madame?”.

Mademoiselle George skinęła głową. „Książę Sapieha z Polski. Od niego mam ten szal i woal”.

Wzburzony Napoleon chwycił ubranie i podarł je na drobne strzępki. Gdy się uspokoił, powiedział poważnym tonem: „Jest pani szczerą, Madame, to mi się podoba. Ale nigdy więcej nie wolno pani nosić niczego, co nie jest ode mnie”. Po czym wysłał kamerdynera Konstantego do garderoby swojej żony Józefiny z poleceniem przyniesienia nowego ubrania.

Józefina Bonaparte, wdowa po markizie de Beauharnais, córka kapitana portu na Martynice, a od sześciu lat żona generała Napoleona, musiała dzielić się nie tylko swoimi ubraniami, lecz od tej pory także swoim mężem - aż do stycznia 1805 roku. Tak długo mademoiselle George pozostawała drugą żoną Napoleona, kochaną, wzbudzającą zazdrość, ale przede wszystkim dobrze opłacaną. Napoleon często wręczał jej więk-

8

sze sumy pieniędzy. Mademoiselle George szczególnie zapadł w pamięci 2 listopada 1803 roku: „Tego wieczoru konsul wsunął mi za dekolt gruby zwitek banknotów. To było 40 tysięcy franków”.

Błędem byłoby zaliczenie mademoiselle George do kategorii prostytutek. Nie była nią, ani przed związkiem z Napoleonem, ani po nim; była raczej niefrasobliwą trzpiotką, jak midinetki pracujące w domach mody na Montmartre, była jedynie lekkomyślną aktorką, a warto pamiętać, że aż do początku XX wieku za element tej profesji uważano zabawianie starszych panów z wyższych sfer.

Nie jest przypadkiem, że większość kochanek w historii była właśnie aktorkami, a istnienie licznych teatrów dworskich, które powstawały jak grzyby po deszczu nawet w pomniejszych rezydencjach książęcych czy margrabiowskich, takich jak Weimar, Bayreuth czy Ansbach, nasuwa pytanie, czy tworzeniu takich małych scen rzeczywiście patronowały Talia i Melpomena, czy też raczej Wenus i Afrodyta, i czy miłość do sztuki nie została podporządkowana przyziemnym namiętnościom bogatych władców.

Jeśli tak było, to owym nieprzyzwoitym zapędem wielu panujących ludzkość zawdzięcza perły architektury najwyższej klasy, a także pewną gorzką świadomość: władca, który do historii wnosi swoje serce oraz przyrodzenie, zawsze ryzykuje ośmieszeniem. Trzeba przyznać, że to niesprawiedliwie, bo organy te bez wątpienia są źródłem najprzyjemniejszych ludzkich odczuć, a i na zwykłych ludzi nierzadko prowadzą kłopoty. Jednak gdy ktoś znajduje się na piedestale historii, musi liczyć się z tym, że mierzyć go będą inną miarą.

Wiadomo, że są mężowie, którzy przez trzydzieści lat żyją jednocześnie z jakąś inną

kobietą, co - powiedzmy szczerze - nosi wszelkie znamiona mizoginii. Ale kto uwierzy, że takie zachowanie mogłoby dotyczyć Jego Apostolskiego Majestatu Cesarza Austro-Węgier Franciszka Józefa? Jego tytuł odwołuje się do świętości i cnoty, lecz cesarz nie bardzo się tym przejmował. W swoją kochankę, aktorkę teatru dworskiego Katarzynę Schratt, zainwestował w przeliczeniu ponad 25 milionów euro. Zrobił to tylko dlatego, że tę rezolutną damę kochał inaczej niż swoją małżonkę, cesarżową Sisi. A to właśnie jego samowolna żona podsunęła mu ową aktorkę, żeby móc w spokoju kultywować swoją samotność i egocentryzm. Psychodrama najwyższej próby.

9

To również aktorki zawracały w głowie angielskiemu królowi Edwardowi VII, który był *bon vivantem* ze skłonnością do niepokojących kobiet i francuskiego stylu życia. Choć niskiemu, grubemu i niemal łyseму Edwardowi daleko było do ideału mężczyzny, nie miał żadnych trudności, by dostawać to, co chciał. Władza to potężny afrodyzjak, podnieca i kobiety, i mężczyzn, i to nawet w Anglii, gdzie tym samym słowem co miłość określa się brak punktów w tenisie*. Jeden z biografów Edwarda znalazł doskonałe określenie na jego życie miłosne: za Edwardem nieustannie ciągnął się ogon zakazanego aksamitu i atlasu. Gdy tylko księżę Walii raz zakosztował niewierności, całkowicie się jej oddał.

Jednak Edwardowi VII nie było czego zazdrościć, bo zanim został księciem Walii, nim w ogóle mógł nosić ten tytuł, minęło sześćdziesiąt lat jego życia, i w wieku, w jakim inni zastanawiają się już, jak wycofać się z rządu, on dopiero mógł je zaczynać. Przez wiele lat był z zawodu synem królowej Wiktorii, wdowy, która była tak doskonałym ideałem pu-rytańskich cnót, że całą ówczesną epokę nazywamy jej imieniem, a jednak paradoksalnie właśnie to wpędziło jej syna w hedonizm. Ta sama zasada sprawia, że uczniowie szkół zakonnych stają się bezbożnymi komunistami, a studenci seminariów żarliwymi antyklerykałami.

Choć księżę Walii od 1863 roku był szczęśliwym małżonkiem atrakcyjnej Aleksandry, duńskiej księżniczki, już wkrótce zaczął wypełniać sobie czas pozamałżeńskimi romansami. Rezydencje książęcej pary, Marlborough House w Londynie i Sandringham Hall w Norfolk, stały się centrami życia towarzyskiego Anglii oraz polem działań ambitnych matek, starających się, by ich piękne córki, a w razie zapotrzebowania i one same, trafiły do łóżka pożądanego księcia.

Dwie damy z towarzystwa brawurowo odegrały rolę drugiej żony księcia Walii i późniejszego króla, dzieląc między siebie ostatnie trzydzieści lat życia Edwarda - Lily Langtry i Alice Keppel. Choć Edwardowi ciągle brakowało pieniędzy, nie przeszkodziło mu to w zainwestowaniu sporego majątku w każdą z nich, przy czym na Lily, aktorkę, wydał więcej niż na Alice. Być może jednak Lily po prostu mniej dyskretnie od swojej następczyni obchodziła się z hojnością wspólnego kochanka. W każdym razie wiemy, że Edward obdarował miss Langtry mnóstwem diamentów, a także

* Ang. love - miłość, zamięłowanie; (*kto/*) ukochany; (*w tenisie*) zero.

największym rubinem świata. Dotrzymywała mu za to towarzystwa w latach osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych XIX wieku, na ile pozwalała jej na to kariera aktorska.

Alice Keppel przejęła rolę po Lily Langtry, mając dwadzieścia dziewięć lat. Edward miał już wówczas lat pięćdziesiąt siedem i był starszym panem przy tuszy, jego żona Aleksandra zdążyła urodzić sześcioro dzieci, a brytyjskim imperium wciąż rządziła królowa Wiktorja. Południowa uroda Alice i jej drobna, krągła figura z miejsca ujęły księcia Walii. W przeciwieństwie do przemądrzałej aktorki pani Keppel nigdy ani słowem nie wspomniała o swoim niezwykłym związku, przez co był on tajemnicą przez wiele lat, a nawet potem nadal pozostawał tematem tabu. Edward VII kochał Alice z równym oddaniem, co swoją żonę Aleksandrę. Żona Edwarda, niedosłyszająca i cierpiąca z powodu sztywnego kolana, co przeszkadzało zarówno na salonach, jak i w salach balowych, z rzadko spotykaną wyrozumiałością patrzyła na eskapady małżonka, o ile nie nabierały one zbyt dużego rozgłosu.

Edward VII odbył jako „baron Renfrew” niezliczoną ilość weekendowych podróży do Paryża, gdzie nocował w Hotel Bristol. Alice przyjeżdżała nieco później i zatrzymywała się w pobliskim Hotel Vendôme. Konduktor wagonu sypialnego oraz naczelnicy stacji po obu stronach kanału La Manche zostali odpowiednio poinstruowani i dyskretnie załatwiali niezbędne formalności celne i paszportowe. Istniała niepisana umowa, której nigdy nie złamano, że informacja o królewskim trójkącie miłosnym nie może pojawić się na łamach prasy bulwarowej, a tym bardziej w poważnych periodykach.

Po wstąpieniu Edwarda na tron wiele dam i lordów, którzy od dawna kręcili nosem na romans księcia, oczekiwało, że niepożądany związek zostanie zakończony. Ale wkrótce okazało się, że znana z dyskrecji pani Keppel stanowiła podporę nie tylko dla króla, lecz również dla jego doradców. Niemniej jednak trójkąt miłosny z udziałem Jego Królewskiej Mości był źródłem pewnych problemów. Królewski budżet obejmował utrzymanie królewskiej małżonki, natomiast nie przewidziano w nim odpowiedniej sumy na utrzymanie konkubiny króla, a prywatna kasa księcia świeciła pustkami.

Z uwagi na swoje dzieło na rzecz króla i ojczyzny mąż Alice, czcigodny George Keppel, który dotąd utrzymywał się z latyfundiów swojego ojca,

11

zdecydował się poniżyć do roli londyńskiego kupca. Nikt nie wiedział, czym handlował, natomiast Alice zawsze nosiła wytworną garderobę, na damę do towarzystwa wzięła sobie lady Sarah Wilson, a George, zdradzany mąż, od czasu do czasu jadał kolację u króla w zamku Sandringham. Cały protokół stawał na głowie, gdy król Edward uczestniczył w oficjalnych bankietach z dwiema żonami naraz. Alice doskonale radziła sobie z wszystkimi obowiązkami. Potrafiła nawet zjednać sobie cesarza Niemiec Wilhelma II, którego zabawiała rozmową podczas posiłków w trakcie jego wizyty w Anglii w 1902 roku.

Gdy po niespełna dziesięcioletnich rządach Edward VII zmarł, w domu pani Keppel przy Portman Square w Londynie zjawił się pochodzący z Niemiec sir Ernest Cassel, bankier i doradca finansowy króla, aby powiadomić ją, że Jego Królewska Mość podjął bardzo korzystne dla niej decyzje finansowe. Wygląda jednak na to, że Alice nie

dała wiary jego zapewnieniom. Miesiąc później wyprowadziła się, żeby, jak to określiła, „mieć spokój i uciec wierzytelom”.

Reguły prawdopodobieństwa, które obowiązują w matematyce oraz w oficjalnych związkach małżeńskich, nie dotyczą drugich żon. Tylko do niektórych z nich, jak markiza de Pompadour (kochanka Ludwika XV) czy aktorka Katarzyna Schratt (przyjaciółka Franciszka Józefa), uśmiechnął się los. Przeznaczeniem większości kochanek w historii był upadek, i to bardzo, bardzo nisko (nie wspominając o lądującej w koszu katar głowie Joanny du Barry). Towarzysząc w swoich młodych latach ważnym mężczyznom, dysponującym władzą i bogactwem, często stały w świetle ramp jedynie przez bardzo krótki okres czasu. Gdy tylko wygasała namiętność ich partnerów, rozpacz doprowadzała je do szaleństwa, a żywione uczucia do ubóstwa.

Hrabina Wirginia Di Castiglione uchodziła swego czasu za najpiękniejszą kobietę Europy, której markiz de Herfort miał oferować milion franków za jedną noc. Była kochanką Napoleona III, bratanka wielkiego Napoleona Bonaparte, a dokładnie rzecz biorąc, *jedną* z jego kochanek. Wirginia nie mogła uwierzyć, że Napoleon ją porzucił, nie była w stanie sobie z tym poradzić, odchodziła od zmysłów i w końcu zaczęła wierzyć, że jest brzydka jak potwór. Potłukła wszystkie lustra i żyła odtąd w ciemnościach za zamkniętymi okiennicami. Jej ostatnie życzenie było następujące: chciała zostać pochowana w koszuli nocnej, którą miała na sobie podczas nocy spędzonej z cesarzem w pałacu Compiègne.

12

Anna Konstancja hrabina von Cosel przez czterdzieści dziewięć lat żyła w ustronnie położonej twierdzy Stolpen. Prawdopodobnie pod koniec życia nie pamiętała już, dlaczego od blisko pół wieku mieszka w wieży zamku, w zrujnowanej komnacie, którą już niejedną raz podpaliła, próbując ją ogrzać. Ściany i strop były czarne od sadzy, w pomieszczeniu potwornie śmierdziało, lecz nikogo to nie obchodziło. Twierdzę zdobyły kiedyś Prusy, potem znów Austria, jednak mury zamku dla nikogo nie stanowiły żadnej wartości - a tym, kim jest szalona starucha, nie interesowała się żywa dusza. Starsi ludzie z okolic znali co prawda hrabinę, ale nakazano im milczenie. Starzy umierali, a młodzi wyrzucili ją ze swojej pamięci. Zmarł również ten, któremu zawdzięczała swoje położenie, czyli saski elektor Fryderyk August, a hrabina popadła w całkowite zapomnienie.

A przecież kiedyś była to kobieta równie piękna, co potężna, druga żona Augusta Mocnego, któremu przypisuje się spłodzenie tylu dzieci, ile dni liczy rok, czyli trzystu sześćdziesięciu pięciu. W roku 1699 hrabina rozwiodła się z pełniącym funkcję ministra Adolfem Magnusem von Hoy-mem, żeby stać się całkowicie oddaną pyszałkowatemu saskiemu władcy kochanką, i przez trzynaście lat sprawowała ten „urząd”, co oficjalnie potwierdzał swego rodzaju akt małżeństwa, gwarantujący jej prawo wyłączności do Jego Królewskiej Mości oraz roczne apanaże w wysokości 100 tysięcy talarów. Ostatecznie nie miała ani tego, ani tego. Drugim żonom nie przysługują żadne prawa.

Historiografia nigdy nie zajmowała się życiem drugich żon (wyjątek stanowią Lola Montez i markiza de Pompadour, kobiety, które same tworzyły historię). Powód: drugie żony nie prowadziły bitew i nie podpisywały żadnych traktatów. Jak jednak pokaże

niniejsza książka, znaczenie konkubin daleko wykracza poza same stosunki miłosne. Wielkie postaci historyczne, których imionami nazwano całe epoki, są w niej ukazane jako drugoplanowe, i to z niezwyklej perspektywy, czyli z perspektywy drugiej żony.

Zygmunt Freud, który z prawdziwym *furor biographicus* zajmował się analizowaniem życia wielkich postaci (przy czym nieraz wzdrygał się przed postacią biblijnego Mojżesza), żądał od współczesnej terapii oraz naukowych badań nad przeszłością niedyskrecji najwyższego stopnia. Żałował, że „zazwyczaj, dzięki ich własnej dyskrecji oraz zakłamaniu biografów, nie dowiadujemy się żadnych intymnych szczegółów o naszych wielkich ludziach”. Seren Kierkegaard, duński filozof, specjalista w anali-

13

zowaniu biografii, ujął ten sam problem w kilku słowach: „Nie ma historii bez seksualności”.

Aura milczenia, która otaczała drugie żony za ich życia, a w większości przypadków także po śmierci, często miała dla nich niezbyt przyjemne konsekwencje. Wiele z tych kobiet popadło w całkowite zapomnienie, ponieważ nie zadbały o to, aby spisać przynoszące dochód wspomnienia czy zachować kompromitujące listy. Wśród nich była Maria Mancini, nie-koronowana ukochana Ludwika XIV, siostry Louise, Pauline i Marie-An-ne de Nesle, które jako poprzedniczki pani de Pompadour uprzyjemniały rządzenie Ludwikowi XV, Córa Pearl, która próbowała swoich sił jako druga żona Edwarda VII, Cleo de Merode, kochanka belgijskiego króla Leopolda II, a jednocześnie tancerka, której zdarzało się zapomnieć o nałożeniu kostiumu scenicznego, czy mademoiselle Gaby Deslys, kochanka króla Portugalii Emanuela II.

Nikt nie pamiętałby dziś o Dianie de Poitiers, metresie króla Francji Henryka II, młodszej od niego o osiemnaście lat, gdyby nie wzbudzała zachwyty wśród malarzy swojej epoki. Wcześniej owdowiała żona Wielkiego Seneszała Normandii nosiła odważne suknie z odsłoniętym biustem i na ten temat prowadziła ze swoim kochankiem ożywioną korespondencję, która pozwala zajrzeć równie głęboko. Lolę Montez, metresę króla bawarskiego Ludwika I, znaną o wiele bardziej niż jego ślubna małżonka Teresa, choć dzieliła z nim życie jedynie przez dwa lata, rozślawiły przede wszystkim informacje w prasie oraz wydane później wspomnienia.

Zawsze ubrana w czerń Lola, która, co znamienne, lubiła zamiast torebki nosić przy sobie szpicrutę, potrafiła po mistrzowsku posługiwać się ówczesnymi mediami. Udzielała wywiadów, wygłaszała odczyty, pisała listy do gazet i posiadała swoje własne archiwum prasowe, które spakowane w liczne kufry zawsze towarzyszyło jej w podróżach. Liczące ponad dwa tysiące stron *Pamiętniki* Loli są dziełem jednego lub kilku ghostwriters*. Ukazały się w 1851 roku i przyniosły jej dochód umożliwiający rozpoczęcie nowego życia.

Niemniej jednak większą popularność niż autoryzowane wspomnienia, z których jedynie jedna piąta wytrzymuje obiektywną weryfikację,

* Ghostwriter (ang.) - osoba pisząca teksty (przemówienia, wspomnienia) dla innego, zwykle znanego człowieka, który występuje jako ich domniemany autor.

przyniósł Loli fałszywy pamiętnik o skandalizującej treści. Najemny pisarz o nazwisku August Papon, który przez krótki czas pełnił funkcję sekretarza wygnanej konkubiny króla i miał wówczas wgląd w jej korespondencję, zaproponował nawet byłej pracodawczyni kupno swego kiczowatego i lichego dzieła. Lola Montez miała jednak wystarczająco dużo pewności siebie, by nie zawracać sobie głowy podłym szantażystą.

Podobnie było w przypadku Wilhelminy Enke, wyniesionej do godności hrabiny von Lichtenau, wieloletniej konkubiny Fryderyka Wilhelma II, króla Prus. Gdy tylko jej gwiazda zaczęła przygasać, a król odszedł z tego świata, natychmiast pojawiły się w Berlinie i Poczdamie fałszywe pamiętniki i paszkwile, które rozchodziły się jak ciepłe bułeczki: *Sekretne listy hrabiny Lichtenau*, *Wyznania hrabiny Lichtenau*, *dawniej madame Rietz*, *Szkic biograficzny madame Rietz*, *obecnie hrabiny Lichtenau*, *Próba biografii hrabiny von Lichtenau*, *śłynnej damy ubiegłego stulecia*.

Żadne z tych dzieł nie zostało napisane ręką Wilhelminy. Dziesięć lat później uznała ona za konieczne wydanie *Apologii hrabiny Lichtenau*, stanowiącej rodzaj obrony i usprawiedliwienia. Ale wówczas już o Wilhelminie Enke, hrabinie Lichtenau, zapomniano i niemal nikogo nie interesowała prawda o jej związku z królem Prus.

Cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef w żadnym wypadku nie chciał zezwolić wyznaczonemu przez siebie następcy tronu, arcyksięciu Rudolfowi, na to, z czego sam korzystał przez trzydzieści lat, czyli na posiadanie drugiej żony. Konkubiny od zawsze stanowiły na dworze Habsburgów wręcz rodzaj instytucji, jednak pozostającej w ukryciu; były czymś w rodzaju tajnych służb, o których mogły wiedzieć małżonki, ale nie naród. Kosztujący w przeliczeniu półtora miliona euro konkubinaty żonatego arcyksięcia z Mizzi Caspar, subretką, jak pod koniec XIX wieku nazywano w Wiedniu prostytutkę dla wyższych sfer, cesarz mógł spokojnie zaakceptować, koszt taki stanowił wręcz ułamek wydatków na jego własne poza-mażeńskie aktywności. Jednak zszokowany cesarz nie potrafił przyjąć do wiadomości faktu, że pewnego dnia znaleziono Rudolfa martwego w łóżku z równie martwą siedemnastoletnią baronówną, którą arcyksiężę zastrzelił przed popełnieniem samobójstwa. Cesarz nakazał tajnej policji zatuszowanie tego skandalu. Świadkowie, którzy znali prawdziwe przyczyny tragedii w Mayerlingu, jak hrabina Maria Larisch czy matka biednej baronówny Vetsery, zostali potępieni i skazani na wygnanie.

15

Narzuca się pytanie, co skłania kobiety do przyjęcia roli drugiej żony, czyli funkcji o zdecydowanie wątpliwym prestiżu. W przypadku żadnej przygód i dziecinnej Mary Vetsery wyjaśnienie stanowić może jej młody wiek oraz fakt, że Rudolf był następcą tronu. Większość kochanek idzie do łóżka ze względu na sławę lub grubość portfela kochanka. Sytuacja staje się tragiczna, gdy w grę wchodzi prawdziwa miłość. Każda ukochana ma nadzieję, że z czasem zostanie numerem jeden, i w nią wkłada wszystkie swoje uczucia. Nadzieja ta jest jednak złudna. Pamięć mężczyzny jest bardzo krótka, i to nawet jeśli obietnicę małżeństwa spiszą własną krwią, jak francuski król Henryk IV. Mało jest przypadków, w których kochanka stała się małżonką.

Większość kobiet z oburzeniem odrzuciłaby samą myśl o odgrywaniu roli drugiej żony, natomiast innym wydałaby się ona interesująca. Niewiele ma to wspólnego z

wiernością czy niewiernością - przynajmniej jeśli chodzi o kobietę. Lola Montez, czyli ktoś, kto z pewnością się na tym znał, podała następujące wyjaśnienie: „Moja natura nie pozwoliła mi być kobietą zwyczajną, tak zwaną tradycyjną kobietą, czyli kobietą, która swego największego szczęścia upatruje w ugotowaniu mężczyźnie dobrego rosołu i przybraniu miłego wyrazu twarzy”. Lola Montez trzykrotnie wychodziła za mąż. Spełniona czuła się jedynie jako druga żona Ludwika I Bawarskiego.

Jeśli chodzi o koncepcję wierności, czyli posiadanie *tylko jednego* partnera, to od czasów Adama i Ewy zmieniała się ona wielokrotnie. Tak się jakoś dziwnie składa, że obecnie niewierność uważa się za o wiele bardziej naganną niż w poprzednich epokach, osobliwie z tego powodu, iż wielu ludziom wydaje się, że nasze czasy są najbardziej zdemoralizowaną epoką w historii. Nic bardziej błędnego. Karol Wielki, którego uważa się niemal za świętego*, żenił się czterokrotnie: z Dezyderatą, córką króla Longobardii (tę żonę ów „święty” porzucił), Hildegardą z plemienia Szwabów (która urodziła mu czterech synów i pięć córek), z Fastradą z plemienia Franków (z którą miał kolejne dwie córki) oraz Lutgardą z Alemanii (która nie dożyła jego koronacji na cesarza). Oprócz tego Karolowi zawsze towarzyszył

* Karol Wielki stanowił w średniowieczu wzór władcy idealnego. Został nawet w 1165 roku kanonizowany przez antypapieża Paschalisa III. Kanonizacja ta nie została jednak uznana przez Kościół katolicki.

16

cały pułk drugich żon. Żył z nimi w tak zwanych *Friedelehe*, czyli według frankijskiej tradycji oficjalnych małżeństwach z wolnymi kobietami, które mógł jednak bez żadnych konsekwencji rozwiązywać, kiedy tylko mu to odpowiadało. A odpowiadało mu często.

W średniowieczu, a tak naprawdę aż do XIX wieku, małżeństwo i wierność miały inne znaczenie niż obecnie, przede wszystkim w przypadkach, gdy partnerzy wywodzili się spośród dostojności, czyli szlachty. Król ze względu na rację stanu brał za żonę kobietę, której wcześniej zwykle nie widział nawet na oczy. Wystarczała mu znajomość jej imienia, posagu czy też praw lub majątku, jaki miał uzyskać dzięki takiemu związkowi. Obecność drugiej żony, spełniającej erotyczne, a czasami również duchowe obowiązki małżonki, była z góry zakładana, tak więc nie wywoływała żadnego skandalu - w przeciwieństwie do tego, co dzieje się w dzisiejszych czasach.

Pewna francuska autorka, która wzięła pod lupę wszystkich władców Francji, doszła do zaskakującego wniosku, że tylko dwóch z nich ożeniło się z miłości. Natomiast wszyscy mieli jedną lub kilka drugich żon: Franciszek I darzył swymi względami Francoise de Chateaubriand i księżnę d'Žtampes. Henryk II przepadał za Dianą de Poitiers. Henryk IV kochał Gabrielle d'Estrées, Hentriettę d'Entragues i Charlotte de Montmorency. Ludwik XIV zdobył się aż na cztery drugie żony: Marię Mancini, Louise de La Valliere, markizę de Montespan i markizę de Maintenon. Ludwik XV szalał za siostrami Louise, Pauline i Marie-Anne de Nesle, a innymi jego kochankami były markiza de Pompadour i madame du Barry. Do kochanek Napoleona I należały mademoiselle George oraz hrabina Maria Walewska. Kochankami Napoleona III były z kolei Harriet Howard, Marguerite Bellanger i Wirginia di Castiglione. Przy czym

wszystkie te kobiety były mężatkami.

Drugie żony nie są wynalazkiem naszej ery. W epoce tej chrześcijaństwo dodało ich funkcji jedynie więcej pikanterii. Jest o nich mowa już

* Prawo wczesnośredniowiecznych Franków rozróżniało dwie formy małżeństwa - formalne, nierozzerwalne i związane z przeniesieniem majątku *Muntehe* oraz również oficjalne, lecz trwające zwykle krótszy czas i niewiążące się z przekazaniem majątku *Friedelehe*. Warto dodać, że Karol "Wielki zezwalał swoim córkom wstępować wyłącznie we *Friedelehe*, co pozwalało mu zachować kontrolę nad nimi oraz ich posagami.

17

w Starym Testamencie, i to w związku z tak szacownymi postaciami jak Abraham czy król Dawid. W Starym Testamencie wyjaśniono właściwie całą problematykę dotyczącą drugich żon. Druga żona Abrahama, Hagar, spełniała swoją rolę za aprobatą małżonki Abrahama, Sary - aż urodziła syna i potraktowała Sarę z góry. Na tym zakończyła się historia tego trójkąta. Biblijny Dawid był prawdziwym wielbicielem kobiet, posiadającym wiele żon i szereg drugich żon, z których najlepiej znaną jest chyba zamężna Batszeba. Żeby mieć ją tylko dla siebie, Dawid zaaranżował śmierć jej męża Uriasza. Ten zginął, a Batszeba urodziła później syna, słynnego Salomona. „Postępek jednak, jakiego dopuścił się Dawid, nie podobał się Panu” (2 Sm 11,27)*.

W starożytnej Grecji istniała specjalna nazwa, jaką określano drugie żony, pod warunkiem że obracały się w wyższych sferach. Nazywano je heterami, co oznacza mniej więcej tyle, co „towarzyszka życia”, i - w przeciwieństwie do tego, co dzieje się obecnie - traktowano je z szacunkiem. Wiele z tych kobiet miało doskonałe wykształcenie i służyło wpływowym żonatym mężczyznom zarówno towarzysztwem w łóżku, jak i radami politycznymi. Dwoma najsłynniejszymi heterami były Fryne i Aspazja.

Fryne udało się zawrócić w głowie Praksytelesowi, najznamienitszemu rzeźbiarzowi wszech czasów, gdy pozowała mu jako modelka. Fryne, która nigdy nie nakładała makijażu, a mimo to górowała nad każdą wymalowaną konkurentką, jeszcze przez poznanie Praksytelesa zarobiła tyle pieniędzy, iż mogła zaproponować Tebańczykom, że odbuduje zniszczone przez Aleksandra Wielkiego miasto na swój własny koszt. Postawiła tylko jeden warunek, że w centrum zostanie umieszczona tablica z następującą inskrypcją: „Aleksander zburzył, hetera Fryne odbudowała”. Tebańczycy za propozycję grzecznie podziękowali.

Odmowa w żadnym stopniu nie umniejszyła pewności siebie Fryne. Ateńczykom zaproponowała zakład, że uwiedzie swymi wdziękami filozofa Ksenokratesa, jednego z uczniów Platona, który poślubiony był filozofii (swoje miejsce pracy, ateńską Akademię, opuszczał tylko raz do roku). Ksenokrates uchodził za nieczulego na niewieście wdzięki, o ile nie służyły one boskiemu oświeceniu. A która kobieta mogła przypisać taką funk-

* Za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia*, Pallotinum, Poznań 1999.

cję swoim pierwszorzędnym cechom płciowym - nie wspominając o tych drugorzędnych? Mimo to Fryne czatowała, aż Ksenokrates znów opuści Akademię. Tego, w jaki sposób przebiegało ich spotkanie, nie przekazał nam ani Pauzanasz, ani Plutarch, którzy zazwyczaj szczegółowo rozwodzą się nad każdym skandalem. Dowiadujemy się jedynie, że Fryne ów zakład przegrała.

Sięgnięcie po zakazany owoc zawsze wymaga odrobiny głupoty, lecz przecież jak nudne byłoby życie bez odrobiny szaleństwa? Nie, Fryne co prawda przegrała zakład dotyczący Ksenokratesa, wygrała natomiast z najwyższymi sędziami Aten, a to zwycięstwo miało o wiele większe znaczenie, gdyż oskarżano ją bezbożność, za co groziła kara śmierci. Proces przebiegał niekorzystnie dla Fryne, ale w sytuacjach bez wyjścia kobiety zawsze mogą sięgnąć po jeden z dwóch środków o pewnym działaniu: łez lub wdzięków. I tak Fryne najpierw uroniła kilka łez, a następnie zrzuciła odzienie, wypięła w stronę sędziów piękny biust i, niewinnie szlochając, zapytała: „Chcecie coś takiego odesłać do Hadesu?”. Proces zakończył się jej uniewinnieniem.

Równie wielką sławę zdobyła Aspazja, piękność z Miletu. W latach czterdziestych V wieku przed naszą erą przybyła do Aten, żeby poznać Peryklesa, największego miłośnika kobiecej urody, polityka i bohatera wojennego owych czasów - dokładnie w tej kolejności. Perykles to jeden z najstarszych przykładów działania pewnego prawa natury, które mówi, iż najbrzydszym mężczyznom trafiają się najpiękniejsze kobiety. Miał głowę jak jajo i z tego powodu ciągle chodził w hełmie (o czym donosi już Plutarch). Choć był żonaty z pewną Atenką, otaczało go wiele kobiet, ubóstwiających go niczym jakiś fidiaszowy posąg, a nieraz słyszał nawet skierowane do siebie modły pobożnych niewiast. Perykles, którego kształt głowy Ateńczycy porównywali do cebuli, miał w zwyczaju obdarowywać swoje kochanki w niezwykły sposób, dawał im mianowicie w prezencie nie złoto czy szlachetne kamienie, lecz pawie. W tym celu posiadał nawet farmę paw.

Takiej kobiecie jak Aspazja, której sława wykraczała poza granice perskiego imperium (sam król Cyrus nazywał swoją ulubioną nałożnicę Aspazją, choć nosiła imię Miko), paw oczywiście nie wystarczył. Pragnęła Peryklesa, i to całego. Aspazja nie spoczęła, dopóki Perykles nie rozwiódł się z żoną i nie ożenił z nią. Wyczyn ten wzbudził w Atenach wielki po-

dziw. Szacowni panowie wysyłali swoje jeszcze bardziej szacowne małżonki do Aspazji z prośbą, by podzieliła się z nimi swymi umiejętnościami. Nie wiadomo, czy wśród petentek była również Ksantypa, żona mądrego Sokratesa, natomiast Plutarch donosi, iż ów z pewnością należał do wielbicieli Aspazji, a czasami przyprowadzał do niej nawet swoich uczniów, choć Aspazja „parała się niegodną szacunku i nieprzyzwoitą profesją”. Poza urodą dysponowała licznymi talentami, które w epoce klasycznej rzadko spotykano u kobiet. Jej maniery były równie doskonałe co dar mowy, a tę umiejętność starożytni Grecy cenili ponad wszystko, i oprócz tego wykazywała również uzdolnienia polityczne. Perykles uczynił z Aspazji nie tylko kochankę, lecz również swego najbliższego doradcę. Do wojny Aten z Samos doszło właśnie z inicjatywą Aspazji.

Niezwykła jest pamięć, jaką o Aspazji zachowali Ateńczycy. To prawdziwy wyjątek od reguły. Zazwyczaj kobiety pokroju Aspazji znajdują zrozumienie u poetów, natomiast u filozofów-wyłącznie pogardę. W przypadku Aspazji było odwrotnie: poeci Aten wyśmiewali ją w swoich komediach, nazywając „psiooką ulicznicą” (co w przeciwieństwie do komplementu „wolooka Atena” było porównaniem obraźliwym), natomiast uczniowie Sokratesa jeszcze przez dziesięciolecia z szacunkiem i podziwem wspominali słynną heterę.

Artyści nigdy w najmniejszym stopniu nie ustępowali szlachcie pod względem obyczajów seksualnych. Publiczność zostawiała im pełną swobodę, która obejmowała również prawo posiadania drugiej żony. Kompozytorzy, malarze i poeci usprawiedliwiali obecność drugich żon jako muz, niezbędnych do pobudzania ich - artystycznej! - potencji, i nierzadko rzeczywiście tak było. Johann Wolfgang von Goethe, który późno dojrzał i późno się ożenił, uczynił wątek drugiej żony tematem swojego życia. Jego żonie Krystianie, kochanej i pożądanej przez męża, przypada w dziełach Goethego jedynie rola statystki. W rolach głównych obsadzał swoje kochanki, nie robiąc z tego żadnej tajemnicy, i zwykł był przy tym mawiać, iż wszyscy jego bohaterowie są prawdziwi.

Nie trzeba żadnych szczególnie wnikliwych badań, żeby w *Ifigenii* Goethego rozpoznać Charlotte von Stein, w *Marie* z *Clavigo* Fryderykę Brion, w *Sulejce* z *Dywanu Zachodu i Wschodu* Marianne Willerem, w *Otylii* z *Powinowactwa z wyboru* Minnę Herzlieb, a w *Pandorze* z *Marienbadz-kiej elegii* siedemnastoletnią późną miłość siedemdziesięcioczeroletniego

20

Goethego, Ulrykę von Levetzow. Była to również jedyna kobieta, której Johann Wolfgang spontanicznie się oświadczył. Odmowna odpowiedź miała dla obojga katastrofalne skutki: Goethe wycofał się w świat depresji i samotności, a Ulryka szukała zapomnienia w klasztorze.

Goethe skonsumował niewiele z przypisywanych mu romansów. Namiętność oznaczała dla niego przede wszystkim niespełnienie i tęsknotę. A tej tęsknocie zawdzięczamy najbardziej fascynujące postaci w jego dziełach i pełne żaru teksty. Do swojej wieloletniej ukochanej, Chariotty von Stein, którą namiętnie wielbił przez dwanaście lat, ani razu się do niej nie zbliżywszy, napisał tysiąc osiemset listów, mimo iż mieszkała kilka domów dalej. Żonie Krystianie musiała wystarczyć znacznie mniejsza liczba epistoł, jedynie 354 sztuki.

Jeśli chodzi o pociąg do drugich żon, pisarze ustępują tylko muzykom, lecz romanse tych ostanich są mniej znane niż namiętne związki ludzi pióra. A jest tak dlatego, że podczas gdy pisarze przekształcają stosunki, o których czasem jedynie marzą, w sztuki teatralne, a przynajmniej w wiersze, kompozytorzy tylko z rzadka piszą w takich sytuacjach opery. Mało który zdobywa się na coś więcej niż jedną pieśń. Tylko Johann Strauss, uwodziciel i król walca, uczynił (nie)sławny wyjątek. Skomponował polkę Heleny, polkę Cecylii, polkę Elizy oraz polkę Olgi, walc Adeli, tańce Józefiny, kadryl Anniki i marsz Fanny, co pozwala założyć, że z wymienionymi w tytułach swoich utworów damami łączyło go coś więcej niż wspólne biesiadowanie.

Strauss żenił się trzykrotnie, a do tego trzynastą razy przymierzał się do małżeństwa, a przynajmniej trzynastą pań uważało się za jego narzeczone - o krótkich przygodach

nie będziemy tu nawet wspominać. Podobnie jak Goethe, Strauss był urodzonym kawalerem, i pozostawał nim, nawet gdy się po raz kolejny żenił. Kiedy w wieku trzydziestu siedmiu lat pierwszy raz odważył się na ten krok, wiedeńskie panny zaczęły nosić żałobę. Dlaczego akurat ona, pytały, ta siedem lat starsza od niego śpiewaczka z siódmką (!) nieślubnych dzieci, porzucona konkubina wiedeńskiego bankiera Moryca Todesco?

Wybranka sławnego kompozytora, Jetty Treffz (właściwie Henriette Chalupetzky), odgrywała wobec Straussa dokładnie taką samą rolę, jak Krystiana wobec Goethego: była mu matką, kochanką, gospodynią domową i przez palce patrzyła na wszystkie drugie żony, które król walca nadal ho-

21

lubił. Jetty zmarła po szesnastu latach, a Strauss już po sześciu tygodniach wstąpił w nowy związek małżeński, z Lily, która również była śpiewaczką, lecz o dwadzieścia pięć lat młodszą niż pan młody. Wytrzymała z nim jednak tylko kilka tygodni, w związku z czym kompozytor spróbował szczęścia po raz trzeci. Jego wybranką była Adela, młodszą o dwadzieścia jeden lat, ale mimo to już wdowa, która przypadkowo także nosiła nazwisko Strauss. Żeby móc poślubić Adelę Strauss (ustawy cesarsko-królewskiej monarchii zakazywały powtórnego ożenku rozwodników), Johann Strauss został ewangelikiem i poddanym księstwa Sachsen-Coburg-Gotha. Choć kochał Adelę, z innych kobiet nie zamierzał rezygnować.

Konkubiny. To właśnie je twórcy sztuk teatralnych często czynili swymi bohaterkami. A tymczasem ich prawdziwe życie często przekształcało się w burleskę, a jeszcze częściej w tragedię. Johanna Nestroy i Ferdynanda Raimunda łączył nie tylko gatunek literacki*, lecz również podobny los (do tej grupy można by zaliczyć również Franza Grillparzera, dyrektora archiwum administracji finansowej i jego „wieczną narzeczoną” Kathi Fröhlich, jednak Grillparzer nigdy się nie ożenił). Nestroy i jego konkubina Maria Weiler nie doczekali się happy endu mimo przeprowadzonego rozwodu dramaturga, ponieważ Nestroy jako rozwodnik nie mógł się powtórnie ożenić, a zamiast śladem Johanna Straussa obejść prawo drogą przez księstwo Sachsen-Coburg-Gotha, szukał zapomnienia u słodkich wiedenek, które wręcz rzucały się w ramiona wielkiej gwiazdy teatru. To, że Nestroy w głębi duszy był nieszczęśliwy, a przez to stał się zajadłym krytykiem biedermeieru, zawdzięczamy zasadniczo okolicznościom jego życia osobistego.

Jego starszy kolega Ferdynand Raimund otwarcie mówił, iż „narodziny swojej sztuki” zawdzięcza silnemu temperamentowi konkubiny Toni Wagner. Raimund był żonaty bardzo krótko, a żenił się dość niechętnie, jako że kobietą, której naprawdę pragnął, była Toni, lecz jej ojciec, bogaty właściciel kawiarni, stanowczo odmówił komediantowi przybłędzie ręki swej córki. Z tego powodu zrozpaczony Ferdynand oświadczył się małoletniej koleżance aktorce, Luise Gleich, z którą co wieczór stał na scenie. I tak zaczyna się prawdziwa burleska z Raimundem w roli głównej.

* Podobnie jak wymieniony dalej Franz Grillparzer, byli oni austriackimi dramaturgami epoki biedermeier

Rankiem w wyznaczonym dniu ślubu doszło do kłótni między kandydatami do stanu małżeńskiego i Luise ugryzła Ferdynanda w palec, co spowodowało przeraźliwie bojącego się wściekły dramatopisarza do wydania okrzyku: „I do tego jeszcze gryzie!”, a następnie oddalenia się w pośpiechu z miejsca zdarzenia. Działo się to 4 kwietnia 1820 roku. 5 kwietnia Raimund stał na scenie teatru w dzielnicy Wiednia Leopoldstadt i słuchał buczenia publiczności, która nie mogła darować mu porzucenia narzeczonej. Trzy dni później powiedział w końcu „tak”, a nie minęły dwa lata, jak małżeństwo z Luise skończyło się rozwodem. Powód: „nieporządny tryb życia, niewierność, znęcanie się i nieustanne obrazy zgodnie z paragrafem 109”.

Jeszcze w czasie trwania jego małżeństwa Raimund i Toni Wagner spotykali się regularnie w domu przy Ankergasse 25, gdzie pokój wynajmowała im wdowa po teatralnym fryzjerze. Toni przez lata pokazywała się w towarzystwie emablującego ją Antona Colleta, wysokiego urzędnika pocztowego. Poślubić Raimunda nie mogła, więc przez całe życie odgrywali przedstawienie. Jak wieść niesie, po swoim rozwodzie Ferdynand Raimund ani razu nie zdradził Toni. Czy to samo można powiedzieć o Toni, nie jest już takie pewne. Z pewnością taka możliwość wzbudzała głęboki niepokój w Ferdynandzie, który coraz bardziej dziwaczał. Jego sztuka *Król Alp i odludek* wydaje się nosić wiele cech autobiograficznych.

Raimund sam stał się odludkiem, nie wychodził na ulicę bez pistoletu, a swój dom barykadował jak twierdzę. Swoją „drugą żonę”, którą chętnie uczyniłby oficjalną małżonką, inwigilował nieco nieudolnie, co stwarzało między nimi coraz to nowe problemy. Raimund skarżył się przede wszystkim na seksualną powściągliwość Toni.

W lipcu 1836 roku podczas jednej z rzadkich wspólnych podróży doszło do tragedii. W zajeździe „Pod Jeleniem” w Pottenstein, gdzie Ferdynand i Toni wynajęli pokój, umęczony dramatopisarz włożył sobie pistolet do ust i nacisnął spust. Zmarł dopiero po sześciu dniach. Oficjalnie powodem samobójstwa był lęk przed wściekłością. Prawdę znała jedynie ustanowiona przez Raimunda jego wyłączną spadkobierczynią Antonia Wagner, lecz ta milczała.

Wiedeńscy lekarze dokonali w zajeździe „Pod Jeleniem” obdukcji zwłok. Przy okazji odlupano tył czaszki Ferdynanda. Toni przechowywała ją w szkatule przez czterdzieści trzy lata. O tyle przeżyła Ferdynanda Raimunda.

23

To niezwykła historia. W trójkątach mężczyzna-żona-kochanka tragiczny koniec rzadko spotyka mężczyznę, choć ten jest zazwyczaj sprawcą całego zamieszania. W pierwszym rzędzie zły los przypada w udziale kochance, rzadziej żonie, a dzieje się tak z prostego powodu: kochankę stosunkowo łatwo zastąpić, natomiast żonę można co prawda wymienić, lecz jedynie ponosząc wysokie nakłady.

Dla mężczyzn historia kochanek to żaden powód do dumy. August Mocny, Ludwik XV, król Francji, Fryderyk Wilhelm II, król Prus, Ludwig I, król Bawarii, Franciszek Józef, cesarz Austro-Węgier, czy Johann Wolfgang Goethe — wszyscy oni mieli swoje zasługi. Lecz jeśli przyjrzymy się ich życiu prywatnemu, którego nie opisują podręczniki historii, ich historyczny wizerunek zaczyna się sypać. I tak oto Goethe staje się nieśmiałym seksu-

alnym neurotykiem, Franciszek Józef- śliniącym się z pożądania starcem, Ludwik I Bawarski - fetyszystą damskiego biustu, król Fryderyk Wilhelm II miłośnikiem peep-show, Ludwik XV klientem burdeli, a August Mocny sflksowanym na punkcie swojej potencji pyszałkiem. „Każdego dnia doświadczam tego” - mawiała markiza de Pompadour - „że nie ma gorszego towarzystwa niż dobre towarzystwo”.

I

Śmiertelna miłość Mary Vetsery

Ostatnie pożegnanie z myślą o wszystkich pięknych kobietach Wiednia, które tak bardzo kochałem....

(Fragment testamentu arcyksięcia Rudolfa, następcy tronu Austro-Węgier)

P

rzypadek dla Zygmunta Freuda: mężczyzna (lat 30) po odbyciu stosunku seksualnego z siedemnastolatką strzela do niej ze skutkiem śmiertelnym, a następnie zabija siebie. Rzadko kiedy teorie Freuda znajdują tak jednoznaczne potwierdzenie. Według twórcy psychoanalizy libido to podstawowy popęd kierujący zachowaniem człowieka, a zakłócenia w libido wywołują potrzebę destrukcji i dążenie do śmierci. Potwierdzenie w tym przypadku znajduje nawet jego teoria mówiąca o tym, że los człowieka zostaje przypieczętowany pomiędzy pierwszym a piątym rokiem życia.

Potencjalny pacjent i jego lekarz byli mniej więcej rówieśnikami i czasami mieszkali nawet w odległości kilku minut spaceru od siebie, jednak nigdy się nie spotkali. Gdy Freud publikował swoje rewolucyjne odkrycia, jego niedoszły pacjent od dawna już nie żył. Zastrzelił się kierowany potrzebą niszczenia.

Arcyksiążę Rudolf, następca tronu austro-węgierskiego, od urodzenia przeznaczony był do roli cesarza, a historia świata prawdopodobnie ułożyłaby się inaczej, gdyby 29 stycznia 1889 roku za pomocą pistoletu nie rozstał

25

się w swym łóżku z życiem (wraz z pewną siedemnastolatką). I dziewczyna, i pistolet stanowiły w tej sytuacji jedynie symbole, co również potwierdziłby Freud. Dziewczynę co prawda znał, ale spał z nią tylko jeden raz. Tak naprawdę Rudolf nienawidził kobiet (czego paradoksalnie dowodzą właśnie jego liczne podboje miłosne). Uważał, że pistolet to najszybszy i najczystszy sposób rozstania się z życiem. Niemniej jednak Rudolf, tak czy inaczej, nawet bez oddania śmiertelnego strzału przedwcześnie pożegnałby się z życiem,

gdyż na wpół oszalały arcyksiążę niedołączył już z powodu kiły oraz nadużywania alkoholu i morfiny. Kobiety, z których wdzięków korzystał nawet częściej niż jego niemal nieśmiertelny ojciec cesarz Franciszek Józef I, nie były przyczyną jego upadku, jednak wydatnie pomagały mu w dążeniu do samozniszczenia. To naprawdę świetny przypadek dla psychoanalityka.

Przeanalizujmy ów casus, który do historii przeszedł pod kryptonimem „Mayerling”, zaczynając od końca:

W niedzielę 27 stycznia 1889 roku cesarz Franciszek Józef zaprosił swojego syna i *jednocześnie* następcę tronu Rudolfa do Hofburgu. *Powodem* była ponoć konieczność odbycia poważnej rozmowy, gdyż Jego Apostolski Majestat okreśną drogą dowiedział się, że jego własny syn, przyszły cesarz Austro-Węgier, poprosił papieża o unieważnienie swojego małżeństwa. Ze względu na rację stanu Rudolf poślubił w maju 1881 roku Stefanię, córkę króla Belgii Leopolda II, znanego ze swego okrucieństwa w koloniach*. Jednak pomimo odczuwanej na początku sympatii do małżonki, nie znalazł w jej ramionach szczęścia, a jedynie nieustanne przykrości, które sam powodował swymi niezliczonymi romansami. Rozmowa pomiędzy ojcem (cesarzem) a jego synem (feldmarszałkiem-lejtnantem, generalnym inspektorem piechoty i wiceadmirałem) zakończyła się ostrą wymianą zdań, podczas której Franciszek Józef wykrzyczał synowi, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by uniemożliwić mu rozwód, na co zrezygnowany Rudolf odparł, że w takim razie wie, co ma zrobić.

Przed południem tego samego dnia, około dziesiątej, arcyksiążę Rudolf udał się do Grand Hotelu przy wiedeńskiej Ringstrasse, by spotkać się

* Kolonia Kongo Belgijskie stanowiła prywatny majątek Leopolda II. Gdy opinia publiczna dowiedziała się o okrutnym wyzysku, gwałceniu praw człowieka i ludobójstwie, związanych z eksportem kości słoniowej i kauczuku, kolonia ta przeszła na własność państwa (w 1908 roku).

26

z hrabiną Marią Larisch-Wallersee. Pani Larisch wraz z pokojówką Jenny i swoim psem zamieszkała w tym eleganckim hotelu, zajmując pokoje nr 21, 23 i 28, w celu poddania się w Wiedniu leczeniu zębów, czego wcale nie ukrywała. Być może była to prawda, być może nie - dentysta w jej rodzinnych Pardubicach nie miał najlepszej renomy, a dla Marii każdy sposób był dobry, by uciec od nudy swego małżeństwa z hrabią Georgiem Larisch-Mónich.

Wszyscy wiedzieli, że Maria jest dzikim pędem na drzewie genealogicznym Wittelsbachów (wyrażając się mniej poetycko: była nieślubną córką księcia Ludwika z Bawarii i aktorki Henrietty Mendel*), jednak po poślubieniu Geoga stała się arystokratką, a jednocześnie osobą publiczną, dostarczającą ogromnej ilości tematów do plotek. Życiem towarzyskim zajmowała się dużo intensywniej, niż wypadało przy jej pozycji, i choć małżeństwo z hrabią Georgiem przypominało tak naprawdę tragedię, wraz z mężem odgrywali dla pozorów nieustającą komedię. Poprzez matkę Rudolfa, pochodzącą z Bawarii cesarzową Elżbietę, nieszczęśliwy arcyksiążę i głodna przeżyć hrabina byli kuzynami, a okoliczność tę pani Larisch wykorzystywała przede wszystkim

w tym celu, by od swego utytułowanego kuzyna pożyczać pieniądze.

Teraz mogła się mu zrewanżować. Nie żeby chciał nawiązać z nią romans; Maria nie była zbyt urodziwa, a przede wszystkim nie spełniała pewnego istotnego kryterium: nie była ani znacznie młodsza, ani znacznie starsza od Rudolfa, tylko dokładnie w jego wieku. A kobiety, które interesowały arcyksięcia, musiały być albo starsze, albo młode i naiwne, co ma związek z dalszą częścią niniejszej historii.

Pani Larisch przyjaźniła się z pewną siedemnastolatką, która żarliwie uwielbiała żonatego, lecz znanego z licznych miłostek arcyksięcia: Marią Aleksandryną Vetserą, zwaną Mary. Od wielu miesięcy Mary chodziła za arcyksięciem krok w krok, czekała, aż będzie przejeżdżał powozem przez miasto, w teatrze zamiast na scenę kierowała lornetkę na jego łożę, aż w końcu napisała do niego list, którego treść łatwo odgadnąć, mimo że

* Rok po narodzinach Marii Henrietta otrzymała tytuł baronowej von Wallersee, a Ludwik, brat cesarzowej Elżbiety, zawarł z nią morganatyczne małżeństwo, rezygnując przez to z praw do bawarskiego tronu, swojej pozycji oraz większości majątku.

27

dokładne słowa owego listu nie są znane. Mary Vetsera prawdopodobnie wyznała arcyksięciu swą miłość, a być może złożyła mu również „niemoralną propozycję”.

Sytuacja była wyjątkowo pikantna, gdyż matka Mary, baronowa Helena Vetsera, z domu Baltazzi, piękność wiedeńskich scen, żona o dwadzieścia dwa lata starszego cesarsko-królewskiego dyplomaty, w podobny sposób nadskakiwała arcyksięciu dziesięć lat wcześniej. Podobnie jak córka chodziła za Rudolfem krok w krok. Nawet sam cesarz się z tego śmiał: „To, co ta kobieta wyczynia z Rudolfem, jest niewiarygodne!”. Nierządki matki narzucają swoim córkom dążenie do tego, czego im samym nie udało się osiągnąć. Prawdopodobne jest więc, że to baronowa Helena kryła się za zalotami swej córki Mary, a w przedsięwzięciu owym pośredniczyć miała hrabina Larisch.

Choć arcyksiążę Rudolf od lat związany był ze znaną w Wiedniu call-girl Mizzi Caspar, wydawał się ogromnie zainteresowany przygodą z siedemnastolatką. Dlaczego, skoro z pewnością nie mógł uskarżać się na brak damskiego towarzystwa?

„Gdy po raz pierwszy miałam okazję podziwiać jej urodę” - pisze w swych wspomnieniach księżna Ludwika von Coburg* - „naprawdę niemal straciłam nad sobą panowanie”. A przecież w odniesieniu do kobiecej urody nie ma bardziej wymagających krytyków niż inne kobiety. Mary Vetsera musiała więc rzeczywiście być niezwykle piękna, gdyż także hrabina Larisch wpadła w zachwyt i opisała ją jako tak słodką i uroczą, „że każdemu musiała się podobać”. Była to instynktowna kokietka, bezwiednie niemoralna w swoich zachciankach, a przy tym wszystkim obdarzona orientalną zmysłowością.

Hrabina opisała młodą baronównę w następujący sposób: „Była niewysoka, a jej gibka postać i pełny biust sprawiały, że wyglądała na więcej niż osiemnaście lat. Jej cera była cudownie delikatna, a drobne czerwone usta ukazywały malutkie białe ząbki, które zwykłam była nazywać mysimi ząbkami. U nikogo innego nie widziałam tak żywych oczu z tak dłu-

* Córka belgijskiego króla Leopolda II, siostra Stefanii, żony arcyksięcia Rudolfa. Jej życie obfitowało w skandale, małżeństwo z księciem Filipem von Sachsen-Coburg--Gotha skończyło się rozwodem, a z powodu sfałszowania podpisu swojej siostry w celu pokrycia długów otrzymała zakaz wstępu na wiedeński dwór. Zmarła opuszczona przez rodzinę w całkowitej biedzie w zakładzie zamkniętym.

28

gimi rzęsami i tak delikatnie zakreślonymi brwiami. Miała bardzo długie ciemnobrązowe włosy oraz drobne dłonie i stopy. Poruszała się w sposób pełen gracji i nieodpartego uroku...".

Zdjęcia przedstawiające Mary ukazują ją w wieku piętnastu lat i, co zaskakuje, już wtedy wyglądała jak dojrzała, trzydziestoletnia kobieta. Baronówna z drugiego obwodu gminy wiedeńskiej* równać się mogła z każdą księżniczką nie tylko swą postawą i strojami. Mary była także wykształcona, mówiła po francusku i angielsku, umiała śpiewać, tańczyć i grać na pianinie, a jej doskonały sposób bycia budził tylko zazdrość rówieśnic. Pomimo tych wszystkich zalet Mary wciąż była tylko baronówną, i aby zyskać dostęp do kręgów arystokratycznych, potrzebowała silnej protekcji.

Bale, przyjęcia, wizyty w teatrach, a przede wszystkim ekskluzywne wyścigi konne, na których swe tryumfy święcili trzej wujowie Mary ze strony matki, panowie Aleksander, Arystyd i Hektor Baltazzi, nie zapewniły Mary oczekiwanego awansu towarzyskiego. Jej matka Helena z pewnością z zachwytem przyjęłaby wiadomość, że jej idol, arcyksiążę Rudolf, zwrócił na Mary uwagę. Później, już po tragedii w Mayerlingu, której nikt nie potrafił przewidzieć, Helena Vetsera będzie twierdzić, że nic nie wiedziała o spotkaniach swej córki Mary z arcyksięciem, gdyż w przeciwnym przypadku nigdy by do nich nie dopuściła.

Rudolf i Mary po raz pierwszy spotkali się 5 listopada 1888 roku. Hrabina Larisch odegrała rolę rajfurki, a przede wszystkim zapewniła Mary alibi wobec matki. Zdenerwowana i zachwycona Mary nie zauważyła, że stoi przed nią mężczyzna zniszczony i uzależniony od alkoholu i narkotyków, który już od dawna nosi się z zamiarem popełnienia samobójstwa, a w swym pragnieniu śmierci i zniszczenia szuka tylko partnerki, która stanie się jego towarzyszką w umieraniu.

Przed owym fatalnym 27 stycznia 1889 roku arcyksiążę i baronówna spotkali się około dwudziestu razy, przy czym stosunkowo późno, bo dopiero 13 stycznia, doszło między nimi do intymnego zbliżenia. W ka-

* Ojciec Mary, Albin Vetsera, dyplomata i generał węgierskiego pochodzenia, dopiero w 1870 roku otrzymał tytuł szlachecki. Matka Mary, Helena Baltazzi, była córką bogatego greckiego bankiera ze Stambułu.

Iendarzu Mary dzień ten zaznaczony jest obwódką i po wielokroć podkreślony, a uwagi Mary z tego dnia nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Swojej pokojówce baronówna powiedziała, że odtąd nie należy już do siebie, lecz wyłącznie do niego, do Rudolfa. W

liście do bliskiej sobie Herminy Tobis, u której regularnie brała lekcje gry na pianinie, użyła podobnego sformułowania, stwierdzając, że oboje chyba stracili głowę, lecz odtąd należą do siebie ciałem i duszą. Na papierośnicy, którą Mary podarowała arcyksięciu, kazała wygrawerować: „13 stycznia: Dziękuję [lub Dziękuję] Losowi”.

Można jedynie spekulować, czy arcyksiążę Rudolf przystał na upragnione przez Mary fizyczne zbliżenie pod warunkiem, że w zamian będzie gotowa wraz z nim pożegnać się z życiem. Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż jak się jeszcze przekonamy, Rudolf z całą pewnością nie narzekał na brak rozkoszy seksualnych. Okoliczności tej tragedii wskazują także wyraźnie, że arcyksiążę na pewno nie kochał baronówny, a nawet że w perfidny sposób ją wykorzystał, nie seksualnie, lecz po to, by nie umierać w samotności.

Z pomocą hrabiny Larisch-Wallersee Rudolfowi i Mary udało się spotkać 27 stycznia po południu na Praterze. Pomiędzy matką a córką doszło poprzedniego dnia do sprzeczki. Baronowa znalazła u Mary papierośnicę z inicjałami arcyksięcia, jego prywatne zdjęcia, a także - co dało jej do myślenia - testament siedemnastoletniej córki. Podczas tego popołudnia w dniu 27 stycznia na Praterze Rudolf i Mary powzięły postanowienie, że następnego dnia razem rozstaną się z życiem. Tego samego dnia spotkali się jeszcze raz na przyjęciu z okazji urodzin niemieckiego cesarza. Z owego przyjęcia, które odbywało się przy Metternichgasse, Mary wróciła do domu, a Rudolf udał się do swojej kochanki Mizzi Caspar. Po odbyciu z nią stosunku i oświadczeniu, że następnego dnia zamierza się zabić (groźby tej Mizzi nie potraktowała poważnie), arcyksiążę we wczesnych godzinach rannych powrócił do swego apartamentu w Hofburgu.

W poniedziałek 28 stycznia 1889 roku wszystko przebiegało zgodnie z planem arcyksięcia Rudolfa. Obowiązki polityczne (omówienie sytuacji militarnej z podpułkownikiem Albertem Mayerem oraz wywiady z Bertholdem Frischauerem i Moritzem Szepsem z „Neue Wiener Tagblatt”) udało się szybko załatwić, po czym Rudolf zmienił swój testament i napi-

30

sał kilka listów pożegnalnych. Około godziny jedenastej hrabina Larisch i baronówna Vetsera przybyły do arcyksięcia do Hofburgu. Mary udało się wraz z Josefem Bratfischem, wykwalifikowanym fiakrem, popularnym śpiewakiem i osiłkiem, który od czasu wspólnych pijatyk w cieszących się złą sławą knajpach na przedmieściach awansował na zaufanego arcyksięcia, niepostrzeżenie wyjechać w kierunku Mayerlingu. Właśnie tam Mary i Rudolf umówili się na wspólny koniec. Około południa arcyksiążę, baronówna i Bratfisch spotkali się w jednej z podwiedeńskich karczm, by ostatni etap podróży odbyć razem. Mayerling był zamkiem myśliwskim arcyksięcia. Leżał w Lesie Wiedeńskim w gminie Alland w okręgu Baden pod Wiedniem. Mary udało się niezauważenie wejść do zamku przez południową bramę. O jej obecności nie wiedział nikt ze służby, poza Bratfischem i służącym arcyksięcia Johannem Loschkiem, do którego Mary zawsze adresowała swoje listy do Rudolfa.

I właśnie z tego powodu Mary Vetsera nie mogła opuszczać sypialni arcyksięcia, do której w tajemnicy zaprowadził ją Loschek. Spędziła z Rudolfem noc. Nazajutrz był wtorek, 29 stycznia. Na ten dzień zapowiedzieli się myśliwi, przyjaciele arcyksięcia,

hrabia Josef Hoyos i księżę Filip von Sachsen-Coburg-Gotha. Rudolf zjadł z nimi śniadanie, a żaden z gości nie zauważył obecności Mary. Arcyksiążę symulował przeziębienie i poprosił, by Josl i Filip udali się na polowanie z podchodu bez niego.

Konsekwentnie dążący do zamierzonego celu Rudolf pomyślał o wszystkim. W swoich planach uwzględnił nawet przewidzianą na 29 stycznia uroczystość rodzinną u cesarza Franciszka Józefa. W ostatniej chwili myśliwy dworski Piichel przekazał arcyksiężnej Stefanii w Wiedniu pisemną wiadomość z Mayerlingu. „Proszę Cię, napisz Papie, że uniżenie proszę o wybaczenie, iż nie mogę pojawić się na kolacji, ale ze względu na silny katar wolałbym nie wyjeżdżać tego popołudnia i zostać tutaj z Joslem Hoyosem. Serdecznie Was ściskam - Rudolf”.

W powyższych słowach odbija się chłód, z jakim cesarska para zawsze traktowała swego jedynego syna.

Rudolf i Mary spędzili cały dzień w sypialni arcyksięcia. Większość tego czasu zajęło im prawdopodobnie pisanie listów pożegnalnych. Pożegnalny list Rudolfa do jego żony Stefanii jest bardzo rzeczowy, brzmi wręcz jak list człowieka interesu.

31

Droga Stefanio!

Jesteś wolna ode mnie i zmartwień, jakie Ci sprawiałem. Bądź szczęśliwa na swój sposób. Bądź dobra dla biednej malej [córci Elżbiety Marii, ur. 2 września 1883], jedyne, co pozostaje po mnie.

Ostatnie pozdrowienia dla wszystkich naszych przyjaciół, a zwłaszcza dla Bombellasa [ochmistrz Rudolfa], Spindlera [nauczyciel], Latoura [wychowawca], Wowo [ukochana mamka Rudolfa, baronowa Szarlota von Welden], Gizeli [starsza siostra Rudolfa], Leopolda [książę Bawarii, szwagier Rudolfa], etc, etc.

Spokojnie idę ku śmierci, która jedynie może uratować moje dobre imię.

Cahuję Cię z całego serca, kochający Cię głęboko

Rudolf.

Inne są listy Mary Vetsery. Listy pożegnalne, które napisała do swojego brata, siostry i matki Heleny, dowodzą głębokiego wzburzenia młodej dziewczyny, która w swym zachwycie osobą arcyksięcia zupełnie straciła głowę. „Kochana Mamo” - pisała Mary - „wybacz mi mój czyn, nie mogłam oprzeć się miłości”. Ostatnie życzenie Mary: być pochowaną na cmentarzu gminnym w Alland u boku Rudolfa. Życzenie to nie mogło zostać spełnione. Na końcu listu słowa: „Jestem bardziej szczęśliwa, umierając, niż żyjąc”.

Niejasna jest w owej sytuacji rola obu przyjaciół myśliwych, Coburga i Hoyosa, z którymi Rudolf wypił jeszcze po południu herbatę, a potem zjadł kolację. Poza pewną „łagodnością sądów” Rudolfa obaj nie zauważyli żadnych oznak tego, co szykowało się w zamku Mayerling. Około godziny 21.00 arcyksiążę pożegnał swoich przyjaciół. Zaprosił Bratfischę do sali bilardowej, dołączyła do nich Mary, a przyboczny fiaker, tak jak to często czynił, po raz kolejny odśpiewał i odgwizdał wiedeńskie piosenki. Potem Rudolf i Mary wrócili do sypialni.

Dokładnie w tym czasie na wiedeńskim zamku Hofburg odbywała się uroczysta

kolacja. Podczas owego wieczornego przyjęcia planowano ogłosić zaręczyny arcyksiężniczki Marii Walerii z arcyksięciem Franciszkiem Karolem Salwatorem z Toskanii. Maria Waleria była najmłodszą córką cesarza Franciszka Józefa i cesarzowej Sisi, a dla Rudolfa od lat dziecięcych stanowiła obiekt nieustannej zazdrości. Franciszek Salwator pochodził z toskan-

32

skiej gałęzi rodu habsbursko-lotaryńskiego*. O planowanych zaręczynach tej pary arcyksiężę Rudolf dowiedział się dopiero cztery tygodnie wcześniej i nawet pogratulował swojej młodszej siostrze, choć jej szczęście wcale nie było mu w smak. Miał kompleksy w stosunku do Marii Walerii, wręcz jej nienawidził, a ponieważ jego własne małżeństwo od dwóch lat istniało jedynie na papierze, nie potrafił jej nie zazdrościć.

Niezwykle zagadkowe jest, dlaczego nie doszło jednak owego wieczora do planowanych zaręczyn. Atmosfera podczas przyjęcia nie była wesoła, jakby w powietrzu czuć było jakąś tragedię. Arcyksiężniczka Stefania pokazała list od swego małżonka z Mayerlingu, lecz cesarz Franciszek Józef wciąż miał nadzieję, że Rudolf pojawi się z opóźnieniem i nie pozwolił zabrać jego nakrycia. I rzeczywiście przybył gość z zamku Mayerling, lecz nie był to Rudolf, a jego przyjaciel Filip von Sachsen-Coburg-Gotha, którego arcyksiężę wysłał z przeprosinami i wyjaśnieniem, że sam jest niedysponowany z powodu silnego przeziębienia, którego nabawił się w Lesie Wiedeńskim. W efekcie Ich Wysokości tuż po kolacji udały się do swych komnat na spoczynek.

Środa, 30 stycznia 1889 roku. Tuż po godzinie dziesiątej rano na wiedeński zamek Hofburg wpada galopem powóz z Mayerlingu. Jeszcze zanim woźnica wstrzymał konie, z powozu wyskoczył hrabia Josef Hoyos, popędził kuchennymi schodami do mieszkania ochmistrza Bombellesa i na ostatnim tchu wykrzyczał: „Arcyksiężę nie żyje. Jego Wysokość znaleziono dziś rano martwego w łóżku. Prawdopodobnie go otruto - cyjankiem. U jego boku baronówna Mary Vetsera - również martwa”.

Bombelles, „Charly” - jak Rudolf zwykł był nazywać swego ochmistrza - był w szoku. Z arcyksięciem, swoim podopiecznym, którego znał od dzieciństwa, przeżywał wszystkie radości i przyjemności życia niesfornego młodzieńca, a także wszystkie cierpienia i depresje, jakie dręczą zwykle osobowości w rodzaju Rudolfa. A teraz, przeżywszy ledwo trzydzieści lat, jest już martwy? Następca tronu Austro-Węgier?

* Z powodu braku męskich potomków po śmierci cesarza Karola VI w 1740 roku zastosowano w obliczu kryzysu dynastii wprowadzoną przez niego tzw. sankcję pragmatyczną, czyli dziedziczenie przez najbliższą krewną ostatniego mężczyzny w rodzie. Była nią córka Karola VI Maria Teresa, przyszła cesarzowa. Wraz z mężem Franciszkiem Lotaryńskim stali się założycielami nowej dynastii habsbursko-lotaryńskiej, traktowanej jako kontynuacja dynastii habsburskiej.

33

Bombelles i Hoyos gorączkowo naradzali się, kto powinien przekazać tę straszliwą wiadomość cesarzowi, i w końcu zdecydowali się na następujące rozwiązanie: poinformowali ochmistrza cesarzowej Sisi, barona Franciszka von Nopcsy, oraz

pierwszego adiutanta cesarza Franciszka Józefa, hrabiego Eduarda Paara. Nopcsa przekazał wiadomość Elżbiecie, a Paar sprowadził Franciszka Józefa do cesarzowej. W końcu Elżbieta przekazała mężowi straszną wiadomość. Stało się to w trakcie jej lekcji greckiego.

Dlaczego przekazywano fałszywą informację o otruciu Rudolfa cyjankiem, pozostaje jedną z niewiadomych, w jakich wiele obfituje tragedia Mayerling. Pomimo ogromnego zamieszania, jakie najprawdopodobniej panowało w Mayerlingu po odkryciu śmierci arcyksięcia, hrabia Hoyos nie mógł nie zauważyć, że czaszka Rudolfa została zmiażdżona w wyniku strzału w głowę. Nasuwa się przypuszczenie, że hrabia świadomie rozpowszechniał nieprawdziwą informację, by do pewnego stopnia chronić cesarską parę. Dokonanie morderstwa, a następnie samobójstwa przez arcyksięcia cesarsko-królewskiej monarchii okryłoby go hańbą. Wiele przemawia za takim założeniem, gdyż pierwsze oświadczenie, jakie cesarski dwór wydał na temat śmierci następcy tronu, brzmiało następująco: przyczyna śmierci - atak serca - czyli „czysta” śmierć. Ta wersja nie utrzymała się jednak długo.

Bardzo szybko zaczęto się mianowicie dowiadywać prawdy i do wiadomości publicznej przeciekły informacje o tym, co rzeczywiście wydarzyło się w myśliwskim zamku arcyksięcia, a przynajmniej o tym, jaki był efekt końcowy tych wydarzeń. A stało się tak, mimo że cesarz Franciszek Józef wszelkimi sposobami starał się zatuszować skandal. Nie tak powinno zakończyć się życie wzorowego arcyksięcia - a takim modelem Rudolf miał być już od dnia swych narodzin. Habsburgowie nie umierają z siedemnaścioletkami w łóżku. Tak więc okryte ubraniem ciało Mary Vetsery zostało na polecenie cesarza niezwłocznie przeniesione do innego pokoju zamku Mayerling i w ten sposób usunięto je z pola widzenia. Natomiast ciało arcyksięcia Rudolfa zostało zbadane przez lekarza rodziny cesarskiej dr. Hermanna Widerhofera i jeszcze tego samego dnia przewiezione do Wiednia do Hofburgu, gdzie po obwiązaniu przestrelonego czoła bandażem zostało wystawione w jego sypialni.

Srogi cesarz, a takim stał się Franciszek Józef, który całe życie przedkładał konwenanse nad własne potrzeby (przynajmniej na zewnątrz - ale

34

przecież pozory to właśnie istota konwenansów), padł na kolana i płakał. Jednak jego łzy nie były łzami ojca, który rozpacza po stracie syna. Był to żal cesarza Austro-Węgier, że następca tronu uciekł od odpowiedzialności. Gdy Franciszek Józef doszedł do siebie, o śmierci swego syna wyraził się w kilku lekceważących słowach. Złośliwie skomentował, że Rudolf umarł jak jakiś drobnomieszczański krawiec.

W zamku Mayerling naprędce ubrano ciało baronówny Vetsery, po czym zataszczono je do powozu i, posadziwszy na tylnym siedzeniu, w pośpiechu zawieziono do kostnicy pobliskiego cmentarza Heiligenkreuz. W powozie jechało dwóch wujów Mary, Aleksander Baltazzi i hrabia Georg Stockau. Obaj byli również obecni przy oględzinach zwłok przeprowadzonych przez przybocznego lekarza arcyksięcia dr. Franza Auchenthalera. Z braku wiedzy, pełni obojętności lub ogarnięci szczerym smutkiem nie sprzeciwili się, gdy cesarski medyk stwierdzał „samobójstwo przez strzał z broni palnej”. Skutek owej ekspertyzy był następujący: dzień później, 1 lutego 1889 roku, baronówna Maria Aleksandryna von Vetsera została pochowana na cmentarzu

Heiligenkreuz bez kapłańskiej posługi i na uboczu, w miejscu przeznaczonym dla samobójców.

W międzyczasie trzech lekarzy przeprowadziło obdukcję ciała Rudolfa. Wyniki najpierw przekazano cesarzowi oraz małżonce zmarłego: „Jego Cesarsko-Królewska Wysokość Arcyksiążę zmarł w wyniku zgruchotania czaszki i przednich części mózgu. Przyczyną był oddany z bezpośredniej bliskości strzał w przód prawej skroni”. Na koniec padło stwierdzenie, które jednocześnie przygnębiło i pocieszyło cesarza: „Nie ma żadnych wątpliwości, że Jego Cesarsko-Królewska Wysokość sam oddał strzał oraz że śmierć nastąpiła natychmiast”.

Pomijając kwestię popełnienia przez austriackiego następcę tronu morderstwa na siedemnastoletniej kochance (o czym miano milczeć przez wieki), przedstawiciele Kościoła katolickiego musieli rozważyć, czy w obliczu stwierdzonego samobójstwa arcyksiążę Rudolf może zostać pochowany z błogosławieństwem kościelnym, czy w ogóle godzien jest spocząć w kaplicy kościoła Kapucynów, ostatnim miejscu spoczynku Habsburgów. Właściwie samobójca powinien zostać pogrzebany gdzieś na uboczu, jak stało się w przypadku Mary Vetsery.

Właśnie z tego powodu przeprowadzający obdukcję wykonali swoje zadanie z niezwykłą dokładnością. Zbadali czaszkę i mózg zmarłego,

35

odkrywając „przypadkiem” pewne anatomiczne anomalie: „Przedwczesny zrost szwu strzałkowego i wieńcowego, nadmierna głębokość dołu czaszkowego oraz tak zwanych »palcowatych wgłębień« na wewnętrznej powierzchni kości czaszki, znaczne spłaszczenie zwojów mózgowych oraz wydłużenie komory mózgu to zmiany patologiczne, które, jak wskazuje doświadczenie, współwystępują zwykle z nienormalnymi stanami umysłowymi i pozwalają przyjąć, że do czynu doszło w stanie pomieszania umysłu”.

Powyższy fragment wyników obdukcji stanowił dla arcyksięcia Rudolfa, a przede wszystkim dla jego bliskich, przepustkę do rodzinnego grobowca u kapucynów. Następcy tronu, który zakończył swe życie w stanie umysłowego obłądzenia, przysługiwał kościelny pogrzeb. Sam Rudolf w to nie wierzył i życzył sobie zostać pochowanym na cmentarzu Heiligenkreuz obok Mary Vetsery. To jednak byłoby sprzeczne z wszelkimi konwenansami, z którymi zresztą Rudolf przez całe swoje życie walczył.

W owych dniach arcyksiężna Stefania ewidentnie starała się trzymać na uboczu. Jej szwagierka Maria Waleria odnotowała, że wdowa zachowywała się, jakby nic się nie stało. A cesarzowa Elżbieta, która nigdy nie potrafiła ukryć niechęci do synowej, stwierdziła nawet, że nic dziwnego, iż Rudolf szukał zapomnienia u innych kobiet, przy takiej żonie. Sama Stefania odniosła się do owej sytuacji dopiero wiele lat później w swoich wspomnieniach. Napisała tam, że śmierć Rudolfa uwolniła ją od życia pozbawionego nadziei, pełnego obaw i trosk. Przyczyn jego samobójstwa nie należy się doszukiwać w jakichś dziedzicznych wadach czy umysłowym obłądzeniu, a tylko i wyłącznie w chwiejności jego charakteru.

Dzięki przyznanej wdowie rencie w wysokości 150 tysięcy guldenów* rocznie Jej Księżęca Wysokość, wdowa po arcyksięciu, nie musiała martwić się o przyszłość. Ze swego apartamentu w Hofburgu usunęła wszelkie ślady po mężu, wiele podróżowała, a dziesięć lat później poślubiła węgierskiego protestanta, szlachcica Eleméra Lónyaya. Z

tego powodu musiała zrezygnować z tytułu, corocznych apanaży oraz wszelkich związków z domem cesarskim.

* Gulden austro-węgierski (floreń, złoty reński) - srebrna moneta cesarstwa austriackiego, a potem austro-węgierskiego (oznaczany skrótem FI.). W ramach reformy walutowej z 1892 roku zastąpiony przez koronę austro-węgierską.

36

Wielu historyków doszukuje się politycznych przyczyn morderstwa i samobójstwa popełnionych w Mayerlingu, jako że arcyksiążę Rudolf był bardzo zaangażowany w politykę. Późniejsza wrogość między Rudolfem a cesarzem Franciszkiem Józefem wynikała między innymi z odmiennych poglądów politycznych ojca i syna. Za oznakę owej animozji wystarczy fakt, że Rudolf zostawił swojemu pokojowcowi Loschkowi list pożegnalny, natomiast do własnego ojca nie napisał ani słowa.

„Wielu poważnych mężów stanu” - pisał hrabia Ladislaus Szógyenyi-Marich, dyplomata ministerstwa spraw zagranicznych w Wiedniu i zaufany arcyksięcia - „nieszczęście to przypisuje wyłącznie przyczynom politycznym. Uważają, że arcyksiążę przez swoją coraz wyraźniej objawiającą się wrogość do aktualnej polityki ówczesnego gabinetu tak się skompromitował, a jego stanowisko wobec Wilhelma II i Niemiec tak się pogorszyło, że musiał zdać sobie sprawę, iż dalej krocząc tą drogą, stanie się źródłem poważnych trudności, a nawet niebezpieczeństw dla swojej ojczyzny”.

Wkrótce po tragedii w Mayerlingu zaczęto nawet spekulować o możliwym spisku przygotowywanym przez Rudolfa przeciwko własnemu ojcu. Bez wątplenia Rudolf i Franciszek Józef byli politycznymi przeciwnikami. Franciszek Józef był zatwardziałym monarchistą i żołnierzem z krwi i kości, natomiast Rudolf był postępowym republikaninem, który nie dawał austro-węgierskiej monarchii żadnych szans, zalecając nawet swojej siostrze Marii Walerii emigrację.

Problem polega na tym, że historię piszą historycy. Jest tak od czasów starożytnych, począwszy od wielkich - Herodota, Plutarcha i Tacyta. W tym kontekście docenić należy Pauzanasza*, który do objaśniania historii wykorzystywał geografę. Gdyby - z dzisiejszego punktu widzenia - w opisie wydarzeń historycznych uwzględnić wiedzę socjologiczną i psychologiczną, wiele spraw wyglądałoby zupełnie inaczej. W ten sposób wracamy do postaci współczesnego Rudolfowi Zygmunta Freuda.

Ten dopiero rozpoczął w Wiedniu swoją działalność jako psychiatra, a pojęcie psychoanalizy nawet jeszcze nie istniało (słowo „psychoanaliza” pojawi się u Freuda dopiero w 1896 roku). Nie wiadomo zresztą wcale, czy Freud umiałby pomóc następcy tronu. Niemniej jednak życie arcyksięcia Rudolfa doskonale odpowiada freudowskiej koncepcji lęków.

* Podróżnik z II w. n.e., autor 10-tomowego przewodnika po Helladzie.

37

Freud każdemu okresowi życia człowieka przypisywał konkretny lęk. Kolejno miały to być: koszmar narodzin, obawa przed utratą miłości matki, strach przed

kastracja, lęk przed surowym superego, strach przed śmiercią. Rudolf niezwykle intensywnie przeżywał wszystkie pięć faz, co sprawia, że jego tragiczne życie staje się mniej zagadkowe, a los jego ukochanej ukazuje się w odmiennym świetle.

Cesarzowa Elżbieta, która miała troje dzieci*, nigdy nie stała się dla nich taką matką, jaką mogła być. Porody przebiegały sprawnie, lecz zaraz potem opiekę nad dziećmi przejmowała jej surowa teściowa**. Karmienie, przewijanie, opieka, wychowywanie - tym wszystkim zajmowali się inni. Zresztą cesarzowa wcale się do macierzyństwa nie paliła. Jej niechęć budziły przede wszystkim ciąży, a musiała ich znieść aż cztery. Kobieta, która znała Elżbietę lepiej niż jej własny mąż - przynajmniej jeśli chodziło o jej prawdziwe odczucia - czyli hrabina Larisch-Wallersee, tak opisywała młodą Sisi:

Kochałam ją, wprost mnie oczarowała, coraz częściej czyniła ze mnie swoją zaufaną i relacjonowała mi, jak jest jej ciężko i jak nienawidzi całej tej pompy i przepychu, które otaczają ją jako cesarzową Austrii. »Nienawi-dzę ceremonii życia«, mawiała. Na początku naszej zażyłości pewna rzecz była dla mnie nieprzyjemna: wszechwładna i namiętna miłość mojej ciotki do jej własnej urody. Czciła swój wygląd jak poganin swych bożków, wręcz leżała u stóp swojej urody. Widok doskonałości własnego ciała dostarczał jej estetycznej rozkoszy, a wszystko, co ową doskonałość psuło, było dla niej nieestetyczne i wstrętne. Z wręcz nieprzyjemną szczerością opowiadała mi, jak nienawidziła okresu ciąży, która zaburzała symetrię jej figury. »Och, jakie to odrażające, starzeć się!«, mawiała. »Czuć, jak czas kładzie swoją łapę na naszym ciele, obserwować, jak skóra zaczyna się marszczyć, o świcie budzić się ze strachu przed światłem dnia i wiedzieć, że nie jest się już pożądanym! Życie bez miłości całkowicie straciłoby dla mnie wszelki urok«.

Cesarzowa Elżbieta, używając słowa „miłość”, z całą pewnością nie miała na myśli przychylności dla innych. „Miłość” nie znaczyła dla niej nic innego

* Elżbieta urodziła czworo dzieci, autor prawdopodobnie pomija najstarszą córkę cesarskiej pary, która zmarła w wieku dwóch lat. ** A jednocześnie ciotka, gdyż księżna Zofia, matka Franciszka Józefa, była siostrą matki Elżbiety. Małżeństwa między bliskimi kuzynami były wśród Habsburgów dość częste.

38

jak podziw dla samej siebie. Późniejsi psychologowie uznają, że Elżbieta nie była zdolna do jakiegokolwiek miłości, choć mówiła o niej nieustannie. Pod tym względem nie ustępowała swojemu małżonkowi, Franciszkowi Józefowi. „Elżbieta”, wspominała pani Larisch w innym miejscu, „była dla mnie istotą z dawnego świata bogów. Była Artemidą - zimną, pyszną i nieprzystępną”.

Sto jeden wystrzałów armatnich z okazji narodzin nie miało dla arcy-księcia żadnego znaczenia, jeden pocałunek od matki czy ojca byłby bardziej przydatny. Jednak czułości zdarzały się niezwykle rzadko, a w późniejszym okresie pojawiały się wyłącznie w formie pisemnej (i Elżbieta, i Franciszek Józef pisali swoje listy z pełną świadomością, że w przyszłości będą publikowane). Zamiast obsypywać syna czułościami, cesarz włożył swemu następcy do kołyski Order Złotego Runa i dekretem nadał mu rangę pułkownika cesarsko-królewskiej armii. Wychowaniem Rudolfa zajęła się matka cesarza, księżna Zofia. Chłopiec rzadko widywał matkę, bywało, że nie widział jej nawet pięć miesięcy, podczas gdy Sisi kurowała się na Maderze, oficjalnie w celu wyleczenia się z suchot, choć

w rzeczywistości cierpiała na ciężką depresję i zaburzenia psychosomatyczne. Madera, Kor-fu, Wenecja, Bad Kissingen, Possenhofen - w domu Elżbieta pojawiała się rzadko, a jeśli już, to na bardzo krótko.

Cesarz Franciszek Józef zamiast śpioszków podarował małemu następcy tronu miniaturowy mundur pułkownika. Jako trzylatek Rudolf zaprezentował się w nim przed „swoim” regimentem. Zamiast zwykłych zabawek mały arcyksiążę otrzymywał cynowe żołnierzyki, wojskowe bębny i zrobioną z drewna broń. Gdy miał cztery lata, dostał własnego nauczyciela, a także pierwszych spazmów ze strachu przed tańczącymi żołnierzami, co cesarz, dowiedziawszy się o owym zajściu, określił mianem „hańby”. *Psychosomatycznym zaburzeniom* u chłopca rodzice jedynie bezradnie się przyglądali.

Mając sześć lat, Rudolf rozpoczął bezlitosne szkolenie wojskowe, które już kiedyś z wiadomymi skutkami ukształtowało charakter Franciszka Józefa. Prowadził je hrabia Leopold Gondrecourt: ćwiczenia aż do utraty przytomności, hartowanie przez polewanie zimną wodą, dla wyrobienia nerwów oddawanie strzałów z bliska podczas snu. Pod naciskiem Elżbiety nowym wychowawcą Rudolfa został hrabia Józef Latour von Thurmburg, mądry człowiek o poglądach mieszczańsko-liberalnych, któremu arcyksiążę wiele zawdzięczał — nawet jeśli zasadniczo było już za późno.

39

Kolejny szok Rudolf przeżył w wieku dziesięciu lat. W kwietniu 1868 roku w zamku Ofen* na Węgrzech cesarzowa urodziła kolejną córkę, Marię Walerię, do której nieoczekiwanie poczuła silne, graniczące z histerią przywiązanie. Nawet Franciszek Józef, którego pierwsze słowa dotyczące nowo narodzonego następcy tronu brzmiały: „Piękny to on nie jest!”, w adresowanym do Rudolfa liście rozplywa się w zachwytach nad najmłodszą córką: „Jest naprawdę piękna, ma wielkie ciemnoniebieskie oczy, trochę jeszcze za gruby nos, bardzo małe usteczka, niesamowicie grube policzki i tak gęste ciemne włosy, że już teraz można układać z nich fryzury”. I dalej: „Śpi w Twojej sypialni, a kapana jest w Twoim salonie...”.

Efekt: dziesięciolatek stał się straszliwie zazdrosny. Wyglądało to tak, jakby wszystko, czego nie otrzymał od rodziców, dostawało się teraz be-niaminkowi całej rodziny. Zazdrość Rudolfa ujawniała się w postaci drażliwości i kompleksu niższości, sprawiała, że cierpiał na lęki i depresje. Hrabina Larisch w tym właśnie okresie po raz pierwszy spotkała Rudolfa, a jego niemal wilcza nieobliczalność już wtedy wzbudziła w niej strach. „Gdy wszedł do pokoju” - pisała w swoich wspomnieniach - „nie wiadomo dlaczego poczułam się nieswojo. Być może podświadomie wyczułam niebezpieczeństwo, jakim miał okazać się dla mnie Rudolf. Mój niepokój wzrósł, gdy zauważyłam, że pilnie przygląda mi się kątem oka. Arcyksiążę siedział przy stole obok mnie i od razu zaczął się ze mną bezlitośnie droczyć. Choć był wtedy tylko chłopcem, miałam wrażenie, że obdarzony jest inteligencją dorosłego mężczyzny. Choć był piękny, zastanawiałam się, jakie dzikie zwierzę mi przypomina. W jego spojrzeniu było coś zwierzęcego. Nagle to dostrzegłam - Rudolf przypominał wilka, w jego oczach zapalała się czasem zielona iskierka, a cały wydawał się jakby przyczajony. Myślałam o tym, czy jest równie okrutny jak wilk, a po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz, gdy przypominałam sobie słowa cesarzowej, które wypowiedziała, gdy przed posiłkiem pokazywałam jej moją piękną

suknię. Powiedziała: »Mario, dziś wieczorem poznasz Rudolfa. Ostrzegam cię przed nim. Jako wróg jest niebezpieczny«".

Rudolf podziwiał i ubóstwiał swoją piękną matkę, lecz na próżno. By się jej spodobać, starał się równie dobrze jak Elżbieta opanować jazdę konną, co mu się jednak nie udało. Większy sukces odniósł ojciec Rudol-

* Dzisiaj Budapeszt.

40

fa, który chciał uczynić z niego myśliwego. Arcyksiążę ustrzelił swojego pierwszego jelenia, mając dziewięć lat, i od tej pory, rekompensując sobie inne niepowodzenia, polował na wszystko, co się rusza w lesie.

Swoją pierwszą miłość, a raczej namiętność, przeżył arcyksiążę w wieku piętnastu lat. Obiektem jego uczuć była tylko kilka lat starsza ciotka Maria Teresa. Była to ciemnowłosa i ciemnooka rasowa piękność, a właśnie taki wygląd Rudolf preferował. Na dworze szeptano o zalotach młodzieńca, zwłaszcza że mąż Marii Teresy, Karol Ludwik, brat cesarza, mógłby być jej ojcem*. Rudolf nie zwracał uwagi na plotki, a w późniejszych latach również zupełnie nie przejmował się tym, co ludzie mówią o jego romansach.

Kobiety zwykle niczego arcyksięciu nie utrudniały, a ich przychylność zawdzięczał nie tyle swemu wyglądowi, co pozycji następcy tronu Austro-Węgier. Ze swymi rzadkimi włosami, wystającym czołem, a przede wszystkim niewielkim wzrostem arcyksiążę na pewno nie był przystojniakiem, a mimo to jego dość liczne wielbicielki nieustannie zachwycaly się wyglądem następcy tronu. „Był więcej niż piękny” - twierdziła jego (platoniczna) wielbicielka, a zarazem szwagierka, księżna Ludwika von Co-burg - „był uwodzicielski”. Był jednocześnie delikatny i silny, a przy tym wrażliwy i roztrzepany, często jednocześnie uprzejmy i ordynarny, przy czym potrafił „w jakiś tajemniczy sposób mówić” tak, że fascynował każdego słuchacza.

Od początku Rudolf okazał się w stosunku do kobiet mało wybredny, czym nie różnił się od swoich rówieśników z wyższych sfer, którzy zwykli byli swoje pierwsze miłosne doświadczenia zdobywać przy pomocy aktorek czy dam z półświatka. Młodemu księciu szczególnie spodobała się aktorka Teatru Zamkowego Johanna Buska, starsza od niego o jedenaście lat. Nawet wiedeńskie gazety zwróciły uwagę, że następca tronu pojawia się na każdym przedstawieniu, w którym występuje Johanna. Nie wyróżniała się ona ani urodą, ani talentem i podejrzewa się ją nawet, że celowo zainicjowała swój związek z Rudolfem, by zyskać lepszą pozycję w dworskim teatrze. Wzorem mogła być dla Johanny jej koleżanka z teatru, Katarzyna Schratt, pozostająca w intymnym związku z cesarzem Franciszkiem Józe-

* Maria Teresa, córka portugalskiego króla Michała I, była trzecią żoną Karola Ludwika.

regimentem piechoty został przeniesiony do Pragi. (Johanna Buska wkrótce potem wyszła za starszego od siebie o trzydzieści pięć lat hrabiego, a gdy ten po czterech latach zmarł, poślubiła dyrektora teatru).

W Pradze arcyksiążę sprawił, że pewne biedne dziewczę straciło dla niego głowę. Ponoć panna ta zmarła nawet na „gorączkę nerwową”, a Rudolf w międzyczasie popadł w tak głęboką depresję, że musiał się nim zająć stosujący elektrowstrząsy psychiatra Moritz Benedikt. O owym epizodzie szybko zapomniano, w każdym razie arcyksiążę pocieszał się w ramionach innych kobiet, na przykład Liny Stern (która dziewięć lat później próbowała szantażować go wspólnym romanssem), Heleny Vetsery (starszej od niego o jedenaście lat matki Mary Vetsery, która zginęła wraz z następcą tronu w Mayerling) czy Józefiny Glaser (aktorki z wiedeńskiego Carlthe-ater, która prawdopodobnie przypominała mu Johannę Buską). Niestały Rudolf zmieniał kobiety jak rękawiczki, niekonsekwentny i nieobliczalny wciąż zaczynał i kończył nowe romanse, niezdolny przekształcić odczuwane zauroczenie w miłość. „Nie spotkałem jeszcze kobiety, która by mi się oparła” - przechwalał się sam przed sobą, bezradny wobec własnej obojętności. Spisany przez niego wiosną 1879 roku pierwszy testament, oddany na przechowanie do urzędu nadwornego marszałka, zawierał dające do myślenia stwierdzenie: „Ostatnie pożegnanie z myślą o wszystkich pięknych kobietach Wiednia, które tak bardzo kochałem...”.

Za radą Latoura cesarz Franciszek Józef zmusił swego syna i następcę tronu do wczesnego zawarcia małżeństwa. Latour chciał dla Rudolfa jak najlepiej, wierzył, że małżeństwo podziała uspokajająco na łatwo wpadającego w zachwyty i niestałego w uczuciach księcia. Pułkownik, który następcę tronu szanował nawet bardziej niż jego ojca, nie mógł przypuszczać, że ów zamysł doprowadzi arcyksięcia do tragedii. Choć na wszystkich europejskich dworach zastanawiano się, która z księżniczek okaże się najbardziej politycznie użyteczna dla dziedzica naddunajskiej monarchii, pułkownik Latour i cesarz Franciszek Józef pozwolili, by Rudolf sam wybrał sobie przyszlą żonę.

Tak zupełnie sprawy nie pozostawiono przypadkowi, jako że Rudolf przebywał akurat w Brukseli, na belgijskim dworze królewskim. Wybranką okazała się pewna niespełna szesnastoletnia dziewczyna. Jej rodzina wywodziła się z domu Sachsen-Coburg-Gotha (panny z rodu Wittelsbach

42

wykluczono, gdyż Wittelsbachowie i Habsburgowie byli ze sobą już tak blisko spokrewnieni, że obawiano się przekazywania chorób dziedzicznych). Przede wszystkim jednak belgijska księżniczka Stefania była tak młoda i niewymagająca, że Rudolf zupełnie nie musiał się jej obawiać. Choć zdobył już przecież liczne doświadczenia z kobietami, wciąż każda z nich z początku stanowiła dla niego pewien problem.

W swoich wspomnieniach Stefania wyznaje: „Z dziecięcą czcią poddałam się nieuniknionemu, w głębi duszy wahałam się, lecz jednocześnie żywiłam całkowite zaufanie do mądrości mojego ojca. Nie przeczuwałam, jak ciężki okaże się łańcuch, do którego mnie przykuwał. Nie mogłam wiedzieć, że już wtedy byłam zdradzana. Dopiero dużo, dużo później dowiedziałam się, że mój narzeczony nie przybył do Brukseli sam, lecz w towarzystwie swojej przyjaciółki, pewnej pani R”. Już sam ten epizod, który potwierdzają również inne źródła, pokazuje, z jakim cynizmem Rudolf podchodził do

całej sytuacji. Dla niego zaręczyny były tylko przedstawieniem, niczym więcej, a Stefania najmniejszym złem ze wszystkich, wśród których musiał wybierać. Tak przynajmniej twierdziła znana z ciętego języka hrabina Larisch, wspominając: „Gdy do Wiednia dotarły pierwsze zdjęcia narzeczonej, każdego niepokoił zupełny brak uroku w jej wyglądzie. Osoby wtajemniczone, które znały przeszłość Rudolfa, kręciły głowami, mówiąc, że to nie jest właściwa żona dla arcyksięcia.

Przeszczeniwe były za to liczne damy, które Rudolfa znały i kochały. Przy takiej narzeczonej nie musiały obawiać się, że arcyksiężę kiedykolwiek stanie się przykładowym mężem”.

Pani Larisch miała rację. Już sam sposób, w jaki państwo młodzi wypowiedzieli sakramentalne „tak” w kościele Augustynów, gdzie od wieków odbywały się śluby i pogrzeby Habsburgów, okazał się proroczy dla przebiegu ich małżeństwa, które choć według prawa ważne (umowa małżeńska obejmowała niemal wszystko, od kieszonkowego po rentę, od miejsca mieszkania po zastawę stołową), mimo wszystko pozostawało związkiem zawartym wyłącznie dla pozorów. Według zapisku w dzienniku damy dworu cesarzowej Elżbiety, hrabiny Festetics, Rudolf swoje „tak” miał wypowiedzieć głosem cichym, poważnym i smutnym. Natomiast Stefania wykrzyczała je niemal jak wołanie o pomoc.

Sytuacja Stefanii u boku powszechnie adorowanego małżonka nie należała do łatwych. Niemal wszystkie kobiety - poza siostrą Stefanii Ludwi-

43

ką von Sachsen-Coburg-Gotha, żoną księcia Filipa - były do niej wrogo nastawione. Przede wszystkim plotkarka hrabina Larisch. Ślub komentowała z pierwszego rzędu: „Belgijska księżniczka w swojej ślubnej sukni wyglądała ze wszech miar niekorzystnie, jej ramiona były czerwone, a fryzura z matowych, żółtych włosów nietwarzowa. Była bardzo duża, a jej figura już wtedy niemal żalosna. Od tamtej pory nieustanna pielęgnacja i sprytny gorset co nieco poprawiły. Księżniczka nie miała ani brwi, ani rzęs, a jedyne, co było w niej piękne, to porcelanowo-biała cera. Doskonale mogłam sobie wyobrazić, co o Stefanii myśli ciocia Sisi, wystarczyło rzucić okiem na wyraz jej twarzy. [Cesarzowa nazwała później swoją syno-wą „szpetnym wielbłądem”]. Rudolf wyglądał jak człowiek, który oddaje swą chlubną przeszłość w zamian za wątpliwą przyszłość”.

Arcyksiężę Rudolf i jego młoda żona Stefania czuli się jak aktorzy odgrywający role w przedstawieniu pt. *Małżeństwo*. Nawet wymiana uprzejmości i wzajemnych *zapewnień* o miłości w listach nie może przesłonić faktu, że ich małżeństwo od początku miało bardzo chwiejne podstawy. Z jednej strony zakompleksiony babiarz, który próbuje tuszować swoje słabości wciąż nowymi przygodami miłosnymi, a z drugiej - zupełnie niedoświadczona dziewczyna, która musiała czekać na zawarcie małżeństwa, by pierwszą miesiączką udowodnić swą płodność.

„Co za noc! Co za męka, co za obrzydzenie!” - pisała Stefania o swojej nocy poślubnej. - „Nic nie wiedziałam, do ołtarza prowadzono mnie jako nieświadome niczego dziecko. Moje złudzenia, moje młodzieńcze marzenia zostały zniszczone. Niemal umarłam z rozczarowania. Marzłam, drżałam z zimna, cierpiałam na nagłe ataki gorączki. Pogoda była straszna, deszcz i śnieg waliły w okna - śnieg 11 maja, podczas gdy w Belgii

nastała już zwycięska wiosna. Opanowała mnie pałaca tęsknota za domem. Myślałam tylko o jednym: uciec!".

Dla młodej pary przeznaczono czternaście pokoi zamku Laxenburg pod Wiedniem, a gazety tygodniami opisywały, jak wszystko pięknie odremontowano. Niemniej jednak Stefania aż wstrzymała oddech, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg swojego nowego domu: stęchlizna i lodowaty piwniczny chłód we wszystkich pokojach, ani jednego dywanu, ani jednej rośliny, brak łazienki czy nawet toaletki. Łóżka, materace i zasłony miały co najmniej ćwierć wieku. Gdy tylko Stefania doszła do siebie po tym szoku, próbowała — jak to sama określiła — nawiązać ze swoim mę-

44

żem „przyjazne stosunki". Lecz Rudolf wcale jej tego nie ułatwiał, a wręcz uniemożliwiał: „Miałam robić tylko to, co mi nakazano i co zarządził ar-cyksiążc. Miałam poddać się i słuchać... Żyłam w świecie konwenansów i zewnętrznych form".

Niemniej jednak przez krótki czas, gdzieś między trzecim a piątym rokiem małżeństwa, relacje między arcyksięciem i jego małżonką musiały układać się całkiem nieźle. Nawet jeśli Stefania (ze zrozumiałych względów) w swoich pamiętnikach o niczym takim nie wspomina, to o poprawie stosunków między małżonkami świadczą wypowiedzi naocznego świadka, hrabiego Hoyos, oraz zachowane dokumenty („Najdroższy aniele" - pisał Rudolf do Stefanii, a ona odpisywała: „Kocham Cię z całego serca"). Na ten okres przypadają również narodziny ich jedyne dziecko. Wszystko to ukazuje jednak tylko kolejną sprzeczność w życiu i osobowości arcy-księcia Rudolfa.

Jednocześnie był on bowiem ogarnięty strachem, że wzrok któregoś z głodnych życia szlachetnych kawalerów i próżniaków Wiednia spocznie na jego małżonce. I podczas gdy sam sobie przyznawał maksymalną wolność, kazał stale obserwować arcyksiężną. Wydał zalecenie, by nie dopuszczać do Stefanii żadnego mężczyzny, jeśli jego samego nie ma w domu. Doszło nawet do tego, że służący mogli wchodzić do pokoi Stefanii tylko w towarzystwie przynajmniej jednej pokojówki. Gdy Rudolf był w domu, arcyksiężną musiała przebywać w tym pomieszczeniu, które on wybrał, i nie mogła go opuszczać, jeśli akurat przyjmował oficerów, z którymi omawiał kwestie wojskowe czy polityczne. Czytał przed wysłaniem wszystkie listy Stefanii, nawet te, które pisała do swych rodziców.

Stefania stopniowo zaczęła się przyzwyczajać do tego, że jej mąż, często przebrany za zwykłego mieszczucha, upija się nocami w wiedeńskich lokalach w towarzystwie Bratfische, swego przybocznego fiakra i pieśniarza. By zrozumieć, co takiego tkwi w tych jego nocnych eskapadach, pewnego razu zdecydowała się w przebraniu zwykłej młodej mieszczyki towarzyszyć małżonkowi w „rozmaitych cafés-chantants i innych podejrzanych lokalach w mieście i okolicach". Śmierdziało w nich czosnkiem, zjełczałym tłuszczem i kwaśnym winem, a zawieszona w powietrzu kłęby dymu oszołamiały młodą arcyksiężnę. Na brudnych stołach tańczyły dziewczęta, śpiewając wciąż te same szlagiery z towarzyszeniem kiepskiej orkiestry. „Chętnie dobrze bym się tam bawiła" - wspomina Stefania - „jednak

Nie pojmowałam, co się arcyksięciu w tym wszystkim podoba". Ową wątpliwą przyjemność Stefania podzieliła z małżonkiem tylko ten jeden jedyny raz.

Wystarczająco cierpiała już z powodu katastrofalnych warunków mieszkaniowych, do jakich nie przywykła w swojej belgijskiej ojczyźnie. Na zimę arcyksiążęca para musiała przenieść się z zamku Laxenburg do wiedeńskiego Hofburgu, gdzie z kolei Stefania musiała znosić „piętno złego smaku, jakie nosiły wnętrza wszystkich cesarskich pałaców”.

Choć w magazynach dworskich pełno było kosztownych antycznych mebli, obrazów i innych dzieł sztuki, w prywatnych pokojach Hofburgu stały wyłącznie kiczowate, z reguły toczone meble w stylu modnym w latach siedemdziesiątych XIX wieku, gdyż takie było życzenie cesarza. Nie było tam wodociągów, jak w wytwornych domach bogatych mieszczan, a w związku z tym nie było również klozetu. W celu wypróżniania się korzystano z odpowiednio skonstruowanych krzeseł, które następnie wynoszono na zewnątrz korytarzami biegnącymi obok kuchni, z której nieustannie czuć było zapach gotowanych potraw. Do kąpieli służyła gumowa wanna, którą w razie potrzeby wnoszono do sypialni i którą napełniano i opróżniano za pomocą cynowych wiader. Z powodu lamp naftowych wszędzie unosiła się sadza. Cesarz Franciszek Józef czuł się jak spartanin i wymagał, by tak samo czuła się jego rodzina.

I cesarz, i arcyksiężę mieli jednak tę wygodę, że większość swego czasu spędzali poza domem. Jeśli ich obecności w rozmaitych miejscach naddu-najskiej monarchii nie wymagały obowiązki rządowe lub reprezentacyjne, oddawali się swoim namiętnościom, czyli romansom i polowaniom. Cesarz doskonale potrafił łączyć obie te przyjemności w Bad Ischl. Arcyksiężę Rudolf polował na terenie całej monarchii oraz w zaprzyjaźnionych krajach, natomiast swoje potrzeby seksualne zaspokajał wyłącznie w Wiedniu. Stefania oczywiście o tym wiedziała, lecz cóż mogła uczynić?

Osoby postronne już wcześniej spostrzegły, że w arcyksiężnej Stefanii zaszła jakaś zmiana. Jak zauważył hrabia Aleksander Hubner, poseł austriacko-węgierski, arcyksiężna przejęła naturę i maniery swojego męża i zaczęła prowadzić się absolutnie niemożliwie. Arcyksiężę Leopold Salwator scharakteryzował Stefanię jako „wulkan przykryty czapą lodu”. Bez wątpienia narodziny córki Elżbiety („Erzsi”) sprawiły, że arcyksiężna stała się inną kobietą.

46

Stefania przeboleła już swoją tragiczną sytuację i była gotowa walczyć o własne życie. Gdy po ciąży i porodzie doszła do siebie i po raz pierwszy włożyła swoje stare suknie, ze zdumieniem zauważyła, że wszystkie jej ubrania są za krótkie. A w kwietniu 1885 roku przy okazji pięćdziesiątych urodzin swojego ojca Leopolda stwierdziła: „Dorosłam, wyprostowałam się i stałam się pewna siebie. Moja twarz straciła dziecięcą krągłość, wymodelowało ją twarde życie. Cierpiałam, lecz moje samoopanowanie pozwalało mi to ukryć. Nikt nie miał pojęcia, ile wycierpiała ta pozornie promieniejąca szczęściem kobieta, jakie troski nosiła w swym sercu”.

Przemiana arcyksiężnej stała się nowym źródłem konfliktu w małżeństwie Stefanii i Rudolfa. Wyemancypowana kobieta wzbudzała w arcyksięciu strach. Stefania szybko zorientowała się, że jako skuteczny środek nacisku może wykorzystywać ich wspólną

córkę, wobec której Rudolf odczuwał szczerą sympatię (prawdopodobnie była ona jedyną osobą, którą arcyksiążę potrafił pokochać). Budowała więc dystans między córką a ojcem, tak jak on tworzył dystans między sobą a żoną. Minęły już czasy, gdy pokornie akceptowała każde upokorzenie ze strony męża. W odniesieniu do nowej sytuacji hrabina Larisch wypowiedziała się następująco: „To... żalotne, że pozostaje pod tak wielkim wpływem swojej siostry Ludwigi von Coburg, która podjudzają do zazdrości, opowiadając wszelkie możliwe historie o arcyksiężu, który stopniowo zaczyna uważać, że życie u jej boku stało się nieznośne. Stefania urządza mu takie awantury i sceny zazdrości, że ciocia Sisi musiała czynić im wymówki, iż takie niesnaski spowodują skandal. Cesarzowa jako panna młoda nauczyła się znosić wszystko w milczeniu i tego samego oczekuje od swojej synowej”.

Stefania na niewierność męża reagowała najskuteczniejszą metodą, odmawiając mu siebie. Nie wspomina o tym w swoich pamiętnikach, jednak hrabia Hoyos, najlepiej poinformowana osoba z otoczenia arcyksiężęcej pary, donosi, że takie zachowanie małżonki wywołało rozgoryczenie Rudolfa i właśnie z tej przyczyny został sprowadzony „na złą drogę”. Jest to oczywiście pogląd stronniczy. Choć Rudolf słał do swojej żony błagalne listy i zaklinał ją, że przecież mogliby „znowu razem poświntuszyć w łóżku”, jednocześnie od dawna utrzymywał konkubinę, jedną z najdroższych, jeśli nie najdroższą, kobiet lekkich obyczajów w Wiedniu, subretkę - jak wówczas nazywano panie, których źródłem utrzymania były kontakty

47

z mężczyznami. Była to Maria Kaspar, urodzona 28 września 1864 roku w Grazu. Po przeprowadzce do Wiednia zaczęła używać nazwiska Mizzi Caspar, które brzmiało o wiele drożej.

„Interes” - a rzeczywiście chodziło o interes, bo arcyksiążę wydał na swoją konkubinę w przeliczeniu ponad półtora miliona euro - został zainicjowany na prośbę następcy tonu przez „znaną w mieście rajfurkę”, panią Wolf, prowadzącą w Wiedniu pewną instytucję o szczególnej sławie. Pani Wolf, która za swe pośrednictwo została ponoć przez Rudolfa szczerze wynagrodzona, już wcześniej pomagała w kontaktach arcyksięż-cia z licznymi damami z półświatka, jednak żadna z nich nie zrobiła na nim tak długotrwałego wrażenia, jak Mizzi. Nie była specjalnie urodziwa, z pewnością jednak jej gorset skrywał jędrną zawartość, a szczupłość talii Mizzi zapierała mężczyznom dech w piersiach. W ojczystym Grazu Mizzi grała kiedyś w teatrze, jednak były to tylko role dziecięce. Nadal miała w sobie coś dziecięcego, nawet skończywszy dwadzieścia lat.

Prawdopodobnie właśnie ten dziecięcy rys tak zauroczył Rudolfa. Przy tym Mizzi była mało skomplikowaną osobą, wręcz prostą dziewczyną z ludu, nieznającą etykiety, dzięki czemu arcyksiążę nie musiał się przy niej pilnować. Nie robiła mu również żadnych wyrzutów. Rudolf po prostu dobrze czuł się przy Mizzi. W towarzystwie Bratfisch z upodobaniem rozkoszował się atmosferą lokali półświatka. Następca tronu cesarsko-królewskiej monarchii napisał nawet dla swojej kochanki tekst piosenki, którą Bratfisch często śpiewał.

Regułą stało się, że kompletnie pijany Rudolf wracał około trzeciej nad ranem do domu, gdzie czekała na niego wściekła Stefania. W swoich wspomnieniach arcyksiężna pisała: „Już dawno pogodziłam się z tym, że formalnie nasze wspólne życie, a zwłaszcza

jego wizerunek w listach Rudolfa, stoi w całkowitej sprzeczności z jego rzeczywistym zachowaniem. Teraz jednak bywał wręcz nie do rozpoznania. Wewnętrzne rozdarcie doprowadzało go do straszliwych wybuchów porywczowości, do niegodziwych scen nie do zniesienia. Było tak, jakby wraz z wewnętrzną podporą zgubił także zdolność dbania o dobre maniery. Podczas jednego z takich wybuchów nie oszczędził mi nawet opowiadania z zupełną szczerością o swoich żenujących przygodach miłosnych. Doszło w końcu nawet do tego, że pewnego razu zagroził, iż położy temu wszystkiemu kres, zastrzelisz się i mnie. Ogarnęło mnie przerażenie".

48

Obawy Stefanii nie były nieuzasadnione, gdyż arcyksiążę również przy innych osobach ze swojego otoczenia wspominał o ewentualności swojej przedwczesnej śmierci. Mówił jednak o tym z typowym dla siebie cynizmem, więc nigdy nie było wiadomo, czy sam traktuje swoje słowa poważnie. Przede wszystkim jednak osoby znajdujące się w bliskich relacjach z następcą tronu zadawały sobie pytanie, czy widowisko, jakie odgrywa, znajdując się w stanie ciężkiej depresji lub zupełnego upojenia alkoholowego, wciąż jeszcze mieści się w ramach normalności. Oto komentarz cesarskiego adiutanta Alberta von Margutti dotyczący wiosennej parady w 1887 roku: „Z pewnością dorodny i piękny mężczyzna, któremu generalski mundur doskonale pasował; przez cały czas panował też nad swoim pełnokrwistym rumakiem, a mimo wszystko wyglądał na zmęczonego, znudzonego i nieobecnego duchem... Nie zamienił ani słowa z żadnym z oficerów sztabowych, nawet z żadnym z obecnych generałów, tylko tępo wpatrywał się w pustkę. Nagle całą swoją uwagę skupił przez kilka minut na rozbryzganych na swych butach drobinach błota - poprzedniej nocy spadł obfity deszcz. Ujeżdżacz dworskich koni zsiadł na jego rozkaz z konia i bezzwłocznie wyczyścił kawałkiem juty błyszczące buty i brzeg spodni z lampasami. Gdy skończył, arcyksiążę przybrał z powrotem tę samą zmanierowaną pozę niedbałości i znów wpatrywał się w dal. Gdy pojawił się Franciszek Józef, jaka to była różnica! Przy swoim ojcu Rudolf wyglądał jak jakiś zupełnie wyczerpany człowiek.

Zazdrosny Rudolf, który kazał szpiegować swoją żonę, nie wiedział, że sam znajduje się pod stałą obserwacją cesarsko-królewskiej tajnej policji, a nawet że Mizzi, „jego osobisty ujeżdżacz" (jak pogardliwie nazwał kochankę arcyksięcia jeden z dworskich urzędników), miała konszachty z prezydentem wiedeńskiej policji, baronem Franzem Kraussem. Zleceniodawcą całej tej szpiegowskiej akcji, trwającej aż do ostatniego dnia życia Rudolfa, był cesarz Franciszek Józef, któremu własny syn dawno wyrwał się spod kontroli.

Dwie zasadnicze przyczyny skłaniały cesarza do narzucenia niczego nieświadomemu arcyksięciu towarzystwa policjantów. Franciszek Józef martwił się o utrzymanie monarchii, a arcyksiążę Rudolf nie dawał w tym względzie żadnej gwarancji. Pisywał pod pseudonimem artykuły, w których ostro krytykował reakcyjną politykę rządu premiera hrabiego Eduarda Taaffe, serdecznego przyjaciela swego ojca, i wcale nie ukrywał,

że jego zdaniem lata monarchii są już policzone. Z drugiej strony cesarz obawiał się towarzystwa, w jakim obracał się jego syn, a stała obserwacja miała jednocześnie chronić Rudolfa przed nim samym.

W wiedeńskim prezydium policji istniała nawet odrębnateczka pod nazwą: „Akta Rudolfa”. Odnotowywano w niej każde jego działanie poza własnym domem. Śledzono także życie intymne arcyksięcia. Informacje, jakich Mizzi udzielała baronowi Krausowi i cesarsko-królewskiej tajnej policji, pokazują, jak głębokie były zaburzenia psychiczne następcy tronu od roku 1886, w którym spotkali się po raz pierwszy. Mizzi twierdziła, że Rudolf był właściwie impotentem, a stan ten mógł przezwyciężyć tylko przy pomocy ogromnych ilości szampana. Potwierdza to pewna wzmianka we wspomnieniach Stefanii, która mniej więcej w tym samym czasie zauważyła, że jej mąż często pije dużo szampana. W 1888 roku - według informacji udzielonej tajnej policji przez Mizzi Caspar - arcyksiężę po raz pierwszy ujawnił jej swój zamiar wspólnego rozstania się z życiem przed Świątynią Huzarów* w Múdling. Zupełnie poważnie proponował jej śmierć przez zastrzelenie się.

Gdy tajne służby dowiedziały się o tym niezwykle zachowaniu, jeszcze bardziej wzmocniono obserwację Rudolfa. Od tej pory agenci obserwowali nawet skoki w bok jego cesarskiej wysokości, w tym ostatnie spotkanie z Mizzi Caspar tuż przed tragedią w Mayerlingu. Funkcjonariusz tajnej policji Florian Meissner w swoim ostatnim raporcie napisał: „W poniedziałek, 28.1.1889, A.R. był u Mizzi do 3 nad ranem, wypił bardzo dużo szampana, dał dozorczy 10 guldenów napiwku. Gdy żegnał się z Mizzi, zachował się inaczej niż zwykle, gdyż uczynił na jej czole znak krzyża. Od Mizzi pojechał (bezpośrednio?) do Mayerlingu”.

Z protokołu wynika, że po tym, jak arcyksiężę Rudolf opuścił dom Mizzi, Meissner w celu zdobycia najświeższych informacji przeprowadził rozmowę zarówno z nią, jak i dozorcą domu. Do dziś nie jest jasne, jaką rolę w owej grze agentów odgrywała tak naprawdę hrabina Larisch. Później w odniesieniu do arcyksięcia Rudolfa stwierdziła: „Miał nade mną hipnotyczną władzę i czułam bezwolnie, że muszę spełnić każde jego życzenie”.
Przyczyny owe-

* Ta klasycystyczna budowla wzniesiona w 1813 roku ku czci poległych w bitwie z wojskami napoleońskimi pod Aspern jest pierwszym austriackim pomnikiem wojennym. Znajduje się na wzgórzu kilkanaście kilometrów na południe od Wiednia.

50

go oddania hrabiny arcyksięciu szukać należy raczej w jego finansowych niż hipnotycznych możliwościach. Maria Larisch była zadłużona wobec arcyksięcia na wysokie sumy i z tego właśnie względu była mu bardzo zobowiązana. Z drugiej strony jednak, gdy tylko Rudolf 28 stycznia 1889 roku zniknął z Wiednia razem z Mary Vetserą, natychmiast skontaktowała się z szefem policji Kraussem. To nie matka zaginionej baronówny, Helena Vetsera, lecz właśnie hrabina Larisch złożyła zawiadomienie o jej zaginięciu. To pozwala bez wątplenia przyjąć, że Maria Larisch pozostawała w kontakcie z szefem policji Kraussem, nawet jeśli nie przyznaje się do tego we wspomnieniach.

Arcyksiężę domyślał się co prawda, że jest śledzony na polecenie ojca, jednak sądził,

że stoją za tym powody polityczne - miał się więc na baczności. Jednak ze szpiegowskich działań swojej kuzynki, a przede wszystkim Mizzi, zupełnie nie zdawał sobie sprawy. Przy Mizzi czuł się swobodnie i nie ukrywał przed nią swoich politycznych poglądów. Z protokołu tajnej policji: „Arcyksiążę powiedział Mizzi, że sra na rząd i to Franek (Franciszek Ferdynand*) powinien dalej robić historię”. Można sobie wyobrazić, jak taką wypowiedź musiał przyjąć cesarz Franciszek Józef.

Zamordowanie Mary Vetsery przez Rudolfa i jego własne samobójstwo od początku próbowano uzasadnić nieudany spiskiem przeciwko cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Spekulacje te opierały się na wątku tajemniczej obitej materiałem kasetki z listami i dokumentami, którą Rudolf w niedzielę, na kilka dni przed popełnieniem samobójstwa, oddał na przechowanie hrabinie Larisch. Hrabina miała ją następnie wręczyć tej osobie, która zgłosi się do niej, podając hasło: R.I.U.O. Nad znaczeniem tego hasła wielu łamało sobie już głowę, jednak nie da się udowodnić słuszności żadnego z proponowanych rozwiązań. Wiadomo natomiast, że Rudolf uwielbiał tego rodzaju zagadki. Pannie Vetserze podarował żelazną obrączkę z wygrawerowanymi literami I.L.V.B.I.D.T. Z początku nawet Mary nie wiedziała, co to znaczy, później jednak ujawniła swojej nauczycielce gry na pianinie znaczenie owego skrótu: *In Liebe vereint bis in den Tod* (Miłością połączeni aż do śmierci).

Jeśli dać wiarę relacji hrabiny Larisch - a późniejsze wypowiedzi świadków potwierdzają istnienie takowej kasetki - to wiąże się z nią niezwy-

* Bratanek cesarza Franciszka Józefa, późniejszy następca tronu, zastrzelony w Sarajewie w 1914 roku.

51

kle tajemnicza historia. W dniu pochówku arcyksięcia w kaplicy kościoła Kapucynów pani Larisch otrzymała przez posłańca list, niespełniający formalnych wymogów korespondencji, napisany ołówkiem i bez nazwiska nadawcy, o następującej treści: „Jeśli Pani nie boi się i chce być wierna słowu, które Pani dała komuś, kto już nie żyje, proszę przynieść »wiadomą rzecz« dziś wieczorem o wpół do jedenastej na promenadę pomiędzy placem Schwarzenberg a Heugasse. Proszę zachować milczenie, od tego zależy honor zmarłego. R.I.U.O”.

Hrabina Maria Larisch kazała woźnicy, by zawiózł ją na plac Schwa-r-zenberg 5, wysiadła i wydała polecenie, by oczekiwano na nią przed drogerią na rogu Ringstrasse. Chwilę później zagadnął ją jakiś mężczyzna i podał hasło. Maria bez słowa wręczyła mu kasetkę.

„Czy kiedykolwiek rozmawiała pani o tej kasetce?” - zapytał nieznajomy.

„Nigdy” - odparła hrabina Larisch.

„Czy »on« wyjawiał Pani tajemnicę?”

„Nie, nic mi o tym nie wiadomo”.

„I tak jest lepiej, inaczej Pani życie mogłoby być zagrożone... Nie ma Pani pojęcia, kim jestem?”

„Nie”.

Wówczas nieznajomy zdjął z głowy kapelusz i spojrzał na hrabinę. Ta cofnęła się.

„Wasza Cesarska Wysokość!" - wykrzyknęła. Nieznajomym okazał się arcyksiążę Jan Salwator z Toskanii*.

Tak hrabina Maria Larisch opisała przekazanie tajemniczej kasetki, kontynuując: „Przypomniała mi się bliska przyjaźń, jaka łączyła go z następcą tronu. Słyszałam także, że arcyksiążę był w złych stosunkach z cesarzem i że prawdopodobnie wkrótce miał opuścić Austrię".

Według hrabiny arcyksiążę Jan dał jej owego wieczora do zrozumienia, że gdyby cesarz Franciszek Józef poznał zawartość kasetki, postawiłby następcę tronu przed sądem wojskowym, a wtedy Rudolf zostałby skazany za zdradę stanu i rozstrzelany. Arcyksiążę uprzedził jedynie bieg wypadków.

* Najmłodszy syn Leopolda II, arcyksięcia Toskanii, stryj Franciszka Salwatora, narzeczonego, a później męża najmłodszej córki cesarskiej pary, Marii Waleni.

52

Na pożegnanie Jan Salwator stwierdził, że on także umrze, pozostając jednak przy życiu, gdyż znudziła go błahość własnego życia i chce rozpocząć zupełnie nowe.

Tak też się stało. Wkrótce arcyksiążę Jan Salwator wyrzekł się wobec cesarza swego tytułu, rangi wojskowej oraz wszelkich przysługujących mu praw i jako Jan Orth (od nazwy swego zamku Orth pod Gmunden) wyruszył w podróż do Ameryki Południowej. Jego żaglowiec zatonął podczas sztormu w pobliżu przylądka Tres Puntas w lipcu 1890 roku. Rok później uznano Jana za zmarłego*.

Poprzez swoją opowieść, która choć prawdopodobnie prawdziwa wydaje się jednak nieco przesadzona, hrabina Maria Larisch starała się udowodnić, że za szaleńczym dziełem Rudolfa krył się przede wszystkim polityczny spisek. Powód jej działania jest oczywisty. Hrabinie chodziło o odwrócenie uwagi od jej współdziałania w tragedii. Cesarz i cesarzowa po śmierci Rudolfa uznali swą kuzynkę za persona non grata, a ona później wielokrotnie, lecz bez efektów, próbowała doprowadzić do pojednania.

Niemniej jednak żaden spisek z całą pewnością nie był powodem tragedii w Mayerlingu. Nawet gdyby taki spisek w ogóle miał miejsce, byłby tylko jednym z wielu czynników, które doprowadziły następcę tronu naddunajskiej monarchii do aktu rozpacz. Przyczyny katastrofy w Mayerlingu nie miały charakteru politycznego, lecz psychopatyczny. Rudolf dokładnie zaplanował swoją śmierć i konsekwentnie dążył do osiągnięcia zamierzonego celu. Jednak ponieważ nigdy nie było wiadomo, czy jest trzeźwy, czy też pod wpływem morfiny, nikt nie traktował go już poważnie. To jeszcze bardziej pogłębiło jego izolację, tak że w końcu oddawał się już tylko dwóm przyjemnościom: polowaniu i zaspokajaniu popędu płciowego. Po powrocie z wypoczynkowego rejsu cesarskim statkiem „Gryf" po Adriatyku Stefania z przerażeniem stwierdziła: „Jakże się przestraszyłam, gdy znów zobaczyłam arcyksięcia. Jego upadek był tak zaawansowany, że stał się widoczny również w jego wyglądzie. Arcyksiążę strasznie się postarzał, jego cera była blada i ziemista, spojrzenie

* Jeszcze w 1889 roku Jan Orth poślubił w Londynie tancerkę wiedeńskiej opery

Ludmiłę (Liii) Stubel, która towarzyszyła mu na pokładzie statku. Jana Ortha, dawnego arcyksięcia Jana Salvatora, oficjalnie uznano za zmarłego dopiero w 1911 roku, ponad dwadzieścia lat po morskiej katastrofie.

53

rozbiegane, a rysy twarzy zupełnie odmienione. Jakby jego rysy straciły podparcie, które dawała im jego wola, jakby rozpadały się od wewnątrz. Poczułam głębokie współczucie, a jednocześnie strach: do czego doprowadzi takie zniszczenie?"

Wygląda na to, że arcyksiążę Rudolf już w marcu 1887 roku zdecydował się pożegnać z życiem. Z tego okresu pochodzi złożony w cesarsko-królewskim urzędzie marszałka nadwornego testament następcy tronu, w którym Rudolf - jak z sarkazmem zauważyła arcyksiężna Stefania - dysponuje kwotami, jakich nigdy nie posiadał.

Testament

Niniejszy testament sporządziłem własnoręcznie w całkowitej przytomności umysłu i najuniżeniej proszę Jego Cesarski i Królewski Apostolski Majestat, by łaskawie zachciał przyjąć na siebie trud zostania wykonawcą niniejszego testamentu, a także by przejął opiekę nad moją córką Elżbietą. Jedyłą spadkobierczynią mojego ruchomego jak i nieruchomego majątku czynię moją córkę Elżbietę; swojej żonie Stefanii przyznaję prawo dożywotniego użytkowania wspólnego majątku. W przypadku ponownego zamążpójścia mojej żony prawo to wygasa i przechodzi na moją córkę. W przypadku zamążpójścia mojej córki prawo użytkowania zostanie podzielone.

Dalej postanawiam:

- 10. 50 000 guldenów pozostawiam kierownikowi mojego sekretariatu pułkownikowi von Spindlerowi, a w przypadku jego zgonu jego synowi lub jego córce, gdyby ten już nie żył.*
- 11. 20 000 guldenów pozostawiam ochmistrzowi hrabiemu Carlowi Bombellesowi; gdyby już nie żył, kwota ta przypada jedynej spadkobierczyni.*
- 12. 30 000 guldenów zostanie wedle uznania i wskazówek mojej żony rozdzielone pomiędzy tych moich służących, podawaczy*, stajennych i wszystkich członków personelu myśliwskiego*

* Podawacz - pomocnik myśliwego, który dba o jego broń, a w trakcie polowania podaje mu ją gotową do oddania strzału.

54

w Lesie Wiedeńskim, Gorgony, Laxenburgu i Łęgach Naddu-najskich, o których wiem, że służyli mi wyjątkowo dobrze.

- 13. Wielką skrzynię z akwarelami [prezent ślubny od wiedeńskich przemysłowców] zapisuję zbiorom dworskim.*
- 14. Posiadana przeze mnie broń biała oraz nowoczesna broń myśliwska, a także wszystkie moje myśliwskie trofea zostaną wedle wskazówek mojej żony rozdane jako*

upominki moim znajomym i krewnym; to, co pozostanie, zapisuję służącym ipodawaczom.

15. *Wszystkie swoje psy myśliwskie i pokojowe zapisuję moim myśliwym ipodawaczom, a także personelowi w Lesie Wiedeńskim i Łęgach Naddunajskich.*
16. *Wszystkie moje ubrania, bieliznę, buty zapisuję swoim służącym.*
17. *Swoje zbiory przyrodnicze zapisuję wiedeńskim instytucjom edukacyjnym, wedle uznania mojej żony. Nakazuję także, by dzierżawy terenów łowieckich w Górgłny Szt. Imre, Liptau i Lesie Wiedeńskim zostały po mojej śmierci niezwłocznie wypowiedziane, podobnie po usunięciu moich rzeczy dzierżawa zamku Gbrginy Szt. Imre. Moje biurka w Wiedniu i Laxenburgu zostaną otwarte w obecności mojej żony przez szefa sekcji ministerstwa spraw zagranicznych pana Ladislausa von Szógyśnyi-Maricha, a dokumenty wedle jego uznania zniszczone lub zachowane.*

Swoim podpisem i pieczęcią potwierdzam, że jest to własnoręcznie spisane przeze mnie rozporządzenie mojej wolnej woli.

*Wiedeń, 2 marca 1887
Następca tronu arcyksiążę Rudolf,
feldmarszałek-lejtnant*

Rudolf, podobnie jak jego ojciec, nie znał się na liczbach i pieniądzach. A przy tym na swoje utrzymanie wydawał ogromne kwoty. Niektórzy historycy po analizie rachunków arcyksięcia dochodzili wręcz do wniosku, że popełnił samobójstwo z powodu swojej beznadziejnej sytuacji finansowej. To oczywiście przesada.

Faktem natomiast jest, że związek z Mizzi Caspar kosztował następcę tronu bardzo dużo. Rudolf już w 1887 roku kupił swojej ukochanej trzypiętrową kamienicę przy Heumuhlgasse 10, która służyła im jako schronienie podczas wspólnie spędzanych godzin. Według danych „Ce-sarsko-Królewskiego Instytutu Agentów Policji” kamienica ta kosztowała 60 tysięcy guldenów. Arcyksiążę w momencie jej nabywania sumy takiej nie posiadał, lecz w podobnych sytuacjach mógł liczyć na pomoc swojego przyjaciela Moritza von Hirscha, bankiera i finansisty, który swoje usługi oferował przede wszystkim arystokracji. Kontakty i dyskrecja zapewniły mu dostęp do najwyższych europejskich kręgów i już w 1869 umożliwiły uzyskanie drogą kupna tytułu barona. W momencie śmierci arcyksiążę był ponoć winien Hirschowi 300 tysięcy guldenów. Ten dług i inne zaległości Rudolfa zostały po jego śmierci bez słowa spłacone przez cesarza Franciszka Józefa.

Według akt tajnych służb Mizzi Caspar otrzymała w czerwcu 1888 roku gotówką 80 tysięcy guldenów, nie ma natomiast wskazówek co do tego, na co je spożytkowała. Bizuteria (głównie od jubilera Rutzky'ego przy Mehlmarkt), którą Rudolf obdarowywał swoją konkubinę w zamian za świadczone przez nią usługi, była w sumie warta 50 tysięcy guldenów. W znalezionej w biurku Rudolfa kopercie z napisem „100 000 guldenów dla Mizzi Caspar” znaleziono jedynie 30 tysięcy guldenów. Razem daje to 230 tysięcy guldenów, czyli w przeliczeniu ponad półtora miliona euro.

Podobnie jak arcyksiężna Stefania, Mizzi Caspar niezbyt przejęła się śmiercią następcy tronu. Mizzi nigdy Rudolfa nie kochała i, jak już wspomniano, swój związek z nim traktowała jak interes. Wkrótce po tragedii w Mayerlingu wyruszyła w podróż do Paryża. W Wiedniu plotkowano, że po utracie arcyksięcia Rudolfa zagieła parol na króla Włoch Umberta. Być może jednak plotkę tę celowo rozpuszczała rajfurka Wolf, by wywindować cenę swojej podopiecznej.

Trzy lata po śmierci Rudolfa Mizzi sprzedała kamienicę przy Heu-mtihlgasse 10. Urodziła dziecko, ale nigdy nie wspomniała, kto jest jego ojcem. Zmarła w wieku czterdziestu dwóch lat w dniu 29 stycznia 1907 roku w swoim mieszkaniu przy Paniglasse 19 położonym niedaleko swej dawnej kamienicy. Oficjalną przyczyną jej śmierci było „stwardnienie rdzenia kręgowego”, ale tak naprawdę chorowała na kiłę, którą zaraziła także arcyksięcia Rudolfa.

56

Rudolf wiedział, że jest chory na syfilis. Niemniej jednak zakładanie, że to świadomość choroby skłoniła go do samobójstwa, byłoby równie błędne, co doszukiwanie się przyczyn tragedii w trudnej sytuacji finansowej arcyksięcia. Wszystkie te elementy to jedynie fragmenty mozaiki, jaką tworzył jego stan psychiczny. Żona Rudolfa Stefania pisała: „Źródło całego późniejszego nieszczęścia tkwiło już w wychowaniu arcyksięcia, w trenowaniu go na cesarza, tak jak szkoli się rekruta na żołnierza. Nie miał możliwości poznawania, studiowania. Zapomniano o jednym, że dla młodego człowieka najważniejsze jest kształtowanie duszy”.

Jeśli chodzi o zamordowanie Mary Vetsera, to zarówno ów czyn, jak i jego skutki nie przydają chwały rodowi Habsburgów. Cesarz Franciszek Józef i cesarzowa Elżbieta zbyt łatwo uporali się z tym, co się stało. Z taką samą łatwością poradzili sobie wcześniej z wychowaniem arcyksięcia. Cesarzowa Elżbieta ograniczyła się do noszenia czarnych strojów aż do swojej śmierci, a cesarz do spłacenia długów syna oraz przebudowy Mayerlingu w kaplicę z klasztorem. Sami nie poczuli się do winy; wręcz przeciwnie, uważali, że mogą ją przypisać hrabinie Larisch i matce Mary, Helenie Vetserze. Zgodnie z życzeniem cesarskiej pary nikt nie powinien dowiedzieć się, że jego księżęca mość, następca tronu naddunajskiej monarchii przez popełnienie samobójstwa zamordował swoją siedemnastoletnią kochankę. W celu zatuszowania skandalu dwór miał prawo użyć wszelkich środków.

Nazwisko Mary Vetsery stało się tabu i nie wolno było go wymieniać. W odniesieniu do wydarzeń w Mayerlingu austriackie gazety poddano cenzurze, a zagraniczne jeszcze do roku 1918 kontrolowano i konfiskowano, jeśli cenzorzy znaleźli w nich relacje o arcyksięciu Rudolfie i Mary Vetserze. Świadców samej tragedii nie było, a ci świadkowie, którzy znali jej najbliższe okoliczności, albo zostali hojnie wynagrodzeni za milczenie (fiaker Bratfisch i służący Loschek), albo potępieni i wygnani (matka Mary, Helena Vetsera i hrabina Maria Larisch). I choć w czasach monarchii austro-węgierskiej aż roiło się od rozmaitych plotek, tylko bardzo wąskie grono uprzywilejowanych osób wiedziało, co naprawdę stało się w zamku Mayerling.

Zadanie uporania się z tą nieprzyjemną sprawą cesarz Franciszek Józef zlecił swemu przyjacielowi hrabiemu Eduardowi Taaffemu, pełniącemu funkcję premiera. Taaffe spełnił

i opanowaniem. Zastrzelenie młodej Mary Vetsery przez arcyksięcia Rudolfa nosiło wszelkie znamiona morderstwa i zgodnie z prawem powinno zostać zgłoszone, a następnie podlegać sądowemu dochodzeniu. W ten sposób tragedia w Mayerlingu stałaby się sprawą publiczną, więc aby do tego nie dopuścić, prawdziwy przebieg wydarzeń musiał zostać sfalszowany. To stanowiło kolejny czyn karalny, lecz kto miałby złożyć skargę?

Po znalezieniu obu ciał około godziny ósmej rano 30 stycznia 1889 roku (Rudolf zamknął drzwi, a Loschek, gdy nikt nie odpowiadał na jego pukanie, utorował sobie drogę za pomocą siekiery) służący zawołał na pomoc hrabiego Hoyosa, który nocował w Mayerlingu, oraz księcia Co-burga, który dopiero co powrócił z Wiednia. Gdy zorientowali się, co wydarzyło się w nocy, starali się przede wszystkim uniknąć skandalu, czyli ukryć prawdę. Nie powinno być żadnych świadków, nawet wśród zamkowej służby. W tym celu Loschek zamknął oboje drzwi, od strony ogrodu-oraz zamku, prowadzące do przedpokoju, z którego przechodziło się do małej służbówki kamerdynera oraz dużej, kwadratowej i mierzącej ponad czterdzieści metrów sypialni arcyksięcia. Obydwa ciała znajdowały się na stosunkowo wąskim łóżku stojącym zagłówkiem przy ścianie pomiędzy umywalką a stolikiem nocnym po lewej stronie od drzwi.

Pierwsze działanie wspomnianych panów dotyczyło usunięcia ciała Mary. Zdecydowali się przenieść je tymczasowo do sąsiedniego pokoju kamerdynera Loschka. Położyli tam Mary na łóżku stojącym po prawej stronie drzwi, przykryli ubraniami służącego, a następnie zamknęli i zaryglowali drzwi. Dopiero wtedy powiadomili innych o śmierci arcyksięcia Rudolfa.

Nawet powołana komisja dworska zajmowała się najpierw tylko śmiercią i ciałem następcy tronu. Transport zwłok powierzono pewnej firmie pogrzebowej z Baden. Przedsiębiorca pogrzebowy Niesl musiał postawić naprędce wyszykowaną *trumną* w przedsionku prowadzącym do przedpokoju. Loschek, Hoyos i członkowie komisji śledczej podjęli się przeniesienia ciała Rudolfa do tymczasowej trumny, w której miało zostać przewiezione do Wiednia, do Hofburgu. Wszystko przeprowadzono tak dyskretnie, że nawet obecna na miejscu służba zamkowa nie zauważyła, co się naprawdę wydarzyło.

Ale w zamku Mayerling wciąż pozostawało ciało Mary. Pamięć o wypadkach związanych ze śmiercią bawarskiego króla Ludwika II, kiedy to

nieumiejętna polityka informacyjna spowodowała powstawanie coraz gorszych plotek, sprawiła, że dwór nadał sprawie baronówny Vetsery pierwszy stopień utajnienia. Usunięcie ciała Mary było zorganizowane lepiej niż państwowa uroczystość pogrzebowa następcy tronu. Podczas gdy ciało Rudolfa spoczywało w wiedeńskim Hofburgu, dr Heinrich Slatin, sekretarz urzędu marszałka nadwornego, otrzymał polecenie udania się do zamku Mayerling wraz z lekarzem przybocznym Rudolfa, dr Franzem Auchenthalerem, w celu „usunięcia zwłok kobiety”. Dr Slatin: „Było mi wiadome, że

wykonanie tego polecenia nie będzie zgodne z przepisami prawa". Jednocześnie do Mayerlingu przybyli opiekun i wuj Mary, Aleksander Baltazzi, oraz mąż jej ciotki, hrabia Georg Stockau.

Wszyscy razem weszli wieczorem 31 stycznia 1889 roku, czyli niemal dwie doby po śmierci Mary, do zamkniętego dotąd pokoju służbowego kamerdynera Loschka. Sporządzony przy tej okazji protokół nie odzwierciedlał prawdy, jednak ponieważ podpisał go urzędnik dworskiego sądu, służył jako podstawa dalszych działań. Slatin został poinformowany o prawdziwym stanie rzeczy przez szefa policji Kraussa oraz premiera Ta-affego, a jego zadaniem było w sposób możliwie najdyskretniejszy pozbyć się zwłok Mary Vetsery. Matka Mary, Helena Vetsera, mogłaby tylko przeszkadzać. Jako opiekun Mary Baltazzi mógł zgodnie z prawem decydować, gdzie powinna zostać pochowana.

Oto treść protokołu:

Protokół z dnia 31 stycznia 1889 roku

Sporządzony przez przedstawiciela urzędu nadwornego marszałka Jego Cesarsko-Królewskiego Apostolskiego Majestatu w zamku niegdyś Jego Cesarsko-Królewskiej Wysokości Następcy Tronu Arcyksięcia Rudolfa w Mayerling.

W dniu dzisiejszym

W obecności

Rankiem w dniu 30 stycznia 1889 na terenie gminy Mayerling znaleziono zwłoki kobiety. Dr Franz Auchenthaler bez cienia wątpliwości stwierdził samobójstwo przy użyciu broni palnej (Rozp. Min. z 28 stycznia 1885, Dz. U. 26:3). Na lewej kości skroniowej znajduje się długa na 5 cm i szeroka na 3 cm wyrwa w powłoce ciała, wo-

59

kół której włosy zostały osmalone. Jest to więc miejsce wlotu pocisku. Pocisk przebił się przez cały mózg i wyszedł 2 cm nad zewnętrzną częścią prawego przewodu słuchowego, pozostawiając wąski i kanciasty otwór wylotowy. Koki wokół otworu wlotowego i wylotowego są strzaskane na drobne kawałki, podobnie jak sklepienie czaszki. Innych obrażeń nie stwierdzono. Rana była z całą pewnością śmiertelna, a śmierć nastąpiła natychmiast. Na plecach i dolnych kończynach znajduje się wiele plam martwiczych.

Obecni hrabia Georg Stockau oraz pan Aleksander Baltazzi rozpoznali, że jest to ciało ich siostrzenicy, urodzonej 19 marca 1871 roku w Wiedniu baronówny Marii Aleksandryny Vetsery, córki nieżyjącego barona Albina Vetsery oraz baronowej Heleny Vetse-ry, z domu Baltazzi.

W związku z powyższym na prośbę przedstawiciela rodziny hrabiego Stockau ciało zostanie zabrane, a niniejszy protokół przekazany władzom w celu dalszego postępowania urzędowego.

*Dr Heinrich Slatin,
sekretarz urzędu nadwornego marszałka Jego Cesarsko-Królewskiego*

Apostolskiego Majestatu
Dr Franz Auchenthaler,
cesarsko-królewski lekarz przyboczny
Hrabia Georg Stockau
Aleksander Baltazzi

Najzwyczajniejsza analiza kryminalistyczna obaliłaby powyższy protokół. Falszerze przeoczyli w pośpiechu pewien istotny fakt: osoby praworęczne nie trzymają broni w lewej ręce. Mary była praworęczna, jednak według protokołu wlot kuli znajduje się po *lewej* stronie jej czoła.

Mimo to wszystkie sporządzone później dokumenty urzędowe odnosiły się do tego właśnie budzącego wątpliwości protokołu, nawet wystawione przez ojca Malachiasza Dedića świadectwo zgonu do parafialnego rejestru zgonów parafii Heligenkreuz w dekanacie Baden archidiecezji wiedeńskiej. Jako „miejsce zgonu” podano „Mayerling w parafii Alland”, jako „rodzaj śmierci” - „według urzędowego zgłoszenia zgonu rana postrzałowa”, jako „miejsce pochówku” - „cmentarz parafialny w Heiligenkreuz”, a w „uwa-

60

gach” napisano: „za zgodą cesarsko-królewskiej administracji okręgu Ba-den (...) przewiezione tutaj celem pochówku”.

Trudno byłoby o bardziej cyniczny komentarz. W rzeczywistości w nocy z 31 stycznia na 1 lutego 1889 roku sytuacja była następująca: Loschek, Stockau i Baltazzi próbowali ubrać ciało Mary, które zdążyło już ulec pośmiertnemu stężeniu.

„Wujowie założyli Mary bieliznę i gorset, naciągnęli jedwabne pończochy i włożyli delikatne pantofelki, a potem ubrali ją w tę piękną suknię, którą miała na sobie owego nieszczęsnego dnia w Hofburgu. Na głowę założyli jej kapelusz i opuścili woalkę, a potem posadzili ją na krześle, żeby odpocząć, zanim otulą ją płaszczem z filtra foki”.

Tak w swoich wspomnieniach opisuje ową nocną scenę na zamku Mayerling hrabina Larisch, podkreślając, że opiera się na relacjach naocznych świadków. I kontynuuje: „Ta ostatnia toaleta Mary Vetsery była prawdziwą torturą dla obu mężczyzn. A gdy właśnie chcieli nałożyć jej płaszcz, głowa Mary ciężko opadła na jej pierś. Oczywiście w takiej pozycji nie mogli jej nigdzie przewieźć.

Policjant od razu wiedział, co zrobić. Przyłożył do pleców martwej dziewczyny łaskę i chusteczką przywiązał ją do jej szyi. Hrabia Stockau i Aleksander Baltazzi naciągnęli na Mary futro i podnieśli jej ciało z krzesła.

Wzięli ciało swojej siostrzenicy między siebie i wynieśli je, pół wlokąc z pokoju, potem słabo oświetlonym korytarzem i główną klatką schodową aż do czekającego na nich powozu.

Martwą Mary posadzono na tylnym siedzeniu, a jej wujowie zajęli miejsca naprzeciwko. Hrabia Stockau opowiadał mi, że wstrząsy powozu wielokrotnie rzucały ciało Mary w jego stronę, i skarżył się, że tak bliski kontakt ze zmarłą podczas tej okropnej podróży był po prostu nie do zniesienia”.

W tym samym czasie w opactwie cystersów w Heiligenkreuz spotkali się administrator okręgu Ernst Oser, młody praktykant w urzędzie namiestnika dr Albert Novotny-

Managetta oraz trzech komisarzy wiedeńskiej dyrekcji policji, Joseph Wyslouzil, Johann Habrda i Gorup von Beza[^]iez w celu wtajemniczenia opata Heinricha Griinbecka, skarbnika klasztoru Albericha Wilfinga, oraz przeora kolegiaty parafialnej Malachiaza Dedića w planowany pochówek wysoko postawionej samobójczyni. Powołanie się na szczególne życzenie Jego Apostolskiego Majestatu cesarza Franciszka Józefa zmiękczyło serca pobożnych braciszków i zamknęło im usta, tak że nie dopytywali się

61

o powody konieczności działania po nocy i w tajemnicy. Opat Griinbeck zgodził się nawet na to, by klasztorny cieśla w pośpiechu zbił drewnianą skrzynię wielkości trumny i przygotował wióry do wypełnienia miejsca ostatniego spoczynku nieboszczki. Następnie prowizoryczną trumnę przeniesiono na położony na wzniesieniu cmentarz parafialny Heiligenkreuz, gdzie przy świetle latarni grabarz Johann Eder już od jakiegoś czasu z trudem wykopywał dziurę w zamarzniętej ziemi przy cmentarnym murze.

Po godzinie 22.00 do klasztoru w Heiligenkreuz przyszedł telegram informujący o rychłym przybyciu zwłok oraz trasie powozu przez Sattelbach. Zgodnie z ustaleniami nadkomisarz Habrda wyszedł przybywającym naprzeciw i poprowadził ich na cmentarz najkrótszą drogą obok wsi. Grabarz Eder na wykopanie grobu potrzebował więcej czasu niż szacowano, w związku z czym ciało Mary musiało zostać tymczasowo złożone w cmentarnej kaplicy znajdującej się przy bramie wjazdowej. Baltazzi uciął kosmyk włosów Mary na pamiątkę dla matki, a ponieważ nie było żadnej poduszki, na której można by oprzeć jej głowę, zmiął swój kapelusz i podłożył pod głowę siostrzenicy. Potem wieko prowizorycznej trumny zabito gwoździami. Już świtało, lecz Eder wciąż jeszcze nie wykopał dostatecznie głębokiego dołu. Udało mu się to dopiero około dziewiątej rano. Trumnę opuszczono do grobu, a wszyscy obecni pomagali w zasypywaniu go bryłami zamarzniętej ziemi.

O godzinie 10.10 do wiedeńskiego prezydium policji przyszedł telegram z agencji pocztowej w Heiligenkreuz. Jego treść składała się z dwóch słów i podpisu: „Wszystko załatwione. Habrda”. Problem Mary Vetsery został usunięty, a honor domu Habsburgów przywrócony.

Czy na pewno?

Zatuszowanie tragedii w Mayerlingu okazało się brzemienne w skutki, gdyż nawet dziś, po wielu latach, aż roi się od rozmaitych przypuszczeń, co tak naprawdę wydarzyło się w myśliwskim zamku arcyksięcia 30 stycznia 1889 roku. Przede wszystkim jednak tragedia w Mayerlingu stała się brzemieniem na całe życie dla trzech kobiet: żony Rudolfa Stefanii, matki Mary Heleny Vetsery oraz hrabiny Marii Larisch.

Najlepiej poradziła sobie z tym problemem zdradzana żona. Wygląda na to, że nie miała pojęcia o wieloletnim związku Rudolfa z Mizzi Caspar, w każdym razie nigdy oficjalnie się do tego romansu nie odniosła. Inaczej

62

niż w przypadku Mary Vetsery. Dziesięć lat przed swoją śmiercią we wspomnieniach pod tytułem *Miałam zostać cesarzową* znalazła dla baronówny Vetsery niezwykle ciepłe

słowa. Być może ich napisanie ułatwiło jej to, że od tragicznych wydarzeń minęło już ponad dwadzieścia pięć lat, a być może zrozumiała, że bez Mayerlingu i panny Mary jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej i z pewnością nie byłoby tak szczęśliwe, jak to, które prowadziła ze swym drugim mężem, księciem Elemerem von Lónyay.

Stefania pisała o Mary Vetserze: „Wygląda na to, że arcyksiążę już od dawna nosił się z zamiarem pożegnania się z życiem w czyimś towarzystwie. Ponieważ nie znalazł nikogo, kto chciałby się poświęcić, wykorzystał namiętność Mary Vetsery i zwrócił się do niej ze swą straszliwą prośbą. Mary była mu ślepo posłuszna. Miała typową dla Orientu urodę, w Wiedniu było wiele dużo bardziej pociągających kobiet o naprawdę wyjątkowej urodzie, a arcyksiążę był przyzwyczajony do tego, że nie oprze mu się żadna niewiasta. Nie kochał Mary, była dla niego tylko jedną z wielu. Ona natomiast kochała go szczerze i w obliczu nieprzewidzianych konfliktów, jakie musiały z tego wyniknąć, z radością podążyła z nim w objęcia śmierci. Niech potwierdzenie, że miłość Mary Vetsera do arcyksięcia była głęboka i szczerą, będzie kwiatem, który ja, zdradzona żona, składam jako symbol mojego przebaczenia na grobie tej biednej, zaślepionej uczuciem dziewczyny”.

Zachowanie Stefanii po samobójstwie Rudolfa nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że w najmniejszym stopniu nie oplakuje śmierci następcy tronu, a nawet można było przypuszczać, że tragedia w Mayerlingu była dla niej wybawieniem. Na wiedeńskim dworze oraz w kręgach arystokratycznych brano jej to oczywiście za złe, przypisując taką postawę byłej arcyksiężnej niesławnemu postępowaniu Rudolfa. Nikt nie wiedział, że Stefania od roku jest śmiertelnie zakochana. Tylko jedna osoba została wtajemniczona, była nią siostra Stefanii Ludwika von Sachsen-Coburg-Gotha. W swoich listach nazywała swego wybranka „Hamletem”. „Ofelia” poznała swojego „Hamleta” podczas kuracji zdrojowej w Abbazii (dziś Opatja*), a być może nawet już w 1887 roku podczas wspólnej z Rudolfem podróży do Galicji. W każdym razie zakochani spotykali się od tej pory w Abbazii tak często, jak tylko mogli. Na zaledwie cztery tygodnie przed śmiertelnymi

* Jedno z największych chorwackich uzdrowisk położone nad Adriatykiem w północno-zachodniej części kraju, zwane wówczas stolicą „austriackiej Riwiery”.

63

strzałami w Mayerlingu Stefania pisała do swojej siostry Ludwiki: „Pogoda jest tutaj wspaniała, powietrze wyborne, morze przepiękne, a życie pełne uroku... coraz większa ochota, by pozostać w Abbazii, koszmarny strach przed powrotem, miłość do tego miejsca podwójna, a tęsknota za »Ham-letem« nie do opisanania... zaczynam tracić rozum”.

W owym czasie, a także jeszcze wiele miesięcy po śmierci Rudolfa, Ludwika służyła jako posłaniec przekazujący wiadomości i miłosne wyznania pomiędzy zakochanymi. Siostry pisały do siebie listy po francusku, a jedynym niemieckim słowem, jakiego użyła w nich Stefania, była tęsknota, tęsknota za „Hamletem”.

Kim był ów „Hamlet”?

Nazywał się Artur Potocki, pochodził z hrabiowskiego rodu i zamieszkiwał liczne zamki w położonej po północnej stronie Karpat Galicji należącej wówczas do Austro-

Węgier*. Hrabia Potocki był osiem lat starszym od Rudolfa wdowcem z dwoma małymi córkami - nie wyglądał więc na idealnego kochanka dla rozczarowanej kobiety. Jednak swym urokiem, którego współcześni mu nie odmawiali, potrafił tak oczarować byłą arcyksięż-nę, że niemal straciła dla niego głowę, w każdym razie robiła wszystko, by się z nim spotkać. A nie było to łatwe w okresie żałoby, podczas którego Stefanię uważnie obserwowano, gdziekolwiek się nie pojawiła.

Dla Stefanii było prawdziwą tragedią, gdy dowiedziała się, że jej „Hamlet” cierpi na nieuleczalną chorobę: raka płuc. „Moje serce krwawi”, pisała do swojej siostry. I choć zdawała sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, drżała o ukochanego: „Każdy telegram, każde otwarcie drzwi, gdy przynoszą mi gazety, sprawia, że serce skacze mi do gardła...”. Najgorsze w całej tej sytuacji było to, że nie mogła okazać swojego strachu i bólu. Ponad rok męczyła się zupełnie sama ze swoimi uczuciami. 26 marca 1890 roku hrabia Artur Potocki zmarł w swoim pałacu w Krzeszowicach pod Krakowem. Byłej arcyksiężnej odmówiono możliwości uczestniczenia w pogrzebie. „Wysłała wieniec ozdobiony białymi różami i czerwonymi kameliami.

W pierwszą rocznicę śmierci Rudolfa Stefania demonstracyjnie przebywała poza Wiedniem. Po zakończeniu żałoby po mężu „Jej Cesarsko-

* Hrabia Artur Potocki był konserwatywnym politykiem galicyjskim, działaczem gospodarczym i członkiem licznych organizacji społecznych. Urodził się i zmarł w rodzinnym majątku w Krzeszowicach, 30 km na zachód od Krakowa.

64

Królewska Wysokość Arcyksiężna-Wdowa” - tak brzmiał tytuł Stefanii nadany jej osobiście przez cesarza - większość swego czasu spędzała w podróży. Mogła sobie na nie pozwolić dzięki 100 tysiącom guldenów od wiedeńskiego dworu oraz kolejnym 50 tysiącom z kasy swego ojca, króla Belgii Leopolda.

Podczas jednej ze swych podróży Stefania poznała mężczyznę, o którym pisała: „od błogosławionej godziny naszego spotkania nigdy nie przestał obdarzać mnie najczystszy i najdoskonalszy szczęściem poprzez swoją wielkoduszność, szlachetność, wielki talent oraz wzruszającą troskę”. Te pełne uniesienia słowa z pamiętnika Stefanii dotyczą jej drugiego męża, księcia Eleméra von Lónyay*. Zaskakujące jest, że cesarz Franciszek Józef wyraził zgodę na to małżeństwo, gdyż hrabia Elemér z całą pewnością nie dorównywał stanem arcyksiężnej-wdowie, a co gorsza był kalwinem. Cesarz nadał mu tytuł hrabiowski ledwie cztery lata wcześniej. Elemér był uczonym prawnikiem, działał w służbie dyplomatycznej Austro-Węgier, między innymi w Bukareszcie, Rzymie, Londynie, Petersburgu i Paryżu. Obdarzony był ponoć ujmującym wyglądem.

Rodzice Stefanii byli przeciwni kandydatowi z niższego stanu, a Leopold zredukował nawet przyznane córce apanaże. Cesarz Franciszek Józef także stawiał pewne warunki (na przykład córka Stefanii, „Erzsi”, cesarska wnuczka, nie mogła uczestniczyć w uroczystości zaślubin w pałacu Mira-mare). Mimo wszystko ślub odbył się 22 marca 1900 roku. Wśród gości nie było ani jednego przedstawiciela dworu belgijskiego, ani członka rodziny cesarskiej z Wiednia. Uznano za hańbę, że kobieta, która niegdyś miała zostać cesarzową Austro-Węgier, zostaje zwyczajną hrabiną Lónyay. Państwo Lónyay

zamieszkali w majątku Karlburg (węgierska nazwa Oro-szvar) w pobliżu Pressburga (Bratysławy). Okazali się niezwykle szczęśliwym małżeństwem.

Ofiarami tragedii w Mayerlingu z pewnością natomiast zostały matka Mary, baronowa Helena Vetsera, oraz hrabina Maria Larisch.

Na polecenie dworu baronowa Vetsera musiała już 31 stycznia 1889 roku opuścić Wiedeń. Z dwójką swoich dzieci, Hanną i Ferym, pojechała porannym pociągiem do Wenecji. Stamtąd wróciła do Wiednia dopiero wiosną,

* Elemér, który pochodził ze starego rodu baranowskiego, księciem został dopiero w 1917 roku.

65

by po raz pierwszy odwiedzić grób swojej zamordowanej córki. Kazała ekshumować zwłoki, przełożyć ciało z drewnianej skrzyni do trumny z miedzi i umieścić ją w przyzwoitym grobowcu. Grób Mary został splądrowany przez Rosjan w ostatnich dniach wojny w 1945 roku*. Baronowa Vetsera, której Wiedeń przypisywał winę za tragedię jej córki i arcyksięcia, usilnie starała się usprawiedliwić, jednak cesarska para odrzucała każdą prośbę o rozmowę. W związku z tym matka Mary swoje wyjaśnienie spisała i wydała drukiem. Publikacja baronowej została skonfiskowana, a ona sama wykluczona z towarzystwa. Zmarła w samotności w Wiedniu w 1925 roku.

Również hrabina Maria Larisch nigdy nie uporała się z brzemieniem tragedii. Całe jej długie życie - a umarła w sędziwym wieku 4 lipca 1940 roku w klasztorze sióstr służebniczek w Augsburgu, mieście, w którym się urodziła - stało w cieniu wydarzeń w Mayerlingu. Winien temu był adresowany do niej list pożegnalny, jaki Mary Vetsera zostawiła na nocnym stoliku w sypialni Rudolfa. To krótkie pismo zostało doręczone hrabinie dopiero trzy tygodnie po tragedii, po analizie przeprowadzonej przez tajną policję, a jego treść była następująca:

Kochana Mario!

Wybacz mi cierpienie, jakie na Ciebie sprowadziłam. Serdecznie dziękuję Ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. JeUi będzie Ci w życiu ciężko, a obawiam się, że tak właśnie stanie się po tym, co uczyniliśmy, pójdź za nami. To najlepsze, co możesz zrobić.

Twoja Mary.

List ten, napisany przez siedemnastoletnią baronównę w obliczu śmierci, można interpretować na różne sposoby. Cesarz Franciszek Józef i jego żona Elżbieta uznali, że fragment „tym, co uczyniliśmy” świadczy o spisku Mary i hrabiny Larisch, o tym, że hrabina wiedziała o planowanym morderstwie i samobójstwie i nie uczyniła nic, by zapobiec tragedii. Na wyraźne życzenie cesarza nie pozwolono hrabinie uczestniczyć w pogrze-

* Do kolejnej profanacji doszło w 1992 roku, gdy ciało Mary skradł z grobowca pewien fanatyk tragedii z Mayerlingu, prawdopodobnie w celu przeprowadzenia analizy kryminalistycznej. Po odzyskaniu zwłok rozpoczęto oficjalne badania,

jednak nie ukończono ich, gdyż rodzina Baltazzi-Vetsera wycofała swoje wcześniejsze zezwolenie.

66

bie arcyksięcia, a Sisi nie zgodziła się zamienić z nią nawet jednego słowa, mimo że pani Larisch przez wiele lat była jej bliską powiernicą. Hrabina Larisch nigdy więcej nie zobaczyła cesarskiej pary, która niegdyś* z okazji jej ślubu podarowała jej całą wyprawę.

Pani Larisch na swój sposób mściła się za potępienie ze strony dworu, które tak bardzo utrudniało jej życie; publikowała problematyczne relacje prasowe i udzielała informacji o wewnętrznych sprawach, które powinna była zachować dla siebie. Uciekła z Wiednia na Riwierę, gdzie spędziła zimę ze swoim mężem hrabią Georgiem Larischem. Małżeństwo to rozpadło się, a o rozwodzie zdecydował 4 grudnia 1896 roku sąd cywilny w Monachium. Od tej pory Maria nosiła nazwisko Wallersee-Larisch (Wallersee było nazwiskiem, jakie obrała jej matka, aktorka Henrietta Mendel, po uzyskaniu szlachectwa). Już rok później stała się zwykłą mieszczką, gdy poślubiła Ottona Brucksa, byłego perkusistę berlińskiej opery, później puzonistę wiedeńskich filharmoników, a wówczas śpiewaka bawarskiej Opery Dworskiej. Pani Brucks opisała swoje drugie, trwające dwadzieścia lat małżeństwo następująco: „choć bez dziewięciopalkowej korony, za to z wzajemnym poszanowaniem”. Pan Brucks zmarł w roku 1916.

Pierwsza wojna światowa oraz światowy kryzys gospodarczy z lat dwudziestych doprowadziły panią Larisch, która od dawna utrzymywała się tylko dzięki pisaniu relacji z tragedii w Mayerlingu oraz kiczowatych powieści, do ruiny. W końcu zaczęła w Berlinie pracować jako pomoc domowa i spisała opowieść *pt. Jak bratanica cesarzowej Sisi została pokojówką*. Pewna amerykańska agencja prasowa postarała się o przedruk w jednej z nowojorskich gazet. Artykuł zrobił prawdziwą furorę, zwłaszcza że pani Larisch oferowała swoją ręką dowolnemu Amerykaninowi, który sfinansuje jej podróż za ocean. Zgłosił się pewien pośrednik handlu nieruchomościami belgijskiego pochodzenia z Melbourne na Florydzie. Sześćdziesięcioczteroletni William Meyers wysłał dwa bilety na statek linii Norddeutscher Lloyd dla Marii i jej syna Karla. Pan Meyers i pani Larisch wzięli ślub 2 września 1924 roku w Elizabeth w stanie New Jersey.

Meyers był właścicielem dwóch sporych działek na wschodnim wybrzeżu Florydy, ale wówczas nie było na nie chętnych, więc państwo młodzi zamieszkali w drewnianej budzie z dwoma pokojami. Maria Meyers pisała dla amerykańskich wydawców opowieści o Mayerlingu. Z otrzymywanych honorariów utrzymywała męża. Po pół roku małżeństwo było

67

w rozsypce, wszystkie pieniądze wydane, a pani Larisch musiała iść na żebrzy. Meyers był rozwodnikiem i nie miał nic poza byłą żoną i piątką dzieci, które musiał utrzymywać. Pani Larisch stwierdziła: „Traktuje się mnie jak psa!” i uciekła. Amerykańska organizacja charytatywna opłaciła jej podróż powrotną do Niemiec w 1929 roku. Świat nie usłyszał więcej o Williamie Herbercie Meyersie, którego żoną pozostawała aż do śmierci.

Maria Meyers osiadła w Augsburgu, poświęcając się niemal wyłącznie pisaniu

artykułów, książek, audycji radiowych, scenariuszy. Nie trzeba chyba wyjaśniać, jakiemu tematowi poświęcona była cała jej twórczość.

II

Wilhelmina von Lichtenau i jej duchy

Jesteście jak ci dawni bohaterowie, którzy doskonale umieli łączyć wojnę i miłość....

(Hrabina Wilhelmina von Lichtenau do króla Prus Fryderyka Wilhelma II)

Z

a każdym razem, gdy Wilhelmina Rietz, z domu Enke, hrabina von Lichtenau, pojawiała się w sklepie galanteryjnym Paskela przy Placu Zamkowym w Charlottenburgu - a bywała tam dość często - wieść o tym w jakiś tajemniczy sposób roznosiła się lotem błyskawicy i już po chwili cały sklep wypełniał się eleganckimi mężczyznami w różnym wieku, którzy zmieszani przeglądali falbanki, tasiemki i koronki. Tak naprawdę nie interesowała ich pasmanteria, lecz śnieżnobiałe ramiona pięknej Wilhelminy, które odsłaniała, przymierzając rękawiczki. Lubieżni dandysi wybałuszali oczy, a najbardziej podniecało ich to, że ów grzeszny widok nie kosztował ich ani grosza, podczas gdy Fryderyk Wilhelm, najmiłościwiej im panujący król, obdarowywał ową kobietę milionami w postaci domów, klejnotów i żywej gotówki.

Cóż to była za kobieta z tej Wilhelminy! U swych stóp miała setki adoratorów. Niektórzy z nich nic dla niej nie znaczyli, jak radca królewski Schmidt, z powodu swojej ogromnej otyłości oraz nieustannie przypuszczanych ataków na kobietę cnotę zwany „grubym Adoniszem”. Rozpalonemu Falstartowi obiecała pocałunek w usta, jeśli - co jak można sobie wyobrazić, stanowiło pewien problem natury fizycznej - będzie błagać o to na klęczkach. Schmidt rzucił swe wążące pięć cetnarów ciało na kolana i błagał o upragniony pocałunek. Wówczas jednak siła ziemskiego przyciągania okazała się silniejsza niż niebiańska obietnica. Schmidt leżał

69

na ziemi jak długi, a Wilhelmina zniknęła. Ponoć sam król natknął się na unieruchomionego grubego Adonisa i pomógł mu wstać.

Można by przypuszczać, że król Prus, Fryderyk Wilhelm II - to właśnie on uratował Schmidta z opresji - powinien mieć ważniejsze rzeczy do robienia niż zbieranie z ziemi natrętnych wielbicieli swojej konkubiny. Warto przypomnieć sobie jednak słowa Starego Fryca, poprzednika Fryderyka Wilhelma na pruskim tronie; w 1785 roku podczas swojej ostatniej, odbywającej się na Śląsku parady zapowiedział hrabiemu Hoymowi, ministrowi tej prowincji: „Powiem mu, jak to będzie po mojej śmierci. Wesoło będzie się żyło na dworze. Mój bratanek roztrwoni skarbiec, a armia zejdzie na psy. Rządzić będą

niewiasty, a państwo upadnie". Owe prorocze słowa padły z ust króla Prus, Fryderyka II, zwanego Wielkim*.

Co prawda państwo pruskie wcale nie upadło, nawet jeśli Fryderyk Wilhelm II** rzeczywiście nie potrafił odpowiednio dbać o swoje królestwo. Rządy oddał w ręce premierów Hertzberga i Bischofswerdera. Nie ma natomiast żadnych wątpliwości co do tego, że następca Starego Fryca wpędził państwo w długi oraz że podczas jego jedenastoletniego panowania Prusami rządziły metresy, mistycyzm i spirytyzm, dziwna i rzadko spotykana w historii mieszanka. Z przymrużeniem oka można uznać swobodną epokę Fryderyka Wilhelma II za rodzaj odwetu na rygorystycznej moralności króla-kaprała. O następcy Fryderyka II Wielkiego niewiele byłoby do powiedzenia, gdyby nie wspomniana Wilhelmina, konkubina Fryderyka Wilhelma II, która towarzyszyła mu przez całe życie i nie opuściła jego boku nawet wtedy, gdy zafascynowany mistycyzmem złożył śluby czystości lub gdy wziął sobie, jedną po drugiej, dwie morgana-tyczne małżonki***. Poradziła sobie i ze ślubami czystości, i z rywalkami,

* Fryderyk II Wielki (1712-1786), król Prus w latach 1740-1786, rozbudował potęgę Prus, zdobył od Austrii Śląsk, brał udział w I rozbiórce Polski, odbierając jej Pomorze. Pisał, grał na flecie, przyjaźnił się z Wolterem. Zmarł bezdzietnie.

** Fryderyk Wilhelm II Hohenzollern (1744 -1797), syn wcześniej zmarłego starszego brata Fryderyka II, król pruski od 1786 roku, brał udział w II i III rozbiórce Polski oraz w tłumieniu insurekcji kościuszkowskiej (osobiście dowodził w 1794 roku w bitwie pod Szczekocinami, zwyciężając Kościuszkę).

*** W tym przypadku chodzi o tak zwane „małżeństwo z lewej ręki” (*Ehe zur linken Hand*) - szczególną formę morganatycznego związku małżeńskiego, uznawaną przez Kościół i praktykowaną w Europie od XII do XVIII wieku, która pozwalała żonatym przedstawicielom rodów królewskich i arystokratycznych wiązać się

70

zasługując na sławę kobiety, która odrzuciła tysiąc wielbicieli i sto propozycji małżeństwa - wszystkie, ma się rozumieć, składane przez godnych jej ręki kandydatów.

Kiedy Wilhelmina po raz pierwszy spotkała Fryderyka Wilhelma - choć nie wiadomo, kiedy dokładnie to się stało - miała dziewięć lub dziesięć lat, był to więc mniej więcej rok 1764. Przyszła na świat w Des-sau, gdzie jej ojciec służył na dworze księżnej Anny Wilhelminy jako wal-tomista, a było to wtedy stanowisko poważane i intratne. Oto fragment metryki urodzenia Wilhelminy: „Kościół zamkowy i farny pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny w Dessau, rocznik 1753, nr 68, Fryderyka Wilhelmina Fryderyka Bernardyna, córka pana Johanna Eliasza Enkena, wal-tornisty u Jej Wysokości księżnej Anny Wilhelminy zu Anhalt etc, i jego żony Marii Zuzanny Schutzern, urodziła się 19 grudnia, w środę przed południem o godz. 11, i została ochrzczona 23 XII przez pana archidiakona de Marées w kościele zamkowym i farnym". Następnie wymienione są nazwiska ośmiorga rodziców chrzestnych, w tym księżnej Anny Wilhelminy, po której Wilhelmina otrzymała swe imię.

Dostęp do wyższych sfer zapewniało Wilhelminie pochodzenie jej matki. Maria Zuzanna Enke lub Encke (nie istniała jeszcze wówczas jednolita pisownia tego nazwiska)

mogła pochwalić się więzami krwi łączącymi ją z przedstawicielami arystokracji: baronem von Grechtlerem i feldmarszałkiem baronem von Benderem. Legenda o biednej i bosej córce trębacza, która spotyka arcyksięcia, jest więc tylko legendą. W rzeczywistości sprawa wyglądała następująco: najstarsza siostra Minki, Krystiana, ponoć nawet od niej piękniejsza, pełniła we Włoskiej Operze w Berlinie, dokąd w międzyczasie przeniósł się ich ojciec Eliasz, rolę „figurantki”, czyli statystki. Figurantki wyróżniał skąpy strój, co, jak można się domyślić, sprawiało, że wielu mężczyzn uganiało się za tymi dziewczętami jak za dziką zwierzyną. By tego uniknąć, Krystiana poślubiła nikomu nieznanego, za to bogatego, rosyjskiego szlachcica o nazwisku, którego nikt nie umiał poprawnie napisać - nawet jego własna małżonka - Matuszkin.

z kobietami pochodzącymi z niższych stanów. W przeciwieństwie do prawowitych małżonek panna młoda (zwykle metresa władcy) stała podczas uroczystości po lewej, a nie prawej stronie męża. Małżeństwo morganaryczne zawierano zwykle po śmierci oficjalnej małżonki (uczynił tak choćby syn Fryderyka Wilhelma II, Fryderyk Wilhelm III, poślubiając w 1824 roku hrabinę Augustę von Horrach).

71

U Matuszkinów urządzano słynne przyjęcia i podczas jednego z takich wieczorów hrabia von Anhalt-Dessau, jeden z ośmiorga rodziców chrzestnych Minki, powiedział do obecnego tam arcyksięcia: „Polecam tę małą Waszej łasce”. Wilhelmina wspominała: „Arcyksiążę wziął mnie wtedy pod rękę i obiecał, że zatroszczy się o mnie, gdy będę starsza”.

Nie można z pewnością stwierdzić, że Wilhelmina już wówczas wpadła w oko lubieżnemu arcyksięciu, któremu przypisywano nawet utrzymywanie romansu z Krystiana aż do czasu jej zamążpójścia. Zwłaszcza że Jego Królewska Wysokość ożenił się wkrótce z Elżbietą Krystyną Ulryką von Braunschweig, nie tyle z powodu nieletniości Minki, lecz ze względu na rację stanu. Małżeństwo Fryderyka Wilhelma było niezwykle nieudane, a Stary Fryc mówił o bratanku i jego żonie: „Nawet jeden dzień nie potrafią być sobie wierni”. Rozwód nastąpił w 1769 roku. W tym czasie Fryderyk Wilhelm i Wilhelmina często się widywali. Państwo Enke mieszkali w Poczdamie przy ul. Zamkowej, kilka domów od mieszkania arcyksięcia przy Nowym Rynku.

Minka bardzo wczesnie dojrzała i mając piętnaście lat, była już w pełni rozwinięta. Emanowała przy tym zmysłowością, która budziła niepokój nie tylko u arcyksięcia. Pewien współczesny mu świadek zanotował: „Jej piersi są pełne i krągłe, bielsze niż alabaster, jej błękitne oczy pełne ognia, a cała postać przypomina greckie boginie...”. A inny: „Jest wysoka, ma wesoły wygląd, niedbały strój i cała jest istnym wcieleniem doskonałej bachant-ki”. Cóż więc dziwnego w tym, że nieszczęśliwy w małżeństwie arcyksiążę rzucił się w ramiona owej podniecającej istoty?

Fryderyka Wilhelma prześladowała myśl, by uczynić ją swoją konkubiną. Pokrył wysokie koszty odpowiedniego wykształcenia Wilhelminy, zapewnił jej wykształconą damę do towarzystwa, a osobiście udzielał się nawet jako nauczyciel historii i geografii. Minka uczyła się wersów Homera i Wergiliusza (którego w późniejszych latach często cytowała) i czytała Woltera i Rousseau - wszystko to dla Fryderyka Wilhelma.

Wilhelmina naprawdę kochała arcyksięcia. W stanowiącej usprawiedliwienie dla

własnego zachowania *Apologii* napisze później: „Nie będzie czcą przechwałką, gdy powiem, że wśród tysięcy książęcych kochanek, jakie zna historia, nie ma chyba ani jednej, która pod pewnym względem mogłaby się ze mną równać. Mogą przewyższać mnie wdziękami ciała czy zaletami ducha, lecz ich dusz nie kształtował sam ukochany”.
Fryderyk

72

Wilhelm wysłał nawet Minkę wraz z siostrą do Paryża, by uczyły się tam języka i tańca. Można również założyć, że Wilhelmina potrafiła doskonale zachować się nawet w najwytworniejszym towarzystwie.

Wygląda na to, że w owym czasie w Paryżu Wilhelmina poznała również sztukę radzenia sobie z mężczyznami, a przede wszystkim nauczyła się, jak ich do siebie przywiązać. Do jej wielbicieli należał niejedyn słynny paryski bon vivant owej epoki, jak choćby książę Baratiński, książę Beksziński, hrabia Butterlin czy baron Schuwaloff.

Tymczasem Fryderyk Wilhelm szalał z wściekłości, gdy dowiadywał się o kolejnej zdradzie swej małżonki Elżbiety. Powszechnie obawiano się jego wybuchowego charakteru. Jego pierwszą prośbę o rozwód stryj Fryderyk Wielki odrzucił, proponując, by bratanek utrzymywał małżeństwo dla pozorów, a wtedy on nie będzie miał nic przeciwko Wilhelminie Enke jako konkubinie następcy tronu. Było to Fryderykowi Wilhelmowi na rękę, gdyż do tej pory Stary Fryc zgryźliwie komentował jego pozamałżeńskie związki, nie tyle ze względu na moralność — wówczas Fryderyk II Wielki musiałby najpierw zrobić porządek na swym własnym podwórku - lecz ze względu na rację stanu, która wymagała następcy tronu. Jednak arcyksiążę i jego małżonka nie dzielili już łoża i stołu, w związku z czym zatroskany król uciekł się do ostatecznego sposobu, mianowicie oszustwa genealogicznego. Pewien hoży podporucznik słynnej królewskiej gwardii przybocznej miał znaleźć się w łóżku arcyksiężnej, dokąd wstępu nie miał jej małżonek, i w ten sposób zadbać o ich potomstwo.

Do Elżbiety von Braunschweig wydelegowano więc pewnego starego szambelana, któremu Fryderyk Wielki mógł powierzyć tak delikatną misję, by przedstawił jej królewskie plany. Król Fryderyk dobrze znał żonę swego bratanka, wiedział, że gościła w niejednym berlińskim i poczdamskim łożu, był więc pewien, że zgodzi się spełnić jego prośbę. Jak się okazało, nie znał jej wystarczająco dobrze. Elżbieta poczuła się upokorzona i na słodkie słówka starego szambelana odszczeknęła: „Mój Panie, jeśli ośmieli się Pan kontynuować tę rozmowę, która tak bardzo mnie rani, to natychmiast każę, by to *Pan* osobiście zadbał o następcę tronu, którego król tak pragnie”. Niepewny, na ile poważne było owo żądanie, stary szambelan chyłkiem się wycofał i poinformował Fryderyka Wielkiego o niepowodzeniu swej misji. Król zgodził się na rozwód Fryderyka Wilhelma i Elżbiety, który przeprowadzono w 1769 roku.

73

Stary Fryc był niezwykle podejrzliwy w odniesieniu do Anglików i Francuzów, a zwłaszcza pięknych Angielek i Francuzek. W każdej atrakcyjnej Angielce widział szpiega, a w każdej francuskiej damie - szpicla. Z tego względu wolał, by następcą tronu zadawał się z Wilhelminą Enke, której z pewnością nie można było podejrzewać o

szpiegowskie zamiary. Posiadanie takiej pewności warte było dla Fryderyka Wielkiego dwadzieścia tysięcy talarów. Za tę kwotę nabyto i hojnie wyposażono posiadłość w Charlottenburgu, by Fryderyk Wilhelm mógł w odpowiednich dla swej pozycji warunkach oddawać się pozamałżeńskim przyjemnościom. Ponadto następca tronu przyznał swojej konkubinie apanaże w wysokości 30 tysięcy talarów - wyraz wielkiej hojności ze strony człowieka, który nieustannie tkwił w długach.

Fryderyk Wilhelm kochał Wilhelminę, a ich związek należał do niezwykle udanych, mimo że w międzyczasie powtórnie się ożenił. Drugą oficjalną żoną Fryderyka Wilhelma została Fryderyka Ludwika, córka landgrafa* Ludwika IX von Hessen-Darmstadt. Niemniej jednak związek arcyksięcia z Wilhelminą wcale na jego powtórnym ożenku nie ucierpiał.

Z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Wilhelminy, choć Fryderyk Wilhelm sądził, że to dwadzieście, wysłał do kochanki list o następującej treści (z uwzględnieniem korekty, gdyż oryginał napisany był językiem niemal niezrozumiałym):

Przyjmij, boska przyjaciółko, moje najczulsze i najserdeczniejsze gratulacje w dniu dzisiejszym, w którym to przed dwudziestu laty Bóg zesłał na ziemię najlepszego z aniołów, ku memu pocieszeniu i niewymownemu szczęściu. .. Przedstawiam Ci w nim moje przemyślenia, jednak pióro me zbyt słabe, bym mógł opisać całą moc mej miłości. Nawet Gellert [pisarz Christian Fürchtegott] by temu nie podolał. Przyjmij Pani łaskawie bukiet ode mnie, którego ku swemu ogromnemu żalowi nie mogę osobiście złożyć u Twych stóp — to dar płynący prosto z serca. Nie ofiaruję Pani strojów, gdyż wiem, że masz ich mnóstwo. Pozwalam sobie natomiast podarować Ci 30 tysięcy talarów. Proszę przyjąć je, by uspokoić mą duszę, w przeciwnym razie nie będę miał ani chwili spokoju, jako że jestem śmiertelny. Jutro porozmawiamy o ulokowaniu pieniędzy.

* Tytuł książęcy w dawnych Niemczech.

74

Baw się dobrze, mój aniele, jednak gdy tylko się spocisz, włóż w ciepłym pokoju białą koszulę i ogrzanymi ręcznikami osusz z potu całe ciało. Dzisiaj, gdy są tam ludzie, sypialnia musi być zamknięta.

Adieu, mój aniele, bądź zdrowa. Szaleńczo cieszę się, że ujrzę Cię znowu jutro rano, i całuję Cię po tysiackroć.

Stary Fryc nie mógł przewidzieć, że oparty przede wszystkim na relacji seksualnej związek następcy tronu z córką waltornisty przerodzi się w prawdziwą miłość. Starał się więc na wszystkie sposoby rozdzielić kochanków. W parku przy pałacu Sanssouci doszło do niemiłego spotkania Fryderyka Wielkiego z kochanką następcy tronu, podczas którego król, używając niecenzuralnych słów, zwymyślał metresę arcyksięcia i wydał jej polecenie, by wyszła za mąż za pierwszego lepszego kandydata.

Ani Wilhelmina, ani arcyksiężę, o którego reputację troszczył się Fryderyk Wielki, wydając ów królewski rozkaz, nie widzieli w tym żadnego problemu. Wprost przeciwnie, gdyż dzięki zamążpójściu panna Wilhelmina mogła poprawić swoją pozycję towarzyską - zakładając, że znalazłby się dla niej odpowiedni kandydat. Odpowiedni kandydat oznaczał w tym przypadku takiego męża, który będzie tolerował związek żony z Fryderykiem Wilhelmem oraz nie będzie egzekwował swych małżeńskich praw. Czło-

wiek spełniający te wymagania musiał być albo idiotą - a taki małżonek wcale nie zapewniłby Wilhelminie większego uznania towarzyskiego - albo przyjacielem Fryderyka Wilhelma, a najlepiej kimś od niego zależnym.

W otoczeniu króla był pewien mężczyzna, który był jednocześnie i jego przyjacielem, i osobą zależną. Ten syn ogrodnika od dawna pragnął społecznego awansu. Nazwisko: Johann Fryderyk Rietz. Zawód: kamerdyner arcyksięcia. Charakter: sprzedajny i pozbawiony skrupułów, z wyraźną skłonnością do masochizmu. Pruski radca królewski Fryderyk von Cölln, który dobrze znał Rietza, w następujący sposób opisał męża Wilhelminy: „Szambelan Rietz był zupełnie pospolitym człowiekiem. Jako służący króla, w czasach gdy ten był jeszcze arcyksięciem, znosił wszystkie jego humory. Fryderyk Wilhelm II był wybuchowy i nierzadko źle traktował swoich ludzi. I tak Rietz przyjmował ze strony swego pana policzki, bicie kijami, kopniaki i wszelkiego rodzaju podłości, gdyż wiedział, że najlepiej na tym wyjdzie, jeśli będzie cierpliwym obiektem. Złe traktowanie ze strony księcia wynagradzał sobie, równie źle traktując podległych mu członków służby. Gdy w końcu posłużył swemu panu jako przykrywka dla jego rozwiązo-

75

ści i został mężem jego metresy, trwał na swym posterunku tak długo, jak zapewniał mu on poważanie. I tylko ta więź łączyła go z żoną”.

Owo małżeństwo dla pozorów zawarto w 1782 roku. Z początku służyło wszystkim uczestnikom trójkąta. Wilhelmina przyjęła nazwisko Rietz i została mężatką, co ukróciło zaloty ze strony rozmaitych podejrzanych lwów salonowych. Przez lata zapewniała, że nigdy nie mieszkała z Rietzem pod jednym dachem, nie wspominając o pożyciu małżeńskim. Natomiast Rietz dzięki oddanej arcyksięciu przysłudze zasłużył na jego wdzięczność, a sam mógł obracać się w wyższych sferach, nawet jeśli zawsze odbywało się to bez towarzysztwa małżonki. Arcyksiążę natomiast mógł swobodnie pielęgnować swój związek z Wilhelminą, gdyż dla osób postronnych romans wydawał się skończony, jako że jego była kochanka wyszła za mąż. W sumie była to skomplikowana gra pozorów, która wkrótce stała się jeszcze bardziej groteskowa.

Na dworze i wśród arystokracji wiadano oczywiście, że romans arcyksięcia dalej trwa w najlepsze. Zdania na ten temat były podzielone. Damy nie znosiły Wilhelminy, gdyż zawsze przyciągała uwagę mężczyzn. Przekupywano nawet Rietza, by zdradzał towarzyskie zobowiązania Wilhelminy i terminy jej spotkań, a nawet drogę, jaką miała się na nie udawać, po to, by dany wielbiciel mógł spotkać ją „przypadkiem” i nawiązać rozmowę. Wilhelmina urobiła sobie nie tylko Fryderyka Wilhelma - piękna metre-sa arcyksięcia chętnie i często flirtowała, co jej wybuchowego kochanka doprowadzało na skraj szaleństwa.

Wściekał się i słał do niej groźne listy, których wkrótce żałował i pełen skruchy się z nich wycofywał. Od czasu do czasu obcowali ze sobą tylko korespondencyjnie, przy czym większość zachowanych listów pochodzi od arcyksięcia.

Fryderyk Wilhelm pisał tak: *Z listu Pani wyciągam dwa wnioski, mianowicie jest Pani okrutna niczym sęp i niczym sęp chce Pani wyrwać życie i serce z mego ciała. Już na ziemi mam poczuć przedsmak piekielnych mąk, choć z pewnością znalazłby się bardziej miłosierny sposób, żeby wysłać mnie do grobu. Skoro już Pani do tego zmierza, byłoby mi*

miło, gdyby mogła to być odrobina trucizny w herbacie lub w mleku, którym jestem częstowany, przechodząc do Pani. Może też Pani przystawić mi brzytwę do gardła lub strzelić kulką w łeb, gdy śpię w Pani łóżu. Byłyby to szybsze i jednocześnie bardziej ludzkie sposoby osiągnięcia Pani celu. Niech Pani zostawi, jak to ma w zwy-

76

czaju, list ten na stole, by cały świat mógł go przeczytać. Niech Pani tak uczyni, a tym sposobem przybije Pani kolejny gwóźdź do mojej trumny...

Ten sam Fryderyk Wilhelm pisał również następująco: Najdroższy mój aniele. Wczoraj otrzymałem Pani odpowiedź na mój list. Jestem naprawdę niespokojny, dopóki nie wiem, jak się mają Pani sprawy. Píše Pani, że nie ma już od dwóch miesięcy. Ostatnio miałaś", Pani, 14 sierpnia. Gdybyś była w ciąży to dopiero od trzech tygodni, gdyż mijają mniej więcej trzy tygodnie od naszego pierwszego zblżenia po Twojej chorobie... Adieu, mój najpiękniejszy i najukochańszy aniele. Bądź zawsze pewna, że przychylny Ci nad wszystko na tym świecie. Adieu, bądź zdrowa i uważaj na siebie, byś znów nie zachorowała. Aż do śmierci pozostanę Twym najwierniejszym przyjacielem - Fryderyk Wilhelm.

W okresie trwania ich związku, czyli w latach 1770-1785, Wilhelmina urodziła Fryderykowi Wilhelmowi siedmioro dzieci, z których czworo nie dożyło swoich pierwszych urodzin. Najpierw urodziła trzy córki, które szybko zmarły. Czwarte dziecko - syn - otrzymało w 1778 roku imiona Fryderyk Wilhelm Moryc Aleksander. Arcyksiążę oszalał na punkcie malca i już w dzieciństwie nadał mu tytuł hrabiego von Mark. Jak się przekonamy, osoba Aleksandra nabrała jednak nieoczekiwanego znaczenia po jego przedwczesnej śmierci w wieku dziewięciu lat. Jako piąte dziecko na świat przyszła Fryderyka Dyderyka. Została hrabiną von Mark, i choć przeżyła tylko trzydzieści cztery lata, zdążyła trzykrotnie wyjść za mąż. Dzieci numer siedem i numer osiem Fryderyk Wilhelm nie uznał za swoje. Widocznie zawarte dla pozorów małżeństwo z Johannem Fryderykiem Riet-zem przerodziło się z relacji biznesowej w seksualną. Rietz był oficjalnym ojcem zmarłego w kołysce w 1783 roku nieochrzczonego syna oraz urodzonego w 1785 roku Fryderyka Wilhelma.

Ten ostatni syn Wilhelminy nosił nazwisko Rietz, mimo iż nadane mu imiona wskazywały, że jego ojcem jest arcyksiążę. Został on założycielem linii von Rietz-Lichtenau. Choć i Wilhelmina, i Fryderyk Wilhelm wyrażali w listach i innych dokumentach żal, że ich związek po narodzinach Dyde-ryki w 1780 roku stał się czysto przyjacielski, to właśnie następne lata były najbardziej burzliwe w życiu Wilhelminy. Rodzi się pytanie, czy zakończenie z dnia na dzień tak intensywnego związku w ogóle jest możliwe.

Podobnie jak wiele innych konkubin w historii, Wilhelmina Rietz starała się za pomocą ich wspólnego syna Aleksandra zdobyć większe przywią-

77

zanie arcyksięcia; większe, niż należało się metresie. I podobnie jak wielu innych władców w historii, Fryderyk Wilhelm obsypał ją w odpowiedzi złotem. Matka Aleksandra otrzymywała miesięcznie 100 dukatów na jego wychowanie. Oprócz

posiadanego już majątku w Charlottenburgu dostała kamienicę przy Mohrenstrasse w Berlinie. Piękna kochanka arcyksięcia krążyła między swymi siedzibami podarowanym przez niego powozem. Miała woźnicę, koniuszego, lokaja oraz odpowiednią liczbę służby domowej. Po cichu szeptano o wieczorach i orgiach urządanych w domu państwa Rietz. Odbywały się tam ponoć hulanki z kawiozem i jajami czajki, przepiórkami, bażantami, kuropatwami i jarzabkami, pasztetami z trufli i szczupakiem w sosie ostrygowym, wystawnością swą przewyższające, jak mawiano, przyjęcia wydawane w Wersalu. A na deser, jak opowiadano, serwowano taniec na stole w wykonaniu pięciu rozebranych dziewcząt, „których cery, talie i ciała były niezrównane”.

Gdyby tak Fryderyk Wielki mógł to zobaczyć! Zmarł jednak w 1786 roku, a wraz z jego śmiercią nastąpił upadek słynnej pruskiej karności i porządku, ascezy i dyscypliny, żołnierskiej tradycji i podejrzanego etyki wojennej. Fryderykowi Wilhelmowi II bardziej od szczęku mieczy podobał się brzęk szkła, a panie w wieczorowych toaletach bardziej niż „wysokie chłopaki” w błękitnych mundurach. Stan oficerski stracił na znaczeniu, liczyć zaczęła się nauka i sztuka. Stary Fryc doskonale opanował grę na flecie, natomiast Fryderyk Wilhelm codziennie poświęcał dwie godziny na naukę gry na wiolonczeli. Uwielbiał Mozarta i Beethovena, Haendla, Glucka i Haydna, a najbardziej lubił opery. Jak zanotował pewien świadek epoki, Fryderyk Wilhelm mieszkał jak azjatycki władca, który wycofał się do wnętrza swego seraju, przekazując rządy wezyrom. Tak naprawdę Fryderyk Wilhelm często przepływał gondolą Sprewę i w ten sposób dostawał się na drugi brzeg rzeki do majątku swojej kochanki. Dla dzieci Wilhelminy król nabył posiadłości w Lichtenau, Breitenwerder i RoSwiese w Nowej Marchii, które zapewniały roczne dochody w wysokości 4800 talarów.

Jeśli bogactwo oznacza władzę, to Wilhelmina musiała dysponować ogromną władzą, choć nie mieszała się do polityki. „Nigdy nie było we mnie załóżka Pompadour czy du Barry” - mówiła sama o sobie. Jeśli miała swój udział w przyznaniu komuś jakiegoś stanowiska, to powodował ją czysty egoizm, a nie jakiś polityczny zamiar: „Nigdy nie rozdawałam nawet średnich czy drobnych stanowisk, może poza kilkoma służącymi,

78

których przyprowadziłam na dwór, i ani nie umiałam tego czynić, ani nie chciałam, gdyż zajmowanie się czymś takim byłoby całkowicie sprzeczne z moimi zasadami”.

Oczywiście jest to wyraz nadmiernej skromności. Nawet jeśli Wilhelmina była zbyt wytworna, by zajmować się tak prostymi sprawami jak przydział stanowisk czy honorów, dysponowała władzą już poprzez spełnianą przez siebie funkcję w przedpokoju króla. Wyłącznie od niej zależało, kto wchodzi do króla, a kto nie, i w ten sposób królewska faworyta zdobyła wielu wrogów, którzy później, po jej upadku, rewanzowali się złośliwymi paszkwilami. Cierniem w oku był dla wielu kosztowny tryb życia Wilhelminy, który zmusił w końcu króla do zaciągania długów we Frankfurcie czy Niderlandach.

Jak na pruskie warunki Wilhelmina posunęła się za daleko również wtedy, gdy po śmierci Aleksandra, nazywanego przez rodziców pieszczotliwie Anderchen, urządziła w pałacu Unter den Linden, który Fryderyk Wilhelm przeznaczył dla swojego syna, prywatny teatrzyk z przedstawieniami dla zaproszonych gości. A ponieważ tylko niewielu

spotykał zaszczyt oglądania owych występów, opowiadano sobie w Berlinie niestworzone rzeczy o tym, co dzieje się na owej scenie. Ponoć hołdowano tam zmysłowości, a strój sceniczny Wenus składał się tylko i wyłącznie z jednej jedwabnej pończochy. Wszystko to niezwykle przypominało postępowanie madame de Pompadour na dworze Ludwika XV, pogardzanego przez Prusaków wroga numer jeden.

To właśnie śmierć Aleksandra nadała nieoczekiwanie nowy bieg relacji króla z Wilhelminą Rietz. Fryderyk Wilhelm ze szczerzej sympatii sprowadził chłopca do Poczdamu, by mieć go blisko siebie. Ronił gorzkie łzy, gdy bystry dziesięciolatek zupełnie nieoczekiwanie zmarł w 1787 roku. Przyczyną była ponoć „gorączka żółciowa”, co było bardzo podejrzaną diagnozą w przypadku niespełna dziesięcioletniego chłopca, w związku z czym nie cichły pogłoski o tym, że tak naprawdę Aleksandra otruto. Urojenia dotyczące zmarłego syna mogą wskazywać na to, że król wiedział więcej, niż głosiły oficjalne oświadczenia.

Trzy dni po śmierci Aleksandra jego zaaferowana siostra Dyderyka poinformowała Fryderyka Wilhelma, że słyszała wołanie brata. Relacja dziecka wprawiła króla w stan mistycznego upojenia. Był przekonany, że może kontaktować się z synem nawet po jego śmierci.

79

Król już w młodości interesował się spirytyzmem i tajemnicami rozmaitych łóż. W 1781 roku wstąpił do zakonu różokrzyżowców, podejrzanego organizacji związanej z teozofią, magią i kabałą. Przyjął imię zakonne Ormesus i dosłużył się piątego stopnia „Minora”, składając przy okazji obietnicę prowadzenia cnotliwego życia i odrzucenia szatańskich namiętności. Wymóg ten dotyczył przede wszystkim jego relacji z Wilhelminą Rietz, od której Fryderyk Wilhelm dwa lata później oddalił się, przynajmniej na pewien czas.

Głównym organizatorem wszelkich spirytystycznych imprez na pruskim dworze był minister rządu Bischoffwerder, niegdyś koniuszy i szambelan, od zawsze prawa ręka króla. Bischoffwerder pozostawał we wrogich stosunkach z Wilhelminą, gdyż ta dawno przejrzała jego podstępny grę i radziła ukochanemu, by przegnał zgromadzoną wokół niego klikę spirytystów. Doszło nawet do sprzeczki między kochankami, która zakończyła się kategorycznym rozkazem króla, by nigdy więcej nie wspominała przy nim o Bischoffwerderze.

Fryderyk Wilhelm oddawał się praktykom religijnym oraz wszelkim formom mistycyzmu, przede wszystkim temu, co wiązało się z życiem po śmierci. W zagadkowy sposób w Poczdamie coraz częściej pojawiały się duchy, zwłaszcza odkąd król zaczął organizować regularne seanse spirytystyczne. Tym sposobem „przybyli” do Poczdamu Gajusz Juliusz Cezar czy Henryk IV, ten ostatni nawet z krwawiącą raną, jaką zadał mu morderca - Fryderyk II Wielki pewnie przewracał się w grobie. Ulubiona zjawia Fryderyka Wilhelma, czyli duch jego syna Aleksandra, podczas pierwszej rozmowy upomniała króla, by był wierny jego matce i nie skąpił jej grosza. A ponieważ ta tania kuglarska sztuczka okazała się skuteczna, Wilhelmina Rietz wpadła na genialny w swej prostocie pomysł. Zaczęła twierdzić, że Aleksander nawiedza ją samą przy różnych okazjach, przekazując jej wiadomości z zaświatów.

Fakt, że Fryderyk Wilhelm dał się nabrać na coś tak prymitywnego, świadczy o ogromnej naiwności i zaślepieniu pruskiego monarchy. Król był niezwykle podekscytowany i zażądał, by Wilhelmina każdego dnia spisywała wszystkie przekazywane jej z zaświatów wiadomości w małym niebieskim notatniku. Będąc fanatycznym wyznawcą spirytyzmu, nie chciał dostrzec, w jak wielką zależność popada. Notatnik z 75 wpisami skreślonymi ręką Wilhelminy znajdował się w spuściźnie po królu, zanim zniknął w tajnym

80

brandenburskim archiwum. Niektóre z tych rzekomych wiadomości z zaświatów są bardzo krótkie i liczą kilka linijek, inne natomiast stanowią dłuższe opowieści, wszystkie jednak łączy podziwu godna umiejętność wczucia się w chory umysł żadnego kontaktów z duchami monarchy:

Strona 1: „Kto zjawia się we właściwej postaci Boga w Trójcy Jedynej, ten... zawsze zostanie przyjęty; choćby słuchał swego serca. To jest dobre. Jego zmysły są nic niewarte, nieszczęście doprowadzi go do większej światłości, a szczęście do miłości ojca. Przelane zostanie wiele krwi. Tak być musi, nic nie przeraża zaufanych Pana, bądźcie więc wierni. Pochwalony niech będzie Bóg! Jeśli dziś czujesz wokół siebie ciepłe powietrze, oto jestem ja!” (27 maja 1790). Strona 4: („ .)gdy5 września pisałam w gabinecie do mojego przyjaciela [Fryderyka Wilhelma], przerwano mi o godzinie dziewiątej. Jak zwykle poczułam ciepło i usłyszałam kochany głos: „ W poniedziałek o siódmej musisz być tutaj. Mojego ojca trzeba podnieść na duchu”. Odłożyłam list i w pokorze czekałam, co nastąpi dalej. Strona 5: „Mój ojciec do tej pory dobrze sprawował swój urząd... Teraz musi pokonać zło. Tylko walka przyniesie korzyści. Wolną wolą dysponujecie wszyscy. Musi od razu dowiedzieć się, co zostało tu powiedziane. .. ”, napisane 6 września, o dziewiątej rano. Strona 13: 5 września 1790, (...) w drugą niedzielę adwentową: „Powiedz memu ojcu: Nadejdzie czas, nadejdzie godzina. Lecz nie powinien o tym zbyt wiele rozmyślać. Wie, o czym mówię. Pochwalony niech będzie w Trójcy Jedyny”.

Strona 23: „Mój ojciec martwi się; powiedz mu: kto doprowadził Noego na suchy ląd? Kto dał mi szczęśliwość, kto nakazał aniołom stale towarzyszyć mi i mnie nauczać? Ten, który to potrafi, poprowadzi również mojego ojca”.

Wiadomości utrzymane są dokładnie w takim tonie, jaki panuje podczas spirytystycznych spotkań. Tym trudniej było więc królowi wątpić w ich autentyczność. A Wilhelmina zaczęła w międzyczasie wymyślać imponujące i mrozące krew w żyłach opowieści, jak ta ze strony 29 jej małego niebieskiego notatnika, nosząca datę 21 sierpnia 1791 roku:

O12 w południe weszłam do kościoła; panowała tam zupełna cisza. Podeszłam i oparłam się o żelazną kratę, która otacza grób [Aleksandra], i modliłam się. Potem wzięłam klucz, otworzyłam i podeszłam do grobowca. Stałam tam w ciszy przez dziesięć minut. Nagle usłyszałam czyjś” głos. Skierowałam wzrok na grób. W całym

kościół panowała oślepiająca jasność. Słysząc było przepiękne brzmienia, harmonia tych dźwięków jest nie do opisanie. Jednak wokół grobu było tak ciemno, że ledwo cokolwiek było widać. Głośno krzyknęłam: O Boże, cóż to za ciemność! „Zobaczysz, usłyszysz”. To był głos naszego ducha. Usłyszałam szmer otwierającego się grobu. Głęboko w dole leżał nasz syn, już całkiem w rozpadzie, tylko ten grymas umierającego na twarzy, taki, jaki widzieliśmy. Niemal padłam bez czucia, lecz ze wszystkich stron podtrzymywała mnie jakaś moc, silniejsza ode mnie. Chciałam odwrócić wzrok, lecz to nie było możliwe, me oczy musiały patrzeć prosto na grób. Kłębiły się tam miliony robaków, jak pod mikroskopem. Biały kamień grobowca wyglądał jak nowy. Po lewej stronie znajdowała się plama w kształcie krzyża. Widniały na nim litery, których nie byłam w stanie odczytać. Straszliwy widok. „Co z prochu powstało, w proch się obróci. Kilka nocy płakałaś nad moją nieobecnością. Tak było dla Ciebie najlepiej, w przeciwnym wypadku popadłabyś w melancholię. Popatrz tutaj”. Miliony takich postaci, jakie ujrzałam w nocy pierwszego sierpnia [dzień śmierci Aleksandra]... tak łagodnie popatrzył na naszego ducha, otworzył usta i dźwięcznym głosem rzekł: „Od początku przeznaczony byłem na anioła stróża tego zmarłego. Miłuję go, będę teraz mówić w jego imieniu, gdyż jemu mówić nie wolno... Jego ojcu nie będzie ciężej. Otrzyma dowody. Ujrzy... uwiecznienie. Wcześniej niech nic nie czyni. Teraz to dla niego czas sprawowania urzędu”.

Nasz duch [Aleksander] popatrzył na tego drugiego spojrzeniem pełnym smutku, a ten wielki duch, który mówił najpierw, rzekł do Wiecznego, do Zbawcy: »Pochwalony niech będzie w Trójcy Jedyny«. To samo powtórzył cały kościół. Nie wiem, jak dotarłam do domu, nie wiem też, jak to spisałam; ogarnął mnie sen.

Usposobiony spirytystycznie król zgromadził wokół siebie krąg uległych dworzan, którzy gotowi byli wspierać go w szaleństwie, a przynajmniej ro-

82

bić dobrą minę do złej gry. Pewna kaleka dziewczyna z Wrocławia, która wielokrotnie służyła już za medium podczas spirytystycznych eksperymentów, wprawiała Fryderyka Wilhelma II w zachwyt, przekazując w transie wiadomości z zaświatów. Król traktował te przekazy z równą powagą, co słowa Ewangelii, i zupełnie nie przeszkadzało mu to, że dziewczyna podczas transu poprosiła o podwyższenie swego honorarium. Fryderyk Wilhelm zgodził się.

Ktokolwiek odważyłby się wyśmiewać królewską manię, znalazłby się na pruskim dworze na straconej pozycji. Śląski minister hrabia Hoym pewnego razu krytycznie odniósł się do owych zajęć. Tylko swemu sprytowi zawdzięczał, że nie był to jednocześnie koniec jego kariery. Hrabia z miejsca znalazł wyjaśnienie swej niewiary w spirytyzm. Jak wyjaśnił królowi Prus, duch nie mógł w niego wstąpić, gdyż miał na sobie jedwabne ubranie. Koncepcja ta trafiła do przekonania Fryderykowi Wilhelmowi, który modlił się, „by Bóg pozwolił ministrowi obrać bliską i jedyną drogę do szczęścia”.

Skonsternowana Wilhelmina Rietz musiała patrzeć, jak król popada w coraz większe uzależnienie od przekazującej absurdalne wieści z zaświatów dziewczyny. Do jednego ze swych przyjaciół spirytystów, który utrzymywał ponoć kontakt z Jezusem Chrystusem, Fryderyk Wilhelm pisał: „Nie jestem w stanie opisać, jak wielką radość i

wdzięczność czuję wobec Boga. Obawiam się tylko nieustannie, że przez swoją grzeszną naturę przeszkodzę Bogu w jego zamiarach wobec mnie. Być może duch tej dobrej lunatyczki udzieli mi w stanie jasnowidzenia jeszcze jakichś rad ku mej poprawie; mam nadzieję, że będę umiał ich posłuchać".

Nawet jeśli romans między Wilhelminą Rietz a królem Fryderykiem Wilhelmem II należał już do przeszłości, jej wpływy nic na tym nie ucierpiały. To być może pozwoliło jej pogodzić się z rozczarowaniem, w każdym razie w żaden sposób nie próbowała odzyskać uczuć króla. Miała poważnych i adorujących ją wielbicieli, a wśród nich oczywiście pochlebców, którzy z rozmaitych powodów starali się do niej zbliżyć. Należał do nich między innymi pewien - niech Bóg strzeże Prus! - angielski lord. Jego zaloty stanowiły pożywkę dla przypuszczeń, które nie wydają się zupełnie bezpodstawne, że Anglicy próbują za pośrednictwem Wilhelminy ulokować szpiegów w otoczeniu pruskiego króla. Lord Templetown, o którym powiadano, że przespałby się z brzydką staruchą, jeśli tylko przysłużyłby się tym ojczyźnie, miał się rzekomo nawet z Wilhelminą zaręczyć.

83

Sama Wilhelmina nie zajęła w tej sprawie żadnego stanowiska, niemniej jednak tych dwoje z pewnością coś łączyło. Lord Templetown długi czas rezydował w pałacu madame Rietz. Z nieznanых powodów opuścił w pośpiechu stolicę Prus, a jego matka przysłała Wilhelminie na wychowanie swojego najmłodszego syna Artura. 1 kwietnia 1794 roku napisała do Wilhelminy list o następującej treści: „Schlebiam sobie, żywiąc nadzieję, iż Pani dobre rady towarzyszyć będą jego pierwszym krokom w tym pełnym niebezpieczeństw świecie oraz że wraz ze swym bratem służyć będą Pani za przykład tego, iż angielski naród wie, co to prawdziwa i trwała przyjaźń".

Za adoracją, jaką sir Arthur Paget, tymczasowy poseł angielski w Berlinie, darzył odsuniętą przez pruskiego króla konkubinę, z pewnością nie kryła się miłość, lecz interesy polityczne. Doszło między nimi do intensywnej wymiany korespondencji, a ponieważ Anglia znajdowała się w stanie wojny z Francją, sir Arthur meldował się nawet z angielskiej kwatery głównej w Deventer: „Powinienem był dzisiaj jeść w południe u generała, wolałem jednak zostać sam, by móc rozkoszować się szczęściem pisania do Pani...". 24 stycznia 1795 roku „o drugiej nad ranem" w pilnym liście do madame Rietz poseł żądał: „Na miłość boską, niechże skłoni Pani króla do działania. Niestety, pod jakim ugina się i ogół, i pojedyncze jednostki, jest zbyt przygniatające. Mnie pozostaje przynajmniej nadzieja, że mogę na Panią liczyć... Oddałbym cały swój majątek, gdybym choć kwadrans mógł spędzić u Pani".

Wilhelmina miała zgodnie z interesem Anglii skłonić króla Prus Fryderyka Wilhelma II do wypowiedzenia wojny Francji. Sir Arthur z pewnością nie działał na własną rękę, lecz z polecenia najwyższych władz, oczywiste jest więc, że wpływ Wilhelminy na króla dostrzegali nawet angielski rząd.

Wilhelmina nie była jednak zainteresowana angażowaniem się w europejską politykę. Wówczas angielski poseł w Sztokholmie, lord Henry Spencer, podjął ostatnią próbę przeszkodzenia w zawarciu pokoju między Francją a Prusami. Zaproponował Wilhelminie 10 tysięcy gwinei, jeśli uda się jej powstrzymać Fryderyka Wilhelma II przed podpisaniem traktatu pokojowego z Francuzami, obiecując ponadto pruskiemu

królowi liczoną w milionach kwotę (jej ostateczna wysokość pozostała do negocjacji) w postaci rocznych subsydiów (pomocy finansowej udzielanej prowadzącemu wojnę państwu przez państwo sprzymierzone).

84

Mimo wszystko traktat pokojowy został podpisany w 1795 roku w Bazylei. Wilhelminy nie można było skorumpować za pomocą pieniędzy. Intrygi wolała snuć w sferze miłości, zwłaszcza jeśli sprawy dotyczyły pruskiego króla. Nic dziwnego, przecież w otoczeniu króla nie było nikogo, kto lepiej niż ona znałby jego gust. Stary minister von Cölln szydził: „I tak staje się rajfurką króla i poucza ofiary jego pożądlivości, jak mają się wobec Jego Królewskiej Mości zachowywać”. W ten sposób Fryderyk Wilhelm II romansował z wieloma kobietami, z którymi ochoczo dzielił łożę, myśli swe jednak rezerwując wyłącznie dla Wilhelminy. Wśród jego kochanek była i praczka, i aktorka, i tancerka - w każdym razie nie było to nic poważnego.

Inaczej w przypadku pięknej i bogobojnej Amalii Elżbiety von Vo{?, zwanej Julią, damy dworu królowej wdowy*. Fryderyk Wilhelm zwrócił na nią uwagę, jeszcze zanim został królem, i to właśnie jej nieprzystępność musiała być tym czymś, co szczególnie go podniecało. W przeciwieństwie do wszystkich innych dam na królewskim dworze, które romans z królem poczytywałyby sobie za ogromny zaszczyt, panna Julia zabiegi Fryderyka Wielkiego o swą przychylność traktowała jak dopust boży. Królowi oddała się dopiero pod naciskiem rodziny, stawiając przy tym trzy warunki: Wilhelmina Rietz wraz ze swymi dziećmi ma zostać zesłana do jakiegoś odległego majątku, król oficjalnie poślubi ją jako morganatyczną małżonkę, a królowa wyrazi na to zgodę.

Królowa zgodziła się, gdyż miała nadzieję, że w ten sposób pozbedzie się swej najgroźniejszej rywalki, Wilhelminy Rietz. Kościelni hierarchowie również nie widzieli przeszkód dla zawarcia przez króla morganatycznego małżeństwa, przecież nawet Luter i Melanchton** zgodzili się na zawarcie takiego związku przez landgrafa Filipa Heskiego. Nic natomiast nie wyszło z wygnania Wilhelminy. Została na miejscu i dalej pociągała za wszystkie

* Elżbieta Krystyna Braunschweig-Bevern (1715-1797), królowa Prus, żona Fryderyka II Wielkiego. Małżeństwo to, zawarte w 1733 roku z rozkazu Fryderyka Wilhelma I, było nieudane (według wielu historyków nigdy nie zostało skonsumowane); naiwna i religijna królowa była prawdziwym przeciwieństwem swego męża.

** Filip Melanchton, właściwie Filip Schwarzerd (1497-560), profesor uniwersytetu w Wittemberdze, reformator religijny, najbliższy współpracownik Lutera i współtwórca reformacji.

85

sznurki. I wyglądało na to, że niespecjalnie jej przeszkadza, iż król nadał swojej nowej kochance tytuł hrabiny von Ingenheim, a ta urodziła mu syna, któremu nadano imiona Gustaw Adolf Wilhelm. Wkrótce potem Julia zupełnie nieoczekiwanie zmarła.

Natychmiast zaczęto łączyć Wilhelminę z nagłą śmiercią hrabiny von Ingenheim.

Miała wielu wrogów, którzy uważali, że w ten sposób usunęła swoją rywalkę. Świadkowie widzieli ponoć, jak w operze Wilhelmina podała Julii szklankę lemoniady. Tylko Fryderyk Wilhelm ufał Wilhelminie. Królewskiemu lekarzowi przybocznemu dr. Brownowi nakazał przeprowadzenie obdukcji ciała Julii. Wynik: hrabina Julia von Ingenheim zmarła na chorobę płuc.

W liście do Wilhelminy król Prus pisał, że zmuszono go, by zajrzał do otwartej klatki piersiowej hrabiny von Ingenheim, i że jej płuca były w tak opłakanym stanie, że wręcz cudem jest, iż żyła tak długo.

Roztkliwiając się sam nad sobą, żalił się: *Moje ciało jest zdrowe, lecz dusza ma cierpi niewymownie. Aż do końca świąt [Wielkanocy], a być może na zawsze, pozostanę w tej żalostnej samotności, to jest dla mnie najzdrowsze. Nie jestem jeszcze w stanie przebywać w towarzystwie i nie mogę się nigdzie pokazywać... Lecz byłoby mi naprawdę miło, gdybym częściej otrzymywał listy od Pani. Mam nadzieję, że napisze je Pani w taki sposób, by nie raniły na nowo mego serca. Jesteśmy tylko ludźmi i popełniamy wiele błędów. Moja zmarła przyjaciółka też nie była od nich wolna... Proszę nigdy o tym ze mną nie mówić, w przeciwnym razie cierpiałbym zbyt mocno. Wolę żyć w samotności, tak długo, jak zniosą to moje ciało i dusza. Dzień po dniu moja dusza staje się coraz bardziej rozdarta, coraz dotkliwiej odczuwam swą stratę. Posiłki, sen, wstawanie to okazje, przy których serce me otrzymuje wciąż nowe ciosy. . .*

Wilhelmina Rietz, obdarzona wręcz filozoficznym spokojem i opanowaniem, przeżyła oficjalną konkubinę króla, nie ponosząc przy tym żadnych strat. W każdym razie niczego takiego nie okazała i trwała u boku króla, który z żalu nad utratą Julii popadał w depresję i szukał oparcia w spirytyzmie. Zagłębiał się w nim do tego stopnia, że w ogóle nie można było się z nim sensownie porozumieć. Mania Fryderyka przybrała niepokojące rozmiary nawet w ocenie współwyznawcy spirytyzmu ministra Bischoffwerdera. Próbował on przechytrzyć króla, wmawiając mu, że w nocy nawiedziła go Julia i żaliła się, iż nieustanna tęsknota kochanka nie po-

86

zwala jej zaznać spokoju, prosi więc tą drogą o litość. Nadmierny smutek ze strony króla niepokoił nieboszczkę w zaświatach.

Wilhelmina, która lepiej знаła króla, starała się uzdrowić go w inny sposób. Przyproceedziła do niego kobietę, przy której żaden arystokrata nie mógł się czuć bezpieczny: hrabinę Zofię Juliannę Dónhoff. Hrabina była mężatką, pozostając mimo to kobietą pożądaną ze względu na swą urodę, jasne włosy, a przede wszystkim swą niefrasobliwość, która pozwalała jej przeskakiwać z łóżka jednego kochanka do łóżka kolejnego. Kronikarz epoki tak ją opisywał: „Hrabina Dónhoff fascynowała owym połączeniem wdzięku, uprzejmości, kaprysów i humorów, które rozpalają tym większe namiętności”. Z pomocą hrabiny Dónhoff Fryderykowi Wilhelmowi udało się bardzo szybko zapomnieć o ukochanej Julii. W każdym razie kochliwa hrabina przekonała się, jak łatwo można przejąć rolę królewskiej konkubiny.

Wiedząc to już, postawiła pewien warunek, którego spełnienie miało umożliwić królowi zdobycie jej względów. Chciała zostać kolejną morga-natyczną małżonką władcy. Poza tym Zofia Julianna nie wysuwała żadnych innych żądań, ani wobec królowej, ani

wobec Wilhelminy Rietz. Król zgodził się. Rok po śmierci Julii nadworny kaznodzieja pobłogosławił związek króla z kochliwą hrabiną. Już wkrótce jednak okazało się, że owa powabna osóbką nie jest tak naprawdę zainteresowana osobą króla, lecz raczej władzą, z której, jak jej się zdawało, może zacząć korzystać.

Brakowało jej jednak roztropności, a także wyrafinowania Wilhelminy, w każdym razie „kochana Pani”, jak Fryderyk Wilhelm zwracał się do hrabiny Dónhoff, wkrótce zaczęła króla irytować, mimo iż świetnie grała na fortepianie i na dodatek cudownie śpiewała. Hrabina zrażała go do siebie na wszelkie sposoby. Królowa nienawidziła jej, podobnie jak królowa wdowa. Pałac rozbrzmiewał atakami wściekłości i scenami zazdrości urządzanymi przez hrabinę, choć ona sama z pewnością nie grzeszyła wiernością. Hrabinie Dónhoff udało się nawet sprawić, że Fryderyk Wilhelm podpisał dekret zakazujący Wilhelminie Rietz opuszczania Poczdamu.

Każda inna kobieta zareagowałaby ostrymi wyrzutami wobec króla, który dał się skłonić do takiego kroku. Ale nie Wilhelmina. Doskonale wiedziała, jak należy postępować z takim mężczyzną jak Fryderyk Wilhelm. Napisała do niego czuły list: *Już dawno bym do Was napisała, jednak obawiałam się, że mielibyście z mojego powodu kłopoty, ponieważ byłam w Ber-*

87

linie. Wolałam więc Wam o sobie nie przypominać. Muszę przyznać, że głęboko raniłam duszę to, że chcąc Was zobaczyć i z Wami porozmawiać, muszę ukrywać się z powodu kobiety, którą znacie od niespełna dwóch lat. Cóż takiego uczyniłam tej kobiecie? W jej oczach moją jedyną winą jest chyba to, że kocham Was i szanuję od lat dwudziestu dwóch. I nie jest moją winą, że nie umarłam dokładnie w tym momencie, gdy się poznaliśmy. To, że pomimo tego nie zapaliliście do mnie od razu nienawiścią, chyba nie powinno się zdarzyć. Wasza Przyjaciółka, pomimo całej zazdrości i zawiści, Wilhelmina.

List ten tak wzruszył Fryderyka Wilhelma II, że niezwłocznie odwołał poniżający edykt. Miarka przebrała się jednak dopiero wtedy, gdy hrabina nawiązała romans ze starym mentorem króla, Bischofiwerderem, bigotem, który nie zbliżał się nawet do własnej małżonki. O jego związku z Zofią Julianną mówiono na dworze zupełnie otwarcie. Wydawało się, że dni hrabiny von Dónhoff są już policzone, gdy nagle okazało się, że spodziewa się potomka.

W głowie Fryderyka Wilhelma nawet nie pojawiła się myśl, że ojcem dziecka mógłby być jakiś inny mężczyzna. W przeciwieństwie do Ludwika XV, który nienawidził całego spłodzonego przez siebie potomstwa, lubieżny pruski król niezwykle cenił dzieci.

Podczas ciąży hrabina zachowywała się jeszcze gorzej niż zwykle i próbowała wpływać na polityczne decyzje. Uciekinierzy z targanej rewolucją Francji donosili, że utrzymywała tajne kontakty z rewolucjonistami. 24 stycznia 1792 roku Zofia Julianna powiła chłopca, któremu nadano imię Wilhelm i który otrzymał od króla tytuł hrabiego von Brandenburg.

Wilhelminie udało się jednak w międzyczasie przekonać Fryderyka Wilhelma II, że hrabina nie nadaje się dla niego na żonę, nawet morgana-tyczną. Jeszcze w tym samym roku król odesłał „kochaną Panią” z dworu na wygnanie do Neuchatel w Szwajcarii, skąd słała do Poczdamu ckliwe listy. Fryderyk Wilhelm pisał do Wilhelminy Rietz: „Od

biednej, skonfundowanej Julii codziennie przychodzą z Neuchatel coraz piękniejsze i czulsze listy. Tęskni za mną... i wciąż pisze tylko o śmierci i o tym, gdzie chce zostać pochowana. To naprawdę wzruszające. Oby dzięki rozwiązaniu zyskała mądrość i roztropność. Oby Bóg to sprawił, choć wątpię...".

Pomimo kolejnej ciąży Fryderyk Wilhelm odsunął Julię od siebie. Małego Wilhelma wychowywano w Charlottenburgu. Gdy 4 stycznia 1793 roku hrabina Dönhoff urodziła córkę Julię (późniejszą hrabinę von Brandenburg), król zachował się zupełnie inaczej niż przy narodzinach hrabiego

88

von Brandenburg. Być może wątpił w swoje ojcostwo, a może to Wilhelminie udało się znów przeciągnąć go na swoją stronę, i to na tyle skutecznie, by nie chciał mieć już z panią Dönhoff w ogóle do czynienia. Nazywał ją „szaloną zdzirą” i skarżył się Wilhelminie: „Niech Bóg mnie strzeże przed tą wariatką. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał jej na powrót przyjąć”.

Tego los Fryderykowi Wilhelmowi oszczędził, natomiast pruski król nie uniknął skandalu, jaki sprowokowała nieobliczalna hrabina dziesięć miesięcy po urodzeniu córki. Po kryjomu powróciła do Poczdamu, gdzie czekała na dogodną okazję. 19 listopada 1793 roku król urządzał w Pałacu Marmurowym koncert, na który zaproszono wytwornych gości. Występ już się rozpoczął, gdy do sali koncertowej wpadła hrabina Dönhoff. Niosąc w ramionach malutką Julię, wrzeszczała i przeklinała jak pijany woźnica. Gdy udało jej się dotrzeć do siedzącego w pierwszym rzędzie króla, położyła dziecko na podłodze i z nienawiścią wykrzyczała: „Oto macie swoją własność z powrotem!”. Fryderyk Wilhelm kazał oddalić hrabinę, opiekę nad dziewczynką powierzył Wilhelminie, natomiast jej wychowanie marszałkowi dworu von Massowowi. „Szalona zdzira” musiała opuścić kraj. Apanaże w wysokości ośmiu tysięcy talarów rocznie zapewniły jej beztrudne życie w mieście Angermunde w powiecie Uckermark, a później w majątku pod Warneuchen, gdzie zmarła w 1834 roku.

Stało się coś, czego nikt na pruskim dworze się nie spodziewał: Wilhelmina Rietz ponownie została pierwszą konkubiną Fryderyka Wilhelma II.

Wiele dam z wytwornego towarzystwa nie chciało pogodzić się z powtórnyim nawiązaniem starego romansu, wypatrując raczej szansy, by zająć miejsce hrabiny von Ingenheim czy hrabiny von Dönhoff.

Podczas spaceru, na jaki król wybrał się z Wilhelminą brzegiem Spre-wy, piękna pani von Wallenrodt rzuciła się Fryderykowi Wilhelmowi do stóp, czyniąc mu żarliwymi słowy tak nieprzyzwoitą propozycję, że oblana rumieńcem Wilhelmina odwróciła wzrok. Choć pruski król słynął z erotycznego nienasycenia, nie lubił, by odbierano mu inicjatywę. W związku z tym, ponieważ pani von Wallenrodt wciąż mocno obejmowała jego nogi i nie puściła ich pomimo wielokrotnych żądań umożliwienia królowi kontynuowania spaceru, Fryderyk Wilhelm do uwolnienia się od gorąco-krwistej wielbicielki użył swej laski. Ponoć w swym nieodpartym dążeniu do wstąpienia do wyższych sfer pani von Wallenrodt rzuciła się na szyję jednemu ze służących króla.

Jeszcze bardziej uparta w swych zalotach była o wiele mniej atrakcyjna od pani von Wallenrodt Karolina von Belderbusch. Na dworze ją odprawiono, próbowała więc zostać zaproszona na audiencję u króla za pośrednictwem Wilhelminy Rietz, co również jej się nie udało. Ostatecznie wybrała okrężną drogę poprzez ciotkę Wilhelminy, której serwowała najróżniejsze kłamliwe historie o tym, jaką to jest bliską znajomą króla, i którą przy okazji okradła z ubrań i gotówki. Uparta panna była gotowa na wszystko, by dotrzeć w pobliże Fryderyka Wilhelma. Na polecenie Wilhelminy została później aresztowana i skazana na pół roku więzienia w Spandau.

Obie damy, i piękna pani von Wallenrodt, i niezbyt urodziwa panna von Belderbusch, uważały, że winną ich nieszczęścia była kochanka króla, i na swój sposób się na niej zemściły. Każda ze wzgardzonych wielbicielek króla napisała książkę, w której nie zostawiła suchej nitki na Wilhelminie Rietz. Nawiasem mówiąc, nie były to jedyne paszkwile, jakie Wilhelmina musiała znosić na swój temat.

W przeciwieństwie do poślubionych w kościele morganatycznych żon pruskiego króla, czyli hrabin von Ingenheim i von Dónhoff, Wilhelmina Rietz pozostawała w dobrych stosunkach z królową Fryderyką. Ignorowała jej nieustanne przytyki i nigdy nie powiedziała o królowej złego słowa. Podczas ich spotkań nigdy nie dochodziło do przykrych scen, a zdarzało się nawet, że wymieniały się podarunkami. W swoich wspomnieniach, które stanowić miały przede wszystkim rodzaj usprawiedliwienia, Wilhelmina pisała: *Daleka od tego, by traktować królową z dumą i niefrasobliwością, do czego zdolna byłaby tylko osoba niespełna rozumu, czułam do niej jedynie miłość i szacunek. Ona ze swojej strony daleka była, by uważać mnie za niegodną swej łaski, i często przyjeżdżała do mnie do Charlottenburga, zatrzymując się u mnie na wiele godzin, przy której to okazji otrzymywałam tysiące dowodów jej przychylności i życzliwości. Wielki ochmistrz dworu królowej, hrabia Sayn von Wittgenstein, przyniósł mi pierwszą radosną wiadomość, że szlachetna królowa kazała się dla mnie sportretować. Po pewnym czasie portret ów rzeczywiście dotarł kurierem do Pymontu * do króla, by mógł mi tam zostać wręczony, co też się stało. Jeszcze wcześniej otrzymałam od królowej z jej własnych rąk pierścień z napisem „Gage damitie”. Następnie przysłała mi na*

* Bad Pymont - znana miejscowość uzdrowiskowa w Dolnej Saksonii.

90

pamiątkę bransoletę z dewizą: „Donnę par amitie”. Portretu już niestety nie mam, posiadam natomiast jeszcze ów pierścień i bransoletę i szanuję je jako pamiątki po dostojnej, czulej i cnotliwej królowej.

A trzeba zaznaczyć, że życie w zgodzie z Fryderyką von Hessen-Darmstadt* naprawdę nie było prostą sprawą. Jeśli król miał z tym wielkie trudności, to jego konkubina musiała wykazać się rzeczywiście ogromnym wyczuciem, by nie narazić się osobliwej władczyni. Pruski generał-lejtnant von der Marwitz tak opisał królową: „Była niezwykle dziwaczną osobą. Widywała zjawy i duchy, spała w dzień, czuwała w nocy, zawsze było jej zbyt gorąco, przez co w nocy, czy latem, czy zimą, siedziała przy otwartym oknie w samej koszuli. Przedwcześnie postarzała się i przygarbiła, i mając zaledwie czterdzieści kilka lat, musiała podtrzymywać sobie ręką głowę do góry, gdy chciała się komuś przyjrzeć. Krótko mówiąc, była nieprzyjemną kobietą, której nikt nie lubił”. Mimo

wszystko Fryderyka urodziła królowi sześćoro dzieci**.

A Wilhelmina? Była już wówczas po czterdziestce, lecz wyglądała jak młoda i piękna kobieta. Z siedmiorga dzieci, które urodziła, przy życiu pozostało tylko dwoje: hrabina Dyderyka von der Mark i Fryderyk Wilhelm Rietz. Radca wojenny von Cölln zachwycał się w swych *Poufnych listach dotyczących wewnętrznych stosunków na dworze pruskim od śmierci Fryderyka II*: „Tak dokładnie poznała pobudliwość króla, że gdy obojętniał na częste zmiany, stara przyjaciółka miała jeszcze w zanadrzu sposoby, którymi umiała tak go zafascynować, że wciąż do niej powracał. Nie była złośliwa, była w pełni kobietą, mściwą w miłości i próżną. Wyniosła w górę paru łotrów, a kilku żebraków uczyniła bogatymi. Po jej upadku gotowi byli ją zdeptać. Natura obdarzyła ją wszelkimi wdziękami umożliwiającymi zdobywanie męskich serc. Flirtowanie nie leżało w jej charakterze, natomiast była niezwykle zmysłowa. Miała cudowne ciało, o niezrównanych kształtach. Nie brakowało jej także talentu do prowadzenia konwersacji”.

Taka kobieta musiała mieć wrogów i z oczywistych względów dominowały wśród nich przedstawicielki jej własnej płci. Jednak podczas gdy

* Fryderyk Wilhelm II po uzyskaniu rozwodu w 1769 roku jeszcze w tym samym roku ożenił się powtórnie z księżniczką heską Fryderyką Luizą. ** Fryderyka Luiza urodziła siedmioro dzieci, lecz córka urodzona dwa lata po pierworodnym Fryderyku Wilhelmie, późniejszym królu Prus, zmarła w niemowlęctwie. Poza nimi królowa urodziła jeszcze trzech synów i dwie córki.

91

żadna kobieta nie stała się dla Wilhelminy poważnym zagrożeniem, jej najbardziej zaciętym wrogiem okazał się pewien mężczyzna - arcyksiążę Fryderyk Wilhelm. Syn króla nienawdził konkubiny swego ojca. Uważał, że odebrała jego matce męża, co, już choćby ze względu na liczne potomstwo królewskiej pary, nie mogło być prawdą. Król Prus *potrzebował* takiej konkubiny jak Wilhelmina, nie tylko dla zaspokojenia seksualnego pożądania, gdyż madame Rietz zapewniała flegmatycznemu Fryderykowi Wilhelmowi niezbędną pomoc w podejmowaniu decyzji. Nigdy (lub prawie nigdy) sama o niczym nie decydowała, wiedząc, że król byłby temu przeciwny. Niemniej jednak przyczyniała się do ich podejmowania. Arcyksiążę widział sprawę inaczej i w gronie przyjaciół twierdził, że Wilhelmina pragnie tylko wzbogacić się kosztem państwa, że sprzedawała Prusy Anglikom i że codziennie okrada jego ojca.

Są to, rzecz jasna, brednie. Wilhelmina Rietz była w owym czasie tak majątna, że sama stała się ofiarą złodziei i petentów. Poza tym wyróżniało ją akurat to, że sprawy materialne stawiała na ostatnim miejscu. Arcyksiążę w swoim uprzedzeniu do madame Rietz nie zauważał jej pozytywnego wpływu na mistyczne i spirytystyczne ciągoty swego ojca, człowieka labilnego, który mógł spowodować wielkie szkody, gdyby nie spotkał na swojej drodze Wilhelminy. Duchy, które król Fryderyk Wilhelm ongiś przywołał, nie chciały go bowiem opuścić.

Bratanek Fryderyka Wielkiego jak małe dziecko wierzył w cuda i duchy i dokonywał historycznych aktów, opierając się na radach nawiedzających go duchów zamiast własnych ministrów. Zasadniczo Prusami pod koniec XVIII wieku rządziłyby zjawy, gdyby kochanka króla nie potrafiła umiejętnie hamować wpływu duchów i fantazmatów.

Przy okazji Wilhelmina ujawniła swój wyjątkowy talent polityczny oraz godną podziwu umiejętność wczuwania się w psychikę innych.

„Obrzydło mi już bezustanne wykorzystywanie ducha mojego syna” - twierdziła później. - „Ponieważ jednak król ciągle zadawał tysiące pytań o to, co nasz duch powiedział, wymyśliłam znajomość z pewnym uczciwym człowiekiem. Wprowadziłam tę postać, twierdząc, że nie słyszę już naszego syna. Ci wymyśleni ludzie nie byli żadnymi cudownymi postaciami, nie byli też prawdziwymi ludźmi. I tak z ogródkami mówiłam mu, co sędzę, gdyż radami ze strony mej skromnej osoby król, który chciał słuchać tylko niezwykłych historii, z całą pewnością by wzgardził”.

92

Bez kontaktów z duchami i zjawami Fryderyk Wilhelm II nie potrafił już działać. Gdy groził wybuch wojny z Francją, pruski król z pytaniem, co czynić, zwrócił się do swego syna Aleksandra. Na karteczce zapisał błagalne słowa: „Jeśliś duchem syna mego Aleksandra, wyznaj, że Słowo ciałem się stało, a Chrystus przelał dla nas swą krew”.

A duch dziecka odpowiedział (poprzez Wilhelminę): „Powiedz memu ojcu, że uratuje on tych, którym zadano gwałt, przed tymi, którzy czynią niesprawiedliwość. Bóg będzie z nim, jeśli serce jego pobożne i czy-ste... .

Później madame Rietz wyjaśniła, że w trakcie trwania wojny starała się wzmacniać powzięte przez króla postanowienia i dodawać mu odwagi do realizacji jego własnych planów. A ponieważ Fryderyk Wilhelm tego pragnął, dalej stosowała sztukę z duchami. Widmo dziecka krążyło nad europejską historią.

Kampania francuska Prus zakończyła się klęską. Deszcz, chłód, braki w zaopatrzeniu, a zwłaszcza czerwonka szalejąca wśród żołnierzy zmusiły pruskie wojska do odwrotu. Prusy straciły dwanaście tysięcy żołnierzy, nie stanowiło to jednak powodu do zmartwień dla Fryderyka Wilhelma II. Do swej kochanki pisał: „Odnosić sukcesy, a mimo to nie posuwać się naprzód, to przedziwne położenie, które stało się jednak naszym udziałem. Ciągle rozmyślając, doprowadziłem się niemal do szaleństwa, lecz dzięki Bogu w głowie mej nie powstały wątpliwości... Od chwili otrzymania Pani listu jestem pocieszony i pogodny, i to bardziej niż po wygranej bitwie”.

Jedyną bitwą wygraną przez Prusy podczas owej kampanii było odbicie Frankfurtu, który okupowali Francuzi. Zwycięstwo to stanowiło dla Fryderyka Wilhelma okazję do długiego świętowania, obejmującego zaliczanie rozmaitych miejscowych panien, z których w jego pamięci na dłużej zapisały się siostry Sarasin, markiza de Pourpi oraz „pewna brunetka, której imienia nie znam”.

Na skraj szaleństwa doprowadziła natomiast nienasyconego pruskiego króla córka patrycjusza Zofia Bethmann-Metzler, przypuszczalnie z tego powodu, iż wszelkie zabiegi ze strony monarchy pozostawiała bez odpowiedzi. Choć zaloty te trwały niemal dwa lata - Zofia wyszła później za mąż za posła Joachima von Schwartzkopfa - Wilhelmina jak zawsze okazała się wyrozumiała wobec swego kochanka: „Jesteście jak ci dawni bohaterowie, którzy doskonale umieli łączyć wojnę i miłość...”. Dopiero gdy Fryderyk Wilhelm

93

pojął niegodziwość swego postępowania, pełen skruchy zwrócił się do swojej wieloletniej

kochanki: „Jakaż istota może być ze mną szczęśliwa. Na wszystkich sprowadzam nieszczęście. Przyjdź mi, Pani, ze swą radą na pomoc”.

Bezgraniczny egoizm króla i jego idiotyczne uzależnienie od kontaktów z duchami zaczęły w międzyczasie tak już Wilhelminę denerwować, że w 1795 roku opuściła Prusy, i to na długo. Dokładne przyczyny jej wyjazdu nie są znane. Ponoć posunięcie takie doradził jej królewski lekarz przyboczny i tajny radca Brown ze względu na podupadające zdrowie. Zalecił kurację w uzdrowiskowych kąpieliskach Pizy. Wilhemina udała się tam, jednak tylko na kilka dni. Większość czasu spędzała w Rzymie i Neapolu. Z tego względu pojawiły się plotki, że powodem jej przenosin do Włoch była miłość lub fakt, że tam ulokowała swoją gotówkę. A tak naprawdę sam Fryderyk Wilhelm osobiście nadzorował przygotowania do tej podróży i pokrył wszystkie jej koszty, a te były niemałe.

Madame Rietz, która od czasu swej młodzieńczej wyprawy do Paryża nie wypuszczała się dalej niż do Hamburga czy Moguncji, podróżowała iście po królewsku. Towarzyszyli jej poeta dworski Filistri de Caramon-dari jako marszałek podróży, Joanna Małgorzata Chappuis jako dama do towarzystwa, sekretarz Steinberg oraz czworo służących, czyli połowa jej standardowego personelu w Poczdamie i Berlinie, do którego należeli kamerdyner Heberer, królewscy kucharze Julius i Naumann, fryzjer Witzen-dorf, myśliwy Freiwald, pokojówka panna Bandemer oraz dwie wychowawczynie — madame Barenprung i madame Calvi.

Caramondari miał zapewniony stały etat podróżny, a Wilhelmina otrzymała od Fryderyka Wilhelma podpisaną przez niego *carte blanche*, adresowaną do najważniejszych bankierów Mediolanu, Florencji, Livorno, Rzymu i Neapolu. „Uwodzicielski papier” - uważała madame Rietz - „jednak król znał mnie już i wiedział, że nie jestem zdolna do jakichkolwiek nadużyć”. Podkreślała, że nie wykorzystwała otrzymanego od pruskiego króla dokumentu, który umożliwił jej podjęcie w różnych bankach dowolnej kwoty. Przemilcza przy tym jednakże fakt, że podczas swej wakacyjnej podróży narobiła ogromnych długów, które dopiero wiele lat później zostały spłacone przez następcę tronu.

Bardzo niewiele osób wiedziało o tym, że Fryderyk Wilhelm zlecił swej kochance zadanie kupowania starożytności, rzeźb i obrazów. Gust Wil-

94

helminy był równie wykwintny co jej wykształcenie, a przede wszystkim był identyczny z upodobaniami króla, co stanowiło jedną z silnych podstaw ich trwającego ćwierć wieku związku. Wilhelmina miała swój udział w urządzaniu Pałacu Marmurowego, ślady jej ręki noszą elementy Oranżerii, uchodziła również za inicjatorkę powstania pałacyku na berlińskiej Pawiej Wyspie, o którego kształcie miała również decydować.

I tak, mając możliwość bezpośredniego kontaktu ze sztuką starożytnego Rzymu, wpadła w zachwyt nad sięgającą dwóch tysięcy lat historią miasta, dwie godziny bezskutecznie poszukiwała miejsca, gdzie pod ciosami sztyletów padł Juliusz Cezar, którego nazwiska nie umiała poprawnie napisać, nabawiła się kataru w Kaplicy Sykstyńskiej, a w Więzieniu Mamertyńskim wysłuchiwała odczytywanej przez Caramondariego historii tego legendarnego miejsca.

Przeziębienie miała nadzieję wyleczyć podczas pobytu w ciepłym Neapolu, gdzie wraz z całym swym towarzystwem zamieszkała w położonym przy porcie hotelu Alle Crocelle, skąd rozpościerał się niesamowity widok na zatokę, który oczarowywał w równym stopniu malarzy i poetów. Swej damie do towarzystwa Chappuis podyktowała następujące słowa: „Staliśmy przy oknie i napawaliśmy się cudownym widokiem. Przed nami morze, w tle wyspa Capri, po prawej przylądek Miseno, po lewej zamek dell'Ovo, a w oddali otulony mgłą Wezuwiusz. Morze było burzliwe. Wszystko to wprawiło nas w melancholijny nastrój i zadumę nad przyszłością”. Czyżby Wilhelmina miała jakieś przeczucie?

W międzyczasie nawet z daleka udawało się jej utrzymać wpływ na króla. Z wyjątkowym sprytem relacjonowała mu w swoich listach coraz częstsze kontakty z duchami oraz otrzymywane od nich wiadomości, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że będą one stanowić podstawę działania Fryderyka Wilhelma. Jej brat Carl Enke stworzył na linii Poczdam -Neapol służbę kurierską, która była w stanie w ciągu kilku dni dostarczyć list z południa Włoch do Prus. Obok ducha Aleksandra kontaktowała się teraz również z pomocniczym duchem „wielebnego ojca” oraz innych „misjonarzy z wybrzeży Malabaru*”, a król nie mógł się wręcz doczekać ich kolejnych przesłań. Do każdego prywatnego listu dołączał jak najbardziej oficjalne pismo w języku francuskim, w którym zapytywał duchy Wilhelminy o ich zdanie na temat

* Południowo-zachodni rejon Półwyspu Indyjskiego.

95

sojuszu z Austrią czy Rosją. Wilhelmina odsyłała pocztą odwrotną odpowiedzi na pytania, które znała, a odpowiedzi na te, które wydawały jej się drażliwe, odsuwała w czasie, informując, że „wielebny ojciec” wobec tej czy innej kwestii przyjmie stanowisko dopiero w drodze powrotnej w Wiedniu.

Kurierzy, którzy przewozili ową osobliwą korespondencję, nie mieli oczywiście pojęcia, jak ważną dla historii Europy rolę pełnią, a Wilhelmina żyła w ciągłym strachu, że przez przypadek ujawniona zostanie treść jednego z tajnych pism. Miała całkowitą świadomość idiotyzmu sytuacji, jednak jednocześnie wiedziała, że gdyby sama nie zaspokajała królewskiej potrzeby kontaktu ze zjawami, Fryderyk Wilhelm znalazłby sobie inne duchy, co mogłoby przynieść Bóg wie jakie konsekwencje.

W każdym razie udawało jej się w ten sposób nawet z oddali wpływać na życie miłosne monarchy, gdyż po krótkiej fazie „okropnej czystości” Fryderyk Wilhelm znów krążył jak głodny wilk wokół stada rozkosznych owieczek. Głównym obiektem jego pożądania była teraz dziewiętnastoletnia statystka operowa Zofia Schulzki, ewidentnie mulatka, „czarno-brązo-wa, prosta jak świeca, dobra, zacna i uczciwa”. Król prosił, by Wilhelmina jak najszybciej spytała swoich duchów, czy wolno mu oddać się przemożnemu pożądaniu, tym bardziej że owa miłość nie jest tylko zmysłowa. Bez względu na to, jaka będzie decyzja, on się jej podporządkuje.

Kobieta nigdy nie ma takiej władzy nad mężczyzną, jak wówczas, gdy ten udaje się w konkury. W związku z tym Wilhelmina od początku trzymała króla w niepewności. Powiadomiła go, że żaden z kolejno zapytywanych duchów nie zgłosił do tej pory

gotowości zajęcia stanowiska w tej sprawie.

Odpowiedź króla: „Od kilku dni mam moją przyjaciółkę przy sobie. Nie mogłem już podać jej żadnego powodu, dla którego nie miałbym jej wziąć do siebie. Dzień i noc jesteśmy razem, ale jak brat i siostra, choć kochamy się serdecznie... Ten rodzaj miłości jest bardzo męczący, lecz nie chcę się skarżyć. Spraw jednak Pani, by nie trwało to już długo...”.

A Wilhelmina milczała.

Król: „Jeśli na pozwolenie czekać będzie trzeba jeszcze długo, wyczerpią się moje siły. W końcu jestem tylko człowiekiem!”.

A Wilhelmina wciąż milczała.

Król: „Ta dobra dziewczyna zachowywała się bardzo grzecznie podczas tych trzech czy czterech tygodni, odkąd razem mieszkamy, i nie okazywała

96

najmniejszego niepokoju czy niecierpliwości z tego powodu, że wciąż jeszcze tak naprawdę nie żyjemy razem, jak to jest w zwyczaju...”.

W końcu Wilhelmina odpowiedziała, że duch Aleksandra udzielił pozwolenia na stosunek seksualny króla z czekoladowobrazową aktorką Zofią Schulzki. Raczył jednakże zwrócić uwagę, że żadna obca kobieta nigdy nie powinna zająć jej, czyli Wilhelminy, miejsca w królewskim sercu.

Bardzo sprytnie to zaaranżowała. Wiadomość od ducha nie znaczyła nic innego, jak to, że Fryderyk Wilhelm może sypiać, z kim zechce, jednak najważniejsze miejsce nadal należy się Wilhelminie. A Zofia, statystka z opery, grzecznie podziękowała listownie za okazaną łaskę.

Król po skonsumowaniu związku z aktorką: „To kochane dziewczę tak bardzo mi się podoba. Gdybym sam ją sobie stworzył, nie mogłaby mi się lepiej udać...”.

Wilhelmina ze swej strony, nawet jeśli wobec króla starała się sprawiać takie wrażenie, z pewnością nie żyła jak zakonnica. Hrabiowie i książęta, lordowie i markizowie zabiegali o jej względy, a fama kochanki pruskiego króla czyniła Wilhelminę szczególnie atrakcyjną. Rozkoszowała się miłosnymi zalotami, które we Włoszech, inaczej niż w Prusach, mogły odbywać się bez skrytości. Markiz Vivoldi zabrał madame Rietz z najwidoczniej zbyt skromnego hotelu przy porcie do swojej rezydencji, co wcale nie przeszkodziło Wilhelminie zadawać się z innymi arystokratami.

Podczas gdy większość z nich ograniczała się w swych zalotach do składania madame Rietz propozycji matrymonialnych, dwóch panów walczyło o nią naprawdę zażarcie. Byli to kawaler de Saxe oraz Fryderyk August Hervey, lord Bristol. Wilhelmina z obydwojma utrzymywała intymne stosunki. Kawaler de Saxe był synem Ksawera, księcia Saksonii*. Mieszkał w Neapolu, gdzie później

* A jednocześnie księcia polskiego, gdyż Franciszek Ksawery Saski (1730-1806) był synem króla Polski Augusta III Sasa. Po śmierci swego brata, Fryderyka Krystiana Wettyna, który był w 1763 roku najpoważniejszym kandydatem na polskiego króla, lecz zmarł na ospę, sprawował (wraz z bratową, wdową Marią Antoniną Walpurgis Bawarską) regencję w Saksonii aż do uzyskania pełnoletności przez bratanka. W październiku 1765 roku wbrew woli bratowej zrzekł się formalnie korony polskiej

na rzecz Stanisława Augusta Poniatowskiego. Bratanek Franciszka Ksawerego bezskutecznie starał się o odzyskanie dla Sasów korony polskiej, a jako August Fryderyk III był na podstawie Konstytucji Księstwa Warszawskiego księciem warszawskim w latach 1807-1815. Franciszek Ksawery miał ze swą żoną, damą dworu bratowej, dziewięcioro dzieci. Józef, zwany kawalerem de Saxe, urodził się w roku 1767.

97

został gubernatorem, którym był do roku 1802, kiedy to zginął w Cieszynie w pojedynku z pewnym rosyjskim księciem. Natomiast lord Bristol cieszył się sławą najdziwacznego lorda stulecia i wielkiego kobieciarza. Przed uzyskaniem tytułu szlacheckiego, który zawdzięczał raczej swemu legendarnemu majątkowi niż szlacheckiemu zachowaniu, ten niezwykle człowiek nosił skromne nazwisko Fryderyk August Harvey. W osiemnastowiecznej Anglii powiadano, że Bóg stworzył mężczyzn, kobiety i Harveyów. W każdym razie Harvey mógł pochwalić się romansami z najszlachetniejszymi kochankami stulecia, czyli z Wilhelminą Enke oraz lady Emmą Hamilton*.

Z zawodu był biskupem Derry, jednak nie znajdował w tym powołaniu spełnienia, a nieustanne modlitwy wcale mu nie odpowiadały, gdyż nad zasady moralne zawsze przedkładał życie w luksusie. We Włoszech podobały mu się antyczne kolumny i marmurowe posągi przedstawiające starożytne piękności, które gromadził tak, jak inni zbierają muszki na plaży, by wysłać je potem statkiem do ojczyzny, aby ozdobiły jego rezydencję. Mógł sobie na to pozwolić, gdyż posiadał najbogatszą angielską diecezję, która zapewniała mu corocznie milionowe dochody.

W jednej z najbardziej wytwornych dzielnic Rzymu posiadał willę, w której nieustannie kręciło się eleganckie towarzystwo, czasami również nieco szemrane, w każdym razie takie towarzystwo znaczyło dla niego więcej niż wszyscy pobożni kardynałowie, których zresztą w Rzymie było na pęczki. Poza tym to właśnie lord Bristol wprowadził na salony kolekcjonera i badacza starożytności sir Williama Hamiltona, a przede wszystkim jego piękną jak z obrazka żonę Emmę, z domu Lyon**. Choć Hamilton był brytyjskim posłem w Neapolu, bez lorda Bristola życie dyplomatyczne u stóp Wezuwiusza byłoby nieporównanie bardziej monotonne.

* Kochanka Horatia Nelsona, najszlachetniejszego admirała w historii floty brytyjskiej, który w 1805 roku rozgromił połączone floty hiszpańską i francuską w bitwie pod Trafalgarem, sam zostając śmiertelnie ranny.

** Amy Lyon pochodziła z nizin społecznych, zrobiła karierę, będąc kochanką wpływowych mężczyzn. Jeden z nich przedstawił ją swemu wujowi sir Williamowi Hamiltonowi. Emma została kochanką starszego o trzydzieści pięć lat lorda, a następnie jego żoną, co wywołało ogromny skandal wśród brytyjskiej arystokracji. Mąż tolerował trwający od 1798 roku związek swej pięknej żony, uważanej za Marilyn Monroe owych czasów, z admirałem Nelsonem, ponoć nawet zachęcał ją do romansu z narodowym bohaterem.

Wesoły biskup zapoznał Wilhelminę z lordem i lady Hamilton, którzy posiadali letnią rezydencję w Casercie. Madame uważała lorda za nieco surowego arystokratę o miłych cechach. Różnica wieku między małżonkami była taka, że lord Hamilton mógłby być co najmniej ojcem lady Hamilton, jednak małżeństwo to przynajmniej na zewnątrz wyglądało na bardzo udany związek.

Piękna lady Hamilton, o ponad dziesięć lat młodsza od Wilhelminy, wzbudziła w kochance pruskiego króla prawdziwy zachwyt. Madame Rietz relacjonowała Fryderykowi Wilhelmowi: „To anioł, posiada nie tylko piękny wygląd, lecz również piękną duszę. Ma mnóstwo talentów, śpiewa jak anioł, a pozy, jakie przybiera [przestawiając żywe obrazy], są najpiękniejsze i najwdzięczniejsze, i wszystkie wzorowane są na figurach, które odnaleziono w Herculanium”. Te dwie uwielbiane przez mężczyzn kobiety zaprzyjaźniły się. Wilhelmina sprowadzała nawet z Berlina kosztowne prezenty dla podziwianej przez siebie przyjaciółki.

Lady Hamilton uchodziła za zaufaną przyjaciółkę królowej Neapolu, Karoliny, arcyksiężniczki austriackiej, córki Marii Teresy. Prawdopodobnie dumna królowa nie chciała przyjmować zwykłej mieszczki, jaką była madame Rietz, nawet jeśli jednocześnie była kochanką króla Prus. Wilhelmina mogła poczuć się urażona. Być może jednak to dopiero lady Hamilton zachęciła ją, by wymusiła na Fryderyku Wilhelmie tytuł szlachecki, który zapewniał wstęp na wszystkie włoskie, i nie tylko, dwory.

W pilnym tonie pisała do króla: *Wisza Królewska Mość doskonale wie, że osobiście nie przykładam żadnej wagi do głupich i próżnych zasad dworskiej etykiety. Jednak w niezręcznym położeniu stawia mnie już samo to, że me własne dzieci dzięki łasce Waszej Królewskiej Mości zostały wyniesione do godności szlacheckiej, podczas gdy ja wciąż jeszcze należę do prostego stanu mieszczańskiego.*

Pruski król niezwłocznie spełnił prośbę kochanki i zaproponował tytuł „comtessy Lichtwert albo jakoś tak”, mogła ona też przybrać nazwisko od nazwy jednego z majątków ich wspólnej córki Fryderyki Dyderyki: Lichtenau. Wilhelmina Rietz, z domu Encke, zdecydowała się na nazwisko von Lichtenau.

W liście do Wilhelminy z 27 kwietnia 1796 roku Fryderyk Wilhelm II pisał: *Dziś rano załatwiłem już w departamencie wszystko w związku z Pani tytułem i zmianą nazwiska na hrabinę von Lichtenau, a także w związku*

99

z herbem, zaraz prześle wszystko pocztą Carla. Dyplom szlachecki wystawiłem z datą Anno 94. Choć jestem przekonany, że niewiele wart jest dla osoby, której nie interesują takie głupstwa, doskonale rozumiem, że w Pani doczesnym położeniu był konieczny, choćby ze względu na dobro Fryderyczki...

Wielu zastanawiało się, dlaczego Wilhelminie akurat w tym momencie zależało na przynależności do stanu szlacheckiego. Miała czterdzieści trzy lata, a jej pozycja towarzyska była lepsza od pozycji niejednej hrabiny. Nawet jeśli rzekome uprzedzenia królowej Karoliny rzeczywiście miały miejsce, a nie stanowiły jedynie wymyślonego, choć użytecznego pretekstu, to i tak znalazłyby się z pewnością bardziej ważne powody do podjęcia przez Wilhelminę takich starań. Kobieta tak inteligentna jak madame Rietz doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wyniesiona do stanu szlacheckiego

parweniuszka zawsze będzie się znajdować między młotem a kowadłem. Arystokracja będzie ją traktować z wyższością i wyśmiewać, a mieszczaństwo zdystansuje się do niej, będzie jej zazdrościć i szydzić z niej. To samo spotkało też hrabinę Wilhelminę von Lichtenau.

Podczas gdy ona siedziała sobie ramię w ramię z lady Hamilton na parkowej ławeczce i przysłuchiwała się sprośnym wersom wyśpiewywanym podczas śródziemnomorskiej nocy przez szalonego biskupa lorda Bristola, w Berlinie i Poczdamie przybijano do drzew ulotki o następującej treści: „Ostrzeżenie dla hrabiny von Lichtenau, uprzednio herbu cytryna i sosnowa szyszka. Uciekaj, kochanico, uciekaj! Grom sprawiedliwości wstrząśnie wkrótce twym lubieżnym, a od niedawna szlachetnie urodzonym uchem...”. Wilhelmina nic jednak o tym nie wiedziała. Przepuszczalnie o wiele ważniejsze było dla niej to, że wraz z uzyskaniem tytułu szlacheckiego pozbyła się starego nazwiska, a jednocześnie zakończyła zawarty wyłącznie dla pozorów związek małżeński z szambelanem Rietzem. Inaczej mówiąc, Wilhelmina była wolna.

Jak można się było spodziewać, szalejący z miłości biskup wykorzystał tę okazję do zdwojenia swoich wysiłków w celu zdobycia pięknej Wilhelminy. Żarliwy wielbiciel gotów był sięgnąć po każdy sposób, by wtargnąć w życie hrabiny von Lichtenau. Odpowiednim do tego środkiem wydawał mu się nawet jego własny syn. Bristol zaproponował, że ożeni go z szesnastoletnią wówczas córką Wilhelminy Fryderyką Dyderyką, i niczym doświadczonej swatki wychwalał zalety młodzieńca: „Ma doskonałe wyczucie towarzyskie, literackie i polityczne, jego oblicze jest piękne i pełne wyrazu,

100

jest błyskotliwy, obdarzony naturalnym darem wymowy, angielską skromnością i powściągliwością, oraz dumą godną ojca i przodków”.

Aby młody człowiek wiedział, co go czeka, Wilhelmina miała zlecić dreźnieńskiemu malarzowi Antonowi Graffowi, wykładowcy na tamtejszej Akademii oraz najważniejszemu portreciście owych czasów (według własnych obliczeń namalował w sumie 1500 portretów), uwiecznienie wizerunku Fryderyki Dyderyki w oleju. Lord Bristol określił również dokładnie, jaki ma to być portret: „Powinna zostać przedstawiona w całkowitym dezabilu [czyli jak najbardziej naga] oraz zasadniczo bez nakrycia głowy. Ramię powinna opierać na pięknym kominku, tak jak podczas prowadzenia konwersacji. Dzięki temu będziemy w stanie zobaczyć i w spokoju ocenić jej oblicze, wyraz jej twarzy, wzrost, postawę oraz wszystko inne”. Pomimo perfekcyjnego planu ojca potencjalnego narzeczonego ze związku dzieci Wilhelminy i lorda nic nigdy nie wyszło.

Być może właśnie owo zbyt perfekcyjne planowanie szalonego biskupa Derry tak przerażało Wilhelminę, że w ostatecznym rozrachunku nigdy nie powiedziała „tak”, nawet gdy bezustannie zasypywał ją propozycjami. Zwariowany lord wszystko z góry planował, a jest to cecha, która nie wszystkim kobietom odpowiada. Kobieta taka jak hrabina von Lichtenau, obdarzona silnym charakterem, od najwcześniejszej młodości przyzwyczajona do decydowania o sobie i swoim życiu, była raczej sceptyczna wobec obliczeń i kalkulacji lorda, nawet jeśli momentami były rzeczywiście wzruszające. I tak na przykład lord Bristol wybudował dla Wilhelminy w swej ojczyznej Anglii ścieżkę do popołudniowych

spacerów i był też jedyną osobą, która po otrzymaniu wiadomości o ciężkiej chorobie pruskiego króla zatroszczyła się o zabezpieczenie na starość dla uwielbianej hrabiny.

Pomimo owych pozytywnych cech lord Bristol, który dzień i noc nosił na szyi ozdobiony brylantami medalion z wizerunkiem Wilhelminy, pozostawał filutem. A filut nie był dla Wilhelminy odpowiednim mężczyzną. Choćby po tysiackroć przysięgał miłość swej „godnej uwielbienia przyjaciółce”, hrabina von Lichtenau wiedziała, że nigdy nie byłaby jedyną kobietą u jego boku. Poza tym był żonaty, a Wilhelmina miała już dosyć bycia konkubiną. Z tego powodu odrzuciła również ostatnią ofertę ze strony lorda noszącą datę 5 października 1796 roku. Z pewnością jest to najbardziej kuriozalna propozycja, jaką kiedykolwiek angielski lord złożył pruskiej hrabinie:

101

Uwielbienia godna Przyjaciółko!

Niech wejrzy Pani, ukochana, najukochańsza przyjaciółko, czy się Panią nie zajmuję! A dopiero potem proszę czynić mi wyrzuty dotyczące aktów niewierności, czynów, jakich nie popełniam i nie popełnię, ani z naturalnego upodobania, ani powodowany nastrojem, czy też wskutek uwiedzenia. Choć serce me całe jest Pani oddane, proszę jednak nie sądzić, że ma Pani prawo do mego pericardium (niech Pani poprosi dr. Browna o wyjaśnienie!). Przyznaję Pani całkowite i wyłączne panowanie nad wszystkimi uczuciami mego serca, jednak w swym wnętrzu muszę także zostawić coś dla innych. Nie ma Pani na przykład prawa do mojej dobroczynności, a także życzliwości dla innych. Nie ma Pani władzy nad moją gościnnością ani praw despoty wobec mej wdzięczności. Moje serce to wielki, i rzec mogę, rozległy zamek, którego główny korpus poświęcony jest Pani i tylko Pani, każda komnata ozdobiona jest Pani imieniem, Pani zachwycającą osobowością, Pani subtelnością i dowcipem, jednak, kochana przyjaciółko, musi mi być wolno w przyległych budynkach gościć tych, którzy mnie kochają, Dennisów, Hamiltonów, a nawet Odelów, tak jak w schronisku przy klasztorze mieszkać mogą głusi, jednoocy, ślepi i chromi.*

Po tej dygresji niech pozwoli mi Pani powrócić do mych wilhel-mińskich spraw.

Dla Pani kazałem zbudować zachwycającą, wysypaną najlepszym piaskiem ścieżkę, by mogła Pani odbywać tam swe popołudniowe spacery

Kazałem pięknie wyszykować główną drogę na górę, by mogła Pani nią jeździć swoim ślicznym powozem.

Zacząłem drugą ścieżkę spacerową, w ramach wspomnianej, a mianowicie na krótsze wieczory, gdy słońce opisuje na niebie mniejszy łuk niż w okresie letniego przesilenia.

A przede wszystkim dopiero co otrzymałem długi list od mojego pełnomocnika w Londynie. Píše, iż niedaleko od Londynu można

* Pericardium - z łac. osierdzie (worek osierdziowy) - podwójna workowata błona surowicza obejmująca serce.

nabyć wspaniałą posiadłość, która przynosi co najmniej 4 procent rocznie, tzn. że ze 100 000 funtów szterlingów mielibyśmy roczny dochód w wysokości 4000 funtów szterlingów, a ponadto piękny zamek, ogród, oranżerie oraz angielski park zamieszkały przez śliczne daniele. Niech się Pani zastanowi, czy to Pani odpowiada i czy da się to zrobić.

Kochana, godna miłości i czuła przyjaciółko, bądź zdrowa!

Twój beztroski, lecz zawsze troskliwy Bristol.

Pomimo odmownej odpowiedzi ze strony hrabiny Lichtenau lord Bristol wciąż się nie zrażał. Pojechał za Wilhelminą, gdy zaalarmowana złym stanem zdrowia pruskiego króla powróciła do Berlina wcześniej, niż planowała. „Wysięk opłucny” - brzmiała mglista diagnoza królewskiego lekarza przybocznego dr. Browna. „Straszliwy ból głowy, gorączka cały dzień, krople i proszki nic już nie pomagają” - relacjonował Fryderyk Wilhelm, który był tak osłabiony, że zdarzało mu się zasnąć przy pisaniu listów.

Dopiero obecność Wilhelminy złagodziła chorobę. Czekoladowa statystka operowa i wszystkie inne damy, które z chęcią adorowały króla, poszły nagle w zapomnienie. Ciągający w ślad za hrabiną Lichtenau lord Bristol zalecił uzdrawiającą kurację w Bad Pyrmont, gdyż jego kolega po fachu, biskup Winchester, wyzdrowiał tam z „gorączki trzydniowej”, podstępnej choroby, której nigdzie indziej nie można było wyleczyć. Zakochany do szaleństwa lord Bristol zaoferował nawet królowi, który kurował się incognito jako hrabia von Hohenstein, apartament, jaki poprzedniej zimy przezornie wynajął na gniazdko miłosne dla siebie i Wilhelminy.

Pragnąc uniknąć wywołania choćby najmniejszego skandalu, lord Bristol trzymał się w Berlinie w odpowiedniej odległości od hrabiny Lichtenau, jednak nie udało mu się ukryć przed chorym królem swych intencji. Fryderyk Wilhelm potrzebował teraz Wilhelminy bardziej niż kiedykolwiek przedtem, i w związku z tym zaprosił szalonego biskupa Derry na prywatną audiencję, by raz na zawsze wyjaśnić mu, że Wilhelmina) *estjego* konkubina i że zakazuje mu jakichkolwiek dalszych z nią kontaktów.

103

Choć lord Bristol nie był już młody, w przeciwieństwie do pruskiego króla był zdrów jak ryba oraz pewien, że wkrótce rywal na zawsze ustąpi mu pola. Nie należał do pokornych i na pożegnanie cisnął Fryderykowi w twarz następujące słowa: „Jego Królewskiej Mości życzę zdrowia i cieszę się, że wracam do mego pięknego Neapolu, gdzie księżyc więcej daje ciepła niż berlińskie słońce”.

Tak naprawdę lord Bristol wcale nie udał się do Neapolu, lecz jak kot polujący na mysz, zawsze gotów do skoku, krążył w pewnej odległości wokół hrabiny, najpierw przebywając w Saksonii, a następnie w Austrii, skąd wysyłał tajne wiadomości. Przy tym miał się każdego sposobu, by obrzydzić Wilhelminie króla. Szydził, że nie może pojąć, czemu zwykle tak współczujący człowiek jak Fryderyk Wilhelm II pozostaje w całkowitej obojętności wobec losu kobiety, którą niewoli od dwudziestu lat. Jeśli król umrze, ona skończy w biedzie i zapomnieniu. „Jednak bądź pewna, kochana Wilhelmino, że gdy Twój stary przyjaciel pozostawi Cię na łasce losu, Twój nowy przyjaciel (...) tak nie uczyni, (...) że gdybyś stanęła przed wyborem, czy umrzeć w Berlinie, czy żyć w

Londynie, oferuję Ci w dowód mej przyjaźni oraz jako marne wynagrodzenie Twych szlacheckich zalet roczną rentę w wysokości tysiąca pistoli".

Takt nie był mocną stroną lorda Bristola. Jednak mężczyźni niespełnieni w szaleńczej miłości rzadko są taktowni. Harvey ułożył nawet epitafium dla hrabiny Lichtenau, z którego treścią ją zaznajomił: „Tu spoczywa ofiara dwudziestoletniej przyjaźni, na powrót wskrzeszona dzięki przyjaźni dwudziestomiesięcznej”.

Lord Bristol z podejrzliwością przyglądał się również sympatii, jaką hrabina Wilhelmina von Lichtenau okazywała swemu rzymskiemu przewodnikowi Aloysowi Hirtowi, uczonemu profesorowi sztuk pięknych i etnologii. Hirt przez dwanaście lat prowadził w Rzymie naukowe badania, utrzymując się ze skromnych przychodów z odziedziczonego majątku, a także pracując jako przewodnik po mieście dla wyższych sfer. Właśnie w tym charakterze poznał hrabinę von Lichtenau i już pierwszego dnia zakochał się w pięknej damie z Prus.

Wilhelmina w pełni odwzajemniła to uczucie, a nawet bez wahania poddała się życzeniu profesora, by w uwodzicielskiej pozie pozować do portretu: ubrana na białą, z odsłoniętymi ramionami oraz lekko uniesioną suknią, siedząc na tle opustoszałego krajobrazu z rzymskimi ruina-

104

mi w oddali. Autorką portretu mogła zostać tylko mieszkająca w Rzymie Angelika Kaufmann*, która skończyła malowidło w ciągu kilku dni. Hirt był zachwycony.

Gdy Wilhelmina powróciła do Berlina, zorganizowała przyjazd Hir-ta pod pretekstem, że dla takiego mądrego umysłu zawsze znajdzie się na pruskim dworze zajęcie, czy to w roli wychowawcy, czy też, co bardziej odpowiadałoby samemu Hirtowi, „w roli dyrektora urzędu budownictwa, rektora akademii sztuk lub członka uczonego towarzystwa”.

Sama hrabina niewiele pisała o swojej relacji z Hirtem. Ten w każdym razie zachwycał się w listach swą wybranką: „Dzielić z Panią mieszkanie i stół, a nawet tylko podążać za Panią w podróży - czegoż więcej mogłaby pragnąć ma wrażliwość, cóż innego lepiej pozwoliłoby rozkwitnąć mej fantazji?”.

Lato 1796 roku Hirt spędził w Berlinie samotnie, gdyż Wilhelmina przebywała z królem na kuracji w Bad Pyrmont. Gdy jesienią powrócili do Poczdamu, wydawało się, że stan monarchy poprawił się. Zimna i wilgotna jesień nad Sprewą okazała się jednak dla Fryderyka Wilhelma zbyt dużym obciążeniem, więc Wilhelmina namówiła króla do natychmiastowego powrotu do Bad Pyrmont, tym razem już nie incognito, lecz jak najbardziej oficjalnie. Książę Fryderyk von Waldeck zaoferował dostojnemu gościowi i jego konkubinie do zamieszkania swój pałac w Pyrmont. Wilhelmina organizowała tam hulaszcze przyjęcia oraz występy teatralne, sprowadzając aktorów z Hamburga.

Stan zdrowia króla znowu uległ poprawie, a Wilhelminie tak spodobał się pałac Waldeck, że monarcha rozpoczął z księciem poważne negocjacje dotyczące odkupienia posiadłości. Zadłużonemu księciu, któremu wierzyciele siedzieli już na karku, było to jak najbardziej na rękę, wręcz nie mógł się doczekać sfinalizowania transakcji. Jednak mimo słabego zdrowia Fryderyk Wilhelm zachował jasność umysłu i uznał, że zakupu na rzecz Wilhelminy dokona dopiero wówczas, gdy w Europie znów zapanuje spokój.

* Mieszkająca wówczas w Rzymie słynna szwajcarska malarka i portrecistka, która wcześniej, m.in. w Londynie, malowała portrety członków dworu i arystokracji, w tym wielu Polaków. W jej obrazach widać wpływ sztuki antycznej oraz angielskiej.

105

Książę von Waldeck pisał do hrabiny von Lichtenau: *Król się wypowiedział, a mnie pozostaje jedynie milczeć i jak najuniżeniej dziękować za to, że raczył przemówić. Ale czyż nadużyłbym Jego dobroci, łaskawa Pani, gdybym zwrócił Pani uwagę na to, że zbyt długie wahanie pozbawi mnie działania wielkodusznej dobroci monarchy, polegającego na wyrwaniu mnie z otchłani, w którą z pewnością strąci mnie szereg nieprzyjaznych okoliczności? Wystarczyłoby jedno słowo Jego Królewskiej Mości, by dodać mi otuchy do oczekiwania na jakiś późniejszy moment. Samo Jego słowo uspokoiłoby moich wierzycieli. Bez tego słowa będą mnie atakować ze wszystkich stron i pozbawią mnie możliwości korzystania ze wspaniałomyślności znakomitego pana. Odważam się zaklinać Cię, Pani, piękna i godna uwielbienia hrabino, byś poddała Jego Królewskiej Mości pod rozagę straszliwe położenie, w jakim się znajduję. Wystarczyłoby, gdyby obiecał, że w ciągu roku od dnia dzisiejszego zaczniesz ze mną negocjacje, a byłbym uratowany. A tylko w ten sposób mogę zostać uratowany...*

Pruskiego króla niewiele obchodziła sytuacja finansowa księcia. Ten jednak, doprowadzony do ostateczności brakiem wyjścia z owego położenia, uknuł nowy plan. Książę Fryderyk von Waldeck nieoczekiwanie wyznał hrabinie von Lichtenau swoją miłość. Wkrótce potem poprosił ją o rękę.

W zwykłej sytuacji propozycja małżeństwa nie zrobiłaby na Wilhelminie większego wrażenia. Takich ofert otrzymała już zbyt wiele, wszystkie je odrzucając. Teraz jednak zawahała się. Do zastanowienia się mogła ją skłonić choćby sama myśl zostania w ciągu jednego tylko roku najpierw hrabiną, a ostatecznie księżną. Posunięcie Waldecka mogło wydawać się uwłaczające jego czci, natomiast z pewnością nie było głupie. Rozumie się samo przez się, że oficjalne małżeństwo księcia von Waldecka i hrabiny von Lichtenau nie oznaczałoby końca związku Wilhelminy z pruskim królem. Niemniej jednak nic z tego ślubu nie wyszło. Bliższe okoliczności nie są znane. Dla Wilhelminy było to rozstrzygnięcie niekorzystne. Tytuł księżnej von Waldeck uchroniłby ją przed losem, jaki wkrótce stał się jej udziałem.

Powracający z kuracji Fryderyk Wilhelm II i jego kochanka przyjmowani byli tak, jakby wracali co najmniej z wyprawy krzyżowej do Ziemi Świętej. A wracali przecież tylko z Pymont. Dzwoniły wszystkie dzwony, z blanków rozbrzmiewały trąbki, ludzie tańczyli na ulicach, karmiono ubogich, wy-

106

stawiano opery, organizowano pokazy sztucznych ogni, a w Sali Targowej odbyło się uroczyste przyjęcie na 500 osób. Królowa usprawiedliwiła swą nieobecność niedyspozycją, gdyż po prostu nie potrafiła zdzierżyć występującej u boku jej własnego męża pewnej siebie hrabiny von Lichtenau.

Wilhelmina pojawiła się na kolacji w białej zwiewnej sukni w stylu greckiej muzy, z odsłoniętymi ramionami. Fryderykowi Wilhelmowi oraz licznemu gronu obecnych na sali wielbicieli hrabiny wręcz zaparło dech w piersiach, gdy Wilhelmina około północy odśpiewała swe własne pieśni z towarzyszeniem dworskiej orkiestry. Profesor Aloys Hirt, który zaprojektował dla Wilhelminy ów grecki strój, podał jej laurowy wieniec, a Fryderyk Wilhelm II ucałował jej dłoń. Gdy zażądał, by jego syn i następca tronu uczynił to samo, doszło do skandalu. Młody Fryderyk Wilhelm nie chciał spełnić woli ojca. Król pochylił go siłą i zmusił do pocałowania dłoni znenawidzonej metresy.

Zajście to pozwalało przypuszczać, że hrabina Wilhelmina von Lichtenau nie może oczekiwać niczego dobrego po śmierci króla. A ponieważ po krótkim okresie stabilizacji jego stan zdrowia uległ gwałtownemu pogorszeniu, Fryderyk Wilhelm zaczął coraz częściej myśleć o zabezpieczeniu przyszłości swojej kochanki. Renty i darowizny miały wątpliwą wartość już choćby dlatego, że jego następca mógł je zawiesić lub anulować. Zabezpieczony przed ewentualną konfiskatą był natomiast majątek ulokowany za granicą.

„Pragnę” - stwierdził król - „byś po mojej śmierci żyła tak, jak za mego życia”, i nakazał przekazanie do pewnego holenderskiego banku kwoty 500 tysięcy talarów. Lokata ta miała zapewniać hrabinie von Lichtenau roczne apanaże w wysokości 25 tysięcy talarów, co stanowiło naprawdę szczerą rentę. „W ten sposób mam nadzieję zapewnić Ci możliwość życia odpowiedniego do Twojej rangi”.

Hrabina von Lichtenau nawet bez owej darowizny taką możliwość posiadała. W postaci nieruchomości, biżuterii i dzieł sztuki zdążyła już zgromadzić majątek wart miliony. Po ślubie ich córki Fryderyki, hrabiny von der Mark, z dziedzicznym hrabią von Stolberg w marcu 1797 roku królewskim dekretem Wilhelminie przypadły w udziale dobra Lichtenau, Roftwiese, Breitenwerder, pałac Unten den Linden, a także kamienice i działki w Charlottenburgu. Holenderska transakcja finansowa króla została poza tym udaremniona przez przezornego pruskiego ministra. Choć

107

przekazał on pieniądze do wskazanego banku, zostawił je tam jednak po prostu w skrytce, nie zadając sobie trudu ustanowienia lokaty na rzecz hrabiny von Lichtenau.

Jakby przeczuwając, że życie na najwyższym poziomie i w najwyższych kręgach trwać już będzie krótko, Wilhelmina cieszyła się nim do woli, i nikt, ani królowa, ani arcyksiążę, ani żadna inna kochanka króla nie mogli kwestionować jej roli u jego boku. Poza tym Fryderyk Wilhelm II nie potrafił odmówić jakiegokolwiek życzeniu swej konkubiny. Gdyby był w pełni sił, nie zgodziłby się, by na przyjęcie do jej własnego pałacu Unten den Linden zaprosić całą dworską arystokrację, czyli także królową, arcyksięcia, księżęta i księżniczki. Naturalnie dla Wilhelminy już samo to, że królewska rodzina pojawiała się w jej domu, stanowiło bezsprzeczny triumf.

W prywatnym teatrze hrabiny von Lichteau wystawiano operę *Kleopatra* Nasoliniego. Wyraz twarzy królowej i następcy tronu pokazywał, jak przykra jest to dla nich sytuacja. Stała się ona jeszcze bardziej nieznośna, gdy Oktawia w jednej z arii użalała się nad niewiernością swego męża Marka Antoniusza. Królowa zaczęła cicho szlochać, a jej syn, arcyksiążę, wybiegł z teatru. W foyer wywijał szpadą, krzycząc tak głośno, by

usłyszała go i Wilhelmina, i król: „Ubiję tę kreaturę na miejscu!”. Po tym wydarzeniu arcyksiążę nie zamienił ze swym ojcem ani słowa.

Fryderyk Wilhelm II i hrabina von Lichtenau coraz bardziej wycofywali się z życia towarzyskiego. Radca wojenny von Cölln donosił: „W Nowym Ogrodzie w Poczdamie król myślał tylko o tym, jak zaspokoić swoje jedyne pragnienie, pragnienie rozkoszy. Jego silnej naturze nie starczało już materii, by nadać powabu przyjemnościom. Daremnie wykorzystano w końcu wszystkie sztuczne środki pobudzające, a ostatecznie, gdy jego nerwy pozbawione były wszystkich sił, soki rozpuściły się w wodzie i śmierć była nieunikniona”.

W Poczdamie szeptano o orgiach, jakie hrabina von Lichtenau urządzała dla śmiertelnie chorego monarchy. Poza tym w pałacu widywano ją głównie w korytarzach, którymi niczym jakiś gorliwy minister śpieszyła z teczkami dokumentów. Wilhelmina nie zabiegała jednak wcale o dobro kraju, lecz o swe własne.

O tym, co rzekomo działo się podczas owych owianych tajemnicą przyjęć za murami poczdamskiego pałacu, można przeczytać w fikcyjnych

108

pamiętnikach hrabiny von Lichtenau, które „w oparciu o dokumenty spisał mężczyzna w czerwonej czapce”. Ukazały się one w Pymont 1798 roku, czyli już po śmierci Fryderyka Wilhelma:

Przyjęcie urządzono w Poczdamie, w jednym z owych ogrodów zwanych angielskimi, gdzie brzydką i piękną przyrodę stłoczono na czterech włókach gruntu pod nadzorem zaufanego ogrodnika naszej świętej kliki. Moje najady, amorki, nimfy i sylfidy rozpoczęły przedstawienie odziane w cieniutką mlecz-nobiałą gazę, a wykwintne piękności nadawały wdzięku owej zabawie. Po zakończeniu występu zaczął się bal..

Jak wiadomo, bal to środek pobudzający. Zaczęły znikać kolejne pary. Widać było całe grupy w najwdzięczniejszych pozach; tam Dydona w ramionach Eneasa, tu Kleopatra zamurzona w morzu rozkoszy wraz z czułym Antoniuszem. Małe bóstwa miłości czciły w ciemnych, na pół oświetlonych grotach ogień Hymena, a jego postać odgrywał z niezwykłym zaangażowaniem mały amerek. Przechadzałam się ręka w rękę z królem po różnych częściach ogrodu, wyjaśniając mu niektóre pozy ustawionych grup. „Pięknie! Wybornie!- wykrzykiwał raz po raz. - Naprawdę boska z ciebie kobieta, Minko!” Śliczna drobna tancerka, którą król dzięki moim naukom obeznany z wszystkimi tajnikami miłości, pysznie miłował, a która towarzyszyła nam podczas tego spaceru, na dany przeze mnie znak poprowadziła go do pewnej altany, prawdziwie magicznego miejsca. Król pragnął usiąść i sądził, że spocznie na murawie. Darń jednak rozstała się, była to bowiem otomana z szerokimi poduszkami, nad którą kołysał się baldachim z kwiatów... To była ostatnia radość, jaką sprawiłam krokwi, gdyż kilka dni później gwałtownie opadł z sił i nie opuszczał łóżka...

Choć powyższy opis jest fikcją, to prawdopodobnie bardzo bliską rzeczywistości. W każdym razie o wiele bliższą prawdy niż wypowiedź innego wczesnego biografy hrabiny von Lichtenau. W swojej wydanej w roku 1800, czyli jeszcze za życia Wilhelminy, *Próbie biografii pani hrabiny von Lichtenau, słynnej damy ubiegłego stulecia*, niejaki A.W. Baranius twierdzi, że to opieka Wilhelminy spowodowała śmierć króla. Fryderyk

Wilhelm był co prawda chory, ale nie śmiertelnie. Mimo to jego stan w krótkim czasie uległ pogorszeniu.

„Winni temu” - pisał współczesny naszemu bohaterom biograf Baranius - „byli bez wątpienia hrabina oraz kilka osób nawiedzanych przez duchy. Ona schlebiała jego zmysłowości, dostarczając mu wszystko, co zapewnia

109

najwytworniejszą i najbardziej wyszukaną rozkosz, oni przygotowywali narkotyczne napoje, rujnując jego fantazję, wszyscy zatem w najwyższym stopniu osłabiali i otepiali jego nerwy. By zastąpić utracone siły, sięgano po środki wzmacniające. Król jadał wcześniej rano śmietanę, bardzo tłustą i gęstą niemal jak twaróg, potem gęsty bulion, a po południu proste i mocne potrawy. Dodawano do nich również medycznych ingrediencji”.

Choć ta wizja odpowiadała opiniom rozpowszechnionym wśród ludu, z pewnością nie była prawdziwa. Opieka lekarska nad pruskim królem aż do końca znajdowała się w rękach królewskich lekarzy przybocznych dr. Browna i dr. Selle. Wilhelmina nie opuściła Fryderyka Wilhelma od 26 września aż do jego śmierci 16 listopada. Pielęgnowała go wytrwale aż do kompletnego wyczerpania.

Król, który miał świadomość zbliżającego się końca, nie chciał umierać w łóżku. Ostatnie tygodnie i dni swego życia spędził więc na obitym zielonym aksamitem wyścielanym krześle, a Wilhelmina starała się zapraszać do niego gości, o ile pozwalał na to stan jego zdrowia. Królowa przychodziła często, jednak nie codziennie, a arcyksiążę Fryderyk Wilhelm raczył zawitać do salonu śmiertelnie chorego ojca kilka razy, po raz ostatni na dzień przed jego śmiercią. Królowa objęła i ucałowała Wilhelminę. Natomiast arcyksiążę nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem. Bardzo mu się śpieszyło, gdyż wybierał się do teatru.

Wilhelmina starała się zapewnić królowi jak najprzyjemniejsze pożegnanie z życiem. Czekoladowobrazowa statystka operowa Schulzki wielokrotnie występowała przed królem z tańcami, pewien austriacki błazen prezentował dowcipne monologi z *Chorego z urojenia* Moliere, dzieci hrabiny Dónhoff szalały w zabawie po całym salonie, a pewien poeta recytował wiersze.

Podczas gdy ciało Fryderyka Wilhelma puchło niczym nadymająca się zaba, do działania przystąpili znachorzy. Żadnych medykamentów, żadnych kropeł i żadnych eliksirów! Zamiast nich u boku króla powinny spać małe dzieci, tworząc wokół niego swymi oddechami uzdrawiającą atmosferę. Przytłumiona muzyka instrumentów dętych dobiegająca z sąsiedniego pomieszczenia również zapewniała uzdrawiający klimat, natomiast instrumenty strunowe stanowiły truciznę. Futrzana czapka naciągnięta aż na uszy utrzymywała odpowiednią wilgotność w głowie i chroniła ciało przez wyziewami. Niejaki doktor von Beaunoir proponował przygotowa-

110

nie „kapieli elektrycznych” (!?), natomiast hrabia Moritz von Briihl oferował nakładanie swych magnetycznych rąk.

W owej poważnej sytuacji nie wspomniano już o duchu Aleksandra. Gdy wczesnym

rankiem 17 listopada król Fryderyk Wilhelm II zaczął pluć krwią, hrabina Wilhelmina von Lichtenau wybiegła w panice z pałacu. Nieprzytomną znalazła ją później w ogrodzie pokojówka Henrietta Plóger. W owej chwili król już nie żył. Gdy Wilhelmina doszła do siebie, wizytę złożyli jej pułkownik Zastrow oraz major von Kleist. Wilhelmina sądziła, że obaj mundurowi przybyli złożyć jej, ukochanej zmarłego, swoje kondolencje. Jednak pułkownik Zastrow zasalutował i rzekł: „W imieniu Jego Królewskiej Mości króla Fryderyka Wilhelma III aresztuję Panią!”.

Hrabina Wilhelmina von Lichtenau została wraz ze swą leciwą matką oraz dwunastoletnim synem Fryderykiem Wilhelmem Rietzem umieszczona w Domu Kawalera przy Nowym Pałacu, gdzie pilnowało jej szesnastu żołnierzy. Jej domy w Poczdamie, Charlottenburgu oraz Berlinie - wówczas Charlottenburg nie był jeszcze częścią Berlina - zostały skonfiskowane i opieczętowane. Kochankę zmarłego króla oskarżono o zbrodnię stanu, szpiegostwo na rzecz wrogiej potęgi, marnotrawienie majątku narodowego, kradzież królewskiego sygnetu oraz teczki króla z dokumentami.

Wilhelmina została odcięta od świata. Nie wiedziała, co się dzieje ani czego w ogóle może się spodziewać. Po sześciu tygodniach izolacji w Domu Kawalera pozwolono jej po raz pierwszy opuścić miejsce uwięzienia na dwie godziny spaceru. Fryderyk Wilhelm II został w międzyczasie pochowany, a jego syn, nowy król, koronowany.

Fryderyk Wilhelm III natychmiast powołał komisję śledczą, która miała udowodnić hrabinie von Lichtenau zarzucane jej czyny. W skład owej komisji weszli: minister von der Recke, major von Lutzów, tajny radca Pitschel, wiceprezes sądu najwyższego von Kircheisen oraz tajny radca wojenny Beyme. Wilhelmina zażądała dla siebie obrońcy. Odmówiono go jej, podobnie jak zwolnienia z aresztu.

Zbieranie materiału dowodowego przeciwko Wilhelminie von Lichtenau przerodziło się w chaotyczne działania. Choć arcyksiążę jeszcze za życia swego ojca kazał agentom śledzić Wilhelminę, ich raporty okazały się niezwykle skąpe. Najważniejsza dla oskarżenia informacja o tym, że hrabina zabrała z biurka króla teczkę z czerwonej skóry wraz z zawartością,

111

okazała się nieprawdziwa. Co prawda teczkę taką znaleziono w jej berlińskim pałacu, zawierała ona jednak poza notatkami z podróży wyłącznie listy króla z okresu ich trwającej dwadzieścia osiem lat przyjaźni.

Listy stały się w ogóle jedynym materiałem dowodowym przeciwko Wilhelminie, a ponieważ miała w zwyczaju przechowywać wszystkie zapiski, były ich tysiące: listy miłosne, opisy podróży, listy z prośbami, a przede wszystkim listy o treści religijno-mistycznej. Występowały w nich duchy i zjawy przekazujące jak najbardziej poważne przesłania dla pruskiego króla. Pojawiał się duch Aleksandra, a także różokrzyżowcy z ich tajemniczymi imionami zakonnymi oraz — dzięki fantazji Wilhelminy — „światliste postaci”, które w rzeczywistości nie istniały, a mimo to wywierały ogromny wpływ na los Fryderyka Wilhelma II i całego państwa pruskiego. Niemal z cudem graniczy fakt, że pięciu szacownych członków komisji śledczej nie uznało Wilhelminy oraz pośmiertnie króla za niepczytalnych.

Nie minęły dwa miesiące, gdy komisja wydała akt oskarżenia, który jednak od

początku miał chwiejne podstawy, a ustalenia komisji obejmowały tak naprawdę fakty, jakie przemawiały w obronie hrabiny Lichte-nau. Stało tam między innymi: „W odniesieniu do prawa karnego należy stwierdzić, że król narzucał jej swe bezgraniczne zaufanie”.

Młody król obstawał jednak przy oskarżeniu hrabiny o następujące czyny: zdrada tajemnic państwowych, kradzież, bezprawne wzbogacenie się kosztem majątku królewskiego, działanie na szkodę osoby króla poprzez wykorzystywanie jego słabości.

Proces trwał od 16 stycznia do 20 lutego 1798 roku. Rozpoczął się od mocnego uderzenia. Po śmierci Fryderyka Wilhelma II nie można było odnaleźć dwóch królewskich pierścieni z brylantami oraz kosztownego diamentu koronnego. Za ich zniknięcie z pewnością odpowiadała hrabina von Lich-tenau! Wilhelmina wyjaśniła jednak spokojnie, że skarby owe ze względów bezpieczeństwa odłożyła do neseseru w Błękitnym Pokoju - gdzie je rzeczywiście odnaleziono. Z protokołu sądowego: „Komisja uważa za swój obowiązek zaznaczyć, że hrabina wyrażała się z całkowitym spokojem ducha oraz widoczną swobodą, nigdy sobie nie przeczyła oraz nie zmieniała zeznań”.

Kircheisen, wiceprezes sądu najwyższego, doszedł nawet do wniosku, że konfiskata majątku hrabiny jest z prawnego punktu widzenia niedopuszczalna, gdyż były to zgodne z prawem darowizny, z których nie można oskarżonej czynić zarzutu. Nie można także ukarać jej za to, że król Fry-

112

deryk Wilhelm II, przede wszystkim w ostatnich latach swego życia, nie podjął żadnej decyzji bez zasięgnięcia rady hrabiny von Lichtenau.

Wątpliwości wzbudzało jedynie zeznanie tajnego szambelana Johan-na Fryderyka Rietza, swego czasu małżonka Wilhelminy. Zeznał on do protokołu, że małżeństwo zawarto na rozkaz króla. „Mogę co prawda powiedzieć że stała za tym miłość, nie było to jednak uczucie długotrwałe, gdyż nasze charaktery do siebie nie pasowały. Mimo to przez trzy czy cztery lata żyliśmy jeszcze jako małżonkowie, potem jednak sami zdecydowaliśmy o rozdziale od łoża i stołu”. Rietz podkreślał, że jest rodzonym ojcem Fryderyka Wilhelma Rietza, urodzonego 22 maja 1785 roku, choć „jego związek z rzeszoną panią hrabiną nigdy nie otrzymał kapłańskiego błogosławieństwa”. Wilhelmina próbowała najpierw przypisać ojcostwo małego Fryderyka Wilhelma królowi, lecz przeczyły temu przedłożone dokumenty skreślone ręką króla.

Owe niezgodności nie miały jednak wpływu na wynik procesu przeciwko hrabinie Wilhelminie von Lichtenau. Orzeczenie z 20 lutego 1798 roku oczyściło ją z wszelkich zarzutów, darowizny otrzymała zgodnie z prawem, nie można też było udowodnić jej złych zamiarów. Sąd odważył się nawet przedstawić Fryderykowi Wilhelmowi III swą opinię o jego zmarłym ojcu. W suplemencie do orzeczenia można było przeczytać, że: „Świętej pamięci król poddawał się miłosnym porywom swego serca, potrafił je jednak na jedno życzenie ograniczyć, choćby z wielkim bólem, jak sam się wyraził, poprzez niewiarygodną, praktykowaną miesiącami wstrzeźliwość, gdy tylko uznał, że pomniejszą jego zasługi w niebie. Najwierniejsze zobowiązanie, by niczego przed Waszą Królewską Mością nie ukrywać, nie pozwoliło nam przemilczeć istnienia owego cienia,

który towarzyszył wielkim zaletom świętej pamięci króla...".

Czy w słowach tych nie przebija podziw dla kobiety, która w tak brawurowy sposób potrafiła przez całe życie towarzyszyć upośledzonemu psychicznie pruskiemu królowi? Sędziowie nie tylko uznali konfiskatę majątku hrabiny za bezprawną, ale jeszcze przypomnieli młodemu królowi, by konkubinę swego ojca traktował z życzliwością. „Na koniec polecamy dobroci i życzliwości naszego ukochanego syna i dziedzica pruskiego tronu zawsze oddaną naszej królewskiej osobie hrabinę von Lichtenau. Ufamy, że znany ze swej miłości do nas nasz ukochany syn czcić będzie pamięć o nas także w tych, którzy zasłużyli na nasze całkowite zaufanie i królewską łaskę”.

113

Na próżno. Nienawiść Fryderyka Wilhelma III do Wilhelminy była bardzo głęboka, gdyż w jej osobie nienawdził własnego ojca. A ponieważ na ojcu nie mógł się już mścić, postanowił odegrać się na hrabinie. To na niej skupiła się cała bezlitosna, gromadząca się latami wściekłość lekceważonego i niedocenianego syna. Ponieważ proces nie odbywał się publicznie oraz wydano wyraźny zakaz ujawniania akt procesowych - wydawca CA. Nikolai zdażył złożyć hojną ofertę - młody król mógł zafałszować wynik postępowania. Oto treść dekretu rządowego z 13 marca 1798 roku:

Jego Wysokokrół Prus dzięki obu sprawozdaniom (...) z wielkim oburzeniem dowiedział się o oszukańczych metodach, za pomocą których rzeczona hrabina (...) zdobyła nieograniczone zaufanie (...) oraz uzależniła od swego szkodliwego dla kraju wpływu najdrobniejsze nawet sprawy rządowe. Nie udało się w pełni ujawnić (...) skutków owego wpływu, gdyż hrabina osobiście zniszczyła najważniejsze dowody; jednak samo jej działanie, łączące się z (...) najwstrętniejszymi metodami (...) zmusiłoby Jego Królewską Mość do postępowania z największą surowością, gdyby poważanie i wielkie zaufanie, jakim hrabina cieszyła się, choć niezasłużenie, (...) przez dwadzieścia osiem lat (...), nie wymagały z naszej strony łaskawości. Jedyne ten (...) głos natury, który zobowiązuje syna bez zastanowienia czcić pamięć ojca, który (...) sprowadzony został na manowce (...) poprzez nadużyte zaufanie, jakim obdarzył swą rzekomą przyjaciółkę (...) mógłby usprawiedliwić łagodne traktowanie. Jednakże całkowite ulaskawienie byłoby czystym szyderstwem wobec powszechnego odczucia wśród ludu.

Cały majątek hrabiny von Lichtenau z wyjątkiem kamienicy przy Moh-renstrasse w Berlinie został skonfiskowany. Musiała opuścić Poczdam i Berlin i na życzenie króla zamieszkać w twierdzy Głogów na Śląsku. Przyznano jej roczną rentę w wysokości 4 tysięcy talarów. Dodatkowo otrzymała dietę podróżną w wysokości 2 tysięcy talarów.

Wilhelmina jak zawsze doskonale potrafiła wykorzystać każdą sytuację. Choć przy wyjeździe z Berlina podczas pożegnania z matką i obojgiem dzieci straciła przytomność, w Głogowie bez żalu rozpoczęła nowe życie. Nie była biedna, a z pomocą firmy Spedition Goetze sprowadziła na Śląsk swe kosztowne meble, obrazy, srebra i biżuterię. Wkrótce przeniósła się z mieszkania w twierdzy do wynajmowanej kamienicy (400 talarów rocznie), a później do najpiękniejszej kamienicy w mieście. Panowie, którzy z obowiązku znaleźli się w jej otoczeniu, czyli komendant twierdzy Dessauier, sekretarz

sądowy Gartner, radca dworu Schuster oraz naczelnik Nothardt, niezbyt sumiennie przestrzegali nakazu trzymania hrabiny pod dozorem. Nordhardt złożył nawet Wilhelminie propozycję małżeństwa. Bez efektu.

W tym właśnie czasie ukazały się pierwsze satyry na temat wypędzonej hrabiny von Lichtenau. Tajny proces przeciwko konkubinie Fryderyka Wilhelma II wzbudził ogromną ciekawość. Wszyscy chcieli wiedzieć, czy Wilhelmina rzeczywiście była tak piękna, tak bogata, tak wyrafinowana i tak nikczemna, jak opowiadano. A ponieważ akt procesu nie ujawniono, anonimowi wydawcy zwęszyli dobry interes i zaangażowali najemnych pisarzy, by ci spreparowali pożądaną i skandaliczny rękopis. I tak w 1800 roku niejaki August Wilhelm Baranius, „z Bożej łaski kandydat w Lindau nad Jeziorem Bodeńskim” (co widocznie miało świadczyć o jego powadze), dostarczył swą wspomnianą już *Próbkę biografii pani hrabiny von Lichtenau, słynnej damy ubiegłego stulecia*.

Już w 1798 roku ukazały się *Szkice biograficzne madame Rietz, obecnie hrabiny von Lichtenau* - jak najdalsze od prawdy, przedstawiały Wilhelminę jako Kopciuszkę, który w pożyczonych butach udał się na bal, podczas tańca z królem zgubił o wiele za duży pantofelek i „długo pławił się w promieniach królewskiej łaski, odgrywając rolę pani de Pompadour i pani du Barry, doświadczać także podobnego im losu”. W tym samym roku w Berlinie ukazały się *Tajne dokumenty hrabiny von Lichtenau (alias Minka Encke)*, których również anonimowy autor twierdził, że jego przyjaciel, „referent jednego z członków komisji śledczej”, znalazł materiały w pewnym zamkniętym sekretarzyku i następnie mu przekazał. Wydawca starał się zwiększyć zainteresowanie czytelników, ostrzegając w przedmowie, by nie oburzali się na pojawiające się miejscami „niemoralne” wyrażenia, gdyż nie były one efektem doboru słownictwa przez autora, lecz takich sprośnych zwrotów używali niestety sami bohaterowie.

W dziele tym matka Wilhelminy wychwala ją przed królem w następujący sposób: „Ach, Wasza Królewska Wysokość, gdybyż widział Pan moją Minkę... pierś, pełna i krągła jak jabłko z Borstorfu, talia, taka, że nic tylko objąć, i ów drobiazg, maleńki jak dziedziniec miłości u wynurzającej się z fal morskich Afrodyty”.

Minka do matki: „Mój gruby Frycek czyni wszystko, co zechcę, tak długo będę go prowadzić za rączkę, aż całkowicie go usidlę”.

115

Oprócz prymitywnych pamiętników o charakterze obscenicznym istniały również wspomnienia pani Lichtenau o zabarwieniu politycznym. W *Wyznaniach hrabiny von Lichtenau, wcześniej madame Rietz* życie konkubiny Fryderyka Wilhelma II opisał (rzekomo na podstawie „pisemnych dokumentów”) wspomniany już „mężczyzna w czerwonej czapce” - wyraźna aluzja do rewolucyjnych jakobinów w Paryżu. Autor ewidentnie starał się przestawić Wilhelminę jako zdrajczynię na rzecz Austrii i jednocześnie angielską agentkę.

Satyryczne wersje historii Wilhelminy nosiły takie tytuły jak: *Sentymentalna podróż księżnej Anny do Wielkiego Głogowa* - parodia ulubionego gatunku owej epoki, czyli powieści podróżniczej, *Infemale - historia z Nowej Sodomy ery Saul Drugi, zwany grubym królem z krainy armat*.

Znany jest autor tylko jednego z tych dziełek*, a właściwie autorka. Była nią

Suzanne von Bandemer, z domu Franklin. Hrabina von Lichtenau dobrze znała tę osobę, gdyż kiedyś zatrudniła ją jako guwernantkę. Jeszcze w czasie prac komisji śledczej zajmującej się sprawą hrabiny von Lichtenau była pracownica zwróciła się pisemnie do „jaśnie wielmożnej pani hrabiny”, grożąc napisaniem biografii byłej pracodawczyni, która naturalnie zawierałaby nie tylko pochlebne wątki. Gotowa była odstąpić od swego zamiaru za „kwotę 1000 pistoli w gotówce”. Wilhelmina nie zareagowała na szantaż, a biografia autorstwa pani von Bandemer ukazała się w Paryżu w języku francuskim i niemieckim.

Wówczas na arenie pojawił się nieoczekiwany orędownik hrabiny Wilhelminy von Lichtenau w osobie wiceprezesa sądu najwyższego, pana Kircheisena. Wilhelmina nigdy wcześniej go nie spotkała, poznała go dopiero jako członka komisji śledczej. Jednak Kircheisen był fanatykiem sprawiedliwości i miał dość odwagi, by wypomnieć królowi jego despotyzm. Uczynił to nie tyle z sympatii do Wilhelminy, co ze względu na lekceważenie prawa przez monarchę.

Pruski sędzia grzmiał: „Pani Lichtenau nie popełniła żadnego przestępstwa, którego skutkiem mogłaby być zgodna z prawem konfiskata jej

* Autorem wydanej w Lipsku w 1798 roku *Sentymentalnej podróży księżnej Anny do Wielkiego Głogowa* był Karol Fryderyk Benkowitz - publicysta, satyryk i powieściopisarz niemieckiego oświecenia, który przez wiele lat mieszkał w Głogowie.

116

dóbr. Dotyczy ona tylko zdrady stanu, a o zdradę stanu nigdy jej nawet nie posądzano!". Jak na pruskiego sędziego z przełomu XVIII i XIX wieku Kircheisen wykazywał się niesamowitą odwagą. Podkreślał, że komisja nie wydała żadnego wyroku, a jedynie orzeczenie. Król natomiast wydał dekret rządowy, który był „całkowicie” sprzeczny z owym orzeczeniem. A to według wiceprezesa sądu jest samowolą: „Dzieje się więc już tak, jak przewidywałem. "Władza króla w zakresie prawa karnego nie służy niczemu innemu, jak kompromitacji rządu i jego członków...".

Rzadko zdarza się, by królewski sędzia wypowiedział tak odważne słowa przeciwko swemu królowi. Fryderyk Wilhelm III pozostał jednak nieugięty. Obawiał się, że straci twarz. Jednak krytyka ze strony Kircheisena nie pozostała bez echa. Już pod koniec 1798 roku, pierwszego roku, jaki Wilhelmina spędziła na wygnaniu w Głogowie, poeta dworski Filistri zauważył wyraźną zmianę w powszechnej opinii na jej temat.

Do hrabiny do Głogowa pisał: „Ludzie rozumieją, że wszystko to, co rozprowadano w czasie, gdy Panią aresztowano, to androny. Miało się wówczas wrażenie, jakby wszyscy zmówili się, by wymyślać o Pani jak najbardziej niekorzystne historie, być może dlatego, że ze strony urzędowej komisji śledczej oraz ze strony dworu nie było niemal żadnych przecieków". Filistri pocieszał hrabinę, że i tak zapomniano już o większości paszkwili, które się ukazały, a służyły one tylko i wyłącznie „zapewnieniu niektórym z ich wygłodzonych autorów ciepłej strawy".

Choć przed rokiem mieszkańcy Prus rozmawiali o „tej przestępczyni Lichtenau", teraz nazywali ją „nieszczęsną Lichtenau", co jak najbardziej Wilhelminie odpowiadało,

jako że rosnące współczucie zwiększało jej szanse na rehabilitację.

Poza tym jej „nieszczęście” było raczej umiarkowane. Choć nie wolno jej było opuszczać Głogowa, mogła przyjmować gości i wydawać przyjęcia. Hirt i Dampmartin wciąż składali jej propozycje małżeństwa, natomiast lord Bristol, który z nieznanых przyczyn stracił swój majątek i siedział w mediolańskim więzieniu, już się z nią nie kontaktował.

Hrabina Wilhelmina von Lichtenau zbliżała się wówczas do pięćdziesiątki, straciła większość swego majątku i żyła na wygnaniu. Miała wszelkie powody, by popaść w depresję. Ona jednak postanowiła rozpocząć nowe życie. Zupełnie jakby miała lat piętnaście, a nie pięćdziesiąt, zakochała

117

się w pewnym śpiewaku zwanym Fontano. Nikt, nawet Wilhelmina, nie znał prawdziwego nazwiska owego wędrownego artysty, który przemieszczał się z miejsca na miejsce, dając koncerty, podczas których śpiewał i grał na lutni. Jego przydomek brzmiał z włoska, Fontano śpiewał i wyglądał jak Włoch, a wyglądał zresztą bezwstydnie przystojnie. Tak się Wilhelminie spodobał, że wręcz zaklinała go, by został w Głogowie, i wyznała mu miłość. Jako dowód miłości podarowała Fontano złoty łańcuch. Śpiewak nie wyjechał.

Owym rzekomo włoskim śpiewakiem, któremu przychylnie były serca wszystkich pań, był pewien obdarzony wieloma talentami artysta z Wiednia. Nazywał się Franciszek Ignacy Holbein von Holbeinsberg i pochodził z jak najbardziej zacnej rodziny, jego pradziadek był tajnym radcą, a wuj zarządcą Moraw. Franciszek wyłamał się z rodzinnej tradycji, był awanturnikiem i fantastą, co ewidentnie podobało się Wilhelminie. Niemniej jednak, mając dwadzieścia trzy lata, napisał już dwie sztuki teatralne: *Fri-dolin* z elementami autobiograficznymi, graną we Wrocławiu, oraz *Tyranów z Syrakuzy*, dramat, który obudził w nim życzenie zdobycia sławy przynajmniej równej tej, jaką cieszył się Fryderyk Schiller. Jakby nie było dosyć, od lat pracował nad wynalezieniem rewolucyjnego instrumentu muzycznego, który, nie mając nigdy kłopotu z wymyślaniem wdzięcznie brzmiących nazw, określał mianem uranikonu. Instrument ten zamiast chwały przynosił mu jednak same długi.

Przez całe swoje życie Wilhelmina bawiła się mężczyznami i żaden z nich, nawet pruski król, nigdy nie wzbudził w niej uczucia zazdrości. Teraz natomiast ta blisko pięćdziesięcioletnia kobieta żyła w panicznym strachu, że straci młodszego o dwadzieścia sześć lat ukochanego. By go do siebie przywiązać, zaproponowała obdarzonemu pięknym głosem młodzieńcowi małżeństwo. Fontano, choć z natury swej nie był stworzony do małżeństwa, zgodził się, gdyż spodziewał się korzyści z życia u boku tak słynnej damy. Był jednak pewien haczyk. Zgodnie z dekretem rządowym hrabinie von Lichtenau zakazano zmiany stanu cywilnego. Zgodę na to mógł wydać tylko sam król.

Stosunki Wilhelminy z Fryderykiem Wilhelmem III wciąż były napięte, mimo że od czterech lat żyła z dala od Poczdamu. Było w tym trochę jej własnej winy. Znana z niewyparzonego języka wygnana hrabina głośno krytykowała zachowanie młodego króla, który nie zważał na polubowne

orzeczenie komisji śledczej, pragnąc jedynie zemsty, a nie sprawiedliwości. W związku ze swymi wypowiedziami otrzymała poważne ostrzeżenie od tajnego radcy rządowego Beyme'a, swego starego zacieklego wroga. Pisał on w liście, że doszły do niego słuchy, iż „pani hrabina pozwala sobie ponoć w bardzo niedelikatny i niegodny sposób wypowiadać się głośno o Jego Wysokości Królu oraz prowadzonym przeciwko niej postępowaniu”.

Tego jednak zgodnie z królewską wolą nie mogła robić, więc Beyme zagroził, że pewne udogodnienia, jakie udało jej się uzyskać w miejscu wygnania, zostaną cofnięte: „Mogę zapewnić Panią, że, jeśli wiadomości te potwierdzą się, Jego Wysokość Król pomimo całej swojej dotychczasowej łaski i przychylności wobec Pani uzna za konieczne wprowadzenie na powrót surowszych środków ze względu na Pani nastawienie”.

W swojej odpowiedzi do króla hrabina starała się wzbudzić jego litość, pisząc, że nie jest już najmłodsza, jej podupadłe zdrowie pilnie wymaga kuracji, a poza tym chętnie wyszłaby za mąż za „porządnego człowieka, który jest zdolny i pilny” oraz posiada majątek wart 8 tysięcy guldenów. Nie minął nawet tydzień, gdy przyszła odpowiedź od Fryderyka Wilhelma III:

Poczdám, 24 kwietnia 1802 roku

Umiłowana!

Z wielką chęcią udzielam zgody na związek małżeński, jaki zgodnie z wiadomością z 18. tego miesiąca zamierzacie zawrzeć z panem von Holbein, wyrażając jednocześnie życzenie, by przyniósł Wam on zadowolenie. Równie chętnie daję Wam na Waszą prośbę pozwolenie na podróż do Carls-Badu, żywiąc poza tym nadzieję, jako że przekonałem się o niesłuszności rozpowszechnianych w zeszłym roku na Waszą niekorzyść plotek, iż również teraz będziecie się zachowywać ku memu zadowoleniu. Wasz łaskawy król

Fryderyk Wilhelm.

I tak 3 maja 1802 roku hrabina Wilhelmina von Lichtenau w wieku niemal pięćdziesięciu lat wyszła za dwudziestotrzyletniego śpiewaka i dramaturga.

Franciszek Ignacy Holbein von Holbeinsberg był niezwykle ciekawym człowiekiem, pełnym twórczego niepokoju, z tysiącem pomysłów w głowie,

krótko mówiąc, fascynującym mężczyzną, ale - jak wszyscy fascynujący mężczyźni - kiepskim kandydatem na męża. Nie mógł długo wytrzymać na jednym miejscu, a żona na wygnaniu, która musiała starać się o zgodę króla na jakąkolwiek podróż, oznaczała dla niego katastrofę. Co prawda Fryderyk Wilhelm III złagodził surowe warunki jej banicji, więc Wilhelmina mogła opuścić prowincjonalny Głogów i przenieść się do wielkomiejskiego Wrocławia. Pozwolono jej także odwiedzić brata w Falkenhagen oraz córkę w Polsce, dokąd ta podążyła za drugim mężem*. Z Holbeinem natomiast Wilhelmina wybrała się do Karlsbadu i Wiednia, jednak zgody na wyjazd do Paryża jej odmówiono.

A tam właśnie ciągnęło gorącokrwistego Franciszka Ignacego Holbeina - i to zanim jeszcze minął rok od ich ślubu. Uważał, że koszty jego podróży powinna pokryć

Wilhelmina, gdyż on sam był bankrutem. Oczywiście nie była to do końca prawda, jednak Franciszek od samego początku uważał małżeństwo ze sławną hrabiną za rodzaj zabezpieczenia socjalnego. To, że Wilhelmina musiała sprzedać rodowe srebra, aby jej niespokojny mąż mógł pojechać do Francji, było dla niego równie oczywiste jak to, że sama musi pozostać we Wrocławiu.

Pisał za to do niej pompatyczne i obłudne listy miłosne: „O, mój Boże, pozwól, bym jak najszybciej otrzymał jakieś wieści od mojej Minki! Od mojej pani! Och, moja pani! Och, cóż za szczęście! Kiedyż znów Cię ujrzę?”. Niedługo później ton jego listów stał się nieco bardziej szorstki: „Siedzę sobie spokojnie u restauratora i jem, a moi dwaj sąsiedzi opowiadają sobie, że w Karlsbadzie zmarła niedawno hrabina Lichtenau... Leżałem już w swym łóżku, otepiały z bólu nie do opisanego, gdy przyniesiono mi Twój kochany list. Radość z niego była jeszcze silniejsza niż ból...”.

Gdy Fontano powrócił z Paryża, był poważnie chory. Cierpiał na tyfus, a Wilhelmina przez sześć tygodni pielęgnowała swojego męża z tym samym poświęceniem, z jakim troszczyła się ongiś o pruskiego monarchę.

Ledwo Holbein wyzdrowiał, od razu wyruszył do Wiednia, gdzie coraz więcej przyjemności zapewniało mu życie teatralne, a przede wszystkim odtwórczyni głównej roli w jednej z jego sztuk, aktorka Teatru Dworskiego nazywana Rosę. Pobyty Holbeina w Wiedniu stawały się coraz dłuższe,

* Hrabina Marianna von Mark rozwiodła się z hrabią Fryderykiem zu Stolberg-Stolberg już w 1799 roku, dwa lata po ślubie.

120

a gdy Wilhelmina zdecydowała się pojechać w ślad za mężem, zorientowała się, że jej małżeństwo leży w gruzach. Upokorzona i bogatsza o owo ostatnie doświadczenie hrabina powróciła do Wrocławia.

Wokół byłej konkubiny króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II zrobiło się cicho; zbyt cicho jak dla kobiety, u której bywały największe osobistości ówczesnego świata. I dlatego jej *Apologię hrabiny Lichtenau przeciwko oskarżeniom różnych pisarzy, przez nią samą sporządzoną* należy rozumieć jako usprawiedliwienie osamotnionej kobiety, która zastanawia się nad swoim życiem; życiem, jakiego od dawna już nie prowadzi. Wilhelmina była świadoma swojego znaczenia dla historii Prus, gdy w 1808 roku wydawała swoje wspomnienia u Heinsiusa w Lipsku i Gerze.

Do opracowania dwutomowego dzieła zatrudniła renomowanego historyka Johanna Schummela, który miał jej wspomnieniom dodać niezbędnej powagi. Efekty okazały się umiarkowane. Ludzie mieli inne problemy. Z zachodu nadciągały zdobywające Europę wojska napoleońskie. Państwo pruskie straciło niemal połowę swego obszaru. Były więc ważniejsze sprawy niż próba przywrócenia dobrego imienia jakiejś królewskiej kochance. Prasa, która kiedyś zawsze gotowa była pisać o Wilhelminie, zbyła jej *Apologię* całkowitym milczeniem lub komentowała ją bezlitośnie, jak „*Zeitung für die elegante Welt*”, wyśmiewając połowiczne wykształcenie hrabiny, które zdobyła zresztą „tylko po to, by czerpać z życia więcej przyjemności”.

W owym czasie hrabina Wilhelmina spotkała się z przychylnością nie kogo innego jak

Fryderyka Wilhelma III, syna swego kochanka, któremu przecież zawdzięczała gorzki upadek. Trochę za późno wyznał, odnosząc się do losu hrabiny: „Działalem bez zastanowienia”.

Wiceprezes sądu najwyższego, Kircheisen, który od początku krytykował konfiskatę mienia hrabiny oraz jej wygnanie jako prawnie nieuzasadnione, uważał, że jeśli w odniesieniu do króla Fryderyka Wilhelma III używano pojęcia „niesprawiedliwość”, to w pierwszym rządzie w kontekście sprawy hrabiny von Lichtenau. Później dopiero pruski król okazał żal, że nie spełnił ostatniej woli swojego ojca. Zgodnie z jego życzeniem Wilhelminie miano zapewnić godną starość. Kircheisen napisał o Fryderyku Wilhelmie III: „Późniejsze nieszczęścia uważał za karę niebios za okazany przez siebie brak szacunku”.

121

W 1809 roku „Wasz łaskawy król Fryderyk Wilhelm” zezwolił konkubinie swojego ojca, nazywając ją „szczególnie umiłowaną”, na powrót do Berlina, gdzie wprowadziła się do starego pałacu, który dziesięć lat wcześniej jej odebrano. Wilhelmina uważała ten krok nie tyle za objaw łaski, co pierwszy krok do odzyskania swych praw. Przez siedem lat wszelkimi dostępnymi środkami walczyła o zwrot swoich majątków w Lichtenau i Breitenwerder, za posiadłość Rofiwiese otrzymała natomiast wysoką rekompensatę. Jednak pieniądze i majątki, którymi znów dysponowała, nie przynosiły już sześćdziesięcioletniej hrabinie żadnej radości.

Pojechała do swojej córki Marianny do Paryża*, gdzie została niemal przez rok, znów gromadząc wokół siebie artystów i dyplomatów. Jeden z nich zachwycał się hrabiną: „Ta interesująca i pod wieloma względami niedoceniana kobieta przy bliższym poznaniu coraz więcej zyskiwała. O czasach Fryderyka Wilhelma II milczała jak grób. Przy najdelikatniejszej aluzji do owego okresu w jej pięknych oczach odbijał się głęboki smutek, prawdziwy ból. Jej postać była wdzięczna. Jej szyja, kark i twarz wyglądały młodzieńczo pięknie. W trakcie konwersacji ukazywała się jako wykształcona i bardzo utalentowana dama. Bogactwo swych myśli rozwijała potokiem miło brzmiących i wykwinnych słów”.

Tak, hrabina Wilhelmina von Lichtenau jeszcze w podeszłym wieku potrafiła gromadzić wokół siebie pełnych podziwu wielbicieli. Baron von Eben, który robił karierę jako oficer, dochował jej wierności przez ponad dwadzieścia lat, pomimo że w międzyczasie pochopnie wyszła za Holbeina („Zanim doszedłem do zmysłów, przez kilka dni szalał we mnie tępy głęboki ból”). Baron von Eben został wtedy honorowym kawalerem zakonu maltańskiego i złożył na ręce trzech rycerzy uroczystą przysięgę, że (bez specjalnego zezwolenia) nigdy się nie ożeni, „choć będzie szanować i chronić niewiasty”. Wcale jednak nie przeszkodziło mu to w późniejszym ożenku.

Bez względu na powagę wszystkich składanych jej ofert matrymonialnych Wilhelmina von Lichtenau nie interesowała się już mężczyznami. Gdy na dodatek zmarła jej córka Marianna, hrabina całkowicie wycofała się z życia towarzyskiego. Przez sześć lat żyła tylko wspomnieniami. Gdy zmarła 9 czerwca 1820 roku, większość gazet nie zamieściła o tym nawet

* Hrabina Marianna von der Mark po raz kolejny wyszła za mąż za kawalera Etienne'a

de Thierry, któremu urodziła w 1808 roku córkę Eugenię, swe jedyne dziecko.

122

najmniejszej wzmianki. Hrabina Wilhemina von Lichtenau, niegdyś najpotężniejsza kobieta w Prusach, przeżyła sześćdziesiąt osiem lat*.

Dopiero w XX wieku na powrót zaczęto interesować się piękną Wilhelminą. Nazywa się ją niemiecką panią de Pompadour, co po części odpowiada prawdzie. Hrabina von Lichtenau, podobnie jak markiza de Pompadour, pochodziła z najzwyczajszego mieszczaństwa, otrzymała tytuł szlachecki i odegrała istotną rolę w historii swojego kraju. Pałac Sanssouci i schyłkowe rokoko niewiele ustępowały przepychowi Wersalu, a karierowiczka z plebsu również tam budziła zazdrość, zawiść i nienawiść. Córka trębacza w łóżku pruskiego króla była jak łyżka soli w filiżance czekolady - obrzydliwie dekadentka. Dla większości mieszkańców Prus hrabina Wilhelmina von Lichtenau była żywym dowodem prawdziwości przepowiedni Fryderyka Wielkiego, według którego nie można było oczekiwać niczego innego jak upadku, a także: namiętności zamiast ducha, wolno-myślicielstwa zamiast wiedzy, przesądów i szarlatanerii zamiast chrześcijańskiej pobożności, rozpusty i luksusu zamiast dyscypliny i porządku, a na dodatek pomieszania ducha pruskiego z francuskim, czyli ognia z wodą. W tym sensie piękna Wilhelmina rzeczywiście stanowi odzwierciedlenie swojej epoki i pozostaje ważną osobowością, której znaczenie wykraczało poza alkowę pruskiego monarchy.

§ Odnaleziony niedawno grób Wilhelminy znajduje się tuż obok grobu Atanazego Raczyńskiego (1788-1874), wielkopolskiego ziemianina związanego z dworem Hohenzollernów, pruskiego ambasadora, a przede wszystkim znanego kolekcjonera i konesera malarstwa europejskiego. Oba groby znajdowały się wcześniej w wyburzonej martwej strefie wokół Muru Berlińskiego.

III

Rywalki - Charlotta von Stein i Krystiana Yulpius

Powinnaś czuć, jak bardzo jestem z Tobą, jak ogromnie tęsknię za Twoim

widokiem. Nie, moja miłość do Ciebie to nie namiętność, to choroba, ale mi droższa nad najwspanialsze zdrowie i nie chcę z nią walczyć.
(Johann Wolfgang von Goethe do Charlotty von Stein)

J

Johann Wolfgang von Goethe miał co prawda pewne problemy z kobietami, lecz bez nich - bez kobiet oraz swoich z nimi problemów - prawdopodobnie nie zostałby najznamienitszym niemieckim poetą. Tak, Goethe cierpiał z powodu kobiet. Tych pięknych po prostu się bał, natomiast do tych, które były mniej interesujące, by nie powiedzieć brzydkie, zalecał się wulgarnie, używając niezręcznych wyrażań i dodając sobie w takich sytuacjach odwagi sporymi ilościami wypijanego alkoholu. Warto powiedzieć wprost: Goethe pił dużo, do trzech butelek wina dziennie, a w każdym razie pił więcej niż nieszczęsny E.T.A. Hoffmann, którego powszechnie uważa się za opoja.

Psychoanalicycy traktują życie miłosne Johanna Wolfganga Goethego jako sztandarowy przykład zachowań człowieka rozdartego, geniusza zawieszonoego pomiędzy ideałami a rzeczywistością, który rozwodził się nad oboma aspektami człowieczego żywota. I oczywiście nie jest przypadkiem, że ów wzniosły poeta oprócz licznych kochanek i naiwnej żony posiadał także konkubinę: Charlotte von Stein. Pani von Stein stała się o wiele bardziej sławna niż małżonka Goethego Krystiana Vulpius, ponieważ, po pierwsze, w większym stopniu niż jego żona wpłynęła na twórczość Goethego, a po drugie, do naszych czasów zachowało się 1800 listów Goethego do kochanki i tylko 354 do żony.

124

Johann Wolfgang, zwany Hansikiem, bardziej przypominał swego ojca, Johanna Caspara, zasadniczego radcę cesarskiego, który nie miał żadnych przyjaciół, a cały swój czas poświęcał na zarządzanie odziedziczonym majątkiem, niż dwadzieścia jeden lat młodszą matkę, Elizabeth, z domu Textor, z jej niezwykle pogodnym usposobieniem. Syn państwa Goethe był wychowywany niezwykle surowo, uczył się greki i łaciny, a także angielskiego, francuskiego i włoskiego, po czym został wysłany na studia do Lipska i Strasburga.

Jeśli chodzi o relacje z kobietami, to Goethe był zdecydowanie opóźniony. W czasie gdy jego rówieśnicy od dawna gromadzili już na tym polu doświadczenia, Hansik zadawał się fantazjami, koncentrującymi się wokół postaci pewnej Gretchen, co do której do dziś nie wiadomo, czy w ogóle istniała, czy też była jedynie „kompilacją” większej ilości nieszkodliwych kontaktów z młodymi dziewczętami.

W tym okresie Goethe cierpiał z powodu swego bezosobowego bytu jako student wynajmujący umeblowany pokój z darmowym wyżywieniem, przeklinał niezliczone pobyty w gospodach i tęsknił za domową atmosferą i życzliwością. W głębi serca Hansik na zawsze pozostał filistrem. Choć młodego poetę kusiała tania oferta dziewcząt lekkich obyczajów, jakich nie brakowało w uniwersyteckich miastach, odczuwał jednak paniczny strach przed chorobami wenerycznymi, a strach ów był pierwszym, a najczęściej również najsilniejszym uczuciem, jakie opanowywało go na widok dowolnej kobiety.

W sprzeczności z owymi obawami stała jednak zmysłowość Goethego. Pożądał on wielu kobiet i to bardzo mocno. Lecz co może uczynić mężczyzna cierpiący na taką fobię? Pozostają mu dwa sposoby, oba powszechnie wyśmiewane: podglądactwo i miłość platoniczna. Goethe stosował oba aż do trzydziestego czwartego roku życia. Nie wiadomo dokładnie, czy Johann Wolfgang von Goethe do tego czasu w ogóle miał jakiegokolwiek kontakty seksualne, czy jego liczne miłostki rzeczywiście miały charakter wyłącznie platoniczny, w każdym razie dopiero Krystianę Vulpius nazwał on tak, jak wcześniej nie nazywał żadnej kobiety: skarbem w łóżku (*Bettschatzchen*).

Jako młody podglądacz zadowalał się widokiem swobodnie zachowującej się szwaczki, która w jego obecności walczyła z gorsetem, albo prześladowaniem swą zazdrością Kasi Schönkopf, która obsługiwała gości

125

w pensjonacie rodziców w Lipsku i - jakże by inaczej - była już zaręczona, a wkrótce wyszła za mąż. Goethemu nie zostało po niej nic poza miniaturowym portretem i oczywiście własnymi fantazjami. Jego sympatię zdobyła również Fryderyka Brion, córka pastora z Sesenheim, niebieskooka blondynka z policzkami w kolorze najpiękniejszego różu, jednak namiętność została zduszona w zarodku, a Goethe zadowolił się erotyką słowną, w którą wciągnął nawet starego pastora. Dzięki temu mogły powstać adresowane do Fryderyki piękne wiersze (*Pieśń majowa, Powitanie i rozłąka*).

Jedną z tych kobiet, „które nie wzbudzając może gwałtownych namiętności, podobają się jednak ogólnie”, spotkał młody Goethe w Wetzlarze, gdzie w 1772 roku rozpoczął praktykę w sądzie królewskim. Była nią Lotta, córka owdowiałego urzędnika Buffa, pierwowzór Lotty z *Cierpień młodego Wertera*, która przypadkiem była też narzeczoną przyjaciela Goethego, Johanna Christiana Kestnera. Z nią i Kestnerem spędził Goethe całe lato; cudowna niemiecka idylla, podczas której jasnym stało się, że młody poeta nie ma żadnych szans w obliczu poważnych zamiarów przyjaciela.

Lotta opowiedziała Kestnerowi o wszystkich próbach zbliżenia ze strony Goethego, nawet o krótkim pocałunku w usta, który jednak większe kłopoty sprowadził nie na nią, a na młodego praktykanta prawniczej profesji. Pewnego wrześnieowego poranka Goethe uciekł z Wetzlaru, zostawiając jedynie dwie karteczki. Jedną dla Kestnera: „...Nie mogę panu w tej chwili nic innego rzec, jak tylko: bądźcie zdrowi. Gdybym został u was chwilę dłużej, nie oparłbym się. Teraz jestem sam...”. I drugą, nic niemówiącą, do Lotty: „...Ach, mnie chodziło o życie doczesne, o pani rękę, którą ucałowałem po raz ostatni.

Trzy lata później doszło do zerwania zaręczyn Goethego z córką frankfurckiego bankiera Liii Schönemann, śliczną jasnowłosą szesnastolatką, o której poeta powie później: „Była w rzeczywistości pierwszą, którą kochałem głęboko i naprawdę. Mogę także rzec, iż była ostatnią; albowiem wszystkie małe afekty, którym ulegałem w ciągu całego mojego życia, były w porównaniu z tym pierwszym tylko lekkie i powierzchowne”. Do dziś słowa te wprawiają biografów Goethego w zakłopotanie: dlaczego więc od niej uciekł? I jakimi uczuciami darzył w takim razie Charlotte von Stein i Krystianę Vulpius, swoją późniejszą żonę?

Ucieczka przed frankfurckim mieszczaństwem zaprowadziła Goethego do Weimaru. Doktor Goethe zdobył już w owym czasie pewną sławę

jako poeta, a młody książę sasko-weimarski Karol August zaprosił go na swój dwór. Określenie „dwór” wywołać może fałszywe skojarzenia, jako że było to prowincjonalne księstwo o rysach wręcz komediowych. Weimar liczył ledwo sześć tysięcy mieszkańców, rodowa siedziba księcia niedawno spłonęła, niemal nie było tam bitych dróg, za to wszystko wydawało się mniejsze i bardziej prowincjonalne niż gdziekolwiek indziej.

Niemniej jednak księstwo sasko-weimarskie miało swój rząd i aktywnych urzędników, a książę Karol August znalazł prosty sposób na zatrzymanie poety w Weimarze, oferując mu coraz wyższe stanowiska urzędowe: w 1776 roku Goethe został tajnym radcą legacyjnym, w 1779 roku tajnym radcą, a od 1782 roku kierował administracją finansów księstwa. Wszystkie te posady miały dwie wspólne cechy: były dobrze płatne i nie wymagały dużej ilości czasu, tak więc poeta miał go wystarczająco dużo, by oddawać się swemu właściwemu powołaniu. Zresztą tylko bardzo zajęty pisarz mógł nie nudzić się w Weimarze.

Johann Wolfgang von Goethe spotkał tam dwie najważniejsze kobiety swego życia, Charlotte von Stein i Krystianę Vulpius. Jedną z nich nazywał swoją ukochaną, a drugą swoją żoną.

Goethe poznał Charlotte von Stein, damę dworu księżnej sasko-weimarskiej, żonę koniuszego dworskiego, barona Fryderyka von Steina, już w pierwszym tygodniu pobytu na dworze. Do swej matki napisał: „Dziewczęta są tu całkiem ładne i miłe, wszystkie je lubię. Wspaniałą osobą jest pani von Stein, do której jestem, jeśli można tak powiedzieć, przyfastrygowany i przynitowany”.

Za tym zawiłym sformułowaniem kryje się niezwykle skomplikowana relacja dwóch niezwykle skomplikowanych osobowości znajdujących się w niezwyklej sytuacji. Charlotta von Stein z pewnością jest najbardziej niezwykłą kochanką w historii, gdyż choć jej związek z Goethem trwał dwanaście lat, choć o swej miłości zapewniali się w tysiącach listów, choć spędzali razem dni i noce, prawdopodobnie nigdy ze sobą nie spali. I wygląda na to, że właśnie to niewiarygodne zachowanie „kochanków” pozwoliło ich związkowi tak długo trwać.

Przy tym wszystkim ich wzajemne uczucia od początku bardzo się od siebie różniły. Charlotta, która miała trzydzieści trzy lata i według zgodnej opinii świadków epoki z pewnością nie była piękna (za to nieco wymi-zerowana po siedmiu porodach w trakcie jedenastoletniego małżeństwa),

wiele już wcześniej słyszała o młodszym o siedem lat poecie, a podczas kuracji zdrojowej w Pyrmont napisała*: „Czuję, że Goethe i ja nie będziemy nigdy przyjaciółmi. Nie podoba mi się jego sposób bycia, gdy idzie o naszą płć. Jest właściwie tym, co nazywają *coquet*, w jego zachowaniu nie ma szacunku”. Tajny radca legacyjny Goethe, który w międzyczasie dzięki swojemu *Werterowi* zdobył wielką popularność i stał się znaczącą osobistością, nawet jeśli jego ubiór zwykle pozostawiał wiele do życzenia, wielce radował się z pierwszego spotkania w Weimarze i napisał do swego starszego kolegi, Christopha Martina Wielanda, że księżna Anna Amalia wezwała go do Weimaru na stanowisko wychowawcy jej synów, a on sam, który zawsze miewał problemy z

kobietami, czuł się w tej sytuacji nadzwyczajnie: „Nie mogę sobie inaczej wyjaśnić wpływu - władzy, jaką ta kobieta ma nade mną, niż tylko poprzez wędrówkę dusz. - Tak, byliśmy niegdyś mężem i żoną! — I wiemy to o sobie, w tajemnicy, w sferze duchów. Nie znajduję żadnego innego imienia dla nas - przeszłość - przyszłość - to wszystko”.

Oczarowanie znanego człowieka nie mogło oczywiście długo pozostać niezauważone w miniaturowym świecie towarzyskim Weimaru, a informacja o jego zachwytach dotarła także do uszu Charlotty. Charlotta przeżyła już swoje życie, przynajmniej takiego była zdania, a jej opinia zgodna była z powszechnie panującym przekonaniem, że kobieta, która urodziła siedmioro dzieci, to matrona, która próg kuchni może przekroczyć tylko w niedzielę w drodze do kościoła, ubrana w staromodny czarny strój. Jednak, jeśli chodzi o ubiór, Charlotta von Stein uznawała tylko jeden kolor: biel. Bezwzględne i prostackie zachowanie barona, który jedynie z rzadka pojawiał się w domu i oficjalnie nabywał dla księcia konie - a mniej oficjalnie miał ponoć szczególne upodobanie do swawolnych klaczek - sprawiło, że Charlotta stała się nieco zgorzkniała. A tu przybywa ten słynny poeta i twierdzi, że stracił głowę dla niej, Charlotty von Stein, mężatki i matki gromadki dzieci. Miał już wtedy dwadzieścia siedem lat i taki entuzjazm z jego strony wydawał się wręcz śmieszny.

* W Pymont Charlotta poznała cieszącego się dużym uznaniem lekarza i fizyka z Hanoweru, Jana Jerzego Zimmermanna, który był znajomym Goethego i wiele jej o nim opowiadał. Później wymieniali korespondencję, w której imię Goethego często powracało. Cytat pochodzi z listu Charlotty do Zimmermanna z 7 marca 1776 roku.

128

Pochlebianie Charlocie, a jego zachwyty musiały jej schlebiać, nie wiązało się z żadnymi konsekwencjami dla Goethego. Nie musiał martwić się o to, że któregoś dnia jego wybranka spyta: „A co myślisz o małżeństwie?”. Albo że zacznie stawiać seksualne żądania - od tej obawy poeta uwolnił się dopiero 12 lipca 1788 roku, kiedy spotkał Krystianę Vulpius. Jednak od tej chwili dzieliło go jeszcze dwanaście lat, a na razie cieszył się, że znalazł kobietę, z którą, jak miał nadzieję, będzie mógł spędzać noce bez przymusu zbliżenia płciowego. W którymś momencie wczesnej fazy znajomości musiało między nimi dojść do milczącego porozumienia w tej sprawie, które stało się zaczątkiem wielkiej miłości.

Owo porozumienie oznaczało między innymi to, że Charlotta pozostała w swoim mieszkaniu nad książęcymi stajniami, a Goethe w przyznanym mu jako mieszkanie służbowe pawilonie ogrodowym. Nie przeszkodziło to jednak Charlocie w spędzaniu wielu nocy w domku ogrodowym Goethego. W każdym razie porzuciła nieśmiałość i dystans do świata towarzyskiego, by pojawiać się publicznie u boku tajnego radcy legacyjnego, a trzeba przyznać, że prezentowała się całkiem niezłe.

Wiele lat później spotkał ją w Weimarze Fryderyk Schiller. Wówczas nie był on ani przyjacielem Goethego, ani wielbicielem pani von Stein. Niemniej jednak jego komentarz wydaje się niezwykle pochlebny. Doktor z Marbach nad rzeką Neckar wyraził następującą opinię o damach na dworze sasko-weimarskim: „Najlepszą ze wszystkich była pani von Stein, naprawdę osobliwa, ciekawa persona, i rozumiem, że

Goethe tak się do niej przywiązał. Piękną zapewne nigdy nie była, ale jej twarz zdobi łagodna powaga i całkiem osobliwa szczerść. Zdrowy rozum, uczucie i prawda są właściwe jej naturze... Powiadają, że jej zachowanie było całkiem przyzwoite i nienaganne".

Cokolwiek rozumiano jako „zachowanie”, to właśnie Charlotta von Stein, odpowiedzialna za etykietę na weimarskim dworze, była osobą, która nauczyła byłego frankfurckiego adwokata odpowiednich manier. Obejmowały one również przemyślany dobór stroju, a także unikanie wydawania głośnych okrzyków przy lada okazji, z czego Goethe zdążył zasłynąć. Tajny radca legacyjny sądził, że potrafi tańczyć, jednak w ramionach eleganckiej Charlotty musiał szybko zauważyć, że jego kontredans pozostawia wiele do życzenia. Goethe potrafił oczywiście fascynować dobozem tematów do konwersacji, gdyż z jednakową znajomością rzeczy rozprawiał o Homerze

129

i Owidiuszu, co o najnowszych odkryciach przyrodniczych, przy czym najbardziej interesował się teorią rozwoju w przyrodzie oraz teorią barw, jednak jego wypowiedzi zbyt często nabierały charakteru mentorskiego i nie było w nich nawet śladu owego lekkiego tonu, w jakim prowadzi się rozmowy w wyższych sferach.

Charlotta próbowała wpoić Goethemu te wszystkie subtelności, a ten chętnie dawał się prowadzić ukochanej. niesprawiedliwością byłoby twierdzić, że starania baronowej nie przyniosły żadnego efektu, jednak Johann Wolfgang von Goethe nigdy nie stał się światowcem o doskonałych manierach czy lwem salonowym, i to nawet w późniejszych latach, gdy został ministrem i ekscelencją. O ile na piśmie potrafił wyrażać się genialnie, to jego sposób wysławiania się w rozmowie był nieporadny i nieelegancki - dość częsta przypadłość wśród pisarzy. Żarliwe przysięgi miłosne i zapewnienia o wierności musiały więc brzmieć zupełnie inaczej podczas spotkań sam na sam niż słowa, jakie znajdujemy w dziełach Goethego. Do tego dochodził jeszcze heski dialekt niemieckizny Goethego, który wkrótce nabrał saskiego zabarwienia, co raczej mu nie pomogło.

Między tymi dwoma osobami padały więc zupełnie inne słowa niż te, w jakie każe nam wierzyć historia literatury, która opiera się na cytatach z listów zebranych. W owych czasach listy często pisano nie tylko z potrzeby chwili, lecz również z myślą o potomności. Z tego powodu troskliwie je zbierano i często nawet zwracano nadawcy. Zaczepne uwagi w listach pisanych przez poetę, jak: „Jeśli nie mogę z Panią żyć, to Pani miłość niewiele mi pomoże, tak jak miłość moich nieobecnych...”, należą więc do rzadkości, choć z pewnością padać mogły częściej, gdyż Goethe potrafił być bardzo napastliwy, zwłaszcza w kontaktach z kobietami.

Po pierwszych wspólnych wystąpieniach na salonach, podczas których żadne z nich nie robiło tajemnicy z łączącej ich sympatii - a tylko nieliczni w Weimarze mieli wątpliwości, czy łączy ich romans - doszło do pierwszych komplikacji w ich związku. Charlotta von Stein pragnęła związku na odległość, to znaczy codzienne spotkania byłyby jak najbardziej zgodne z jej życzeniem, jednak była mężatką i miała dzieci, a te więzi były dla niej przynajmniej tak samo ważne.

Szlachetna decyzja pani von Stein wprawiła jednak młodego człowieka w jeszcze

większy niepokój, przy czym dochodził do niezwykle re- i ligijnych wniosków, choć bardzo daleki był od jakiegokolwiek pobożności:

130

„Moja dusza zrosła się mocno z Twoją. Nie lubię szumnych słów; wiesz, że nic mnie nie może rozłączyć z Tobą, że siły niebios ani ziemi nie potrafią nas rozdzielić. Chciałbym, żeby istniało jakieś ślubowanie lub sakrament, który by zespolił mnie z Tobą moralnie i prawnie; jakąż miałoby to dla mnie wartość, mój nowicjat był przecież dostatecznie długi, by się zastanowić nad tym”.

Mianem nowicjatu określa się okres próby w klasztorze. Co miał na myśli Goethe, czyniąc taką aluzję? Czy nie brzmi to jak modlitwa, by w końcu mu się oddała?

Charlotta von Stein była jak najdalsza od takiej myśli. Była jednakże wyrozumiała dla swego niezwyklego kochanka, jeśli chodzi o jego życie seksualne, i uważała, że na weimarskim dworze nie brakuje pięknych kobiet, przede wszystkim miłych aktorek książęcego teatru, które doskonale nadawały się na współtowarzyszki miłosnych przygód. Jednak gdy Goethe spotkał egzaltowaną aktorkę Coronę Schróter, którą znał jeszcze ze studenckich czasów w Lipsku, Charlotta nieoczekiwanie poczuła zazdrość.

I właśnie o to chodziło Goethemu. Sam polecił lipską aktorkę księciu Karolowi Augustowi i przywiózł ją do Weimaru, gdzie otrzymała umowę opiewającą na 400 talarów. Piękna Corona Schróter uchodziła za gwiazdę teatru i piosenki i nie mogła opędzić się od wielbicieli. Z tego względu trzymała przy sobie występującą w roli ochroniarza grubą damę do towarzystwa, która umiała powstrzymać natrętów.

Zaangażowanie Goethego w relacje z aktorką leżało jak najbardziej w jego służbowych kompetencjach, gdyż obok oficjalnych urzędów piastował on również funkcję „directeur des plaisirs”, dworskiego poety, organizatora przyjęć, dyrektora opery i baletu, bibliotekarza i zarządcy dzieł sztuki. Z drugiej strony zakupienie w Lipsku drogiej sukni i kompletu koronkowych chusteczek dla Corony miało raczej charakter prywatny.

Książę Karol August natychmiast zakochał się w pięknej aktorce; można przyjąć, że to samo dotyczyło Goethego, nie wiemy jednak, jaką grę prowadził poeta, czy wszystko to nie było tylko przedstawieniem, mającym na celu wywołanie zazdrości, a następnie uległości Charlotty. W jednym z listów do Charlotty nazwał Coronę „szlachetną istotą w swoim rodzaju” i lamentował: „Ach, gdybyż ona była pół roku przy Pani, abym Panią mógł zostawić w spokoju”. Nadaremnie. Także wizyty Corony w domku ogrodowym Goethego oraz wspólne spacerunki z księciem Karolem Augu-

131

stem nie wpłynęły na decyzję Charlotty i to ona dyktowała warunki swego związku z poetą, który pozostał platoniczny.

Coronie Schróter, którą Goethe nazywał „arcypiękną” czy wręcz „aniołem”, w krótkim czasie udało się zawrócić w głowie całemu Weimarowi, nie tyle za sprawą sztuki scenicznej, co poprzez prowokujące występy oraz umiejętne wykorzystanie ówczesnych mediów. Między innymi pojawiła się w zamkowym parku jako grecka bogini, odziana w przezroczysty kostium, wywołując spory, czy pod spodem ma cielisty trykot, czy też może

- Boże uchwaj - zupełnie nic. „Prypadkiem” napotkała angielskich rysowników i miedziorytników, którzy utrwalili owo fascynujące przedstawienie na obrazach i wkrótce potem wydali w formie książki z ilustracjami.

Wydarzenia wokół Corony Schróter wydają się zbyt prowokujące, by nie dopatrywać się w nich reżyserii człowieka teatru, jakim był Goethe. W końcu mistrz właśnie skończył pierwszą wersję swojej „Ifigenii w Tau-rydzie”, a nieobecność Charlotty von Stein na prapremierze najlepiej pokazuje, jak napięta była sytuacja. Rolę tytułową odgrywała Corona Schróter. Księżna Luiza, z którą łączyła Goethego przedziwna relacja (służył jej jako doradca małżeński, a jednocześnie uwielbiał ją niemal tak samo żarliwie jak Charlotte von Stein), zabroniła swojemu małżonkowi jakichkolwiek kontaktów „z tą osobą”. Był to koniec weimarskiej kariery Corony. „Powinniśmy żyć w przyjaźni...” - usprawiedliwiał się poeta przed swoją kochanką - „nie możemy odwrócić przeszłości, ale zostaniemy panami przyszłości...”.

To, dlaczego Corona Schróter nie opuściła Weimaru, pozostaje równie niejasne, jak prawdziwa relacja pomiędzy nią a Goethem. Również koniec jej kariery scenicznej nie pasuje do wizerunku uwielbianej gwiazdy. Najpierw śpiewała jeszcze oratoria i koncerty, później dawała już tylko lekcje śpiewu i rysunku, a ani Goethe, ani książę Karol August nie troszczyli się o nią. Schiller po raz pierwszy zobaczył Corone, gdy miała już czterdzieści lat, i zauważył, że potrafi sobie wyobrazić, iż była kiedyś piękną kobietą. Przez kilka lat emablował ją pewien zadłużony gracz, lecz potem zniknął po Coronie wszelki ślad. Odnotowano dopiero jej przedwczesną śmierć oraz fakt, że na pogrzebie stawiała się tylko owa gruba dama do towarzystwa. W późnym wieku Goethe usprawiedliwiał się, że wówczas nie był w stanie postawić Coronie pomnika.

Za tą uwagą kryje się pewne charakterystyczne w życiu Johanna Wolf -ganga Goethego zjawisko. Przez ponad dziesięć lat, mniej więcej przez

132

cały okres trwania swego związku z Charlottą von Stein, Goethe trwonił swój talent na poezje dworskie, wciąż coś nowego zaczynał, a niczego nie kończył, nawet drugą wersję *Ifigenii* uważał za nieskończone dzieło, *Tasso* obejmował zaledwie kilka scen, a zamiast tego poeta pisał satyry, szopki i żarty, za które zbierał oklaski, choćby wcale nie były dobre. Wydawcy dawno machnęli na niego ręką, sądząc, że najlepszy okres ma już za sobą, i drukowali tylko jego wczesne dzieła.

Tego typu okresy zdarzają się w życiu każdego pisarza, lecz zawsze mają one jakąś przyczynę. W przypadku Goethego ową przyczyną była Charlottą von Stein. Przychylność, jaką okazywała podziwianemu poecie, przy jednoczesnym odrzuceniu doprowadziły Goethego na skraj załamania. Uwielbiał Charlotte i nie ukrywał tego. Jej dobro, mądrość, umiarkowanie i cierpliwość sprawiły, że uzależnił się od kochanki. „Moje wewnętrzne życie należy do Ciebie” - wyznał jej - „a moje królestwo jest nie z tego świata”.

Choć Charlottą von Stein była przychylna miłości Goethego, problem polegał na tym, że poeta różnił się od niej i charakterem, i poglądami na życie, tak iż w ogóle do niej nie pasował. Ale potem znów pisał do niej jeden z swych żarliwych listów, w których nazywał ją anielską istotą o niebiańskich cnotach, i opór Charlotty topniał jak śnieg w pierwsze

wiosenne dni.

Niezaspokojony Goethe, spragniony miłości jak mały piesek, z rozpalonymi zmysłami i pełen pożądania przelewał swe uczucia na papier, gdzie ukryty za podmiotem lirycznym mógł bez ogródek wyznawać:

Do Charlotty von Stein (fragment)*

*Aż do dna zgłębiła! mnie tajemnie, Znała! nerwów mych
najsłabsze tony, Rzutem oka mogłaś' czytać we mnie, Dla
śmiertelnych oczu niezgłębionym. Chłodząc krew mą wrącą i
upartą, Kierowałaś dzikim pędem moim, Brałaś mię w ramiona,
piers rozdartą Sycąc znowu zdrowiem i spokojem.*

* Przetłumaczył Robert Stiller.

133

*Cudnie lekkie wieży nań rzuciwszy, Dzień po dniu igraszką
zapelniałaś. Gdzie jest dzień od tamtych dni szczęśliwszy, Kiedy
wdzięczny za to, co mu dałaś, Czuł, jak serce koło serca wzbiera, Czuł,
jak dobrze mu pod twoim wzrokiem, Jak ze zmysłów ktoś zasłonę
zdziera, Jak się krew ucisza krok za krokiem.*

Charlotta nie miała zamiaru ani rezygnować ze swojego stanowiska damy dworu, ani rozwodzić się z Fryderykiem von Steinem, i nawet jeśli niepokoiło to Goethego, to i tak na wszelkie sposoby próbował związać życie Charlotty ze swoim. Jako trzydziestoletni kawaler przyjął na wychowanie jednego z synów von Steinów, Fryca, co okazało się zupełnie nieudanym przedsięwzięciem z powodu braku umiejętności pedagogicznych nauczyciela, którego chłopiec traktował głównie jako swego lektora, posłańca i lokaja. Nawiasem mówiąc, Goethe jeszcze dwukrotnie próbował swych sił jako wychowawca, za każdym razem z mizernym efektem.

Dlaczego cierpiący z powodu niespełnionej namiętności Johann Wolfgang von Goethe nagle po pięciu latach związku z Lotta wydaje się być szczęśliwszy - o czym świadczą jego listy - na ten temat można jedynie snuć przypuszczenia, choć konkretnych dowodów nie ma. Badacze literatury, dla których listy Goethego stanowią podstawę nieustannych analiz i licznych teorii, zauważyli zmianę w tonie poety po 22 marca 1781 roku. Niestety, nie można uzyskać potwierdzenia tej hipotezy w listach Charlotty von Stein, jako że rozczarowana kochanka po nagłym zakończeniu związku zażądała zwrotu wszystkich swoich listów, a następnie je spaliła. Z listów Goethego wynika jednak, że Lotta i Johann Wolfgang spędzili noc 22 marca razem w jego domku ogrodowym.

Następnego dnia Goethe pisał: „Jeszcze nigdy nie przeżyliśmy wspólnie tak pięknej wiosny, oby nie miała ona jesieni!”. Słowa te brzmią tak, jakby spełniło się jego żywione od dawna pragnienie, ale oczywiście nie są żadnym dowodem. A może jednak? Pół roku później Goethe pisał do ukochanej z podróży służbowej do Jeny: „Moja dusza jest z Twoją mocno związana, Twoja miłość jest najpiękniejszym światłem wszystkich moich dni, a Twoje uznanie to dla mnie największa chwała”.

Każde z tych zdań spod pióra poety mogło zostać napisane, nawet jeśli Goethe i Charlotta wcale ze sobą nie spali. Podobnie jak kolejny list w 1784 roku napisany w Braunschweig po francusku: „Powinnaś czuć, jak bardzo jestem z Tobą, jak ogromnie tęsknię za Twoim widokiem. Nie, moja miłość do Ciebie to nie namiętność, to choroba, ale mi droższa nad najwspanialsze zdrowie i nie chcę z nią walczyć”.

Jednak zupełnie jakby byli wspólnie starzejącym się małżeństwem, namiętne listy poety do ukochanej stają się coraz rzadsze, a raczej nie tyle rzadsze, co mniej namiętne. Wygląda to tak, jakby porywczosć Goethego została okiełznana. W wyniku frustracji, rezygnacji czy też za sprawą zaspokojenia? Odpowiedź pozostaje nieznana. Bez wątplenia podczas lat spędzonych w Weimarze z Lotta Goethe nauczył się sztuki dostosowania się, w tym również podporządkowania swoich namiętności ludzkiej przyzwyczajoności i godności.

Umiejętność dostosowania się nie jest jednak cechą pisarzy. W wieku trzydziestu pięciu lat, późno, lecz wystarczająco wcześnie, Goethe przebudził się z narzuconej mu powszedniości, obowiązków wynikających z zajmowanych stanowisk oraz dobrze płatnego bytu dworskiego poety. „Jestem jak umarły” - napisał księciu Karolowi Augustowi. - „Na nic się już nie przydam”.

Długo trwało, zanim Goethe zdecydował się odmienić swoją sytuację, a jeszcze dłużej, zanim zrozumiał, że jego wymarzonym celem są Włochy. Podróż do Włoch (w latach 1786-1788) nie była niczym innym jak ucieczką, przygotowaną w tajemnicy i odbywaną incognito. Goethe podróżował jako Johann Phillip Molier. Jediną osobą, jaką wtajemniczył, był jego służący i sekretarz, Filip Seidel. Nawet Lotta nie znała jego planów. Oczywiście było to oznaką braku zaufania, lecz podróż do Włoch i tak oznaczała początek końca ich związku.

Johann Wolfgang von Goethe zdecydował się wyruszyć objazdem przez Karlsbad (dzisiaj Karłowe Wary), gdzie zwykle, i także tego lata, z przyjemnością się kurował. Z „Podróży włoskiej”:

O trzeciej nad ranem wymknąłem się chyłkiem z Karlsbadu, bo inaczej nie wyrwałbym się stamtąd. Przyjaciele i znajomi, którzy dwudziestego ósmego sierpnia tak serdecznie świętowali moje urodziny, uznali, że mają prawo mnie zatrzymać; ale nie było co dłużej zwlekać. Spakowałem tylko mantelzak i tor-

bę z borsuczej skóry, po czym sam, nie zabierając ze sobą nikogo, wskoczyłem do dylizansu. O pół do ósmej, w piękny, bezwietrzny i trochę mglisty poranek byłem już w Zwoda. Górne warstwy chmur były smużaste i wełniste, dolne zaś ciężkie, co uznałem za pomyślną wróżbę. Mam nadzieję, że po tak brzydkim lecie jesień przynajmniej będzie ładna. O dwunastej w Egerze słońce prażyło. Przypomniałem sobie, że ta miejscowość leży pod tą samą szerokością geograficzną, co moje miasto rodzinne, więc ucieszyłem się, że znowu przy pięknej pogodzie zjem obiad na pięćdziesiątym równoleżniku.

Natomiast w liście do Charlotty von Stein napisał: „Nareszcie, nareszcie jestem gotów, a jednak nie wszystko jeszcze zakończył, gdyż właściwie miałbym tu jeszcze na osiem dni roboty, ale chcę już odjechać i przesyłam Ci jeszcze raz *adieu!* Bądź

zdrowa, moje drogie Serce! Jestem zawsze Twój!"

Listowne pożegnanie było krótkie i pozbawione zachwyty, którymi Goethe od tak dawna prześladował swoją wybrankę. Lotta była mądrą i doświadczoną kobietą, więc doskonale zdawała sobie sprawę, że długa i trzymana w tajemnicy podróż oznacza koniec ich dziesięcioletniego związku. Być może podejrzewała, że za tym wszystkim kryje się jakaś rywalka. Czują się dotknięta i Goethe musiał napisać wiele listów, by na powrót zdobyć jej zaufanie.

Przez całe życie poeta marzył o podróży do Włoch. Nie pojechał tam jako turysta; chciał badać ten kraj swoją duszą, a w tym towarzystwo kobiety tylko by mu przeszkadzało. Nawet towarzystwo Charlotty von Stein. Goethe nie szukał żadnej kobiety, szukał samego siebie. Do Charlotty: „Gdy teraz wracam sam do siebie, co przecież tak chętnie czyni się przy każdej okazji, odkrywam w sobie uczucie, które raduje mnie nieskończenie, tak że nawet odważam się je wyrazić. Jest... mi tak, jakobym nigdy tak rzetelnie nie szacował rzeczy tego świata jak tutaj. Raduję się z błogosławionych skutków dla całego mego życia.

Poeta, który we Włoszech obracał się głównie w artystycznych kręgach wielkiej niemieckiej kolonii, wystawiony był na niejedną pokusę. Ze smutkiem zauważył kiedyś: „Rzymianki to najbardziej zachwycające postaci, jakie kiedykolwiek widziałem". Jego smutek wynikał z tego, że lekkomyślne istoty, aktorki, modelki malarzy i kokoty wykazywały pod południowym niebem o wiele mniejszy dystans niż ten, do jakiego przyzwyczyły Goethego kobiety północy. Niemniej jednak wciąż tkwił w przekonaniu,

136

że wszystkie one cierpią na chorobę dworską, a niczego nie obawiał się tak bardzo jak syfilisu. Zadowalał się więc wyrażeniem swych pragnień w „Elegiach rzymskich" oraz emablowaniem zaręczonej Magdaleny Riggi.

Dwa lata upajał się Goethe antykiem, słońcem, winem i kobietami o oczach pełnych żaru. Były to dwa lata, które, jak wyznał, należały do najszcześniejszych w jego życiu. Pożegnanie z Rzymem 23 kwietnia 1788 roku było jak pożegnanie z kochanką. Rzym i antyk zajęły miejsce pani von Stein. Goethe stał się innym człowiekiem. Ten wcześniej posiwiasty mężczyzna odzyskał swoją młodość. Ten, który wierzył już, że stoi na końcu poetyckiej kariery, odważnie rozpoczął nowe życie.

Wiązało się ono z wycofaniem się ze spraw rządowych oraz z przyjęciem założenia, że będzie więcej wymagać od siebie samego i od swego literackiego talentu. Jednocześnie łączyło się ze złożonym z pewnością siebie wobec pani von Stein oświadczeniem, że „lepiej będzie rozliczyć się przyjaźnią, niż pragnąć, by byli do siebie wiecznie podobni". Nie ma więc wątpliwości, że tajny radca von Goethe stał się innym człowiekiem.

Po dwóch latach południowego szczęścia trudno mu było na powrót zaaklimatyzować się na weimarskiej prowincji, zwłaszcza że Lotta wyraźnie dawała do zrozumienia, iż uważa jego wyprawę do Włoch za naruszenie zaufania. Miała wówczas czterdzieści sześć lat i z atrakcyjnej dojrzałej kobiety stawała się matroną.

Można na rozmaite sposoby spekulować, co stałoby się, gdyby w niedzielny wieczór 12 lipca 1788 roku Goethe nie poznał Krystiany Vulpius. Nie spotkali się przypadkiem, gdyż

dwudziestotrzyletnia kwiaciarka (Krystiana pracowała w fabryce Bertucha, w której produkowano sztuczne kwiaty) czekała na tajnego radcę, by wręczyć mu pismo z prośbą. Chodziło o protekcję dla jej starszego brata, który pracował jako prywatny sekretarz pewnego barona w Norymberdze. Być może liczył on na zdobycie posady u Goethego, w każdym razie informował pana radcę, że z pewnością straci pracę, jako że młodszy i tańszy pisarz zaoferował baronowi swoje usługi. Piękna dziewczyna o ciemnych oczach od razu wzbudziła zainteresowanie mistrza, który nawiązał z nią rozmowę. Ani Goethe, ani panna Vulpius nigdy nie wspominali później, co wydarzyło się owego dnia i następującej po nim nocy, jednak oboje świętowali 12 lipca (choć czasem także 13!) jako *swoją* rocznicę. Nieśmiały, zahamowany seksualnie Goethe,

137

który do trzydziestego dziewiątego roku życia ograniczał się do schlebiana kobietom, ubóstwiania ich i pisania dla nich wierszy, którego o utratę zmysłów przyprawiało nieśmiałe i przelotne dotknięcie, ów skromny tajny radca nagle stał się odważnym zawadiaką. Jak do tego doszło?

Złożyło się na to wiele sprzyjających okoliczności. Mimo dwudziestu trzech lat, Krystiana Vulpius była kobietą-dzieckiem, miała atrakcyjny wygląd prostego dziewczęcia, gęste, niesforne loki, które zwykle nosiła rozpuszczone, zmysłowe usta oraz łagodny i uczciwy charakter. Krótko mówiąc, trzydziestodziecioletni Goethe nie musiał się niczego obawiać. W przeciwieństwie do Charlotty von Stein Krystiana patrzyła na Goethego jak uczennica na swojego nauczyciela. Inne kobiety też już tak na poetę patrzyły, teraz jednak zmieniły się okoliczności: po swoim powrocie Goethe słyszał od ukochanej Charlotty tylko pretensje, a poza tym zdążył już sobie uświadomić, że zmarnował dziesięć lat, najlepsze lata swojego życia, dla nieprzystępnej kobiety, bez której, jak kiedyś wierzył, nie umiałby żyć. Przede wszystkim jednak owa dwudziestotrzylatka z Weimaru pod wieloma względami przypominała pewną kelnerkę z karczmy alla Campana w Rzymie, dla której kilka tygodni wcześniej Goethe niemal nie stracił głowy.

Owo dziewczę, w wieku dwudziestu czterech lat, jak Krystiana obdarzone ujmującą skromnością oraz ciałem rzymskiej bogini, było pierwowzorem postaci Faustyny w *Elegiach rzymskich*, co przyznawał sam poeta. Jeśli znawcy literatury widzą w Faustynie obraz Krystiany, to stanowi to nie zaprzeczenie, lecz wręcz potwierdzenie tej hipotezy. W korespondencji między Goethem a księciem Karolem Augustem, który z wielką swobodą relacjonował „nowicjuszowi” swe seksualne przygody, są urywki, które pozwalają mniemać, iż tego ostatniego mógł łączyć intymny związek z ową kelnerką. Przy takim założeniu Krystiana Vulpius musiała wyrzucić na Goethem ogromne wrażenie.

Zupełnie jakby od początku wiedzieli, jak długotrwała okaże się ich relacja, wcale nie próbowali jej ukrywać. Krystiana doniosła o ich związku swojej rodzinie, a Goethe w pierwszej kolejności pani von Stein. Ta niemal splunęła: „Pospolita dziwka!”. Uznany poeta i kwiaciarka! Weimar i całe Niemcy miały swój skandal. Goethe pisał ironicznie w pierwszej wersji *Elegii rzymskiej II*: „Czyi sukni z brokatu nie podnosi się tak samo jak wełnianej?”. Był zachwycony zmysłowym oddziaływaniem Krystiany, jej

„ciałem i jego wszystkimi wspaniałościami”, rozkoszował się jej ciepłem i wesołością. Nawet naiwność ukochanej, która nie potrafiła poprawnie pisać i czytać, sprawiała mu radość.

Wszyscy w otoczeniu Goethego oczekiwali szybkiego końca tego podejrzanego związku. Nawet Schiller wyśmiewał się z szalonego kolegi, a przede wszystkim z jego młodzieńczo-naiwnej ukochanej. Dopiero gdy Krystiana, która w międzyczasie zamieszkała u Goethego, urodziła w Boże Narodzenie 1789 roku synka, którego do chrztu trzymał książę Karol August, głosy zawistników zaczęły stopniowo milknąć. Krystiana urodziła w sumie pięcioro dzieci, jednak prawdopodobnie z powodu niezgodności grup krwi rodziców przeżyło tylko najstarsze, syn August. Dla Goethego, zatwardziałego kawalera, Krystiana była z początku jedynie „skarbem w łóżku”. Życiowa partnerka poety była z tej roli całkowicie zadowolona. Wówczas, w pierwszych latach ich związku, żadne z nich nie sądziło, że przerodzi się on w trwające dwadzieścia siedem lat wspólne pożycie, a to, że Goethe, choć późno, ożeni się z Krystiana Vulpius, wydawało się zupełnie nieprawdopodobne.

Przede wszystkim Charlocie von Stein. Ta dumna i chłodna kobieta nie pogodziła się ze stratą adoratora. To rzadki w historii przypadek, gdy to kochanka czuje się zdradzona i musi ustąpić na rzecz ślubnej małżonki. Opuszczona kochanka nie szczędziła krytyki nowszym dziełom Goethego. W *Elegiach* brakowało jej moralnych wniosków, które w swoich dziełach zawsze podkreślał Christoph Martin Wieland. Osobiste przeżycia, którym Goethe dawał wyraz w swoich wierszach, wprawiały ją w oburzenie, jako że zdrajca znalazł zaspokojenie u byłej kwiaciarki. Obmyślała więc zemstę.

Uznała, że poetę najlepiej pokonać jego własną bronią. Napisała więc sztukę pt. *Dido*, o legendarnej królowej Kartaginy, której postać stanowiła ulubiony temat dramatów już od czasów renesansu. Wzorem Goethego wyraziła siebie poprzez postać cnotliwej i opuszczonej kobiety, królowej Dido, oraz wprowadziła figurę starego, tłustego i lubieżnego Ogona. Gdyby sztuka owa znalazła wydawcę czy też gdyby kiedykolwiek ją wystawiono (Lotta rozpowszechniała ją jedynie w formie ręcznie odpisanych kopii), z pewnością wywołałaby skandal. Jednak sztuka pani von Stein była zbyt kiepska.

To, co dotyczy zdradzonych żon, dotyczy również zdradzonych kochanek: ich zemsta jest równie bezlitosna, co śmieszna. O *Hermanie*

i *Dorotei* Goethego Charlotta von Stein stwierdziła: „Szkoda tylko, że jeśli chodzi o małżonkę gotującą strawę przy schludnym piecu, panna Vulpius ciągle psuje ową iluzję”. Związek Goethego z Krystiana uważała za wręcz obrzydliwy, i gdy tylko ich syn August wyrósł z pieluszek, dostrzegła w jego charakterze „wytworniejszą naturę ojca i pospolitszą naturę matki”.

W 1792 roku książę Karol August oddał do dyspozycji Goethego kamienicę przy Frauenplan, w której poeta i jego ukochana partnerka życiowa urządzili sobie mieszczański dom, nieco filisterski, lecz w każdym razie przytulny, zgodnie z życzeniem Goethego. To jednak, wedle słów porzuconej kochanki, stawało prawdziwy charakter poety pod znakiem zapytania, a jego sytuacja domowa była przykra i tylko utrudniała

mu pracę*.

Baronową von Stein łączyły więzy przyjaźni z Charlotta, żoną Schillera, poety i kolegi Goethego, tak więc Schiller był dość dokładnie poinformowany o domowych sprawach Johanna Wolfganga i Krystiany. Oczywiście obraz ten był fałszywy z powodu krytycznego i pogardliwego nastawienia byłej kochanki. Schiller skazał więc Goethego zaocznie, uważając, że ten starzeje się już, a często wyśmiewana przez niego kobieca miłość bierze na nim swój odwet. Gospodyni Vulpius doprowadzi jeszcze do tego, że Goethe się z nią ożeni. Poza tym zbywał Krystianę całkowitym milczeniem. Pomieszkał sobie nawet kilka tygodni w domu przy Frauenplan, korzystając z wiktu, lecz dla Krystiany nie miał nawet słowa podziękii. Dla wielu współczesnych, podobnie jak dla Schillera, była ona nikim i tak ją traktowali.

Krystiana miała skromne wykształcenie, z trudem czytała i pisała. To ostatnie widać wyraźnie w 247 listach do Goethego, jakie się zachowały, jednak jest w nich tyle uroku i ciepła, gdy na przykład podpisuje się: „Twoje małe stworzonko”, że oczywiste staje się, co mistrz tak w tej kobiecie ukochał. Były to niewymuszoność, naturalność, uczciwość i prostolinijność. Otwarcie mówiła, co myśli, nawet jeśli mogła sobie w ten sposób zaszkodzić, miała skromne aspiracje i nie znała uczucia zazdrości. Inaczej mówiąc: Krystiana Vulpius była dokładnym przeciwieństwem Charlotty von Stein.

* Krystiana sprowadziła do domu przy Frauenplan najpierw swoją przyrodnią siostrę (chorą na gruźlicę), potem ciotkę, a przez jakiś czas mieszkał też tam jej brat.

140

Krystiana Vulpius nigdy nie miałaby odwagi zażądać od Goethego ślubu. Wiedziała o jego panicznym strachu przed małżeństwem, przypadłości, która z nieznanymi bliżej przyczyn szczególnie często występuje wśród pisarzy. Dlatego musiała być zaskoczona, kiedy skończyła już czterdzieści lat, a Goethe sam z siebie zaproponował jej małżeństwo. „W ciągu ostatnich dni i nocy” - pisał pięćdziesięciosiedmioletni poeta do nadwornej kuzynki W.C. Giinthera* - „dojrzał we mnie stary zamysł: pragnę swą małą przyjaciółkę, która tak wiele dla mnie uczyniła i przeżyła wraz ze mną te godziny próby, uznać za swoją całkowicie i po obywatelsku...”. Stało się to 19 października 1806 roku.

Schiller nie żył już od roku. Wdowa po nim, Charlotta, nie zdobyła się na przesłanie gratulacji. Ogólnie komentarze wobec tego nieco spóźnionego zdarzenia były zdystansowane, drwiące i uszczypliwe. Czołowa niemiecka gazeta „Augsburger Allgemeine” donosiła, że Goethe poślubił swoją „wieloletnią gospodynię, pannę Vulpius, która w ten sposób wygrała los na loterii”. To, że akurat czasopismo jego wydawcy, pana Cotty, pozwoliło sobie na taką satyryczną uwagę, głęboko dotknęło Goethego, który poinformował swego wydawcę: „Nie jestem godzien aż tego, by moje stosunki domowe zasługiwały na artykuł w gazecie, jeśli zaś już miałyby o tym znaleźć się jakakolwiek wzmianka, to myślę, że ojczyzna tyle mi chociaż jest dłużna, aby brać poważnie moje postęпки: wiodłem bowiem i teraz jeszcze wiodę życie poważne”.

Mimo wszystko Krystiana była odtąd panią radczynią, panią von Goethe, a ich syn August mógł w wieku siedemnastu lat zmienić nazwisko z Vulpius na Goethe. Przede wszystkim jednak pani von Goethe była ważną osobą w weimarskich kręgach

towarzyskich, a jak trudno było Krystianie wypełniać tę rolę, dowodzi list Johanny Schopenhauer***: „Goethe ożenił się w niedzielę ze swoją wieloletnią kochanką Vulpius, matką jego synów... przyjmując ją, jakbym nic nie wiedziała o tym, czym była poprzednio. Myślę, że jeśli Goethe mógł jej dać swe nazwisko, my możemy jej ofiarować filiżankę herbaty...”.

* Duchowny ten miał udzielić im ślubu.

** Johanna Schopenhauer jako młoda wdowa po bogatym kupcu wyjechała z Gdańska do Weimaru, gdzie prowadziła salon kulturalny. Cytowany list napisała do swego syna Artura, przyszłego filozofa.

141

Wciąż niepokieszona Charlotta von Stein gderiała: „Przebywanie w towarzystwie nie jest dla mnie przyjemnością, jednak ponieważ tak kocha tę kreaturkę, mogę mu raz tę grzeczność uczynić”. Herbatki u pani tajnej radczyni Goethe wkrótce stały się wydarzeniem, a przy Frauenplan gromadziło się nawet do trzydziestu dam, w tym — kto by pomyślał — Charlotta von Stein i Charlotta von Schiller.

Czy był to wpływ szczęśliwego życia, zjadania wielu ciastek czy też jakiejś choroby, Krystiana kilka lat po późnym ślubie z Goethem zaczęła wyglądać jak matrona, co raczej nie przysporzyło jej szacunku w Weimarze. Pani von Stein zaczęła ją nazywać „grubą połową” Goethego, a Maria, żona Wilhelma von Kiigelgena, znanego malarza, który sportretował m.in. Goethego, żartowała: „Pani von Goethe naprawdę najbardziej podobna jest do kaszanki”. Po estecie Goethem spodziewano się, że odwróci się od żony, która nie przedstawiała już tak miłego widoku jak niegdyś w młodości. Tak się jednak nie stało. Krystiana często chorowała. Goethe wysyłał ją na kuracje do Karlsbadu oraz do wielu medyków, którzy stawiali rozmaite diagnozy. U radosnej i pełnej chęci do życia pani radczyni pojawiły się depresje.

Z powodu udaru mózgu na początku 1815 roku Krystiana dwa miesiące spędziła przykuta do łóżka. Bardzo cierpiała, jak wyznał Goethe jednemu z przyjaciół. Ledwo doszła do zdrowia i zajęła się ulubioną pracą w ogrodzie, gdy dostała kolejnego udaru. Stało się to krótko przed jej pięćdziesiątymi pierwszymi urodzinami, a Krystiana próbowała umniejszyć powagę sytuacji i pisała do przebywającego w Jenie tajnego radcy, że jest jej już lepiej, a jej „wszystkie zmysły są swobodne i jasne”. Miała wówczas napady wysokiej gorączki. Żaden z wezwanych lekarzy nie rozpoznał niewydolności nerek i uremii (mocznicę), podejrzewali natomiast epilepsję. Goethe, który przebywał w Jenie w związku z wydaniem jego dzieł przez pana Cotte oraz założeniem nowego czasopisma poświęconego sztuce i antykowi, natychmiast pośpieszył do chorej żony. Ledwo przyjechał, poważnie się przeziębził i dostał gorączki. W dzienniku zapisywał jedynie krótkie zdania o tym, jak jego żona walczy ze śmiercią:

18. maja: Groźny stan mojej żony.

19. maja: Moja żona ponownie wstała z łóżka.

20. maja: Nawrót choroby u mojej żony.

- 1 czerwca: Stan mojej żony pogorszył się. Minchen zachorowała... Nadworny medyk Rehbein. Stan mojej żony pogorszył się.*
- 21. czerwca: Przeżyłem niespokojną, pełną trosk noc. Kucharka takie same ataki, do łóżka. Pani von Heygendorff przy mojej żonie, która wciąż w wielkim niebezpieczeństwie.*
- 22. czerwca: Moja żona wciąż w największym niebezpieczeństwie. Krduter [sekretarz Goethego] został u mnie na noc. Nagły gwałtowny atak gorączki. Musiałem położyć się do łóżka.*
- 23. czerwca: Cały dzień spędziłem w łóżku. Moja żona w największym niebezpieczeństwie. Kucharka i Minchen cierpiące. Mój syn pomocnikiem, doradcą, jedyny stały punkt w całym tym zamieszaniu. Krduter spędził u mnie ostatnią noc.*
- 24. czerwca: Bliski koniec mojej żony. Ostatnia przeraźliwa walka jej natury. Zmarła koło południa...*
- 25. czerwca: Moja żona o dwunastej w nocy do kostnicy. Ja cały dzień w łóżku.*
- 26. czerwca: Moja żona pochowana wczera o czwartej... O trzeciej modlitwa za moją żonę prowadzona przez von Voigta... Liczne kondolencje. Zawiadomienia o żałobie.*

Wśród licznych listów kondolencyjnych jest również jeden od Charlotty von Stein, który bardzo Goethego wzruszył. Strata żony, z którą spędził dwadzieścia osiem lat swojego życia, wstrząsnęła sześćdziesięciosiedmioletnim poetą. Na wiele tygodni odseparował się od świata, z nikim nie chciał rozmawiać, by w samotności przeżywać żałobę. W tym pełnym wielkiego smutku okresie, i to jeszcze w dniu śmierci żony, napisał tylko jeden czterowersz, który później wyryto na grobie Krystiany Vulpius:

Mąż żonie

*O słońce, próżno przeszyć chce twój błysk
Obłoki popielate! Oto
jest życia mego cały zysk:
Oplakiwać jej stratę!**

* Przełożył Artur Maria Swinarski.

Wedle słów przyjaciół Goethego cztery lata trwało, zanim pogodził się ze stratą małżonki. A pięć lat i cztery tygodnie po śmierci Krystiany obudził się w nim „stary” Goethe. Choć poeta liczył sobie już siedemdziesiąt dwie wiosny, z pewnością nie był zgrzybiałym starcem, wręcz tryskał energią i pomysłami, a utwory, jakie wówczas stworzył, należą do jego najznakomitszych dzieł.

Goethego znudził już Karlsbad, gdzie od zawsze spędzał urlopy, zaczął więc jeździć do Marienbadu (dzisiaj Mariańskie Łaźnie). Wynajmował tam apartament w wytwornym pensjonacie pana Brósigke, starego pruskiego oficera. Jego córka Amalia von Levetzow знаła Goethego już od piętnastu lat. Była to pełna życia niewiasta, która była kiedyś rozwódką, potem wdową, a w omawianym okresie żyła w wolnym związku z pewnym

mężczyzną. Niniejszą wzmiankę o swojej osobie Amalia von Levetzow zawdzięcza wyłącznie temu, że była matką trzech bystrych córek, Ulryki, Amalii i Berty.

Goethemu najbardziej podobała się siedemnastoletnia Ulryka, najstarsza z trzech sióstr. Była rozkosznie naiwna i raczej niewykształcona, w każdym razie nie wiedziała nawet, że ma do czynienia z poetą, sądziła, że Goethe jest „tylko” jakimś słynnym uczonym. Gdy ten po raz pierwszy przeczytał jej fragmenty swoich utworów, zdziwiła się, jednak wcale nie wpadła w uwielbienie, jak zdarzało się to młodym damom w jej wieku. Weimarski tajny radca i minister również w Marienbadzie uchodził za geniusza, a żadne sławy matki dokładały wszelkich starań, by swe gotowe do zameścia córki umieścić w otoczeniu słynnego kuracjusza. Reputacja Goethego, jeśli chodzi o kobiety, nie była co prawda najlepsza, jednak jego nazwisko robiło ogromne wrażenie.

W Marienbadzie tajny radca na nowo rozkwitł, cieszył się poznawaniem na balach i przyjęciach najpiękniejszych dam, nie nawiązując jednak z żadną z nich bliskiej relacji. Jedyłą, która mogła stanowić pewne niebezpieczeństwo, była polska pianistka, Maria Szymanowska*. Miała oczy o migdałowym kształcie i gęste czarne brwi. To właśnie z nią Goethe spędził nawet kilka dni bez strachu przed zbliżeniem, który towarzyszył mu przez

* Maria Szymanowska (1789-1831), z domu Wołowska, utalentowana polska pianistka i kompozytorka, żona Józefa Szymanowskiego, z którym rozstała się w 1820 roku, gdyż nie miał zrozumienia dla sztuki, a Maria pragnęła poświęcić się karierze muzycznej. Jednocześnie wychowywała troje dzieci, w tym córkę Celinę, przyszłą żonę Adama Mickiewicza. Zmarła w Petersburgu podczas epidemii cholery.

144

całe życie aż do poznania Krystiany. Wkrótce uświadomił sobie jednak, że nieszczególnie lubi muzykę, a jeszcze mniej pianistki. Nie, Goethe potrzebował prostej, nieskomplikowanej kobiety, jak Ulryka Levetzow, a nie drugiej Charlotty von Stein.

Wiekami i wyglądem Ulryka przypominała młodą Krystianę Vulpius. Wygląda na to, że siedemdziesięciodwuletniego Goethego ponownie spotkało szczęście, z którym los zetknął go, gdy miał lat trzydzieści dziewięć. W dzienniku zanotował: „miłe sny”. *Poeta laureatus* i minister księcia sa-sko-weimarskiego nie miał dość odwagi, by wyznać miłość owej siedemnastolatce, zaproponować jej małżeństwo i po kryjomu zaciągnąć do łóżka. Śliniąc się jak pożądlivy starzec, śledził każdy jej krok, obserwował ją potajemnie z balkonu i prosił, by schyliła się, by podnieść dla niego kilka kamieni, tylko po to, żeby móc zajrzeć jej pod spódnicę. Sytuacja ta tak podnieciła starego podglądacza, że oznajmił jej matce: „Jeszcze jedno uzupełnienie stu postaw, w których widzę ją przed sobą”.

Ale ponieważ nawet dla niego, niepoprawnego marzyciela, różnica wieku pięćdziesięciu pięciu lat wydawała się spora, spytał trwożliwie lekarza, czy jednak względem młodej damy nie przecenia swych sił. Co dokładnie pomyślał sobie ów doktor, nie wiemy, w każdym razie zaprzeczył, by mimo zaawansowanego wieku życia i zdrowiu poety groziły jakieś niebezpieczeństwa. Farsa się rozpoczęła. Rok później Goethe przymusił swego przyjaciela, księcia Karola Augusta, któremu w odniesieniu do kobiet *sam* oddał już pewne przysługi, by w jego imieniu poprosił panią Levetzow o rękę jej córki. Karol August oficjalnie to uczynił i obiecał Goethemu i Ulryce wspaniały dom w Weimarze, a

przyszłej teściowej poety hojną rentę.

Amalia von Levetzow zareagowała tak, jak zareagowałyby każda matka w podobnej sytuacji: poczuła się dotknięta tym, że wielki pan, jak sądziła, stroi sobie z niej żarty. Długo trzeba ją było przekonywać, że oferta jest jak najbardziej poważna, jednak cała historia raptownie się urwała, gdy Amalia przedstawiła swojej córce propozycję małżeństwa złożoną przez wielkiego poetę Johanna Wolfganga Goethego. Ulryka von Levetzow powiedziała „nie”. Powód? Chce iść do klasztoru i zostać kanoniczką. Tak też się stało. Goethe nigdy jej już nie zobaczył. Uroda Ulryki przekwitła za klasztorными murami. Dożyła niemal stu lat, a wielki poeta doszedł do wniosku, że natrafił na drugą Charlotte von Stein. Od tej pory żył już tylko marzeniami.

145

IV

Teresa i „ojciec” Maigreta

Nigdy dotąd nie odczułem takiego seksualnego zadowolenia, a towarzyszyło mu wiele innych przyjemnych uczuć, których wciąż nie potrafię bliżej określić.

(Georges Simenon o swojej relacji z kochanką Teresą)

W

większości przypadków umysły mężczyzn funkcjonują w niezbyt skomplikowany sposób, przy czym w swej prostocie wykazują oni szczególną skłonność do skoków w bok, które kodeks karny definiuje jako „czyny nierządne przy nadużyciu stosunku zależności”. Niemniej jednak, jeśli nikt się nie skarży, sądy nie mają nic do powiedzenia. I choć psychologowie od wielu lat zajmują się tym tematem, żaden z nich nie przedstawił dotąd wiarygodnego wyjaśnienia owego zachowania. „Pociąg do służby” - jak określano je w czasach La Belle Époque, występował we wszystkich okresach historycznych i we wszystkich kręgach, a dzielali go zarówno ludzie o silnym, jak i o słabym charakterze; zarówno ci, którzy często dopuszczali się zdrady małżeńskiej, jak i ci, którzy pozwalali sobie tylko na jedno tego rodzaju potknięcie.

Choć mężczyźni zwykle chwalą się posiadaniem drugiej żony, to związek z kobietą niższego stanu zazwyczaj ukrywają, jakby był poniżej ich godności. Co nie przeszkadza im angażować się w takie relacje z ogromną intensywnością.

Jednym z nielicznych, którzy mówili o tym z niespotykaną szczerością (jako że odczuwał wręcz chorobliwy przymus opowiadania o *wszystkich* swoich seksualnych przygodach), był Georges Simenon, Belg, jeden z najpoczytniejszych pisarzy wszech czasów, twórca niezwykle popularnej

serii powieści i opowiadań o Julesu Maigrecie, komisarzu paryskiej policji*. Simenon wyjaśnił kiedyś swój sukces, stwierdzając obrazowo: „Gdy pada deszcz, piszę: »Pada deszcz«". Swoje seksualne relacje z - jak sam twierdził - dziesięcioma tysiącami kobiet określił jako „fenomen”, a było to słowo, którego nienawidził, odkąd londyński „Daily Mail” określił go tym właśnie mianem, i to na pierwszej stronie.

Oczywiście Georges Simenon był żonaty, i to dwukrotnie, a Rćgine, zwana „Tigy”, jego pierwsza żona, podjęła się później, gdy już nie byli małżeństwem, dokładnego policzenia wraz z Simenonem, ile tak naprawdę miał on w swoim życiu kobiet. Doliczyli się co prawda jedynie dziesiątej części liczby podanej przez pisarza, jednak i tak jest ona imponująca: jeden mężczyzna i tysiąc kobiet.

Mowa będzie tutaj nie o tysiącu kobiet Simenona, lecz tylko o jednej, która, jak zwykł był mawiać, „odegrała w jego życiu istotną rolę”. Miała na imię Teresa, pochodziła z Wenecji i w grudniu 1961 roku została zatrudniona przez drugą żonę Simenona, Denise, jako pokojówka i gospodyni domowa. To, że miała nieślubne dziecko, czego nie ukrywała, nie stanowiło prawdopodobnie szczególnej podniety, natomiast fakt, że była dwadzieścia trzy lata młodsza od pisarza, z pewnością. Teresa, której panińskiego nazwiska Simenon nie ujawnił do końca życia, miała krótkie czarne włosy i ciemną karnację, była niewielkiego wzrostu i z pewnością nie była taką pięknoscią, jak Denise, małżonka Simenona, jednak wszyscy, którzy ją znali, zachwycali się jej wyjątkową serdecznością czy wręcz zmysłowością.

Niemniej jednak to również nie ta cecha sprawiła, że Georges Simenon oszalał na punkcie Teresy i zdecydowanie przedkładał ją nad poślubioną sobie Denise. Żeby znaleźć tę przyczynę, trzeba cofnąć się daleko w przeszłość popularnego pisarza, w czasy, gdy nie odnosił jeszcze sukcesów i pracował w Paryżu za 600 franków jako człowiek do wszystkiego w pewnym stowarzyszeniu politycznym. Za 25 franków miesięcznie wynajmował wówczas tani pokój w hotelu Berthe w pobliżu placu Clichy. Dokładnie rzecz biorąc, był już wtedy, mając dwadzieścia lat, zaręczony ze swoją przyszłą żoną Rćgine, czego jednak nie traktował zbyt serio. Jak

* Simenon napisał ponad sto powieści i opowiadań o komisarzu Maigrecie, a łączny nakład wszystkich jego książek liczy setki milionów egzemplarzy.

otwarcie wyznał w wieku siedemdziesięciu lat, po tym jak mając dwanaście lat stracił cnotę z szesnastolatką, zadawał się w owym czasie z najtańszymi dziewczętami Paryża, roniąc szczerze łzy, gdy brakowało mu gotówki i nie mógł pozwolić sobie na opłacenie „porządnej” kokoty.

Pewnego dnia, jak zwykle śniąc na jawie w swoim pokoju w hotelu Berthe, Simenon usłyszał na korytarzu pokojówkę, która czyściła buty hotelowych gości. Opanowało go wielkie pożądanie. Wyszedłszy przed drzwi, przystąpił - jak twierdzi - do dziewczęcia od tyłu, a ono nie protestowało. Pokojówka owa miała jedynie powiedzieć „Och, Monsieur!” i nawet nie przerwała czyszczenia butów.

Owo seksualne doświadczenie wywarło niezapomniane wrażenie na młodym

człowieku z belgijskiego prowincjonalnego miasta Liege, któremu „pociąg do służby” i prostytutek towarzyszył przez całe życie. Nawiasem mówiąc, skłonność ta ujawniała się również u bohaterów jego książek. Wkrótce potem poślubił Rćgine, studentkę z Liege, której, jak sam powiedział, nigdy tak naprawdę nie kochał, natomiast w jakimś sensie zastępowała mu ona matkę. Ich małżeństwo zakończyło się rozwodem w 1950 roku.

Niemal czterdzieści lat po owym hotelowym wydarzeniu Simenon, który w międzyczasie został mężem Denise Oiumet, francuskojęzycznej Kanadyjki, pewnego dnia poczuł nagle identyczne pożądanie, jak wówczas w paryskim hotelu Berthe. Simenon wszedł do swojego gabinetu i spostrzegł Teresę pochylającą się nad stołem ze ściereczką do kurzu w ręce. Dla kobieciarza, jakim był Simenon, oznaczało to zaproszenie, z którego bez zastanowienia skorzystał. W swoich dziennikach zatytułowanych *A l'abri de notre arbre {Gdy byłem stary. Dzienniki 1960-1963}* wspomina: „Nigdy dotąd nie odczułem takiego seksualnego zadowolenia, a towarzyszyło mi wiele innych przyjemnych uczuć, których wciąż nie potrafię bliżej określić. To było dla mnie wyjątkowe przeżycie. Teresa nie zachowywała się kokieteryjnie. Przeżyła równie silny orgazm jak ja, wciąż pochylona nad stołem, trzymając w ręku ściereczkę do kurzu czy do mycia okien”.

Tego, co działo się potem, Simenon nie potrafi sobie przypomnieć. Przypuszcza, że nawet nie spojrzął na Teresę, po czym zamknął się w swoim pokoju. Można by pomyśleć, że to doświadczenie z pokojówką Teresą było jednym z licznych podbojów pisarza, i nie miałyby się to z prawdą. Jednak w przypadku Teresy sprawy potoczyły się inaczej. Od tego dnia stała się drugą żoną Simenona.

148

Denise Simenon wiedziała o tym przynajmniej od początku 1962 roku, gdy w londyńskim hotelu Savoy Teresa przyznała się do romansu i złożyła wymówienie. Jednak Denise wcale nie uważała, że sypianie z jej mężem musi oznaczać rozstanie z pokojówką. W palecie jej uczuć nie było zazdrości i Denise była zdania, że Teresa może robić z Georges'em, co jej się żywnie podoba, byle tylko, na miłość boską, łykała pigułkę.

Za postawą żony Simenona wcale nie kryła się obojętność. Denise po prostu przypuszczała, że owe amory to typowy słomiany ogień, który już wielokrotnie rozpałał się w jej mężu. Jednak myliła się. U Simenona rozwinęła się pewnego rodzaju alergia na żonę - w każdym razie tak opisywał ich wzajemne stosunki. Mimo to nie był gotowy na zakończenie małżeństwa, nawet gdy Denise coraz częściej przejawiała zachowania, które (dobrowolną) terapię w klinice czyniły niezbędną. Podczas wspólnego z Teresą rejsu po Morzu Śródziemnym w 1965 roku Simenon doszedł do wniosku, że jego małżeństwo z Denise dobiegło końca i że nie chce już mieszkać z nią pod jednym dachem. Od tej chwili konkubina Teresa zajęła miejsce Denise.

Z typową dla niego hojnością Simenon kupił swojej żonie dwie drogie wille i przekazywał jej miesięcznie 15 tysięcy franków szwajcarskich na utrzymanie. O rozwodzie nie myślał, gdyż zakładał, że kosztowałyby go majątek. Simenon nadal mieszkał z Teresą i jedenaściorgiem służby w willi w Epalinges niedaleko Lozanny. Konkubina nie odstępowała go na krok, nawet gdy Simenon w wyniku nieszczęśliwego upadku we

własnym domu złamał kilka żeber i musiał leżeć w szpitalu przez trzy miesiące. Teresa zamieszkała w klinice, spała na rozkładanym łóżku obok mistrza i „zmieniała mu pościel” (określenie Simenona), kiedy tylko sobie zażyczył.

Krótko przed swoimi siedemdziesiątymi urodzinami Simenon sądził, że udało im się wraz z Teresą docenić urodę skromnego życia. Nie sprzedali co prawda wielkiego domu, lecz przeprowadzili się do wieżowca przy Ave-nue de la Cour w Lozannie. Ich „skromne” życie nie trwało jednak nawet roku. Przeprowadzili się do widocznego z ich wieżowca starego wiejskiego domu, co doskonale odpowiadało Teresie, i od tej pory nie musiała już w obecności innych zwracać się do mistrza per „pan”. Co więcej, od tego momentu Simenon mówił o Teresie: „madame Simenon”. Mimo braku aktu ślubu konkubina stała się małżonką. Ponadto wyraźnie było widać, że Simenon, do tej pory paskudny kobieciarz, rzeczywiście kocha Tere-

149

se, podobnie jak ona jego. Pozwoliłaby mu nawet na romanse z innymi kobietami i często otwarcie to mówiła, jednak Georges Simenon po raz pierwszy w życiu był wierny jednej kobiecie.

Ten sam w sobie pozytywny okres w życiu Simenona nie pasowałby do jego biografii, gdyby nie miał jednocześnie wymiaru tragicznego. To właśnie związek Simenona z Teresą najprawdopodobniej przyczynił się do samobójczej śmierci jego córki Marie-Jo w maju 1978. Miała wtedy dwadzieścia pięć lat. Marie-Jo* ubóstwiała swojego ojca, była w nim zakochana od ósmego roku życia, kiedy to zażyczyła sobie od niego ślubnej obrączki, a ojciec, który nie potrafił odmówić spełnienia żadnej z jej zachcianek, taką obrączkę jej kupił. I z tą obrączką na palcu (która w międzyczasie była poszerzana) chciała, jak napisała w liście pożegnalnym, zostać skremowana. Cztery lata wcześniej rozegrała się w Lozannie następująca scena: w lutym 1974 roku Georges i Teresa właśnie mieli się przeprowadzać do małego wiejskiego domku, gdy pojawiła się Marie-Jo. Teresa zostawiła córkę samą na sam z ojcem, a to, co się potem wydarzyło, pisarz opisał w swoich *Intymnych wspomnieniach*. Marie-Jo zażądała od niego, żeby się z nią przespał, a w odniesieniu do Teresy stwierdziła, że może robić dla niego wszystko, co robi tamta. Simenon wpadł w oburzenie, a później, zupełnie jakby od wielu lat nie przyglądał się beczynnemu tej tragicznej grze, stwierdził, iż od tego momentu patrzył na swoją córkę nie tyle jak na obcą osobę, lecz wręcz widział w niej wroga.

Pomijając owo kazirodcze uczucie, Marie-Jo, która była prześliczną młodą dziewczyną, miała również inne problemy psychiczne, w związku z którymi dobrowolnie poddała się terapii. Jak to często bywa, jej skuteczność okazała się jedynie pozorna. Głęboko ukryte problemy wciąż w niej tkwiły. 16 maja 1978 roku Marie-Jo Simenon sięgnęła w swym paryskim apartamencie przy Champs Élysées po telefon i zadzwoniła do ojca w Lozannie, żeby powiedzieć mu, jak bardzo go kocha, i usłyszeć, że on również ją kocha. Simenon potwierdził, jednak Marie-Jo nie ustąpiła i zmusiła ojca, by wypowiedział te dwa słowa: „Kocham cię”. Odłożyła słuchawkę. Simenon próbował do niej oddzwonić. Nadaremnie. Marie-Jo strzeliła sobie śrutówką prosto w serce.

* Marie-Jo, córka Georges'a i Denise, miała dokładnie na imię Marie-George, na cześć swego ojca.

150

Można by sądzić, że to samobójstwo zaciąży na związku Teresy i Si-menona. Ale tak się nie stało. Wygląda na to, że Teresa rzeczywiście była wielką miłością pisarza i aż do jego śmierci, która nastąpiła 4 września 1989 roku, nie opuściła go ani na chwilę. Teresa i Georges Simenon - rzadki przypadek szczęśliwego losu konkubiny.

V

Lola Montez: król i tancerka

Ach, żebyś tak nigdy, przenigdy Cię nie spotkał, Tej, której oddałbym ostatnią krople swej krwi. Nieopisanym bólem dręczysz mnie od środka, żarem mego życia i namiętnością byłaś mi!

*Tyś zdradą odplaciła niezmienną wierność moją,
meją władzę jeno chciałaś i moich pieniędzy.
Przez Ciebie ugodzeni ode mnie ludzie stronią,
to Ty przyczyną jesteś żywota mego nędzy.*

(Jeden z wierszy Ludwika I Bawarskiego o Loli Montez)

G

dy na świat przyszła Lola Montez, Ludwik I Bawarski miał już za sobą ośmioletni staż małżeński z żoną Teresą. Dziewczynka, która się wtedy urodziła, nie nazywała się ani Lola, ani Montez, lecz Maria Dolores Eliza Rosanna Gilbert, a jej ojciec, irlandzki podchorąży Edward Gilbert z hrabstwa Limerick, poślubił jej matkę, Kreolkę OHverez de Montalva, na kilka tygodni przed rozwiązaniem.

To przede wszystkim sama Lola przyczyniła się do tego, że o jej narodzinach i pochodzeniu krążyły najprzeróżniejsze legendy. Sama rozpowszechniała coraz to nowe wersje i bez żadnego konkretnego powodu kłamała nawet w swoich *Pamiętnikach*, wydanych w Stuttgarcie w 1849 roku, odejmując sobie pięć lat. To można jeszcze zrozumieć, ponieważ należała do kobiet zarabiających na życie swoim wyglądem. Niejasne natomiast pozostaje, dlaczego jako miejsce swego urodzenia podała stolicę

152

Andaluzji Sewillę. Być może za tymi konfabulacjami stało niespokojne życie, jakie prowadziła, pełne, jak mówiła, opowieści, dramatów i zmiennych kolei losu: „Jako

Irlandka po ojcu, Hiszpanka po matce, Angielka przez wychowanie, Francuzka ze skłonności i kosmopolitka przez okoliczności, mogą o sobie powiedzieć, że przynależą do wszystkich narodów, a jednocześnie do żadnego".

Edward Gilbert udał się służbowo do Kalkuty, a wraz z nim żona i córka. Wkrótce jednak podchorążego zabiła cholera, a po krótkim czasie matka Loli wyszła za uczciwego kapitana, Patricka Craigie, który właśnie dlatego, że bardzo lubił małą dziewczynkę, wysłał ją do swoich rodziców. Mała miała wtedy osiem lat i zdecydowanie nie czuła się u państwa Craigie szczęśliwa.

Dziadkowie dostrzegli to i przekazali wychowanie dziewczynki poważanemu urzędnikowi rządowemu sir Jasperowi Nicollswi. W nowym opiece nie podobała się Loli jego małomówność, a przede wszystkim chłód. Natomiast lady Nicolls zdobyła jej ogromną sympatię i to właśnie jej opiece Lola wiele zawdzięczała.

Gdy Lola skończyła szesnaście lat, jej matka uznała, że nadeszła pora, by wydać ją za mąż - możliwie bogato, ma się rozumieć, w końcu, jak uważała, jej samej też się coś należy. Znalazła odpowiedniego kandydata, sir Abrahama Lumbeya, zamożnego sędziego z odległej Kalkuty. Fakt, że sir Abraham był kawalerem, z pewnością spodobałby się Loli, gdyby nie jedno drobne „ale”: narzeczony miał sześćdziesiąt lat. Jej matce nie sprawiało to jednak żadnej różnicy, a sir Abraham po ujrzeniu wizerunku panny młodej aż palił się do ślubu. Przekazał matce Loli niezły kawałek grosza i poprosił, by przywieźć mu owo piękne dziecko do Indii.

W drodze do Irlandii pani Craigie, matka Loli, poznała podporucznika Thomasa Jamesa i poprosiła go, by pomógł jej przekonać uparte dziewczę, że naprawdę będzie dla niej najlepiej, jeśli poślubi starego pana Abrahama. Jednak już przy pierwszym spotkaniu z młodą dziewczyną Thomasa Jamesa ogarnęły poważne wątpliwości, które w końcu przerodziły się w pewność, że to *on sam* jest właściwym mężem dla panny Gilbert! Uciekł więc z nią, i by postawić świat przed faktem dokonanym, 23 lipca 1837 roku wzięli ślub.

„Jeśli przez okamgnienie nad moim miesiącem miodowym nie było chmur" - wspomniała później Lola - „to trwało to tylko bardzo krótką

153

chwile". W momentach złego humoru, które zdarzały się coraz częściej, Thomas tak mocno i ordynarnie szczypał Lolę, że zaczęła go uważać za „nowe wcielenie swojego nauczyciela gry na pianinie". Z tego względu nieoczekiwane wezwanie dla pana Jamesa do służby w Indiach nadeszło, z punktu widzenia jego małżonki, w samą porę. Thomas życzył sobie jednak, by młoda żona mu towarzyszyła, oboje wyruszyli więc z Kompanią Wschodnioindyjską do Kalkuty. Na pokładzie parowca „Blund" („Nawet podczas miesiąca miodowego wspólne podróżowanie oznacza śmierć miłości") Lola odkryła w swoim mężu humorzastego, upartego i tyranizującego pijaka, który na dokładkę okazał się zupełnym nudziarzem.

Poza spaniem i piciem nie było zresztą podczas rejsu zbyt wielu możliwości spędzania wolnego czasu. Należało do nich jeszcze flirtowanie, i choć na pokładzie parowca znajdował się cały szwadron młodych Angielek, liczących na to, że w Indiach znajdą mężczyznę swego życia, to podczas owej czteromiesięcznej podróży współpasażerowie w

większości właśnie do Loli kierowali swe zaloty i komplementy.

Lola miała wtedy dużo czasu na myślenie i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jej uroda ma wartość ekonomiczną, trzeba tylko umieć ją właściwie wykorzystać. Przypomniła sobie również słowa, które powiedział jej w Dublinie, przed podróżą, lord Normanby. Oczarowany wyglądem Loli wyjawiał jej, że prawdziwymi władczyniami świata są szesnastoletnie kobiety, które potrafią wyprowadzić w pole każdego mężczyznę, a szczególnie dyplomatów. Opinia ta stała się najważniejszym poglądem w życiu Loli. Szczerze w to wierzyła. Wierzyła również, że zawsze będzie miała szesnaście lat - nawet gdy wiek ten dawno przekroczyła.

Natrętne zaloty współtowarzyszy rejsu sprawiały Loli ogromną przyjemność. A sprzyjał im wygląd poślubionego kilka tygodni wcześniej małżonka. Thomas James był niemal dwukrotnie od niej starszy, czyli w wieku jak najbardziej odpowiednim dla pana młodego. Jednak ze względu na młody wiek jego towarzyszkę uważano go raczej za ojca Loli niż jej męża. Jak Lola zapewnia w swoich *Pamiętnikach*, natarczywi wielbiciele posunęli się nawet do tego, że wywiercili dziury w drewnianych ścianach po obu stronach jej kabiny.

Sąsiadem po prawej stronie był pewien krzepki oficer, a Loli zupełnie nie przeszkadzało to, jak wspominała, że: „widział u mnie wiele i bardzo mu się to podobało”. Po satysfakcjonującym „przeglądzie” doszło do wymiany

154

zwiniętych w ruloniki liścików. Lola nie ujawnia, czy ich nieprzyzwoita treść była wyrazem jedynie pożądania, czy też jego spełnienia. W trakcie tych zajęć mąż Loli, Thomas James, smacznie sobie spał.

Życie w Kalkucie byłoby nawet znośne, gdyż Anglicy w owym czasie wciąż żyli tam jak maharadzowie, jednak Thomas James niefortunnie otrzymał przydział do bengalskiej piechoty stacjonującej na afgańskiej granicy. W mieście Simla Lola nie wytrzymała długo, wymknęła się mężowi i uciekła do Kalkuty, gdzie wciąż mieszkali jej matka i ojczym. Matka za wszelką cenę chciała odstawić córkę z powrotem do męża do Simli, jednak pan Craigie nie potrafił swojej pasierbicy niczego odmówić. Gdy Lola wyraziła życzenie powrotu do Anglii, sfinansował jej bilet na statek i dorzucił jeszcze 1000 funtów kieszonkowego.

W trakcie rejsu Lola poznała kapitana Lennoksa, z którym wspólnie zamieszkała po dotarciu do Londynu. Choć Indie były daleko, wieść o jej zdradzie dotarła nawet tam, a Thomas James niezwłocznie postanowił rozstać się z żoną. Separację ogłoszono w maju 1841 roku, a dla pani Loli James, z domu Gilbert, rozpoczął się jeszcze bardziej niespokojny okres życia.

Wkrótce potem kapitan Lennox porzucił swoją kochankę, gdyż życie u boku kapryśnej kobiety uznał za nadmiernie emocjonujące. Lola, która nigdy nie przyznałaby się do tego, że porzucił ją mężczyzna, twierdziła, że Lennox musiał uciekać z powodu pojedynku, w którym pewien wicehrabia doznał uszczerbku na zdrowiu, co prawda nie stracił życia, lecz kawałek nosa.

Lola czuła się wprawdzie wolna, jednak musiała znaleźć sobie jakiś zawód, jeśli nie chciała znów popaść w całkowitą zależność od jakiegoś mężczyzny. Najbardziej

odpowiadała jej praca tancerki. Sama nie wspomina o tym, jak naprawdę została tancerką, i pisze jedynie, że gdy pewnego dnia zgłosiła się do Teatru Francuskiego w Londynie, natychmiast otrzymała angaż. „Byłam tancerką. Ale byłam też kobietą, i czemuż miałabym temu zaprzeczać? Oczami wyobraźni widziałam triumfy, jakie święcić będę na scenie, myślałam o tym, że jestem piękna i że dzika namiętność moich ruchów musi się spodobać”.

A tak naprawdę w latach 1841-1843 Lola mieszkała w Hiszpanii, gdzie nauczyła się tańczyć bolero, fandango i gry na kastanietach. Jej kariera ograniczyła się tam jednak wyłącznie do występów w podejrzanym

155

spelunkach madryckiego Starego Miasta. Po powrocie z Hiszpanii Lola „zapomniała” swego prawdziwego nazwiska i zaczęła przedstawiać się jako Maria Dolores Porris y Montez, w skrócie Lola Montez.

Jej pierwszy występ w królewskim teatrze w Londynie poprzedzały przygotowania przypominające przygotowania występu współczesnej gwiazdy popu. Już kilka tygodni przed występem Loli gazety rozpisywały się o jej szlachetnym hiszpańskim pochodzeniu. Plakaty informowały, że światowej sławy Donna Lola wystąpi między pierwszym a drugim aktem *Cyrulika sewilskiego*, prezentując tańce hiszpańskie. Londyńskie towarzystwo za szczególnie frywolne uznało to, że we wszystkich klubach w mieście można było znaleźć małe obrazki z wizerunkiem tancerki. Oczywiście bilety do teatru Jej Królewskiej Wysokości zostały dawno wyprzedane. Mimo to występ zakończył się skandalem - prawdopodobnie za przyczyną pewnego odrzuconego wielbiciela. Wśród aplauzu, jaki wywołał emocjonujący występ Loli, zabrzmiał złośliwy głos pewnego lorda: „Panie i panowie, to wszystko oszustwo! Tańczyła tu przed nami nie jakaś Hiszpanka Lola Montez, lecz Betsy James, rozwódka z Irlandii!”.

Londyn miał swój teatralny skandal. Dziś moglibyśmy się zastanawiać, cóż takiego nagannego się wydarzyło. W każdym razie pewne jest jedno: Lola musiała w pośpiechu opuścić Anglię i wyjechała do Paryża, gdzie na nowo podjęła naukę tańca oraz występowała w Akademii Królewskiej - z tak umiarkowanym sukcesem, że pod koniec swojego ostatniego występu wyciągnęła spod sukni podwiązkę i wściekła cisnęła nią w publiczność.

Od tej pory wieści o skandalach z udziałem Loli zawsze poprzedzały jej przybycie, dokądkolwiek się nie udawała, a „gazety rozpowszechniały najgłupsze kłamstwa”. Loli całkowicie to odpowiadało, gdyż w ten sposób z łatwością mogła ukryć swoją prawdziwą przeszłość. Tak naprawdę nigdy nie żyła ze sztuki, a jedynie ze swojej sławy. I nie pomijała żadnej okazji, by sławę tę wszelkimi metodami pomnażać. Z prawdziwą rozkoszą wspominała w swoich pamiętnikach relację prasową, która poprzedzała jej przybycie do Warszawy, dokąd udała się z Paryża. Pisano tam: „Pito szampana z jej pantofli, które zsunęła ze swych stóp, a gdyby każdemu, który prosił o pukiel włosów, dała choćby tysięczną część swych loków, to już dawno jej piękne czarne sploty znajdowałyby się w cudzych rękach, a jej głowa zupełnie pozbawiona byłaby tej wspaniałej ozdoby. Komiczny jest jednak

sposób, do którego owa niezwykła i wyjątkowa dama uciekła się, by ratować się przed naporem niezliczonych wielbicieli, dosłownie oblegających jej mieszkanie. Własnoręcznie sporządziła taryfę dowodów życzliwości ze strony uprzejmej damy i kazała przybić ją na drzwiach swojego mieszkania. Zgodnie z tą taryfą taksa za pocałunek w usta wynosi 1000 franków, w oczy 500 franków, a w rękę 100 franków. Poza tym istnieją również sekretne warunki cenowe na inne objawy sympatii".

Lola Montez wspominała, iż to właśnie podczas pobytu w Warszawie zrozumiała, jaką potęgą jest prasa, i że protekcja na stronach gazet jest czymś niezbędnym. W wyrafinowany sposób korzystała więc z potęgi mediów. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nie mogli się doczekać, by ujrzeć taniec niewiarygodnie drogiej artystki. Sukcesy Loli w Polsce nie trwały jednak długo, gdyż wydarzył się podobny skandal jak w Londynie. Księżę Paskiewicz, odrzucony wielbiciel, opłacił ludzi, którzy gwizdami i obraźliwymi okrzykami utrudniali jej występy*. Doszło nawet do ulicznej potyczki, w której kilka osób zostało rannych, a Lola Montez postanowiła opuścić Warszawę i udać się w kierunku Sankt Petersburga**.

W tamtejszej operze odniosła swój największy jak dotąd sukces. Jakimś cudem nie doszło do żadnego skandalu, więc nic nie stało na przeszkodzie, by Lola dłużej bawiła w tym mieście. Ona jednak nie widziała tam żadnej szansy na większy awans towarzyski. A właśnie o taki awans chodziło jej przede wszystkim. Lola Montez powiedziała kiedyś, że w mężczyznach interesują ją ich dusze, a nie ich majątki. Było to jednak tylko pół prawdy, gdyż w mężczyznach interesowało ją przede wszystkim to, w jakim stopniu mogą zapewnić jej towarzyski awans. Cierpiała z powodu swojego drob-nomieszczańskiego pochodzenia i nienawidziła skromnego życia. Stąd legenda o jej szlachectwie, stąd jej dążenie do tytułów i godności, stąd nie-

* Feldmarszałek Iwan Paskiewicz był słynącym z okrucieństwa carskim namiestnikiem Królestwa Kongresowego, który za swe zasługi otrzymał od cara Mikołaja I tytuł księcia Warszawy. Owym odrzuconym wielbicielem tancerki był raczej Iwan Abramowicz, szef warszawskiej policji, a jednocześnie dyrektor Teatru Wielkiego, który dążył w ten sposób do usunięcia Loli ze swego zespołu i zerwania z nią kontraktu.

** Z powodu wywołanych zamieszek Paskiewicz wydał rozkaz wydalenia Loli z Królestwa Polskiego, a do granicy towarzyszył jej pewien oficer rosyjskiej żandarmerii, który również nie oparł się jej czarowi.

ustanne poszukiwanie odpowiedniego partnera, aż do chwili, gdy znalazła mężczyznę, który uczynił z niej prawdziwą hrabinę.

Żeby to osiągnąć, tancerka, która nie potrafiła nawet dobrze tańczyć, a wyposażona była jedynie we wszelkie zalety cielesne, musiała pokonać wyboistą i najeżoną przeciwnościami drogę. Kobiecie, której przybycie poprzedza sława sprzedajnej, nie jest łatwo - i to bez względu na prawdziwość takich zarzutów.

W Sankt Petersburgu prześladował ją pewien pop, który mieszkał w tym samym

hotelu i świetnie mówił po francusku. Powiedział Loli, że jej wygląd jest tak doskonały, iż nie może postąpić inaczej i musi czcić ją jak świętą. A i ona mogłaby przecież traktować go jak świętego. „Pan pop miał wymagania większe niż papież, który zadowala się tym, że całuje się jego pantofel. Pop chciał, żeby całować jego samego”. Gdy tancerka sprzeciwiła się temu żądaniu, siwobrody kapłan zaczął całować jej stopy, lecz zanim dotarł w wyższe partie jej ciała, Lola Montez uciekła do Berlina, gdzie zamieszkała w pobliżu Unten den Linden, głównej alei miasta.

Liczyła na to, że w Berlinie odniesie podobny sukces jak w Sankt Petersburgu. Rozczarowała się jednak. Berlińczycy poświęcili tańczącej Hiszpance bardzo niewiele uwagi, a berlińskie gazety jeszcze mniej. Gazeta „Vossische Zeitung” napisała na jej temat jedno tylko zdanie: „Donna Lola Montez tańczyła dziś Baleros de Cadix”, co bohaterkę owej krótkiej notki skłoniło do wyrażenia opinii, iż owa gazeta jest najdziwaczniejszą, jaką kiedykolwiek czytała. A trzeba ją czytać, by poznać berlińczyków, Prusy czy nawet całe Niemcy oraz warunki panujące w tym pełnym przeciwieństwie kraju.

Nie, na początku Lola zdecydowanie nie lubiła Niemców, ale to bardzo szybko się zmieniło wraz z jej rosnącą pozycją towarzyską. Później, już jako hrabina, używała nawet niemieckiego nazwiska. Mimo to we wszystkich niemieckich krajach nienawidzono jej jak zarazy.

Pozostaje tajemnicą, dlaczego donna Maria Dolores Porris y Montez zdecydowała w roku 1846 pojechać akurat do Monachium. Monachium było w czasach biedermeieru prowincjonalnym miastem, liczącym 90 tysięcy mieszkańców, które nie mogło równać się ze światowymi metropoliami takimi jak Berlin, Sankt Petersburg czy Paryż. Zamieszkiwał je pewien gatunek ludzi powściągliwych, czy wręcz nieufnych wobec nowości i cudzo-

158

ziemców. Moda była dla nich jedynie zagranicznym, włoskim słówkiem. Wszystko to wydaje się potwierdzać założenie, że Lola Montez nad rzekę Izarę po prostu zabłądziła.

Jednak w Monachium był król, z rodu Wittelsbachów, którego sława wykraczała daleko poza jego bawarską ojczyznę oraz inne niemieckie kraje: Ludwik. Powodem tego rozgłosu nie była bynajmniej polityczna przenikliwość (król, który wierzy, że potrafi połączyć liberalizm z polityką Kościoła katolickiego, daje dowód swej naiwności), lecz zamiłowanie do sztuki oraz uwielbienie dla kobiecej urody. Właśnie to ostatnie musiało przyciągnąć Lolę do Monachium. Wiedziała już, że u pruskich królów nie ma żadnych szans.

Bawarskiemu królowi, który od trzydziestu sześciu lat był mężem królowej Teresy pochodzącej z mało znaczącego rodu von Sachsen-Hildburghausen z Nadrenii, przypisywano niezliczone związki z pięknymi damami. Niektóre z nich miały być czysto platoniczne, czyli pozbawione zmysłowej pożądlivosti, inne natomiast były tak rozwiązłe, że poddani na widok swego króla zegnali się znakiem krzyża, jakby był diabłem wcielonym.

Tolerancji, którą wpajał swojemu narodowi, Ludwik wymagał przede wszystkim dla siebie samego. Jego żona była protestantką, a on sam kobieciarzem. Dał to Teresie do zrozumienia jeszcze przed ślubem. Pisał: „Będę z Tobą szczęśliwy, kochana Tereso, jednak tak jak przeplatają się chmury ze słońcem, tak radość przeplata się w życiu ze

smutkiem, i nie ma na ziemi wiecznej szczęśliwości, nawet w małżeństwie, choćby najszczęśliwszym, a przecież, och, jakże daleki jestem od doskonałości!"

W ten sposób Ludwik wyłudził przyzwolenie na wszystkie swoje niedoskonałości, przede wszystkim niewierność, gdyż, jak poinformował Teresę, chciałby zachować tryb życia, do jakiego przywykł, i chciałby spać sam, a do *jej* sypialni przychodzić jedynie z wizytami. Z dziennika bawarskiego króla: „Ton, jaki się chce utrzymać, trzeba narzucić od samego początku". W jakiś cudowny sposób królowa Teresa powiła jednak dziewięcioro dzieci, choć Ludwik już po kilku latach małżeństwa wierzył, że „wszystkie tutejsze kobiety i kurewki są w nim zakochane i walczą o jego względy" (wedle słów Gumpfenberga, adiutanta Ludwika).

W rzeczywistości Ludwik był erotomanem, który nigdy nie miał dosyć kobiet. Jego małżeństwo nie trwało nawet trzech lat, gdy podczas podróży do Anglii zadał się z córką pewnego nauczyciela. Jeśli wierzyć zapi-

159

skom w jego dzienniku, dziewczyna doprowadzała go niemal do utraty zmysłów, gdyż jak pijany satyr tworzył poezję w rodzaju:

*Kochać ja muszę, wciąż miłować, Choćby po grób własnego
życia. I nawet gdy mnie będą chować, Me serce będzie bicz
ukrycia*.*

Ludwik napisał wiele takich romantycznych wierszy, i nawet jeśli w momencie powstawania stanowiły wyraz jego prawdziwych uczuć, to zapominał o nich, poznając następną piękność, której poświęcał kolejne, jeszcze bardziej namiętne strofy. Tym, co wyróżniało skoki w bok młodego monarchy, czy raczej odróżniało jego samego od innych mężczyzn w podobnej sytuacji, była bezwstydną szczerość, z jaką Ludwik przyznawał się do owych błędów swojej żonie Teresie. Nawet na dworze o kochankach Jego Królewskiej Mości nie szeptano, lecz otwarcie rozmawiano.

Przede wszystkim oczywiście o jego związku z markizą Marianną („Madonniną") Florenzi, który przetrwał czterdzieści siedem lat oraz wiele innych miłostek króla. Ludwik był niemal dwukrotnie starszy, gdy w 1821 roku po raz pierwszy zobaczył w Rzymie osiemnastoletnią małżonkę pewnego adwokata z Perugii. Miała ciemne włosy, takie same oczy oraz delikatną budowę ciała, co silnie oddziaływało na zmysły Ludwika. Po pierwszym przelotnym spotkaniu podczas karnawałowego pochodu bliżej poznali się na balu u austriackiego ambasadora hrabiego Apponyi, oczywiście ku ubolewaniu jej męża. Jednak sprytna markiza potrafiła w nieco burleskowy sposób okiełznać zazdrość małżonka. Marianna, której zaloty arcyksięcia ze wszech miar schlebiali i która z równą siłą odwzajemniała jego namiętność, wymusiła na Ludwiku obietnicę, że załatwi jej mężowi Ettore dobrze płatną posadę na papieskim dworze. Choć awans nie następował, Ettore Florenzi czuł się zobowiązany do tłumienia swej jak najbardziej słusznej zazdrości - zwłaszcza gdy na świat przyszedł chłopiec, któremu nadano imię Ludovico. Oczywiście jako wyraz głębokiej czci dla monarchy, wedle słów Marianny. Bawarski król przyjął później chłopca na swój dwór jako pazią.

Bawarczycy prawdopodobnie wybaczyliby swojemu królowi jedną kochankę, lecz buntowali się przeciw nieustannie zmieniającym się wybrankom, a monarcha wkrótce zyskał podobną sławę, jaka przez całe życie towarzyszyła Gajuszowi Cezarowi: „Mężczyźni, ukryjcie swe kobiety, cesarz nadchodzi!”. Podobnie jak później austriackiemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi, Ludwikowi podobały się przede wszystkim młode dziewczęta z niższych warstw, przede wszystkim aktorki.

W ciągu kilku lat Ludwik zapalał namiętnością do dwóch bardzo popularnych w Monachium gwiazd sceny. Posiadały one pewną cechę wspólną: były szczęśliwymi żonami, w związku z czym wcale nie pragnęły mieć do czynienia z królem. Jednak właśnie ta ich nieosiągalność szczególnie króla podniecała. Do aktorki teatru dworskiego Katinki Sigl, żony aktora o nazwisku Vespermann, pisał pełne żaru listy miłosne, wychwalał jej dziecięcą radość oraz wdzięk i podążał za nią aż na rogatki miasta. Katinka, która nie widziała innego wyjścia, zdecydowała się wyjechać na gościnne występy do Paryża i Londynu, choć taka decyzja nie przysła jej łatwo, jako że spodziewali się z mężem dziecka.

Do króla należało wyrażenie zgody na niezbędny w takim przypadku urlop aktorki teatru dworskiego. Udzielił jej, gdy dowiedział się o ciąży Katinki. Ledwo odjechała, a już wołał za nią: „Cóż uczyniłem, godząc się na Twój urlop?”. Albo: „Smutny mam nastrój, nieustannie bliski jestem łez... Katinko, gdybyś tylko mnie kochała”. Lecz bawarski król szybko się zakochał i szybko też znajdował nowy obiekt uniesień.

W aktorce teatru dworskiego Szarlocie Hagn podobały mu się przede wszystkim jej klasyczny profil oraz szczupła figura. Król wszystkie jej teatralne występy śledził z pełnym żaru pożądaniem i wpraszał się do jej domu na kawę, za każdym razem sprawiając diwie w ten sposób kłopot. Zdesperowana starała się o rozwiązanie swego kontraktu, jednak król nakazał intendentowi: „Aktorka, o której mowa, musi dotrzymać umowy!”. Nie oglądając się więc na zapisy kontraktu, Szarlota przyjęła propozycję gościnnych występów w Dreźnie i nigdy już stamtąd do Monachium nie wróciła. Tak zakończył się kolejny epizod w życiu miłosnym bawarskiego króla.

Amory Ludwika z aktorkami stały się znane daleko poza granicami jego królestwa, co pozwala założyć, że Lola Montez wybrała się do Monachium nie przypadkiem, lecz z zamiarem oczarowania kochliwego Wittels-bacha. Z pewnością słyszała o markizie Mariannie Florenzi, długoletniej

kochance króla, jednak wiedziała również o ciągłych wzlotach i upadkach tego związku, o nieustannych scenach zazdrości ze strony zdradzanego małżonka, którego Ludwik uspokoić mógł tylko za pomocą pieniędzy, posady szambelana, rozmaitych intratnych interesów oraz hojnych dotacji dla majątku Colombella należącego do państwa Florenzi. Ludwik i Marianna swoje rzadkie, lecz bardzo intensywne spotkania odbywali właśnie tam lub podczas kuracji na wyspie Ischia oraz w Monachium. Lola Mon-tez nie należała do kobiet, którym straszna jest rywalka, wręcz przeciwnie, konkurowanie o mężczyznę

motywowało ją do szczególnego wysiłku, jak stało się też i w tym przypadku.

Gdy jako tancerka przybyła do Monachium w 1846 roku, była jesień, a Ludwik nie był w najlepszej formie. Właśnie skończył sześćdziesiąt lat, a stosunki z Marianną znacznie się ochłodziły i przypominały raczej zażyłą przyjaźń. Po raz pierwszy w życiu Ludwik nie miał żadnej kobiety, którą mógłby (przynajmniej w myślach) wielbić, i zaczynał czuć się jak starzec.

Król już dawno spełnił swoje marzenie i mniemał, iż uczynił Monachium miastem sztuki, architektury, klasycyzmu; najpiękniejszym miastem Niemiec. Wzorami były dla niego Rzym, Florencja i Ateny. W szczerym polu stawiał marmurowe świątynie, pałace i łuki tryumfalne, a budował je z takich materiałów, by mogły przetrwać nawet nie setki, lecz tysiące lat. Długą niemal na kilometr ulicę, wiodącą prosto z południa na północ, wybudował na swoją ulubioną modłę renesansową, z ministeriami, biblioteką narodową oraz uniwersytetem i kościołem w stylu włoskim po obu jej stronach. Dumny ze swego dzieła nadał tej ulicy własne imię. Co miał robić dalej?

I w tym momencie w Monachium pojawiła się Lola Montez. Zamieszkała w hotelu „Pod Złotym Jeleniem” i zachowywała się dość arogancko. Towarzyszyła jej pokojówka oraz pies, którego dowcipnie wpisała pod swoim nazwiskiem do hotelowej księgi gości. Pierwsze kroki po przybyciu do Monachium skierowała do intendenta teatru dworskiego w celu uzyskania angażu. Wbrew swojej dotychczasowej praktyce donna Maria Dolores Porris y Montez nie mogła w Monachium przedstawić żadnego listu polecającego od innego teatralnego intendenta, w związku z czym jej prośba została odrzucona. W końcu nawet do Monachium dotarły wieści o związanych z jej osobą skandalach.

Odmowa intendenta teatru dworskiego Fraysa nie mogła powstrzymać Loli. Poprosiła o audiencję u króla, której jej udzielono. Ludwik nie

162

miał pojęcia, że w ten sposób rozpoczynają się najbardziej burzliwe lata jego życia, które doprowadzą go nawet do utraty tronu.

Istnieje wiele relacji dotyczących przebiegu pierwszego spotkania króla i tancerki w dniu 7 października 1846 roku. Efekt owej rozmowy widać na afiszu teatralnym z 10 października 1846 roku: „Zaczarowany książę». Farsa J. von Plötza w trzech aktach. W obu antraktach wystąpi panna Lola Montez z Madrytu w hiszpańskich tańcach narodowych”.

Nie są znane dokładne okoliczności, jak doszło do występu Loli. Ponoć król i tancerka wymieniali po hiszpańsku poglądy o sztuce i literaturze, a Ludwik, zachwycony urodą Loli, prawił jej komplementy i odważył się nawet zadać pytanie, czy takie piękno może być rzeczywiste, a nie jedynie jakąś kuglarską sztuczką (ewidentnie odnosząc się do obfitego biustu tancerki). Lola zareagowała natychmiast: sięgnęła po nożyczki leżące na biurku Ludwika i rozcięła przód sukni od dekoltu aż po pępek. Oczom zdumionego króla ukazało się doskonałe dzieło natury, w której możliwości nierozważnie zwątpił. Tym samym Lola Montez usidliła Ludwika Bawarskiego.

Rozumie się samo przez się, że bilety na *Zaczarowanego księcia* rozprzedano, choć zainteresowanie samą sztuką teatralną było niewielkie. Lola zatańczyła z typową dla siebie pasją i namiętnością. Przy podniecającym dźwięku kastanietów nieustannie

zerkała w stronę królewskiej loży. A po zakończeniu występu, podczas niekończącego się aplauzu widowni, Ludwik raz po raz wykrzykiwał: „Wspaniale! Wspaniale”.

Intendent teatru dworskiego Frays natychmiast zaproponował Loli kontrakt na gościnne występy, ta jednak odparła z dumą: „Uważał pan, że nie potrafię występować. Właśnie udowodniłam panu, że jest inaczej. Niczego innego nie chcę. Żegnam pana”. Dopiero królowi udało się skłonić tancerkę do drugiego występu, który odbył się 14 października. Wymógł na niej jeszcze jedną przysługę. Lola Montez zgodziła się pozować malarzowi nadwornemu Stielerowi do kolejnego obrazu do królewskiej Galerii Piękności.

Galeria Piękności Ludwika Bawarskiego to prawdziwy unikat. Żaden wcześniejszy władca nie wpadł na pomysł, by wizerunki najpiękniejszych w swym kraju dziewcząt i kobiet utrwalić na płótnie na wieki i umieścić w jednej sali. Spośród wielu malarzy, którzy oferowali bawarskiemu dworowi swoje usługi, wybór padł na Józefa Karola Stieler, który najpierw portretował samego króla, mając za zadanie podkreślić sprawiedliwość i wytrwałość monarchy. Ludwik uznał, że mu się to udało, a Stieler otrzymał zlecenie

163

wykonania portretu markizy Florenzi. Po niej przyszła kolej na hrabiny, baletnice i modystki, a nawet na pewną pełną wdzięku córkę szewca.

Pochodziła ona z miejscowości Trostberg w górnej Bawarii, miała szesnaście lat i nazywała się Helena Sedlmayer. Pracowała jako służąca w jednym ze sklepów z zabawkami w Monachium. Miała ponoć z Ludwikiem syna, jednak zanim przyszedł na świat, jeszcze przed skończeniem siedemnastu lat wyszła za pewnego kamerdynera.

Z kolei córkę pewnego buchaltera, Augustę Strobl, Ludwik poznał w trakcie spaceru. Innymi sportretowanymi pięknościami były Amalia von Schintling, córka oficera (zmarła na gruźlicę po ukończeniu portretu, mając dziewiętnaście lat), Nanette Kaula, córka bankiera, oraz lady Jane Ellenborough, która kolekcjonowała kochanków jak Ludwik kobiety. Jeśli tylko dana kobieta lub dziewczyna była piękna, jej pozycja czy nazwisko nie miały dla Jego Królewskiej Mości znaczenia. Józef Karol Stieler miał ręce pełne pracy przez dwadzieścia siedem lat, portretując wszystkie piękności, jakie zleciodawca przyprowadzał do jego atelier.

W większości przypadków król był obecny podczas pozowania, wybierał kostiumy dla młodych dam i decydował, jaka poza będzie odpowiednia. Podobnie było przy malowaniu portretu Loli Montez, który jednak niezbyt się udał. Wyszedł jakiś mroczny i pozbawiony wdzięku, jaki wyróżnia choćby portrety markizy Marianny czy panny Sedlmayer. Ludwik skomentował to następująco: „Stieler, pędzel ci się starzeje”. A ostatecznie zlecił modnemu malarzowi Wilhelmowi von Kaulbach namalowanie portretu Loli naturalnej wielkości.

Król Ludwik po raz kolejny stracił dla jakiejś kobiety głowę, tym razem jednak stracił chyba również rozum. Zapomniał o urazie do swego najlepszego przyjaciela z czasów wspólnych studiów w Getyndze, barona Henryka von der Tanna, któremu dopiero co rozkazał, by „zamknął swoją niewyparzoną gębę”. Ludwik pisał do von der Tanna zupełnie jakby przebywał w siódmym niebie:

„Co rzeknie mój kochany Tann na to, gdy powiem mu, że sześćdziesięcioletni starzec wzbudził w pochodzącej z południa dwudziestodwulatce, pięknej, mądrej, dowcipnej i

obdarzonej dobrym sercem namiętność, jej pierwszą! (...) A siebie porównać mogę do Wezuwiusza, który uchodził za wygasły, aż tu nagle jeszcze raz wybuchł... A wierzyłem, że nie jestem już w stanie od-

164

czuwać namiętności miłości, uważałem, że me serce już się wypaliło... Jednak namiętność ogarnęła mnie jak nigdy przedtem, jakbym miał nawet nie czterdzieści lat, lecz był dwudziestoletnim młodzieńcem, *comme un amoureux de quinze ans...* Jestem szczęśliwy. Moje życie na nowo nabrało pędu".

Lola Montez zachowywała się w konserwatywnym Monachium po prostu skandalicznie. Mając świadomość, że król Ludwik jest jej żarliwym wielbicielem, czuła się pewnie w tym mieście, w którym wszyscy się znają i nikt nie może zrobić nic, o czym inni by się nie dowiedzieli. Bawiło ją, gdy bogaci monachijscy piwowarzy czy przedsiębiorcy składali jej swoje uszanowanie w hotelu „Pod Złotym Jeleniem”, gdy przerywała własny występ, bo nie podobała jej się muzyka, albo gdy szpicrutą, jaką zwykła była nosić podczas spacerów do aksamitnego ubioru, przeganiała jakiegoś psa, który nadto zbliżył się do jej pupila. Monachijczycy zaczęli nienawidzić „d'Loli”, jak nazywali cudzoziemską tancerkę.

Król, poinformowany o tych wydarzeniach przez swego adiutanta, odparł, że Lola Montez nie powinna mieszkać w jakimś hotelu, lecz w eleganckim apartamencie, i „najlaskawszej Pani” należy znaleźć coś odpowiedniego. Na dworze zapanowało oburzenie. Odkąd to król zajmuje się pośrednictwem w handlu nieruchomościami?

Ludwik pozostał nieugięty, a Loli Montez z dnia na dzień przydzielono apartament przy Theresienstrasse. Choć nie odpowiadał jej wysokim wymaganiom, własne mieszkanie to zawsze coś lepszego od pokoju hotelowego, gdzie znajdowała się pod bezustanną obserwacją personelu. Ludwik obiecał swojej ukochanej, że rozejrzy się za czymś lepszym. A apartament umożliwiał mu przynajmniej odwiedzanie tancerki, kiedy tylko zechciał - a chciał często, co nie umknęło uwadze monachijczyków.

Już po kilku dniach król i Lola mówili sobie po imieniu i wiele osób szczerze wierzyło, że Hiszpanka po prostu rzuciła na Ludwika urok. Jadem ziali przede wszystkim członkowie partii ultramontanów*, bardziej papie-

* Ultramontanie - termin określający najgorliwszych zwolenników papieżstwa. Pochodzi z języka francuskiego i oznacza „za górami” (za Alpami, czyli tam gdzie znajduje się Rzym). Termin ten pojawił się już w XVII w., lecz popularność zdobył dopiero po rewolucji francuskiej. Ojcem ultramontanizmu był sabaudzki filozof, urzędnik i dyplomata Józef de Maistre, który w 1817 r. wydał dzieło *O Papieżu*. Papież miał zastąpić króla, stać się ostatnią i nieomylną instancją (również w kwestiach politycznych i społecznych).

165

scy od samego papieża, którzy rozpowszechniali pogłoskę, jakoby panna Montez była wolnomularką. W czasach Ludwika, a zwłaszcza w jego ul-tramontańskiej ojczyźnie, bycie masonem było jak bycie opętanym, a zaradzić temu mogły tylko egzorcyzmy albo

banicja. Lola w podniosłym stylu skarżyła się swemu królewskiemu kochankowi: „Ze względu na Ciebie rezygnuję ze wszystkiego, ze względu na Ciebie znoszę szykany, jakie zaczynają mnie spotykać ze strony prasy, Kościoła i salonów. Wszystko to jest niczym w porównaniu do uczucia nieskończonej miłości, jakie wzbudzasz we mnie Ty, mój Królu”.

Oczywiście Lola wcale z niczego nie rezygnowała, pozostając w Monachium, gdyż - jak się wkrótce miało okazać - nie dostałaby angażu w żadnym innym europejskim mieście. A szykany ze stron prasy i wyższych sfer z całą pewnością nie zaczęły się dopiero w Bawarii, bo Lola Montez wszędzie spotykała się z po części miążdzącą krytyką. Pozostaje pytanie: czy Lola naprawdę kochała bawarskiego króla?

Odpowiedź brzmi oczywiście, „nie”. Lola mimowolnie ujawniła swoje najgłębsze uczucia w *Pamiętnikach*, które spisała dopiero po zakończeniu swojej bawarskiej przygody.

Oto, co Lola Montez napisała o samej sobie:

Jestem lepsza niż diabeł, jak nazywają mnie kobiety, lecz gorsza od anioła, jakim zwaą mnie mężczyźni. Nie jestem na tyle głupia, by chcieć żyć tylko dla innych, ani też na tyle samolubna, by pragnąć żyć tylko dla siebie. Wierzę, że świat jest dla mnie równie dobry, jak ja dla świata. Jestem lekkomyślna, o ile lekkomyślnością nazwać można chęć, by nie tylko żyć, lecz żyć przyjemnie. Nie jestem aż takim głuptasem, by chcieć podobać się wszystkim, ani na tyle wybredną, by nie chcieć się podobać nikomu poza sobą samą. Wierzę w cnoty i mądrość najwyższej istoty a jeszcze bardziej w cnoty i mądrość ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Nie nienawidzę wszystkiego, co mi się nie podoba, natomiast kocham to, co mi się podoba. A podoba mi się przede wszystkim to, co piękne, choć wiem, że to, co piękne, nie zawsze jest dobre; podoba mi się przede wszystkim to, co przyjemne, choć wiem, że nie zawsze jest to słuszne. Przede wszystkim chcę żyć, zanim umrę, a nie po swej śmierci. Nie dbam o sławę, nie dbam o pośmiertną chwałę i jestem zadowolona, że żyję tak, jak mi się podoba, jako istota wolna, samodzielna i zależna tylko od swych własnych uczuć i nastrojów.

Jedyne zdanie, jakie Lola poświęca tematowi miłości, jest boleśnie lapidarne: „Kocham to, co mi się podoba”. Własne słowa demaskują Lolę

166

Montez. Do tego, co nazywa miłością, nie potrzebuje partnera. Czy mówiąc inaczej, partner jest dla niej jedynie środkiem do celu. Lola Montez w ogóle nie była zdolna do miłości. Przyczyny tego stanu rzeczy prawdopodobnie tkwiły w jej dzieciństwie, lecz nie miejsce tutaj na zgłębianie tego wątku. Faktem jest, że wszystko, co Lola Montez nazywała w ciągu swego życia „miłością”, było albo namiętnością, albo uwielbieniem dla samej siebie i niczym więcej. Jest wysoce nieprawdopodobne, by donna Montez, która miała bardzo wysokie wymagania w odniesieniu do piękna, zakochała się akurat w starym i ponurym jakale, którego czoło zdobiła nieładna narośl. Może to wyjaśnić tylko tytuł, jaki nosił jej wybranek: tytuł króla.

Natomiast Ludwik rzeczywiście Lolę uwielbiał. Czuł, jakby na nowo przeżywał wczesne lata swego panowania. Był wtedy mężczyzną w sile wieku ze szczególną skłonnością do bardzo młodych dziewcząt. Więc pochlebiało mu, gdy mając sześćdziesiąt lat, słyszał miłosne wyznania od młodej, dwudziestodwuletniej damy (Lola ujęła sobie

pięć lat, w rzeczywistości skończyła dwadzieścia siedem), i to takiej, która łączyła w sobie wszystkie cechy kobiety idealnej.

Wszystkim wiadomo było, że Lolę Montez adorowali słynni mężczyźni, z którymi łączyły ją mniej lub bardziej intymne relacje. Należeli do nich Wiktor Hugo, Honoriusz Balzak, Teofil Gautier oraz Aleksander Dumas - i ojciec, i syn. Poznanego w Dreźnie pianistę i kompozytora Franciszka Liszta tak zauroczyła, że powiadomił swego agenta, iż przez kilka następnych tygodni będzie zajęty, choć zapowiedziano już w tym czasie jego występy. Wraz z Lolą udał się do ustronnego romantycznego zameczku. Jak widać, tancerka rzeczywiście obracała się w najlepszym towarzystwie.

Bez wątpienia uroda dwudziestosiedmioletniej Loli osiągnęła swoje apogeum, a towarzyszyło jej wyrafinowanie będące cechą kobiet dojrzałych. Dzięki wierszom króla (Ludwik uważał się również za poetę i wydał kilka tomików wierszy, w 1829, 1839 i 1847 roku) możemy dowiedzieć się, jak ją postrzegał. W jednym z utworów do „mej namiętnie kochanej Lolity” pisał, że w przeciwieństwie do innych kobiet nie prowadzi z nim okrutnej i męczącej gry oraz że odnosi wrażenie, iż zależy jej tylko na tym, by widzieć go szczęśliwym. Miłość zaślepia, niemniej jednak nie możemy dziś ocenić, ile prawdy zawierają owe słowa. W każdym razie król zdobył się nawet na wyznanie, że Marianna, wielka miłość jego życia, sprawiała, iż odczuwał jedynie „błogość”, natomiast Lola wzbudziła jego miłość.

167

Dwa krótkie wiersze autorstwa Ludwika wyraźnie pokazują, jaki wpływ miała na niego Lola. Pierwszy z nich powstał, zanim bawarski król po raz pierwszy ujrzał Lolę Montez:

Bez miłości

*Natura nie uszczęśliwi, A jej piękno nie zadziwi, Brak w niej życia, ona kona, Gdy z miłością nie spleciona **

Kilka dni po pierwszym spotkaniu z Lolą król stworzył następujące wersy:

*Promienne oczy barwy nieba,
Przejrzyste jak eter południa,
Jaśniejają wśród głębokiej czerni
Loków twych bujnych i miękkich.*

*Każdy twój gest czysty i prosty Wyraża szczęście i niedościgłą
grację, Zwinność i wrażliwość delikatnej łani Kunszt twój
andaluzyjskiej rasy.*

*Szlachetna i dumna, ale Serce swe szczerze oddaje; Żar
miłości napętnia nie bólem, Lecz rozkosze największe
daje.*

*Miłość rodem z Południa, Tam gdzie światłość i żar;
Jak prędko na sile przybiera Uczuć burzliwych gwar.*

Jakby wiersze te napisały dwie zupełnie różne osoby, o całkiem odmiennych osobowościach. Najpierw smutny, przybity starzec, który czeka już tylko

* Przełożyła Iwona Mączka.

168

na śmierć. A potem młody, zdolny do zachwyty mężczyzna, którego zalewa powódź uczuć. Lola Montez działała na króla Ludwika jak narkotyk.

Co tak wyróżniało tę kobietę? Czy Lola Montez rzeczywiście była tak piękna, czy też jej urodzie blasku dodała legenda i czas? Przyjrząwszy się królewskiej Galerii Piękności, można stwierdzić, że niejedna ze sportreto-wanych dam górowała urodą nad hiszpańską tancerką.

Opisów pięknej Loli nie brakuje. Większość z nich jest pochlebna, a nawet entuzjastyczna. Ten przedstawiony poniżej mógłby być dziełem króla Ludwika Bawarskiego, jeśli chodzi o osobowość i postawę życiową autora. Wyszedł jednak spod pióra nieznanego bliżej felietonisty „Kuriera Warszawskiego”, a ukazał się w tej gazecie w roku 1845, na rok przed spotkaniem Loli Montez i króla Bawarii:

Z liczby trzy razy dziewięć kobiecych wdzięków, będących, jak utrzymuje hiszpański poeta, niezbędnymi warunkami niewieściego piękna, Lola posiada dwadzieścia sześć, jednak prawdziwi znawcy wśród szanownych czytelników zgodzą się zapewne ze mną, że przy czarnych włosach błękitne oczy większy mają urok niżli czarne. Ów hiszpański poeta wymienia dwadzieścia siedem kanonów doskonałej urody - trzy białe: cera, zęby, dłonie; trzy czarne: oczy, rzęsy, brwi; trzy różowe: usta, policzki, paznokcie; trzy długie: stan, włosy, dłonie; trzy drobne: zęby, uszy, stopy; trzy szerokie: gors, czoło, odstęp między brwiami; trzy wąskie: talia, dłonie, kostki; trzy delikatne: palce, włosy, wargi; trzy małe: sutki, nozdrza, głowa. Wszystkie te uroki kryją się w Loli, poza kolorem oczu, które są niebieskie, a nie czarne, a to odstępstwo uważam za koronę jej piękności. Włosy ma miękkie jak jedwab, spływające kaskadą na plecy i lśniące niczym skrzydła kruka. Piękna, szlachetna głowa osadzona jest na delikatnej, wysmukłej szyi, której połyskująca biel zawstydzić może łabędzia. Jakże więc mógłbym opisać gors Loli, skoro zabrakło mi już słów do przedstawienia urody jej zębów? Aby nie zniekształcić prawdy, której moje zbyt słabe pióro nie jest w stanie wyrazić, muszę posłużyć się cudzym. W 78 wersie ósmej pieśni poematu »Adon« zatytułowanej »Itrastulli« Marino tak opisuje boginię miłości:*

* Giambattista Marino, także Marini (1569-1625), włoski poeta, główny przedstawiciel literatury włoskiego baroku, twórca tzw. marinizmu. Jego twórczość charakteryzuje przesadna dbałość o efektowną formę, niezwykle skojarzenia, kunsztowne metafory, kwieciste słownictwo, wyszukane figury retoryczne. Najważniejszym jego utworem jest poemat mitologiczny w 20 pieśniach *Adone*. Wywarł duży wpływ na ówczesną poezję europejską, także polską (tłumaczył go Jan Andrzej Morsztyn).

169

»Na pięknych policzkach żarzą się słodkie płomienie różu i rubinu, a jej piersi drżą jak dwa nietknięte jabłka unoszące się wśród morza mleka«.

Stopy Loli mieszczą się pomiędzy najdrobniejszymi stopami francuskich dam a stopami Chinek, a jej zgrabne i delikatne hydki są jak pierwsze stopnie prowadzącej do nieba drabiny Jakubowej; całą jej postać można było wczoraj porównać z Afrodytą z Knidos, owym nieśmiertelnym arcydziełem Praksytele, które podczas sto czwartej olimpiady przyniosło mu sławę w całej Grecji. Oczom Loli, najpiękniejszemu ze wszystkich jej wdzięków, podobnie jak jest to u każdej kobiety, poświęcam ostatnie pociągnięcia pędzlem na moim portrecie słynnej tancerki. Gdy Bóg stworzył pierwszego człowieka, tchnął w niego nieśmiertelną duszę, a wówczas człowiek otworzył swe oczy. Wierzę więc, że właśnie w oczach króluje ludzka dusza.

O ile dobrze pamiętam ze swych mało znaczących studiów botanicznych, podczas których chciałem jedynie poznać ów kwiat, którym poeci ozdabiają swą twórczość, istnieje szesnaście różnych rodzajów niezapominajek. Jeśli pomyślicie Państwo, jak w promieniejących oczach Loli łączy się wdzięcznie wszystkie szesnaście rodzajów błękitu, a owe gwiazdy na niebie miłości, które Petrarca niedościgle opiewał u swej Laury, ożywia czar niezwykle wykształconego ducha, z łatwością pojmiecie, że musi ona być zdobywczynią, gdziekolwiek tylko rzuci swe magiczne spojrzenie.

Można by przypuszczać, że Lola wzbudzała taki zachwyt tylko w mężczyznach. Jednak pochodząca ze słynnej rodziny monachijskich malarzy Ludwika von Kobell udowadnia, że było inaczej. Jako naoczny świadek opisała ona życie „pod panowaniem czterech pierwszych królów Bawarii”*. Jeśli chodzi o Ludwika I, to wykazywał się on szczególnym stosunkiem do swoich poddanych płci żeńskiej, które zwykł był strofować za opuszczanie na twarz woalki. Taka panowała wówczas moda, jednak zdaniem monarchy było niezgodne z dworską etykietą, by dama występowała przed nim w woalce, i Jego Królewskiej Mości taki „brak manier” wydawał się obrzydliwy. Dlatego wytworne damy zrywały swoje woalki z kapeluszy, gdy tylko dostrzegały z daleka zbliżającego się króla. Lola również z upodobaniem nosiła kapelusze z woalkami.

* Bawaria stała się królestwem w 1806 r. Jej pierwszym królem został Maksymilian I, bawarski książę-elektor z rządzącego Bawarią od stuleci rodu Wittelsbachów, ojciec Ludwika, po Ludwiku panował jego syn, Maksymilian II, a następnie jego syn, Ludwik II Bawarski. Za jego panowania Bawaria została włączona do Rzeszy Niemieckiej (1871).

170

Ludwika von Kobell spotkała ją pewnego razu na ulicy. Choć była wtedy jeszcze bardzo młoda, spotkanie to wywarło na niej niezapomniane wrażenie: „Gdy mnie minęła, a raczej przepłynęła obok, zapomniałam o zasadach dobrego wychowania, odwróciłam się i wpatrywałam się w nią. Wyglądała jak wróżka z dziecięcych baśni. Była ubrana na czarno, czarny szal okrywał jej włosy, a w ręku trzymała wachlarz”.

Próbując rozgryźć tajemnicę uroku Loli Montez, wciąż napotykamy pewną aurę demoniczności, jaką nieustannie wokół siebie roztaczała. Ubierała się na czarno (podobnie jak później austriacka cesarzowa Sisi), a taki wdowi strój oczywiście ostro kontrastował z jej młodością i urodą. Jako materiał na stroje preferowała powłóczyste aksamity, które podkreślały wdzięki jej figury. Również dla kontrastu nosiła często

szpicrute, co w przypadku damy stanowiło w tej epoce olbrzymią prowokację.

Najbardziej atrakcyjne w Loli Montez było jednak najprawdopodobniej to, że podobała się sama sobie, podziwiała się, wręcz rozkoszowała swą własną urodą, a to sprawiało, że zawsze wyglądała nieco prowokująco. Ta zasada obowiązuje do dzisiaj: kobiety, które podobają się same sobie, podobają się również mężczyznom.

W *Pamiętnikach* Lola poświęciła swojej urodzie cały ustęp:

Po powrocie do mieszkania dokładnie przyjrzałam się sobie w psyche, staroświeckim zwierciadle, które wciąż modne jest w Berlinie, a po dokonaniu owych oględzin stwierdziłam, że naprawdę jestem piękna! Być piękną! Jakże to szczęście i jaka moc! Wystarczy pojawić się, by przyciągnąć wszystkie spojrzenia i zdobyć wszystkie hołdy, wzbudzić miłość i podziw. Widzieć, jak wszystko kłania się przed naszą urodą, podobnie jak oddaje hołd duchowi wielkiego człowieka. Zapanować nad tłumem jednym spojrzeniem, podobnie jak górujący nad nim mężczyzna włada nim za sprawą swych porywających słów i przekonującego zachowania! Jakże cudownie jest móc powiedzieć: Jestem piękna i wiem o tym! Uroda jest jak korona, oznaka królewskiej władzy, której nikt nie może zaprzeczyć! To królestwo z bożej łaski, gdyż Opatrzność daje je wybranym, którym wkłada na czoło oznakę owej władzy, najprawdziwszej i najwspanialszej władzy, jeśli tylko ma się nieco pojęcia, jak z niej korzystać.*

* Wysokie przechylne lustro w ramie zawieszzone na osiach między dwiema podporami, modne we Francji w epoce empiru i restauracji.

171

Lola Montez miała więcej niż „nieco” pojęcia, jak wykorzystać władzę płynącą z urody. Robiła z królem, co chciała, podczas zakupów w sklepach mówiła, że „Ludwik” za wszystko zapłaci, darła policyjne zarządzenia i podejrzenie często używała słowa „wolność”, co już samo w sobie było w Monachium, stolicy państwa i królewskiej siedzibie, wykroczeniem.

Tolerancja, z jaką Bawarczycy traktowali Jego Królewską Mość i jego romanse, nagle się wyczerpała. Ludwik i Lola znaleźli się w obliczu frontu o niespotykanej dotąd jedności. Przeciwno królowi i jego metresie występował naród, rząd, krewni i przyjaciele władcy, a także biskupi i sam papież. Ich związek miał po prostu zbyt wielu wrogów.

„Moja tutejsza rodzina zachowuje się bardzo dobrze” - pisał Ludwik do swojego starego przyjaciela von der Tanna - „a królowa wręcz znakomicie, co potrafię docenić...”. Jakby Teresa nie urządziła swemu królewskiemu małżonkowi wielkiej awantury, której kontynuacją były trwające wiele dni niesnaski! Jakby jego przyrodnia siostra, królowa Saksonii, nie zaproponowała Loli 50 tysięcy franków rekompensaty, jeśli tylko zniknie z życia króla! Jakby austriacka cesarzowa wdowa Karolina Augusta, jego rodzona siostra, nie zaklinała Ludwika, by dał sobie spokój z hiszpańską tancerką! Ludwik kłamał jak z nut i tracił kontakt z rzeczywistością. Rozwścieczony odpowiedział Karolinie Auguście: „Każdy powinien zajmować się tym, co go dotyczy, i powinno się mnie znać na tyle, by wiedzieć z pewnością, że nie cierpię mieszania się w moje sprawy”.

Swymi upomnieniami i groźbami w sprawę wmieszali się nawet biskupi Wiirzburga, Augsburga oraz arcybiskup Wrocławia (!). Ten nabożny pan, von Diepenbrock, w

przypominającej egzorcyzm odezwie pomstował na bawarskiego króla i jego niemoralne zaloty: „Królu Ludwiku, obok ciebie rośnie trujący krzew, którego woń cię oszalała, oczy twe osłepia, zmysły twe odurza, a serce twe uwodzi, tak że nie dostrzegasz otchłani, ku której zmierzasz... Królu Ludwiku, obudź się z tego upojenia i opamiętaj się, zrzuć czarodziejskie więzy, wyrwij trujący krzew, podepcz i przepędź węża...”. Jedyne pocieszenie nadeszło ze strony królewskiego przyjaciela Henryka von der Tanna: „Jak powiadają Niemcy: strzeż się byków od przodu, koni od tyłu, a klechów z każdej strony”.

Król bronił się w odpowiedzi do von Diepenbrocka oraz wszystkich bawarskich biskupów, pisząc, że ma poetycką duszę, której nie można mierzyć zwykłą miarą, natomiast wcale nie utrzymuje żadnej metresy. W liście

172

otwartym Ludwik dał nawet słowo honoru, że „od czterech miesięcy nie obcował ani z żoną, ani z żadną inną kobietą”. Tym krzywoprzysięstwem jeszcze pogorszył sytuację. Posłowie Austrii i Prus wysłali do cesarza i króla wiadomości, w których wyrażali wątpliwość, czy w takich okolicznościach bawarski monarcha w ogóle może dalej panować.

Wątpliwości te nie były nieuzasadnione, a pochodziły z tak zwanej partii jezuitów, której przewodził minister spraw wewnętrznych Karl von Abel. Ultramontanie zwrócili się nawet o poparcie dla swych dalszych działań do papieża. Pius IX wysłał do bawarskiego króla upomnienie z datą 9 lutego 1847, nawołujące, by „nasz najukochańszy syn” powrócił na drogę cnoty, gdyż w tym grzesznym stanie Kościołowi katolickiemu bardziej szkodzi, niż służy. Ultramontanom, którzy od dawna mieli na pieńku ze zbyt liberalnym królem, afera z Lolą była na rękę, gdyż umożliwiała im przeprowadzenie próby sił.

Sprawa Loli Montez stała się kwestią polityczną, gdy na początku lutego Ludwik zlecił swojemu ministrowi spraw zagranicznych, hrabiemu Ottonowi von Brayowi, przygotowanie dekretu o nadaniu indygenatu* „seniorze Montez”. W ten sposób Lola Montez miała otrzymać bawarskie obywatelstwo. Takie było gorące życzenie tancerki, gdyż (rzekomo) nie posiadała żadnych dokumentów lub (co bardziej prawdopodobne) jej własne dokumenty jej nie odpowiadały. A w XIX wieku bez dokumentów nie można było nawet pojechać z Monachium do Berlina, nie wspominając o podróżach do Warszawy czy Sankt Petersburga.

Do wystawienia indygenatu niezbędne są jednak metryka urodzenia oraz dokument zaświadczający, że jest się obywatelem jakiegoś kraju. Ponieważ Lola Montez nie mogła przedstawić ani jednego, ani drugiego, odpowiedzialna za naturalizację rada państwa postanowiła wniosek odrzucić. Wywołało to wściekłość króla, który podpisał protokół z posiedzenia, dodając polecenie przeprowadzenia żądanej przez niego naturalizacji „bez sprzeciwu”.

Do ministra von Braya: „Bawaria jest monarchią. Król rozkazuje, a ministrowie wykonują. Jeśli któryś uważa, że to niezgodne z jego sumieniem,

* Indygenat - (z łac.) tu w znaczeniu: przyznanie cudzoziemcowi obywatelstwa

kraju, w którym przebywa. Pozostałe znaczenia to: przyznanie cudzoziemskiemu szlachcicowi tytułu szlacheckiego danego kraju; nadanie szlachectwa.

173

oddaje tekę i przestaje być ministrem". Król nie pozwoli, by ministrowie decydowali o tym, co ma robić. I dotyczy *to* zarówno tych ministrów, którzy od dawna sprawują swój urząd, jak i tych młodszych.

Hrabia Bray, człowiek honoru, zareagował jeszcze tego samego dnia, i „spełniając obowiązek wykonania rozkazu Najjaśniejszego Pana”, przedłożył królowi dekret o indygenacie. Jednocześnie jednak złożył dymisję.

Ludwik przyjął dymisję ministra, wywołując w ten sposób lawinę, która w końcu pogrzebała i jego samego. Świętoszkowaci ministrowie, przede wszystkim kierujący rządem Karl von Abel, nigdy nie byli w najlepszych stosunkach z królem, teraz jednak po raz pierwszy doszło do otwartego konfliktu. Pozostali członkowie rządu, czyli minister finansów hrabia Karl von Seinsheim, minister wojny Anton von Gumpenberg, minister sprawiedliwości baron Sebastian von Schrenck oraz minister spraw wewnętrznych Karl von Abel, zwrócili się do monarchy o cofnięcie decyzji o indygenacie, grożąc, że w przeciwnym razie zdecydowani są ustąpić.

Świadomi powagi chwili sporządzili niezwykle pompatyczny list do króla, przeznaczony do późniejszego opublikowania:

Monachium, 11 lutego 1847 roku

Wasza Wysokość (...)

W życiu publicznym są takie momenty, gdy ludzie, których nieocenione zaufanie ich władcy powołało do kierowania rozmaitymi gałęziami administracji państwa, stoją przed smutnym wyborem: albo wyrzec się wykonania najświętszych obowiązków, przypieczętowanych złożoną przysięgą, wiernością, przywiązaniem oraz gorącą wdzięcznością, albo sumiennie spełniając te powinności, nie zważać na bolesne niebezpieczeństwo potępienia ukochanego monarchy.

W takim położeniu znaleźli się szczerze oddani niżej podpisani z powodu decyzji Najjaśniejszego Pana o nadaniu królewskim dekretem seniorze LoliMontez bawarskiego indygenatu, a wszyscy oni niezdolni są zdradzić uroczyście ślubowanego Waszej Królewskiej Mości najświętszego zobowiązania - ich decyzja jest więc niezachwiana (...).

Od października ubiegłego roku oczy całego kraju skierowane są na Monachium, i we wszystkich częściach Bawarii ludzie wyrażają swoje opinie o tym, co się tutaj dzieje, a co stanowi niemal je-

174

dyny przedmiot rozmów w zaciszu bawarskich domów, jak też we wszystkich miejscach publicznych, i to z owych opinii rodzi się niezwykle groźny nastrój.

W sercach i umysłach poddanych coraz mniej jest czci dla monarchy, gdyż słychać tylko gorzkie wspomnienia i wyrazy czystej dezaprobaty. Przy tym dumę narodową

głęboko rani to, że Bawaria rządzona ma być przez cudzoziemkę, która w powszechnej opinii cieszy się złą sławą, i wbrew pewnym faktom nic nie jest w stanie owego przekonania zmienić (...).

Szczerze oddani niżej podpisani na wszelkie sposoby rozważyli skutki kroku, do którego skłaniają ich największe i najgłębsze przywiązanie do Jego Królewskiej Mości oraz uznanie niezwyklej powagi chwili; wiedzą i są głęboko przekonani, że ich skuteczność na stanowiskach, na które powołała ich łaska i zaufanie ukochanego króla i pana, skończyła się i wobec tego pozostał im do spełnienia na owych stanowiskach jeszcze tylko jeden obowiązek, obowiązek zwrócenia się, choćby z ogromnym żalem, do Jego Królewskiej Mości z uniżoną prośbą o zwolnienie ich z prowadzenia powierzonych im ministerstw (...).

Król Ludwik zapytał swego przyjaciela hrabiego von der Tanna, czy owi czterej panowie są przy zdrowych zmysłach, a jego wątpliwości poparli niemal wszyscy zagraniczni posłowie, którzy tego rodzaju memorandum uznali za wyraz głupoty, braku umiejętności dyplomatycznych czy nawet bezczelności. Jednak król chciał swojemu rządowi dać jeszcze jedną szansę, wezwał więc do siebie Abła i zaproponował, że zapomni o tym piśmie, jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin zostanie ono wycofane. Na drugi dzień dokument w całej swej rozciągłości został wydrukowany w „Augsburger Zeitung”.

Abel i jego rząd otrzymali dymisję, a król skorzystał z okazji i stworzył nowy liberalny rząd, który miał obalić dominację ultramontanów oraz ich arcykonserwatywne uchwały. Na czele nowego rządu stanął premier Dolnej Bawarii, baron Józef von Zenetti. Objął on również ministerstwo spraw wewnętrznych po Karlu von Ablu. Ministrem spraw zagranicznych został Georg von Maurer, który jako jedyny członek poprzedniej rady państwa głosował za przyznaniem Loli obywatelstwa, czyli opowiedział się po

175

stronie króla. Samo jego powołanie natychmiast wzbudziło sensację, gdyż był on pierwszym w historii protestantem w bawarskim rządzie. Bawaria zyskała nawet własne ministerstwo kultury, na którego czele stanął baron Fryderyk zu Rhein.

Właśnie w Maurerze i baronie zu Rheinie nadzieje swe pokładali wszelkiej maści liberałowie, którzy mówili nawet o „ministerstwie-jutrzence”, co świadczyć miało o nowym porządku oraz atmosferze przełomu. *I faktycznie*, politycy opozycji zostali wypuszczeni z więzienia, cenzurę zniesiono, a w Walhalli, świątyni niemieckiego ducha, wystawiono wreszcie popiersie Marcina Lutra, choć jak wiadomo, umierając, nie był on katolikiem.

Wygląda na to, że hiszpańska tancerka obudziła króla ze starczego otepienia, tak jakby właśnie dzięki niej zyskał tyle energii, by móc ogłosić nadejście nowej ery. Przez krótki czas Lola Montez cieszyła się nawet sympatią ludu, a przynajmniej tej jego części, która mogła podziwiać osobę jej pokroju.

Studenci monachijskiego uniwersytetu i ich reakcyjni profesorowie nigdy nie przepadali za „brudną ladacznicą” i byli również pierwszymi, którzy demonstrowali przed mieszkaniem Loli przy Theresienstrasse, gdzie rzucali nawet kamieniami, a później także przed jej rezydencją w pobliżu królewskiego pałacu.

Jednak ani król, ani tancerka nie dali się zastraszyć demonstrantom. Lola dzielnie

wytrwała rzucanie kamieniami przy otwartych oknach, a Ludwik na piechotę przeszedł drogę ze swej rezydencji do mieszkania Loli, otoczony protestującymi, którzy domagali się wygnania Loli okrzykami: „Ta obca ma odejść!”.

Król Ludwik wydał odpowiedniemu ministrowi polecenie zawieszenia w obowiązkach profesorów uniwersytetu, których uważał za prowodyrów demonstracji, i zastąpienia ich młodszymi, bardziej liberalnymi. Krok ten okazał się jednak fałszywy, gdyż w ten sposób uczynił uniwersytet permanentnym zarzewiem groźnego niepokoju. Nawet jeśli nie dał tego po sobie poznać, bawarski król miał świadomość, że sprawa Loli Montez to dla jego przeciwników jedynie wygodny pretekst, a demonstracje przeciwko „diabelskiej kobiecie” zapowiadają próbę przewrotu politycznego.

Wewnętrzne wzburzenie Ludwika ujawniło się na jego twarzy w postaci liszajów, podstępnej i bardzo dobrze widocznej dla innych choroby skóry. Zmiany utrzymywały się na twarzy króla przez wiele tygodni, po-

176

cząwszy od marca 1847 roku, i tak oszpeciły i bez tego niezbyt pewnego siebie monarchę, że ukrył się w swojej rezydencji i nikogo nie przyjmował. Król nie po raz pierwszy chorował na tę przypadłość, jednak dotąd atakowała jedynie jego klatkę piersiową i szyję, a nie twarz. Teraz nawet królowa Teresa odwróciła się od swego męża. A ponieważ Ludwik nie chciał pokazywać się wśród ludzi, przestał również odwiedzać Lolę Montez. Choroba skóry ukochanego okazała się próbą ognia dla tancerki. W przeciwieństwie do królewskiej małżonki codziennie odwiedzała pacjenta - piękny gest, a być może coś więcej niż gest.

Król Ludwik potrafił docenić okazane przez Lolę w tej sytuacji przywiązanie. Przydzielił jej osobistego ochroniarza, emerytowanego pułkownika o nazwisku Spraul, oraz nabył dla niej pałac przy Barer Strasse 7. Pułkownik irytował Lolę, więc odesłała go do domu, natomiast pałac z wdzięcznością przyjęła. Zadanie przeprowadzenia jego rozbudowy, przebudowy i urządzenia zgodnie z życzeniami „Senjory” król powierzył znanemu z dyskrecji generałowi von Heideckowi. Pałac kosztował 20 tysięcy guldenów, natomiast jego przebudowa zgodna z wyobrażeniami tancerki pochłonęła 33 tysiące guldenów, choć w opinii generała i bez tak ogromnych nakładów można było urządzić go „najpiękniej i najgustowniej”.

Po przebudowie pałacyk składał się z ośmiu pokojów dla pani, pięciu dla służby, galerii z obrazami i drugiej ze srebrami, oraz doskonale wyposażonej kuchni. Sypialnia z „pańskim łóżem na kółkach”, szafa z lustrem i narożna sofa wykonane zostały z czarnego hebanu, podobnie jak meble do salonu, czyli trzy stoły, dwa szezlongi i osiem dużych foteli. Poza tym pałac posiadał spiżarnię, palarnię, garderobę, łazienkę oraz pokój hiszpański.

Donna Montez miała do swej dyspozycji kamerdynera, pokojówkę, kucharkę, służącą do obsługi przy stole, woźnicę i ogrodnika, a w garażu stał piękny dwuosobowy ekwipaż. Do wykonania wystroju wewnątrz oraz mebli Lola zatrudniła monachijskich rzemieślników, przede wszystkim znanego złotnika Bartholoma Mayerhofera. Porcelana z Nymphenbur-ga nie była dla hiszpańskiej tancerki wystarczająco dobra, zamówiła więc porcelanowy serwis na dwanaście osób z Paryża, za 1251 guldenów, czyli pięćdziesięciokrotność miesięcznego wynagrodzenia swego

woźnicy.

W sumie generał von Heideck parafował rachunki na kwotę 23 622 guldenów, niektóre z zastrzeżeniem i do zatwierdzenia przez króla. Choć Ludwik prosił swego nadzorcę finansowego o oszczędność wobec tancerki,

177

sam nie potrafił odmówić żadnemu życzeniu Loli, nawet najbardziej kosztownemu. Czegokolwiek Lola zapragnęła, Ludwik jej to zapewniał.

Oczywiście opowiadano niestworzone historie o luksusie, z jakim król urządza dom swojej kochanki, a wiele z tych plotek rozpuszczano celowo. Najbardziej oburzający okazał się pewien drobiazg: Lola kazała ozdobić swoją zastawę, srebro i porcelanę, własnym monogramem oraz hrabiowską koroną. Było to niemal świętokradztwo, a i dla arystokracji, i dla motłochu oczywiste stało się, do czego zmierza cudzoziemska tancerka. Lola Montez pragnęła otrzymać tytuł hrabiny, co stanowiło niebywałą prowokację.

To, co wydawało się niemożliwie, okazało się rzeczywistością: dekretem z 4 sierpnia 1847 roku król nakazał radcy stanu Maurerowi „nadać seniorze Loli Montez tytuł hrabiowski. Nie życzę sobie przy tym słyszeć żadnych sprzeciwów, gdyż spełniam królewską obietnicę”.

To znaczące, że zwykle tak uległy radca stanu Maurer tym razem poprosił króla, by jeszcze raz przemyślał swoją decyzję. Już dawno rozniosła się pogłoska, że Lola Montez stara się o tytuł szlachecki, a była to tylko jedna z wielu plotek. Inna mówiła, że Montez chce przyjmować u siebie całą radę ministrów i w ten sposób wpływać na bawarski rząd. Więc skoro jedna z pogłosek okazuje się prawdą, należy się obawiać, że tak samo stanie się z innymi.

25 sierpnia 1847 roku, w dniu sześćdziesiątych pierwszych urodzin Ludwika, Lola Montez otrzymała akt nadania tytułu hrabiowskiego. Maria Dolores de Porris y Montez została hrabiną von Landsfeld. Uzasadnienie brzmiało następująco: „ze względu na swe liczne dobre uczynki na rzecz biednych Bawarczyków”. Ponoć król własnoręcznie zaprojektował herb Loli: tarczę o czterech polach, a na nich miecz, lwa, delfina i różę.

Swoim sprzeciwem wobec nadania Loli szlachectwa radca stanu Georg Ludwig von Maurer ustawił się na spalonej pozycji. Gdy ostatecznie odmówił złożenia uszanowania hrabinie Landsfeld podczas uroczystego otwarcia jej pałacu przy Barer Strasse, miarka się przebrała. Po jesiennych wyborach do sejmu krajowego w 1847 roku rząd Maurera zastąpił gabinet księcia Ludwika von Oettingen-Wallersteina. O ile jemu naród był nawet przychylny, to nowy minister spraw wewnętrznych, Franciszek von Berks, dorobkiewicz, konformista i faworyt Loli, był powszechnie znienawidzony. A nowy gabinet wnet otrzymał przydomek: „rząd Loli”.

To, co działo się na oczach opinii publicznej, stanowiło oczywiście prawdziwą gratkę dla krytycznej prasy owych czasów, która nie miała naj-

178

mniejszej ochoty publikować dworskich relacji. Niemal wszystkie gazety krajowe i zagraniczne (konkubina bawarskiego króla interesowano się także we Francji i Anglii) niezwykle krytycznie, a czasem wręcz złośliwie relacjonowały wydarzenia w Bawarii.

Jedynym wyjątkiem, co jest bardzo podejrzane, był „Frazers Magazine”, który w 1847 pisał:

Lola Montez prowadzi skromne życie. Niewiele pije, niewiele je, a potrawy przyrządzane są dla niej na sposób angielski. Rano wstaje wcześnie i dużo pracuje. Przed śniadaniem i po nim wypełnia z sekretarzem swoje półoficjalne obowiązki: trzeba odpowiedzieć na niezliczone listy, zadowolić petentów, załatwić nierozstrzygnięte sprawy. Pod jednym względem trzeba jej oddać cześć: choć w swych rękach skupia ogromną władzę, nigdy nie wykorzystuje jej do popierania osób na to niezashugujących ani, co często czyniły inne faworyty, w zamian za swe poparcie nie przyjmuje materialnych korzyści.

Wszyscy, którzy znali Lolę, uważali tę relację za satyrę. Chyba że jej autor, angielski dziennikarz George Henry Francis, został przekupiony. Czegoś takiego można się było spodziewać po tancerce, która doskonale opanowała sztukę kontaktów z prasą. Gdy sam londyński „Times” pewną publikacją wywołał jej gniew, odparowała zręcznie sformułowaną odpowiedzią. Cytat z „Timesa” z 18 marca 1847 roku: „Bawaria od dawna stanowi bastion jezuitów, a Monachium jest ich główną siedzibą. Od najmłodszych lat wzrastałam w nienawiści do tej partii, zawsze byłam na nią oburzona. Chcieli mnie przekupić i zaproponowali 50 tysięcy franków rocznie, jeśli opuszczę Bawarię i obiecuję nigdy więcej nie wracać. To otworzyło mi oczy. Z odrazą odrzuciłam tę propozycję. Od tej pory poruszają niebo i ziemię, by tylko się mnie pozbyć, i nieustannie mnie prześladują (...).”

Natomiast bawarskie gazety nie przepuściły żadnej okazji, by złośliwie skomentować związek króla z hiszpańską tancerką. Politycy umierali „z żalu nad narodową hańbą” lub ponieważ nie mogli już znieść „wykonywania rozkazów jakiejś dziwki”. Czytelnicy z entuzjazmem przyjmowali takie relacje. Była to cena, jaką król Ludwik musiał zapłacić za wprowadzoną przez siebie wolność prasy. Ukazało się krytyczno-satyryczne czasopismo „Leuchtkugel”, a w nim po raz pierwszy pojawiło się pogardliwe określenie gabinetu jako „rządu Loli”. Malarz i rysownik Moritz von Schwind narysował wyraziście dwuznaczną historyjkę obrazkową o kocie, który łapie mysz, po czym bawi się nią, aż ta łapie za szpicrutę i podporządkowuje sobie kocura.

179

Przed wszystkim jednak nadeszły czasy anonimowych ulotek. Ich treść była zjadliwa, czasem niesmaczna, a znajdowano je rozrzucone „przypadkiem” w gospodach, w korytarzach urzędów czy na ulicach. Jedna z nich nosiła tytuł „Ojciec Nasz Loli Montez”, a zadrukowana była wąskimi linijkami drobnego, trudnego do odczytania druku. Treść i forma tego tekstu pozwalają przypuszczać, że jej autorami byli studenci reakcyjniści.

Ojciec Nasz Loli Montez

Lolo Montez, ani ojciec, ani nasz, ty, która jesteś raz w Monachium, raz pod Monachium, raz w Chinach, raz w Sendling, ty, która Naród nazywasz kanalią, sama nią będąc, ty, która naruszasz spokój i porządek, przyzwoitość i obyczaje, która niszczysz zaufanie i miłość, ty diable bez rogów i ogona, lecz obdarzona wszystkimi innymi diabelskimi przymiotami i sztuczkami, ty babilońska nierządniczo, która nigdzie nie możesz już przebywać, gdyż zewsząd cię już przepędzano, przekłete niech

będzie imię Woje, podarty twój dyplom szlachecki, przeklęta bądź na dobre i na złe, przez wielkich i przez małych, teraz i na zawsze! Daj dom twój Sp. lub V, jeśli wejść doń nie wstydzą się, daj złoto twoje nie wielkim, którzy dość mają złota, nie żandarmom, lecz prawdziwie ubogim, którzy zęby zaciskają nie na chlebie, lecz z prawdziwej złości na twe bezwstydne hulanki; bądź wola twoja, jeśli masz przyjść, przyjdź, żeby cię dostali, a od razu zatłuką cię na śmierć, gdyż nie zasługujesz na uczciwy koniec ani na spokój na ziemi, bo o niebie w twoim przypadku nie ma mowy! Obżeraj się, rozkoszuj i ukaż się wkrótce, dając nam chleb nasz powszedni, jakimi są zbiegowisko i spektakl wokół przybłądy i ladacznicy. Wybacz nam naszą winę, jeśli nie dość cię gnębimy i nie dość tobą gardzimy, i nienawidź nas, byśmy nauczyli się słusznie cię nienawidzić; nie zwiedzie nas żadna obietnica, żadne pieniądze i żadne dobra, żaden haftowany kołnierz i żaden order, by wziąć twą stroń, nie zadawaj więc sobie trudu, przyjdź i pozwól nam cię zarznąć albo nie przychodź i niech cię zabiją gdzie indziej, lecz trzymaj się od nas z daleka, w czym dopomożemy ci mocą kamieni brukowych oraz siłą woli stanów, abyśmy wybawieni byli od ciebie, od zarazy i od zła wszelkiego. Amen.

180

W owej podminowanej atmosferze bawarski król i jego hrabina zachowywali się niezwykle niezręcznie. Gdy hrabina von Landsfeld paradowała ulicami miasta, drogę torowali jej dwaj lokaje w liberjach, a był to przywilej, jaki przysługiwał tylko królowej. Gdy przejeżdżała swym nieprzyzwoicie drogim powozem, uwadze mijanych nie mógł umknąć królewski herb na obu drzwiach pojazdu. Powozem tym „Lola Montez I, nowa władczyni Bawarii” - jak nazwano ją w jednym z paszkwili - codziennie podjeżdżała pod ministerstwo spraw wewnętrznych, gdzie wraz z „kurewskim ministrem” von Berksem zajmowała się sprawami rządowymi.

Nic dziwnego, że wśród ludu wrzało. Nic też dziwnego, że poddani w coraz większym stopniu swą wściekłość kierowali przeciwko królowi, który z pobłażaniem traktował zachowanie Loli. Nie było dnia, by nie wydarzył się jakiś skandal. W teatrze dworskim, gdzie hrabina Landsfeld miała swoją własną lożę - obok loży króla, ma się rozumieć - odtwórczyni głównej roli w wystawianej komedii podczas swego występu, wskazując na lożę Loli, wykrzyknęła: „Przegońcie tę premierową, wicie, co trzeba zrobić!”. Loli nie było tego wieczoru w teatrze, jednak wieść o tym zdarzeniu prędko się rozniosła, dodając innym odwagi do dokonywania nowych prowokacji.

Jeśli chodzi o relację Ludwika z Lolą, to masowe protesty jeszcze bliżej ich ze sobą związały. Hrabia Bernstorff, ambasador Prus, pisał do swego króla: „Jestem mocno przekonany, że nic, co w ludzkiej mocy, nie jest w stanie zniszczyć” tego związku, o ile jedno z tych dwojga samo nie będzie miało go dosyć”. Niemniej jednak koniec był bliższy, niż sądzili wszyscy zainteresowani.

Akurat w środowisku studenckim, które od początku nastawione było krytycznie do cudzoziemskiej tancerki, powstało swego rodzaju bractwo, które za swój cel obrało obronę traktowanej z wrogością hrabiny. Była to korporacja Alemannia, „piękni młodzi ludzie”, jak podkreślała hrabina. Ponieważ Lola wspierała ich w każdy możliwy sposób (we wspólnych popijawach nie uczestniczył co prawda ani jeden profesor, obecny był za to

minister Berks), a jednocześnie byli oni zagorzałymi wrogami ultramontanów, wkrótce zaczęli być nazywani lolamontanami, który to przydomek przyjęli z dumą. Ultramontanie kontra lolamontanie - oczywisty antagonizm.

Czołową postacią stronnictwa ultramontanów był Józef Górres, były wydawca „Rheinischer Merkur”, wobec którego Napoleon używał określenia „piąta władza”. W 1827 roku Górres przybył jako profesor historii do Monachium, gdzie stał się pionierem ruchu ultramontanów oraz sprawił, że katolicka

181

Bawaria znienawidziła Prusy. Jego śmierć 29 stycznia 1848 roku oraz pogrzeb w kilka dni później okazały się wydarzeniami brzemiennymi w skutki.

Rzekomo „czarny diabeł” próbował rozpędzić orszak pogrzebowy. Natomiast Lola i jej lolamontanie widzieli sprawę inaczej. Twierdzili, że „czarni” przekształcili pochówek Józefa Górresa w polityczną demonstrację, w związku z czym oni sami zorganizowali kontrademonstrację. Doszło do starć wokół uniwersytetu i na nim samym. Monachium znajdowało się w przededniu rewolucji.

Podczas szamotaniny na Odeonsplatz hrabia von Hirschberg, członek stronnictwa lolamontanów, dobił sztyletu i zranił swego przeciwnika, innego studenta. Zdarzenie to tak rozwścieczyło tłum, że ruszył na członków stowarzyszenia Alemannia, którzy nie mieli innego wyjścia, jak salwować się ucieczką do swojego lokalu, czyli kawiarni Rottmanna. Lola Montez jak furia zjawiła się na Odeonsplatz z pistoletem w dłoni. Bijatyka, która wówczas nastąpiła, prędko pozbawiła ją jednak odwagi. Ponoć 9 lutego 1848 roku hrabina uniknęła linczu tylko dzięki temu, że schroniła się w kościele Teatynów, gdzie najpierw bronili jej żandarmi, a później straż dworska. Wojsko obsadziło Barer Strasse, a przed pałacikiem hrabiny zaciągnęła wartę żandarmeria.

Już kilka dni wcześniej jedna z gazet rozpowszechniła informację, jakoby Lola Monez podczas pewnego przyjęcia wyjawiała, że chce doprowadzić do zamknięcia uniwersytetu, a tak w ogóle to najlepiej byłoby przenieść go do innego miasta. (Lola Montez cytuje ową informację prasową w swoich *Pamiętnikach*). Być może celowo rozpowszechniano fałszywą informację, niemniej jednak jeszcze tego samego wieczoru król Ludwik wydał nakaz zamknięcia uniwersytetu, który sam wielkim wysiłkiem przeniósł do Monachium z Landshut, aż do początku zimowego semestru w październiku. Wszyscy studenci, którzy nie byli stałymi mieszkańcami Monachium, mieli opuścić miasto w ciągu dwudziestu czterech godzin. Minister Oettingen-Wallerstein daremnie starał się, by król odwołał podjętą decyzję, grożąc nawet swym odejściem.

Dla mieszkańców Monachium wygnanie studentów oznaczało konkretne gospodarcze straty i choćby z tego powodu słynący z braku politycznego zaangażowania poddani bawarskiego króla gotowi byli stanąć na barykadach w obronie studentów i przeciwko hiszpańskiej tancerce. Następnego dnia delegacja wybrana spośród dwóch tysięcy protestujących starała się o widzenie z królem. Ludwik odmówił, stwierdzając: „Czy do króla

182

przychodzi się z prośbą, mając za plecami dwa tysiące ludzi?”. Monarcha trwał w swym

uporze, zarzucił nawet poddanym niewdzięczność i grzmiał: „Swoją siedzibę też mogę przenieść. Nic nie może mnie powstrzymać!”.

Tego już było monarchijczykom za wiele. Ową prowokacją król zerwał więź łączącą go z poddanymi. Po raz pierwszy wznoszono okrzyki skierowane do następcy tronu, a przede wszystkim wołano: „Lola Montez musi opuścić miasto!” lub za studentami: „*Pereat!* - Niech zniknie!”.

Hrabina Landsfeld stopniowo zaczynała sobie uświadamiać, że jest więźniem w swoim domu przy Barer Strasse. Dochodziło nawet do prób zajęcia jej pałacyku. Około drugiej w nocy Ludwik wysłał do niej oficera z krótką wiadomością: „Nie poddam się, bądź spokojna. Jeszcze wszystko się ułoży”.

Ludwik mylił się. Mylił się w każdej sprawie dotyczącej swego związku z Lolą Montez. Nie doceniał władzy ludu, a przeceniał władzę królewską. Gdy sytuacja wymknęła mu się już z rąk, lamentował: „Monachijczycy, czy chcecie złamać serce waszego ojca?”.

Późno w nocy minister Berks pośpieszył do króla, by uzmysłwić mu powagę sytuacji. Podkreślał, że istnieje tylko jedno rozwiązanie, które może uspokoić lud: Lola Montez musi wyjechać z Monachium. Studenci i monachijska milicja obywatelska przygotowywali się, by zbrojnie zaatakować hiszpańską tancerkę. A przyjezdni studenci odmówili opuszczenia miasta.

Rozstrzygnięcie nastąpiło następnego dnia, 11 lutego 1848 roku. Miasto opanował strach, gdyż rozeszła się pogłoska, że król zamierza wysłać przeciwko ludowi wojsko. W tym momencie hrabina Landsfeld zdecydowana już była opuścić Monachium. Zachowywała się bardziej rzeczowo i odważnie niż jej królewski kochanek. Po raz kolejny dowiodła swej dzielności, wychodząc na balkon swego pałacu i wołając do wielotysięcznego hałaśliwego tłumu: „Chcecie mego życia, to weźcie je!”.

To nieoczekiwane wystąpienie sprawiło, że demonstranci na chwilę ucichli. Zostali zaskoczeni i nie wiedzieli, co robić. Pomysł Loli wypalił. Wykorzystując sposobność, wskoczyła do powozu, woźnica zaciął konie i pognął w kierunku Ludwigstrasse, potem w stronę Ogrodu Angielskiego, a stamtąd do królewskiej rezydencji. Nie wiadomo, czy znienawidzona hrabina szukała schronienia w królewskiej siedzibie, czy też chciała namówić Ludwika do wspólnej ucieczki. Później twierdziła w swych *Pamiętnikach*, że zawsze sądziła, iż król ucieknie razem z nią.

183

Jednak strażę pilnie strzegły królewskiej rezydencji, a wzburzony tłum podjął w międzyczasie pogoń. Woźnica Loli skrzył więc w Herrenstrasse w kierunku Isartor, a potem popędził Landstrasse w stronę Sendlinger Tor i wyjazdu z miasta.

„Montez wyjechała z Monachium!” - wiadomość ta lotem błyskawicy obiegła miasto. Książę Oettingen-Wallerstein, który w obliczu ulicznych zamieszek odwołał swą rezygnację, pojawił się około jedenastej rano na balkonie starego ratusza i obwieścił: „Nic już nie oddziela króla od jego ludu!”.

Podczas gdy Lola Montez zmierzała do zameczku Blutenburg pod miastem, wzburzony tłum przypuścił szturm na jej dom przy Barer Strasse. Nagle pojawił się król, ubrany jak zwykły obywatel. Nie od razu rozpoznano monarchę, który otrzymał nawet cios drewnianą belką, jakie wandy wyrywali z dachu. Pałacyk z pewnością strawiłyby

plomień, gdyby Ludwik nie powstrzymał atakujących słowami: „Ten dom należy do mnie. Czy chcecie rabować moją własność?”.

Dziki wrzaski przerodziły się w nieśmiałe okrzyki: „Niech żyje król!”. Ludwik jednak machnął ręką i odesłał wszystkich do domu. Widok zdemolowanego domu, w którym spędzał ze swą konkubiną szczęśliwe chwile, stanowił dla niego symbol zniszczonych uczuć, zniszczonego życia. I jeśli nawet dotąd tego nie czynił, to w tym momencie z pewnością zaczął się zastanawiać, czy jego związek z hiszpańską tancerką nie był jednak drogą wiodącą na manowce.

Dla większości monarchijczyków pośpieszny wyjazd tancerki był tak nieoczekiwany, że nie do końca chcieli w niego uwierzyć. Monachijski magistrat i tamtejsza policja czuli się w związku z tym zobowiązani do wydania następującego obwieszczenia, które rozwieszono na wszystkich skrzyżowaniach miasta:

Obwieszczenie

Do niżej podpisanego burmistrza dotarło pismo z dyrekcji królewskiej policji o następującej treści.

Dyrekcja bawarskiej policji królewskiej oficjalnie zawiadamia burmistrza, że hrabina Landsfeld, po tym jak wczoraj opuściła stolicę i królewską siedzibę Monachium, dziś przed południem o jedenastej odjechała w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy policji ko-

184

leją z Pasing do Lindau, o czym ponadto donosi meldunek służbowy z dowództwa szwadronu królewskiego regimentu kirasjerów w Nym-phenburgu, jaki niżej podpisany otrzymał, a także, że hrabina zaopatrzona została w szwajcarski paszport.

Monachium, 12 lutego 1848 w południe.

Na wszystkich ogłoszeniach na terenie miasta słowa „hrabina Landsfeld” wykreślono, zastępując je słowami „Lola Montez”.

Według wspomnień Loli w owym czasie wciąż znajdowała się w zameczku Blütenberg i wciąż nie chciała się poddać. W przebraniu młodej wieśniaczki wróciła nocą do miasta. Chciała porozmawiać z królem, zorientowała się jednak, że nie jest to możliwe. Odwiedziła więc pewnego Anglika o nazwisku Barton i poprosiła go o nawiązanie kontaktu z królem i przekazanie mu wiadomości, gdzie może ją znaleźć. Jednak Barton obawiał się, że spisek może się nie udać, i poszedł na policję.

Kilka godzin później w największej tajemnicy żandarmi zabrali Lolę i odstawili ją do prezydium policji. Dyrektor policji powiadomił o owym zajściu króla Ludwika, który przybył do prezydium we wczesnych godzinach rannych. Wszystko to działo się w nocy z 8 na 9 marca.

Niestety, Lola, której autobiografia liczy blisko dwa tysiące stron, milczy na temat owego decydującego spotkania w ustronnym policyjnym pomieszczeniu służbowym. Jest to tym bardziej zdumiewające, że często tak wiele miejsca poświęca nieistotnym

spotkaniom, że aż nudzi tym czytelnika. Jej powściągliwość w tym przypadku ma dwie przyczyny. Po pierwsze, skutki romansu z bawarskim królem nie przydają jej chwały jako metresie. Po drugie, swoją monachijską porażkę Lola chce przedstawiać w takim świetle, by wyglądać na ofiarę politycznych uwarunkowań.

Dla Loli Montez to nocne spotkanie w prezydium monachijskiej policji musiało stanowić największą klęskę jej życia. Nie udało jej się przekonać do siebie przygnębionego króla. Ludwik odesłał swoją byłą kochankę, dla której jeszcze niedawno gotów był oddać wszystko.

Być może podczas tego ich ostatniego spotkania doszło nawet do kłótni między Ludwikiem a Lolą i być może król użył tego samego zarzutu, co jego zbuntowani poddani, że tancerka jest diabłem wcielonym. W każdym

185

razie król Ludwik wydał rozkaz, by Lolę Montez odstawić do Weinsbergu w Szwabii, do poety, lekarza i magnetyzera Justinusa Kenera. W celu odbycia kuracji, jak to określono, podczas której pić miała ośle mleko.

Z listu Justinusa Kenera do Emmy Niendorf:

Wczoraj przybyła tu Lola Montez i umieściłem ją w swoim mieszkaniu, aż do czasu otrzymania dalszych poleceń z Monachium. Trzech członków Ak-mannii trzyma u niej wartę. Złości mnie, że król przysłał ją właśnie do mnie, lecz powiedziano mi, że Lola jest opętana i że powinien wysłać ją do mnie do Weinsbergu, żebym wypędził z niej diabła. W każdym razie jest to interesujące. Zanim rozpocznę terapię magiczną i magnetyczną, zaordynowałem jej ostrą kurację głodówką. Codziennie dostaje tylko trzynaście kropel wody malinowej i jedną czwartą opłatka. Nie mów jednak o tym nikomu i spal ten list!

Justinus Kerner był bardzo poważnym człowiekiem, który zajmował się alternatywnymi metodami leczenia, choć także baśniami i opowieściami ze swych ojczystych okolic. Pracował jako lekarz urzędowy w Wirtembergii, przyjaźnił się z Ludwikiem Uhlandem i Józefem Gorresem i był najważniejszym reprezentantem szwabskiej szkoły poezji. Do kręgu jego monachijskich przyjaciół należał między innymi król Ludwik, który przyznał mu rentę, gdy choroba oczu zmusiła Kenera do rezygnacji z wykonywania zawodu.

W związku z powyższym nasuwa się oczywiście pytanie, czy Ludwik naprawdę był przekonany, że Lola Montez jest opętana. To wyjaśniałoby ich nieoczekiwane gwałtowne rozstanie, a także bezosobową relację o owych wydarzeniach w *Pamiętnikach*. Trudno jednak w sposób ostateczny odpowiedzieć na to pytanie. Hiszpańska tancerka nie przebywała w domu Kenera długo. Zaopatrzona w fałszywy paszport na nazwisko Bolton, niepokieszona udała się do Szwajcarii.

W Monachium tymczasem rozeszły się już pogłoski, że Lola Montez potajemnie wróciła do miasta. Po tej kobiecie wszystkiego można się było spodziewać. Natomiast swemu królowi poddani nie mogli wybaczyć, że jeszcze raz się z nią spotkał. Niepokoje, który już ustały, rozgorzały na nowo. Demonstranci zaatakowali prezydium policji, żądając odpowiedniego działania władz państwowych.

Pod naciskiem rządu król Ludwik musiał podpisać dekret, zgodnie z którym Lolę Montez ścigano listem gończym, a każdy funkcjonariusz miał

obowiązek jej zatrzymania. Jakby nie było tego dosyć, Ludwik musiał złożyć swój podpis pod jeszcze jednym dekretem, którego treść składała się z jednego tylko zdania, stanowiącego jednakże największe możliwe upokorzenie, jakie tylko mogło go w tej sytuacji spotkać. Zdanie owo brzmiało tak: „My z łaski Boga król Bawarii (...) czujemy się zobowiązani do oświadczenia, iż hrabina von Landsfeld nie posiada już bawarskiego obywatelstwa”.

W tym momencie król Ludwik musiał zadać sobie pytanie, czy wciąż jest władcą swego kraju, czy spełnienie żądania, któremu sprzeciwiał się od jego pojawienia się na początku roku, nie powinno skłonić go do abdykacji.

Wystarczyłoby wówczas rzucić okiem poza granice Bawarii, by zorientować się, że również w wielu innych krajach europejskich panowały nastroje rewolucyjne. Niemal w tym samym czasie wybuchły rewolucja marcowa w Wiedniu i powstanie narodowe na Węgrzech. W związku z tym nie można zakładać, że to sprawa Loli Montez była powodem kolejnego posunięcia króla. Bawarski monarcha nie chciał być „królem od podpisów” (określenie samego Ludwika): „Niedobrze mi się robiło na myśl o dalszym noszeniu korony”.

Długo oczekiwana abdykacja króla Ludwika nastąpiła 19 marca 1848 roku. Z typową dla siebie skłonnością do teatralnych gestów zwrócił się do swoich poddanych:

Bawarczyco! (...) Składam koronę na rzecz mojego ukochanego syna, arcyksięcia Maksymiliana. Służyłem wiernie konstytucji, poświęciłem swe życie dla dobra ludu, tak jakbym był urzędnikiem republiki, sumiennie obchodziłem się z majątkiem i finansami państwa. Każdemu mogę spojrzeć prosto w oczy. Składam najgłębsze podziękowanie wszystkim tym, którzy byli mi oddani. Nawet po ustąpieniu z tronu moje serce żarliwie bije dla Bawarii, dla Niemiec!

Lola Montez o abdykacji króla i o objęciu tronu przez jego syna Maksymiliana dowiedziała się w Genewie. „Wy, Bawarczyco” - pomstowała - „nie docenicie serca waszego króla. Nie wiecie lub nie chcecie wiedzieć, jak wzniosłe idee służące dobru ludu żyły w jego sercu”. Jednak wciąż się nie poddawała. Teraz, po abdykacji, miała nadzieję, że Ludwik przyjedzie jej śladem do Szwajcarii.

Jednak były król użalał się nad sobą i swoim losem, wyłącznie Loli przypisując winę za swoje nieszczęście. Uważał, że związek z Lolą kosztował go utratę korony. Niesłusznie, gdyż lud wybaczyłby swemu królowi tak-

że i ten pozamałżeński romans, w końcu zdążył się już do różnych rzeczy przyzwyczaić. Jednak Ludwik szedł wobec swojej hiszpańskiej kochanki na takie ustępstwa, że poddani czuli się urażeni. Nie chcieli, by rządziła nimi tancerka. Poza tym król Ludwik żył i rządził w wieży z kości słoniowej, otwarty na wszystko, co piękne, lecz zamknięty na sprawy przyziemne i na problemy społeczne. Z pewnością i tak musiałby abdykować, nawet gdyby nigdy nie spotkał Loli Montez.

„To był piękny sen u boku króla”. W tak prosty sposób Lola podsumowała po przybyciu do Genewy poprzednie dwa lata, z pewnością najciekawsze w swoim życiu. Natomiast były król swe odczucia wyraził w formie wiersza:

Ach, żeby tak nigdy, przenigdy Cię nie spotkał, Tej, której oddałbym ostatnią kroplę swej krwi. Nieopisanym bólem dręczysz mnie od środka, żarem mego życia i namiętnością byłaś mił

Tyś zdradą odplaciła niezmienną wierność moją, mej władzy jeno chciałaś i moich pieniędzy. Przez Ciebie ugodzeni ode mnie ludzie stronią, to Ty przyczyną jesteś żywota mego nędzy.

Zranionym był głęboko, a duch mój zdruzgotany gdy oburzenie echem niecznie się rozległo. Dotkniętym ja, mnie brzydził świat ten cały gdzie wiarołomstwo niewdzięczność ubiegło.

Marzenie moje wielkie na zawsze rozwiane, jam w pustce nagle ze snu tego obudził się. Minęło już, co dla mnie z uczuciem zwiqzane, Aiz koroną swą pożegnać musiałem się.*

Wersy te nie wymagają komentarza. Na uwagę zasługuje jednak fakt, że były monarcha doszedł do mało romantycznego wniosku, iż Lolę intere-

* Przełożyła Iwona Mączka.

188

sowały tak naprawdę tylko jego pieniądze i jego władza. Ludwik zaczął nienawidzić tej kobiety. Ze swojego testamentu wykreślił rentę, jaką jej przyznał. Nikomu nie wolno było w jego obecności wymieniać imienia Loli. Jeśli nie dało się tego uniknąć, były król używał określenia „ta rzecz”. A „ta rzecz” przysporzyła mu jeszcze sporo trosk.

Loli Montez nie udało się zapuścić korzeni w Genewie. Uważała, że „Szwajcaria jest tak naprawdę dziwnym krajem. Można tu znaleźć wszystko, tylko nie to, czego się szuka”. W wolnym tłumaczeniu: Loli nie udało się znaleźć kochanka, który pokrywałby koszty jej jak zawsze wystawnego życia. Na swoje nieszczęście zatrudniła jako sekretarza Augusta Papon, który był jednym z wielu podejrzanych indywiduów, otaczających ją od czasu ucieczki z Niemiec. Po sześciu miesiącach wyrzuciła go. Papon zabrał jednak ze sobą listy, listy od króla Ludwika oraz inne informacje, niezwykle cenne dla prasy brukowej.

14 listopada 1848 roku August Papon napisał do byłego króla Bawarii obrzydliwy list, w którym najpierw opisał siebie i koleje swego losu. „Hrabina Landsfeld” potraktowała go w bezczelny sposób, tylko dlatego, że chciał uwolnić ją od wpływu podejrzanych osób. Wśród nich był nawet pewien siedemnastoletni hrabia z trzymilionowym majątkiem, którego Lola zamierzała poślubić, zanim ów młody człowiek uciekł. Ponadto hrabina zleciła mu zadanie dochodzenia obiecanej renty od byłego króla. Gazety i wydawcy już słali zapytania, za jaką cenę będzie gotowy opisać swoje „sześć miesięcy u Loli Montez”. Cytat z listu Papon:

' A ja, Panie, ponieważ godny jestem zaufania, jakim Wasza Królewska Moć mnie zaszczycił, ponieważ jestem człowiekiem stanu i honoru, pogardzam obrazą ze strony lekkomyślnej i nierozważnej kobiety. Zwracam się do Waszej Królewskiej

Mości. I powiadam Wam: Panie, od Ciebie tylko wymagam i żądam zadośćuczynienia, do którego mam prawo. Po pierwsze, zadośćuczynienia honorowego. Wasza Królewska Mość raczy nadać mi tytuł szambelana, który jest tytułem czysto honorowym, tak by wszyscy wiedzieli, że otrzymałem od Waszej Królewskiej Mości aprobatę dla mego słusznego i pełnego oddania zachowania i zasłużyłem na nagrodę. Po drugie, zadośćuczynienie w gotówce. Jestem ubogi, Panie, a podczas tych sześciu

189

miesiący oraz w podróży poniosłem duże wydatki, odmówiłem przyjęcia pewnego dobrze płatnego stanowiska, oddając swój czas, swoje zdrowie i swoje pióro w jej służbę. Wasza Królewska Mość raczy ocenić, czy 6 tysięcy franków to przesadzona kwota... Zwrócę Waszej Królewskiej Mości listy, jakie od Niego otrzymam, a także listy hrabiny, w ogóle wszystko, co posiadam, i będę jedynie wspominał króla, który zaszczycił mnie swym zaufaniem, jakiego z dumą oświadczam być ze wszech miar godnym...

List ten wysłano do Monachium, do adwokata Ludwika, pana Rossman-na, który przekazał go królowi. Ludwik uważał ów list za czysty szantaż, doszedł jednak do wniosku, że Papon działa w imieniu Loli Montez, a tej chodzi głównie o otrzymywanie wysokiej renty wypłacanej do końca życia. Ludwik popełnił wielką nieostrożność, odpowiadając 18 listopada na bezczelny list Augusta Papona. Ten wpadł w zdumienie. Jeśli list ten jest autentycznym, a nie fałszerstwem, ukazuje byłego króla w zupełnie innym świetle i potwierdza słowa Loli, że Ludwik nawet po rozstaniu wciąż pozostawał głęboko z nią związany. Oto odpowiedź, jaką otrzymał August Papon:

Panie markizie, w tej godzinie otrzymałem Pański list z 14. i śpieszę nań odpowiedzieć. Chciałbym wiedzieć, co preferowałaby moja ukochana hrabina. Czy wolałaby, bym przyznał jej dożywotnią rentę, jaką obecnie otrzymuje, w formie darowizny z funduszy tutejszego banku, który jest bankiem prywatnym (co ze względu na budżet możliwe byłoby dopiero po zakończeniu posiedzenia izb, które rozpocznie się w następnym miesiącu); czy też bym przyznał jej dożywotnią rentę z miliona franków ulokowanych w banku angielskim, gdyż tyle najwyżej wynosi posiadana przeze mnie tam kwota, ponieważ kapitałów ulokowanych w kasie umorzeniowej nie wolno naruszać; państwo zastrzegło sobie prawo decydowania o ich wypłacie. To dłużnikowi, a nie wierzycielowi, przysługuje prawo domagania się wypłaty. Przyznanie renty wypłacanej aż do śmierci z kapitałów tutejszego banku przyniosłoby taką kwotę, jaką teraz pobiera, gdyż odsetki i dywidenda (jestem jednym z akcjonariuszy od samego początku) wyniosłyby pięć procent; natomiast te ulokowane w banku

190

angielskim dałyby tylko 3 procent, przez co renta mojej ukochanej hrabiny byłaby znacząco niższa niż obecnie. Powtarzam Panu: niezwykle istotne jest, by sprawę traktować bardzo ostrożnie, aż do zakończenia posiedzenia budżetowego. To prawda,

że nie należy drażnić lwa, jak powiada przysłowie. Już stawiano mi ostre zarzuty, że zbyt wiek jej daję. Niezwykle ważnym jest, by unikać wszystkiego, co w tym momencie zwróciłoby na nią uwagę. Każdy pretekst umacnia rewolucjonistów. Chcę dla niej najlepiej, o tym moja najukochańsza hrabina powinna być przekonana. Powtórzę, nic na tym /wiecie nie jest w stanie mnie od niej oderwać.

Ponownie wyrażając zadowolenie z nawiązania interesującej znajomości z Panem, szczerze Panu oddany Ludwik.

Monachium, 18 listopada 1848.

List byłego króla Bawarii jest zagadkowy. Zawarte w nim szczegóły, jakich nie mogła znać żadna osoba postronna, nawet Lola, przemawiają za tym, że nie mamy do czynienia z niezdarnym fałszerstwem. Natomiast rzekome zapewnienia ze strony króla, który abdykował, o jego przychylności dla Loli Montez stoją w sprzeczności ze wszystkimi innymi dostępnymi dokumentami. Jakby nie było, nawet sam Papon nie liczył na to, że Ludwik zgodzi się na żądania Montez, miał tylko nadzieję na rekompensatę za swoje własne milczenie. Dawno już zawarł umowę z genewskim wydawcą i drukarzem Desoche'em na napisanie pięciu tomów opowieści o życiu Loli Montez.

Nie wiadomo, kto stał za ofertą genewskiego księgarza o nazwisku Joel Cherbuliez, który zaproponował odkupienie rękopisu Papona i posiadanych przez niego dokumentów jeszcze przed ich opublikowaniem. Trudno było przewidzieć sukces planowanej książki, możliwe natomiast było zawarcie umowy dotyczącej wypłaty spodziewanych zysków. Pan Cherbuliez zwrócił się do Papona: „Jeśli chodzi tu o zemstę, to oczywistym jest, że propozycje od osób postronnych nie będą w stanie odwieść Pana od podjętej decyzji; jeśli natomiast jest to spekulacja oparta na ciekawości, jaką planowane przez pana pamiętniki bez wątpienia wywołają, można chyba przedstawić powody, dla których warto negocjować w celu uniknięcia skandalu, bez najmniejszej straty dla Pańskich interesów”.

191

Papon wszystkie te listy zgrabnie wplótł w treść swojej książki i 9 stycznia 1849 roku dostarczył Desoche'owi rękopis pierwszego tomiku (niemieckie wydanie miało format jedynie 8 na 12 cm), który ten wydał już wiosną. Ludwik nigdy nie podjął próby zdementowania zawartych w owej książce informacji, mimo że jeśli chodzi o swe własne listy, nie najlepiej wypadł w owym wątpliwej jakości czytadle.

„Cóż jednak miałyby skłonić króla, by utrudniał temu panu publikację jego rewelacji?” - pisała Lola Montez w swoich *Pamiętnikach*. Wygkana hrabina nadała rozgłos aferze ze swym byłym sekretarzem, a nawet przedrukowała owe listy, a „czy listy te są prawdziwe, czy fałszywe - wszystko jedno”. Nie zajęła wobec nich żadnego stanowiska. Wolą, by mówiono o niej źle, niż wcale. „Mogę zapewnić” - mówiła - „że nikt nie przejmuje się panem Paponem, który twierdzi, że napisał moje pamiętniki, przynajmniej z mojej strony nie było żadnych działań utrudniających mu pisanie o mnie, co tylko chciał”.

A Papon nie pozostawił suchej nitki na swojej byłej pracodawczyni. Co prawda z uznaniem wypowiedział się na temat jej umiejętności językowych: „Zna hiszpański w

mowie i piśmie, a angielski jeszcze lepiej; w swój francuski wplata angielskie i hiszpańskie zwroty i wyrażenia; zna kilka słów w hindi, a nawet w sanskrycie; potrafi przytoczyć odpowiednią łacińską sentencję; rozumie nieco po niemiecku".

Papon wyśmiewał się za to z połowicznego wykształcenia Loli, a jego opis jak najbardziej odpowiadał rzeczywistości: „Z niezachwianą pewnością rzuca takie nazwiska jak Wouwermann i Tycjan, Murillo i Albrecht Diirer, Miguard i Cimabue, myli Byrona z Cervantesem, Puszkina z Bérangerem, Schillera z Sadim, mówi o Henryku IV, jakby był synem Henryka III, sądzi, że Dziewica Orleańska była Rzymianką, chwali Ludwika XVIII za odwołanie edyktu nantejskiego*; jest wreszcie zdecydowaną przeciwniczką szkoły Metternicha i wyjaśnia wydarzenia z lipca 1830 roku ograniczeniami dotacji dla teatrów, rewolucję w Monachium wątpliwościami króla Ludwika, który odstąpił od zamiaru rozwiedzenia się z królową oraz poślubienia jej, ucieczkę papieża

* Edykt nantejski (wydany przez Henryka IV Burbona) gwarantujący swobodę wyznania oraz równouprawnienie polityczne protestantom odwołał w 1685 r. Ludwik XIV (Król-Słońce).

192

do Gaety* tłumaczy nieprzyjaznym sposobem, w jaki potraktowała ją jego litościwa siostra Maria von Genf. Od razu widać, że geografii uczyła się z książki pocztowej, literatury z almanachów, malarstwa z żurnali, historii od garderobianego, a polityki od Jego Królewskiej Mości Ludwika Bawarskiego".

Prawdopodobnie najciekawszą uwagą Papona na temat Loli Montez jest ta dotycząca jej bezsenności. Twierdził, że drżała na samą myśl, że ma spać sama. Spokój i samotność napawały ją strachem.

Jedyny komentarz ze strony Loli był następujący: „Jeśli o mnie chodzi, chętnie zapłacę mu za to, by pisał dalej".

Niespokojny duch Loli gnał ją wciąż, udała się więc do Paryża. Jak twierdziła, nadal pozostawała wówczas w kontakcie listownym z Ludwikiem. Mieli się ponoć umówić na spotkanie w Rzymie, jednak „oboje zrezygnowali z tego postanowienia". Lola Montez miała nawet spytać Ludwika, czy godzi się na jej ślub z młodym francuskim oficerem. Jednak zanim nadeszła odpowiedź („Jego Królewska Mość dał mi wolność"), związek ten zdążył się rozpaść, gdyż, jak twierdziła Lola, „oficer ten za pomocą szpady chciał panować nade mną i nad Francją" - cokolwiek miałoby to oznaczać.

Nie ma żadnych dowodów, że wspomniana przez Lolę wymiana listów rzeczywiście miała miejsce. Raczej nieprawdopodobne jest, by Ludwik w ogóle odpowiadał na listy, jakie ewentualnie otrzymywał od Loli. Wobec niej odczuwał rozgoryczenie, a przede wszystkim byłemu królowi bardzo zaszkodziłoby ujawnienie jego rzekomej oferty przyznania wygnanej hrabinie miliona renty. Ludwik sam znajdował się w tarapatkach finansowych. Choć 500 tysięcy guldenów rocznych apanaży było ogromną rekompensatą dla ustępującego króla (zgodnie z prawem nic się Ludwikowi nie należało), było to zaledwie 20 procent jego wcześniejszych dochodów, a Ludwik wciąż jeszcze wydawał

ogromne sumy na dokończenie gigantycznych projektów, które rozpoczął za swojego panowania.

* W 1848 r. podczas Wiosny Ludów w Państwie Kościelnym doszło do wystąpień rewolucyjnych związanych z ruchem na rzecz zjednoczenia Włoch. W ich wyniku 24 listopada 1848 r. papież Pius IX musiał opuścić Rzym i udać się na wygnanie do miejscowości Gaeta należącej do Królestwa Obojga Sycylii (do Rzymu powrócił w 1860 r. po upadku powstałej wówczas Republiki Rzymskiej).

193

Należały do nich Bawarski Panteon (Ruhmeshalle), Hala Wyzwolenia w Kehlheim oraz pomnik Bavaria wzniesiony nad błoniami Theresienwie-se, nazwanymi tak na cześć jego małżonki. Na dodatek król Maksymilian wyrzucił swego ojca z królewskiej rezydencji, Ludwik musiał więc urządzić sobie na stare lata dom w elektorskim pałacu Wittelsbachów. Poza tym bawarski parlament żądał zwrotu 1,5 miliona guldenów, jakie Ludwik przyznał z państwowej kasy swemu synowi Ottonowi, gdy ten udawał się do Grecji, by objąć tam panowanie*. „Woda sięga mi po szyję”, pisał Ludwik do Ottona. Skąd miałyby w takiej sytuacji wziąć kolejny milion dla Loli Montez?

Jeśli Lola chciała utrzymać swój dotychczasowy poziom życia, musiała znaleźć sobie bogatego męża. W Paryżu nie trafił się nikt odpowiedni, wyruszyła więc do Rotterdamu, a stamtąd statkiem do Anglii. W 177. rozdziale jej *Pamiętników* czytamy: „W Anglii tłoczyło się wokół mnie bardzo wielu mężczyzn, i gdybym chciała oddać swoją rękę, musiałyby mieć tyle rąk, co Argus oczu”.

Lola Montez - czy też hrabina Landsfeld, gdyż pod takim nazwiskiem występowała w Anglii - ponownie stanęła na skraju bankructwa. Nie miała się więc nad czym zastanawiać, gdy pewien dwudziestoletni i pochodzący z zamożnej rodziny oficer królewskiej straży przybocznej ujrzał ją w łożu teatru, zasięgnął informacji, po czym złożył jej listownie propozycję małżeństwa, nie mając nawet okazji choćby raz z nią porozmawiać. By uprzędzić bieg wypadków, Lola wyraziła zgodę. Treść owej oferty matrymonialnej wydaje się więc szczególnie interesująca:

Pani hrabino! Miałem wczoraj w teatrze szczęście ujrzeć wśród wielu pięknych dam taką, która spodobała mi się bardziej niż wszystkie inne. Była nią Pani. Pozwoliłem sobie dowiedzieć się nieco o Pani i uzyskałem bardzo zadowalające informacje, tzn. każdy Panią chwalił — i każdy Panią ganił! Czyż mógłbym usłyszeć lepszy komplement? Dowiedziałem się, że ma Pani wielu wielbicieli, ale nie ma męża — jest więc miejsce dla Ciebie, pomyślałem sobie, a myśl ta uszczęśliwiła mnie i jednocześnie nie pozwoliła mi spać. Rankiem nie pozostało mi więc nic innego, jak napisać do Pani niniejszy list. Zupełnie poważnie proponuję Pani małżeństwo, małżeństwo z człowiekiem

* Otton I Wittelsbach, młodszy syn Ludwika Bawarskiego, pierwszy król niepodległej Grecji, osadzony na tronie przez mocarstwa europejskie w 1832 r. Zdetronizowany w wyniku puczu wojskowego w 1862 r.

honoru, a dodam ponadto, że posiadam majątek wystarczający by zadowolić zachcianki błyskotliwej i próżnej kobiety, jeśli posiada Pani tę ostatnią cechę, choć w żadnym wypadku tego nie zakładam. Proszę więc, by zastanowiła się Pani nad moim listem w ciągu dwudziestu czterech godzin oraz nie kłopotowała się pisaniem odpowiedzi. Pozwolę sobie przyjąć Panią osobiście jutro rano. George Heald, chorąży straży przybocznej Jej Królewskiej Moici.

Jak stwierdziła później Lola, chorąży miał w zasadzie tylko jedną wadę - swoich krewnych. Był młody (młodszy od niej o dwanaście lat), mądry, przedsiębiorczy i majątny: „Nie było się więc nad czym zastanawiać”. Naturalnie Lola nie kochała młodego oficera. W ogóle go nawet nie знаła, a poza tym nie miał najlepszej aparycji, wyglądał prostodusznie, a perkaty nos sprawiał, że odnosiło się wrażenie, że jest jeszcze młodszy niż był w rzeczywistości. Mimo to poślubiła go wiosną 1849 roku.

Najzacieklejszym wrogiem tego związku okazała się jedna z ciotek młodego George'a. Z pomocą sumiennego adwokata dowiedziała się, że Lola popełniła bigamię. Kapitan Thomas James wciąż pozostawał jej prawnym mężem. Wcale nie umarł, jak Lola założyła na podstawie pogłosek, w związku z czym nadal ważne było postanowienie sądu o separacji z 15 grudnia 1842 roku. Stwierdzało ono zgodnie z obowiązującym prawem brytyjskim rozdzielenie Thomasa i Elizy Rosy Anny James od łoża i stołu, przy czym żadne z nich nie mogło zawrzeć nowego związku małżeńskiego, dopóki drugie żyło.

Eliza-Lola została aresztowana, zwolniono ją jednak z aresztu za kaucję w wysokości 2 tysięcy funtów, po czym George Heald uciekł wraz ze swoją ukochaną z Anglii. Podróżując pod fałszywym nazwiskiem, najpierw udali się do Paryża, w sierpniu 1849 roku do Marsylii, a stamtąd do Rzymu. Szczęście, które George starał się dodatkowo osłodzić, przyznając Loli roczne apanaże w wysokości 2 tysięcy funtów, nie trwało jednakże długo. Po przybyciu do Barcelony doszło między małżonkami do sceny zazdrości, w trakcie której Lola raniła George'a sztyletem. Był to dla młodego oficera wystarczający powód, by powrócić do Anglii i postarać się o unieważnienie małżeństwa.

Historia ta, a przede wszystkim skandaliczne ogłoszenie, jakie Lola zamieściła w hiszpańskiej gazecie, w którym błagała George'a Healda, by do niej wrócił, sprawiły, że musiała opuścić Barcelonę. Ponownie celem jej wędrówki stał się Paryż.

195

Tam, wycofawszy się z życia publicznego, stworzyła swoje sensacyjne *Pamiętniki*. Sensacyjne dlatego, że liczyły aż pięć tomów (a Lola w momencie ich wydania miała dopiero trzydzieści dwa lata), lecz przede wszystkim dlatego, że choć miały zdecydowanie „rozmaita” jakość literacką, opisywały życie tak pełne przygód, że aż niepojęte dla większości czytelników w połowie XIX wieku. Autorka urozmaicała je ponadto rozprawami historycznymi jak z almanachu czy opisami geograficznymi, te jednak są umiarkowanie interesujące. Wykazała się natomiast niezwykle powściągliwością w opisie swego związku z królem Ludwikiem, któremu dzieło swe dedykowała w obszernej i patetycznej przedmowie:

Panie! Niniejszym publikuję swe wspomnienia. To Wasze poetyckie myśli, myśli człowieka sztuki, filozofa, to Wasze czasem tak surowe, ale zawsze wyważone poglądy, to

wzniosłe idee tolerancyjnego, wspaniałomyślnego i dostojnego króla, to je właśnie chcę ujawnić Europie, która tkwi dziś w tępym, bezmyślnym, bezwładnym i bezbożnym materializmie.

Panie, dzieła tego podjęłam się kierowana Waszymi wzniosłymi ideami, pozostając pod wpływem wspaniałych ludzi, których przypadek, w młodości zawsze będący moim życzliwym towarzyszem, podsuwał mi jako doradców i przyjaciół...

Czytelnik z rozczarowaniem stwierdza, że ów król, któremu dedykowano pięć tomów wspomnień, po raz pierwszy pojawia się w nich dopiero w 140. (!) rozdziale. Fakt, że Lola Montez tak powściągliwie opisuje dwa lata przeżyte u boku bawarskiego monarchy, jest jedną z licznych sprzeczności, tak charakterystycznych i dla jej życia, i dla jej dzieła. Raz pisze, że ów okres jawi jej się z perspektywy czasu jak „fantastyczne karnawałowe widmo”, a gdzie indziej podkreśla, że jej związek z Ludwikiem był wydarzeniem historycznym, które łączyło się wyłącznie z „dobrymi ideami i dobrymi zamiarami”. Lola Montez jak zawsze stara się przede wszystkim o tworzenie własnej legendy.

Pisze, że nigdy tak wiele nie mówiono o związku kobiety z królem: „Popatrzcie na historię wszystkich wieków, przyjrzyjcie się wszystkim tronom świata i odpowiedzcie sobie, czy to coś niesłychanego, by król kochał i by kochał kobietę, która nie pochodzi z królewskiego rodu”.

W słowach tych widać dumę, z jaką Lola patrzy na sprowokowane przez siebie historyczne wydarzenia („najpiękniejszy moment mego życia”). Jej słowa dają również wyraźnie do zrozumienia, że Lola Montez nie zado-

196

walała się pozycją zwykłej kochanki, że poddani Ludwika mieli rację, gdy kpili, że rządzi nimi tancerka. Lola zignorowała to, co stało się po jej wygnaniu z Monachium, i podpisała przedmowę w następujący sposób: „Paryż, grudzień 1850 roku, hrabina Maria von Landsfeld (Lola Montez)”.

Nie wiadomo, kto spisał wspomnienia Loli. W każdym razie na pewno współpracowała z tzw. ghostwriterem, a prawdopodobnie nawet z kilkoma. Wiadomo, że pracę nad pamiętnikami rozpoczęła już w 1849 roku w Genewie. Zaproponowała wówczas współpracę Oskarowi Hurt-Bineto-wi, dziennikarzowi pracującemu dla „Journal de Geneve”. Ten najpierw zgodził się, jednak już po pierwszych rozmowach z Lolą był pełen sceptycyzmu. Lola zaserwowała mu tyle wersji historii swojego pochodzenia, nie mogąc się ostatecznie zdecydować na żadną z nich, że Hurt-Binet uznał, że nie będzie w stanie napisać niczego sensownego. W końcu Lola zniknęła, nie wypłacając dziennikarzowi jego honorarium.

Tego samego okresu dotyczy twierdzenie Augusta Papon, że Lola *jemu* zleciła zadanie zredagowania swoich pamiętników. W każdym razie Papon wymienia te same sprzeczności dotyczące pochodzenia Loli, co Hurt-Binet. Jednak ponieważ ani jeden, ani drugi nie towarzyszyli Loli w Paryżu, nie mogli być autorami jej pamiętników.

Fakt ten znajduje swe potwierdzenie również w książce *Les Contem-porains*, która ukazała się w Paryżu w 1857 roku. Według niej wspomnienia Loli spisał pewien zupełnie nieznany najemny pisarz. Pracę ułatwiło mu to, że Lola, która doskonale umiała obchodzić się z prasą, zbierała wszelkie relacje prasowe dotyczące swojej osoby oraz

istotnych wydarzeń epoki. A ponieważ nieustannie zmieniała miejsce zamieszkania - z reguły trzy, cztery razy w roku - wszystkie te materiały, spakowane w podróżny kufer, zawsze ze sobą wozila.

Wątpliwości co do autorstwa wspomnień Loli podkreślają ewidentne zapożyczenia z pamiętników Loli autorstwa Pajona, które ukazały się drukiem dwa lata wcześniej, oraz z opublikowanej w 1847 roku, czyli cztery lata wcześniej, książki niemieckiego autora Paula Erdmanna pod tytułem: *Lola Montez i jezuici, opisanie niedawnych wydarzeń w Monachium*. Opierając się na tych dwóch książkach, Lola przedstawia swój związek z Ludwikiem oraz okoliczności, które doprowadziły do jego zakończenia, nie troszcząc się o to, ile prawdy jest w owych relacjach. Posługuje się przy tym „błyskotliwym piórem dr. Erdmanna, który, choć w żadnym razie nie

197

jest moim przyjacielem, jest jawnym przeciwnikiem partii, która dążyła do mego upadku, a ja wcale nie byłam przyczyną jej upadku, jak twierdziła prasa i w co wierzył cały kraj, i która bez mej pomocy wpadła w dołek, który wykopała dla mnie". Natomiast swojego byłego sekretarza Lola przedstawia jako kłamcę albo powieściopisarza a la Aleksander Dumas

— takie porównanie raczej mu nie zaszkodziło.

Wszystko to wydaje się potwierdzać przypuszczenie, że Lola Montez, wydając swe dzieło, znajdowała się pod ogromną presją czasową i finansową. Honorarium, jakie otrzymała od swojego paryskiego wydawcy, musiało być znaczne, w każdym razie umożliwiło jej rozpoczęcie nowego życia, o czym się jeszcze przekonamy. Nakład wydania był wysoki i jeszcze w tym samym roku autobiografia Loli ukazała się w Berlinie w języku niemieckim. Jak bardzo naglił wówczas czas, dowodzi ukazanie się już w 1847 roku w Lipsku książki pod tytułem *Lola Montez. Przygody siynnej tancerki, przez nią samą opowiedziane*, która była zwyczajnym fałszerstwem.

Oczywiście podróbką była również omawiana autobiografia Loli. Najwyżej jedna piąta jej treści odpowiada prawdzie, a reszta to wymysły, bajki i legendy, nawiasem mówiąc miejscami ze wszech miar frapujące. Przecież sama Lola Montez była postacią wymyśloną, oderwaną od rzeczywistości

- dlaczego jej *Pamiętniki* miałyby głosić czystą prawdę? Te nieliczne fragmenty, które wydają się być skreślone ręką Loli, wyróżniają się za sprawą dwóch cech: są odświeżające w swej prostocie (pozostałe fragmenty charakteryzuje sztywność stylu) oraz emanują skrajnym egocentryzmem.

Lola Montez przypisywała sobie samej każdej możliwej niewieścią zaletę. Upajała się własną urodą i nie omieszkała zachwalać swych wdzięków jak cali girl dla wyższych sfer. Ani słowem nie wspomina, że zawsze oddawała się dla pieniędzy, na to była zbyt wytworna, szczególnie po swoim związku z królem Ludwikiem. „W każdym razie” - pisała - „wielu panom uczyniłabym przysługę, gdybym ustaliła taryfę za moją miłość, gdyż choć bogaci ludzie tak bardzo lękają się komunizmu, to chętnie widzą, jak piękna kobieta staje się wspólną własnością. Wtedy nie straszny im żaden wydatek ani żaden podatek. Radują się tym bardziej, im wyżej ją wyceniają, nie mogąc się wręcz doczekać jak najszybszego uiszczenia swojej daniny. W każdym razie wielbiciele otaczali mnie i w

Warszawie, i w Londynie, i w Paryżu, lecz czytelnicy znają już mój sposób na pozbycie się tych, którzy stają się natrętni i irytujący".

198

August Papon znalazł u Loli Montez tajną teczkę z listami, wśród których znajdowały się jednoznaczne propozycje składane słynnej tancerce przez jej wielbicieli. Ponieważ listy te zawierają nazwiska i adresy miłośników wdzięków Loli, z pewnością nie są to falsyfikaty. Fakt, że Lola listy o takiej treści przechowywała, a nie natychmiast paliła, świadczy o tym, że mimo wszystko rozważała oferty tego rodzaju. Zacytowane poniżej trzy listy z tajnej teczki pochodzą z września 1845 roku, kiedy Lola przebywała w Berlinie:

Do Wielmożnej Pani Markizy Loli Porrisy Montez

Berlin, 13 września 1845 roku

Szlachetna Pani!

Pamięta Pani zapewne z wczorajszego wieczoru, że gdy była Pani w teatrze, pewien mężczyzna podszedł do Pani, gdy po drugim akcie rozmawiała Pani z dyrektorem teatru, i jako wyraz uznania podał cukierek z napisem „Plus que de complisance”, w którym znajdował się także pierścionek z brylantem. Czy wolno mi prosić szanowną Panią, by nosiła ów pierścionek na wspomnienie o mnie? Och, gdybym mógł powiedzieć więcej niż „na wspomnienie”, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi!

Oddany Pani hrabia von Zastrow.

Do panny Loli von Montez z Hiszpanii, tutaj obecnie przebywającej

Berlin, 14 września 1845 roku

Droga Panno!

Noc nie przyniosła mi ukojenia, dopóki nie pozwoliłem sercu memu zwrócić się do Pani! Była Pani wczoraj w Teatrze Królewskim, gdzie spotkał mnie nieskończony zaszczyt ujrzenia Pani, urocza damo, po raz pierwszy. Pióro me zbyt słabe, bym potrafił opisać, jakie uczucia na Twój widok napętniły szczęściem głębię mej duszy. Nigdy czegoś takiego nie czułem. To uczucie—inaczej być nie może - czegoś najwyższego, najświętszego, boskiego... to uczucie miłości!

Niech pozwoli mi Pani, bym zawsze nosił w sobie Pani wizerunek wraz z owym błogim odczuciem, które wywołał we mnie przy pierwszym Pani ujrzeniu. Niech pozwoli mi Pani, bym mógł go wielbić nie tylko w duchu, lecz także w rzeczywistości. W nadziei na ujrzanie Pani pojutrze w Operze pozwalam sobie doręczyć Pani abonament na łożę nr 7 i nr 8, zaznaczając, że z góry zarezerwowałem dla siebie łożę nr 9. Przed nami wciąż jeszcze dwie długie noce i dwa długie dni, zanim obdarzy mnie Pani szczęściem ponownej możliwości podziwiania swej osoby. Tetydo, uskrzydł swe konie i prędko zanieś mnie do owego wieczoru, gdzie być może spojrzenie najśłodszej z kobiet powie mi:

»Kocham cię!«.

*Nadzieją tą żyjąc, kreślę się Pani z wyrazami najgłębszego szacunku
Baron von Rulandstein, oficer gwardii.*

Do Wielmożnej Pani Markizy Loli de Montez

W miejscu, 15 września 1845 roku

Łaskawa Pani!

Ponieważ dowiedziałem się, że Pani ojczyzną jest Hiszpania, pozwalam sobie tą drogą zaferować Pani moje usługi w jak najszerszym możliwym zakresie. Gdyby Pani papiery w danym momencie nie przypadły do zapłaty, chętnie przesunę termin i dokonam wypłaty ze swojego banku. Moja loża znajduje się naprzeciwko loży dyrektora teatru. Pojutrze wielka opera, a Pani bez wątpienia uświetni swą urodą ów wieczór: Oczarowuje Pani każdego, kto tylko na Panią ujrzy. Któż może mieć mi za złe, że oczarowała Pani i mnie?

Gdyby chciała Pani wyjechać, proszę skorzystać z mego powozu, proszę skorzystać z mojej służby i proszę pozwolić mi mieć jedynie nadzieję, bym mógł nazywać się Twoim, Pani.

*Z wyrazami szacunku
von Brucken, bankier.*

200

Jeśli za emancypację uważa się uwolnienie od zależności i stałej kurateli, to Lola Montez była kobietą wyemancypowaną, ze wszystkimi kłopotami, jakie do dziś jeszcze wiążą się z tym pojęciem. Pragnęła wolności, musiała jednak kupić ją sobie za problematyczną cenę. Dla hiszpańskiej tancerki cena ta nie była szczególnie wygórowana, gdyż bez wątpienia była eroto-manką i można założyć, że z przyjemnością wykorzystywała wszystkich mężczyzn, którzy pomagali jej w drodze na szczyt. Pozostałych nie traktowała poważnie - jak przystało na kobietę wyemancypowaną - lub jedynie w takim stopniu, w jakim byli w stanie podnieść jej samoocenę.

Wszystkich innych zaliczała do kategorii idiotów. Kolejnych mężczyzn opisuje jako głupców, a czasami wręcz jako karykatury. „Choć po świecie chodzą osobliwi ludzie, tego rodzaju karykatury trafiają się na szczęście rzadko. Radzę każdej kobiecie, by w sytuacji takiej jak moja, gdy los zetknie ją z tego rodzaju głupcem, trzymała się myśli, że na wielkiej scenie życia każdy odegrać może tylko taką rolę, jaką otrzymał od przeznaczenia”.

Do roku 1851 Lola zdążyła już odegrać rolę, jaką jej samej przydzielił los. Dwa lata jako konkubina króla to niewiele, jednak dla ledwo trzy-dziesięcioletniej kobiety oznaczały one więcej niż dwadzieścia lat jako żona ministra. Wyglądało to tak, jakby Lola przeczuwała, że jej życie będzie krótkie, a jego koniec jest już bliski.

Lola Montez należała do tych kobiet, które zupełnie nie potrafią sobie wyobrazić, że będą kiedyś miały sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat. Chciała pozostać w pamięci ludzi piękna na zawsze. Z tego powodu ostatnie lata swojego życia przeżyła w gorączce i pośpiechu, które przyćmiły nawet jej dotychczasowe dokonania. Uciekała przed samą

sobą.

Jej pierwszym celem była Ameryka, kraj, w którym nikt nikogo nie pyta o jego przeszłość. Lola Montez potrzebowała pieniędzy. A ponieważ w Ameryce nie ma królów, musiała je zarobić sama, znowu musiała tańczyć. I Lola tańczyła. Jednak w Nowym Jorku, gdzie osiadła, napotkała konkurencję z całego świata i szybko zeszła z afisza. Do odniesienia sukcesu potrzebowała skandalu. Napisała więc wraz z młodym pisarzem C.P.T. Wa-re'em musical pod tytułem *Lola Montez w Bawarii*, w którym występowała jako aktorka, piosenkarka i tancerka. Zaangażowała na tournée zespół młodziutkich artystów i występowała na drugorzędnych scenach we wschodnich i południowych stanach, w Filadelfii, Bostonie i Saint Louis.

201

Wątek króla, który wbrew swej pozycji zakochuje się w tancerce, spodobał się Amerykanom i od tamtej pory znalazł swe odbicie w wielu sztukach. *Lola Montez w Bawarii* okazała się ogromnym sukcesem, tak wielkim, że gdy dwa lata później przedstawienie dotarło do San Francisco na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, Lolę wioził do hotelu powóz zaprzężony w przedstawicieli miejskich władz, a z armat strzelano na wiyat. Gazety, które zawsze potrafiła świetnie wykorzystać do swoich celów, relacjami zapowiadającymi przybycie Loli wywoływały prawdziwą histerię na jej punkcie.

Szczególnie wyróżniał się pewien reporter o nazwisku Patrick Purdy Hall z gazety „Daily Alta”. O ile Lola ogólnie nie miała najlepszego mniemania o otaczających ją mężczyznach, to reporterzy gazet byli na ostatnim miejscu. Czy Patrick stanowił wyjątek od reguły? Czy też Lola wybrała go na obiekt swej zemsty? W każdym razie wyszła za niego, a małżeństwo to okazało się oczywiście koszmarem.

W szczytowym momencie odnoszonych sukcesów Lola Montez rozwiązała swój objazdowy teatr, wyjechała z mężem do Sacramento, które wówczas było małą osadą poszukiwaczy złota, i występowała w tamtejszym prowincjonalnym teatrze, tańcząc solo. Nie trwało to jednak długo, gdyż prości poszukiwacze złota szybko nasycili się jej występami. Państwo Hall nabyli wóz konny i ruszyli szlakiem poszukiwaczy złota na kalifornijską pustynię.

Tam, gdzie jest złoto, tam są i kobiety - droższe niż gdzie indziej, co było Loli bardzo na rękę. W Marysville, gdzie dziewięćdziesiąt procent z 1600 mieszkańców stanowili mężczyźni, pani Hall nabyła najpiękniejszy w okolicy dom, w stylu kolonialnym, dokąd raz w tygodniu przybywali ku ubolewaniu jej męża notable (o ile zasługiwali na to miano) i upijali się, bez zahamowania oddając się przyjemnościom życia, co jedyna miejscowa gazeta nazwała pewnego dnia „orgią”. Nie bezkarnie zresztą, gdyż Lola jeszcze tego samego dnia wychłostała autora artykułu palcatem, mając po swojej stronie dziewięćdziesiąt procent mieszkańców. Mieszkańcy Sacramento nieodpłatnie zapewnili jej osobistą ochronę oraz znacząco przyczyniali się do pomnożenia jej majątku, gdyż bilety na wieczorne występy Loli kosztowały po 100 dolarów. Tyle otrzymywał wówczas robotnik za cały miesiąc pracy.

Mężowi Loli, Patrickowi Hallowi, trudno było to wszystko znosić. Najpierw zaczął pić, wkrótce potem grać, a w końcu Lola wyrzuciła po-

nurego pijaka i hazardzistę z domu. Ponoć udało mu się dotrzeć do San Francisco, gdzie zmarł w biedzie.

Lola też długo nie wytrzymała w mieście samotnych poszukiwaczy złota. Sprzedała swoją posiadłość i zaopatrzona przez wielbicieli w bryłkę złota powróciła do San Francisco, gdzie zebrała nową trupę teatralną.

Z tym zespołem wybrała się do Australii. W Sydney odniosła wielki sukces z przedstawieniem *Lola Montez w Bawarii*. Wciąż przedstawiała się jako hrabina von Landsfeld. Jednak gdy do swego repertuaru włączyła sztukę pod tytułem *Szaleństwa nocy*, w której prezentowała swój taniec pajaka, naraziła się na ostry atak prasy. Przedstawienie należało do bardzo odważnych, a niezwykle śmiały był przede wszystkim kostium Loli. I przedstawienie, i strój tancerki uznano za niemoralne. „Gdybym chciała być niemoralna” - wykrzyknęła ze sceny przed kolejnym występem - „to myślicie, że musiałabym tak ciężko pracować na utrzymanie?”.

Australijska przygoda Loli trwała tylko rok, jednak w tym czasie zarobiła bardzo dużo pieniędzy. Wystarczyło na podróż powrotną do Europy oraz na zakup willi w St. Jean de Luz na francuskiej riwierze. Jednak w tracie kolejnego roku pieniądze zdążyły się rozejść i najwyraźniej nie pojawił się żaden nowy kochanek, który byłby gotów finansować kosztowny styl życia tancerki.

Ów rok na riwierze, spędzony w samotności w St. Jean de Luz, musiał wywołać u Loli zgorzknienie i umocnić ją w postanowieniu dokonania szybkiej zmiany w swoim życiu. Dochodziła do czterdziestki i była coraz bardziej rozczarowana swoim własnym wyglądem. Fakt, że otrzymywała już tylko propozycje występów w rozmaitych variétés jako skandalistka, dawał jej do myślenia. Od czasu jej królewskiej przygody minęło niemal dziesięć lat, i choć Ludwik był już człowiekiem wolnym (jego żona Teresa zmarła w 1854 roku na cholere), Lola nie próbowała kontaktować się z byłym bawarskim władcą.

Od śmierci żony, która znaczyła dla niego więcej, niż kiedykolwiek za jej życia gotów był przyznać, Ludwik zajmował się przede wszystkim uzalaniem nad sobą (na cześć zmarłej małżonki napisał siedemdziesiąt wierszy), lecz także wszelkimi osobliwościami spirytystycznymi, zwłaszcza że doszedł do wniosku, iż Teresa w pierwszą rocznicę swej śmierci, dokładnie w godzinie, w której odeszła, połaskotała go w lewe ramię. „Jeśli jest obok mnie, niech

jeszcze raz da mi to odczuć, pomyślałem i znowu poczułem łaskotanie w lewym ramieniu. Czy to rzeczywiście ona, czy to tylko moje życzenie?”.

Jednak ani owe niezwykle odczucia, ani skończone siedemdziesiąt dwa lata życia nie przeszkodziły Ludwikowi w nowej przygodzie miłosnej. Jego wybranką była osiemnastoletnia baronówna Carlotta von Breidbach-Bur-resheim, dama dworu córki Ludwika Matyldy, księżnej Hesji. Matylda, heska arcyksiężna, mieszkała ze swoją damą dworu w Darmstadt, gdzie Ludwik coraz częściej przyjeżdżał. Namówił nawet Carlottę, by pozowała do portretu do jego Galerii Piękności. Dziewczyna zgodziła się z wielkim oporami, pomna historii z Lolą Montez. W końcu jej portret autorstwa Fryderyka

Dureka zastąpił portret Loli. Był to ostatni wybuch uczuć królewskiego starca - a Ludwik nie znosił tego słowa. Swe ostatnie wiersze kierował do Carlotty - jednak na próżno. W jednym z listów do Ludwika napisała: „Nie mogę i już”.

Carlotta stanowiła ostatnie rozczarowanie w życiu Ludwika. Choć żył jeszcze kolejne dziesięć lat, jej odmowa sprawiła, że z dnia na dzień stał się tym, kim nigdy nie chciał być: starcem. Chorował coraz częściej, a cierpiał na przypadłości, które jego wieloletni lekarz przyboczny Johann Nepomuk Ringseis nazywał psychosomatycznymi. Postępująca głuchota sprawiała, że Ludwik był coraz bardziej samotny. Mimo wszystko ten niepozorny, osamotniony, chorowity i cierpiący na częste bóle głowy starzec przeżył i swego syna, następcę tronu*, i swą dawną wielką miłość.

Ludwik różnił się od Loli przede wszystkim tym, że *chciałyć*. Chciał żyć, i jeśli tak musiało być, to także cierpieć. Lola nie chciała cierpieć, nie chciała nawet żyć zwyczajnym życiem, w każdym razie nie do tego momentu, w którym jej życie w zagadkowy sposób uległo zmianie. To jednak dopiero przed nami. Wciąż mieszkała na francuskiej riwierze, nie mniej samotna niż Ludwik. Jej nadzieje, że dzięki swym pamiętnikom stanie się bogata, okazały się płonne. Lola nie mogła tak po prostu kisić się w swej willi w St. Jean de Luz i czekać, aż skończą jej się ostatnie pieniądze.

Ponownie wybrała się więc w daleką podróż do Ameryki. I znowu wszystko przygotowała na swój sposób: reporterzy czekali na nią już w porcie

* Syn Ludwika, Maksymilian II, zmarł w 1864 roku. Kolejnym władcą Bawarii został jego syn, a wnuk Ludwika, Ludwik II Bawarski, słynny „szalony król”.

204

i chcieli wiedzieć, czym tym razem pragnie uszczęśliwić Nowy Świat. Ona jednak nie miała do zaoferowania nic lepszego niż *Lole Montez w Bawarii*. Jej pierwszy i jedyny występ w Nowym Jorku był klęską. Comeback wspaniałej Loli Montez nie był możliwy.

Gorączkowo szukała nowych źródeł dochodu i przy tej okazji wpadła na niezwykle pomysł. Czy była to jej własna koncepcja, czy też sprytnego nowojorskiego wydawcy, nie wiadomo - to jedna z wielu tajemnic dotyczących życia Loli pod koniec lat pięćdziesiątych. Z niemal misjonarskim zapałem prowadziła wykłady na temat swoich podróży, pięknych kobiet, dobrych manier oraz sposobów podkreślania urody. Wynajmowanie sal, w przeciwieństwie do wystawiania sztuk w teatrze, wymagało niewielkich nakładów. Ponadto Lola sprzedawała broszury i książki swojego autorstwa. O ile do tej pory podziw wzbudzała niemal wyłącznie wśród mężczyzn, to teraz jej wielbicielkami stały się przede wszystkim kobiety. Amerykankom podobał się sposób, w jaki opowiadała o różnych sprawach, opierając się na własnych doświadczeniach. W krótkim czasie Lola wydała w Nowym Jorku trzy poradniki. Nie byłaby sobą, gdyby nie naruszała w nich tabu i nie podejmowała tematów, jakich nikt dotąd nie odważył się rozważać drukiem.

W swojej książce pod tytułem *Sztuka piękności* zajęła się szczegółowo tematem najbardziej zwracającej uwagę części swego ciała, czyli biustem. Zdumionym niewiastom zdradzała patent na uzyskanie takiego biustu, który może stać się przyczyną abdykacji króla. Z powagą informowała je o tym, że „sztuczne gumowe biusty są komicznym

wynalazkiem, który ponadto ma niszczycielskie działanie dla tej części ciała". Zamiast nich Lola polecała na powiększanie biustu wcieranie w niego trzy razy dziennie mikstury o następującym składzie: pół uncji nalewki z mirry, 4 uncje wody anyżowej, 4 uncje wody z kwiatów bzu, 1 gran* piżma, 6 uncji rafinowanego spirytusu winnego.

Nie wiadomo, skąd Lola czerpała owe mądrości, lecz w niniejszym kontekście wydaje się to mało istotne. O wiele ważniejsze byłoby uzyskanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego w listopadzie 1858 roku powróciła do Lime-rick, miejsca swoich narodzin. Przez cały rok jeździła z wykładami po Anglii

* Gran (z łac.) - jednostka masy obecnie stosowana w krajach anglosaskich (ok. 0,065 g), dawniej stosowana w wielu innych krajach, m.in. w Polsce w XVI-XVII w.

205

i Irlandii, a w Londynie przemawiała nawet w St. James Hall. I znów stała się obiektem dziennikarskich kpín, więc po roku opuściła swą ojczyznę, tym razem na zawsze. Celem jej ostatniej podróży ponownie był Nowy Jork.

Jest oczywiste, czym Nowy Jork przyciągał czterdziestojednoletnią Lolę. Były to anonimowość i hojność, jakie miasto to oferowało. Tutaj nie musiała się obawiać, że będzie wyszydzana z powodu swojej przeszłości, która w żadnym razie nie odpowiadała standardom epoki wiktoriańskiej. Lola ponownie próbowała prowadzić wykłady o tematyce poradnikowej, jednak nikt nie chciał już słuchać tej wciąż jeszcze pełnej wdzięku i pięknej kobiety, choć cenę za bilet wstępu na swój odczyt obniżyła w końcu do 25 centów. Lola poddała się.

Zbliżała się do kresu swego życia, nie przeczuwając, jak bardzo jest już bliski. Podczas ostrej zimy 1860 roku zachorowała na suchoty, a wskutek udaru straciła mowę i kontrolę nad połową ciała. Zmarła w styczniu kolejnego roku, mając czterdzieści dwa lata. W żadnej gazecie nie ukazała się wzmianka o jej śmierci. Szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczamy to, że w ogóle wiemy coś o jej okolicznościach oraz to, że Lola Montez nie spoczywa anonimowo w zbiorowym grobie, jakich wiele w Nowym Jorku. Swoje życie rozpoczęła bez słynnego nazwiska i tak też je skończyła.

Pod koniec swego życia spotkała w Nowym Jorku przyjaciółkę, z którą dzieliła kiedyś w Anglii szkolną ławę. Przyjaciółka ta wyszła za mąż za zamożnego amerykańskiego biznesmena, Buchanana. Wzięła do siebie chorą, samotną i biedną Elizę - jak nazywała Lolę jeszcze z dawnych lat. Na ten okres przypada również znajomość z wielbnyim Hawksem, który nawrócił ponoć Lolę na prawdziwą wiarę, tak że czyniła już tylko dobro i oddawała ubogim swe ostatnie pieniądze. Tak przynajmniej twierdził wielbny Hawks trzydzieści pięć lat po jej śmierci w pewnej ulotce. Jak wiadomo, upływ czasu nawet z poganina uczynić może męczennika. Faktem jest, że pani Buchanan postawiła swojej przyjaciółce z czasów szkolnych na nowojorskim cmentarzu Greenwood nagrobek z napisem:

*Pani Eliza Gilbert
zmarła
17 stycznia 1861.*

To ostatni ślad po Marii Dolores Rosannie Elizie Gilbert, która wyszła za podporucznika Jamesa, rozwiodła się, zaczęła przedstawiać jako Maria Dolores Porris y Montez, otrzymała tytuł hrabiny von Landsfeld, została wdową po oficerze Healdzie*, po czym poślubiła reportera Halla i rozwiodła się z nim.

Lola Montez wydaje się być ideałem kochanki - jeśli w tym kontekście można mówić o ideale. Była podniecająca, oddana, wspierająca i zniknęła z życia swego ukochanego, nie niszcząc jego małżeństwa. Dwa lata bezprawnie spędzone u boku króla znaczyły dla niej więcej, niż znaczyłoby usankcjonowane długoletnie małżeństwo. W 157. rozdziale swoich *Pamiętników* Lola stwierdziła: „Żyjemy w smutnej epoce; mówiąc *my*, mam na myśli kobiety. Pozbawione całej naszej władzy, nie sprawujemy już najmniejszej kontroli nad namiętnościami mężczyzn, miłość staje się zadaniem rachunkowym, małżeństwo spekulacją, a przyjaźń pustym mianem”.

* Oficer gwardii królewskiej utonął podczas kąpieli w Tagu wkrótce po rozstaniu z Lolą.

VI

Konstancja von Cosel - zapomniana kochanka

27. *Oprócz Konstancji August nie będzie utrzymywał żadnej innej metresy.*
28. *Po śmierci jego prawowitej małżonki Konstancja zostanie księżną Saksonii i królową Polski.*
29. *Jej roczne apanaże w kwocie 100 000 talarów będą dorównywać apanażom królowej.*

(Z kontraktu o zawarciu konkubinat u pomiędzy Augustem Mocnym a hrabiną Konstancją von Cosel)

W

pewnej epoce posiadanie przez władcę absolutnego „porządnej” kochanki należało wręcz do dobrego tonu. Nazywano je wówczas metresami i zdarzało się, że racja stanu wymagała nawet kilku tego rodzaju związków jednocześnie; nikogo to nie raziło - a wprost przeciwnie. Gdy August Mocny, elektor saski, został w 1697 roku wybrany królem Polski, wszystkim wiadome było, iż Jego Królewska Mość jest żonaty oraz że ma zamężną kochankę. Nikomu to nie przeszkadzało. Prawowitą małżonką króla była Krystyna Eberhardyna von Ansbach-Bayreuth, natomiast drugą żoną - Anna Konstancja hrabina von Cosel, z domu Brockdorff, żona saskiego ministra Adolfa Magnusa von Hoyma.

W tym osobliwym układzie Polakom przeszkadzało jedynie to, że August Mocny sypiał z samymi Saksonkami. Uważano, że jako polski władca Jego Królewska Mość powinien mieć również polską kochankę. Ulotki odpowiedniej treści krążyły po polskim dworze, docierając aż za Łabę do

208

Augusta Mocnego, który nie miał innego wyjścia, jak się poświęcić. Nie ma w tym żadnej ironii: wielką podkomorzynę litewską Marię Magdalenę Denhoffową wprost do królewskiego łoża wprowadziła wzbudzająca lęk rajfurka, podskarbina Przebendowska*. Nowa kochanka nie była ani piękna, ani mądra - z tych cech słynęła przecież Konstancja. Podkomorzy-na miała właściwie tylko dwie zalety, które z dzisiejszego punktu widzenia wydają się dość osobliwe: była Polką i katoliczką.

Mimo wszystko August Mocny, aby spełnić wolę swego ludu i zasłużyć na swój przydomek, spędził noc z ową nieszczerólnie atrakcyjną damą, podczas gdy dworacy podsłuchiwali pod drzwiami komnaty, aby już wczesnym rankiem donieść polskiemu narodowi o pełnym sukcesie. Był to początek końca klasycznego dramatu kochanki, który dokładnie w taki lub w bardzo zbliżony sposób wielokrotnie powtarzał się na europejskich dworach książęcych i królewskich. Historii kochanki, która dochodzi do szczytu władzy, a potem spada niżej, niż kiedykolwiek mogła to sobie wyobrazić.

Jak na kobietę z przełomu XVI i XVII wieku, Anna Konstancja była niezwykle wyemancypowana. Nie dość, że w swym holsztyńskim pułkow-nikowskim domu uczyła się - jak przystało w wyższych sferach - gry na klawicymbale, tańca i języka francuskiego; ta młoda szlachcianka zajmowała się również matematyką i jeszcze dziwniejszymi naukami, a nawet sportem, którego co prawda wówczas nie nazywano sportem, lecz jeździectwem, myślistwem, fechtunkiem i strzelaniem, a warto zaznaczyć, że działo się to w czasach, gdy na terenie majątku jej ojca wciąż odbywały się procesy o czary. Celem uzupełnienia i zakończenia edukacji Konstancja została dworką księżnej von Holstein-Gottorf, u której jako młodszy szambelan dworu ogłady nabywał jeszcze jej ojciec.

Nie mając nawet piętnastu lat, podążyła na dwór w Wolfenbüttel, towarzysząc Zofii Amelii, najstarszej córce księcia, która poślubiła tamtejszego następcę tronu książęcego, Augusta Wilhelma von Braunschweig -Wolfenbüttel (księżniczce przypadła do odegrania trudna rola, jako że

* Małgorzata Elżbieta z Flemmingów, siostra ministra saskiego Jakuba Henryka Flemminga, a zarazem żona wielkiego podskarbiego koronnego Jana Jerzego Przebendowskiego, kasztelana chełmińskiego, który wysunął kandydaturę Augusta na króla Polski i przez wiele lat cieszył się jego przychylnością, otrzymując nawet tytuł hrabiowski.

209

małżonek silniejszy pociąg odczuwał do swego żonatego szwagra Krystiana, co jednak nie powinno nas w tej chwili zajmować).

Konstancja wyrosła tam na piękną, młodą damę, wokół której mężczyźni krążyli jak motyle wokół kwiatu. Efekt? Zaszła w ciążę. Stara, owdowiała już księżna odesłała dworkę do domu. W Gut Depenau Konstancja urodziła dziecko, którego los pozostaje nieznany. Mimo to w 1703 roku wyszła za Adolfa Magnusa von Hoyma, niepozornego i grubego radcę tajnego króla Augusta, który następnie zabrał ją ze sobą do Drezna, gdzie dowiedziała się, iż jej małżonek faworyzuje jedną ze służących. Co gorsza, z kochanki tej nie zamierza zrezygnować.

Jedyne pocieszenie stanowił fakt, że dzięki stanowisku swego męża Konstancja zdobyła dostęp do najwyższych sfer i mogła uczestniczyć w balu na królewskim dworze, którą to okazję piękna holsztynianka wykorzystała, aby osobiście przedstawić się królowi Augustowi Mocnemu. Trudno powiedzieć, czy zrobiła to, mając jakiś konkretny plan, czy też po prostu tak się złożyło, w każdym razie na dworze uznano takie zachowanie za skandaliczne i nieprzyzwoite. Innego zdania był August Mocny, któremu żona ministra od razu się spodobała, lecz obowiązki polityczne i wojenne wzywały go właśnie do Krakowa.

W sprawie pochodzącej z ludu kochanki małżonka doszło ostatecznie między Konstancją a Adolfem Magnusem do otwartego konfliktu - w końcu od ich ślubu nie minął nawet rok. Powód? Znienawidzona rywalka okadzała w trakcie nieobecności Konstancji jej łóżko, rozsypywała najprawdopodobniej truciznę, wypowiadając przy tym rozmaite zaklęcia. Dla kobiety o takim sprycie jak Konstancja była to doskonała okazja, aby wykorzystać „czary” dla własnej korzyści. Kontakty z mężem, który w łóżku brutalnie się na nią rzucał, od dawna nie dawały jej żadnej satysfakcji. Oświadczyła, że rywalka rzuciła na nią zaklęcie i ku swojemu wielkiemu żalowi od tej pory nie może już sypiać z mężem. W owych czasach była to niespotykana odmowa. Konstancja oświadczyła mężowi wprost, iż wzbudza w niej jedynie wstręt.

Na szczęście król wezwał akurat swojego ministra do Warszawy, skąd von Hoym słał pełne wściekłości listy, pisząc, że Konstancja musi mu być powolna, jak przystoi małżonce, a poza tym uważa, że nie sposób z nią wytrzymać. Konstancja odparła, że dokładnie to samo myśli o swoim małżonku i zażądała rozwodu.

Zaraz potem Konstancja po raz drugi spotkała Augusta Mocnego, tym razem jednak tłem były dość niezwykle okoliczności. Posługaczka w pałacu ministra spowodowała przez nieuwagę pożar, który mógłby mieć katastrofalne skutki dla całego drezdeńskiego Starego Miasta, gdyby Konstancja nie przejęła dowodzenia akcją gaśniczą. Wytwornie odziana, jak przystało damie jej stanu, rozkazywała przybywającym na pomoc, a widowisko to przyjechał podziwiać nawet król, zwabiony czarną chmurą dymu. Po ugaszeniu pożaru August Mocny i piękna samozwańcza komendantka straży pożarnej odjechali królewską kareta na bal i ponoć od tego dnia spotykali się codziennie, choć, jak to się dzisiaj mówi, do niczego między nimi nie doszło.

Wydaje się, że na początku Konstancja rzeczywiście króla nie kochała. Z pewnością jego opieka oraz dostęp do otaczającego go towarzystwa bardzo wiele dla niej znaczyły. Jednak Konstancja miała zupełnie inny i dużo istotniejszy powód, by szukać przychylności króla. Po oficjalnym rozwodzie z mężem, za który to *ona* była odpowiedzialna, groziło jej wygnanie z Saksonii. Jako wygnana nie mogłaby nigdy więcej powtórnie wyjść za mąż. Tylko król miał wystarczającą władzę, aby ją przed tym wszystkim uchronić.

Niemniej jednak jako niezależna i pewna siebie kobieta Konstancja początkowo odmówiła, gdy August Mocny przysłał do niej dwóch dworzan z oficjalnym pytaniem, czy jest gotowa zostać jego metresą. Było to zgodne z dworskim ceremoniałem i dowodziło, że królewskie zamiary są jak najbardziej poważne. Jednak August nie miał najlepszej opinii, jeśli chodzi o kobiety. Konstancja wiedziała o tym i grzecznie podziękowała. Prawdopodobnie był to wyraz jej prawdziwych odczuć, lecz wydaje się, że jednocześnie postawiła króla w sytuacji zmuszającej go do anulowania jej małżeństwa z von Hoymem.

Odmowa spełniania małżeńskiego obowiązku żony, jakiej udzieliła swojemu ślubnemu małżonkowi, okazała się, jak się wkrótce przekonamy, odpowiednim sposobem, żeby zmusić von Hoyma do działania. Gdy do wiadomości publicznej przedostała się informacja, że ministra odrzuciła jego własna żona, ów nie mógł ścierpieć zniewagi i musiał podjąć jakieś kroki. 22 stycznia 1705 roku zażądał rozwodu przed Najwyższym Konsystorzem.

Najwyższy Konsystorz jako urząd do spraw kościelnych podlegał Augustowi Mocnemu, głowie Kościoła saskiego, co z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się dość dziwaczne, jako że Jego Królewska Mość ze względu

na Polskę został katolikiem, natomiast Kościół saski, jak i żona króla Krystyna Eberhardyna nadal reprezentowali wyznanie luterańskie. Zachowała się treść protokołu sądowego z tego procesu rozwodowego, który poza staroświeckimi wyrażeniami jedynie drobnymi szczegółami różni się od współczesnej sprawy rozwodowej. Poniżej treść obrad z 29 stycznia 1705 roku w wolnym tłumaczeniu.

Przewodniczący rozprawie nadworny pastor (w asyście dwóch duchownych) otwiera obrady:

Rozprawa dotyczy pozwu rozwodowego, jaki złożył minister Jego Królewskiej Mości Adolf Magnus von Hoym wobec swojej żony, Anny Konstancji, z domu Brockdorff,

oboje małżonkowie zamieszkali przy Kreuzgasse 7 w Dreźnie, celem rozwiązania małżeństwa i uniemożliwienia winnej małżonce ponownego zawarcia związku małżeńskiego. Jako przyczynę rozwodu powód podaje samowolne porzucenie go przez pozwaną oraz jej silną antypatię do powoda. Małżeństwo Hoy-mów, czyli powód i pozwana, stawilo się na rozprawie.

Najpierw przesłuchano Konstancję von Hoym:

Nadworny pastor: *Pani Ministrowo, poślubiony przez panią przed Bogiem i ludźmi małżonek chce się z panią rozwieść i twierdzi, iż sprzeciwiała mu się pani poprzez niespełnianie swoich małżeńskich obowiązków. Czy to prawda?* Konstancja: *Tak, to prawda.*

Nadworny pastor: *Czy świadoma jest pani konsekwencji swojej postawy?* Konstancja: *Oczywiście, panie przewodniczący. Jestem gotowa przyjąć na siebie hańbę tego rozwodu, natomiast współzycie z tym człowiekiem jest dla mnie nie do przyjęcia.* Nadworny pastor: *A jakie ma pani ku temu powody?* Konstancja: *Zawierając z nim małżeństwo, nie miałam pojęcia, że minister utrzymuje jedną ze służących jako swoją kochankę, i nawet moje wymówki nie były w stanie skłonić go do pozbycia się tej osoby, która miała czelność mnie, prawowitą małżonkę ministra, przeklinać i traktować wszelakimi czarnoksięskimi sposobami. Dlatego upraszam szanownego pana przewodniczącego o jak najszybsze zakończenie sprawy.*

212

Jej słowa zrobiły wrażenie na kościelnym sędzi.

Nadworny pastor: *Uważamy, że nie chodzi tutaj o samowolne porzucenie, jednakże nie ma możliwości rozwiązania niniejszego małżeństwa. W związku z tym, czy niemożliwe jest jakiegokolwiek pojednanie między panią a pani mężem?*

Konstancja: *Nie, i to nawet gdybyście mieli ściąć mi jutro głowę!* Nadworny pastor: *Niech pani nie będzie taka uparta i nieczuła!* Konstancja: *Nie jestem ani uparta, ani nieczuła. To mogą poświadczyć wszyscy, również mój spowiednik, któremu zwierzam się ze wszystkiego. Zawsze byłam wierna mojemu mężowi, do dziś jestem mu wierna, ale nie mogę z nim już więcej sypiać.* Nadworny pastor: *Musi pani być cierpliwa. Wszystko się znowu ułoży* Konstancja: *Moja cierpliwość się wyczerpała. A jeśli skażecie mnie na dalsze współzycie z mężem, ucieknę od niego.*

Stanowisko Konstancji było jasne. Wówczas przewodniczący obrad zwrócił się do powoda:

Nadworny pastor: *Słyszał pan zarzuty swojej żony. Co pan na nie odpowie?*

Hoym: *Uważam, że wszystko to jedynie pretekst.* Nadworny pastor:

Przyznaje pan, że ma pan kochankę? Hoym: *Przyznaję, że miałem.*

Nadworny pastor: *Osoba ta nie mieszka już pod pańskim dachem?* Hoym: *Wyjechała. Do Wiednia.*

Konstancja: *Zostawiając niewinne dziecko, któremu pomimo jego pochodzenia*

zapewnię odpowiednie wychowanie. Nadworny pastor: Więc wszystko jest już w porządku! Hoym: Nic nie jest w porządku. Ona (wskazuje głową na Konstancję) odczuwa wobec mnie nieprzewyciężoną odrazę. Nadworny pastor: To przez czary. To diabelskie sztuczki, a diabelskie sztuczki nie mogą burzyć praw bożych. Hoym: Nie wierzę w czary. Ona po prostu mnie nie znosi, a co mi po żonie, która odmawia spełniania małżeńskiego obowiązku.

Bezradność po stronie drezdeńskiego Najwyższego Konsystorza. Udaje się na naradę, a następnie wydaje następującą decyzję:

Rozwiązanie małżeństwa Adolfa Magnusa i Konstancji von Hoymów byłoby sprzeczne z prawem i ustawami, a przede wszystkim z wolą Boga i Kościoła. Powód zostaje zobowiązany do traktowania swej małżonki z szacunkiem. Pozwana zostaje zobowiązana do spełniania swoich małżeńskich obowiązków.

Taka decyzja wywołała wściekłość zarówno ministra, jak i Konstancji. Ich drogi rozeszły się: Konstancja przeprowadziła się do przyjaciółki, a Adolf Magnus do znanej w mieście dziwki.

To właśnie przyjaciółka Konstancji, Henrietta Amelia hrabina Reuss, pociągała za wszystkie sznurki w związku między Augustem Mocnym a Konstancją von Hoym. Konstancja wciąż się opierała, lecz pewnego majowego dnia 1705 roku wreszcie doszło do tego, do czego miało dojść. Dla Augusta Mocnego było to spełnienie marzeń, a wygląda również na to, że przy pierwszym zbliżeniu Konstancja po uszy zakochała się w królu. Otrzymała pałac w pobliżu drezdeńskiego zamku i od pierwszego zbliżenia nie odstępowała króla na krok.

Oficjalnie oboje pozostawali w związkach małżeńskich: August z Krystyną Eberhardyną, Konstancja z Adolfem Magnusem, a racja stanu uniemożliwiała elektorowi saskiemu i polskiemu królowi dokonanie w tym względzie jakichkolwiek zmian.

Niemniej jednak Konstancja jako cenę za swoją przychylność wywalczyła sobie umowę o konkubinacie, a był to w owych czasach dokument o ogromnej wadze prawnej.

Warunek 1.: Oprócz Konstancji August nie będzie utrzymywał żadnej innej metresy.

Warunek 2.: Po śmierci jego prawowitej małżonki Krystyny Eberhardyny Konstancja zostanie prawowitą księżną Saksonii i królową Polski, a wspólne dzieci zostaną książętami i księżniczkami.

Warunek 3.: Roczne apanaże w kwocie 100 000 talarów będą dorównywać apanażom królowej i będą wypłacane Konstancji do końca jej życia.

Oszalały z miłości August zgodził się, a co więcej, wystarał się w Wiedniu u cesarza o tytuł hrabiowski dla Konstancji, która była dotąd jedynie baronową.

Obiektywnie rzecz biorąc, warunki postawione przez Konstancję na początku jej związku z królem służyć miały dwóm celom. Jako baronowa należała do niższego stanu i w związku z tym nie miała prawa uczestniczyć w dworskich imprezach. Towarzyskie uznanie miało natomiast dla kobiety z niższego stanu ogromne znaczenie. Z niskim pochodzeniem Konstancji wiązały się nie najlepsze stosunki jej ojca, tak że już samo małżeństwo z pełniącym funkcję ministra von Hoymem oznaczało dla Konstancji spo-

łeczny awans. Jednak ona pragnęła czegoś więcej.

Po długich przepychankach o rozwód, obejmujących pozyskiwanie z rozmaitych uniwersytetów ekspertyz prawnych, które wszystkie były jednak dla Konstancji niekorzystne, małżeństwo von Hoymów zostało rozwiązane 8 stycznia 1708 roku z powodu samowolnego porzucenia męża przez żonę. Warunek: Anna Konstancja von Brockdorff, rozwiedziona z panem von Hoymem, nigdy już nie będzie mogła wstąpić w związek małżeński. Teoretycznie Adolf Magnus von Hoym wyszedł z procesu zwycięsko i bez winy, jednak w rzeczywistości sprawa rozwodowa zniszczyła go. W całym Dreźnie skarżył się, że stracił małżeństwo i cały majątek przez rozwiązłą dziewczkę, która na dodatek podpaliła mu dom.

Natomiast Konstancja otrzymała w Wiedniu od cesarza Józefa I tytuł hrabiny von Cosel, który zapewniał jej status wyższy od każdego saskiego szlachcica, tak więc ci, którzy wcześniej uważali zadawanie się z baronową za poniżej ich godności, mając świadomość jej związków z cesarzem i królem, teraz wręcz ubiegali się o audiencję u niej. Na dodatek Konstancja uzyskała od Augusta umowę małżeńską jako druga żona („oficjalna konkubina”) zgodnie z którą król szedł „naszej ukochanej hrabinie” na wszelkie ustępstwa. Niemniej jednak umowa ta miała pozostać tajemnicą. Z tego względu Konstancja wysłała ów dokument, uprzednio po pięciokroć opieczętowany, do swojego kuzyna do Holsztynu. Jej oficjalne nazwisko brzmiało teraz hrabina von Cosel, ale jako kobieta wytworna i wykształcona kazała się nazywać La Comtessa de Cossell, co jednak brzmiało jak pseudonim. Ta dumna kobieta zdobyła wszystko, o czym marzyła jako mała dziewczynka w swym holsztyńskim domu.

Szczyście, do którego Konstancja dotarła tak wyboistą drogą, nie trwało jednak długo, a jej upadek i nieprzyjemne przebudzenie się z pięknego snu nastąpiły równie szybko, jak wcześniejszy społeczny awans i dotarcie na najwyższe szczyty.

215

Już po kilku tygodniach wojna północna, w której elektor saski i król Polski walczyli po stronie Piotra Wielkiego, wymusiła obecność Augusta w Polsce. La Comtessa odważnie podążyła za nim. Chciała podzielić się z królem wiadomością, że spodziewa się dziecka. Wygląda na to, że czegoś się domyślała, przeczuwała, że coś jest nie tak z jej Augustem. W każdym razie tuż po przybyciu do Warszawy dowiedziała się, że jej król tu, w dalekiej Polsce, kontynuuje swoje dwa stare romanse, a jedna z jego kochanek, Fatima, spodziewa się właśnie drugiego dziecka Augusta*.

Kobieta tak dumna jak Konstancja nie mogła przejść nad czymś takim do porządku dziennego. Za zamkniętymi drzwiami doszło między królem a hrabiną do głośnej kłótni oraz - jak donoszą wiarygodni świadkowie - nawet do rękoczynów. Konstancja nie miała zamiaru odgrywać roli trzeciej czy czwartej żony, uważała, że nie nadaje się nawet na drugą żonę, gdyż zgodziła się nią być tylko po to, by osiągnąć pozycję prawowitej małżonki.

W trakcie tych chłodnych zimowych dni w Warszawie hrabina po raz pierwszy musiała sobie uświadomić, że tego celu nigdy nie osiągnie, gdyż choć między kochankami doszło do pojednania, hrabina von Cosel wkrótce wyjechała z powrotem do Drezna. Tam urodziła martwe dziecko, chłopca.

Jak bardzo musiała cierpieć ta dumna kobieta, gdy doszły do niej słuchy, iż Fatima urodziła zdrową córkę, a druga kochanka króla, Urszula Bokum**, wydała na świat syna.

I choć stosunki między Konstancją a królem jakoś się ułożyły, hrabina stała się inną kobietą. Zaczęła pić alkohol oraz upajać się swoją władzą, chełpiła się bogactwem i upodobała sobie nową dla siebie rolę zimnej kobiety interesu i świetnego menedżera. Posiadała rozległe włości, własną

* Fatima, później Anna Maria von Spiegel - piękna Turczynka, wychowanka podskarżyny Przebendowskiej; jej dzieci ze związku z Augustem nosiły nazwisko Rutowski (starszy syn hrabia Fryderyk August został później feldmarszałkiem saskim).

* Urszula Katarzyna Bokum (Bockum), uważana za pierwszą oficjalną polską metresę Augusta Mocnego, żona wojewody krakowskiego Jerzego Dominika Lubomirskiego, kilka dni po urodzeniu królowi syna otrzymała od cesarza tytuł księżnej cieszyńskiej. Syn Urszuli i Augusta otrzymał imiona Jan Jerzy i został później gubernatorem Drezna.

216

agencję nieruchomości i hotel, a nawet próbowała swych sił jako bankier, przede wszystkim w związku z handlem na targach w Lipsku. Można odnieść wrażenie, że skoro nie mogła być tą jedyną w królewskim łóżu, chciała przynajmniej w ten sposób zademonstrować swoją władzę i wpływy.

24 lutego 1708 roku La Comtessa urodziła córkę i w celu wyeliminowania jakichkolwiek ewentualnych wątpliwości nadała małej hrabiance imiona Augusta Konstancja*. Rok później powiła kolejną córkę**. Ojciec dzieci i jego oficjalna konkubina stwarzali pozory szczęśliwych, jednak dworzanie od dawna szeptali po kątach, że jest zupełnie inaczej. Prawdziwej przyczyny nikt nie znał, lecz pod koniec 1708 roku było w Dreźnie tajemnicą poliszynela, iż związek między hrabiną a elektorem należy już tak naprawdę do przeszłości.

Tylko jedna osoba nie mogła w to uwierzyć. Była nią Konstancja. Buntowała się, nie odstępowała króla na krok, i żeby zawsze mieć czas dla Augusta, wysłała obie córki do swojej matki, ponadto wielokrotnie podążała za królem do Polski, gdzie szalała zaraza, i w związku z tymi zabiegami nie zauważyła lub zlekceważyła fakt, że jej wrogowie zwierają wokół niej swe szyki. Na ich czele stał hrabia Jakub Henryk von Flemming, szef gabinetu elektora w Dreźnie; władza hrabiny, która dopiero co uzyskała ten tytuł, od początku była mu solą w oku.

Flemming od dawna miał świadomość, że w bezpośredniej walce nie może równać się z hrabiną Cosel ani pod względem inteligencji, ani posiadanej władzy, natomiast jeśli chodzi o knucie intryg, szanse wydawały się wyrównane. Każdy, kto poznał bliżej Konstancję, odkrywał jednocześnie jej jedyny słaby punkt: dumę. A duma ta domagała się prawa wyłączności do Augusta Mocnego.

Gdy Konstancja ponownie leżała w połogu***, interesy polityczne wymagały obecności

Augusta w Polsce, a Flemming wykorzystał tę sytuację jako okazję do sfinalizowania swojej intrygi. Od dawna podjudzał polskich dworzan do buntowania się przeciwko saskiej metresie i popierania polskiej kochanki. Wybrał już nawet odpowiednią osobę, Marię Magda-

* Po mężu Friesen, zmarła w 1728 roku.

* Fryderykę Aleksandrę, zameżną z hrabią Moszyńskim, zm. 1784.

* W 1712 roku hrabina urodziła syna, Fryderyka Augusta von Cosel (zm. 1770).

217

lenę z Bielińskich, żonę hrabiego Denhoffa, hożą dziewczynę, która nie skończyła jeszcze dwudziestu lat. Flemming postarał się również o to, by o zdarzeniu, które pozwoliłoby mówić o związku między królem a Denhoffową, jak najszybciej dowiedziano się w Dreźnie. W swej intrydze minister posunął się nawet do cenzurowania korespondencji między hrabiną a królem, a niektóre listy wręcz zaginęły. Konstancja, która nauczyła się już walczyć o swoje, uzbrojona i w towarzystwie gotowej do walki drużyny wyruszyła do Warszawy.

W połowie drogi, w wiejskiej karczmie w pobliżu Wrocławia Konstancję zaskoczyła delegacja wysłana przez Augusta. Hrabina zagroziła, że zastrzeli każdego członka delegacji, jednak ostatecznie posłuchała młodszego szambelana dworu i podporucznika gwardii, którzy złożyli wiarygodne zapewnienie, iż życzeniem króla, a wręcz jego rozkazem jest, aby udała się z powrotem do Drezna. Konstancja spełniła wolę króla, ten jednakże do Drezna nie powrócił.

Do Konstancji docierały natomiast upokarzające pisemne polecenia z Warszawy. Najgorszym z nich, gdyż dla wszystkich jednoznacznym, był rozkaz rozpoczęcia rozbiórki wzniesionego dopiero przed kilku laty łącznika między pałacem hrabiny a rezydencją elektora. A pod koniec 1713 roku August przesłał z Polski rozkaz, by hrabinę Cosel oddalić z Drezna, gdyż wkrótce przybędzie tam wraz ze swoją polską metresą. Klucz do pałacu hrabina ma zostawić. Gdy Konstancja ujrzała zbierające się pod jej oknami wojsko, uświadomiła sobie, że jest w sytuacji bez wyjścia, i wyjechała do zamku Pillnitz, który otrzymała od Augusta w prezencie.

Tam jednak nie czuła się jak u siebie w domu. Czy Pillnitz można porównać z Dreznem? Niewiele myśląc, wyruszyła do Berlina. Sądziła, że w Prusach będzie się mogła czuć bezpieczna, chroniona przed saskim elektorem. Jednak pruscy urzędnicy obawiali się, że sprawa nabierze wymiaru politycznego. Tak więc hrabina udała się do Halle. Tam zwróciła uwagę pewnego młodego człowieka, barona Johanna von Loena, który w pamięci potomnych zapisał się nie jako pisarz, lecz dzięki swym rodzinnym koneksjom, był on bowiem bratem dziadka Johanna Wolfganga Goethego. W swych *Pismach drobnych zebranych* baron Loen donosi, co następuje: „Hrabinę Cosel widziałem jako student w Halle, dokąd uciekła jako wygnana z dworu kochanka króla. W całkowitej tajemnicy mieszkała u pewnego mieszczanina przy bocznej uliczce w pobliżu Domu Zabaw.

Niemal codzienne odwiedzałem swojego przyjaciela, który mieszkał tuż obok. Rozeszła się pogłoska, iż tam właśnie zatrzymała się żyjąca w ukryciu zagraniczna piękność. Studenci to bardzo wścibskie osoby. Widziałem ją kilkakrotnie, gdy zatopiona w myślach stała za oknem ze zwróconymi ku niebu oczami. Jednak gdy tylko uświadamiała sobie, że jest obserwowana, natychmiast wycofywała się w przestrachu. Poza ludźmi z naprzeciwna, którzy przynosili jej jedzenie, nie widywano tam nikogo, oprócz dobrze ubranego mężczyzny, wchodzącego i wychodzącego od niej, którego uważano za jej kochanka. Trudno o piękniejszą i bardziej wzniosłą postać. Trawiąca ją zgryzota nadała jej twarzy bladość, a należała ona do owych ciemnowłosych kobiet o sentymentalnej urodzie, miała wielkie, czarne i żywe oczy, jasną karnację, piękne usta i doskonale wyrzeźbiony nos. Cała jej postać była ujmująca i było w niej coś wielkiego i wzniosłego".

Drugiej żonie nie przysługują żadne prawa. Dotyczyło to również hrabiny von Cosel. By przejąć w posiadanie zawartą z nią umowę o konkubinacie, August wysłał do byłej kochanki swoich negocjatorów. Pierwszy z nich na zabój zakochał się w pięknej hrabinie, drugi bez ogródek stwierdził, że chce się z nią przespać, a wówczas będzie mogła liczyć na przyzwoite apanaże, w innym przypadku nie dostanie zupełnie nic. Nie posłuchała żadnego z nich.

Niespokojne było życie hrabiny na wygnaniu. Do Drezna nie wolno jej było powrócić, a niczego innego nie pragnęła bardziej. W zamian za zwrot umowy małżeńskiej August wyraził ostatecznie gotowość podpisania umowy rozwodowej, dającej hrabinie pewną posiadłość w Dreźnie, dokąd mogłaby powrócić pod warunkiem, że będzie schodzić elektorowi z drogi. Pałac i kosztowne podarki miała mu zwrócić.

Z początku Konstancja wyraziła zgodę, jednak po powrocie do Drezna uświadomiła sobie nagle, że umowa małżeńska z królem to jedyna gwarancja jej dalszego życia, i ociągała się przed wydaniem dokumentu. August Mocny dokładał wszelkich starań, by wejść w posiadanie umowy, lecz jednocześnie od osób, którym zlecił jej odnalezienie, wymagał największej dyskrecji, aby wydarzenia z przeszłości w żadnym razie nie przedostały się do opinii publicznej. Już sam fakt istnienia umowy małżeńskiej z hrabiną mógł elektorowi niezwykle zaszkodzić, nie wspominając o konsekwencjach ujawnienia jej treści.

I tak jak to często bywa, gdy los się od kogoś odwraca, na Konstancję von Cosel spadały kolejne ciosy. Została aresztowana, upodlona, zgwałco-

na, a na koniec doznała udaru mózgu, którego skutkiem był paraliż jednej strony ciała. W Wigilię 1716 roku hrabina von Cosel została przewieziona do twierdzy Stolpen, której, strzeżona przez cały garnizon, nigdy już miała nie opuścić.

Konstancja żyła w twierdzy Stolpen zupełnie odcięta od świata, nie wiedziała więc, że wysłannicy elektora odnaleźli zawartą przez nią z królem umowę o konkubinacie w archiwum jej rodziny w Drage. Po jej zniszczeniu August miał wolną rękę i mógł zrobić z Konstancją, co tylko chciał. I tak uczynił. Choć hrabina musiała ubierać się w stare połatanie suknie, wciąż była bogatą kobietą z majątkiem o wartości ponad pół miliona ta-

larów. Jednak August wiedział, jak krok po kroku przejmować w swe posiadanie majątek hrabiny.

Konstancja von Cosel prowadziła smutny żywot, a ponieważ coraz bardziej podupadała na zdrowiu, porzuciła nadzieję, że uda jej się jeszcze za życia opuścić twierdzę Stolpen. Cierpiała, a głównym powodem cierpień było to, jak potraktował ją August. Z listów oraz, nielicznych dokumentów skreślonych jej ręką można się dowiedzieć, iż kochała tego człowieka, pomimo jego zachowania; wygląda wręcz na to, że każde upokorzenie z jego strony jeszcze bardziej wzmacniało uczucie hrabiny do króla.

Po siedemnastu latach izolacji w twierdzy Stolpen, gdy Konstancja miała pięćdziesiąt dwa lata i cierpiała na rozmaite schorzenia, dostrzegła nagle nową szansę. August Mocny zmarł w wieku sześćdziesięciu lat na cukrzycę. Wreszcie wszystko dobrze się skończy, wierzyła Konstancja. Zachowywała się jak wdowa w żałobie i miała nadzieję, że następca tronu, najstarszy syn Augusta, elektor Fryderyk August II i jako August III król Polski, zakończy tę okrutną grę i uwolni ją. Ostatni raz spotkała Fryderyka, gdy był dzieckiem, więc liczyła na to, że ów liczący obecnie trzydzieści sześć lat władca nie żywi do niej żadnej urazy. Również jej wrogowie na dworze, których grono było kiedyś całkiem liczne, zdążyli w międzyczasie dokonać żywota.

Jednak elektor nie zgodził się uwolnić hrabiny; wprost przeciwnie, nawet zaostriżył jej izolację. Naród już dawno zapomniał o drugiej żonie jego ojca, a Fryderyk August obawiał się, że jej uwolnienie spowoduje, iż stare bolesne sprawy na nowo znajdą się na językach. W tym momencie nikt chyba nie uwierzyłby, że hrabina w swoim więzieniu przeżyje nawet syna Augusta Mocnego.

220

Ale co to było za życie! Pożar twierdzy czy zmieniający się pruscy i austriaccy okupanci wcale nie czynili życia na wygnaniu łatwiejszym do zniesienia. Niejednokrotnie zdarzyła się okazja ucieczki z więzienia, lecz dokąd Konstancja miałaby się udać? Miała już ponad osiemdziesiąt lat, mieszkała w spalonej, śmierdzącej komnacie na wieży w koszmarnych warunkach higienicznych, a przy sobie miała jedynie pachołka i dziewczkę.

W okolicach Stolpen od dawna nikt już nie wiedział, kim jest dziwna starucha mieszkająca w twierdzy i dlaczego tak naprawdę tam mieszka. Garnizon rozwiązano, a twierdzę raz opanowywały przyjazne wojska, innym razem wrogie, i w końcu nikt nie czuł się odpowiedzialny za osobliwego więźnia stanu.

Konstancja von Cosel również nie chciała już stamtąd wyjeżdżać, przecież większą część życia spędziła w tym właśnie miejscu. Nic nie łączyło jej z trójką dzieci, a większość czasu spędzała na religijnych urojeniach. W trakcie jednego z takich napadów zapisała cały pergamin, w beładnych słowach oddając się Bogu. Zgodnie z ostatnią wolą hrabiny po jej zgonie pergamin ten miał spocząć na jej piersi. I tak się stało.

Anna Konstancja hrabina von Cosel zmarła ostatniego dnia marca 1765 roku w twierdzy Stolpen, w której spędziła na wygnaniu czterdzieści dziewięć lat życia.

Tajemnica markizy de Pompadour

Mężczyźni przykładają ogromną wagę do pewnych spraw, a ja na nieszczęście mam tak chłodny temperament.

(Joanna Antonina [Jeanne-Antoinette], markiza de Pompadour,
kochanka Ludwika XV)

28

kwietnia 1745 roku Karol Wilhelm Le Normant d'Étioles powrócił do Paryża z podróży do Prowansji. Jego wspaniale brzmiące nazwisko łatwo może wprowadzić w błąd. Karol Wilhelm nie był bowiem nikim ważnym, jedynie zwykłym dzierżawcą, o którym do dziś nie wspomnieliby żaden almanach, gdyby cztery lata wcześniej się nie ożenił. Sławnym uczynił go jednakże nie sam ożenek, lecz kobieta, którą Le Normant poślubił. Przysporzyła mu ona wątpliwej sławy, gdyż do dziś uchodzi za głupca. (Zdradzani mężowie zawsze uważani są za głupców, natomiast kobiety w tej samej sytuacji darzone są sympatią i współczuciem).

Gdy więc ów Karol Wilhelm powrócił wspomnianego dnia do Hotel de Gesvres przy Rue Croix des Petit Chaps - gdzie mieściła się miejska siedziba owej pary, podczas gdy ich dworek Chateau d'Étioles położony był nieco dalej w lesie Senart - jego stryj Karol Franciszek Le Normant de Tournehem, dyrektor francuskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i szanowany mieszczanin (ale wciąż tylko mieszczanin, choćby nawet był właścicielem wspomnianej instytucji), przekazał mu ze wszelkich miar nieprzyjemną wiadomość o tym, że jego żona Joanna Antonina Le Normant d'Étioles, z domu Poisson, córka koniuszego Franciszka Poissona i jego żony Ludwiki Magdaleny Poisson, z domu de la Motte, właśnie go porzuciła. Opano-

222

wała ją potężna i nieodparta namiętność. Obiektem jej pożądania był nie byle kto, bo sam Ludwik XV, król Francji. Na tę wieść Karol Wilhelm Le Normant d'Étioles zareagował, tracąc przytomność.

Za taki przebieg powyższych wydarzeń ręczy diuk de Luynes, wytworny pan z otoczenia królowej Marii Leszczyńskiej, dla którego kłamstwo było równie obrzydliwe, jak widmo francuskiej rewolucji. Faktem jest, że Karol Wilhelm i Joanna Antonina od wzmiankowanego omdlenia nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Małżeństwo rozwiązano, a rozwód ów był wydarzeniem, o którym jeszcze w swoim testamencie owa piękna dama wspominała z niejaką dumą, choć zgodnie z prawem zamieniła status prawowitej małżonki na wątpliwą pozycję konkubiny, ponieważ Jego Królewska Mość był oczywiście żonaty.

Po stronie korzyści Joanna Antonina mogła natomiast zapisać 36 milionów liwrow (francuskiej jednostki monetarnej obowiązującej przed wprowadzeniem franka w 1795 roku) oraz tytuł markizy de Pompadour, który zapewnił jej nieśmiertelność, i to lepszą, niż uzyskało owych „czterdziestu nieśmiertelnych” (*les quarante Immortels*), wybranych

dożywotnio na członków Akademii Francuskiej, by dbali o czystość francuskiej mowy, którzy jednak w większości popadli w całkowite zapomnienie wkrótce po swojej śmierci.

Z pewnością 36 milionów liwrow na zaspokojenie prymitywnych instynktów to ogromna suma, jednak wojna siedmioletnia, która przyniosła Francji wątpliwy sukces, pochłonęła 1,3 miliarda liwrow, a nie zapewniła bodźców ani dla pożądlivosti Ludwika, ani dla kultury i sztuki jego epoki - co stanowi raczej dowód na bezsensowność zbrojnych konfliktów między mężczyznami o odmiennych poglądach. Błędem byłoby również ograniczanie roli markizy de Pompadour jedynie do życia miłosnego Ludwika XV, choć ich związek, jak wiele męsko-damskich relacji, zaczął się właśnie od tej sfery życia. Joanna Antonina Poisson, rozwiedziona z panem Le Normant d'Étioles, wyniesiona do godności markizy de Pompadour, stała się symbolem kochanki: kobiety namiętnej, mądrej i kosztownej.

Jednak namiętne, mądre i kosztowne były i inne kobiety, które próbowały swych sił jako słynne kochanki, czy raczej, mówiąc uczciwie, były jako kochanki wypróbowywane, gdyż w większości przypadków to mężczyzna odgrywa w takich związkach aktywną rolę. I tutaj, w przypadku Joanny Antoniny, od razu mamy do czynienia z pierwszym wyjątkiem od reguły. Ona nie czekała, aż obiekt jej pożądania zbliży się do niej, co byłoby zgod-

223

ne z ówczesną etykietą. Nie, sama zbliżyła się do niego, działając zgodnie z zasadą: nie ma nic bardziej wątpliwego niż dobra reputacja - ofiary, jakich od nas wymaga, znacznie przewyższają korzyści, jakie daje.

Życie u boku dzierzawcy, który od swojego stryja otrzymywał tak duże wsparcie finansowe, że pozwalało to złym językom twierdzić, iż jego hojność kieruje się raczej do pięknej żony bratanka-takie życie byłoby jak najbardziej odpowiednie dla panny Poisson, gdyż jeśli chodzi o jej pochodzenie, nie byłoby ono warte najmniejszej wzmianki, gdyby jej ojciec nie był podejrzanym typem. Franciszek Poisson był kupcem handlującym artykułami spożywczymi, zwłaszcza na potrzeby wojska, co było intratnym interesem, a przy okazji udało mu się zagospodarować ogromne kwoty dla siebie. Został za to skazany przez sąd na karę śmierci przez powieszenie, czego uniknął tylko dlatego, że uciekł do Niemiec, skąd ubiegał się o przywrócenie dobrego imienia.

Joanna Antonina dorastała więc bez ojca, co dla dziecka stanowiło źródło nieustających upokorzeń. Między innymi dlatego, że jej matka, Ludwika Magdalena, córka rzeźnika z Hotel Royal des Invalides, wykorzystwała ucieczkę męża jako pretekst do prowadzenia swobodnego i lekkomyślnego trybu życia. Plotkarze mieli pełne ręce roboty - zwłaszcza że ojcu Joanny Antoniny udało się doprowadzić do ponownego procesu i rewizji wyroku, co pozwoliło mu na powrót do Francji.

Madame Poisson była bardzo atrakcyjną kobietą, jednak jej urodzona w 1721 roku córka Joanna Antonina już we wczesnej młodości, jeszcze zanim stała się ozdobą króla, obdarzona była urodą, która zapierała dech w piersiach. Wyglądała jak dziewczę z obrazów Bouchera, Gainsborough czy Fragonarda. Wielu mężczyzn wspominało o najpiękniejszej istocie, jaką kiedykolwiek spotkali, podziwiali jej oczy o nieokreślonej barwie, jasną skórę, blond włosy i sposób bycia, „znajdujący się między pewnym

nieuchwytnym, ostatnim stopniem elegancji a pierwszym stopniem wykwinu". Pomimo nie najlepszego pochodzenia Joanna Antonina otrzymała doskonałe wykształcenie: pokory uczyła się w klasztorze sióstr urszulanek w Poissy, tańca i śpiewu u Pierre'a Jélyotte'a*, aktorstwa i sztuki pisania u Jeana Sauve**. Jednak obce były jej wszelkie formy pobożności czy mo-

* Ówczesna gwiazda Opery Paryskiej, śpiewak i kompozytor. ** Jean-Baptiste Sauve\ zwany de la Noue, francuski aktor i dramaturg z I połowy XVII w., autor około dziesięciu komedii.

224

ralnos'ci, co współczesny mademoiselle Poisson pisarz i historyk Charles Duclos skomentował następująco: „Francuzi to jedyny naród, którego zwyczaje mogą się zepsuć, a nie dotknie to głębi ich serc...”.

Wyjątkowe wykształcenie zawdzięczała Joanna Antonina przede wszystkim „stryjowi” de Tournehem, który wyszukał dla niej również męża, Karola Wilhelma Le Normant, bądź co bądź ze szlachty, choćby drobnej. Czy mógł się domyślać, że dwudziestoletnia narzeczona jego bratanka ma o wiele większe ambicje? Joanna Antonina wyszła za mąż bez oporów, umowa małżeńska zawarta 9 marca 1741 roku, a był to czwartek, regulowała wysokość posagu (120 tysięcy liwrow) oraz kwestie majątkowe. O miłos'ci w ogóle nie było mowy, w każdym razie na pewno nie ze strony Joanny Antoniny.

Pomimo to madame d'Etioles spełniała swoje małżeńskie obowiązki i po trzech i pół roku urodziła córkę Aleksandrynę*. Joanna Antonina, która miała wówczas dwadzieścia trzy lata, nie najlepiej czuła się w roli matki, bardziej ciągnęło ją do salonów literackich, takich jak salon madame Geoffrin, zwany wtedy „królestwem przy Rue Saint-Honoré”, gdzie mogła prowadzić błyskotliwe konwersacje, obcując z artystami i filozofami.

Głęboko w swym sercu piękna i mądra Joanna Antonina d'fitioles skrywała pewną tajemnicę, którą nosiła od dziewiątego roku życia i której poza rodzicami nie ujawniła nikomu, nawet mężowi, z obawy przed utratą wiarygodności lub staniem się pośmiewiskiem, jak kuglarz spod katedry Notre Dame. Pewna wróżka przepowiedziała dziewięciolatce, że kiedyś będzie się dzielić z inną kobietą królem. Od tej pory Joanny Antoniny nie opuszczała myśl, że pewnego dnia zostanie, jeśli nie morganatyczną małżonką**, to przynajmniej metresą króla Francji.

W grę wchodził tylko Ludwik XV, prawnuk Ludwika XIV, który od piątego (!) roku życia zasiadał na tronie, choć faktyczne rządy sprawował książę Filip II Orleański. Również jego słynny pradziad Król Słońce wstąpił

* Joanna Antonina urodziła wcześniej chłopca, który zmarł w niemowlęctwie. ** Małżeństwo morganaryczne - małżeństwo zawarte przez członka rodu królewskiego lub arystokratycznego z osobą stanu niższego, która przez ten związek nie zmienia swego stanu ani (wraz z dziećmi) nie dziedziczy tytułów, lenna itp. swego małżonka (takie małżeństwo zawarł na przykład pradziadek Ludwika XV, Ludwik XIV, z markizą de Maintenon).

na tron - z ulubionym kotem pod pachą - w wieku pięciu lat, natomiast rządy sprawowała jego matka. Ludwik XV był człowiekiem zamkniętym w sobie i zrównoważonym, a wręcz flegmatycznym. W swych działaniach kierował się raczej rozumem i rozsądkiem niż sercem i uczuciami.

To sprawiało, że miał pewne trudności w kontaktach z kobietami, i kto wie, jak ułożyłyby się stosunki Ludwika XV z niewiastami, gdyby nie jego pokojowiec Bachelier, który zawczasu rozpoznawał potrzeby swojego pana i wprowadzał do jego łóżca coraz to nowe zdobycze. Małżeństwo Ludwika z Marią Leszczyńską, córką zubożałego, prześladowanego i żyjącego we Francji na wygnaniu polskiego króla Stanisława Leszczyńskiego, było, oględnie mówiąc, związkiem z rozsądku, gdyż dokładny przegląd mniej więcej czterdziestu zdalnych na żonę księżniczek z arystokratycznych rodzin europejskich dał przerażający wynik: albo panny było lekko pomyłone, albo były protestantkami, albo były tak blisko spokrewnione z delfinem*, że rodziło to wielkie obawy co do zdrowia ich potencjalnego potomstwa. Takiego niebezpieczeństwa w przypadku Marii nie było, w związku z czym Ludwik musiał zaakceptować jej o siedem lat dłuższe doświadczenie życiowe oraz całkowity brak posagu.

Na dworze w Wersalu rozpowszechniano wiadomość - a w owych czasach w każdej pogłosce tkwiło jeszcze ziarno prawdy - iż podczas nocy poślubnej Ludwik siedmiokrotnie zaspokoił Marię, która odwdzięczyła się mężowi, rodząc bliźnięta**. Jednak Ludwik nie czuł się zaspokojony i brak satysfakcji kompensował sobie tak, jak robił to we wczesnej młodości, uczestnicząc w trwających tygodniami polowaniach z podchodu, podczas których nie ograniczał się tylko do młodych ptaków i zwierząt. Związek z Marią Leszczyńską, który zaczął się tak obiecująco (w ciągu dziesięciu lat królowa urodziła dziesięcioro dzieci***), z każdą chwilą coraz bardziej się rozluźniał, a głównym winowajcą takiego rozwoju wydarzeń wcale nie był Ludwik. To królowa, która dość już miała rodzenia dzieci, coraz częściej zamykała drzwi swojej sypialni, i to nie tylko w uroczystości wielkich świę-

* Tradycyjny tytuł następcy tronu francuskiego, od nazwy historycznej krainy Delfinat w południowo-wschodniej Francji. ** Były to dwie dziewczynki, w kolejnym roku urodziła się znowu dziewczynka i dopiero później, w 1733 r., następcą tronu Ludwik. *** W tym osiem dziewczynek (dwie zmarły w dzieciństwie) i dwóch synów (drugi syn, diuk D'Anjou zmarł w wieku trzech lat).

226

tych, jak czyniła zawsze, lecz z czasem także w dniu pomniejszych świętych, jak choćby Pankracy i Serwacy. Pewnego dnia Ludwik wpadł z tego powodu w taką wściekłość, że spytał pierwszą z brzegu pokojówkę, czy zechce się z nim przespać, co też się stało. Od tego momentu król zmienił front i skończyła się wierność, którą przysięgał swojej polskiej żonie i której dotąd dotrzymywał.

Zmiana, jaka zaszła w królu, bardzo odpowiadała jego byłemu opiekunowi, niemal dziewięćdziesięcioletniemu kardynałowi Andrć Hercule de Fleury. Nie cierpiał Marii Leszczyńskiej i od dawna obawiał się, że królowa, na którą starzec działał jak czerwona

płachta na byka, może ograniczyć jego wpływy. Ten cwany polityki i taktyk, który w młodości Ludwika kierował francuską polityką, doskonale wiedział, jak obrócić tę sytuację na swoją korzyść. Wyjaśnił Ludwikowi, że każdy porządny król Francji powinien mieć porządną metresę; kobietę, przy której będzie się mógł „wyżyć”, lecz która nie będzie go do niczego zobowiązywać. A wszystko to na chwałę Francji.

Oczywiście Fleury od dawna miał już na oku kobietę, która miała zapewnić królowi rozkosz: hrabinę de Mailly, córkę madame de Nesle, damy dworu królowej. Pierwsza randka owej mężatki z Ludwikiem XV zakończyła się podobnie jak dla Francji zakończyła się wojna o sukcesję hiszpańską, czyli przykrymi stratami, w każdym razie hrabina de Mailly skarżyła się kardynałowi rajfurowi, pytając, czy ktoś aby nie stroi sobie z niej żartów, gdyż przebieg spotkania stanowił dla niej obrazę. Na pytanie, czegóż to tak okropnego zażądał od pokrzywdzonej hrabiny Jego Królewska Mość i co się w ogóle wydarzyło, madame de Mailly odparła: „Właśnie nic”.

Kardynał słodkimi słowami próbował przekonać króla, Ludwik okazał się jednak niezwykle wstydlivy, co przemawiałoby za szczerością jego charakteru. Fleury usilnie błagał hrabinę de Mailly, by dla dobra Francji podjęła jednak jeszcze jedną próbę, tym razem okazując większą życzliwość. Hrabina de Mailly raczej nie należała do piękności, a odrzucenie przez króla oznaczałoby dla niej osobistą porażkę. Tak więc spróbowała po raz drugi, wykorzystując wszelkie sztuczki oraz wsparcie pokojowca Ba-cheliera, który później opisał, co wówczas się wydarzyło.

Hrabina de Mailly w wydekoltowanej sukni ozdobionej falbankami siedziała na sofie naprzeciwko króla i, podkasawszy spódnicę aż nad kolano, co w owych czasach stanowiło wręcz pornografię, jako że kobie-

227

ce łydki uważano wówczas za pierwszorzędowe cechy płciowe, trzasnęła podwiązką z różowego jedwabiu i wyczekująco patrzyła na Ludwika. Ten jednak zamiast o jej *dessous* rozprawiał o jakichś głupstwach, a ich potencjalny związek ponownie zakończyłby się tak samo jak wojna o hiszpańską sukcesję, gdyby Bachelier nie rzucił się do boju, najpierw zachwalając piękno biustu i ramion wytwornej damy - tak jak doradził mu wcześniej kardynał. Następnie w przyływie bohaterstwa oraz dlatego, że słowne zachęty na nic się nie zdały, chwycił króla od tyłu pod pachy i mocno popchnął w stronę szeroko otwartych ramion i ud hrabiny, co skończyło się silnym uściskiem owej pary, uniemożliwiającym Ludwikowi dalsze rozprawianie o błahostkach. Ludwik jakby obudził się z letargu, życie wstąpiło w jego członki i król zaczął konsumować Marię Annę de Mailly z taką siłą, że hrabina głośno wołała o pomoc, a gdy już było po wszystkim, dała wyraz swemu oburzeniu: „O, mon Dieu, Sire, gdybym wiedziała, że Jego Królewska Mość wezwał mnie w takim celu, z pewnością bym nie przyszła!”.

Maria Anna de Mailly miała zameżną siostrę, hrabinę de Vintimille*. Ta również zdobyła względy króla, a nawet urodziła mu syna, hrabiego de Luc, którego nazywano Pół-Ludwikiem (Demi-Louis) ze względu na niesamowite podobieństwo do króla. Obie damy zmarły jednak w odstępie kilku lat**. Wydarzenia te pobudziły nieco chorobliwą wyobraźnię Ludwika. Z przyjemnością odwiedzał cmentarze, a widząc grabarza kopiającego grób, wpadał w melancholię i dumiał nad śmiercią. Doradcy króla obawiali się, że Jego Królewska Mość cierpi na depresję, a ponieważ po niezwykle pobożnej małżonce trudno

było spodziewać się, że wzbudzi w królu na nowo ochotę do życia, rozpoczęli poszukiwania odpowiedniej kobiety, która objęłaby funkcję królewskiej kochanki. Akurat nadarzyła się świetna okazja, gdyż w związku ze ślubem delfina Ludwika Ferdynanda z hiszpańską infantką Marią Teresą Rafaelą odbywało się wiele bali, na które zapraszano najbardziej urodziwe i najbardziej chętne paryskie damy.

Madame d'Etioles, pomna przepowiedni wróżki Lebon, już wielokrotnie starała się pomóc swojemu szczęściu. Za każdym razem, gdy Ludwik bawił

* Hrabina de Mailly miała kilka sióstr, które po kolei stawały się kochankami Ludwika XV ** Pani de Yintemille zmarła właśnie podczas porodu Pół-Ludwika.

228

na polowaniu w lesie Senart, w uroczych toaletach przecinała królewską drogę, raz pieszo, raz konno, innym razem w faetonie, zawsze grzecznie go pozdrawiając i obdarzając pięknym uśmiechem. Król nie miał innego wyjścia i pewnego dnia zapytał w końcu, jak nazywa się owa piękna leśna nimfa. 28 lutego 1745 roku podczas balu w Hotel de Ville (czyli w paryskim ratuszu) Joanna Antonina dostrzegła swoją szansę. Przebrana za boginię łowów Dianę, w podkasaney sukni odsłaniającej jedno ramię, trzymała srebrny łuk i przez cały wieczór kierowała strzałę w stronę Ludwika, aż ten podszedł do niej i poprosił do tańca.

Podczas wspólnego tańca nie doszło jednak do niczego innego poza zażyłą konwersacją. Niemniej jednak Ludwik zaofiarował się odwiedzić piękną boginię łowów do domu swoim własnym powozem. Ciekawscy uczestnicy balu widzieli, jak król odjeżdża ze swą damą spod ratusza, jednak wczesnym rankiem powrócił do Wersalu sam, co wywołało ogólną konsternację, gdyż plotka o nowej miłości Jego Królewskiej Mości już dawno oczywiście dotarła do królewskiego pałacu. Następnego wieczoru król jadł kolację samotnie w swoich prywatnych apartamentach, co wszystkich dworzan doprowadziło niemal do rozpacz, ponieważ obawiali się silnego ataku depresji u swojego władcy. Dopiero gdy wczesnym rankiem dostrzeżono, jak przy bocznym wejściu jakaś zawoalowana dama wsiada do swojego powozu, wszystko w Wersalu powróciło do normy. Ludwik XV miał nową kochankę.

W rzeczywistości jeszcze długo do niczego między nimi nie doszło, gdyż bez względu na to, co wydarzyło się podczas wspomnianej kolacji, Ludwik dostrzegł w miłej skądinąd damie „pragnienie zaszczytów i pewne wyrachowanie”. Na kolejne zaproszenie na wspólny posiłek Joanna Antonina musiała na razie poczekać. Prawdopodobnie przyczynił się do tego również fakt, że madame d'Étioles była mieszczką, a nie księżną czy hrabiną, jak wszystkie dotychczasowe miłości Jego Królewskiej Mości. Joanna Antonina była jedynie „madame de”, *mon dieu*, jak pospolicie!

Będąc tak blisko osiągnięcia celu, owa „madame de” gotowa była użyć wszelkich sposobów, by swój związek z królem skierować na solidne tory. Bardzo pomocny był przy tym pokojowiec króla Binet, którzy przypadkowo był jednocześnie jej kuzynem.

Zdenerwowana madame d'Étioles wysłała do swego kuzyna Bineta list o następującej treści:

Do pana Bineta. Wielce się zdumiewam, iż nie otrzymałam odBridge'a (innego pokojowca) żadnej wiadomości; być może nie ma mi do przekazania nic miłego, i obaj chcecie oszczędzić mi przykrości. Jestem niemal gotowa oplakiwać popełnione głupstwo, lecz jeszcze nie potrafię go żałować. Co mówi Król? Czy wspomina o mnie? Czy nie pragnie mnie ujrzeć? Czy żywi do Waszej kuzynki choć trochę szacunku? Bardzo Was proszę, uwolnijcie mnie od tego okrutnego niepokoju, w którym żyję. Ach! Zaczynam dostrzegać, że ambicja to największa męka, szczególnie dla kobiecego serca. Chciałabym Was poprosić o radę w sprawie nowej próby, jaka przyszła mi do głowy, i będę Was potrzebować równie mocno, jak owego uczynnego księcia, który wciąż zapewnia mnie, że król się we mnie zakochał. Oczekuję Was obu. Moja mała Aleksan-dryna ściska Was z całego serca. Mam nadzieję, że będzie kiedyś mądrzejsza i szczęśliwszą kobietą niż jej matka. Ściskam Was, mój kochany kuzynie, nie omieszkaj mnie odwiedzić.

Wkrótce potem Binet pojawił się u swojej kuzynki i przyjął opracowany przez nią plan bitwy. Binet miał skierować rozmowę u króla na temat mieszczańskiego towarzystwa przy stole i przekazać królowi, że madame szaleńczo zakochała się w Jego Królewskiej Mości oraz podjęła decyzję o rozstaniu się z życiem. Choć pierwsza wiadomość nie poruszyła króla, druga wzbudziła jego zainteresowanie. Ostrożnie spytał, dlaczego madame umyśliła sobie zakończyć swe życie.

Binet odpowiedział, że jej mąż dowiedział się o błędzie, jaki popełniła jego małżonka, i zagroził, że ją porzuci. A ponieważ madame nie może oczekiwać najmniejszego objawu przychylności ani ze strony męża, ani ze strony ukochanego, dalsze życie nie ma dla niej żadnego sensu.

Sztuczka zadziałała. Ludwik zaprosił Joannę Antoninę jeszcze tego samego dnia, a był to 22 kwietnia 1745 roku, na wspólną kolację i tym razem nie omieszkał jednak zapoznać jej z ważnymi osobami ze swojego otoczenia, jak księżę Richelieu, Luxembourg czy madame de Bellefonds. Niespodziewanie madame d'Etioles na wszystkich wywarła dobre wrażenie, nie tyle ze względu na swą urodę, lecz raczej na umiejętności prowadzenia błyskotliwej konwersacji na każdy dowolny temat. A madame tym razem nie omieszkała podczas miłego sam na sam z królem zamienić „pragnienia zaszczytów i wyrachowanie” w „sympatię i czułość”. Usidliła Ludwika.

Najpierw udało się jej przekonać władcę, że Le Normant d'Étioles, mąż rogacz, dybie na jej życie. Nie było w tym wcale wiele przesady, gdyż

230

gdy Le Normant ocknął się z omdlenia, uzbroił się w pistolety i tylko dzięki interwencji stryja de Tournehems udało się zapobiec rozlewowi krwi.

Ludwik przeznaczył dla swojej nowej metresy apartament po zmarłej madame de Mailly*, który tajemnymi schodami połączony był z apartamentami króla, notabene tylko króla, gdyż królowa miała swoje własne pokoje, których, nawiasem mówiąc, żadne tajemne przejście nie łączyło z mieszkaniem jej małżonka.

W przeciwieństwie do wszystkich swoich poprzedniczek madame d'Étioles od początku wiedziała, że jeśli jej związek z królem ma być trwały, musi jakoś ułożyć swe stosunki z królową. A nie było to proste w przypadku tak religijnej kobiety jak Maria

Leszczyńska. Jednak na zupełnie bezbożnej madame d'Etioles polska świętoszkowata królowa wywarła duże wrażenie. Z jednego z listów Joanny Antoniny do przyjaciółki markizy de Bhgni-*Gdy jest na polowaniu, królowa spędza czas na modlitwach, to prawdziwa święta, a wielkość i marność świata już jej nie dotyczą. Chciałabym móc życzyć sobie, by to samo można było powiedzieć o mnie, gdyż świat jest mi niekiedy z całym tym swoim blaskiem i wszystkimi przyjemnościami tak wstrętnym, że chciałabym umrzeć. Jednak nie pragnę tego wystarczająco mocno. Wygląda to tak, jakbyśmy mieli dwie dusze, jedną, która chwali dobro, i drugą, która czyni zło.*

Jednako królowa przy całej swojej świętości ma jedną poważną wadę, która polega na tym, że mnie nienawidzi. Zdaje się, że w odniesieniu do mnie zapomina o nakazie, który zarówno królowe, jak i zwykłych ludzi zobowiązuje do miłowania bliźnich jak siebie samego. Dzięki Bogu, ja nie mam takiej wady. Miłuję i wielbię królową, gdyż jest cnotliwa, i życzyłabym sobie mieć dość serca, by kroczyć jej śladem...

Oczywiście madame d'Etioles nie miała na myśli zostania królową, była daleka od takich koncepcji, sugerowała raczej, że charakter Marii Leszczyńskiej godzien jest naśladowania. Oczywiście było to najzwyklejsze pochlebstwo, gdyż jeśli Joanna Antonina czegokolwiek nienawidziła, to właśnie pobożności. Wobec księży była niezwykle podejrzliwa, a tych stojących wyżej w kościelnej hierarchii darzyła wręcz pogardą. „Chciałabym” - napisała kiedyś do arcybiskupa Paryża - „by niektórzy prałaci, zamiast

* Księżna Chateauroux, ostatnia z czterech (spośród pięciu) siostr de Mailly, które kolejno były kochankami Ludwika XV.

231

uważać się za Ojców Kościoła i ogłaszać zarządzenia, przez które płonie Parlament, a naród czuje się wzgardzony, raczyli stanowić dla nas przykład umiarkowania, skromności i umiłowania pokoju. Wierzę, że karteczka od spowiedzi to rzecz przednia, jednak miłość jest jeszcze lepsza...”. Jezuita, jak sama otwarcie przyznawała, „najchętniej by ją wytepił”, a do sztambucha arcybiskupa wpisała następujące słowa: „Zanim pomyśli Pan o tym, że jest biskupem, niech Pan pamięta, że jest przede wszystkim poddanym”.

Otwarte odrzucenie Kościoła katolickiego oznaczało dla królewskiej konkubiny ogromne ryzyko i wymagało wielkiej pewności siebie i dużych wpływów, gdyż także sam Ludwik spełniał swe chrześcijańskie obowiązki, i nawet jeśli nie wynikało to z jego głębokiej wiary, to przynajmniej na zewnątrz sprawiał wrażenie, że jest władcą pobożnym. Ale dla Kościoła wpływy zawsze były ważniejsze niż moralność, w związku z czym mniej przeszkadzał mu fakt, że król Francji oprócz żony utrzymuje także konkubinę, niż to, że owa metresa otwarcie wypowiada się przeciwko szacownej instytucji. Niejednokrotnie więc podejmowano ze strony Kościoła próby zwalczania bezbożnej kochanki pobożnego króla, wszystkie jednak kończyły się fiaskiem.

W jednym z listów do swej powierniczki, hrabiny de Breze, z którą Joanna Antonina często wymieniała czułości („Niech Pani powie malarzowi van Loo, by nie zapomniał o tych dwóch małych dołeczkach, które tak zdobią Pani twarz, gdy się Pani uśmiecha. A także o tych różowych ustach, które tak chętnie całują, a tym bardziej o czułych i wzruszających oczach, które tak wspaniale mówią mi: „Kocham Panią”), Madame d'Etioles poskarżyła

się na jeden z takich właśnie zamachów na jej osobę:

Zawsze miałam wielu wrogów, teraz mam ich również wśród ludzi pobożnych, a są oni prawdopodobnie najgorszymi wrogami ze wszystkich. Pewien święty mąż, taki, co wygląda jak diabeł i najprawdopodobniej również serce ma diabelskie, stanął wczoraj na drodze, którą król powracał ze mszy. Uklękawszy, podał królowi pismo z prośbą, które ten swoim zwyczajem łaskawie przyjął i udał się do mojego pokoju, żeby je przeczytać. Finał listu był następujący: »Przekazuję Waszej Królewskiej Mości wiadomość od Boga, że jeśli Wasza metresa nie zostanie odesłana najszybciej, jak to możliwe, gniewna ręka Boga ukarze Wasze królestwo i Waszych poddanych za słabość ich władcy«. Taka bezczelność zasługuje na śmierć albo przynajmniej na wieczne więzienie. Jednak najlepszy z władców również tym razem udowodnił, że

232

zasługuje na to miano. Nakazał, by przyprowadzono owego wysłannika niebios, i powiedział mu tylko: „Mój przyjacielu, pójź, każ upuścić sobie krwi i przywróć ład w swej głowie; gdyż powiadam Ci, jako przedstawiciel zdrowego rozsądku, iż jesteś głupcem”.

Osobiście uważam, że nie był to żaden głupiec, lecz niebezpieczny hipokryta, którego przysłał nie Bóg lecz pewni ludzie, którymi gardzę i których się nie boję...

W innym miejscu madame d'Œtiales stwierdza, że szczerze miłuje religię, jednak coraz trudniej przychodzi jej miłowanie jej sług, zwłaszcza odkąd ich poznała.

Od początku łączył Ludwika i Joannę Antoninę układ szczególny, który różnił się od licznych innych związków, jakie nudziły się królowi już po kilku dniach czy tygodniach (a w sumie było ich około dwustu).

Jeszcze zanim mogło dojść do jakichkolwiek komplikacji na dworze, na którym obowiązywała surowa etykieta, Ludwik zapewnił swojej wybrance dwóch młodych nauczycieli, wręcz stworzonych do podzielenia się z nową metresą władcy swą wiedzą, umiejętnością zachowania się i odpowiednim sposobem bycia. Innymi słowy, Ludwik nie chciał się skompromitować, gdyby ze swoją nową kochanką pojawił się poza sypialnią.

Obawy Ludwika były dalece pozbawione podstaw, a nauczyciele, czyli markiz de Gontaut i opat de Bernis, przy takiej uczennicy mieli bardzo łatwe zadanie. Markiz, pochodzący ze starego arystokratycznego rodu, był jednym z najlepszych przyjaciół króla, do końca pozostał również wierny jego konkubinie. Opat de Bernis rzetelnie wyuczył się zawodu kaznodziei, jednak wykonywał go w równie ograniczonym stopniu, co niegdyś premier Fleury sprawował swój urząd kardynalski. Markiz i opat stanowili razem doskonałą parę, mogącą wprowadzić do wyższych sfer ową piękność, której jedyną wadą było mieszczańskie pochodzenie.

W ramach wojny o sukcesję austriacką spodziewano się kilku bitew, więc Ludwik XV wraz z delfinem Ludwikiem Ferdynandem wyruszył do Niderlandów. W międzyczasie (Ludwik szacował trwanie kampanii na cztery miesiące) Joanna Antonina powinna zostać przygotowana do swych przyszłych zadań. Król pisał do ukochanej namiętne listy; wysłał ich 80 w ciągu 60 dni. 11 lipca 1745 roku konny posłaniec króla przywiózł list zaadresowany następująco: „Markiza de Pompadour”. Chodziło o Joannę

Antoninę Le Normant d'Etioles. Ludwik XV wyniósł swą kochankę do godności szlacheckiej.

Jeśli ktokolwiek wątpił dotąd w poważne zamiary władcy, został właśnie wyprowadzony z błędu. Nadając jej tytuł szlachecki, Ludwik przekreślił mieszczańską przeszłość swojej konkubiny. Nic nie stało już na przeszkodzie romansowi króla.

To, że madame d'Étioles została akurat markizą de Pompadour, wynikało z czystego przypadku. Właśnie zmarł pewien stary opat, ostatni z pochodzącego z Limousin rodu. Królowi przysługiwało prawo przekazania komuś tytułu szlacheckiego wraz z herbem oraz aktu własności posiadłości ziemskiej Pompadour. Szczodrość Ludwika wynikała być może z jego charakteru, jednak bez wątpienia wpłynęła na nią także wygrana bitwa pod Fontenoy, w której Francuzi pokonali wojska angielskie, holenderskie i austriackie.

Jednym z pierwszych ważnych obowiązków urzędowych Ludwika po powrocie z pola bitwy we wrześniu 1745 roku było oficjalne przedstawienie metresy, markizy de Pompadour. W związku z poprzednimi konkubinami króla przyzwyczajono się już na dworze do pewnych ekscesów, oczekiwano więc, że podczas oficjalnego przedstawiania kochanki dojdzie do przykrych sytuacji, które na wiele tygodni zapewnią znudzonej skądinąd arystokracji temat do rozmów.

Jednak markiza de Pompadour, przedstawiana królowej, delfinowi, księżętom, księżniczkom oraz królewskiemu dworowi, nie dała najmniejszej okazji do obmowy. Nawet Maria Leszczyńska znalazła dla swej rywalki uprzejmie słowa, na które ta odpowiedziała głośno, by wszyscy usłyszeli i mogli przekazać dalej: „Madame, moim najgorętszym pragnieniem jest podobać się Wam!”. Następnie panie rozmawiały o wspólnej znajomej, madame de Sassenay.

Pomijając nieprzyjazne zachowanie delfina, który pokazał markizie język za jej plecami, Joanna Antonina już podczas swojego pierwszego oficjalnego wystąpienia na dworze zdobyła wiele sympatii, przynajmniej wśród panów.

Po swego rodzaju miesiącu miodowym w ulubionym zamku Ludwika w Choisy, gdzie życie toczyło się o wiele swobodniej niż w ogromnym Wersalu z tysiącami służących i tysiącami nakazów i zakazów (na królewskim dworze w Wersalu uregulowane było niemal wszystko, od sposobu

234

podnoszenia łyżki aż po ruch głowy przy powitaniu), konkubina króla rozpoczęła wykonywanie specjalnych zadań. Zasadniczo chodziło jej o to, by udowodnić swym krytykom oraz tym, którzy wciąż nie traktowali jej poważnie, że jest kimś więcej niż kochanką Jego Królewskiej Mości.

Królowa wiedziała, że nie może konkurować z markizą de Pompadour w łóżku - a być może była również całkiem rada, że oszczędzone jej będą awanse małżonka - tak więc unikała jakichkolwiek objawów zazdrości. Natomiast Joanna Antonina starała się nie pokazywać królowej, jak uległy jest wobec niej Ludwik, czym różniła się od wszystkich swoich poprzedniczek, zwłaszcza zmarłej księżnej Chateauroux, Marii Anny de Mailly-Nesle, która często w arogancki sposób traktowała królową z góry. I choć markiza miała wykwinny gust w kwestii mody (to jej wynalazkiem była

damska torebka), nie wahała się od czasu do czasu kopiować odświętnych strojów Marii Leszczyńskiej - drugie suknie dla drugiej żony.

Na dworze w Wersalu wszyscy zauważyli, że król traktuje swą małżonkę z większym szacunkiem, odkąd konkubina zaspokaja jego zmysły. Jednocześnie za każdym pojedynczym działaniem markizy kryła się zimna kalkulacja. Joanna Antonina zamierzała zbudować swoje stronnictwo i zaczęła od samej góry. Z osamotnioną królową łatwo było sobie poradzić, natomiast delfin stanowił prawdziwy problem. Ludwik junior nienawidził rywalki swej matki jak zarazy. W mniejszym stopniu wynikało to ze względów moralnych, gdyż wobec wcześniejszych kochanek spragnionego miłości ojca delfin był dość obojętny. Przekonujące wyjaśnienie jest następujące: następca tronu Ludwik Ferdynand kochał ową atrakcyjną kokotę, w każdym razie była ona bliższa jego ideałowi kobiety niż Maria Teresa Rafaela Hiszpańska, którą ojciec bezlitośnie wprowadził do łóża syna. Ludwik XV przejrzał swojego syna, gdy stwierdził: „Mój syn jest gnuśny, ma polski, żywy i zmienny charakter, jest pozbawiony smaku, a polowania i kobiety nic dla niego nie znaczą, ufa chyba swemu szczęściu, gdyby był na moim miejscu.

Faktem jest, że delfin wykorzystywał każdy sposób, by ośmieszyć markizę de Pompadour. Jednak nie był dla niej równorzędnym przeciwnikiem, w ogóle nie traktowała go poważnie, więc przy oficjalnych okazjach unikał wymiany z nią choćby jednego słowa. Po cóż jej delfin, gdy ma króla?

W roku 1747 markiza de Pompadour napisała do markizy de Saus-say, jednej ze swych powierniczek, list, w którym wyśmiewa się z następcy tronu i jego hiszpańskiej żony:

235

Jak podoba się Pani nowa delfina? Nie jest piękna, za to obdarzona rozumem i pewnymi zaletami oraz czymś, co podoba się jeszcze bardziej niż uroda. Jej książęcy małżonek jest zdecydowanie zbyt pobożny. Zobaczymy, czy uwolni go ona od tej choroby małych dusz, która z każdego władcy czyni prześladowcę, a z jego poddanych fanatyków. Nie znam żadnego wielkiego króla, który byłby pobożny. Nasz dobry Henryk IV z pewnością pobożny nie był. Kochajmy Boga i cnotę, pobożność zostawiając mnichom.

Delfina przywiozła ze sobą niemieckiego jezuitę. Nazywa się ojciec Crouss i jest jej spowiednikiem. To chyba najgłupsze i najbardziej prostoduszne stworzenie, jakie kiedykolwiek przybyło z niemieckiego kraju. Przy tym obdarza go ona ogromnym zaufaniem, a wszystko to sprawia, że obawiam się...

Nawet jeśli konkubina króla Francji musiała liczyć się z tym, że tego typu uwagi przedostaną się do wiadomości publicznej, mogła pozwolić sobie na złośliwości, a nawet zdobywała przez to sympatię, gdyż takie słowa odpowiadały duchowi epoki. W całej Francji, nie tylko na dworze w Wersalu, panował obyczaj, by spotykanym ludziom prawić komplementy, a zaraz potem podstawić im nogę.

Choć Joanna Antonina była teraz markizą de Pompadour, nie przeszkadzało jej to wspominać o swym mieszczańskim pochodzeniu, a czyniła to nawet w obecności króla. Jak pisał najlepszy królewski kronikarz owego okresu, diuk de Luynes, pycha była jej zupełnie obca i wszyscy w Wersalu uważali ją za niezwykle uprzejmą. Nie dość, że sama

o nikim nie mówiła złego słowa, to nie znosiła, gdy ktoś w jej obecności źle mówił o innych. Jeśli wywrotowe dworskie plotki docierały do jej uszu, nie wahała się żądać wyjaśnień od ich autora, bez względu na jego wiek czy pozycję.

Jedną z pierwszych osób, przeciwko którym markiza de Pompadour poprowadziła regularną prywatną wojnę, był stary hrabia Jean Frederic Phylipeaux de Maurepas. Maurepas, syn ministra Ludwika XIV i sam od dziesiątków lat pełniący funkcję ministra Jego Królewskiej Mości, należał do najbardziej zdecydowanych przeciwników Pompadour, choć był jednocześnie dobrym przyjacielem króla, którego znał od lat dziecięcych. Tuż po pojawieniu się kochanki Ludwika nazwał ją „dość pospolitą”, a później opisywał jako „Bourgeoise deplacée”, czyli mieszkankę na niewłaściwym miejscu. Powszechnie obawiano się jego ciętego języka, a ze względu na jego ogromny wpływ na króla nikt nie ważył się mu przeciwstawić.

236

Wygląda na to, że stary hrabia pozwolił sobie kiedyś na jakąś uszczypliwą uwagę na temat Ludwika i jego metresy, w każdym razie dotarła ona do uszu markizy. W związku z tym napisała do ministra ostry list następującej treści:

Słyszę, iż co dzień podczas swoich kolacyjek bawi się Pan nie tylko moim kosztem, co jest przecież błahostką, lecz również kosztem Waszego Pana, którego powinniście darzyć szacunkiem. Przy tym posługuje się Pan niesprawiedliwymi i nieprzyzwoitymi słowami, które nie uchodzą w Pana wieku i na Pańskim stanowisku. Gdyby atakował Pan tylko mnie, przebaczyłabym Panu i Panem gardziła, kiedy jednak jakiś człowiek, zapominając o swej naturze oraz swych obowiązkach, waży się obrażać najlepszego z władców, który ob-sypuje go zaszczytami i dobrodziejstwami, pozwoli Pan, że powiem mu, iż jest to niegodziwa podłość.

Pomimo całej krzywdy, jaką mi czynicie, nie będę niesprawiedliwa. Chętnie przyznam, że jest Pan dobrym ministrem i że dobrze służyliście Królowi. Nie powinniście jednak poprzestawać na dobrej służbie Królowi, gdyż wasza powinność oraz wdzięczność zobowiązują was do darzenia go szacunkiem. Nawet jeśli Król ma jakieś słabości, to nie Wy jesteście Jego sędzią, lecz on Waszym.

Wybaczcie mi to przypomnienie, które jest jednak warte o wiele więcej niż komplementy...

Trzeba było sporej porcji odwagi, by w taki sposób obsztorcować najstarszego i najbardziej wpływowego ministra Francji, jednak markiza dokładnie wiedziała, na ile może sobie pozwolić. Król zwracał się teraz do niej o radę nawet w sprawach politycznych i niejednym razem zdarzyło się, że w przypadku sprzecznych opinii Ludwik XV upominał Maurepasa: „Niech Pan robi to, czego żąda Madame!”.

Równie ostro, lecz zasadnie, markiza potraktowała ministra spraw zagranicznych i wojny hrabiego Marca Pierre'a d'Argensona. „Nie miłuję polityki” - pisała do owego wpływowego polityka w 1747 roku, czyli dwa lata po zamieszkaniu w Wersalu - jednak ze względu na swój niebywały los muszę się jej nauczyć, proszę więc Pana, by został Pan moim nauczycielem. Moim zdaniem nie potrzeba do tego niczego poza dużą dozą uczciwości i zdrowego rozsądku...”.

W pojętność Joanny Antoniny nie sposób wątpić. Już rok po owej prośbie o naukę

zwróciła się do ministra spraw zagranicznych i wojny z wyznaniem godnym męża stanu: „Ów nowy krok, jaki poczynił pruski król, podoba mi się, lecz nie dziwię się, swój interes rozumie on równie dobrze, co sztukę prowadzenia wojen. My również powinniśmy nauczyć się rozumieć swój interes. Przepowiadałam, że negocjacje ze Szwedami na nic się nie zdadzą, i moja przepowiednia sprawdziła się. Szwedzi, zyskawszy wolność, stracili swój honor. Dopóki byli niewolnikami swoich królów, pozostawali postrachem północy, odkąd są wolni, już nim nie są, co zdaje się potwierdzać, że wolność to potrawa, która nie każdemu żołądkowi pasuje. Nam również ona nie pasuje. Francuzi potrzebują władcy i są szczęśliwi, mając dobrego”.

Markiza de Pompadour nie tylko zajęła miejsce królowej Marii Leszczyńskiej; w podziw godny sposób zastąpiła również zmarłego kardynała, premiera i intryganta Andre Hercule'a de Fleury. Z charakterystyczną dla siebie energią i zdecydowaniem zaskakiwała nawet króla i sprawiła, że prawdziwe decyzje zaczęły być podejmowane nie w królewskim gabinecie, lecz w jej buduarze. Audiencje u Ludwika XV schodziły niekiedy na dalszy plan na korzyść audiencji udzielanych przez królewską konkubinę. Po co ktoś miałby rozmawiać z królem, jeśli wiadomo, że decyzje podejmuje pani Pompadour?

Gdyby Ludwik XV był silniejszym władcą, markiza de Pompadour nigdy nie zjednoczyłaby w swych rękach takiej władzy. Król Francji miał czterdzieści lat, czyli był w pełni sił, pozostał jednak flegmatyczny i leniwy, mało czym się interesował, nie lubił polityki i ograniczał się do oddawania się swym namiętnościom. Tak inteligentna kobieta jak Joanna Antonina de Pompadour doskonale wiedziała, że będzie mieć króla w ręku tak długo, jak długo będzie w stanie zaspokajać jego popędy.

Już po roku wspólnego życia markiza dostrzegła pierwsze oznaki znużenia, co napędziło jej słusznego strachu. Co robić? Markiza z pewnością nie była ową gorąckrwistą istotą, jaką opisywali niektórzy historiografowie. Była wyemancypowaną intelektualistką, dla której seks był jedynie środkiem do celu. Przeglądając jej listy, można odnieść wrażenie, że więcej sympatii miała dla kobiet i gołębi niż dla mężczyzn. Nie była kobietą fatalną, jak Lola Montez czy pani du Barry, nawet jeśli tak się wydawało. Joanna Antonina w głębi duszy pozostała chłodną i opanowaną kobietą, a każda seksualna ekstaza wymagała od niej pewnych umiejętności aktorskich.

238

Joanna Antonina skończyła trzydzieści pięć lat i obawiała się, że król może zamienić ją na młodszą kochankę. Jak wyznała kiedyś jednej z przyjaciółek, kobiety rozkwitają najczęściej już w wieku piętnastu lat, a potem ulegają stopniowemu rozkładowi. Jednak każda kobieta, a szczególnie metresa, zawsze będzie w stanie usunąć w cień młodość ciała za sprawą namiętności i wyrafinowania. A ponieważ czuła, że zaczyna jej brakować obu, uciekała się do wszelkiego rodzaju eliksirów i egzotycznych potraw, którym znachorzy przypisywali zdolność zwiększania libido.

Śniadanie markizy składało się z zaprawionej wanilią czekolady z ambrą oraz mocno

przyprawionych potraw, w południe jadła zupę z selera i mnóstwo trufli, wieczorem to samo, a w międzyczasie piła tajemniczy eliksir, który śmierdział przeokropnie, lecz za to miał być skuteczny. Jedynie dama dworu markizy, madame du Hausset, oraz jej przyjaciółka, księżna de Brancas, wiedziały o owej forsownej kuracji. Były również jedynymi osobami, którym madame de Pompadour przyznała się do swojego zmartwienia: „Mężczyźni przykładają wielką wagę do pewnych spraw, a ja na nieszczęście mam taki chłodny temperament”. Nie mogła przeboleć, że kiedyś podczas swej wieczornej wizyty Ludwik, nic nie zdziaławszy, zasnął na jej kanapie, a potem wyśmiewał się z niej, że jest zimna jak ryba*.

Przy podobnych okazjach Ludwik XV pokazywał innym damom drzwi, i zapewniwszy im piękną odprawę, odsyłał tam, skąd przybyły. Fakt, że tak się w przypadku markizy de Pompadour nie stało, pokazuje, jak mocno zdążyła wpleść się w życie króla. Metresa łagodziła skutki jego niezdecydowania i napadów melancholii oraz oszczędzała mu konieczności załatwiania mnóstwa spraw związanych ze sprawowaniem rządów. Madame de Pompadour sprawiała po prostu, że życie króla stawało się łatwiejsze.

Od kochanki króla wymagało to jednak ogromnego osobistego zaangażowania, graniczącego wręcz z samopoświęceniem. W przeciwieństwie do Ludwika XV wstawiała wczesnym rankiem i rzadko kładła się przed północą. Markiza de Pompadour jak w gorączce pędziła z jednego spotkania na drugie, od rozważania jednej decyzji do drugiej, by „w międzyczasie” być jeszcze do dyspozycji Jego Królewskiej Mości. Trudno się dziwić, że miała kilka poronień i że nie spełniło się jej najgorętsze pragnienie, by urodzić królowi dziecko.

* Pannieńskie nazwisko markizy Poisson znaczy po francusku „ryba”.

239

Jej córka z małżeństwa z Karolem Wilhelmem Le Normant d'Etioles, Aleksandryna, wychowywała się w klasztorze Wniebowstąpienia, który był czymś w rodzaju pensji dla dziewcząt z wyższych sfer. Już sam fakt, że ze swym trzyletnim dzieckiem obcowała głównie pisemnie, każe wątpić, czy miłość, o jakiej zapewniała dziewczynkę, była szczerą, czy też stanowiła jedynie utarty zwrot stosowany w sztuce epistolarnej. W tym kontekście jeszcze bardziej niezwykły jest następujący list skierowany do trzylatki:

Do Mademoiselle Aleksandryny. Jak się czujesz, mój kochany aniołku? Wszyscy mówią mi, że przyniesiesz swojej matce zaszczyt, a moje serce przekonuje mnie o tym samym. Twoje Panie są z Ciebie bardzo zadowolone, nie mogą nachwalić się twego rozumu i wdzięku. Dalej staraj się zasłużyć na ich czułą troskę i starania, jeśli pragniesz mi się podobać i z czasem zasłużyć sobie na szacunek. Przyjedź do mnie w najbliższy piątek ze swoją małą przyjaciółką, mademoiselle de Rossieres. Król kocha Cię jak swe własne córki i obdarzy Cię pieczytami. Często rozmawia ze mną o Tobie, nie wątpię, że kiedyś uczyni coś ważnego dla Twego dobra. Bądź zdrowa, moje drogie dziecko, troszcz się o swoje zdrowie i kochaj swą matkę, tak bardzo, jak ona Cię kocha.

W innym liście markiza napomina przy pewnej okazji swoją córkę, by była „łagodna, skromna i skłonna do rozmowy” (!). Widocznie dziecko przeżywało fazę buntu,

spowodowaną przez supermatkę, która nie znajdowała czasu dla Aleksandryny. Dobitnie wyjaśniła dziecku, że nie jest żadną księżniczką, nawet jeśli jest jak księżniczka wychowywana. „Los, który mnie wywyższył”, pouczała swoją córkę, „może się odmienić i uczynić ze mnie najniezwyklejszą z kobiet. W takim przypadku i ty i ja będziemy niczym”.

Obawa przed staniem się „niczym” pojawia się u markizy coraz częściej, staje się niemal jej fobią. Joanna Antonina próbowała zwalczyć ten strach coraz to nowymi pomysłami i zmysłowymi uciechami - nie tylko w łóżku króla, lecz również na jego dworze. Ludwik XV znał tylko jeden grzech: nudę. Dotychczas często dopadała go nagle i gwałtownie, prowadząc do głębokiej depresji. W efekcie oddawał się seksualnym ekscesom, które choć przynosiły krótkotrwałe ukojenie, nie mogły uleczyć go z owej nudy. Monotonia luksusu tak otepiła króla, że trudno było cymś go ucieszyć.

Po trzech latach „korzystania” z życia na dworze markiza sama doskonale rozumiała odczucia Ludwika w odniesieniu do nudy. Nie chodziło o to, że nie miała nic do roboty, lecz o to, że to, co robiła, nie sprawiało

240

jej żadnej lub jedynie niewielką przyjemność. Swojej powierniczce hrabinie de Noailles skarżyła się: „Jeśli chodzi o moją osobę, to jestem smutna i przekonana, że jeśli na tym świecie można znaleźć szczęście, to z pewnością nie należy go szukać na dworach. Zapewniają one tylko fałszywe przyjemności i fałszywych przyjaciół, którzy obdarzają cię uściskami, a potem dybią na twoje życie”.

„Widzę teraz” - wyznała Joanna Antonina markizie de Foutenailles - „że królowie płaczą tak samo jak inni ludzie. A ja sama często płaczę nad ambicją, która mnie tu doprowadziła i która wciąż mnie tu trzyma”. Następnie opowiedziała o afrykańskim kacyku, który utrzymywał 500 wariatów wyłącznie po to, by go rozśmieszali. Madame de Pompadour napisała dokładnie tak: „Ludwik XV ma 500 małp, które całymi dniami, odkąd tylko wstanie, kręcą się wokół niego, rzadko się jednak zdarza, by potrafiły go rozśmieszyć, król jest równie smutny i zatroskany jak ja”.

Blask, jakim Wersal świecił od stuleci, okazuje się fałszywy, w każdym razie również dworzanie i ministrowie potwierdzają, że w jego okazałej architekturze, pod kosztownymi żyrandolami, wśród cennych przedmiotów i tysiąca luster było raczej ponuro. Uroczystości i bale kostiumowe jedynie na krótko odpędzały królewską nudę i depresję. Aby Ludwik nie popadł w nabożność, a przez to nie dostał się pod wpływy duchowieństwa, markiza de Pompadour wymyślała coraz to nowe niespodzianki, które wydawały jej się odpowiednie dla poprawienia nastroju władcy.

W Choisy, niewielkim zamku położonym na południe od Paryża, spotykało się towarzystwo złożone z tuzina lub dwóch zaufanych osób króla i jego kochanki. Gromadzili się na luźnym przyjęciu, a gdy markiza klasnęła w dłonie lub dała znak do rozpoczęcia kolacji, w tajemniczy sposób otwierała się podłoga sali i z niższego piętra, migocząc świecami, wjeżdżał na górę bogato zastawiony stół z parującymi daniami.

W Crécy w pobliżu Dreux markiza urządziła mały pałacyk, w którym najlepsi rzeźbiarze, malarze i architekci wewnątrz mogli wykazać się pełnią swych talentów. Markiza znana była z dobrego smaku i posuwała się nawet do tego, że na wieczornych przyjęciach w „Cabinet d'assemblée” obowiązywał specjalny, niepowtarzalny kodeks ubraniowy. Aby

nie psuć harmonii barw w lśniącym od luster, dzieł sztuki i bordiur przybytku, markiza de Pompadour wymagała od wszystkich zaproszonych gości przybycia w „stroju Crécy”, czyli panowie mieli być we frakach, a panie w wieczor-

241

rowych sukniach, które musiały być uszyte przez wybranego luksusowego krawca z zielonego aksamitu i ozdobione złotym haftem.

W swym Petit Chateau, kolejnym pałacu rozkoszy położonym pomiędzy Wersalem a Saint-Cloud, Joanna Antonina urządziła przyjęcia z zabawami w pasterzy i pasterki, które znamy z obrazów Bouchera, czyli z ruchomymi scenami ze świata baśni i mitów, podczas których występowali goście w skąpych odzieniach, jak na przykład młody książę d'Ayen czy sama markiza, odgrywając role Pana i Nimfy.

Od dzieciństwa Joanna Antonina przepadała za teatrem. Otrzymała doskonałe wykształcenie aktorskie, występowała w teatrze w Ctioules, a lekcji tańca i śpiewu udzielał jej nie kto inny, jak sam Pierre Jélyotte z Komedii Francuskiej. Za zgodą króla urządziła nawet mały intymny teatrzyk w "Wersalu, w którym było więcej miejsca dla aktorów, muzyków i śpiewaków niż dla widzów. Na całym parterze było tylko czternaście miejsc. Na scenę przebudowano rzadko używaną salę przy Gabinecie Medali, która była nawet połączona z Małymi Apartamentami króla, owymi tajemniczymi komnatami, w których Ludwik XV oddawał się swoim miłośnikom. Scenografię dla teatru namalował sam Francois Boucher. Najbardziej pikantnym szczegółem dotyczącym owej instytucji był jednak balet, składający się z najpiękniejszych dziewczynek z Paryża, w wieku od dziewięciu do trzynastu lat. Po osiągnięciu tego wieku markiza odstawiała je do baletu w Operze Paryskiej.

Markiza grała zwykle główne role w wystawianych spektaklach - przede wszystkim odgrywano komedie takie jak *Świętoszek* Moliere lub mało wymagające sztuki pod tytułem *Matka kochanka* czy *Szacowny ojciec*. Ludwik XV raczej nie lubił oper i dramatów. Markiza de Pompadour bez żadnych skrępowań mogła pozwolić sobie na wynajęcie do swojego teatrzyku najlepszych aktorów Francji i czasem tak robiła, jednak o wiele bardziej pociągająca okazała się idea obsadzania aktorów amatorów z kręgów arystokratycznych w rolach o tyle dwuznacznych, iż miały zwykle jakieś odniesienie do życia danego aktora.

Można by pomyśleć, że madame de Pompadour miała trudności ze znalezieniem chętnych do wystąpienia w jej prywatnym teatrze. W rzeczywistości było ich tak wielu, że wręcz odsyłała niezdatnych tumanów, takich jak książę de Chartres, który możliwość towarzyszenia na scenie konkubinie króla poczytywałby sobie za ogromny zaszczyt. Na zaproszeniach widniały

242

wielkie nazwiska takich osób, jak przyjaciółka Joanny Antoniny, księżna de Brancas, markiza de Liory, hrabina d'Estrades, madame de Marchais czy hrabia Maillebois, markiz d'Entraigues i książęta de Duras, de Nivernois, d'Ayen i de Coigny. Funkcję dyrektora teatru markizy sprawował książę de la Valliere, a ojciec de la Gardę, bibliotekarz Joanny Antoniny, pełnił rolę suflera. Wytworne towarzystwo pchało się na

scenę teatru markizy z dwóch powodów: można było wkras'ć się w łaski wszechwładnej królewskiej metresy, a jednocześnie przypomnieć się samemu królowi.

Sumy, jakie wydawano na ów mały teatrzyk, wielokrotnie przewyższały koszty związane z działaniem Opery Paryskiej, ponieważ podczas gdy na wszystkich scenach świata używano kostiumów teatralnych i sztucznej biżuterii, markiza de Pompadour niezmiernie dbała o oryginalność: kostiumy pochodziły z rąk najlepszych krawców (nie wspominając o tym, że były szyte z najkosztowniejszych tkanin), a za (prawdziwą) biżuterię odpowiadali najbardziej renomowani paryscy kupcy, przede wszystkim Lazare Duvaux, ulubiony dostawca Joanny Antoniny. Markiza uwielbiała błyszczące złoto i lśniące klejnoty, gustowała w lampach ze szlifowanych luster i kryształu, a porcelana nie była dla niej po prostu materiałem, lecz niemal filozofią.

Duvaux, dla którego pracowali najlepsi jubilerzy i producenci, nie był w stanie zapewnić wystarczającej ilości precjozów, by zaspokoić zapotrzebowanie markizy de Pompadour, gdyż poza bieżącymi potrzebami kolekcjonowała ona oprócz obrazów również biżuterię. Nikt, nawet król, nie wiedział, ile Joanna Antonina wydaje na biżuterię i kosztowne przedmioty ze złota, i tylko dzięki przypadkowi możemy dowiedzieć się czegoś o niektórych wyjątkowych precjozach, a mianowicie o kolekcji bransolet, pierścionków i pieczętek zdobionych ciętymi klejnotami, które królewska metresa podarowała w swym testamencie królowi, by wzbogacić jego kolekcję szlachetnych kamieni.

Zgodnie z owym dokumentem markiz de Soubis otrzymał pierścień z ogromnym błękitnym diamentem oraz inny pierścień z ciętym kamieniem przedstawiającym „Przyjaźń”, wysadzaną diamentami skrzynkę z podobizną córki markizy, Aleksandryny, otrzymała madame de Roure, marszałkowa de Mirepoix dostała zdobiony diamentami zegar, madame de Chateaubriand wysadzaną diamentami puszkę z portretem króla; srebrna, również wysadzana diamentami puszka przeznaczona była dla księżnej de Choiseul, a jeszcze inna z diamentowym motylem dla księżnej de Gramont.

243

Ponieważ tak bardzo mu się podobały, książę de Gontaut otrzymał puszkę z karneolu oraz pierścień z różowych i białych diamentów ze spletanym zielonym węzłem, a madame d'Amblimont przypadł szmaragdowy klejnot. Z uwagi na to, że markiza de Pompadour ów dopisek do testamentu podyktowała jeszcze w dniu swojej śmierci, można przyjąć, że wymienione powyżej dzieła sztuki jubilerskiej nie były tymi najcenniejszymi.

Rzut oka na księgi Lazare'a Duvaux, sprzedawcy biżuterii, pokazuje, jakie kwoty markiza wydawała na „drobiazgi”:

23 stycznia: dla markizy de Pompadour. żyrandol z czeskiego kryształu, w formie liry z ośmioma ramionami

27 stycznia: zapalniczka z pozlacanego brązu, z przedstawieniem kury i gołębi, postaci pozlacane; komplet szufelek i szczypców do pokoju kąpielowego

29 stycznia: od markizy de Pompadour otrzymano zamówienie na Collinsa dla pana de Montmartel, któremu przekazano pokwitowanie na sumę 9 marca: porcelanowy ażurowy wazon antyczny, z dekoracją z pozlacanego brązu

25 kwietnia: grupa z miśnieńskiej porcelany, zatytułowana „Lato i jesień”, na pozlacanym

tarasie, ozdobiona czterema figurkami na rogach oraz girlandą z porcelanowych kwiatów z Vincennes 5 maja: mała emaliowana skrzynka z czarno-brązo-wym żyłkowaniem, z wygrawerowanym wewnątrz i na zewnątrz złotym zdobieniem 8 maja: neseser z agatu wraz z zawartością, przybory zdobione złotem*

pokryty złotem kryształowy flakon ze złotym zamknięciem

dwa jajka z jaspisu i agatu, zdobione cyzelowanym złotem, po 168 franków sztuka

550 franków

726 franków

9000 franków 480 franków

720 franków

372 franki 408 franków 168 franków 336 franków

244

* Manufaktura porcelany, słynąca z porcelanowych kwiatów doskonale naśladowujących naturę, którą markiza wraz z królem kupiła i przeniosła do Sevres w pobliżu Bellevue, gdzie tak dobrze prosperowała pod jej kierownictwem i dzięki wysokim nakładom ze strony króla, że jej wytwory zaczęły dorównywać miśnieńskim.

cztery małe złote klatki, każda z ptaszkiem z emalii,

po 60 franków sztuka

240 franków

7 czerwca: żyrandol w formie fontanny, malowany i po

zlacany, z sześcioma ramionami i figurkami z miśnień

skiej porcelany oraz piramidą z kryształu górskiego, bo

gato zdobiony porcelanowymi kwiatami z Vincennes 1260 franków

„Teatr Małych Apartamentów” wkrótce okazał się zbyt mały na coraz kosztowniejsze produkcje teatralne markizy. Po 122 przedstawieniach Joanna Antonina kazała przebudować wielkie Schody Ambasadorów i sąsiadujące z nimi sale w północnym skrzydle Wersalu na większy teatr z ruchomą sceną. Przebudowa pochłonęła 75 tysięcy franków, lecz w porównaniu z rocznymi kosztami utrzymania w wysokości 500 tysięcy franków stanowiła całkiem niedrogi przedsięwzięcie. Jednak również ten teatr jedynie przez krótki okres spełniał wymogi markizy de Pompadour. W nowym budynku swojego pałacu Bellevue, położonego pomiędzy Sevres a Meudon, kochanka króla umyśliła sobie urządzenie trzeciego teatru.

Bellevue było poza tym jedynym pałacem, który markiza sama zbudowała. Madame de Pompadour znajdowała szczególne upodobanie w nabywaniu starych domów i pałaców, a następnie odnawianiu ich podług własnego gustu, co, nawiasem mówiąc, wychodziło owym nieruchomościom na dobre, gdyż dzięki przebudowie wielokrotnie zwiększały swą wartość. W ten sposób nabyła co najmniej dwanaście nieruchomości, za które król zapłacił częściowo ze skarbu państwa, częściowo ze swej prywatnej kiesy, co nie przeszkadzało markizie - jak w przypadku pałacu Bellevue - sprzedawać je następnie królowi za gotówkę*.

Zaczynała skromnie. Najpierw nabyła dworek w Crécy, potem willę w Montretout, następnie pałac La Celle. Z listu do księżnej de Lutzelburg z 27 lutego 1749 roku: „Sądzi Pani, iż już nie podróżujemy, myli się Pani, nieustannie jesteśmy w drodze. Choisy, La Muette, Petit Chateau oraz pewna tajemna kryjówka w pobliżu treliazu w Wersalu, gdzie spędzam połowę życia...”. To trzy kolejne siedziby. „Tajemna kryjówka” to Eremi-

* Pałac w Bellevue markiza sprzedała królowi za równowartość dziesiątej części kosztów, jakie poniosła na jego urządzenie. Pałac został całkowicie zniszczony podczas rewolucji francuskiej.

245

tage, jednopiętrowy pawilon ogrodowy „o długości ośmiu sążni i szerokości pięciu”. Kilka miesięcy później markiza pisała do tej samej damy: „Król podarował mi mieszkanie pana i pani de Penthievre, które będzie dla mnie bardzo wygodne...”. Ale to i tak nie wystarczyło.

Mniej więcej w tym samym czasie markiza nabyła w pobliżu Tuileries miejski pałac hrabiego d'Evreux, który dziś bardziej znany jest pod nazwą Pałac Elizejski. Nie bez dumy pisała do hrabiny de Brezė: „Czy wie Pani, że kupiłam Hotel d'Evreux? Przecież muszę mieć w Paryżu jakiś dom. Jednak zamierzam go zburzyć i postawić nowy pałac, który bardziej odpowiadałby mojemu gustowi. Wszyscy mówią, że budowanie to głupota. A ja wielce pochwalam ową rzekomą głupotę, która tak wielu biednym ludziom daje okazję do zarobku. Nie znajduję żadnej przyjemności w trzymaniu złota w skrzyniach, wolę dawać je ludziom. Jestem przekonana, że myśli Pani tak samo jak ja. Proszę pozwolić mi się kochać, a gardzić podłością i zawiścią”.

Mania markizy de Pompadour kupowania i budowania denerwowała paryżan. Swemu wzburzeniu dali wyraz, gdy rzemieślnicy markizy rozpoczęli skuwanie napisu „Hotel d'Evreux”, aby zastąpić go nowym napisem „Hotel de Pompadour”. Stało się tak, ponieważ Ludwik XV w celu powiększenia parku na tyłach pałacu Evreux o połowę zmniejszył ogólnie dostępny teren. Niewiele brakowało, by tłum zlinczował robotników budowlanych. Spokój musiało przywracać wojsko.

Do równie niebezpiecznej sytuacji doszło podczas uroczystego otwarcia pałacu Bellevue, dzieła architekta Pierre'a Lassuranc'a. Oddaniu do użytku tej okazałej budowli położonej na stromym brzegu Sekwany towarzyszyć miał wielki pokaz sztucznych ogni. Jednak zanim pirotechnicy sięgnęli po lonty, konni wysłannicy policji donieśli, iż na przeciwległym brzegu rzeki zgromadziły się tysiące zbuntowanych mieszczan, a prefekt policji zalecił, by pokazem sztucznych ogni nie prowokować owego

tlumu jeszcze bardziej. I tak do nocnego pokazu nie doszło.

Trzy kolejne posiadłości markizy de Pompadour ledwo warte są wspomnienia: stadnina Saint Quen, należąca do księcia de Gesvres, pałac Champs, należący do księcia de la Valliere, oraz pałac Menars, w którym mieszkała tylko dwa razy przez kilka dni.

Jeśli mielibyśmy znaleźć jedną cechę, która oddałaby charakter markizy de Pompadour, to byłoby nią *nienasycenie*. Markiza była nienasycona, zarów-

246

no w odniesieniu do bogactwa, jak i społecznego uznania, władzy, podziwu, urody czy luksusu. Jej nienasycenie nie dotyczyło jedynie tego, czego właśnie można by oczekiwać po metresie kochliwego króla - miłości.

I właśnie to wprawiało ową chłodną i kierującą się rozumem kobietę w ciągły niepokój. Wiedziała, jak król obchodzi się z kochankami, które go nudzą. W międzyczasie dowiedziała się także, jak król postępuje z kochankami, które rodzą jego dzieci. Już narodziny *jednego* bękarta wystarczały, by całkowicie odebrać mu ochotę na daną kobietę. Ludwik XV nie mógł dowiedzieć się, że markiza de Pompadour i konkubina króla podczas swego z nim związku zaszła w ciążę przynajmniej trzykrotnie. Księżę de Luynes, dworzanin królowej, pisał 2 kwietnia 1749 roku, czyli po czterech latach od początku romansu Joanny Antoniny z królem: „Od dwóch czy trzech dni madame de Pompadour jest niedysponowana. Nie widuje się jej. Dziś dowiedziałem się, że poroniła. Jak mnie zapewniono, jest to co najmniej trzecie poronienie, jakie wywołała, odkąd jest w Wersalu”.

W swym nienasyceniu kochanka króla dochodziła więc do granic wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Skutek: w wieku trzydziestu pięciu lat Joanna Antonina zaczęła się starzeć w zastraszającym tempie. A każdego dnia, patrząc w lustro, dostrzegała, jak zbliża się jej koniec na dworze króla Francji. Jej cera była blada, a skóra wiotka. Markiza wychudła. Jej piersi, których uroda znana była na całym świecie, poddały się nieubłaganej sile ciężenia. Cierpiała na częste omdlenia. Potrzeba było wszelkiego rodzaju pudrów i barwników, by ukryć ciemne kręgi pod jej oczami. Jednak Franciszek Bo-ucher i Carle van Loo wciąż malowali ją w taki sposób, by odpowiadała idealnemu wizerunkowi w oczach króla. Joanna Antonina nie była głupia i wiedziała, jaka jest prawda, co tym bardziej wpędzało ją w depresję.

W 1754 roku pisała do Gabrieli d'Estrées, żony z pozoru ordynarnego marszałka d'Estrées, który ze swoją Grand Armée pokonał Niemców: „Coraz wyraźniej dostrzegam, że los króla i znakomitości jest tak naprawdę bardzo smutny, i myślę, że taki stajenny jest szczęśliwszy od swego pana. Jakże drogo trzeba opłacać przepych, zaszczyty i te wszystkie wspaniałe drobnostki, których w swej głupocie zazdrości motłoch! Jeśli o mnie chodzi, to muszę przyznać, że odkąd tu jestem, nie przeżyłam nawet sześciu przyjemnych chwil...”. Najświetniejsze towarzystwo, kontynuuje markiza, wywołuje u niej bóle głowy i - jak król - odczuwa podczas rozmaitych uroczystości jedynie nudę. Poza tym doszła do wniosku, że próżność szczęścia nie daje.

To zdumiewający pogląd, jak na markizę de Pompadour, która pierwszy raz w życiu zaczęła się zastanawiać nad znaczeniem wiary i Kościoła, dochodząc do następującego wniosku: „Nie mogę uwierzyć, że te wasze karteczki od spowiedzi są takie niezbędne, ani w to, że Bóg miałby odrzucić uczciwego człowieka, który umiera bez waszych zezwoleń”. Markiza, na którą każda sutanna działała jak czerwona płachta na byka, od tej pory coraz więcej czasu poświęcała kwestiom religijnym. Jakby przeczuwała, że zostało jej już niewiele życia.

Prawdopodobnie strach przed śmiercią również stanowił przyczynę nienasyceń i ciągłego niepokoju markizy. W każdym razie wszystko, za co się brała, musiała robić szybko. Chorowała na samą myśl, że cokolwiek miałyby odłożyć na później. Była w takich sytuacjach bezradna, gdyż po prostu nie umiała sobie wyobrazić, że kiedyś będzie stara. Madame de Pompadour w wieku sześćdziesięciu pięciu lat? Joanna Antonina należała do tych kobiet, którym wydaje się, iż posiadły wieczną młodość, co sprawia, że niczego nie obawiają się tak bardzo jak starości. Podobnie jak w przypadku królowej Prus Ludwika, jedyny wizerunek, jaki pozostał po markizie de Pompadour, to obraz młodej i pięknej kobiety. Po to torturowała swoje ciało, po to poddawała się czasochłonnym kosmetycznym zabiegom.

Jednocześnie królewska konkubina osiągnęła szczyt swojej władzy (była nie tylko potężniejsza od królowej; pod pewnymi względami górowała nawet nad Ludwikiem XV). Mogła rządzić, jak chciała, pociągała za wszystkie sznurki, nawet w zakresie decyzji politycznych, tak więc wiele podań kierowano już nie do króla, lecz bezpośrednio do niej. Markiza dostrzegała pewną drobną skazę jedynie w odniesieniu do swojej pozycji towarzyskiej. Wiązało się to z jej poprzedniczką Marią Anną de Mailly-Nesle, księżną de Chateauroux. Joanna Antonina również chciała zostać księżną.

Król bez zwłoki spełnił jej życzenie i 12 października 1752 roku wyniósł swą konkubinę do godności księżnej. Tytuł ten wyróżnił panią de Pompadour wśród wszystkich innych dam dworu, a w związku z nim przysługiwała jej własna świta, własna okratowana loża w Operze, jaką posiadał tylko król, własna empora w kościele oraz własne audyencje, podczas których chwaliła i ganiła francuskich ministrów, jak surowa nauczycielka swoich uczniów. Pominąwszy panów Richelieu, d'Argensona i Maurepasa, nikt nigdy nie ważył się jej sprzeciwić. W każdym razie nie twarzą w twarz.

248

Jednak za swymi plecami księżna miała coraz więcej wrogów. Posługiwała się pluralis majestatis, królewskim zaimkiem *my*. „Zobaczmy” - zwykła była mawiać, odrzucając podania (skierowane do króla). Przyjęło się, że decydowała o losie wszystkich podań i próśb. Flegmatycznemu Ludwikowi XV całkowicie to odpowiadało.

Niekoronowana królowa przejmowała coraz więcej zadań premiera, mając tę przewagę, że nie rozliczał jej z nich ani król, ani jego rząd. Ze szczególnym upodobaniem pociągała za sznurki w kręgach paryskiej fi-nansjery, gdzie niepodzielnie rządzili bracia Joseph Paris-Duverney i Jean Paris-Montmartel.

Franciszek Poisson, ojciec madame de Pompadour, pełnił niegdyś funkcję zarządcy u braci Paris, a obecnie, dzięki wpływom swojej córki, prowadził spokojny żywot

właściciela ziemskiego. Miał przy tym wystarczająco wiele czasu, by zastanawiać się, czy rzeczywiście to on jest ojcem Joanny Antoniny, a nie Joseph Paris-Duverney, jak twierdzili pewni „przyjaciele”, którzy mieli dobrze znać panią Ludwikę Magdalene Poisson, z domu de la Motte. Fakt, że brat Josepha, Jean Paris-Montmartel, był ojcem chrzestnym Joanny Antoniny, mógł potwierdzać te przypuszczenia, ale w końcu były to tylko plotki.

Bracia Paris - w sumie było ich czterech, lecz dwaj pozostali rzadko pojawiają się na kartach historii - byli niewyobrażalnie bogaci. Mogli pozwolić sobie na to, by odrzucać ministerialne stanowiska, które Ludwik XV wielokrotnie im proponował.

By poprawić swoją kiepską opinię w arystokratycznych kręgach, markiza de Pompadour (tytuł księżnej, choć prawowicie nadany, nie przyjął się) zajęła się działalnością dobroczynną, jak Franciszka d'Aubignć, markiza de Maintenon, kochanka i druga morganatyczna żona Ludwika XIV. W 1686 roku owa dama założyła w Saint Cyr l'Ecole pensję dla uboższych szlacheckich córek, którą prowadziła, zdobywając wielkie uznanie.

Natomiast madame de Pompadour założyła internat oraz szkołę wojskową dla synów biednych, pochodzących ze szlachty oficerów. Wierzyła, że w ten sposób zasłuży się ojczyźnie, jednak nie chciała na to przedsięwzięcie wyłożyć więcej niż 100 tysięcy franków, a reszty, czy raczej większej części potrzebnej kwoty, zażądała od Josepha Paris-Duverneya, którego czule nazywała „Głuptaskiem”. Oto fragment korespondencji między markizą de Pompadour a Paris-Duverneyem z 15 sierpnia 1755 roku:

249

Nie, z pewnością nie, kochany Głuptasku, nie pozwolę zginąć instytucji, która uczyni króla nieśmiertelnym, a jego szlachtę szczęśliwą i dzięki której potomność dowie się o moim oddaniu dla ojczyzny i Jego Królewskiej Mości. Powiedziałam dziś architektowi Jacques'owi Gabrielowi, by czynił to, co konieczne, aby z powrotem zgromadzić w Grenelle robotników niezbędnych doprowadzenia prac. Niemniej jednak nie otrzymałam jeszcze swojego dochodu za ten rok, a cały przeznaczę na zapłacenie robotnikom za czternaście dni pracy. Nie wiem, czy mogę być całkowicie pewna, czy to będzie opłacalne, ale wiem, że z satysfakcją zaryzykuję wydatek 100 tysięcy franków dla szczęścia tych biednych dzieci...

Markizie de Pompadour szczególnie leżał na sercu los jej młodszego brata, Abła Poisson. Abel miał delikatny charakter, artystyczną duszę i z pewnością nie zwykł rozpychać się łokciami. Siostra sama zadbała, by zalety jej brata zostały docenione. „Biedny” Abel, nie kiwnąwszy palcem, trzykrotnie zmieniał nazwisko. Najpierw z drobnomieszczanina Poissona stał się markizem de Vandiere, później markizem de Marigny, a ostatecznie markizem de Mćnars, a każdy z tych tytułów oznaczał coraz wyższą pozycję na drabinie społecznej. Przy tym wszystkim Abel nie przywiązywał najmniejszej wagi do zaszczytów i bogactwa, był skromny, nieśmiały i rzadko odważał się otwarcie sprzeciwić swojej wszechpotężnej starszej siostrze. Po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy Joanna Antonina wyszukała dla niego narzeczoną.

Kandydatka wydawała się idealna: niezwykle bogaci rodzice z arystokracji już wyrazili swoją zgodę. Jednak gdy Abel po raz pierwszy ujrzał ową wybrankę, dosłownie zrejterował. Uważał, że jest głupia i butna, nie wspominając o jej wyglądzie zewnętrznym,

i poprosił markizę, by anulowała planowane małżeństwo. Tylko raz zdarzyło się, by wyraził jakieś życzenie, i choć mierzył wysoko, to jednak odpowiadało ono jego uzdolnieniom: chciał zostać następcą „stryja” Karola Franciszka Le Normant de Tournehema.

Tournhem, który wcześniej był dyrektorem Kompanii Wschodnio-indyjskiej, piastował urząd intendenta królewskich budowli, czyli wedle dzisiejszych określeń ministra sztuki. Natychmiast poprosił o zwolnienie z urzędu, uzasadniając prośbę swym podeszłym wiekiem. Jednak madame de Pompadour nie chciała żądać od swego „stryja” ustąpienia, wysłała więc Abla wraz z grafikiem Charles'em Nicolasem Cochinem, jego przyjacielem architektem Jacques'em Germainem Soufflotem oraz zaprzyjaźnionym opatem w długą podróż do Włoch poświęconą studiowaniu tamtej-

250

szej architektury. Poprosiła diuka de Nivernais, francuskiego ambasadora w Rzymie, o zaopiekowanie się „zacnym młodzieńcem”.

W międzyczasie sława markizy de Pompadour rozeszła się już po całej Europie, tak więc przed bratem potężnej kochanki francuskiego króla wszystkie drzwi stały otworem. Zachwycony Abel doniósł siostrze, że przyjął go nawet papież. Na to Joanna Antonina odpisała: „Bardzo mnie cieszy, że Ojciec Święty tak dobrze was przyjął. Szacunek, jakim się mnie obdarza, nie dziwi mnie w takim kraju, w którym każdy albo potrzebuje, albo może potrzebować moich przysług. Jestem zdumiona, że sięga aż Rzymu...”.

Tournhem zmarł wkrótce po powrocie Abla z Włoch, jednak błędem byłoby wyciąganie jakichkolwiek pochopnych wniosków. Tournhem był stary i schorowany, a Joanna Antonina bardzo lubiła swojego „stryja”. Abel, markiz de Marigny, został nowym intendentem królewskich budowli. Swą funkcję wypełniał po mistrzowsku i ze smakiem. Jednak dla markizy de Pompadour oznaczało to kolejne zadanie, gdyż uważała, że musi nadzorować odpowiedzialną pracę swojego młodszego brata. Dla usprawiedliwienia dodajmy, że robiła to z wielkim wyczuciem. Wszystko, co Joanna Antonina i Abel wspólnie stworzyli, to przykłady najlepszej architektury tamtych czasów. A ponieważ, jak wiadomo, sztuka przynosi sławę, lecz rzadko zapewnia bogactwo, konkubina króla z wielkim oddaniem troszczyła się o sytuację materialną swojego brata. Podsuwała mu nieruchomości i umowy dzierżawne, które w ciągu kilku lat uczyniły z markiza zamożnego człowieka.

Poza tym była przecież Aleksandryna, córka markizy z małżeństwa z Karolem Wilhelmem Le Normant d'Etioles. Markiza coraz częściej przywoziła ją z klasztoru pobożnych sióstr po to, by przyzwyczajać do wymogów życia na dworze w Wersalu. Wyobrażała sobie wspaniałą przyszłość córki. Gdy dziewczynka miała osiem lat, jej matka napisała list do pięknej markizy de Boufflers, metresy wygnanego polskiego króla, Stanisława Leszczyńskiego, ojca królowej, a jeśli ktokolwiek rozmawiał z panią de Boufflers, to tylko na jeden temat: „Kto z kim?”.

...jednak wracając do małżeństw, mam dużą córkę, której wkrótce będę musiała zapewnić przyszłość. To powinno mnie przekonać do faktu, że się starzeję, nawet jeśli próżność i lustro mówią mi coś zupełnie innego. Jaki jest los kobiet? Żyją, to znaczy podobają się, najwyżej przez piętnaście lat. Oj, zdecydowanie warto być piękną. Inną oznaką starzenia się u kobiet jest moment, gdy ich serca stają się zdolne do przyjaźni z

młode dziewczęta nie kochają nikogo prócz siebie. Taką oznakę również u siebie zauważam. Kocham Panią i jeszcze pół tuzina innych kobiet z czułością, do jakiej nie wydawałam się sobie zdolna. Przyjaźń to przyjemność dla ludzi w każdym wieku, jednak na starość staje się czymś niezbędnym. Zauważam również, że jej potrzebuję, a to mówi mi, że stoję już na granicy...

Jak wspomniano, gdy markiza de Pompadour pisała te słowa, jej córka miała osiem lat. Matka i dziadek nazywali dziewczynkę „Fan-Fan”. Matka, zakochana w ślicznej córeczce, nie potrafiła zrozumieć, że jej dziecko zaczyna dorastać, i gdy zauważyła, że córka zmienia się, jej uczucia uległy ochłodzeniu. Joanna Antonina do swego ojca: „Od dawna dostrzegam, że nie jest już taka śliczna. Nie przeszkadza mi to, dopóki nie jest naprawdę brzydka”.

Zgodnie z życzeniem pani de Pompadour jej córka miała wyjść za mąż za jednego z synów króla Francji, przynajmniej za nieślubnego. Był przecież ów wyszydany *Pół-Ludwik*, śliczny chłopiec ze związku Ludwika XV z jedną z jego pierwszych metres Paulina de Mailly-Nesle, markizą de Vinti-mille*. Miał jedenaście lat i wyglądał jak skóra zdjeta z ojca. Ten ani razu nie widział jednak swego syna, podobnie jak wszystkich swoich nieślubnych dzieci. Niemniej jednak nadał mu tytuł hrabiego de Luc, a biorąc pod uwagę to, jaką karierę zrobiła sama madame de Pompadour, właściwie nic nie stało na przeszkodzie w nadaniu nieślubnemu synowi tytułu książęcego. Tak sądziła markiza.

Zastanawiała się jedynie, co powinna zrobić, by uzyskać od króla zgodę na związek między ich dziećmi.

Joanna Antonina wymyśliła następujący plan: gdy mały hrabia de Luc skończył dwanaście lat, pozwolono mu przyjechać do pałacu Bellevue, co było wielkim zaszczytem dla młodzieńca i jego wychowawcy. W tym samym czasie w pałacu Bellevue „przypadkowo” przebywała Aleksandryna, dziesięcioletnia córka markizy. Gdy oboje bawili się w ogrodzie figowym, do pałacu przybył Ludwik XV. Jak zwykle król i jego kochanka udali się na spacer po pałacowym parku. W ogrodzie figowym Ludwik napotkał dwójkę dzieci. Znał Aleksandrynę, a nawet darzył ją pewną sympatią.

„Lecz kim jest ten przepiękny młodzieniec?” - zapytał król.

„To hrabia de Luc” - odrzekła markiza, dodając: - „Czy nie byłaby z nich piękna para?”.

* Chłopiec nazywany Pół-Ludwikiem miał tak naprawdę na imię Karol.

Ludwik zirytował się i pociągnął markizę dalej.

„Ależ popatrzcie!” - zaprotestowała madame de Pompadour. - „Czy chłopiec nie wygląda jak skóra zdjeta z ojca?”.

W odpowiedzi król zezłościł się, gdyż nie lubił być konfrontowany z niemiłymi konsekwencjami swoich swawoli, i zapytał: „Zna pani markiza de Vintimille, Madame?”.

Na tym rozmowa się urwała. O wydarzeniach w ogrodzie figowym pałacu Bellevue markiza cała we łzach opowiedziała madame de Haus-set, swojej damie dworu. „Te dzieci” - rozpaczła madame de Pompadour — „są dla siebie stworzone. Ludwik XIV nadałby chłopcu tytuł diuka du Maine. A ja wcale aż tyle nie oczekuję. Jakiś urząd i książęcy tytuł to wcale nie tak wiele jak dla jego syna. Właśnie dlatego, że jest jego synem, wolę go od wszystkich małych książąt na dworze. Ten związek oznaczałby moje szczęście, a moje wnuki dorównałyby kiedyś dziadkowi i babci”. Ponieważ Joanna Antonina cierpiała z tego powodu, że nigdy nie zostanie królową, chciała chociaż poprzez kolejne generacje połączyć się z królem Francji. Fiasko tych planów było przyczyną jej łez.

Kolejnym kawalerem, któremu markiza de Pompadour zaproponowała swoją córkę, był książę Ludwik Franciszek Armand de Richelieu, potężny marszałek Francji. Jego jedyny syn, mimo młodego wieku, nosił już tytuł diuka de Fronsac. Poproszenie akurat Richelieu, jednego z jej największych wrogów na dworze, o zgodę na związek z jej córką musiało kosztować konkubinę króla wiele wysiłku. Ale gdy chodziło o znalezienie dla Aleksandryny męża o odpowiedniej pozycji, markiza gotowa była zrobić bardzo wiele. Obiecywała Richelieu gwiazdkę z nieba i w największej tajemnicy wysłała do niego list następującej treści:

Wierzę, mój Książę, że nadszedł czas, by porozmawiać z Wami o pewnym zamyśle, który od dawna rozważam i o którym już Wam wspomniałam. Książę de Fronsac osiągnął już taki wiek, że wkrótce będziecie myśleć o jego ożenku. Moja córka jest w podobnym wieku, i byłoby mi na rękę zapewnić jej przyszłość. Jeśli wielki majątek i wielkie nadzieje, zalety, rozum, uroda i cnotliwa postawa mogą uczynić ją godną połączenia z Wami, będę nas obie uważać za szczęśliwe. Król, który Was kocha i wysoko ceni, nie będzie się sprzeciwiać, a wręcz wykorzysta tę okazję, by obsypać Wasz ród kolejnymi zaszczytami. Oto moja tajemnica, którą wyjawiam, mój Książę, oczekując Waszej odpowiedzi.

253

Książę de Richelieu, członek dworu królowej, równie bogaty, co wpływowy, wyśmiał obietnice markizy i odmówił jej prośbie. Joanna Antonina nigdy nie została tak głęboko upokorzona ani tak gwałtownie sprowadzona na ziemię, jak przez odpowiedź starego marszałka. Był on jedną z nielicznych osób niezależnych od protekcji markizy i mógł sobie pozwolić na wyśmiewanie się z parweniuszki. Niestety odmowny list księcia nie zachował się, gdyż madame de Pompadour zwykła była całymi dniami nie odpowiadać na listy Richelieu i z upodobaniem pozwalała, by poniewierały się na jej toaletce. Służyły więc jako podkładowe dla kosmetycznych mikstur czy do wypróbowywania karbówek królewskiego fryzjera. Niekiedy sekretarz Joanny Antoniny był w stanie rozpoznać skądinąd źle napisane listy Richelieu tylko po charakterystycznym dla marszałka zapachu ambry i jaśminu.

Stanowisko Richelieu poznajemy dzięki pełnej wściekłości odpowiedzi, jaką markiza przesłała do księcia. Jej list, utrzymany w pozornie przyjaznym tonie, pełen jest złości i jadu, a już sama forma, w jakiej zwracała się w nim do adresata, była obraźliwa dla człowieka o takiej pozycji jak Richelieu.

Mój Panie, otrzymałam Wasz list i Wasze tłumaczenia. To uprzejma odmowa, którą z

wielką zręcznością staraliście się uczynić dla mnie znośną. Mimo wszystko zrozumiałam. Powiadacie, że ponieważ Wasz syn ma zaszczyt pochodzić po matce z wielkiego domu lotaryńskiego, bez zgody tego rodu nie możecie w jego sprawach nic uczynić. Wybaczcie moją śmiałość, muszę Wam niemniej jednak powiedzieć, że nie prosiłam was wcale o łaskę, a prędzej chciałam wam takową okazać. Moja córka posiada wszystko, by zaspokoić ambicję każdego księcia. Przy tym nie jest jednak godna, by połączyć się z Jego Księżęcą Mością Księciem de Richelieu, musi okazać cierpliwość. Niemal wstydzę się, że przez nieostrożność popełniłam taki błąd, widzę jednak, że nie znamy się nawzajem.

Richelieu i madame de Pompadour na zawsze pozostali śmiertelnymi wrogami. Ze względu na swe funkcje i godności trudno im było schodzić sobie nawzajem z drogi. Z upodobaniem korespondowali więc ze sobą, raniąc się wzajemnie słowami, niczym swarliwe małżeństwo tuż przed rozwodem.

Ona: *Przyznaję, często zdarzało mi się to nieszczęście, że popełniałam błąd, uważając małych, ambitnych ludzi za osoby zasłużone. Nie jest Pan jedynym takim człowiekiem...* On: *Nie mogę już, Madame, znieść przeszkód, jakie dzień w dzień stawia mi Pani na drodze.*

254

Ona: *Człowiek, który niewiele ma szacunku sam dla siebie, powinien raczej wstydzić się oznak wdzięczności, zamiast się nimi chęłpić. Ja ze swej strony od dawna wstydzę się za Pana...* On: *Niech sobie pani sama powie, że ręka, która wyniosła Panią tam, gdzie Pani jest, może na powrót Panią strącić...* Ona: *Napisał Pan do mnie dziwny list, a Pańskie zachowanie od pewnego czasu stało się jeszcze dziwniejsze...* On: *Jeśli Wasza pamięć jest równie dobra, co moja, przypomni sobie Pani, że ustaliliśmy coś zupełnie innego...*

Ona: *...aby Wasza droga ciotka nie była na nas wściekła, dobrej nocy, Panie Marszałku.*

On: *Ze względu na sprawiedliwość i rozagę postępujcie ze mną, Pani, w taki sposób, którego nigdy nie chciałbym zawdzięczać strachowi.*

Markiza umyśliła sobie, że Aleksandryna powinna wyjść za mąż w wieku trzynastu lat. Jak najszybciej należało więc doprowadzić do zaręczyn. Jedynym ojcem, który chętnie wyraził swoją zgodę, był książę de Chaulnes, z którym Joanna Antonina utrzymywała przyjacielskie stosunki (zwracała się do niego *mon cochon*, czyli „mój wieprzek”). Jego syn mimo młodego wieku nosił już tytuł księcia de Picquiny i z braku lepszych kandydatów został uznany przez markizę za odpowiedniego wybranka dla jej córki. Jednak do ślubu nie doszło, gdyż Aleksandryna, mając jedenaście lat, niespodziewanie zmarła 15 czerwca 1754 roku. Przyczyna jej śmierci pozostaje nieznana. Niektóre źródła wspominają o ospie, inne o konwulsjach, jeszcze inne o gorączce czy pęknięciu wyrostka robaczkowego. Aleksandryna została pochowana w paryskim kościele Kapucynów pod tablicą nagrobną z inskrypcją: „Tutaj spoczywa Joanna Aleksandryna, córka pana Le Normant i Joanny Poisson, markizy de Pompadour, baronowej de Crecy”. Franciszek Poisson, ojciec Joanny Antoniny, przeżył szok, gdy dowiedział się o śmierci wnuczki. Zmarł kilka dni później.

Bezlitosna konfrontacja ze śmiercią spowodowała nieoczekiwaną zmianę w osobowości królewskiej kochanki. Uważała, że okres, w którym powinna się podobać, już minął. Nie oznaczało to jednak, że pozostawi króla innym kobietom, przekonanie to stanowiło raczej usprawiedliwienie, by

255

mogła się zaniedbać. Jedynie z rzadka zakładała swoje kosztowne suknie i błyszczące klejnoty, a coraz częściej można było zobaczyć - co wcześniej było nie do pomyślenia - jak bez makijażu przemyka korytarzami Wersalu. Jej uroda przekwitła, a komplementy, wcześniej dla markizy ważniejsze niż jedzenie i picie, przytrafiały się jej coraz rzadziej.

Gdy książę Bedford, brytyjski poseł, mimo wszystko obdarzył madame de Pompadour komplementem, twierdząc, iż ma przepiękne oczy, zirytowana markiza zapytała: „Mówi pan o mnie?”. Niemniej jednak wskutek owego komplementu markiza niezwłocznie udała się do swych prywatnych apartamentów i założyła suknię w kolorze różowym, której nie nosiła od lat. W drodze powrotnej do sali audiencyjnej przechodziła obok ściany pokrytej lustrami. Jak przyznała się jednej z przyjaciółek, zupełnie poważnie spytała, kim jest owa kobieta w lustrze, i otrzymała odpowiedź: „To pani, madame de Pompadour!”. Wtedy pobiegła z powrotem do swoich apartamentów, gdzie zrzuciła i podeptała różową suknię.

Ku ubolewaniu markizy wciąż wiele było kobiet w różowych sukniach, które tłoczyły się na dworze w nadziei spodobania się królowi. Jedną z nich była madame de Popelinere. Joanna Antonina napisała do niej ostry list następującej treści:

Wiem, że od pewnego czasu jest pani pierwszą wśród pięknych kobiet, które próbują zdobyć serce króla i wszędzie pani za nim chodzi. Ciągłe robi pani na niego zasadzki, próbuje go pani zaskoczyć, z czego się śmiejemy, a teraz czyni pani coś więcej, obraża mnie pani listem, w którym brak zarówno rozumu, jak i dworności, zupełnie jakbym stanowiła jedyną przeszkodę, stojącą na drodze pani ambicji... Jest pani żoną bogatego i cenionego człowieka. Niech się pani stara jemu przypodobać. A jeśli za wszelką cenę chce się pani spodobać królowi, niech pani spokojnie realizuje ten uroczy plan, nie oburzając się na mnie, gdyż ani nie mam zaszczytu znać pani, ani jej wysoko cenić. To pierwszy raz, gdy ośmielam się do pani pisać, i jednocześnie ostatni.

Owa temperamentna wielbicielka króla nigdy więcej nie pojawiła się już na dworze.

Kobieta, która chciała mieć prawdziwe szanse u króla, potrzebowała wsparcia ze strony dworu. W tym względzie realne zagrożenie dla markizy stanowiła hrabina d'Estrades. Była ona kuzynką byłego męża madame de Pompadour, która uczyniła z niej swoją damę dworu. Nie mogła przypuszczać, że hrabina zakocha się akurat w jej zagorzałym wrogu, markizie

256

d'Argenson. Markiz nie przebierał w środkach, by wysadzić madame de Pompadour z siodła, i gotów był nawet poświęcić swoją kochankę. Próba zbliżenia się do króla w Choisy, podczas gdy chora markiza de Pompadour leżała w łóżku, nie powiodła się, tak jak podobne przedsięwzięcie jej młodziutkiej kuzynki madame de Choiseul w

Fontainebleau. Madame de Choiseul i hrabina d'Estrades musiały opuścić dwór. Wciąż nie było kobiety, która mogłaby dorównać pani de Pompadour.

Mniej uderzająca w oczy niż brak dbałości o wygląd była religijność, którą markiza nagle zaczęła odczuwać i pielęgnować. Nieraz można było ją spotkać przy grobie córki, gdzie klęczała, głośno się modląc - niezwykła postawa, jak na kobietę, o której powiadano, że ma konszachty z diabłem. Jeszcze kilka lat wcześniej naśmiewała się z zakonnic z Saint-Cyr, które poprosiły ją o relikwię jakiegoś świętego. Prośbę tę przekazała francuskiemu ambasadorowi w Rzymie, księciu de Nivernais, dodając uwagę, iż na dworze w Rzymie powinni mieć całe zapasy relikwii. „Proszę jednak mieć baczenie, by nie wysłał Pan tym dobrym dziewczętom świętego z dwiema lewymi stopami, jak uczynił pan Olive, kapucyn!”.

Wiele było powodów, dla których madame de Pompadour stała się wrogiem chrześcijaństwa, z tym, że celem jej ataków nie była religia sama w sobie - tę nazywała prawdziwą, świętą i niosącą pocieszenie - należało jedynie wyeliminować nadużycia, a w szczególności kapłanów: „To prawda, większość klechów robi, co może, by przez swoją ambicję i nietolerancję doprowadzić Kościół do zguby”.

Ludwik XV jako władca nieustannie robił dobrą minę do złej gry, jeśli chodzi o stosunek do wiary. Choć jego zachowanie było tak niemoralne i bezbożne, na zewnątrz sprawiał wrażenie pobożnego monarchy, a niekiedy nawet wpadał w religijny nastrój i okazywał skruchę. Działo się tak ku ubolewaniu markizy de Pompadour, która żyła w ciągłym strachu, że Ludwik XV może ze szkodą dla niej poddać się wpływowi Kościoła, a w szczególności jezuitów.

Jeszcze w 1751 roku pomstowała na średniowieczny zwyczaj poszczenia, na obowiązek spowiedzi oraz głupie kazania, które tylko ją nudzą. W odniesieniu do spowiedzi pisała do starego barona de la Brcde et de Montesquieu, któremu sławę przyniosły filozoficzne pisma, pytając, jak można otwarcie rozmawiać z nieznanym, który może nas wyśmiać albo okazać się jeszcze większym grzesznikiem.

257

A jeśli chodzi o w owym czasie równie popularne, co znienawidzone posty, madame de Pompadour miała na ten temat swoje własne zdanie. Ludzie kochali post, gdyż odmawiając sobie jedzenia przez jeden, dwa, trzy, pięć, siedem czy czternaście dni, biedny grzesznik mógł wykupić się od wszystkich grzechów i przez to zapewnić sobie wieczną szczęśliwość. To naiwne ludowe wierzenie było rozpowszechnione wśród niższych warstw, natomiast w kręgach arystokracji post był okazją do folgowania sobie przed jego rozpoczęciem i po jego zakończeniu.

W roku 1751, ogłoszonym przez papieża Rokiem Świętym, Ludwik XV opuścił Wersal na dwa tygodnie, by poprzez post i klasztorne odosobnienie uzyskać przebaczenie za grzechy. Jezuici i inni dworscy świętoszkuje zalecili królowi, by po uzyskaniu odpuszczenia nie wracał od razu do Wersalu czy pałacu Bellevue, gdzie w międzyczasie zatrzymała się madame de Pompadour - ze względów moralnych, jak to określili. Tak naprawdę mieli nadzieję, że król zdradzi w tym czasie markizę, a nawet zorganizowali kilka odpowiednich okazji. Jednak ich „pobożne” modlitwy nie zostały spełnione i markiza wciąż pozostawała konkubiną króla. Do Monteskiusza pisała: „Religia jest dobra, tylko jej służy są często źli. Wkrótce, jak powiadają, bycie chrześcijaninem stanie się śmieszne”.

Później, gdy madame de Pompadour zmieniła zdanie i odkryła swą religijność, nie przestała uważać klechów, a zwłaszcza jezuitów, za inspiratorów zamachu na Jego Królewską Mość, który miał miejsce 5 stycznia 1757 roku. Pewien niespełna rozumu służący z Artois rzucił się z nożem na Ludwika XV, lekko go raniąc. Choć król krwawił, rana z pewnością nie zagrażała jego życiu. Mimo to Ludwik zemdłał, a królowa kazała sprowadzić księdza z ostatnim namaszczeniem. Król przez kilka dni pozostawał w łóżku.

Na dworze sądzono, że nie przeżyje tego zamachu. Delfin zaczął się już przygotowywać do przejęcia władzy, a szczególną aktywnością wykazywali się dwaj ministrowie, d'Argenson i Machault. Zakazali oni konkubinie króla wstępu do jego pokoju, gdyż przypuszczali, że mogłoby wówczas dojść do jakichś porozumień, a jej dni tak czy inaczej były już policzone. Przy okazji doszło do konfrontacji między madame de Pompadour a markizem d'Argensonem, podczas której Joanna Antonina rzuciła markizowi w twarz następujące słowa: „Jeśli król kiedykolwiek wyzdrowieje, jedno z nas opuści dwór: albo pan, albo ja!”.

258

D'Argenson nie docenił woli życia króla oraz siły przebiccia jego konkubiny. Ludwik XV już po kilku dniach powrócił do zdrowia, a d'Argenson i Machault zostali zwolnieni z ministerialnych urzędów i wygnani z dworu. Być może wpływ na tę decyzję miała ich przychylność wobec Prus, która od dawna była solą w oku króla, w każdym razie markizie udało się sprawę doprowadzić do końca. Zamachowiec, Robert Franciszek Damiens, został prawomocnie skazany i w okrutny sposób zamęczony na śmierć przed paryskim ratuszem*.

Podczas tych jedenastu dni, które skłonny do hipochondrii król spędził odcięty od świata, markiza de Pompadour uświadomiła sobie jedno: bez Ludwika XV ona, jego kochanka, była nikim. Delfin, który podczas owych jedenastu dni zachowywał się tak, jakby już rządził, traktował ją z góry, jak jakąś służącą, dworzanie z niespotykaną dotąd wyrazistością podzielili się na przyjaciół i wrogów, a lud całymi nocami pokrzykiwał pod jej oknami, sprośnymi słowy żądając jej przepędzenia.

W jeden z owych dni, które bezradna markiza spędzała, chodząc w tę i z powrotem po swoim buduarze, przyszedł do niej Jean-Baptiste de Machault i dał jej „przyjacielską” radę, by opuściła Wersal. Dokładny przebieg tej rozmowy nie jest znany. Przypuszczalnie Ludwik XV („Rana jest głębsza, niż sądzicie, sięga aż do serca”) powierzył to zadanie markizowi d'Argensonowi, ten jednak przekazał je do wypełnienia Machaultowi. Faktem jest, a w każdym razie potwierdziła to dama dworu Joanny Antoniny, madame du Hausset, że markiza miała już spakowane kufry i poczyniła wszelkie przygotowania, by przenieść się do swojego pałacu w Paryżu. To marszałkowa de Mirepoix, obok księżnej de Brancas najlepsza przyjaciółka madame de Pompadour, sprawiła, że markiza nie posłuchała owej „zyczliwej” rady. Wątpliwe, by po zniknięciu z pola widzenia króla mogła kiedykolwiek powrócić na dwór.

Madame de Pompadour została. Została i obserwowała narastającą pobożność króla, który uważał, że przed śmiercią uratował go cud. Choć król zgodził się z sugestią markizy, że zamachowiec był narzędziem w rę-

* Najpierw oparżono mu rękę, którą podczas zamachu trzymał nóż, potem m.in. szarpano obcęgami, a na koniec został rozerwany przez szóstkę koni (cztery nie dały rady, ale nawet szóstce musiał pomóc kat, tasakiem uderzając w stawy). Kończyny i tułów Damiensa spalono na stosie.

259

kach jezuitów, u których kiedyś służył - czego efektem była wielka fala aresztowań wśród mnichów, księży, pisarzy i wydawców - nie zahamowało to jego bigoterii. Być może to właśnie rosnąca pobożność Ludwika bardziej przyczyniła się do nawrócenia markizy niż jej własne przekonania.

Niekiedy objawiana wyłącznie na pokaz pobożność króla i jego konkubiny przeradzała się w farsę, na przykład gdy markiza przestała korzystać ze swej własnej galerii w dworskiej kaplicy (empora ta została zamurowana) i wmieszała się w tłum wiernych, oczywiście bez makijażu i ubrana tak, że nawet nie przypominała kobiety. „Zdobyłem się na odwagę, by powiedzieć jej” — donosił opat de Bernie — „że nikt nie da się nabrać na tę komedię, a wszyscy i tak uważają ją za hipokrytkę...”. Rozbawiony książę de la Valliere donosił: „Padł na nią promień łaski... trzy razy w tygodniu pościmy, poza tym prowadzimy ten sam tryb życia”.

Markiza de Pompadour zupełnie poważnie starała się powrócić na łono Kościoła, który przez całe swoje życie wyśmiewała. Ojciec de Sacy, którego znała z czasów młodości, miał jej w tym pomóc: spowiedzi, komunie, sakramenty. Jednak owemu duchownemu pełne skruchy słowa cieszącej się złą sławą markizy nie wystarczały. Przypomniawszy jej dokładnie, jak wyglądało jej dotychczasowe życie: oczywiście była, co prawda, ochrzczona, jednak zawarła również małżeństwo, po czym porzuciła swego męża dla innego i pozostawała z nim w wiarołomnym związku. By mogła korzystać z sakramentów, musiałaby powrócić do swego prawowitego małżonka.

Jak zareagowała na to ultimatum markiza de Pompadour?

Jezuita z całą pewnością nie był w stanie dorównać wyrafinowaniu markizy. Ze zdumieniem przyjął do wiadomości jej odpowiedź: „Dobrze, jeśli takie jest życzenie Kościoła, wracam do męża”.

Joanna Antonina była dokładnie poinformowana o związkach swojego byłego męża. Znalazł on szczęście u boku tancerki Opery Paryskiej. Ze względu na nią pan Le Normant l'Étioles odrzucił nawet posadę posła w Konstantynopolu, którą zaoferowała mu była żona. Markiza mogła więc być niemal pewna, że Karol Wilhelm nie zgodzi się, by do niego wróciła. List, jaki napisała do byłego męża, był więc jedynie farsą. Przede wszystkim stawia to pod znakiem zapytania całe rzekome nawrócenie markizy.

Do pana Karola Wilhelma Le Normant d'Étioles.

Drogi panie! Zrozumiałam zło, jakie uczyniłam, i pragnę je naprawić. Najważniejszą część mego błędu od dawna już nie istnieje i chodzi jeszcze tylko

260

o to, by pokazać to światu. Jest to moim najgorętszym pragnieniem. Jestem zdecydowana sprawić swoim przyszłym zachowaniem, by moja przeszłość została zapomniana. Przyjmijcie mnie z powrotem do siebie. Przekonacie się, iż będę dążyć tylko i wyłącznie do tego, by

jednością, w jakiej będę z wami żyć, tak samo pokrzepiać świat, jak kiedyś rozstaniem z wami wprowadziłam go w oburzenie.

Markiza oczywiście pokazała swój list jezuitcie de Sacy. Nie wspomniała jednak przy tym o pewnym tajnym zadaniu, jakie zleciła Karolowi de Rohan, księciu de Soubise, swemu wieloletniemu przyjacielowi i wielbicielowi. Udał się on do Le Normanta i poinformował go, że choć w żadnym przypadku nie zamierza wpływać na jego decyzję, to były mąż markizy może być pewien niełaski króla, jeśli choćby zacznie rozważać przyjęcie propozycji madame de Pompadour. Oczywiście Le Normant odrzucił ofertę powrotu małżonki. Jezuitci byli bezradni i wycofali się z całej sprawy.

Kochanka króla zdobywała coraz większe uznanie dzięki sprytnie prowadzonej taktyce. Królowa była bardzo naiwna, przypisując markizie szczerą intencję, w każdym razie nie sprzeciwiła się mianowaniu królewskiej konkubiny na damę dworu. Dla markizy de Pompadour oznaczało to kolejny skok w karierze. Jako dama dworu Marii Leszczyńskiej znajdowała się na tym samym szczeblu, co damy z najwyższych kręgów arystokracji, ku ich ogromnemu ubolewaniu, gdyż wciąż widziały one w Joannie Antoninie przybłądę, córkę skazanego na śmierć oszusta.

Związek Ludwika XV z madame de Pompadour miał początkowo charakter seksualny, jednak odkąd markiza skończyła trzydzieści pięć lat, ich wzajemne relacje stały się wyłącznie platoniczne. Właściwie Joanna Antonina zakończyła na tym swoją rolę jako kochanki, potrafiła jednak stać się niezastąpiona na inne sposoby. Jeśli sama nie była już w stanie uwodzić króla, to powinna przynajmniej sprawować kontrolę nad wszystkimi nowymi miłośkami Ludwika. Zbyt dobrze wiedziała, że mężczyźni niczego tak nie nienawidzą, jak zazdrosnej kochanki, i niczego nie kochają bardziej niż wyrozumiałej żony.

Madame de Pompadour była bardzo wyrozumiała. Na polecenie króla kupiła pewien mały romantyczny domek. Ów budynek, położony przy Rue Saint-Médéric w Wersalu, na uboczu królewskiego pałacu, zwany Jelenim Parkiem (Parc aux Cerfs), urządziła tak, by spełniał szczególnego rodzaju funkcję. Trafiając pod opiekę zamieszkującej go damy dworu, pojawiały

261

się tam najpiękniejsze młodzieńki dziewczęta z całego kraju, by sprawić przyjemność królowi, jeśli taką będzie miał ochotę. Dziewcząt nie informowano, kim jest ów wytworny pan, który od czasu do czasu je odwiedza. Wiedziały o tym natomiast ich matki. Setki matek oddawały więc swoje córki markizie de Pompadour lub pokojowcowi króla Lebelowi, mając nadzieję, że osiągną podobną pozycję, co konkubina króla. Ślicznotkom mówiono jedynie, że chodzi o pewnego polskiego szlachcica.

Jednak tylko niektóre z owych dziewcząt w wieku od dwunastu do piętnastu lat były wystarczająco naiwne, by wierzyć oficjalnym oświadczeniom. Większość z nich doskonale wiedziała, kogo obdarzają swymi - sownie opłacanymi - wdziękami. Większość związków w Jelenim Parku trwała zwykle krótko, tylko niektóre ciągnęły się kilka miesięcy. Z renty w wysokości od 12 do 15 tysięcy franków, jaką król wyznaczał dla każdej dziewczyny po wielokrotnym skorzystaniu z jej usług, można się było

utrzymać. Gdy któraś z nich zachodziła w ciążę, była zwalniana i dostawała 100 tysięcy franków odprawy, co wówczas stanowiło wystarczający majątek, by mimo nieślubnego dziecka móc znaleźć sobie przyzwoitego męża. Markiza de Pompadour powiedziała kiedyś swojej damie dworu, madame du Hausset: „Wszystkie te małe dziewczynki nie mają żadnego wykształcenia i nie odbiorą mi króla. Nie byłabym taka spokojna, gdybym widziała, jak zdobywa go któraś z tych pięknych kobiet na dworze”.

Liczba dziewcząt, z którymi zabawiał się Ludwik XV, nie jest dokładnie znana, a szacunki wahają się od czterdziestu do kilkuset. Prostytucja to jedyne rzemiosło prowadzone bez księgowości. Mimo to zachowała się pamięć o niektórych z owych młodych dam. Do tych, które uczyniły największe wrażenie na królu, należała pewna czternastoletnia Irlandka o nazwisku Murphy*. Odkryła ją markiza de Pompadour, to znaczy tak naprawdę odkrył ją Franciszek Boucher jako swoją modelkę. Markiza uważała jednak, że dziewczę o zapierającej dech w piersiach urodzie powołane jest do wyższych celów. W związku z tym Murphy pozowała Boucherowi jako modelka do obrazu przedstawiającego Świętą Rodzinę.

Gotowy obraz markiza podarowała niczego nieświadomej królowej Marii Leszczyńskiej do jej buduaru, a następnie w sprawę wtajemniczy-

* Właściwie O'Murphy. Marie-Louise O'Murphy nazywana była także La Belle Morphyse.

262

ła króla. Ludwik XV zapalał wielką miłością do Murphy i nosił się nawet z zamiarem uczynienia z owego dziewczęcia następczyni markizy, czyli swej oficjalnej metresy. Murphy, której zuchwałość nie ustępowała urodzie, nieszczególnie była tym pomysłem zachwycona. Bez skrupowania zapytała: „Sire, jak Wam się właściwie układa z tą Waszą słynną starą?”. Rozśmieszyła tym króla i z pewnością owa przelotna znajomość przerodziłaby się w poważny związek, gdyby Murphy pewnego dnia nie zaskoczyła Ludwika wiadomością: „Sire, zostanie Pan ojcem!”.

Znamy już niechęć Ludwika do bękartów. Ta wiadomość zakończyła ów dobrze zapowiadający się związek. Murphy nie odeszła jednak z niczym. Madame de Pompadour przekupiła pewnego oficera regimentu w Beauvoisis, który za kwotę 50 tysięcy franków zgodził się poślubić Murphy i uznać jej dziecko za swoje. Ludwik XV zapewnił pannie młodej kompletną wyprawę oraz posag w wysokości 200 tysięcy franków, zafundował nawet dziecku* odpowiednie wychowanie w klasztorze i przyznał mu roczną rentę w wysokości 8 tysięcy franków. Król mógł sobie pozwolić na taką hojność tylko dlatego, że trzy stanowiska poborcy podatków przyznał wyłącznie pod warunkiem, iż połowa wpływających danin posłuży finansowaniu jego miłosnych przygód.

Równie kosztowny i nie mniej niebezpieczny dla Joanny Antoniny de Pompadour był związek Ludwika z Anną Coupier de Romans, córką adwokata z Grenoble. Jej przeszłość oraz okoliczności, jak znalazła się na wersalskim dworze, pozostają tajemnicą. Niektórzy twierdzą, że król kazał to dziewczę wychowywać w Paryżu, aby w przyszłości zrobić z niej swoją metresę. Według innych źródeł (Giacomo Casanovą, *Historia mojego*

życia) to właśnie słynny podrywacz i awanturnik miał przywieźć ją ze sobą z Grenoble. Faktem jest, iż Casanovą zatrzymał się w 1760 roku w Grenoble, a potem udał się do Paryża. Przyjaźnił się również z Wolterem, który z kolei należał do wielbicieli markizy de Pompadour.

Niemniej jednak wyznania Casanovy zawarte w jego wspomnieniach wydają się po bliższym sprawdzeniu niespójne. Annę nazywa raz „piękną szatynką”, a już w innym miejscu podziwia jej czarne włosy. Z typową dla siebie pewnością siebie stwierdza, po tym gdy Anna Coupier de Romans odrzuciła jego zaloty („Monsieur, pozostańcie mym przyjacielem i nie do-

* Była to dziewczynka, której nadano imiona Agata Luiza.

263

prowadzajcie mnie do zguby”), że godna jest jedynie króla, więc zabiera ją do Paryża.

Kiedy Anna się opierała, Casanovą użył podstępu. Postawił jej horoskop, na czym, jak wiadomo, doskonale się znał, opowiedział o ważnych wydarzeniach w jej życiu (o które wypytał jej ciotkę) oraz przepowiedział dziewczynie, że jeśli pojedzie do Paryża, zostanie kochanką króla. Anna spakowała swoje rzeczy i opuściła Grenoble, udając się wraz z Giacomo Casanovą w kierunku Paryża. Casanovą pisze, iż myślał wówczas, że całe to przedsięwzięcie przyniesie szczęście także jemu, w każdym razie nie wątpił, że Anna wzbudzi w Ludwiku żar pożądania.

Dalszy ciąg tej historii dowodzi, że nie warto wierzyć w horoskopy. W Paryżu Casanovą miał ogromne trudności, by doprowadzić Annę choćby w pobliże króla. Słynny podrywacz i awanturnik był bezradny i gdyby Anna nie miała w Paryżu ciotki w osobie madame Vernier - a każda przyzwoita francuska rodzina ma w Paryżu ciotkę - całe przedsięwzięcie spaliłoby na panewce. Natomiast madame Vernier, która prowadziła salon gier, a miejsca takie miały wówczas równie złą opinię co dziś, wiedziała, gdzie można osobiście spotkać króla, więc czekała ze swoją piękną siostrzenicą na tarasach Tuilierii. Król, otoczony dworzanami, rzeczywiście nadszedł. Wzrok Ludwika spoczął na Annie Coupier de Romans i król poprosił, by dowiedziano się o nazwisko i adres dziewczyny, a następnie sprowadzono ją do jego domu w Jelenim Parku. Anna jednak zdecydowanie odmówiła. Dała do zrozumienia, że gotowa jest związać się z władcą, lecz nie jako jedna z wielu. Jest to możliwe wyłącznie w jej własnym domu, przecież jest w końcu przyzwoitą kobietą.

Anna Coupier de Romans miała wówczas siedemnaście lat i jak na swój wiek była zaskakująco wyrafinowana. By dopiąć swego, Ludwik XV kupił jej dom w Passy, zapewnił służbę i powozy oraz wypłacał Annie znaczącą kwotę na przyjemności i stroje. Markiza d'Urfe\ która w młodości sama zabawiała króla, pisała o ich relacji: „Król ją uwielbia”. W efekcie Anna zaszła w ciążę, co Ludwikowi jak zwykle zupełnie się nie spodobało.

Niemniej jednak ten „przypadek” pewnym istotnym szczegółem różnił się od wszystkich dotychczasowych. Monarcha, który dotąd zawsze pośpiesznie zegnał się, jak tylko okazywało się, że dama jego serca oczekuje potomstwa, tym razem dochował kochance wierności - przynajmniej przez kilka lat. W związku z chrztem dziecka w dniu 14 stycz-

nia 1762 roku przesłał do księdza list o krótkiej, acz jednoznacznej treści: „Proboszcz Chaillot nada przy chrzcie dziecku panny de Romans imiona Ludwik Aimé de Burbon”.

Dopiero w tym momencie markiza de Pompadour dowiedziała się o związku, który trwał cztery lata, od roku 1761 do 1765. Joanna Antonina nie знаła Anny. Ze słyszenia wiedziała jedynie, że jest bardzo piękna, równie piękna jak ona sama w młodości. Markiza miała wówczas czterdzieści lat i było dla niej jasne, że jakkolwiek przejaw zazdrości wystawi ją tylko na pośmiewisko. Jednak dysponowała czymś, czego nie posiadała owa dama z Grenoble: władzą. Ciekawość markizy rosła, musiała zobaczyć kobietę, której udało się odebrać jej króla. Od pani de Hausset, swojej damy dworu, dowiedziała się, że przy pięknej pogodzie Anna chodzi z małym Ludwikiem Aime' na spacer w lasku. Przy najbliższej okazji obie damy zaczęły się na młodą matkę. Przebrały się, by uniknąć rozpoznania, i spotkały Annę siedzącą wraz z dzieckiem na parkowej ławce. Komentarz ze strony markizy de Pompadour był następujący: „Nie można rzecz inaczej, jak że i matka, i dziecko są bardzo, bardzo piękni”.

Markiza oraz wszyscy inni na dworze byli przekonani, że Anna Co-upier de Romans zostanie nową Pompadour, zajmie jej miejsce, a dni markizy są policzone. I rzeczywiście jej dni były policzone, ale nie z powodu pięknej Anny z Grenoble. Z niewiadomych przyczyn Anna popadła u króla w niełaskę. Najpierw została wysłana do klasztoru. Jej syn wychowywał się w internacie, został opatem i zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat*. Annę zmuszono do małżeństwa z markizem de Cavanac. Również ona nie dożyła dojrzałego wieku.

A pani de Pompadour?

Żyła z dala od świata dworskiego na zamku w Ménars. Publicznie widywano ją z rzadka, ostatni raz w czerwcu 1763 roku podczas odsłonięcia pomnika Ludwika XV na Placu Zgody, który wówczas nosił jeszcze imię króla. Dla własnej chwały Ludwik sprawił sobie konny posąg na wysokim cokole przedstawiającym na czterech rogach alegorie Mocy, Sprawiedliwości, Rozwagi i Pokoju. Alegorie to zwykle postaci kobiece i tak było i tym

* Ludwik Aimé de Burbon był jedynym spośród licznych nieślubnych dzieci, którego Ludwik XV uznał.

razem. Paryżanie mówili pogardliwie, że wcale nie chodziło o przedstawienie Mocy, Sprawiedliwości, Rozwagi i Pokoju, tylko o uwiecznienie podobizn markizy de Vintimille, hrabiny de Mailly, księżnej de Chateaurux i markizy de Pompadour.

Madame de Pompadour prawdopodobnie śmiała się z takiej interpretacji. W swoim życiu znosić musiała wiele drwin, a mimo to osiągnęła niemal wszystko. Od dłuższego czasu wiedziała, że jest nieuleczalnie chora, cierpiała na bezsenność, duszności i silne bóle głowy, niemal nic nie jadła, chudła i pluć krwią - chorowała na gruźlicę.

Testament markizy zaczyna się od słów:

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ja, Joanna Antonina Poisson, markiza de

Pompadour, rozwiedziona małżonka Karola Wilhelma Le Normant, sporządziłam swój testament oraz podjęłam postanowienia mojej ostatniej woli, które powinny w całej swej rozciągłości zostać spełnione.

Polecam moją duszę Bogu i błagam Go, by miał dla mnie litość, wybaczył mi grzechy i okazał łaskę, bym mogła żałować i umrzeć godna jego zmiłowania, mając nadzieję dzięki Jego sprawiedliwości, poprzez ofiarę cennej krwi mego Zbawiciela Jezusa Chrystusa oraz wstawiennictwo Świętej Panienci uczestniczyć w rajach u boku Wszystkich Świętych.

Moim życzeniem jest, aby moje ciało przewieziono bez ceremonii do kapucynów przy placu Vendôme i tam pochowano w krypcie kaplicy, którą przyznano mi w ich kościele...

Pobożność tych słów jest szczerą i stanowi dowód na to, że markiza rzeczywiście pod koniec swojego życia wróciła do wiary. Głównym spadkobiercą swego znacznego majątku ustanowiła swego brata Abla Poissona, markiza de Marigny, nie zapomniała jednak o służbie, obdarowując ją hojnymi prezentami i rentami. Skrupulatna niemal jak notariusz jeszcze w dniu swojej śmierci dodała dopisek do testamentu.

Również śmierć markizy de Pompadour wieczorem 15 kwietnia 1764 roku w Wersalu była konkretna i pozbawiona patosu. Proboszcz z La Madeleine był ostatnią osobą, która widziała ją żywą. Gdy wychodził, markiza zawołała za nim: „Chwileczkę, Monsieur, odejdziemy razem!”, po czym umarła.

266

Ludwik XV opłakiwał odejście konkubiny, która była mu wierna przez niemal dwadzieścia lat. Jej śmierć zmartwiła wiele osób, jednak lud radował się. Pogrzeb Joanny Antoniny, którą pochowano u boku jej córki w kościele Kapucynów, przebiegał w ciszy. Ludwik XV nie uczestniczył w ceremonii. Nie wypadało, by król towarzyszył swojej kochance w jej ostatniej drodze. Kościół, w którym markiza została pochowana, podobnie jak jej pałace, nie przetrwał zbyt długo.

Śmierć madame de Pompadour uniemożliwiła jej ukończenie pamiętników, które spisywała od 1760 roku i w związku z którymi zgromadziła niezliczoną ilość dokumentów. Prawdopodobnie istniały jednak inne przyczyny, dla których jej wspomnienia nigdy nie zostały opublikowane. W jednym ze swych listów do hrabiny de Baschi, swojej szwagierki, z którą łączyła ją serdeczna przyjaźń, markiza de Pompadour pisała:

Piszę, Madame, bazgrzę po papierze, jak wielu innych, spisuję wspomnienia o moim dziwnym życiu oraz o rzeczach, jakie widziałam i które są jeszcze dziwniejsze. Uważam, iż jest to ze wszech miar rozsądne zajęcie dla kobiety, która niemal za sobą ma już lata, kiedy się podoba, i która się tym nie trapi. Powiem prawdę, która będzie dla pewnych ludzi bardzo nieprzyjemna, jednak nie będę ani kłamać, ani pochlebiać głupcom i złym ludziom. Z tego względu wspomnienia te ujrzą światło dzienne dopiero wtedy, gdy ja nic już nie będę widzieć...

Wiele było takich osób, dla których upublicznienie zakulisowych wydarzeń z czasów rządów Ludwika XV byłoby nad wyraz nieprzyjemne. Ponoć napięcie na królewskim dworze po śmierci konkubiny króla było tak wielkie, że żaden dworzaniec

czy minister nie chciał na krok odstąpić od króla z obawy przed intrygami. Tak więc nie ukazały się wspomnienia markizy, a z pewnością pozwoliłyby one poznać dokładniejszy wizerunek madame de Pompadour. Niestety nawet jej listy, które po raz pierwszy wydano w trzech tomach w 1772 roku, czytać należy z ostrożnością, gdyż przed oddaniem do druku zostały opracowane przez pisarza Barbe-Marbois, tzn. przede wszystkim wygładzone językowo. Autentyczne dokumenty, które wyszły spod pióra markizy, są napisane kiepskim stylem, ich tematyka jest prosta, ograniczająca się zasadniczo do spraw codziennych i w żadnym wypadku nie przedstawiają one Joanny Antoniny jako muzy filozofów i artystów. Powstaje w związku z tym pytanie, czy pani de Pompadour rzeczywiście była tak dobrze wykształcona i uzdolniona artystycznie, jak podają historiografowie.

267

Takiemu człowiekowi jak Wolter, który pozostawał w przyjacielskich bądź wrogich stosunkach z królami po jednej i po drugiej stronie Renu, motywy markizy mogły być zupełnie obojętne. Załatwiła mu dobrze płatne i niewiele wymagające stanowiska szambelana i historiografa króla. Nekrolog, jaki napisał madame de Pompadour, nie jest więc odą na cześć jej mądrości i wykształcenia, lecz opiewa jej hojność: „Byłem wielce zasmucony śmiercią pani de Pompadour, miałem wobec niej dług wdzięczności i chciałbym jej wdzięczność okazać. To przekomiczne, że taki stary gryzipiórek jak ja, który już ledwo chodzi, jeszcze żyje, gdy czterdziestoletnia kobieta umiera w połowie najpiękniejszej kariery świata”. Nie tylko Wolter, lecz liczni pisarze i filozofowie, którzy Ludwikowi XV zawsze wydawali się podejrzani, bardzo wiele zawdzięczali markizie. Należeli do nich Jan Jakub Rousseau, jej nauczyciel Prosper Jolyot de Crebillon, Monteskiusz, Jean Francois Marmontel*, Jean Baptiste d'Alembert czy Denis Diderot.

Potomność nie czczy konkubin. Markiza de Pompadour żyła szybko i równie szybko została zapomniana. Nawet król niedługo ją oplakiwał. Jedyńą, którą to obchodziło, była kobieta, której markiza odebrała męża: Maria Leszczyńska. Kilka dni po śmierci markizy królowa wspomniała swemu staremu przyjacielowi, przewodniczącemu parlamentu Henault: „Tutaj na dworze nie mówi się już o nieboszczce, jakby nigdy jej nie było. Ale taki właśnie jest świat, nie warto zadawać sobie trudu, by go kochać”.

Na pytanie, co wyróżniało markizę de Pompadour wśród innych kobiet, można podać wiele odpowiedzi. Najtrafniejszą sformułował człowiek, który znał ją od dzieciństwa i który ponoć był w niej zakochany, opat Franciszek Joachim de Pierre de Bernie: „Markiza nie posiadała żadnej z owych wielkich wad ambitnych kobiet, miała jednak wszystkie przywary i słabości kobiet upojonych swoją urodą i rzekomą wyższością. Czyniła zło, nie będąc złą, a dobro czyniła z kaprysu. W przyjaźni, jak w miłości była zazdrosna, lekkomyślna i niestała”.

* Francuski historyk i pisarz, encyklopedysta.

VIII

Joanna du Barry - okrutny los metres

Życie! Gdyby darowano mi życie, oddałabym Narodowi cały swój majątek!

(Ostatnie słowa Joanny du Barry, kochanki Ludwika XV, wypowiedziane w drodze na szafot)

M

arkiza de Pompadour od pięciu lat spoczywała w grobie, gdy Maria Joanna (Marie-Jeanne) Bécu, lepiej znana jako pani du Barry, została kochanką Ludwika XV. Była to piękna, niewysoka modystka o sre-brzystoblond włosach, lekko sepleniąca, która w wyniku licznych miłosnych przygód zdobyła tytuł hrabiny. Choć jej uroda była niezrównana, a polityczne wpływy ogromne (co w końcu miało kosztować ją głowę), całe życie pozostawała w cieniu markizy de Pompadour.

Jednak jej kariera - jak można określić zapewniające wymierne korzyści pozycie miłosne Joanny - była o wiele bardziej spektakularna niż kariera pani de Pompadour, która bądź co bądź wywodziła się z lepszego środowiska niż prości ludzie z prowincjonalnego miasteczka. Do dziś pochodzenie pani du Barry spowija tajemnica. Dotyczy ona choćby dnia jej narodzin, gdyż niemal każde źródło podaje inną datę.

Ale komu miało zależeć na dokładnej dacie urodzin nieślubnego dziecka krawcowej z Yaucouleurs, zwłaszcza że z postacią domniemanego ojca wiąże się pewna niestosowność. Jean-Baptiste Gomard de Vau-

269

bernier, a tak brzmiało jego nazwisko, był mnichem i nosił zakonne imię brat Ange, czyli Anioł.

Te nieszczęsne okoliczności sprawiły, że matka Joanny, której w życiu nie układało się najlepiej, podjęła decyzję o przeniesieniu się wraz z dzieckiem do Paryża, gdzie jej przeszłość nie wzbudzałaby takiej sensacji jak na prowincji, a może nawet mogłaby zostać zupełnie zapomniana. Matka Joanny, Anna, wkrótce znalazła posadę w domu wdowy po urzędniku finansowym Renardzie. Pani domu nie życzyła sobie jednak obecności dziecka, w związku z czym Joanna za opłatą 30 franków miesięcznie trafiła do przytułku. Później, gdy sytuacja matki poprawiła się, jako że wyszła za mąż za skromnego urzędnika, dziewczynka została wysłana do szkoły przyklasztornej Saint Aure

w Paryżu, gdzie otrzymała przyzwoite wykształcenie i którą ukończyła, mając piętnas'cie lat.

Już w klasztorze zwracano uwagę na urodę Joanny, a gdy rozpoczęła naukę zawodu modystki w paryskim magazynie mód pana Labille'a przy Rue Neuve-des-Petits-Champs, nagle zaczęło w nim bywać więcej mężczyzn niż modnych pań. Przychodzili tylko po to, by zobaczyć urodziwą i dobrze wyrosniętą dziewczynę. Joanna do wszystkich robiła słodkie oczy, najpierw do kuchcika, brata uczennicy z klasztoru, następnie do pewnego hrabiego, który przypadkiem trafił do sklepu Labille'a. Joanna spała z każdym, kto powiedział jej kilka banalnych komplementów.

Na galanterii najlepiej znał się właśnie ów hrabia. Nazywał się Jean du Barry, pochodził z Levignac koło Tuluzy, lecz za zgodą swej małżonki przeprowadził się do Paryża, by zdobywać świat, a dokładniej półświatek. W Paryżu nazywano hrabiego, znanego salonowca i rozpustnika, Hultajem. Gdy Joanna zorientowała się, z kim przestaje, było już za późno, zresztą pewnie i tak nie miałoby to większego znaczenia. Joanna miała dziewiętnaście lat i skąd mogła przypuszczać, że pewnego dnia przystojny i dobrze ubrany hrabia o doskonałych manierach odda do jej dyspozycji swój dom i swoje serce - nawet jeśli ów wytworny pan miałby się okazać sutenerem. Du Barry stroił Joannę w klejnoty i kosztowne stroje, zabierał do teatru oraz, wyłącznie po to, by ich widziano, do przybytków rozkoszy, które człowiek jego stanu mógł odwiedzać wyłącznie incognito.

W ten sposób Joanna Rancon - takie nazwisko nosiła, odkąd jej matka wyszła za mąż - stała się znana w całym mieście, w każdym razie w pew-

270

nych kręgach. Jednak Hultajowi przeszkadzało proste pochodzenie partnerki, gdyż takich dziewcząt lekkich obyczajów były w Paryżu dziesiątki tysięcy. Hrabia du Barry mógłby jednym pociągnięciem pióra uczynić z Joanny hrabinę, można powiedzieć - hrabinę lekkich obyczajów, podobnie jak było w przypadku de Pompadour, lecz musiałby poślubić pannę Ra-ncon, a to nie było możliwe. Nie dlatego, żeby nie chciał (du Barry ożeniłby się nawet z zakonnica, jeśli tylko przyniosłoby mu to finansową korzyść), lecz dlatego, że, jak już wspomniano, był żonaty, a jego małżonka zarządzała posiadłością w Langwedocji, gdzie dojrzewają najlepsze czerwone wina. Ale Jean miał jeszcze niezżonatego brata o imieniu Wilhelm. Pośpiesznie zaprosił go więc do Paryża i postawił niemalże przed faktem dokonanym. W ten sposób 1 września 1768 roku Joanna została hrabiną du Barry*. Po złożeniu podpisu Wilhelm powrócił do domu, a większość ludzi nawet nie zauważyła, że hrabia u boku Joanny to wcale nie jej ślubny małżonek, lecz jego brat.

Wilhelm, małżonek tylko na papierze, zgodził się oczywiście na ów mariaż, stawiając finansowe żądania, które umożliwiły mu prowadzenie beztroskiego życia. Zgodnie z umową małżeńską Joanna du Barry musiała pokrywać koszty wspólnego utrzymania, koszty domu i dworu wraz ze służbą i powozami, jednak jako hrabiowska kokota brała znacząco wyższą stawkę niż dziewczęta lekkich obyczajów z placu Pigalle. Hrabina du Barry obracała się mianowicie w najwyższych sferach - do jej klientów należał nawet arcybiskup Narbonne, którego zwykle zaspokajała w przebraniu zakonnicy - jednak Hultajowi to nadal nie wystarczało. Na dworze Ludwika XV nikt dotąd nie

zastąpił markizy de Pompadour, a Joanna du Barry wydawała się hrabiemu stworzona do tego, by zająć jej miejsce u boku króla.

Z tego względu wysłał madame du Barry, wyposażoną w list z jakąś błahą prośbą oraz dekolt, który nie pozostawiał wiele miejsca dla wyobraźni, na jedną ze zwyczajowych audiencji w Wersalu. I jak można się było spodziewać, sprawa nabrała tempa. Król zlecił swojemu pierwszemu pokojowcowi Lebelowi nawiązanie przy zachowaniu największej dyskrecji kontaktu z ową uroczą osóbką. Joanna osiągnęła swój cel. Ironią losu

* Rzeczywista pisownia tego nazwiska to Dubarry, a prawa tej rodziny do tytułu hrabiowskiego były wątpliwe.

271

było to, że rajfur Lebel zmarł kilka tygodni później*, a Joanna du Barry wprowadziła się do jego mieszkania w Wersalu.

Relacja pomiędzy Ludwikiem XV a Joanną du Barry od początku miała charakter zmysłowy i interesowny. Król pożądał wdzięków pani du Barry, a ona pożądała pieniędzy. Nigdy nie było mowy o miłości pomiędzy pięćdziesięciosiedmioletnim królem a dwudziestopięciolatką. Joanna uważała Ludwika za egoistę, który nie potrafi kochać nikogo prócz siebie samego. Powiedziała kiedyś, że wyniósł nudę na królewski urząd, a życie budzi w nim mniejszą lub większą odrazę.

Niemniej jednak hojność króla imponowała jej. Ponoć hrabina du Barry otrzymała za pierwszą wspólną noc z Ludwikiem XV biżuterię wartą 160 tysięcy franków oraz portfel zawierający 200 tysięcy franków. Za taką ilość pieniędzy Joanna gotowa była udawać czułą miłość. Otrzymywała coraz więcej pieniędzy i prezentów, gdyż, jak Ludwik wyznał jednemu ze swych przyjaciół, zapewniała mu takie przyjemności, jakich dotąd nie znał. Ów przyjaciel, a był nim książę de Noailles, odparł na to chłodno: „Widać, że Jego Królewska Mość nigdy jeszcze nie gościł w przyzwoitym burdelu”.

Madame du Barry miała jeszcze więcej wrogów na dworze króla niż jej słynna poprzedniczka markiza de Pompadour. Przede wszystkim należały do nich „Jaśnie Panie”, czyli pozostające w staropanieństwie córki Ludwika XV i Marii Leszczyńskiej**. Natomiast wśród polityków przeciwnikiem du Barry był książę de Choiseul-Amboise, niegdyś faworyt madame de Pompadour, a jednocześnie kuzyn króla, fitienne Francois de Cho-iseul nie mógł pojąć, jak Ludwik XV może tak deptać pamięć o markizie de Pompadour, publicznie oznajmiając, iż du Barry jest o wiele lepsza od Pompadour, i obdarowując tę dziewczkę pałacami, podobnie jak kiedyś markizę***. Choiseul był pomysłodawcą małżeństwa delfina, późniejszego Ludwika XVI, z austriacką arcyksiężniczką Marią Antoniną i naraził się

* Uczuciowy Lebel zmarł na kolkę wątrobową dwa dni po tym, jak król uniósł się na niego gniewem, gdy pokojowiec, przerażony rozwojem sytuacji, zwrócił mu uwagę, że ta młoda osoba może być jedynie przelotnym flircikiem, a nie faworytą.

* Madame Adelajda, madame Wiktoria i madame Zofia, które dobiegały wówczas czterdziestki.

* Warto nadmienić, że Choiseul chciał, by nową metresą króla została jego siostra, księżna de Gramot.

272

tym pani du Barry, która właśnie zaczęła zajmować się polityką. 24 grudnia 1770 roku Ludwik zwolnił swojego kanclerza Choiseula i wygnał go do Chanteloup. Od tego dnia wszyscy, którzy dotąd uważali madame du Barry za niegroźną królewską lafiryndę, zaczęli traktować nową kochankę Ludwika XV z ogromnym szacunkiem.

Hrabina Joanna du Barry szła w ślady markizy de Pompadour. Jednak w przeciwieństwie do swojej poprzedniczki pani du Barry nie znosiła konkurentek i uważała, że ma prawo wyłączności względem króla. Żeby nie przychodziły mu więcej do głowy głupie pomysły, sprzedała za 16 tysięcy franków osławiony dom w Jelenim Parku, gdzie Ludwik XV od wielu lat zażywał rozkoszy z młodymi dziewczętami. Natomiast sama niekoniecznie dochowywała wierności królowi. Spała z jego pokojowcem, przyjacielem z młodych lat, a gdy romans ten przedostał się do wiadomości publicznej, zapłaciła mu 10 tysięcy franków, by na zawsze opuścił Francję.

Ludwik XV był niewolniczo uległy wobec hrabiny du Barry. Robił to, czego żądała, i nie brał jej za złe, gdy publicznie krzyczała na niego: „Jesteście największym kłamcą na świecie!” tylko dlatego, że Jego Królewska Mość nie od razu spełnił jedno z jej życzeń. Jean, szwagier-sutener, który wciąż pozostawał w pobliżu, oraz Chon, garbata szwagierka du Barry i jednocześnie jej pokojowa, obserwowali każdy krok hrabiny i z podejrzliwością słuchali wszelkich wypowiedzi, by natychmiast donieść o nich Joannie. Tak więc owe pięć lat u boku Ludwika XV z pewnością nie należało do szczęśliwych, niemniej jednak były to lata pełne sukcesów. A sukcesy i bogactwo zawsze były dla hrabiny du Barry ważniejsze niż szczęście.

Upadek Joanny nastąpił równie nagle, co jej wyniesienie. Był 27 kwietnia 1774 roku. Po polowaniu z Joanną Ludwik XV powrócił z gorączką do Petit Trianon, pałacu, który zbudował jeszcze dla madame de Pompadour. Następnego dnia twarz króla pokryły czerwone krosty, a w kolejnym dniu także grzbiety jego dłoni i ramiona. „Król ma ospę!”, rozniosła się wieść po pałacu w Wersalu, dokąd go w międzyczasie przewieziono. Hrabina du Barry nie odstępowała go na krok.

4 maja, po tym jak sześciu medyków, pięciu chirurgów oraz trzech aptekarzy doszło do wniosku, że królowi nie można już pomóc, Ludwik XV przeprowadził długą rozmowę ze swoją konkubiną, która osłodziła mu ostatnie lata życia, i z ciężkim sercem poprosił ją, by opuściła Wersal. Choć prowadził życie pełne skandali, to umrzeć pragnął, jak przystało owdowiałemu

273

królowi Francji - w samotności. 10 maja 1774 roku, tuż przed szesnastą, Ludwik XV dokonał żywota*.

Hrabina du Barry przeniosła się do księżnej d'Aiguillon** do zamku Reuil. Tam nastąpiło jej zatrzymanie z rozkazu Ludwika XVI. Joanna została osadzona w policyjnym

areszcie, a następnie uwięziona w klasztorze Pont-aux-Dames koło Meaux. „Ta kreatura siedzi w klasztorze” - donosiła swojej matce Marii Teresie nowa królowa Francji, Maria Antonina - „a wszyscy, którzy mieli coś wspólnego z tym skandalem, zostali wygnani z dworu”.

Gdy Joanna du Barry została po roku zwolniona z klasztoru i wysłana do pewnego pałacu w pobliżu Arpajon, wydawało się, że wszystko się ułoży. Dwa lata po śmierci Ludwika XV jego następca zezwolił nawet hrabinie, która była niegdyś jego śmiertelnym wrogiem, powrócić do jej pałacu Louveciennes, gdzie na nowo pojawili się również jej dawni przyjaciele i kochankowie.

Przez lata Joanna du Barry utrzymywała miłosny trójkąt z dwoma mężczyznami, lordem Henrym Seymourem oraz księciem de Brissac. Byli to znaczący panowie w kwiecie wieku i obaj żonaci. Ale w końcu hrabina również była zamężna. Gdy jeden z jej kochanków przychodził na noc, drugiego zapraszała w kolejny dzień rano. Seymour pierwszy dowiedział się o rywalu i zażądał, by hrabina któregoś z nich wybrała. Joanna zdecydowała się na księcia de Brissac. Ich związek trwał dwanaście lat. Zakończyła ją nawałnica francuskiej rewolucji, która panowanie arystokracji *ancien régime* zastąpiła rządami burżuazji.

Joanna du Barry z pewnością żałowała, że nie pozostała ową Joanną Vaubernier, jaką się urodziła. Jednak czasu nie da się cofnąć. Związek z księciem de Brissac, którego Ludwik XVI uczynił na dodatek dowódcą swej straży, również przyczynił się do tego, że jej osoba nie mogła popaść w zapomnienie. Była nawet bardziej znana jako kochanka rojalisty Brissaca niż jako była kochanka Ludwika XV. Książę de Brissac został aresztowany 31 maja 1792 roku. Pewnego wrześniowego dnia horda rewolucjonistów zjawiała się pod pałacem w Louveciennes. Na tyczce nieśli odciętą głowę

* Ospa wietrzna, niegroźna dla dzieci, okazała się dla schorowanego sześćdziesięcioletniego króla śmiertelna. * Książę d'Anguillon był jej przyjacielem i faworytem; dzięki jej poparciu został ministrem spraw zagranicznych.

274

mężczyzny. Miał wyklute oczy. Gdy Joanna dzielnie wystąpiła naprzeciw motłochowi, rzucili ją do jej stóp. Była to głowa de Brissaca.

Joanna du Barry obawiała się o swoje życie, więc uciekła do Anglii, gdzie na wygnaniu żyło już wielu rojalistów. Przy okazji popełniła pewną nieostrożność: zabrała ze sobą do Anglii listy do francuskich wygnańców. Później rozpowiedziano o owej przysłudze i Joanna po dobrowolnym powrocie do Francji została aresztowana jako agentka. Był 22 września 1793 roku. du Barry miała już pięćdziesiąt lat.

Dwa tygodnie później, bo tyle trwały przesłuchania, stanęła przed rewolucyjnym trybunałem w wielkiej sali starego parlamentu.

Sędzia Dumas rozpoczął proces: „Nazywacie się?”.

„Joanna Vaubernier”.

„Wiek?”.

„Czterdzieści dwa lata” - skłamała Joanna. Odmłodziła się. Nawet w zagrażających

jej życiu okolicznościach nie była w stanie powiedzieć prawdy, że jest pięćdziesięcioletnią kobietą. Kłamstwo to było jednak ostatnim triumfem hrabiny du Barry.

Proces zakończył się tak, jak można było oczekiwać. Rewolucyjny oskarżyciel Fouquier-Tinville zażądał kary śmierci. Sędzia Dumas wydał wyrok: „Śmierć na gilotynie”.

Na szafot zawiozła Joannę du Barry więzienna kibitka. Jej włosy zostały krótko ścięte. Krzyknęła: „Życie! Gdyby darowano mi życie, oddałabym Narodowi cały swój majątek!”.

Wołanie pani du Barry pozostało bez odpowiedzi.

IX

Rozpustne kobiety Napoleona III

Na parterze jest ta blondynka, madame de La Bedoyere. Chciałbym się jej pozbyć. Na pierwszym piętrze mieszka rudoblond hrabina Castiglione, bez wątpienia bardzo piękna, lecz prostoduszna i pozbawiona smaku. Nudzi mnie. Na drugim piętrze znowu blondynka, madame de Walewska. Chodzi za mną krok w krok. Cóż mam czynić?

(Napoleon III do swojej kuzynki Matyldy, z którą łączyły go nie tylko więzy pokrewieństwa)

P

aryż, koniec XIX wieku. Wąskich i wysokich okiennic eleganckiego domu przy Placu Vendôme 26 nie otwierano od lat, a jedynie nieliczni znali jego tajemnicę. Za zamkniętymi okiennicami ukrywała się w całkowitych ciemnościach contessa Wirginia di Castiglione, zmagająca się z atakami obłędu, samotnością i strachem przed ludźmi. Jej jedyne towarzystwo stanowili stara służąca i dwa zramolałe, grube psy. W pokojach wszystko było czarne; meble, zasłony, nawet pościel na łóżku, w którym spędzała całe dnie.

Gdy przy placu Vendôme zapalały się latarnie gazowe, zdarzało się niekiedy, że stara hrabina wkładała luźną czarną suknię, zasłaniała twarz welonem i niczym widmo wychodziła z domu, śpiesząc na Rue de Rivoli i wlokąc za sobą po bruku rąbek sukni. Jeśli kogoś napotykała, kryła się w ciemnościach wejść domów lub jak zjawia znikwała po drugiej stronie ulicy.

Czarna hrabina żyła w szaleńczym przeświadczeniu, iż jest potwornie brzydka. Panicznie bała się luster, a w jej mieszkaniu wszystkie przedmioty, które mogłyby pokazać jej odbicie, zostały usunięte lub zniszczone. Z tego samego powodu zakazała używania srebrnych tac. Wirginia cierpiała bardziej niż jakakolwiek kobieta o zbliżonych objawach. A przy tym jeszcze nie tak dawno uchodziła za najpiękniejszą kobietę Europy i prawdopodobnie również za najdroższą, przede wszystkim jednak była kochanką pewnego ważnego żonatego mężczyzny: Karola Ludwika Napoleona Bonapartego, który do historii przeszedł jako Napoleon III.

Owemu trzeciemu Napoleonowi, bratankowi wielkiego Bonapartego, niełatwo było radzić sobie z własnym słabościami oraz silnym charakterem żony Eugonii. Kobiety w ogólności interesowały go bardziej niż polityka, w każdym razie Napoleon III większe sukcesy odnosił jako kochanek niż jako polityk, co nie wynikało jednak wcale z jego erotycznych umiejętności. Cesarz wykladał ogromne kwoty na folgowanie swym żądom, a pieniądze odegrały istotną rolę również w jego związku z Wirginią di Castiglione.

Gdy spotkali się po raz pierwszy, Napoleon III był dopiero co po ślubie, a jednocześnie u szczytu władzy. Od siódmego roku życia przebywał z matką na wygnaniu w Niemczech i Szwajcarii, a po dwóch nieudanych próbach przewrotu został we Francji skazany na dożywotnie więzienie. Udało mu się jednak zbiec do Anglii, skąd przeprowadził kampanię wyborczą, która w końcu pozwoliła mu powrócić do Francji. II Cesarstwo Francuskie („Le Second Empire”) pod rządami Napoleona III trwało od 1852 do 1870 roku. W większym stopniu niż sam Napoleon ukształtowała je jednak jego żona, Eugenia de Montijo, jasnowłosa córka pewnego hiszpańskiego hrabiego.

Eugenia całkowicie różniła się osobowością i charakterem od Napoleona: była piękna, mądra, ambitna i oddana polityce. Niejednokrotnie sprawowała nawet rządy pod nieobecność cesarza. Wszystko to nie wystarczało jednak, aby mogła przywiązać do siebie Napoleona III na tyle, by zrezygnował z innych kobiet. Wręcz przeciwnie: Eugenia, której cele w większości przypadków diametralnie różniły się od celów Napoleona, wręcz popychała go w ramiona innych kobiet. Jest to jednak tylko jedno z możliwych wyjaśnień, a bardziej prawdopodobne jest, że otyły cesarz Francuzów miał po prostu skłonność do poligamii, przy czym zupełnie nie zważał na sytuację rodzinną swoich kochanek.

Napoleon III poślubił Eugenię tylko dlatego, że pochodziła z arystokracji i była przyzwoitą kobietą, a warto zaznaczyć, iż w połowie XIX wieku takie połączenie wcale nie było oczywistością. Swoją namiętnością obdarzał nieprzyzwoite damy z półświatka, które za pieniądze robiły to, czego żądał, i o mało co nie poślubiłby jednej z nich, gdyby nagle nie pojawiła się Eugenia. Ale po kolei.

Dwie próby obalenia króla Ludwika Filipa zakończyły się fiaskiem, a Napoleon wylądował w więzieniu, gdzie walcząc ze śmiertelną nudą, dwa razy skutecznie zapłodnił córkę dozorky więziennego Eleonorę, zanim w przebraniu murarza zwiął do Anglii. Uwielbiał Anglików, a jeszcze bardziej szczupłe Angielki, które zwykle przewyższały go o głowę. Z całą pewnością Ludwik Napoleon nie grzeszył urodą. Miał grube, przysadziste ciało, za krótkie nogi, wysokie czoło z zaczesanym na bok

kosmykiem włosów, długi mięsisty nos oraz dziwaczną i zaniedbaną brodę.

Fakt, że spodobał się właśnie pannie Harriet Howard, damie, za którą przepadała londyńska śmietanka towarzyska, może wiązać się z wielkim nazwiskiem, jakie nosił ten niski Francuz, gdyż mężczyzna jako takich miss Howard z pewnością nie brakowało. Major Mountjoy Martyn nie był oczywiście jej jedynym partnerem, był jednak tym, który jako żonaty mężczyzna najwięcej zainwestował w związek z Harriet, by biedne dziewczę ze wsi mogło dysponować domem przy Berkley Square, okazałymi powozami i najwspanialszymi strojami. Właśnie w domu Harriet przy Berkley Square mieszkał Ludwik Napoleon aż do powrotu do Francji, i wygląda na to, że ustalono wówczas, iż Bonaparte i Harriet Howard pobiorą się, zwłaszcza że Harriet po przybyciu do Francji przejęła wychowywanie swego własnego nieślubnego dziecka oraz obu splotzonych w więzieniu dzieci pretendenta do tronu.

Bonaparte sfinansował swojej kochance kamienicę z tylnym wejściem przy Rue du Cirque. Jednak rozpustny związek nie mógł długo utrzymać się w tajemnicy, zwłaszcza że Harriet dbała o to, by towarzyszyć Napoleonowi w pałacu Saint-Cloud, gdzie oddano do jej dyspozycji dyskretny apartament. Było to ze wszech miar słuszne, gdyż Harriet Howard, która dzięki swojej mało chwalebnej profesji zgromadziła milionowy majątek, ogromnymi sumami wspierała polityczne plany „swego księcia”. Nic nie mogło jej powstrzymać przed wyprzedawaniem na rzecz Ludwika Napoleona londyńskich nieruchomości, sreber i biżuterii. Gdyby miała poję-

278

cie, jak za jej hojność odwdzięczy się Bonaparte, który zaledwie niedawno poprzez zamach stanu został cesarzem Francuzów, z pewnością nie byłaby taka szczodra.

Jednak Francuzi widzieli w tej równie dumnej, co pięknej Angielce jedynie, oględnie mówiąc, kobietę z ludu, i choć byli skłonni pozwolić cesarzowi na kochankę pochodzącą z tak niskiego stanu, to na żonę - nigdy! O znalezienie kobiety nadającej się na żonę dla nowego francuskiego cesarza, który miał już przecież czterdzieści pięć lat, starała się przede wszystkim jego pochodząca z Westfalii kuzynka Matylda*. Okazała się bardzo pomysłowa i wraz z Napoleonem ukartowała spisek, jak postawić Harriet Howard przed faktem dokonanym.

Ludwik Napoleon pod każdym względem był tchórzem, a zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety. Był też kapryśny i niekonsekwentny, a swoje zachowanie zwykł był usprawiedliwiać kłopotami żołądkowymi. Tak naprawdę nie starczyło mu odwagi, aby prosto w oczy powiedzieć swojej kochance, która do tej pory zdążyła wesprzeć go w drodze do cesarskiej korony kwotą nie mniejszą niż pięć milionów franków: jesteś idealną kochanką, ale niestety nie nadajesz się na żonę. Zamiast tego wymyślił dziwacznego spisek. Harriet miała udać się z szefem rządu Napoleona Moquardem do Londynu, aby tam znaleźć pewnego szantażystę. Do Napoleona docierały rzekomo listy od owego mężczyzny, w których oferował on swe milczenie na temat pewnych skandalów dotyczących Harriet Howard. Oczywiście Harriet była jak najbardziej zainteresowana aresztowaniem oszusta. Jednak zgodnie z planami cesarza i jego kuzynki po opuszczeniu Francji miała nigdy więcej do niej nie powrócić.

Cesarz i jego kuzynka pomyśleli niemal o wszystkim, zapomnieli jedynie o pogodzie. Zimowe sztormy z taką siłą smagały kanał La Manche, że przeprawa statkiem była

niemożliwa. W związku z tym w styczniu 1853 roku Harriet Howard całymi dniami czekała na wypłynięcie statku do Anglii. Napoleon sądził, że jego kochanka od dawna jest na wyspie i ogło-

* Matylda Letycja Wilhelmina Bonaparte, córka byłego króla Westfalii Hieronima, najmłodszego brata Napoleona I, była zaręczona ze swą młodzieńczą miłością, kuzynem Napoleonem Ludwikiem, późniejszym Napoleonem III, jednak ojciec wydał ją za bogatego rosyjskiego hrabiego Anatola Demidowa. Od cara Mikołaja I uzyskała separację od brutalnego męża i powróciła do Paryża, gdzie miała ogromne wpływy.

279

sił swe zaręczyny z Eugenią de Montijo y Kirkpatrick, hrabiną de Teba. Wszystkie gazety napisały o tym wydarzeniu na pierwszej stronie.

Gdy Harriet przeczytała ową wiadomość, straciła przytomność, lecz zaraz po jej odzyskaniu wyruszyła do Paryża. Tam spotkał ją drugi ciężki cios: jej dom został przeszukany od piwnicy aż po dach. Nie brakowało niczego poza listami, jakie pisał do niej Napoleon. Harriet dostała ataku hysterii, a następnie posłała do Pałacu Elizejskiego wiadomość, że cesarz ma niezwłocznie zjawić się przy Rue du Cirque. Napoleon III posłuchał. Zbyt dobrze znał zadziorną Angielkę i obawiał się wywołania jeszcze większego skandalu, gdyby nie spełnił jej żądania.

Nie było żadnych świadków ich rozmowy, niemniej wiadomo, iż Napoleon III poszedł na znaczące ustępstwa wobec swej kochanki; obiecał jej sześć milionów franków (które mniej więcej odpowiadały kwocie, jaką do tej pory przeznaczyła na wsparcie Ludwika Napoleona), a poza tym tytuł hrabiny von Beauregard (zamek o tej nazwie i tak j uż do niej należał), który to tytuł miał dziedziczyć jej nieślubny syn Martin Constantin. Hojność Napoleona na tyle udobruchała Harriet, że jeszcze tego samego wieczoru doszło do tete-a-tete na czerwonej sofie byłej kochanki, przy czym uzgodniono, że po ślubie i miesiącu miodowym z Eugenią Harriet i Napoleon „pozostaną w jak najbardziej przyjacielskich stosunkach”.

Oczywiście Harriet Howard doskonale opanowała sztukę miłości i w żadnym razie nie musiała się obawiać hiszpańskiej księżniczki. Dla niej to, że Napoleon na zawsze powróci na jej czerwoną sofę, było jedynie kwestią czasu. W rzeczywistości nastąpiło to szybciej, niż oczekiwała. Nie minęły dwa miesiące, a Hiszpanka zaczęła uskarżać się na swoje życie na dworze. Poza tym denerwował ją opętany seksem małżonek, który „ciągle chciał tylko jednego”.

Nadszedł czas Harriet. Na okres przebudowy swojego zamku Beauregard za pozwoleniem cesarza zamieszkała w Wersalu, otoczyła się (podobnie jak cesarz) odzianą w zieloną liberię służbą i obserwowała każdy jego krok. Po jednej z parad wojskowych podjechała powozem i wciągnęła zaskoczonego cesarza do swego ekwipażu. By uniknąć rozpoznania, Napoleonowi III nie pozostało nic innego, jak w trakcie przejazdu przez Wersal pozbyć się galowego munduru i przebrać się w mieszczański przyodziewek. Następujące po tym brawurowe tete-a-tete - a tylko w tym celu Harriet urządziła całe przedstawienie - zakończyło się solidną kłótnią między cesa-

rzem a jego małżonką. Cała Francja szeptała o tym wydarzeniu, natomiast dla Harriet Howard, zaspokojonej hrabiny, drzwi salonów eleganckiego towarzystwa były od tej pory zamknięte.

Napoleon sądził, iż dobre zamążpójście - choćby było to tylko małżeństwo zawarte dla pozoru - poprawi pozycję Harriet. Było to myślenie jak najbardziej zgodne z powszechnymi ówczesnie poglądami. Jednak w wiktoriańskiej Anglii nie znalazł się ani jeden arystokrata, który zebrałby się na odwagę, by poślubić kobietę o tak złej sławie. Ostatecznie swą gotowość zawarcia związku małżeńskiego z cieszącą się złą reputacją, lecz niezwykle atrakcyjną panną wyraził w zamian za dożywotnią rentę młodszy od Harriet o trzy lata lord z Kornwalii. Ten młody człowiek nie miałby nic przeciwko niezobowiązującemu spełnieniu obowiązku małżeńskiego. Tego jednak nie życzyła sobie Harriet. Zawarte 15 maja 1854 roku małżeństwo miało jedynie zapewnić pozory, nic poza tym.

Panna Harriet Howard przeobraziła się co prawda w lady Trelawny, jednak nie spełniły się jej nadzieje, że jako wytworna dama uzyska dostęp do eleganckiego towarzystwa. Jej ślub stał się nawet po fakcie skandalem, gdy rodzice sprzedaj nego pana młodego dowiedzieli się o postępkach syna i zatrzasnęli skandalizującej synowej drzwi przed nosem. Harriet skarżyła się: „Przyzwoite kobiety nie chcą mnie przyjmować, a ich niewinne córki patrzą na mnie jak na ostatnią zdziwę!”.

Gwiazda Harriet zaczęła przygasać. Także we Francji, dokąd wkrótce powróciła w towarzystwie męża, lorda Trelawny, nadal spotykała się z potępieniem. Choć na zamku Beauregard otaczała się liczną służbą i luksusem hrabiowskiego domu, wytworne towarzystwo unikało jej jak ognia i nawet cesarz się od niej odsunął. Przyczyną tego wszystkiego był rosnący wpływ cesarzowej Eugenie, która w coraz większym stopniu przejmowała kontrolę nie tylko nad polityką swojego męża, lecz również nad jego życiem.

Poślubiony dla pozorów małżonek Clarence Trelawny, nic nie wskórawszy, wrócił do Kornwalii, a wokół Harriet zapadła cisza. Dziesięć kolejnych lat mieszkała w swym okazałym zamku, lecz nikt już nie interesował się porzuconą metresą cesarza. Gdy 9 sierpnia 1865 roku zmarła na raka, okazało się, że tytułu hrabiny de Beauregard używała bezprawnie. Prawdopodobnie Napoleon III zapomniał podpisać odpowiedni dekret. Na fasadzie zamku Beauregard widniał gipsowy symbol życia Harriet - uciekający Amor.

Im ostrzej postępowała z Napoleonem III cesarzowa Eugenia, im częściej wplątywała go w kampanie i wojny, im bardziej oddalała się od niego pod względem politycznym, tym gorliwiej szukał on innych kobiet, które wraz z przybywającymi mu latami stawały się coraz młodsze. Jeszcze za życia Harriet Napoleon III znalazł upodobanie w młodej kokocie z prowincji, która wcześniej ciężką pracą zarabiała na chleb w jednej z fabryk w Nantes. Jeszcze w Nantes, mając szesnaście lat, stwierdziła, że młoda, jasnowłosa i wyjątkowo ładna dziewczyna może z mniejszym wysiłkiem zarabiać pieniądze, po prostu wdzierając się do mężczyzn. Julie Leboeuf, bo tak nazywała się ta młoda dama o żywym usposobieniu, rzuciła więc harówkę w fabryce i wkrótce pożegnała również

provincję, przenosząc się do Paryża, gdzie - jak wieść niosła - kochankowie za te same usługi płacili bez porównania wyższe honoraria. Nazwiska i adresy takich pań jak Julie przekazywano sobie przede wszystkim w kręgach wojskowych.

Jak wszystkie kobiety z półświatka, Julie osiadła w okolicy placu Pi-galle, ale jak nieliczne z nich, dzięki protekcji pewnego znanego w mieście fircyka i sutenera, szybko awansowała, trafiając nawet do cesarskiego łóża. Jej opiekun i kochanek Gramot uznał przede wszystkim, że dama, która sprzedaje swe cielesne wdzięki, nie powinna nazywać się Wołowina (Leboeuf). Julia traktowała swój zawód jak sztukę - co potwierdzali niezliczeni klienci - więc pasowało do niej artystyczne nazwisko. Od tej pory temperamentna blondynka nazywała się więc Marguerite Bellanger. Klienci wkrótce nadali jej przydomek: Margot la Rigoleuse - Małgosia Śmieszka, gdyż Julie vel Marguerite vel Margot zawsze świadczyła swe usługi w dobrym humorze i sypiąc żartami.

Opiekun Margot długo zastanawiał się, jak uwielbianą przez klientów dziewczynę zabrać z targowiska kokot i sprawić, by obracała się jedynie w najlepszych sferach. Wiadomo było, że Napoleon III utrzymuje własną „kobietą służbę”, która zapewniała małemu cesarzowi towarzyski do łóżkowych zabaw. Jego Cesarska Mość zwykł był odbywać swe liczne sam na sam w niepozornym domu przy Rue du Bac, który podczas obecności cesarza był pilnie strzeżony, nie tyle z obawy przed zamachami, co ze strachu przed małżonką Napoleona, Eugenią, która nieraz przyłapała swojego męża na skoku w bok. Gramot wymyślił intrygę, jakiej nie powstydziliby się sam Guy de Maupassant.

282

Pewnego dnia, gdy cesarz przejeżdżał aleją do swego zamku Saint-Cloud, Marguerite Bellanger stała przy drodze w strugach deszczu. Żal mu było przemokniętej dziewczyny, więc rzucił jej opończę, nie uświadamiając sobie, że w ten sposób wpadł w sidła Małgosi Śmieszki. Po kilku dniach wystrojona w sposób podkreślający wszystkie jej wdzięki kokota zażyczyła sobie rozmowy z cesarzem. Nie dała się zbyć, twierdząc, iż musi przekazać Napoleonowi paczkę z osobistymi rzeczami. Brzmiało to wiarygodnie, gdyż dama owa była dokładnie w typie Napoleona, a kto wie, co Napoleon mógł zostawić u tej piękniśki po potajemnym sam na sam. Marguerite dopuszczono do cesarza.

Gdy drzwi gabinetu Napoleona w Saint-Cloud ponownie się otworzyły, był już wieczór, a Małgosia Śmieszka osiągnęła swoje cele. Przede wszystkim, cesarz polecił przekazać kochance sporą kwotę, żeby była już niezależna od zarobków otrzymywanych od innych mężczyzn. Pierwsze randki cesarza i Margot odbywały się w domu przy Rue du Bac, jednak wkrótce Napoleon wyszykował dla Marguerite okazałą willę na prowincji w Passy, i nie była to jedyna przeznaczona dla niej willa. Zawsze tam, gdzie zatrzymywał się Napoleon III, czy to w Saint-Cloud, w Vichy, w Biarritz czy w Compiègne, Małgosia Śmieszka mieszkała w jakimś domu w pobliżu cesarza. I było tak przez trzy lata.

Eugenia, małżonka Napoleona, była zbyt zajęta sama sobą lub po prostu nie chciała przyjąć tego hulaszczego związku do wiadomości. Z tego powodu jej uwadze umknął również fakt, iż jej mąż został ojcem: 24 lutego 1864 roku Marguerite Bellanger urodziła syna, Charlesa. W trakcie jednego z licznych pobytów zdrowotnych w Vichy, podczas którego cesarzowi jak zwykle towarzyszyła druga żona, a tym razem również prawowita małżonka, przez przypadek doszło do publicznego skandalu. Podczas przechadzki cesarskiej pary po parku zdrojowym w Vichy podbiegł do nich mały piesek, który tak

łasił się do Napoleona, skamlał i czekał, że Eugenia spytała cesarza: „Znacie to zwierzątko?”.

Oczywiście, że Napoleon znał pieska. Należał on do Marguerite. Ale cóż miał odrzec? „Nie!” - zapewnił cesarz Francuzów. - „Skąd miałbym wiedzieć, czyj to kundel”.

Wtedy zza krzewu wyłoniła się Małgosia Śmieszka i wyjaśniła powody sympatii pieska do cesarza. Wkrótce obie panie skoczyły sobie do oczu. Napoleon przyznał się do winy, wyraził nawet skruchę, lecz na nic się to

283

nie zdało. Eugenia wyjechała, udając się na kurację do Bad Schwalbach, i wyglądało na to, że nie ma najmniejszego zamiaru stamtąd wracać.

Napoleon III był jednak zbyt słaby i nie potrafił rządzić bez Eugenii. Z tego względu słał do Bad Schwalbach płaczliwe listy i błagał swoją żonę, żeby do niego wróciła. Eugenia spełniła jego prośbę. Ale od tego momentu to ona rządziła i nawet podejmowała polityczne decyzje sprzeczne z wolą cesarza oraz domagała się, by Napoleon zakończył swój związek z Małgosią Śmieszką, gdyż wbrew solennym zapewnieniom małżonek wciąż zadawał się z ową rozpustną dziewczką.

Na początku 1865 roku wściekła Eugenia odwiedziła Marguerite Bel-langer w domu przy Rue du Bac. Cesarza przypadkowo i na jego szczęście akurat tam nie było, a to z konkretnego powodu: sługusi cesarskiej służby bezpieczeństwa, których zadaniem było chronienie pozamałżeńskich działań Napoleona, kilka dni wcześniej zabrali nieprzytomnego cesarza do domu. Przy okazji wyszło na jaw, że Napoleon zasnął w łóżku szalonej Marguerite.

„Madame!” - wykrzyczała Eugenia do przestraszonej kokoty - „Pani zabija cesarza, on ma pięćdziesiąt siedem lat, a jego zdrowie szwankuje!”. Po czym cesarzowa zaproponowała kochance Napoleona III wysoką kwotę, jeśli ta zniknie z jego życia.

Marguerite Bellanger vel Julie Leboeuf zniknęła. Kronikarze nie wspominają o kwocie, jaką za to otrzymała. Faktem jest, iż owa szalona kokota podpisała papier zaprzeczający, że Napoleon jest ojcem małego Charlesa. Faktem jest również, że Margot - z pewnością nie z konieczności, lecz raczej ze skłonności — kontynuowała żywot dziewczyny lekkich obyczajów. Bądź co bądź Małgosia Śmieszka miała dopiero dwadzieścia pięć lat.

W Paryżu mieszkało wówczas wiele kokot, które reklamowały się jako kochanki cesarza. Należała do nich również hrabina Wirginia di Castiglione. Wspomniana na wstępie niniejszego rozdziału kochanka Napoleona III, która skończyła jako obłąkana, swoją paplaniną o tym, jak była konkubiną cesarza, przyczyniła się do tego, że zaczęła wykonywać tę samą profesję co Marguerite Bellanger. Jednak podczas gdy Małgosia Śmieszka po kilku latach wylądowała w silnych ramionach pewnego pruskiego junkra, który ją poślubił, Wirginii nie udało się uniknąć smutnego losu. Świadoma swego porzucenia przez cesarza, spotykała się z mężczyznami pełna coraz

większej, prowadzącej do sadyzmu, nienawiści. Myliłby się ten, kto sądziłby, że mogło to oznaczać koniec jej interesów. Mężczyźni, którzy chcieli być poniżani i torturowani przez hrabinę Castiglione, oblegali jej dom i płacili astronomiczne kwoty za jej usługi. Nietypowe praktyki seksualne hrabiny, o których, jak podkreślała, decydowała tylko ona, wymagały czasem tak dużego wysiłku fizycznego, że musiała potem przez trzy dni leżeć w łóżku. Ponoć bogaty jak krezus markiz de Herfort zaproponował jej za taką noc milion franków.

Prowadzenie się hrabiny Castiglione nie mogło umknąć uwadze cesarzowej Eugenie, a wiedza ta musiała być dla niej przykra. W końcu to ona sama poznała Napoleona i Wirginię. Jej małżeństwo z cesarzem nie trwało jeszcze trzech lat, gdy hrabina została przysłana do Paryża przez króla Piemontu, z którym wcześniej dzieliła łóżko, w celu oczarowania cesarza Francuzów, tak by opowiedział się za zjednoczeniem Italii. Wiktor Emanuel znał słabości Napoleona i wysłał do niego najpiękniejszą kobietę ze swego królestwa. Co prawda od niedawna była mężatką, jednak dla króla nie stanowiło to żadnej przeszkody, zwłaszcza że w małżeństwie między starzejącym się hrabią Franceskiem di Castiglione a wówczas ledwie siedemnastoletnią Wirginią już po czterech tygodniach od ślubu zanosilo się na kryzys.

Wirginię, która wraz z małżonkiem i sześcioma powozami pełnymi bagażu przybyła do Paryża, wyprzedzała sława jej niemożliwej do opisanego urody. Kuzynka Napoleona Matylda wydała na jej cześć elegancki wieczór towarzyski, podczas którego doszło do okropnych przepychanek wśród najwytworniejszych gości, gdyż każdy chciał być jak najbliżej piemonckiej piękności. Również Napoleon i Eugenia złożyli hołd hrabinie, jednak cesarz wydawał się umiarkowanie zachwycony i stwierdził, że Wirginia jest co prawda piękna, jednak ewidentnie brakuje jej rozumu. A ponieważ rozum był ostatnią rzeczą, na jaką Napoleon zwracał u kobiet uwagę, można swobodnie przyjąć, iż od początku zapalał namiętnością do Wirginii, a ową negatywną uwagę poczynił wyłącznie ze względu na Eugenię.

Po trzech latach małżeństwa Eugenia wciąż widocznie wierzyła w słowa swego męża, w każdym razie nie wahała się zaprosić pełną życia hrabinę Castiglione na świętowanie przesilenia letniego w Villeneuve-l'Etang. Doszło wówczas do skandalu: cesarz wziął Wirginię za rękę i wsiadł z nią do jednej z ozdobionych lampionami łódek, znajdujących się na brzegu

stawu. Powiosłował z piękną hrabiną w stronę ustronnej wysepki, z której powrócili dopiero o świcie w dość pomiętych ubraniach - jak to się mówiło. Eugenia była wyjątkowo wściekła, gdyż zaproszeni goście, w tym wielu zagranicznych dyplomatów, mimowolnie stali się świadkami niewierności małżeńskiej cesarza, o której zawiadomili wszystkie europejskie stolice.

Wirginię cieszyła sława kochanki cesarza, nawet jeśli wiedziała, że nie jest tą jedyną. Hrabina di Castiglione nie żyła tak po prostu, ona celebrowała życie: nosiła najdroższe stroje, najmodniejszy makijaż i najkosztowniejszą biżuterię, w tym szmaragdową koliaż z najpiękniejszym we Francji klejnotem, którą otrzymała od cesarza w prezencie.

Świadomie podkreślała urok swych kształtnych piersi, nie pokazując ich w dekolcie, lecz, jak donoszą naoczni świadkowie, zupełnie obnażone przysłaniając jedynie lekką gazą. Rozumie się samo przez się, że w ten sposób Wirginia zyskała wroga w każdej kobiecie, natomiast mężczyźni leżeli u jej stóp. Pomimo szczodrych dotacji ze strony Napoleona III jej styl życia wymagał ogromnych ilości pieniędzy, i choć hrabia Francesco di Castiglione nie należał do biedaków, małżonka doprowadziła go niemal do ruiny. I to właśnie pieniądze zdecydowały ostatecznie, że Francesco wziął z Wirginią rozwód.

Hrabina di Castiglione była tak pewna siebie i swojej urody, że nie mogła lub nie chciała wyobrazić sobie, że Napoleon III kiedykolwiek mógłby mieć jej dość. Niemniej jednak jego namiętność do piękności z Piemontu nie trwała dłużej niż rok. Wkrótce potem skarżył się swojej kuzynce Matyldzie, z którą łączyły go nie tylko więzy pokrewieństwa, na tłok w jednym z domów, w których urządził sobie hotel na godziny: „Na parterze jest ta blondynka, madame de La Bédoyere. Chciałbym się jej pozbyć. Na pierwszym piętrze mieszka rudoblond hrabina Castiglione, bez wątpienia bardzo piękna, lecz prostoduszna i pozbawiona smaku. Nudzi mnie. Na drugim piętrze znowu blondynka, madame de Walewska*. Chodzi za mną krok w krok. Cóż mam czynić?”

Napoleon rozstał się z wszystkimi trzema. Wirginię dotknęło to najboleśniej. Była zbyt przywiązana do cesarza. Hrabina Castiglione szczerze

* Anna Maria Walewska, z domu Ricd, żona hrabiego Aleksandra Colonne-Walewskiego, francuskiego polityka, naturalnego syna Napoleona I i pani Walewskiej. Według niektórych historyków ostatnie dziecko Anny Marii i Aleksandra, urodzona w 1856 r. Eugenia, była tak naprawdę córką Napoleona III.

286

wierzyła, że pojawiając się we Francji, zjednoczyła Włochy i uratowała papieżstwo. Takie przekonanie wystawiało ją co prawda na pośmiewisko, jednak nie przeszkadzało uganiać się za nią żadnemu z pożądanym jej wielbicielom. Od tej pory ptaszyna, która wypadła z cesarskiego gniazda, kochała tylko za pieniądze. Cenę podnosiła rozdarta koszula nocna, którą hrabina di Castiglione miała na sobie podczas czułych godzin spędzonych z cesarzem w posiadłości Compiègne na lewym brzegu rzeki Oise. Pokazywała ją jak relikwię. W swej „koszuli nocnej z Compiègne” chciała być także pochowana. Jej życzenia jednak nie spełniono. Zmarła w Paryżu w 1899 roku, mając sześćdziesiąt dwa lata.

bieram ze sobą służącą, którą znam od dzieciństwa, która jest moim jedynym towarzystwem i z którą mogę otwarcie rozmawiać.

Poszliśmy między innymi do Schönbrunnu. Już o szóstej rano byliśmy w parku i spotkałyśmy jakiegoś oficera, który na mój widok zaczął się we mnie zdumiony wpatrywać, przy czym nie mógł się napatrzeć i niezliczoną ilość razy oglądał się za mną. Moja służąca powiedziała mi, że to cesarz. Dygnęłam, a cała krew napłynęła mi do serca. Cesarz, na którym musiałam zrobić duże wrażenie, mijał mnie wielokrotnie z każdej możliwej strony...

... W domu żadnego spokoju, nadal myślę o owym spotkaniu, dzień i noc mam przed sobą obraz cesarza i jego uśmiechu! Czy powinnam znowu pójść do

Schónbrunn? Po stokroć powtarzam sobie, że nie! I równie często, że tak! W końcu poszłam. Widziałam go 13., 14., 15., 16., 17., 18., 19. Jednak zawody w bieganiu już się skończyły. Mimo to spotkał mnie kilkakrotnie, zawsze pierwszy mnie pozdrawiając, jednak zachowywał się już spokojniej...

15 lipca zaprowadził mnie do odosobnionej części parku, zwanej ogrodem tyrolskim, do którego weszłam nieco strwożona, gdyż gestem dłoni pokazał Liii, żeby się zatrzymała, i powiedział: „Proszę tu poczekać”. Zaprowadził mnie do ławeczki, na której usiedliśmy. Bezustannie mnie podziwiał, całował, stawał się coraz bardziej natarczywy; zaczęłam bać się przebywania z Nim tam sam na sam i poprosiłam, aby mnie z powrotem wyprowadził. Zapewnił mnie, że nic mi się nie stanie, i poprosił, bym mu pozwoliła, że jest taki szczęśliwy! Powiedział, że to jego najszcześniejsze godziny, jednak pozostałam nieugięta, z uniesionymi rękoma poprosiłam, by mnie odprowadził z powrotem, co uczynił z westchnieniem, założywszy najpierw łańcuszek, który zdjął mi z szyi, i zapiawszy tył mojej sukni. Pożegnał się na dłuższy czas.

By zobaczyć, gdzie mieszka piękna pani Anna, podczas ćwiczeń cesarz Franciszek Józef odtrąbił pewien manewr, którego droga wiodła dokładnie przy jej domu koło parku pałacowego. Pod koniec września znów spotkali się na „zwyczajnym spacerze” w przypałacowym ogrodzie tyrolskim i przy tej okazji Anna zdradziła cesarzowi, że jej mąż po raz kolejny ją opuścił, tak więc nic nie stoi na przeszkodzie, by spotkali się u niej w domu.

290

Pod koniec września Anna zanotowała w swoim dzienniku:

...Przy pożegnaniu przytrzymał mnie jeszcze i powiedział: Gdy przyjdę, proszę nie mieć na sobie tego uciążliwego gorsetu. —Jeśli takie jest Pańskie życzenie, nie założę go. Wie Pani co, kontynuował, jeśli mnie Pani kocha, proszę czekać na mnie w łóżku. To jednak było dla mnie zbyt wiele, wobec niego akurat chciałam być nieugięta, nie chciałam pozwolić, by to mnie przypisywano winę. Nigdy, musiałabym być całkowicie pewna, niezależna. Byłam zakłopotana, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Po chwili odparłam jednak, że tak być nie może, Wasza Wysokość, przecież muszę Wam otworzyć drzwi. Po długim przekomarzaniu się ustąpił.

Również Anna ustąpiła, poddając się żądzy monarchy, zwłaszcza że Jego Cesarska Mość zwykł był przychodzić do niej z brązową kopertą pełną gotówki. Ponadto związek z cesarzem pomógł jej odbudować nadwątloną rozpadem małżeństwa pewność siebie. To, że cesarz Austro-Węgier akurat ją wybrał na swoją kochankę, było dla młodziutkiej Anny prawdziwym wyróżnieniem. Zapiski Anny w jej dzienniku mogą się wydawać prostoduszne, a nawet dziecinne, jednak cesarska kochanka dokładnie wiedziała, co robi. Choć pamiętnikowi zwierzała się, że cesarzowi oddana jest ciałem i duszą, ani razu nie napomknęła, że kocha Franciszka Józefa. Wiedziała, „że to prędzej czy później się skończy”, w związku z czym - za przyzwoleniem swego cesarskiego kochanka - szukała mężczyzny, którego będzie mogła kochać. I znalazła odpowiedniego kandydata o imieniu Franciszek, po czym zaszła w ciążę.

.. Jest jesień. Siadam do biurka i piszę list do cesarza, w którym proszę Go, by pozwolił mi wyjść za mąż, ale tylko jeżeli nie cofnie swej życzliwości dla mnie! Gdyż nic na tym świecie nie mogłoby mi jej zastąpić! W liście ujawniam także, kim jest ten, którego chcę poślubić. Już przy najbliższym spotkaniu dam Mu list z prośbą o odpowiedź.

Cesarz przyszedł po dwóch dniach. Leżałam w łóżku, by ukryć swój stan. Jest zimno i padało całą noc. Cesarz przyszedł do mnie zupełnie przemoczony, usiadł na brzegu łóżka i powiedział: Zastanowiłem się, tak będzie dla Pani najlepiej, jeśli wyjdzie Pani za mąż. Na wiosnę przyniosę Pani większą kwotę...

291

Cesarz dotrzymał słowa. Pewnego dnia, o czwartej nad ranem, czyli w swojej ulubionej porze na pozamałżeńskie amory, Franciszek Józef przybył z „tęgą kopertą”. Mieściła w sobie 50 tysięcy guldenów - ogromna kwota, biorąc pod uwagę, że przeciętna pensja wynosiła wówczas około 100 guldenów.

Mając dziewiętnaście lat, Anna Nahowski, rozwiedziona z producentem jedwabiu o nazwisku Heuduk, po raz drugi wyszła za mąż. Jej małżonek, Franciszek, cesarsko-królewski urzędnik faworyzowanego Towarzystwa Kolei Południowej, nie bez zastrzeżeń akceptował jej związek z cesarzem, jednak osiągnęte dzięki temu romansowi dochody umożliwiały mu prowadzenie beztroskiego życia. Anna „służyła” monarsze jako konkubina przez czternaście lat (naprawdę uważała romans z cesarzem za rodzaj służby), dorobiwszy się przy tym okazałego majątku.

W roku 1884 Nahowscy nabyli okazałą posiadłość położoną przy Ma-xingstrafie AG naprzeciwko parku pałacowego - co było bardzo praktycznym rozwiązaniem. Willa kosztowała 15 tysięcy guldenów, a jej remont pochłonął niemal drugie tyle, jednak odtąd cesarzowi łatwo było niemal regularnie pojawiać się u pani Nahowski „na śniadanie”.

Oczywiście nie przypadkiem Towarzystwo Kolei Południowej wielokrotnie wysyłało Franciszka Nahowskiego do najodleglejszych punktów sieci kolejowej na świecie, co jednakże nie przeszkadzało mu niespodziewanie zjawiać się w domu i robić żonie sceny zazdrości, zwłaszcza gdy na świat przyszło pierwsze dziecko, a Franciszek wątpił w swoje ojcostwo. Cesarz Franciszek Józef, czy raczej fundusz rodzinny Habsburgów, przejął później utrzymanie wszystkich trojga dzieci Anny. Jej córka Helena została żoną Albana Berga, znanego kompozytora muzyki dodekafonicznej.

Franciszek Józef nigdy nie interesował się dziećmi Anny. Tak naprawdę miłości czy prawdziwej sympatii nie czuł nawet do Anny. Ich związek miał z obu stron czysto seksualny charakter. Jednak jeszcze podczas trwania tej relacji cesarz zaczął się rozglądać za czymś nowym. Prawdopodobnie dlatego, że Anna, jak napisała w jednym z listów, „zbyt zajęta jest dziećmi i sprawami domowymi”. Franciszek Józef poprosił ją na piśmie, by nigdy więcej nie chodziła na spacer po pałacowym parku, gdyż teraz będzie się tam częściej udawał z cesarzową, a przypadkowe spotkanie mogłoby się okazać zdradliwe.

292

W rzeczywistości cesarz gruchał tam już sobie od lata 1886 roku z aktorką teatru dworskiego Katarzyną Schratt. Tym razem jednak wszystko odbywało się za przyzwoleniem cesarskiej małżonki Sisi. To ona była inicjatorką owego związku, który miał trwać przez całe

życie, i doskonale wiedziała, co robi.

Egzaltowana cesarzowa od dawna czuła się na okazałym wiedeńskim dworze z jego 1400 pokojami jak w więzieniu, więc uciekała stamtąd przy każdej nadarzącej się okazji. Będąc daleko, nie musiała opędać się od poufałości ze strony cesarza, których szczerze nie znosiła. Dyskretna kochanka być może mogłaby ją uwolnić zarówno od konieczności przebywania na dworze, jak i od wypełniania obowiązków małżeńskich. Elżbieta napawała się swoją samotnością. Jedyne zainteresowania, jakie łączyły ją z mężem, czyli polowania i jazda konna, dawno przestały ją bawić. Teraz cesarzowa w całkowitej samotności roztkliwiała się nad przyrodą i prowadziła rozmowy z duchami zmarłych poetów. Własną urodę podziwiała z taką żarliwością, że za swojego najlepszego przyjaciela uznała zwierciadło i codziennie kazała się dosłownie zaszywać w sukniach, by żadna fałdka materiału nie szpeciła jej wyglądu. Groźba pojawienia się małej zmarszczki na jej obliczu sprawiała, że cesarzowa zaczynała wątpić w siebie samą, w Boga i w cały świat.

Natomiast Franciszek Józef był skromnym, nie najlepiej wykształconym, stąpającym mocno po ziemi mężczyzną. Choć miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat, to trzydzieści siedem lat trudnych rządów oraz broda, którą nosił, nadawały mu wygląd starego człowieka. Prowadził skromny, ascetyczny, wręcz spartański tryb życia. Wstawał bardzo wcześnie (o wpół do czwartej) i każdy dzień miał dokładnie zaplanowany. Najchętniej zostawał w domu, chyba że chodziło o polowanie. Jego małżeństwo z Elżbietą trwało już od trzydziestu lat, a na świat przyszło troje ich dzieci*, jednak tak naprawdę Franciszek Józef i Sisi małżeństwem pozostawali jedynie na papierze i tylko dlatego, że tak wypadło.

W roku 1883 doszło do pewnego brzemiennego w skutki spotkania, które całkowicie odmieniło życie cesarza Franciszka Józefa. Aktorka Katarzy-

* Elżbieta i Franciszek mieli czworo dzieci: Zofię, Gizelę, Rudolfa i Marię Waleric. W 1857 roku podczas podróży cesarskiej pary na Węgry towarzyszące rodzicom Zofia i Gizela dostały gorączki i silnej biegunki. Dwuletnia Zofia zmarła w Budapeszcie.

293

na Schratt, będąca od czterech lat żoną zadłużonego węgierskiego playboya Nikolausa Kissa von Itebbe oraz matką jego syna, miała wówczas trzydzieści lat i znajdowała się w szczytowym punkcie swojej zawodowej kariery, gdyż otrzymała angaż w cesarsko-królewskim teatrze dworskim. Zgodnie z tradycją miała zostać przedstawiona cesarzowi, który ów teatr finansował.

Franciszek Józef już dawno upatrzył sobie tę atrakcyjną aktorkę o ru-doblond włosach i głębokim głosie - a przynajmniej takie wrażenie odniosła cesarzowa.

W każdym razie nie on jeden. Mężczyźni o wielkich tytułach lub wielkich majątkach, a także tacy, którzy dysponowali i tytułem, i majątkiem, jak hrabia Wilczek, próbowali kusić uwielbianą diwę komplementami i zaproszeniami, zwłaszcza gdy rozniosły się pogłoski, że Katarzyna rozstała się z rozrzutnym małżonkiem.

W związku z planowaną audiencją u cesarza aktorka uczyła się dworskich ukłonów, odpowiedniego zachowania na dworze oraz prowadzenia wytwornej konwersacji, w

czym pomagał jej sam radca dworu o nazwisku Schulz. Jednak wykorzystała tylko ukłon, ponieważ Jego Cesarska Mość, obyty w kontaktach z nieśmiałyimi młodymi damami, przejął inicjatywę i poprosił „łaskawą panią”, by usiadła. Ta oburzona odmówiła, a gdy cesarz nalegał, odparła, że nie usiadzie, bo Schulz jej tego zabronił. Pocieszny sposób bycia pięknej aktorki spodobał się Franciszkowi Józefowi i gdy Jego Cesarska Mość spytał Katarzynę, jak czuje się w teatrze dworskim, a ona opowiedziała o uprzejmości kolegów oraz wyglądającym jak hrabia suflerze, cesarz roześmiał się głośno, co od dawna mu się nie zdarzyło. Jego Cesarska Mość był pod wrażeniem - czy też, jak zwykł był mawiać: „Było to bardzo piękne, sprawiło nam wielką radość”.

Przy całej swej nieśmiałości - która równie dobrze mogła być tylko udawana - pani Schratt nie omieszkała nie zauważyć, że jej osoba nie pozostawiła cesarza obojętnym. W każdym razie już kilka tygodni później zebrała się na odwagę i poprosiła o kolejną audiencję u Franciszka Józefa, której jej bez zwłoki udzielono. Chodziło o niezwykle delikatną materię, jako że aktorka ujawniła cesarzowi swoją katastrofalną sytuację finansową. Choć Katarzyna jako aktorka Teatru Zamkowego (*Burgtheater*) zarabiała rocznie (wraz z dodatkiem na stroje i innymi apanażami) niemal 8 tysięcy guldenów (czyli w przeliczeniu prawie 60 tysięcy euro), nie była

294

w stanie spłacać długów, które nagromadziły się w wyniku kosztownego trybu życia jej męża. Katarzyna poprosiła cesarza o wstawienie się za nią w pewnej sprawie finansowej, w której chodziło o otrzymanie odszkodowania od państwa. Franciszek Józef wyjaśnił, że osobą odpowiedzialną za tę sprawę jest węgierski minister Koloman Tisza, lecz od tej chwili wiedział już, czego „łaskawa pani” naprawdę pragnie.

Kolejne spotkanie cesarza z aktorką (na balu przemysłowca w 1885 roku) było może przypadkowe, jednak ich długa konwersacja na podium sali balowej zwróciła powszechną uwagę. Do kolejnych spotkań dochodziło coraz częściej, w czym bez wątpienia maczała palce cesarzowa Elżbieta. 17 sierpnia, w przeddzień pięćdziesiątych piątych urodzin cesarza, który jak zawsze spędzał je w cesarskiej willi w Bad Ischl (cesarska willa składała się zasadniczo z dwóch skrzydeł, z których jedno zastrzeżone było dla Franciszka Józefa, a drugie dla Elżbiety), wystawiono w teatrze bliską cesarskiemu sercu sztukę Ferdynanda Raimunda pt. *Utracjusz*. W rolach głównych wystąpili niezwykle wówczas popularny Aleksander Girardi oraz... Katarzyna Schratt.

Osiem dni później w wyniku starań Bismarcka, któremu zależało na wzmocnieniu słabego Trójprzymierza, cesarz Franciszek Józef spotkał się w pałacu arcybiskupów ołomunieckich w Kromieryżu z carem Rosji Aleksandrem III. Morawskie miasto Kromieryż wydawało się bardziej odpowiednie dla ochrony cara przed zamachowcami niż pełen wrzenia Wiedeń. Aleksander przybył z żoną i synem oraz stuosobową świtą, natomiast cesarzowi Franciszkowi Józefowi, co wywołało zdumienie, towarzyszyła Elżbieta, która nienawidziła takich wystąpień. Jednak za niespodziewaną obecnością Sisi kryły się dwie tajemnice. Cesarz niemal wyblagał obecność żony, a ona zgodziła się dopiero pod warunkiem, że później będzie mogła sama udać się w wielomiesięczną podróż po greckich wyspach, co w obliczu kryzysu bałkańskiego było dość niebezpiecznym przedsięwzięciem. Był również drugi powód, dla którego cesarzowa pojawiła się w Kromieryżu: Katarzyna Schratt.

Polityka bałkańska, główny temat spotkania cesarzy, wywoływała tyle napięć, że Franciszek Józef dla rozluźnienia atmosfery kazał zorganizować występy artystyczne, koncert na harfach oraz urywki ze sztuk teatralnych prezentowane przez gwiazdy Teatru Zamkowego: Charlotte Wolter, pannę Wessely, Adolfa Sonnenthala i Katarzynę Schratt.

295

Z „Ilustrowanego Wiedeńskiego Dodatku” z 26 sierpnia 1885 roku:

Cesarskie spotkanie w Kromieryżu

Rzadko przedstawienia teatralne mają tak wspaniały przebieg, jak gala teatralna, która odbyła się wczoraj wieczorem w Sali Lennej pałacu arcybiskupów. Przed przybyciem dworu uwaga wszystkich skupiała się na rosyjskich dostojnikach, którym ich wysokie postaci i wyraziste twarze nadawały niezwykle piętno...

Po krótkim preludium na harfach rozpoczęło się przedstawienie. Na scenę wkroczyły pani Wolter i panna Wessely, które przedstawiły końcówkę pierwszego aktu tragedii „Safó”. Majestatyczna gra wielkiej tragiczki wywarła ogromne wrażenie. Po zakończeniu sceny sam car dał sygnał do oklasków, jednak zgodnie z dworskim obyczajem aplauz wyrażały wyłącznie najważniejsze osobistości, i to nie tylko klaszcząc w dłonie, gdyż Ich Wysokości dawały wyraz swemu zachwytowi także za pomocą okrzyków: „Bardzo pięknie!”, „Brawo!”, „Doskonale!”...

Wesoły nastrój wzmógł się podczas przedstawienia komedii „On eksperymentuje”. Państwo serdecznie śmiali się z eleganckiej gry Sonnenthala i Baumeistera, a zwłaszcza z doskonałej gry pani Schratt, która święciła prawdziwe tryumfy.

To właśnie owego wieczoru 25 sierpnia 1885 roku, jeśli nie wcześniej, Jego Apostolski Majestat, Franciszek Józef I, cesarz Austro-Węgier, na amen zakochał się w aktorce Katarzynie Schratt. Zaprosił ją oraz pozostałych aktorów na kolację, co równało się skandalowi, z którego wyśmiewał się przede wszystkim tak liberalny zazwyczaj arcyksiążę Rudolf. W owym czasie nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że między jego ojcem a aktorką szykuje się coś, co w kręgach burżuazji określa się po prostu mianem romansu. Przede wszystkim nie orientował się, że wszystko dzieje się za przyzwoleniem jego matki, która była wręcz siłą napędową tego związku.

Owego wieczoru w Kromieryżu doszło do dłuższej rozmowy między Elżbietą a Katarzyną, która nie skończyła się, jak można by się było spodziewać, żadną sceną, a wprost przeciwnie. Wygląda na to, że owego wie-

296

czoru obie panie zawarły milczące porozumienie; porozumienie pomiędzy małżonką a przyszlą konkubiną. Ani cesarzowa, ani aktorka nigdy nie ujawniły choćby słowa z treści tamtej rozmowy. Nie ma jednak żadnych wątpliwości, że owego dnia zawarły pewien układ. Od 25 sierpnia 1885 roku Elżbieta nie omieszkła wykorzystać każdej okazji, by doprowadzić do spotkania swego męża z Katarzyną. By zachować pozory, cesarzowa od czasu do czasu pokazywała się z nimi obojgiem. Miało to uwiarygodnić jej przyjaźń z

panią Schratt. Akcja „Schratt” została przez Sisi dokładnie zaplanowana, a cesarzowa nadała jej nawet kryptonim: „minister wojny”. Pod tym hasłem kryła się Katarzyna Schratt.

Elżbieta i Franciszek Józef mieli oczywiście świadomość, że romans austriacko-węgierskiego monarchy z pochodzącą z mieszczaństwa aktorką (aktorki również w Wiedniu, a może zwłaszcza tam, cieszyły się wątpliwą sławą, jako że uważano je powszechnie za luksusowe prostytutki dla arystokratów) mógł pozbawić go tronu. Poza tym Franciszek Józef- w przeciwieństwie do Sisi, która była bardziej życzliwa Węgrom - był ulubieńcem ludu. Lud jednak nie wybaczyłby swojemu cesarzowi romansu z kobietą teatru.

Musieli więc nieźle koncytować, a owa zabawa w chowanego nierzadko przeradzała się w burleskę a la Nestroy*. Dość niezwykle było już samo to, że cesarzowa chciała podarować cesarzowi portret jego wybranki (przy czym wcale nie chodzi o konterfekt z podobizną cesarskiej małżonki), jednak jeszcze bardziej niezwykły był sposób, w jaki Sisi całą tę operację przeprowadziła. Elżbieta miała przyjaciółkę (o ile w ogóle kiedykolwiek miała jakąkolwiek przyjaciółkę), pierwszą damę dworu Idę von Ferenczy. Miała ona za zadanie pojawić się u dworskiego malarza Heinricha von Angeli, artysty w rodzaju Xavera Winterhaltera**, i zamówić portret Katarzyny Schratt. Pochodzący z Odenburga*** Angeli wyrobił sobie nazwisko mistrzowskimi obrazami historycznymi, po czym mniej więcej od roku

* Johann Nestroy, znany komediopisarz austriacki, twórca sztuk komediowych o rysach satyrycznych i parodycznych. ** Słynny niemiecki malarz i twórca litografii, znany przede wszystkim z portretów przedstawicieli europejskiej arystokracji. W trakcie swej kariery mieszkał m.in. w Paryżu i Londynie. Sportretował większość koronowanych głów Europy (m.in. cesarza Napoleona III, jego żonę Eugenię, królową Wiktorię, carową Aleksandrę Fiedorowną). *** Obecnie Sopron - miasto na zachodnim krańcu Węgier.

297

1870 zajął się malowaniem modnych i szykownych portretów całej europejskiej arystokracji. Być portretowanym przez Angelego oznaczało należeć do wyższej klasy, do owych dziesięciu tysięcy wybrańców Europy, wśród których z pewnością nie było miejsca dla jakiejś aktorki.

Malarz arystokratów zaprosił więc Katarzynę Schratt do swojego atelier, wyjaśnił, że otrzymał zamówienie od pewnego angielskiego lorda na olejny portret jego zmarłej żony, a pani Schratt jest uderzająco podobna do owej lady. Katarzyna zgodziła się, kilka razy pozowała Angelemu jako modelka i 21 maja 1886 roku została po raz ostatni zaproszona do atelier malarza, by poznać tajemniczego zleceniodawcę. Zza parawanu wyszedł cesarz...

Spotkanie w atelier Angelego spieszyło Katarzynę. Było to jej pierwsze zupełnie prywatne spotkanie z cesarzem, które wyraźnie wskazywało, że Franciszek Józef poważnie się jej osobą interesuje i - co było prawdopodobnie nawet ważniejsze - że dzieje się to za przyzwoleniem cesarzowej. Dwa dni później posłaniec przyniósł do

mieszkania Katarzyny małą paczuszkę. W środku był pierścionek ze szmaragdem oraz ręcznie napisany list o następującej treści:

Łaskawa Pani,

proszę, by załączona pamiątka została przyjęta przez Panią jako symbol mego serdecznego podziękowania za to, że podporządkowała się trudowi pozowania do obrazu Angelego. Raz jeszcze muszę powtórzyć, że nie ośmieliłbym się prosić o tę ofiarę i dlatego moja radość z tego drogiego poświęcenia jest tym większa.

Pani oddany wielbiciel.

Podczas spotkania w atelier malarza Katarzyna zdradziła, że planuje spędzić wakacje nad jeziorem Wolfgangsee, niedaleko letniej rezydencji cesarza w Bad Ischl. Zakochany władca ze zdenerwowania zapomniał, gdzie dokładnie aktorka chce się zatrzymać. Wysłał więc posłańca, by na piśmie dopytać: „Jak nazywa się ten dom albo willa? Jak długo idzie się pieszo z St. Wolfgang do niego? Czy przybędzie tam Pani już na początku czerwca czy dopiero później?”.

Franciszek Józef poprosił przez posłańca o odpowiedź na „kawałeczku papieru”, co Katarzyna uczyniła. Za znaczną kwotę 700 guldenów, mniej więcej 5 tysięcy euro, wynajęła na całe lato willę Frauenstein z „kąpieli-

298

skiem, łódką, serwisem stołowym, szkłem i urządzeniami kuchennymi na sześć osób”. Nieruchomość ta należała do byłej subretki z teatru miejskiego w Linzu, która otrzymała ją jako odprawę od jednego ze swych kochanków. Willa, podobnie jak związek właścicielki z hojnym kochankiem, czasy swej świetności miała już dawno za sobą. Choć była w niej bieżąca woda, z drewnianych rur wypływał także żabi i żółwi skrzek, a wczasowiczom pobyt umilały salamandry i jaszczurki. Jednak pani Schratt całkiem to odpowiadało — takie warunki uważano wówczas za romantyczne.

Gdy tylko cesarz przybył do Bad Ischl, natychmiast zapowiedział się u Katarzyny na następny dzień na śniadanie „około wpół do dziewiątej”. Ranki były ulubioną porą Franciszka Józefa na skoki w bok. Jednak na razie nie było o tym w ogóle mowy. Podczas tego spotkania atmosfera nie była aż tak sztywna, jak spodziewała się Katarzyna. Nie było to jednak zasługą cesarza, lecz samej gospodyni. Aktorka z typową dla siebie swobodą wesoło paplała, opowiadając o rzeczach, o których w towarzystwie monarchy się nie mówi. Niemniej cesarz był zachwycony, przede wszystkim różnymi błahostkami i ploteczkami, o których aktorka umiała świetnie opowiadać, a do których Jego Apostolski Majestat nie miał zwykle dostępu. Później doszło nawet do tego, że Franciszek Józef dopytywał się w listach do pani Schratt, czy jeden z aktorów poddał się już operacji nagniotka. Poza tym słynna pani Schratt mówiła w (okropnym) badeńskim dialekcie - Jego Wysokość był oczarowany.

Tego lata również cesarzowa Elżbieta znalazła się w Bad Ischl, gdzie zwykle nudziła się, podczas gdy cesarz chodził na spacerów lub polowania. (W cesarskiej willi w Bad Ischl wiszą trofea z ponad 10 tysięcy (!) jeleni, saren i kozic, które Franciszek Józef ubił w ciągu swego życia). Była to ewidentnie część jej planu, by pokazywać się jako

przyjaciółka pani Schratt, zanim związek jej cesarskiego małżonka z aktorką stanie się publicznie znany.

Niedługo później cesarzowa Sisi wraz ze swą szesnastoletnią córką Marią Walerią* pojawiła się nawet u Katarzyny Schratt we Frauenstein. Była to wizyta zupełnie prywatna, bez towarzyszenia świty - a także bez pieniędzy.

* Najmłodsze dziecko Franciszka Józefa i Elżbiety. Ulubienica matki, wychowywana przez nią (w przeciwieństwie do starszych dzieci, których wychowaniem zajęła się surowa teściowa Elżbiety, Zofia) i zabierana w liczne podróże.

299

dzy, tak że cesarzowa musiała pożyczyć od aktorki pieniądze na bilet na przejażdżkę parowcem po Wolfgangsee, ku uciechu licznych wczasowiczów, którzy rozbawieni śledzili tę scenę, a następnie rozpowiadali o przyjaźni cesarzowej Elżbiety z aktorką teatru dworskiego panią Schratt.

Gdy cesarzowa i aktorka spotykały się później, zwykle działo się to w obecności cesarza Franciszka Józefa lub były to spotkania o charakterze publicznym. Powszechnie uważano, że pani Schratt, aktorka teatru dworskiego, jest przyjaciółką *cesarskiej pary*.

W rzeczywistości Sisi wyśmiewała zarówno swego tokującego męża, jak i jego konkubinę. Po ich pierwszych spotkaniach przy śniadaniu w lecie 1886 cesarzowa zapisała w swym tajnym dzienniku entuzjastyczny wiersz o regionie Salzkammergut*. W ostatniej strofie wspomina pewnego indyjskiego króla, który ponad wszystko ukochał... krowę. I tak rymy autorstwa cesarzowej stają się pełne złośliwości:

*.. Zjej cichej doliny głos dzwonka dobiega; Król
Wiswamitra Od krowy swej przybiega. Och, królu
Wiswamitro, Cóż za wól z ciebie i lebiega.*

Choć cesarzowa starała się ukryć swe myśli, są one jednak jednoznaczne. Elżbieta od dawna nie traktowała swego małżonka poważnie. Od szesnastu lat nie dzieliła z nim cesarskiego łoża. Była szczęśliwa, gdy zajmował się swoimi sprawami, i z pewnością byłaby zadowolona, gdyby cesarz i pani Schratt zaspokoiili się wzajemnie już po swych pierwszych spotkaniach we Frauenstein. Jednak na razie nie było między nimi mowy o seksie. Z dwóch powodów: i cesarz, i aktorka pozostawali nadal w swoich starych związkach, Franciszek Józef z Anną Nahowski, a Katarzyna z hrabią Hansem Wilczkiem. Hrabia Wilczek obdarzał aktorkę co najmniej takim samym uwielbieniem jak cesarz. Zazdrość hrabiego była nieco chorobliwa, gdyż

* Historyczna kraina znajdująca się 50 km na południowy zachód od Salzburga, gdzie wśród malowniczych szczytów masywu Dachstein leży kilkanaście alpejskich jezior, m.in. Wolfgangsee. Ulubione miejsce wypoczynku cesarza Franciszka Józefa I.

zasypywał swą wybrankę listami - adresowanymi do „mojej Kasieńki”, w których nieustannie dominował jeden i ten sam temat: że Katarzynie nie wolno go opuścić, jako że przysięgała mu wierność na zawsze.

Pani Schratt i cesarz od początku wiedzieli o swoich związkach, lecz dla obojga jedynie kwestią czasu było, że z nich zrezygnują i będą już tylko dla siebie. Bez wątpienia Katarzyna Schratt znaczyła dla Franciszka Józefa bardzo wiele, nawet cesarzowa mówiła, że łączy ich porozumienie dusz. Cesarz zachowywał się więc niemal jak nieśmiały uczeń, któremu wystarczało samo przebywanie w pobliżu ukochanej.

Po powrocie do Wiednia cesarz natychmiast wybrał się w celach rozrywkowych do Anny, nie omieszkawszy jednak poinformować jej pisemnie, że jest już stary i z tego powodu w przyszłości nie będzie mógł tak często przychodzić. Nie wiadomo, czy Anna wiedziała o swojej rywalce. Jednak kobiety mają swoją intuicję, więc przeczuła, że ich związek zbliża się ku końcowi. W związku z tym przyśpieszyła swe starania u cesarza o nową posadę dla męża. Franciszek Józef, który wcześniej przychodził do pani Nahowski „w gości” co dwa tygodnie, teraz pojawiał się już tylko raz na miesiąc.

Sytuacja na Bałkanach stawała się coraz bardziej napięta, a cesarz coraz bardziej angażował się w sprawy państwowe. Nie miał czasu na nic poza częstszymi wizytami w teatrze dworskim. Nie opuścił żadnego przedstawienia, w którym występowała Katarzyna Schratt, i nie omieszkwał krytykować każdej sztuki z udziałem słynnej aktorki. Krytykować to zbyt mocne określenie - cesarz rozpływał się w pochwałach dla jej talentu i wyglądu. Tylko raz zdobył się na uwagę, że zupełnie nie podoba mu się ona w rolach męskich, a pani Schratt natychmiast zrezygnowała z przygotowywanego już wystąpienia w roli kadeta.

Podczas kolejnej zimy nie doszło między nimi do ani jednego osobistego spotkania, choć cesarz często widywał Katarzynę na scenie. Prawdopodobnie Franciszek Józef zastanawiał się, czy chce ujawnić publicznie swój platoniczny na razie związek. Trwała intensywne wymiana listów i podarków. Katarzyna przesyłała fotografie, które cesarz wiesział w swojej sypialni (portret pędzla Angelego znalazł się na honorowym miejscu w sypialni cesarskiej willi w Linzu) oraz papierośnicę, która była dla Franciszka Józefa tak cenna, że nie chciał jej używać z obawy, że w swoim roztargnieniu gdzieś ją zostawi i już nie znajdzie.

301

Natomiast hojność prezentów od cesarza budzi zdumienie, gdyż był to człowiek, który w chłodny dzień nie chciał zakładać płaszcza, twierdząc, że dzięki temu ochroni kołnierz marynarki. Franciszek Józef zasypywał gwiazdę sceny przede wszystkim klejnotami, które pani Schratt zawsze zakładała na scenę następnego wieczoru, a cesarz chwalił na przykład kokardę z diamentów, którą fryzjer teatralny Schwerdtner doskonale wkomponował we fryzurę Katarzyny, czy też złotą bransoletę, której urodę aktorka podkreśliła na scenie eleganckim ruchem ręki.

Cesarz troszczył się o dobre imię swojej wybranki. Podczas pewnego wielkiego balu w zapusty, na którym oboje byli obecni, Franciszek Józef bardzo skrupulatnie unikał zbliżania się do Katarzyny, choć niczego nie pragnął bardziej, gdyż nie rozmawiał z nią od pół roku. Jednak, jak usprawiedliwiał się listownie, w ten sposób

daliby tylko powód do brzydkich plotek, gdyż ze wszystkich stron obserwowały go lornetki, a wokół tłoczyli się pismacy.

Poza tym cesarz skarżył się (nawiasem mówiąc nie bez powodu), że Katarzyna Schratt żyje na zbyt wysokiej stopie. W związku z tym przesyłał jej w listach znaczne przekazy pieniężne jako „dodatek na stroje”, opatrzone usilną prośbą, by więcej długów już nie zaciągała, gdyż o jej talencie do finansów, w przeciwieństwie do talentu aktorskiego, nie jest „jeszcze” przekonany. Owe nie były jakieś finansowe podarunki (cesarz wziął na siebie choćby opłacanie czynszu za wynajem na wakacje willi we Frauenstein) miały jednak pozostać całkowitą tajemnicą i Franciszek Józef wymagał, by Katarzyna w swoich listach ani słowem nie wspominała o jego dotacjach. Prawdopodobnie nie wiedziała o nich nawet cesarzowa.

Elżbieta zaczęła nawet mieć wątpliwości, czy zainicjowany przez nią romans w ogóle ma miejsce, w związku z czym 1 marca 1887 roku zaaranżowała „przypadkowe spotkanie” w parku pałacowym w Schönbrunnie, które i tak już wstrząsanego silnymi emocjami cesarza wprowadziło w taki zachwyt, że wkrótce potem zaczął z dalekich Węgier, dokąd wezwwały go obowiązki państwowe, przysyłać najukochańszej tkliwe listy. Wyznawał w nich, że część swego cennego czasu spędza na wyszukiwaniu wzmianek o niej w docierających do niego z Wiednia gazetach.

Choć cesarz ze wszystkich sił starał się nie skompromitować aktorki Teatru Zamkowego, choć, jak już wspomniano, cała dotycząca pani Schratt korespondencja pomiędzy nim a cesarzową prowadzona była pod krypto-

302

nimem „minister wojny”, choć nigdy nie odwiedził swojej wybranki w jej wiedeńskim mieszkaniu przy Nibelungengasse, mimo wszystko łączący ich związek coraz częściej stawał się tematem rozmów.

Tematem rozmów wiedeńczyków stały się przede wszystkim kosztowne prezenty, jakimi Franciszek Józef obdarowywał panią Schratt. Dowiedziała się o nich również Anna Nahowski. Już od pół roku nie widziała cesarza, a do wściekłości doprowadzało ją to, że jej kochanek obsypuje swoją nową wybrankę biżuterią, podczas gdy jej podarował tylko jedną małą broszkę. Sprowokowała cesarza, pojawiając się wraz z mężem na przedstawieniu w Teatrze Zamkowym, w którym występowała Katarzyna Schratt, a Franciszek Józef był oczywiście obecny. Ich przybycie nie umknęło jego uwadze, doskonale rozumiał znaczenie gestów, więc by uniknąć skandalu, zjawił się u niej i, używając frazesów, wyjaśnił, że jest już stary, a jego potrzeby seksualne zanikają. Anna oddała Franciszkowi Józefowi wspomnianą broszkę i powiedziała mu, że w całym mieście mówi się o tym, iż Jego Cesarska Mość ma romans ze słynną aktorką. Franciszek Józef zaprzeczył i zapewnił ją, że chodzi tutaj tylko i wyłącznie o przyjaźń między cesarską parą a aktorką Teatru Zamkowego: „Pani Schratt to bardzo przyzwoita kobieta!”. Choć cesarz i Anna spotkali się potem jeszcze kilka razy („Tylko po to, żeby Panią zobaczyć”), ich związek należał już do przeszłości.

W owym czasie cesarz Franciszek Józef i Katarzyna Schratt jeszcze ze sobą nie sypiali. Wynika to z ich obfitej korespondencji. Sytuacja zmieni się jednak w trakcie 1888 roku, a inicjatorką owej zmiany będzie trzydziestocz-teroletnia aktorka, a nie jej pięćdziesięciosiedmioletni cesarski kochanek.

Wszystko zaczęło się od pewnego „zbrodniczego listu”, który po wielokroć opieczętowany załączyła do innego listu, jaki dotarł do cesarza podczas jego pobytu na Węgrzech w pałacu w Ofen*. Prosiła go przy okazji o wyrozumiałość, wręcz o litość dla wybuchu jej uczuć, w ramach którego nazywała cesarza swoim archaniołem i wyznawała mu miłość. Przy tym wszystkim dość jasno dała do zrozumienia, że niczego bardziej nie pragnie, jak znaleźć się w łóżku Jego Cesarskiej Mości.

Kompromitujący list, który Franciszek Józef przez długi czas trzymał w nocy pod poduszką i który sam nazywał „niebezpiecznym listem”, nie zachował się. Był zbyt niedyskretny i nawet po śmierci Katarzyny Schratt

* Dzisiaj Budapeszt.

303

nikt nie powinien był go zobaczyć. Zachowała się natomiast odpowiedź cesarza z *tego samego dnia*, w której Franciszek Józef określa list Katarzyny jako „list z myślami” - cokolwiek miałyby to oznaczać.

Odpowiedź Franciszka Józefa na wyznanie aktorki jest jednym z najdłuższych listów z ponad pięciuset, jakie napisał do swojej wybranki. Został przedstawiony poniżej w skróconej formie. Opuszczono akapity dotyczące najnowszych plotek teatralnych i towarzyskich oraz opisu widoku z gabinetu cesarza:

Ofen, 14 lutego 1888

Łaskawa Pani, dziś" wczesnie rano ku swej wielkiej radości otrzymałem Pani miły, dobry, długi list z 12., za który składam Pani najgorętsze i najserdeczniejsze podziękowania. Załączony list z myślami czyni mnie nieskończenie szczęśliwym, i gdybym nie wiedział, że zawsze jest Pani ze mną szczerą, nie mógłbym uwierzyć w jego treść, zwłaszcza gdy spoglądam w lustro i widzę, jak patrzy na mnie z niego me stare i pomarszczone oblicze. Bardzo trudno będzie mi odpowiedzieć na oba Pani tak pięknie przemyślane i napisane listy, gdyż nie mam talentu do pisania i nie mogę też długo się zastanawiać, ponieważ życzy sobie Pani szybkiej odpowiedzi, a także mnie pilno jest dać upust swym uczuciom.

Również poniższe linijki nie będą odpowiadać ścisłej cenzurze, więc najlepiej byłoby, gdyby je Pani spaliła. Niech mi Pani przynajmniej obieca bezpiecznie je przechowywać, tak by nigdy nie przeczytała ich obca osoba.

To, że Panią uwielbiam, z pewnością Pani wie lub przynajmniej czuje, a uczucie to ciągle we mnie wzrasta, odkąd mam szczęście Panią znać.

Tak więc teraz wzajemnie to sobie wyznaliśmy, i chyba dobrze, bo w końcu musiało się to stać.

Na tym jednak musimy poprzestać, a nasza relacja również w przyszłości musi pozostać taka sama, jak dotąd, jeśli ma trwać, a powinna, gdyż czyni mnie przecież tak szczęśliwym. Píše Pani, że będzie się starać opanować, ja również, nawet jeśli nie zawsze będzie to łatwe, gdyż nie chcę uczynić żadnej krzywdy, kocham moją żonę i nie

chcę nadużyć ani jej zaufania, ani jej przyjaźni dla Pani. Ponieważ jestem za stary, by być dla Pani bratem, proszę pozwolić mi być dla Pani w przyjaźni jak ojciec i proszę traktować mnie z taką samą dobrocią i swobodą, jak dotąd Pani list z myślami będę przechowywać jak cenny klejnot i jako dowód Pani miłości, proszę zachować dla mnie miejsce, które zajmuję w Pani wielkim sercu. Największe podziękowania za mój awans na archaniola, postaram się zasłużyć na tę nową godność. Najserdeczniej dziękuję również za Pani niedzielną modlitwę...

Kończę, prosząc, by nie była Pani na mnie zła za moje słowa. Uwielbiam Panią, nie będę tego jednak mógł w przyszłości mówić, niemniej zostało to powiedziane, więc proszę, by w przyszłości lubiła mnie Pani tak jak dotąd i uważała mnie za swojego najwierniejszego przyjaciela.

Szczerze Pani oddany

Franciszek Józef.

Styl, w jakim napisany jest list cesarza, rodzaj sztywnego pouczenia, sprawia wrażenie, że Franciszek Józef napisał go tylko dla pozorów, jakby obawiał się, że kusząca propozycja dworskiej aktorki i jego ze wszech miar chętna nań zgoda mogłyby w jakiś sposób przedostać się do wiadomości publicznej. Być może stąd wynika również pewna powściągliwość jego odpowiedzi. Jednak po zbadaniu całej korespondencji cesarza zwraca uwagę pewien szczegół: w odpowiedzi na list Katarzyny Schratt użył sformułowania, które wcześniej pojawiło się w jego korespondencji tylko jeden raz i to w liście do żony: „Uwielbiam Panią.”

Franciszek Józef rzeczywiście uwielbiał Katarzynę i wygląda na to, że wybuch jej uczuć zaskoczył go i speszył. Niezwykle konserwatywny monarcha musiał poczuć się niepewnie w sytuacji, gdy inicjatywę z jego cesarskich rąk przejęła Katarzyna. Ta z kolei niemal natychmiast czyniła sobie gorzkie wyrzuty, że wysłała ów „niebezpieczny list”, czuła, że w oczach Jego Cesarskiej Mości stała się „kusicielką”.

A cesarz pisał: „Nie zliczę, jak często czytałem ten niebezpieczny list”.

A tydzień później: „Kropla perfum w otrzymanym wczoraj Pani liście roztacza wyborny zapach, który wdycham z zachwytem”.

Z jednej strony zakochany władca, grożąc palcem, pisze, że nie chce uczynić żadnej krzywdy ani nadużyć więzi przyjaźni, a z drugiej strony

305

pobudza ukochaną coraz to nowymi dowodami miłości. Całe zachowanie cesarza w następnych miesiącach trudno jest zrozumieć, gdyż po powrocie do Wiednia najpierw odwiedza Annę Nahowski, a dopiero później spotyka Katarzynę na spacerze w parku przy pałacu Schönbrunn. Taka kolejność zdarzeń powtarza się wielokrotnie - aż do momentu, gdy pod koniec kwietnia dochodzi do kolejnej sprzeczki.

Anna zarzuca Franciszkowi Józefowi, że romans łączy go nie tylko z nią, lecz także z Katarzyną, czemu cesarz jednakowoż zaprzecza. Anna nie wierzy mu, zwłaszcza gdy składa on zapewnienie, że owej kobiety nie tknął „nigdy jeszcze nawet palcem”. Była to oczywiście ogromna przesada, a dla pani Nahowski wystarczający dowód, że cesarz ją okłamuje.

Na podstawie zachowanych listów trudno ustalić, czy Katarzyna Schratt wiedziała o

intymnym związku Franciszka Józefa z Anną Nahowski, podobnie jak trudno ustalić, czy cesarz wiedział o kochankach Katarzyny. Franciszek Józef nie był mianowicie jedynym, któremu słynna aktorka okazywała swe względy. Choć w swoich listach raz po raz dawał wyraz zazdrości o hrabiego Wilczka i księcia Ferdynanda von Sachsen-Coburga, którzy często bywali w mieszkaniu Katarzyny, trudno sobie jednak wyobrazić, by było mu wiadomo, że owi panowie od czasu do czasu odwiedzają także jej łóżko.

Nieco obfite kształty Katarzyny, z którymi aktorka stale walczyła za pomocą kuracji wodnych w Karlsbadzie (obecnie Karłowe Wary), od dawna już zachwycały mężczyzn w każdym wieku. Nie miała jeszcze dziewiętnastu lat, gdy Leopold Greve, aktor, zdążył się jej kilkakrotnie oświadczyć. Pochodząca z Baden koło Wiednia dziewczyna, której rodzice prowadzili sklep papierniczy, konsekwentnie odrzucała jego propozycje. Myślała wtedy tylko o jednym: chciała zostać wielką aktorką. W tym celu Kasia, jak ją wówczas nazywano, zrezygnowała z ukończenia szkoły i wolała brać lekcje wymowy u aktora Teatru Zamkowego Eduarda Kierschnera z wiedeńskiej Akademii Teatralnej.

Anton Ascher, dyrektor Carltheater, już przy pierwszym spotkaniu był pod takim wrażeniem młodej adeptki sztuki aktorskiej, że wstał, podszedł do niej i zażądał, by go pocałowała. Dziewczynę ogarnął strach i krzyknęła: „Proszę, chciałabym już pójść!”. Nie uspokoiły jej tłumaczenia dyrektora, który twierdził, że jest po prostu zachwycony jej grą. Płacząc, powtarzała: „Proszę, chcę wyjść!”.

306

Scenę tę Katarzyna opisała wiele lat później już jako aktorka Teatru Zamkowego, pisząc przyczynek do pewnego felietonu dla „Pięknego modrego Dunaju”, jednego z wielu tak popularnych w owych czasach tzw. budujących czasopism. Niemniej jednak ów wybuch uczuć Aschera, który pozostał dyrektorem teatru przez cały okres jej życia, wystarczył, by już zawsze podchodziła do niego z ogromną rezerwą i pełną niepokoju. Zrezygnowała z angażu w Wiedniu i kupiła dla siebie i swojej matki bilet do Berlina, gdzie natychmiast została zaangażowana do Teatru Królewskiego, w którym grała role młodych i naiwnych dziewcząt. Theodore Fontane* jako krytyk berlińskiej gazety „Presse” wychwalał Katarzynę pod niebiosa, pisząc, że i on sam także uległ jej czarowi. Pruski cesarz Wilhelm był nią tak zachwycony, że jedna z gazet napisała, iż „stracił głowę” dla panny Schrott.

Po powrocie Kasi do Wiednia zrodził się wokół niej prawdziwy kult, zwłaszcza gdy w tamtejszym Teatrze Miejskim za poradą dyrektora Lau-bego zamieniła role młodych naiwnych na emploi aktorki komediowej. Każdego wieczoru ustawiała się kolejka oczekujących na jej wyjście z teatru po przedstawieniu. Kasia pełnymi garściami korzystała ze swej wczesnej sławy, nie przebierając zbyt w wielbicielach, i gdy cesarsko-królewski urzędnik konsularny Nikolaus Kiss von Itebbe, niezbyt atrakcyjny, lecz za sprawą monokla wyglądający bardzo arystokratycznie Węgier, oświadczył się, zgodziła się wyjść za niego. W tym samym roku cesarz Franciszek Józef i cesarzowa Elżbieta obchodzili srebrne gody.

Siostrzenica Katarzyny wspominała później, że nie było to małżeństwo z miłości, a popularna aktorka widziała w pochodzącym z bardzo bogatej rodziny arystokracie Nikolausie Kiss von Itebbe nadzieję na zmniejszenie ogromnego zadłużenia swego ojca,

który zastawił już nawet własny dom. Jej nadzieje runęły, gdy w trakcie ich podróży poślubnej do Holandii zjawili się wierzyciele z Wiednia, żądający od pana Kiss spłaty zaległych długów. Cesarsko-królewski urzędnik konsularny okazał się bankrutem.

Już kilka tygodni później doszło do separacji małżonków i Katarzyna z pewnością rozwiodłaby się, gdyby ich wspólny syn (zwany Tonim) nie był już w drodze. Malec powinien mieć ojca. Z tego względu małżeństwo nie zostało rozwiązane i trwało aż do śmierci Nikolausa Kiss von Itebbe,

* Niemiecki pisarz, dziennikarz i krytyk, wybitny przedstawiciel realizmu mieszczańskiego, autor m.in. znanej powieści *Effie Briest*.

307

która nastąpiła w roku 1909. Temat wczesnej śmierci urzędnika konsularnego (Kiss zmarł mając pięćdziesiąt sześć lat) powróci jeszcze ze względu na związek z osobą cesarza.

Dzięki tej przygodzie Katarzyna Schratt nauczyła się jednego: nigdy więcej nie oceniała mężczyzn po ich aparycji, lecz przede wszystkim po stanie konta bankowego. W każdym razie żaden mężczyzna, który od tej pory odgrywał jakąś rolę w jej życiu, nie był ani biedny, ani zadłużony. A działo się tak nie bez powodu, gdyż o ile Katarzyna doskonale wiedziała, jak obchodzić się z mężczyznami, to w kwestiach finansowych kompletnie sobie nie radziła. Mówiąc wprost, Katarzyna nieustannie wydawała więcej, niż miała.

W przypadku każdej innej kobiety skończyłoby się to katastrofą. Ale nie w przypadku pani Schratt. W końcu wśród swoich kochanków miała hrabiego, króla, a nawet cesarza i każdy z nich możliwość spłacenia jej długów poczytywał sobie za zaszczyt.

Jeszcze do dziś przechowywane są w wiedeńskich archiwach liczne listy zastawcze, protokoły zajęcia i monity wystawione na nazwisko Katarzyny Schratt. Chronicznego braku pieniędzy, który zdumiewa przede wszystkim dlatego, iż była przecież jedną z najlepiej opłacanych gwiazd europejskich scen, nie uważała jednak za rozrzutność. Nawet nie starała się ukrywać swoich coraz częściej powtarzających się kryzysów finansowych. Zdarzało się, że pani Schratt, aktorka Teatru Zamkowego, odrzucała zaproszenie na wieczorne przyjęcie, przeznaczone dla osób z najwyższych sfer, uzasadniając odmowę przybycia brakiem odpowiedniego stroju, gdyż wszystkie jej suknie wieczorowe poszły pod zastaw.

Dla wiedeńskich modystek i krawców pani Schratt była jednocześnie najlepszą i najgorszą klientką; z jednej strony stanowiła najlepsze źródło przychodów, a z drugiej była też największym dłużnikiem. To, że wszystkie jej długi były ostatecznie spłacane, zawdzięczała wyłącznie swemu urokowi, któremu nie oparł się nawet dyrektor banku Eduard Palmer. Pewnego dnia przekazał jej według dzisiejszej siły nabywczej sześciocyfrową kwotę jako nieoprocentowaną pożyczkę (!). Za ową niezwykłą jak na bankiera hojnością kryją się dwie tajemnice. Warto je poznać, zanim ktoś spróbuje wobec swego banku wysunąć podobne żądania: Eduard Palmer był doradcą finansowym Jego Cesarskiej Mości, a jednocześnie - wielbicielem pani Schratt.

Jeśli chodzi o wielbicieli Katarzyny jeszcze przed „epoką cesarza”, na pierwszym miejscu wymienić należy przystojnego hrabiego Wilczka, wysokiego i smukłego jak topola salonowca, który zawsze nosił się zgodnie z najnowszą modą. Widząc go w wytwornym wiedeńskim towarzystwie, trudno było uwierzyć, że ów fircyk to doskonale wykształcony podróżnik i naukowiec, którego imię nosi jedna z wysp na Oceanie Arktycznym. Przez całe życie cesarz Franciszek Józef traktował hrabiego Wilczka jak najgroźniejszego rywala, czemu dawał wyraz podczas każdego oficjalnego spotkania. Hrabia nie był jednak jedynym rywalem Jego Królewskiej Mości.

Ferdynand I, król Bułgarii, grubawy i niemal łysy, a przez to o wiele mniej atrakcyjny niż podróżujący po całym świecie hrabia Wilczek, z powodu Katarzyny stał się pasjonatem teatru. Przyjeżdżał ze swojej Bułgarii tylko po to, by pójść do Teatru Zamkowego (gdzie ponoć miał liczne inne romanse). Franciszek Józef pogardliwie nazywał młodszego od Katarzyny rywala „Bułgarem” i wyśmiewał jego operetkowe ordery, które król zwykł był nosić przy każdej okazji. Jednak cesarzowi wcale nie było do śmiechu, gdy dowiedział się, że Ferdynand I przebywał w Karlsbadzie w tym samym czasie, gdy Katarzyna Schratt po raz kolejny zażywała tam kuracji wodnych. Bez wątplenia bułgarskiego króla i panią Schratt łączył romans, a poza tym przyjaźń na całe życie, która trwała jeszcze po śmierci cesarza.

Kolejnym wielbicielem Katarzyny był Aleksander Girardi, bożyszcze wśród aktorów owej epoki. To właśnie grając z Girardim, Katarzyna Schratt odnosiła swoje największe sukcesy teatralne. Występowali też razem w sezonie letnim podczas pobytu cesarza w Salzkammergut, wraz z Teatrem Zdrojowym z Ischl. To właśnie Girardi uczynił wiedeńską *Piosenkę fiakra (Fiakerliea)* znaną na całym świecie. Schratt i Girardi mieli się ponoć bardzo kochać, a syn Girardiego Anton twierdził, że byli nawet zaręczeni. Natomiast na temat przyczyn rozpadu tego związku istnieją tylko sprzeczne pogłoski. Na pewno wiadomo, że Girardi wkrótce potem znalazł pocieszenie w ramionach aktorki Heleny Odilon, Marilyn Monroe belle epoque, której mężczyźni wręcz padali do stóp. Swoimi romansami, z których ostatni łączył ją z bankierem baronem Albertem Rotszyldem, doprowadziła Girardiego do szaleństwa. By uniknąć zaaranżowanego przez żonę Helenę zamknięcia w domu wariatów, uciekł w przebraniu domokrażcy do Katarzyny Schratt. Ta postarała się następnie u cesarza, by zweryfikowano i unieważniono orzeczenie o stwarzaniu niebezpieczeństwa dla społeczeństwa wystawione przez

dr. Juliusa Wagnera-Jauregga. Później wielokrotnie dochodziło do spotkań Aleksandra Girardego z cesarzem Franciszkiem Józefem.

Do intymnego zbliżenia cesarza i aktorki dojść musiało pod koniec 1888 roku. Inicjatywa ponownie należała do cesarzowej Elżbiety. Platoniczna relacja między Franciszkiem Józefem a Katarzyną - słodkie liściki, spacery i spotkania w altance pałacowego parku - frustrowała Sisi. Choć cesarz do końca roku jeszcze kilkakrotnie odwiedził Annę Nahowski, a nawet obdarował ją i dzieci prezentami na Boże Narodzenie (nie można ich jednak porównać z podarunkami dla Katarzyny Schratt), ich związek należał już do przeszłości. W przypadku cesarza możliwości

skonsumowania romansu są ograniczone i mężczyzna dysponujący 1400 komnatami miał prawdziwe trudności w znalezieniu odpowiedniego miłosnego gniazdka. Z odsieczą ruszyła wówczas cesarzowa.

Już od dwudziestu lat służyła jej węgierska dama do towarzystwa, Ida von Ferenczy, która choć nie pochodziła z wielkiej arystokracji, cieszyła się ogromnym szacunkiem cesarzowej, a na liście płac cesarza widniała jako „lektorka”. Sisi mogła rozmawiać z Idą na każdy temat. Ida mieszkała przy Ballhausplatz 6, na drugim piętrze, w zasięgu wzroku z apartamentów cesarza. Od tej pory tam właśnie spotykali się Franciszek Józef i Katarzyna Schratt.

Choć nie ma żadnych dowodów, że w mieszkaniu Idy dochodziło między cesarzem a aktorką do intymnych zbliżeń, wiele na to wskazuje. Z dnia na dzień Franciszek Józef przestał zwracać się w listach do Katarzyny „Moja droga łaskawa Pani”, a zaczął „Moja kochana najdroższa Przyjaciółko” i stał się też bardziej natarczywy: „Jutro, we wtorek 15. [stycznia 1889], będę o pierwszej na parterze i odliczam godziny do tej chwili”. Albo: „Do zobaczenia dziś wieczorem z daleka, a w poniedziałek i wtorek z bliska” (26 stycznia 1889). W jednym z listów mowa jest nawet o podwiązkach Katarzyny (24 maja 1889).

Amory w mieszkaniu Idy za każdym razem odbywały się o godzinie jedenastej przed południem oraz „na prośbę” czy nawet „z polecenia” cesarzowej. By nie spóźnić się na to ważne spotkanie, Franciszek Józef przyśpieszał przebieg audiencji czy oficjalnych spotkań lub też wcześniej je kończył. Również w mieszkaniu Idy dotarła do niego wiadomość o samobójstwie arcyksięcia Rudolfa.

310

Co innego jednak stanowi najważniejszą wskazówkę, że Franciszka Józefa łączył z Katarzyną intymny związek. Wiadomo, że cesarz przez wiele lat i to regularnie co dwa tygodnie znajdował u Anny Nahowski zaspokojenie swych potrzeb seksualnych, czego nie zapewniała mu cesarska małżonka. To się jednak skończyło. A ponieważ ani Jego Cesarska Mość nie stał się impotentem, ani Sisi nie zaczęła go uszczęśliwiać, ani też nic nie wiadomo o jakiegokolwiek innej damie, w grę wchodzi tylko Katarzyna Schratt.

Zazwyczaj niezwykle konserwatywny, monarcha w dość bezceremonialny sposób wycofał się z romansu z Anną Nahowski. 14 marca 1889 roku administrator majątku cesarza baron Friedrich von Mayr zaprosił „Wielmożną Panią Annę Nahowską do swego biura w cesarskim pałacu Hofburg. Wręczył jej kopertę z 200 tysiącami guldenów (!) i kazał podpisać oświadczenie, w którym zobowiązywała się do końca życia milczeć na temat swego intymnego związku z cesarzem. Anna zmarła w 1931 roku, mając siedemdziesiąt jeden lat. Jej służąca Lini Fechner za takie samo oświadczenie otrzymała 1000 guldenów.

To, że Katarzyna Schratt nie wiedziała o związku Franciszka Józefa z Anną, staje się oczywiste, gdy weźmie się pod uwagę pewien nieco pikantny fakt. W ramach poszukiwania dla siebie domu w pobliżu pałacu Schönbrunn, zwróciła się ona mianowicie do Nahowskich z zapytaniem, czy ich dom naprzeciwko Ogrodu Botanicznego nie jest przypadkiem na sprzedaż, za odpowiednią cenę, ma się rozumieć. Odpowiedź była odmowna. Ale już kilka domów dalej Katarzyna znalazła coś dla siebie.

Zakup willi na rogu Maxingstrasse i Gloriettegasse sfinansował oczywiście cesarz.

W ten sposób pani Schratt osiągnęła swój cel. Posiadając dom przy pałacowym parku, uważana była za przyjaciółkę cesarskiej pary, a w rzeczywistości przejęła funkcję cesarskiej konkubiny. Choć w swoich listach Franciszek Józef wciąż podkreślał przyjaźń i sympatię, jaką cesarzowa żywi do Katarzyny, uwagi te wydają się sztuczne i umieszczane w listach celowo. (Albo dlatego, że cesarz wiedział, iż jego listy są czytane przez inne osoby niż adresatka, albo pragnął usprawiedliwić się przed potomnymi. W każdym razie miał świadomość, że Katarzyna zachowuje wszystkie jego listy).

Faktem jest, że cesarzowa Elżbieta i aktorka Teatru Zamkowego nigdy ze sobą nie korespondowały. To, co miały sobie do powiedzenia, przekazywały za pośrednictwem cesarza. I to nawet jeśli chodziło o porady dotyczące odchudzania, które wychudzona Sisi przekazywała „tej biednej

311

grubej Schratt" - jak zwykła była nazywać Katarzynę, przysłaniając twarz ręką, po czym z wyższością dopytywała się o efekty: „Cesarzową interesowałyby również kilogramy i gramy". Poza tym Sisi i Katarzyna niewiele miały sobie do powiedzenia.

Zażyłość pomiędzy cesarzem a aktorką wzrosła do tego stopnia, że Jego Cesarską Mość zawiadamiano o comiesięcznej niedyspozycji Katarzyny, której Franciszek Józef nadał miano „cichego tygodnia", a w związku z dolegliwościami przekazywał jej kwieciste wyrazy współczucia. Cesarz sądził, że w Wiedniu i Bad Ischl, gdzie pani Schratt w międzyczasie znalazła nową wakacyjną rezydencję, willę Felicitas, przyzwyczajono się już do niezwyklego cesarskiego trójkąta. Natomiast przy oficjalnych okazjach, a przede wszystkim za granicą, świadom był pikanterii całej sytuacji i starał się unikać jakichkolwiek publicznych wystąpień. Podczas pewnego wiosennego pobytu cesarskiej pary w Cap Martin, gdy Katarzyna zapowiedziała już swój przyjazd, Franciszek Józef cofnął zaproszenie, zwracając uwagę, że roi się tam od ciekawskich oraz wielu osób z towarzystwa i należy się obawiać, że ich związek zostałby poddany złośliwej krytyce.

Odkąd cesarz Franciszek Józef finansował jej potrzeby (oraz spłatę długów jej męża Nikolausa), Katarzyna zaczęła spędzać sezon zimowy, zwykle od lutego do kwietnia, na francuskiej Riwierze. Ciągnęło ją do hazardu, a pobyty w Monte Carlo z jego słynnym kasynem bardzo jej szkodziły. Często już kilka dni po przybyciu przegrywała całą gotówkę, która miała wystarczyć na wynajem willi oraz powozu ze stangretem. Wówczas słała pokorne listy do swego cesarskiego mecenasa, a ten wszystko regulował. Choć pociąg Katarzyny do hazardu budził w nim wstręt, Franciszek Józef nigdy nie zrobił jej z tego powodu awantury. Kolejnym dyrektorom teatru wydawał polecenie, by gwiazdzie sceny przyznali tyle urlopu wypoczynkowego, ile zażąda.

Niewiele osób miało świadomość, co tak naprawdę łączy Katarzynę i Franciszka Józefa, a ci, którzy wiedzieli, jaka farsa rozgrywa się między starym, dobrodusznym i niemal niewolniczo uległym monarchą a egzaltowaną aktorką, byli życzliwi cesarzowi i milczeli. Tak naprawdę Katarzyna traktowała cesarza jak dojną krowę. Kupowała - sama oczywiście nie płacąc - dzieła sztuki i antyki, mimo że zupełnie się na tym nie znała. Było to możliwe dlatego, że oszczędny i żyjący po spartańsku cesarz okazywał

wobec niej wielką hojność, a przy tym zupełnie nie orientował się w cenach. Gdy poproszono go, by określił, ile może kosztować pewien klejnot przeznaczony dla Katarzyny, Franciszek Józef odparł, że pewnie kosztuje z pięćdziesiąt koron. Owa ozdoba warta była 80 tysięcy koron.

10 września 1898 roku spadł na sześćdziesięcioośmioletniego cesarza najcięższy cios od losu: cesarzowa Elżbieta przebywająca na kuracji zdrojowej w Szwajcarii została nad Jeziorem Genewskim zaszytyetowana przez pewnego anarchistę*. Ostatni list cesarza do żony, który wysłał do niej tego właśnie dnia, nigdy już do Sisi nie dotarł. Franciszek Józef zakończył go następującymi słowami po węgiersku: „Adieu, piękny, dobry, słodki aniele. Twój Mały”.

Gdy weźmie się pod uwagę zdystansowane relacje między małżonkami, takie wyrażenia wydają się niezwykle. Jednak takimi właśnie zwrotami Franciszek Józef posługiwał się we wszystkich swoich listach. Jego słowa są całkowicie szczerze i pokazują, jak szczególnym uczuciem obdarzał swą małżonkę, która od ponad dwudziestu lat w ogóle się nim nie interesowała. Franciszek Józef nie tyle kochał swoją żonę, co wręcz ją wielbił, a jej neurozy czy nieustanne odrzucanie męża nie miały żadnego znaczenia dla jego postawy.

Można by pomyśleć, że śmierć cesarzowej oznacza wolną drogę dla cesarskiej konkubiny. I rzeczywiście Franciszek Józef w swym osamotnieniu szukał pocieszenia u Katarzyny Schratt. Niemniej jednak właśnie w tej sytuacji zaczęły pojawiać się intrygi, a ich związek, który wcześniej rzadko był tematem rozmów, nagle stał się najważniejszą plotką. Cesarz i aktorka? Uchowaj Boże!

Ferwor w otoczeniu cesarza były tak wielki, że jego córka Maria Waleria, która wówczas zmieniła już swój pozytywny w latach młodości stosunek do pani Schratt i odnosiła się do niej z rezerwą, stopniowo uzmysławiała sobie, że aktorka ta jest jedyną nadzieją dla jej popadającego w coraz głębszą depresję

* Cesarzowa udawała się w towarzystwie damy dworu, hrabiny Sztaray, na statek parowy, który miał zawieźć je z Genewy do uzdrowiska Caux. Nagle na niemal pustym nabrzeżu do zdumionych kobiet podbiegł mężczyzna (włoski robotnik budowlany Luigi Lucheni) i znienacka zadał Elżbiecie cios cienkim trójkątnym pilnikiem w okolice serca. Rana była niewielka, lecz zdradziecka. Cesarzowa zmarła jeszcze tego samego popołudnia. Zamachowiec został ujęty przez przechodniów, przekazany policji, a następnie skazany na dożywocie w więzieniu, gdzie popełnił samobójstwo.

ojca. Zaproponowała, by siedemdziesięcioletni cesarz ożenił się z owdowiałą siostrą Elżbiety Matyldą (zwaną „Ciocią Wróbelkiem”). Wszystko wróciłoby wtedy do normy i pani Schratt znowu byłaby „przyjaciółką żony papy”.

Oczywiście Elżbieta i Katarzyna nie były żadnymi przyjaciółkami. Przyjaźń udawały jedynie ze wspomnianych już powodów. Trudno uwierzyć, by przyjaciółki mogły przez całe życie nie napisać do siebie ani jednego listu. Podobnie trudno uwierzyć, by przyjaciółka została w testamencie obdarowana jedną broszką, podczas gdy „lektorka” Ida

Ferency dziedziczyła kosztowne klejnoty. I trudno też uwierzyć, by jedna przyjaciółka paskudnie drugą szkalowała („ta biedna, gruba Schratt”, „jego krowa”, „ściąga brzuch gorsetem tak, że aż wszystkie żebra trzeszczą”). Nie, za ową „przyjaźnią” krył się plan cesarzowej, jak uwolnić się od małżonka, gdyż, co potwierdziła ich córka Maria Waleria, każde spotkanie z mężem stanowiło dla Elżbiety rodzaj ofiary.

Związek cesarza z aktorką, który nagle stał się tak pikantny, musiał wytrzymać wiele następujących po sobie napięć. Zaczęło się od pewnego orderu (a jak powszechnie wiadomo, orderzy często sprawiają kłopoty). Z okazji pięćdziesięciolecia rządów Franciszka Józefa, które miało być obchodzone 2 grudnia 1898 roku, Sisi jeszcze przed swą tragiczną śmiercią ufundowała Order Elżbiety. Miał on być nadawany szczególnie zasłużonym damom z towarzystwa. Znienacka pani Schratt zaczęła twierdzić - a nikt nie mógł udowodnić, że było inaczej - że cesarzowa obiecała jej ów order. Po śmierci Elżbiety to Franciszkowi Józefowi przypadło w udziale niewdzięczne zadanie przyznania Orderu Elżbiety po raz pierwszy. W owej kłopotliwej sytuacji uznał, że przypięcie go akurat do piersi ambitnej Katarzyny Schratt byłoby niestosowne. Cesarz wybrał więc hrabinę Irnę Sztaray, damę dworu cesarzowej, w której ramionach zmarła.

Decyzja Franciszka Józefa dotknęła Katarzynę „w najboleśniejszy sposób”. Rozgoryczona pisała, iż życzyłaby sobie, żeby Jego Cesarska Mość okazywał jej tyle samo zainteresowania, co hrabinie Sztaray. Na dodatek cesarz podpisał jej rezygnację z angażu w Teatrze Zamkowym. Katarzyna była tak rozżłoszczona przebiegiem negocjacji dotyczących jej umowy z teatrem, że posłużyła się wobec dyrektora następującym argumentem: na zaproponowane warunki odpowiedzieć może tylko złożeniem rezygnacji. Zupełnie się nie spodziewała, że jej rezygnacja zostanie przyjęta. Wiadomość o tym dotarła do niej podczas pobytu w hotelu Marquardt w Stuttgarcie:

314

Na podstawie pełnomocnictwa JEGO KSIĄŻĘCEJ MOŚCI PIERWSZEGO OCHMISTRZA z 25 dnia bieżącego miesiąca nr 8456 złożone przez panią Katarzynę Schratt, aktorkę teatru dworskiego wymówienie umowy o angaż zostaje przyjęte, w związku z czym od dnia 7 października bieżącego roku pani SCHRATT przestaje być członkiem zespołu Teatru Zamkowego.

Wypłata jej poborów zostaje wstrzymana, a począwszy od 1 października 1900, będzie mogła w kasie Teatru Zamkowego pobierać przyznaną jej emeryturę w wysokości 12 tysięcy koron rocznie. Otrzyma również różnicę między należnym wynagrodzeniem za okres od 1 do 7 października a emeryturą.

O niniejszym pani SCHRATT zostanie poinformowana dekretem.

Wiedeń, 27 września 1900.

*CK Główny Intendent Cesarsko-Królewskiego
Teatru Zamkowego.*

Emerytura taka w zupełności wystarczała na utrzymanie, ale nie na wystawne życie, jakie prowadziła diwa. Próbowwała więc uciec od rzeczywistości, podróżowała po całej Europie, począwszy od Włoch, a skończywszy na Anglii, mieszkała na Wyspach Kanaryjskich, a nawet w Ameryce Południowej, a przez cały ten czas Franciszek Józef ze wszystkich sił

starał się zdobyć jej każdorazowy adres, by „najgoręcej kochaną Przyjaciółkę” dalej zasypywać swymi listami. Ich korespondencja staje się coraz bardziej jednostronna, gdyż pani Schratt tylko od czasu do czasu wysyła telegram. Gdy cesarz Franciszek Józef wysłał do „czcigodnej Przyjaciółki” depeşe, użył jako nadawca pseudonimu MEGALEOTIS i tak też się podpisał.

Franciszek Józef stawał się coraz bardziej samotny i coraz częściej popadał w depresję. Jego córka Waleria wspominała, że ojciec wyznał jej kiedyś cały we łzach, że pani Schratt odeszła tylko dlatego, iż „jej pozycja nie była właściwa”.

Nieszczęśliwy cesarz stał się interesującym tematem dla ilustrowanych magazynów. Pisały o nim nawet amerykańskie czasopisma poświęcone tematyce towarzyskiej, a w wiedeńskiej gazecie pt. „Neue Freie Presse” dla żartu ukazało się między innymi następujące ogłoszenie: „Kasiu, wszystko w porządku, wracaj do Twego nieszczęśliwego, opuszczonego Frania”.

315

Podczas gdy Katarzyna Schratt jeździła po całym świecie, Franciszek Józef spędzał wieczory samotnie w domu. Teatr Zamkowy i inne sceny nie wzbudzały już jego zainteresowania, a najmniej opera. Kazał za to dostarczać sobie wszystkie gazety, w których pojawiały się wywiady z panią Schratt, opowiadającą o swoim związku z cesarzem. W jednym z listów skomentował relację, która ukazała się w „Berliner Lokalanzeiger”, stwierdzając, że powiedziała więcej, niż należało. Tydzień później tłumaczył się już jednak z owej uwagi, pisząc, że wspomniany artykuł zawiera również wiele prawdy. Cel zachowania Katarzyny zaczął być widoczny: cesarz Au-stro-Węgier kulił przed nią ogon jak pies.

Jeśli Katarzyna Schratt podczas tego roku rozstania w ogóle podtrzymywała związek z cesarzem, to kryły się za tym tylko jej konkretne interesy. Franciszek Józef jak do tej pory musiał płacić jej rachunki, które ze względu na to, że diwa przyzwyczała się do posiadania własnej obsługi także podczas podróży, musiały być pokaźne. Fakt, iż administrator majątku cesarza pan Hawerda wciąż utrzymywał z nią kontakt, dowodzi hojności monarchy nawet w kryzysowej sytuacji.

19 czerwca 1901 roku Katarzyna powróciła do Wiednia, a Hawerda przyniósł Franciszkowi Józefowi wiadomość, że cesarz znów może jak za dawnych czasów odwiedzać ją w jej domu przy Gloriettegasse. Między kochankami doszło do pojednania. Jednak diwa nie przyjechała do Bad Ischl, gdzie spędzili przecież najpiękniejszy okres, a cesarz sam jak palec krążył wokół willi Felicitas, wspominając chwile szczęścia.

Dopiero gdy Franciszek Józef nie śmiał żywić już jakiegokolwiek nadziei, Katarzyna pojawiła się w Salzkammergut. Stary cesarz był niezwykle szczęśliwy. Być może domyślał się, że za ich pojednaniem stoją raczej konkretne interesy, a nie miłość, być może odpychał tę myśl, by samemu nie wierzyć w taką niegodziwość. Przepadał za tą kobietą, mimo że w międzyczasie zdążyła bardzo przytyć. I nic nie było w stanie zmienić jego uczuć.

Właśnie w tym smutnym okresie doszło do niezamierzonego spotkania cesarza z jego dawną kochanką, Anną Nahowski. Poniżej ostatnie zapiski z jej dziennika. Ten wzruszający w swym smutku wpis został dodany z pewnym opóźnieniem:

To był rok 1902. Wracam z dziećmi, Anną i Heleną, z miasta i idę Ma-xingstrasse w stronę domu. Cudowny stukot, który znam aż za dobrze, sprawił,

316

że obejrzałam się do tyłu. Za nami jechał cesarz, sam w otwartym powozie. Popatrzył na mnie i dzieci z sympatią i od razu przesiadł się, by z odwróconą głową móc nas widzieć, aż skręcił w Gloriettegasse. — W czasach, gdy się spotykaliśmy, takie spotkanie zawsze było dla mnie znakiem, by przyjść następnego dnia.

Lecz co oznacza dziś? Po tak długim okresie — czy powinnam pójść? Po szesnastu latach -gdy moje dzieci zdążyły dorosnąć! Gdybym jutro poszła na Maxingstrasse—ale sama, tak by nikt nie wiedział. - Kolejnego ranka nie śpię już o czwartej, dzień jest piękny, stoję przy oknie i zastanawiam się, ubranie leży przygotowane. Nie decyduję się, wyrzeczenie się Go tyle mnie kosztowało. To już przeszłość... Jestem przygnębiona, tchórzliwa, mam przetrącone skrzydła. Odwracam się od okna, kładę się do łóżka i płaczę.

Tak naprawdę związek z cesarzem miał długotrwały wpływ na życie Anny, przynosząc zarówno skutki pozytywne, jak i negatywne. Pozytywne, jako że odprawa otrzymana od cesarza umożliwiła jej prowadzenie dobrego mieszczańskiego życia, na jakie w innym przypadku nie mogłaby sobie pozwolić. Negatywne, gdyż niezwykła rola, jaką odgrywała, nie sprzyjała wprowadzeniu porządku do jej już i tak dość chaotycznego życia. W swoim dzienniku pisze o dwóch porodach martwych noworodków oraz wizytach lekarzy. Kto był ojcem jej córek Karoli, Anny i Heleny oraz syna Franciszka, nie wspomina.

Tylko w odniesieniu do pierwszego dziecka, które zmarło dwa miesiące po narodzinach, przyznała ojcostwo Johannowi Heudukowi, producentowi jedwabnych tasiemek, który był zarazem „wielkim łotrem i karciarzem”. Anna wspominała, że matka wybrała dla niej Heuduka, gdy miała ledwo czternaście i pół roku. W efekcie Anna była już rozwódką, gdy inne dziewczęta w jej wieku dopiero zaczynały myśleć o zamążpójściu. Urzędnika kolejowego Franciszka Nahowskiego poślubiła z własnej woli, być może z miłości, gdyż on kochał ją z pewnością. Jednak pan Nahowski nie miał odpowiedniej osobowości ani inteligencji, by móc przywiązać do siebie taką kobietę jak Anna, która sypiała z Jego Cesarską Mością. Jej syn Franciszek cierpiał na schizofrenię, natomiast jeśli chodzi o córki, to jedna była piękniejsza od drugiej, a w Helenie (która zmarła dopiero w 1976 roku) bez wątpienia dostrzec można było pewne podobieństwo do cesarza Franciszka Józefa. Anna Nahowski zmarła 23 marca 1931 roku. Dotrzymała obietnicy milczenia na temat swojego związku z cesarzem, a jej córka Helena, która

317

przejęła zapieczętowane zapiski matki, zdecydowała, że będzie można je otworzyć dopiero trzy lata po jej własnej śmierci. Być może przypuszczała, że Anna Nahowski napisała w swoich wspomnieniach, że Franciszek Józef był jej ojcem. Jednak Anna była na to zbyt powściągliwa.

W przeciwieństwie do aktorki Katarzyny Schratt. Wiedziała ona już, że w odniesieniu do cesarza wolno jej niemal wszystko. Patrząc na korespondencję między Franciszkiem Józefem a Katarzyną z owych lat, z łatwością można sobie wyobrazić, że gdyby cesarz znalazł kochankę w łóżku z innym, podarowałby pani

Schratt wyjątkowo piękną koleję - w ramach przeprosin za swą niedyskrecję.

Z pewnym wyrafinowaniem, które osoby postronne uznałyby prędzej za brak okrzęsania, obrażona diwa, która uświadomiła sobie już, że nie zostanie cesarzową, starała się jak najlepiej wykorzystać swoją sytuację. Jak najlepiej, czyli jak najbardziej korzystnie finansowo. Puściła w obieg informację o swym rzekomym angażu w Teatrze Nowojorskim, który nie dość że miał być wieloletni, to jeszcze zapewniać jej astronomiczne honorarium. W Wiedniu plotka ta stała się sensacją. Nigdy dotąd nic podobnego się nie wydarzyło. Jednak książe Eulenburg w jednym ze swych listów do niemieckiego cesarza Wilhelma kpi z owej szumnej zapowiedzi i szydzi, że na wielkich afiszach w Nowym Jorku należy oczekiwać pojawienia się obok pani Schratt wizerunku cesarza Franciszka Józefa. Ponadto książe dał wyraz swej nadziei, że Jego Apostolski Majestat zda sobie sprawę z niebezpieczeństwa i honorarium gwiazdy amerykańskiego tournée zamieni na spacer po Schönbrunnie, które znowu zaczęły się odbywać.

Wydawało się najpierw, że strach przed całkowitym osamotnieniem sparaliżował starego cesarza, który nie będzie w stanie skłonić Katarzyny do zmiany decyzji. Franciszek Józef jednak dobrze znał panią Schratt i dokładnie wiedział, w jaki sposób można wpłynąć na jej plany. Kupił więc pięćdziesięcioletniej wówczas aktorce okazałą kamienicę w najdroższej dzielnicy Wiednia, przy Mariahilferstrasse. Przychody z tej nieruchomości powinny wprowadzić „finansowy porządek” w chaotyczną gospodarkę pani Schratt - pobożne życzenie, które się oczywiście nie spełniło, choć według szacunków księcia Eulenburga księgową wartość kamienicy wynosiła milion koron.

Prezenty o takiej wartości nie przysparzały oczywiście obdarowywanej przyjaciół. Diwa teatralna spotykała się jednak z zazdrością nie ze strony

318

prostych ludzi, poddanych cesarza, lecz ze strony wytwornego towarzystwa, przede wszystkim rodziny. Córka cesarza Waleria obawiała się o swój spadek, a sympatia, jaką kiedyś darzyła przyjaciółkę ojca, przerodziła się w pogardę.

Miarka przebrała się, gdy Katarzyna po dwuletnim rozstaniu z teatrem zapowiedziała swój wielki powrót na scenę. Ostatnio z dużym powodzeniem występowała gościnnie w Theater an der Wien, a teraz planowała zagranie w Teatrze Ludowym głównej roli w komedii Franciszka von Schonthana. Tytuł sztuki brzmiał *Cesarzowa*, i to właśnie ten tytuł tak szczególnie pociągał diwę. Niemniej jednak po pierwszych rozmowach intendent teatralny i aktorka uzgodnili, że zmienią tytuł przedstawienia na *Maria Teresa*, aby nie wywoływać skandalu.

Katarzyna jednakże chciała sprowokować skandal, a przemianowanie sztuki nie wpływało przecież na rolę „matki narodu”, jaką miała odegrać. Krytyk Karl Kraus nazwał to przedsięwzięcie „szczytem złego smaku”, a cała sytuacja niezwykle przypomina sprawę *Profesora Unrata* i *Błękitnego Anioła*. Tylko że tutaj nie chodziło o biednego profesora, któremu ku uciesze małego miasteczka gra na nosie nieznana knajpiana tancerka, lecz o słynną gwiazdę sceny teatralnej, która na oczach całego świata wodzi za nos cesarza Austro-Węgier. Lecz przede wszystkim profesor Unrat był dziełem

wyobraźni pisarza Heinricha Manna, a cesarz Franciszek Józef, którego udziałem stał się podobny los, to postać prawdziwa, gorzko prawdziwa.

Jakiś diabeł musiał kierować tą kobietą, gdyż dodała ona i tak już skandalizującemu przedstawieniu szczególnej pikanterii, wypożyczając do scenografii własne przedmioty i prezentując je zdumionej publiczności. Na srebrnym afiszu można było przeczytać: „Nowe dekoracje pochodzą z atelier malarza Niemieckiego Teatru Ludowego Franciszka Schalluda, meble od dostawcy CK. dworu Sando Jaraya, kostiumy z austriackiego atelier Alexander Blaschke i Sp., a srebra z CK. Dworskiej Wytwórni Przedmiotów Metalowych M. Hacker w Wiedniu”. W rzeczywistości Schratt grała w swoich własnych strojach (prezentach od cesarza), siedząc na swoich własnych meblach (prezentach od cesarza), które kazała wnieść na scenę, i obwieszona swoją własną biżuterią (prezentami od cesarza).

Oczywiście wiedeńska publiczność nie mogła przepuścić okazji, by choć raz z bliska nie podziwiać precjozów Jego Cesarskiej Mości. O ich wartości krążyło wiele plotek, często przesadzonych. Natomiast niewąt-

319

pliwie pani Schratt posiadała klejnoty, które warte były tyle, co kilka domów. Być może była to tylko celowo rozpuszczana plotka, lecz rzekomo wśród publiczności na każdym przedstawieniu siedzieli detektywi. Mimo to jedna z ozdób gdzieś się zawieruszyła.

Krytyk Karl Kraus grzmiał w czasopiśmie „Die Fackel”:

Sensacyjne wydarzenie przebiegało zgodnie z planem. Rozstawieni wokół kasy Teatru Ludowego spekulanci wpadli w prawdziwy szal, jakiego z pewnością nie uzasadniała ani wartość artystyczna dziełka Schönthana, ani atrakcyjność pani Schratt jako aktorki. Bezcelny klakier, któremu wydawało się, że jeszcze trzeba podgrzać atmosferę, rozpuścił pogłoskę, że na premierę przybyć ma sam cesarz... By obejrzeć ten szczególnie spektakl, z całego Wiednia przybyli wszyscy, którzy łączą szlachetność wyglądu z nędzą moralną, splendor ze szwindlem, a gazety nadały owemu wieczorowi szczególną oprawę, wymieniając w drodze wyjątku także nazwiska widzów oraz szczególnie podkreślając pojawienie się indywidualów, których obecność nawet na najwyklejszych premierach robi nieprzyjemne wrażenie...

Mniej krytycznie i w większej zgodzie z odczuciami publiczności pisano w „österreichische Illustrierte Zeitung” z 25 października 1903 roku:

Ale wszyscy czekają tylko na jedno, na chwilę, w której na scenę wkroczy cesarzowa. Zostaje zaanonsowana i w końcu się pojawia. Wcale nie imponująca, wcale nie olśniewająca, w pierwszej chwili nawet z nieco zmęczonym, nerwowym ściągnięciem ust, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widziano; lecz wkrótce, gdy może poruszyć cieplejsze, tkliwe tony -zwycięska artystka. Nawet wspaniała biżuteria nieco rozczarowuje, w tym świecie pozorów sztuczne brylanty, które mogą być tak ogromne, czynią chyba większe wrażenie. Jednak stopniowo zaczynamy cieszyć się tym, że u naszej Kasi może nie wszystko jest olśniewające, ale za to prawdziwe -jej biżuteria, jej serce i jej naturalna gra aktorska.

Jeszcze bardziej entuzjastycznie wyraził się pochodzący z Linzu pisarz i dramaturg Teatru Zamkowego Hermann Bahr, któremu jak nikomu innemu udało się poznać serca i umysły Austriaków na przełomie wieków. Opisywał on pa-

320

nią Schratt w owym przedstawieniu w następujący sposób - być może przy okazji opisał dokładnie te cechy, które na tyle fascynowały cesarza monarchii austro-węgierskiej, że potrafił odsunąć na bok poczucie własnej wartości:

/ to właśnie jest największa tajemnica pani Schratt, którą miasto uwielbia teraz obok Girardiego: że w niej wiedeńka dostrzega samą siebie, taką jak jest, czy raczej jaką chciałaby być, że w niej wiedeńczyk widzi urocze spełnienie swoich najdroższych marzeń (...) oko ledwo ją dostrzegło, a ucho już jest oczarowane, tak przyjaźnie brzmi ten jasny i rzeński głos, w którym czają się wszystkie chochliki wiedeńskiego humoru, dobrodusznna kpina, spryt i nasz okropny pociąg do drwin, wszyscy gotowi jeden drugiego barwnie zjechać od góry do dołu. Lecz teraz otwiera oczy, odległe i spokojne, jak połyskujące z oddali gwiazdy, oczy meluzyny, która tęskni za głęboką wodą, rozmarzone, nieziemskie, zadumane, do których zupełnie przecież nie pasują pełne dowcipnych słów usta, od których biją światowe, ziemskie, po kobiecemu mądre zdecydowanie i odwaga... Pani Schratt jest być może ostatnią mistrzynią starej wiedeńskiej sztuki gawędy, w której jeszcze raz skupiły się wszystkie dobre duchy naszej przytulnej elegancji...

Komedie *Maria Teresa* wystawiano przez cały sezon 1903, aż do końca roku. Fakt, że akurat z tego okresu nie zachowała się żadna korespondencja pomiędzy cesarzem a aktorką, pozwala snuć rozmaite przypuszczenia.

Pierwsza możliwość: krytyczna sytuacja na Węgrzech tak zajmowała cesarza, że nie miał czasu na prowadzenie prywatnej korespondencji. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, gdyż w innych równie emocjonujących sytuacjach nigdy nie zapominał o pisaniu listów. Za pióro chwycił nawet w dniu, w którym zawiadomiono go o śmierci jego żony Elżbiety.

Druga możliwość: z powodu prowokującego przedstawienia i jeszcze bardziej prowokujących okoliczności jego wystawienia doszło do sprzeczki pomiędzy Franciszkiem Józefem a Katarzyną, zaś dotyczące sprawy listy nie nadawały się do przechowania dla potomności i zostały zniszczone. Ta hipoteza wydaje się bardziej prawdopodobna.

Na dodatek Katarzyna Schratt utrzymywała potajemny związek z odtwórcą głównej roli męskiej w omawianym przedstawieniu, Wiktoorem Kut-scherą. Romans ten był tak dobrze skrywany, że Franciszek Józef nie miał

321

o nim pojęcia. Trudno wyobrazić sobie bardziej skomplikowaną sytuację. Nie dość, że pani Schratt wciąż przecież pozostawała mężatką, a jednocześnie związana była z cesarzem, to o dziesięć lat młodszy od niej Kutschera miał żonę i dwoje dzieci. Mimo to odtwórcy głównych ról w „Marii Teresie” pozostawali ponoć w bardzo zażyłych

stosunkach.

Świadomość istnienia rywala nie była jednak konieczna, by stosunek cesarza do aktorki uległ ochłodzeniu. Wcześniej Franciszek Józef użyłby wszelkich sposobów, by zapobiec wyjazdowi Katarzyny w podróż do Egiptu. Teraz pozwolił jej pojechać. Również gdy pani Schratt poprosiła o przeniesienie swego męża, Nikolausa Kissa, który od dłuższego już czasu pełnił obowiązki w Tunezji, Franciszek Józef zareagował inaczej niż zwykle i poinformował „kochaną dobrą Przyjaciółkę”, że w tych ciężkich czasach ma ważniejsze sprawy na głowie niż przenosiny jakiegoś dyplomaty.

Ciężko chory pan Kiss mógł powrócić do Wiednia dopiero w kolejnym roku. Zmarł 20 maja 1909 roku na zawał. Jak można było oczekiwać, ubolewanie ze strony cesarza było raczej umiarkowane. Jego list z kondolencjami był bardzo uprzejmy, jednak gdy czyta się między linijkami, widać, że Franciszek Józef nie zważał na podstawowe zasady przyzwoitości.

21 maja 1909

*Moja kochana dobra Przyjaciółko,
Kilka słów, by wyrazić me najszczerze ubolewanie w związku ze śmiercią biednego Kissa. Mimo wszystko na pewno to Panią zmartwiło i nadszarpięło Pani nerwy. Zasmuciło mnie wczoraj to wydarzenie, które nastąpiło przecież szybciej, niż oczekiwano.*

*Przypuszczam, że raczej nie będzie pani skłonna jutro, jak umówione, przybyć na obiad u mnie, zapytuje jednakże o Pani rozkazy, o których proszę mnie zawiadomić.
Z najserdeczniejszym pozdrowieniem, głęboko Panią kochający
Franciszek Józef.*

Teraz oboje, i cesarz i diwa, byli wdowcami. Stało się to oczywiście kolejną okazją do spekulacji. Ich związek trwał już trzydzieści lat i przetrwał śmierć małżonków obojga. Czy koncepcja jego legalizacji nie powinna nasunąć się sama?

322

Na pytanie, dlaczego cesarz Franciszek Józef nie poślubił swojej konkubiny Katarzyny Schratt, można odpowiedzieć dwojako. Po pierwsze, gdy pojawiła się taka możliwość, dobiegał już osiemdziesiątki, Katarzyna miała pięćdziesiąt pięć lat, a ich relacje znacznie się ochłodziły, głównie ze względu na nieustanne eskapady diwy. Z drugiej strony Franciszek Józef dał się poznać - przynajmniej na zewnątrz - jako monarcha niezwykle poprawny, zakotwiczony w habsburskiej świadomości tradycji. Wydawało się zatem niemożliwe, by cesarz, który w odniesieniu do swych dzieci i krewnych bardzo dbał o małżeństwa z osobami odpowiedniego stanu, popełnił taki mezalians.

Choć wyniki badań wiedeńskiego pisarza Georga Markusa są problematyczne (gdyż są nie do udowodnienia), niemniej jednak zasługują na wzmiankę. Markus miał odkryć, że cesarz Franciszek Józef i Katarzyna Schratt około roku 1910 zawarli tak zwane małżeństwo tajne. W rozumieniu Kościoła katolickiego jest to małżeństwo ważne, lecz z uzasadnionych powodów utrzymywane w tajemnicy.

Dwadzieścia pięć lat po owym rzekomym ślubie takie samo tajne małżeństwo zawarli bez wiedzy swoich rodziców student medycyny z Wiednia Otto Wagner oraz młodziutka Edeltraut Dobrucka. Ceremonia odbyła się 30 czerwca 1934 roku w Kaplicy Św. Andrzeja Pałacu Arcybiskupów. Świadkiem był przyjaciel młodej pary, August Maria Knoll. Ksiądz wpisał akt zawarcia małżeństwa do specjalnej księgi dla takich ślubów, a państwo młodzi i świadek złożyli swoje podpisy. Przy tym Wagner, jego dopiero co poślubiona małżonka oraz Knoll mieli ponoć zauważyć na wcześniejszej stronie następujący wpis: Franciszek Józef von Habsburg-Lothringen + Katarzyna Kiss de Itebbe, z domu Schratt.

Wszystkie wspomniane osoby poczuwały się wówczas do obowiązku zachowania tajemnicy — co czyni ich odkrycie wcale nie wątpliwym, lecz tym bardziej wiarygodnym. W każdym razie nikt z nich w żaden sposób nie odniósł korzyści z tej wiedzy. Dopiero po upływie pół wieku wyznali, co wówczas, czyli w 1934 roku, zauważyli. Świadek opowiedział o tym swojemu synowi oraz uczniowi, profesorowi uniwersytetu, a małżonkowie swoim dzieciom, wiedeńskiemu chirurgowi oraz lekarce specjalistce. Również te osoby nie odniosły z tej wiedzy żadnych korzyści i nie wiadomo, dlaczego zdecydowały się o owym odkryciu opowiedzieć.

Księga tajnych ślubów, a tylko ona mogłaby dostarczyć dowodów, zaginęła. Albo zapodziała się gdzieś podczas wojennej zawieruchy, albo zo-

323

stała zniszczona, by nie stwarzać nazistom doskonałej okazji do szantażu. A może to Habsburgowie, którzy zawsze byli blisko związani z Kościołem katolickim, chcieli zatuszować skandal? W każdym razie nie można całkowicie wykluczyć możliwości, że między cesarzem a jego wieloletnią konkubiną doszło do zawarcia tajnego małżeństwa.

Niemniej jednak po dokładnej analizie faktów i dokumentów z okresu po śmierci męża Katarzyny, Nikolausa, takie tajne małżeństwo wydaje się mało prawdopodobne. Akurat w tym czasie - na co wyraźnie wskazują zachowane listy - związek cesarza i aktorki uległ rozluźnieniu. Odnosi się wrażenie, że stary cesarz uwolnił się od trwającego wiele lat uzależnienia. Choć wciąż podpisywał niektóre listy „głęboko Panią kochający Franciszek Józef”, to wyrażenie takie powtórzone setki razy staje się frazesem, podobnie jak zwrot „najdroższa Przyjaciółko”. Poza tym do końca życia zwracali się do siebie per „Pan” i „Pani”, co w owych czasach nie było niezwykle, nawet między osobami dzielącymi ze sobą łóże. Natomiast do swojej żony Sisi Franciszek Józef zwracał się wyłącznie przez „Ty”. Fakt, że w odniesieniu do Katarzyny Schratt pozostał przy „Pani”, raczej nie uprawdopodobnia rzekomego zawarcia tajnego małżeństwa.

Całe życie cesarza Franciszka Józefa było tragiczne i obfitujące w nieszczęśliwe wydarzenia; taki też był jego koniec. Musiał patrzeć, jak rozpada się jego ogromne imperium, musiał dowiedzieć się o zamordowaniu następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony, księżnej von Hohenberg, oraz o rozpoczęciu pierwszej wojny światowej, która przyniosła kres Austro-Węgrom i cesarsko-królewskiej monarchii. Lud nigdy nie wybaczył swemu cesarzowi, że nie pozwolił na pochowanie następcy tronu w krypcie u Kapucynów, jak przystało na Habsburga. Franciszek Ferdynand przewidująco

zadbał o dwa miejsca w kaplicy pałacu Arstetten w Dolnej Austrii dla siebie i swej morganatycznej żony*. Po uroczystości żałobnej w wiedeńskim kościele Augustynów trumny wysłano tam kolejną.

* Zofia Chotek była damą dworu pochodzącą z starego, zubożałego i zgermanizowanego czeskiego rodu hrabiowskiego. Arcyksięcia poznała na balu w Pradze, swój związek trzymali w tajemnicy przez kilka lat. Ferdynand włożył wiele starań w uzyskanie od Franciszka Józefa zgody na małżeństwo morganatyczne z Zofią, pod warunkiem, że praw do tronu będzie pozbawiona zarówno Zofia, jak i ich wspólne dzieci. Cesarz nadał jej tytuł księżnej von Hohenberg, by można było zwracać się do Zofii „Jej Wysokość”.

324

Początkiem końca ostatniego cesarza Austro-Węgier było zapalenie oskrzeli, na jakie zachorował w listopadzie 1916 roku. Wciąż kontaktował się z panią Schratt, jednak oboje uważali swój związek za należący do przeszłości. Ostatni list - nie zachował się żaden inny z późniejszą datą - cesarz napisał do swojej byłej kochanki półtora roku wcześniej, było to kilka niewiele mówiących linijek, zapisanych „w tych ciężkich czasach”. Dwa dni przed śmiercią Franciszka Józefa, w niedzielę 19 listopada, jeszcze raz spotkali się w jego gabinecie w pałacu Schönbrunn, a we wtorek wieczorem cesarz zmarł.

Ochmistrz dworu księżę Montenuovo przekazał tę wiadomość telefonicznie. Następca tronu Karol zaprosił zaraz potem Katarzynę Schratt do prywatnych pokoi cesarza, gdzie zmarły spoczywał na swoim starym żelaznym łóżku. Katarzyna włożyła mu w dłoń dwie białe róże. Nie zezwolono jej na uczestniczenie w pogrzebie. Diwa nawet nie próbowała obejść tego zakazu, w końcu była tylko kochanką cesarza, a cesarsko-królewski protokół nie przewidywał udziału kochanki w pogrzebie cesarza.

O Katarzynie słyszemy ponownie dopiero przy okazji otwarcia testamentu cesarza u dr. Teltschera. Cesarz Karol, następca Franciszka Józefa, cesarska rodzina, dwór i cały Wiedeń w napięciu oczekiwali na wiadomość, co takiego Franciszek Józef przeznaczył dla swojej byłej kochanki. A tu niespodzianka: nazwisko Katarzyny Schratt w ogóle nie pojawia się w testamencie cesarza.

Konkubina cesarza zwróciła się w końcu do jego następcy z zapytaniem, z czego ma teraz żyć. Nowy ochmistrz księżę Hohenlohe opowiadał się za przyznaniem jej renty, jednak Karol po rozmowie z Franciszkiem Ha-werdą, dyrektorem generalnym funduszu rodziny Habsburgów, stwierdził, że dotacje, jakie była aktorka w ciągu ostatnich trzydziestu lat otrzymała od cesarza Franciszka Józefa wystarczą, by zapewnić jej dostatnie życie.

Choć wydaje się, że młody cesarz wykazał się brakiem wrażliwości, warto jednak wiedzieć, że pani Schratt dzięki swojej pozycji konkubiny Franciszka Józefa żyła w lepszych warunkach niż niejeden członek rodziny Habsburgów. Według ostrożnych szacunków cesarz Franciszek Józef zainwestował w swoją kochankę w przeliczeniu 25 milionów euro - a być może o wiele więcej. Najbardziej wartościowymi pozycjami na liście jego prezentów była odprawa otrzymana przez Katarzynę w listopadzie 1911 roku

w wysokości 15 milionów euro (2,5 miliona koron) oraz nierucho-

325

mości: willa przy Gloriettegasse i pałac przy Kartner Ring 4 naprzeciwko Opery, poza tym aktorka otrzymała biżuterię i antyki (tak cenne, że dzięki ich stopniowej wyprzedaży Katarzyna Schratt mogła wygodnie żyć jeszcze przez dwadzieścia cztery lata). Niezliczoną ilość razy cesarz wspierał ją gotówką (na podróże oraz potrzeby w trakcie podróży), przy czym wysokość przekazanych kwot pozostaje nieznana, a także spłacał długi jej i jej męża Nicolausa Kissa oraz pokrywał czynsze za domy w Wiedniu i w Salzkammergut.

Po odmowie przyznania kolejnych apanaży przez cesarza Karola urwały się stosunki między diwą a rodziną Habsburgów. Katarzyna dożyła roku 1940. Żyła, unikając rozgłosu, do czego przyzwyczała się podczas trzydziestu lat spędzonych z cesarzem Franciszkiem Józefem. Jej nieruchomości były obciążone hipoteką, a w Dorotheum, najbardziej renomowanym domu aukcyjnym w Wiedniu, jeszcze przez wiele lat w nieregularnych odstępach czasu pojawiały się precjoza - dowody miłości oderwanego od życia cesarza do jego kochanki.

Literatura

i

30. Jerzy S. Łątka, *Oskarżam arcyksięcia Rudolfa*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1988.
31. John A. Salvendy, *Buntownik z Mayerlingu. Portret psychologiczny arcyksięcia Rudolfa*, Czytelnik, Warszawa 1995.

II

32. Stanisław Salmanowicz, *Fryderyk Wielki*, Ossolineum, Wrocław 2006.
33. W. Czapliński, A. Galos, W. Korta, *Historia Niemiec*, Ossolineum, Wrocław 1990.
34. Cz. Karolak, W. Kunicki, H. Orłowski, *Dzieje kultury niemieckiej*, PWN, Warszawa 2007.

III

35. Richard Friedenthal, *Goethe. Jego życie i czasy*, Czytelnik, Warszawa 1969.
36. Jan Wolfgang Goethe, *Listy i wiersze miłosne* (opr. Anna Milska), PIW, Warszawa 1982.

IV

1. B. Foster, M. Foster, L. Hadady, *Miłość we troje*, Jacek Santorski & Co., Warszawa 1999.

V

37. Michael of Kent, *Amor i król. Pięć królewskich romansów*, ORBITA, Warszawa 1994.
38. Margaret Nicholas, *Portret kobiet nikczemnych*, Lemur, Warszawa 1996.

VI

39. Józef Ignacy Kraszewski, *Hrabina Cosel*, Zielona Sowa, Kraków 2005.
40. Z. Satała, *Poczet polskich królowych, księżnych i metres*, Glob, Szczecin 1990.
41. Jacek Staszewski, *August II Mocny*, Ossolineum, Wrocław 1998.

VII

42. Guy Breton, *Wiek swawoli*, Bellona, Warszawa 1996.
43. Leszek Kołodziejczyk, *Tron i alkowa, czyli historia przez dziurkę od klucza*, KAW, Kraków 1991.

VIII

44. Jadwiga Dackiewicz, *Faworyty władców Francji*, Wydawnictwo ALFA, Warszawa 1992.
45. Michael of Kent, *Amor i król. Pięć królewskich romansów*, ORBITA, Warszawa 1994.

LX

46. Guy Breton, *Eugenia flirtuje*, Bellona, Warszawa 1996.
47. Ludwik Stomma, *Francuska miłość*, Wydawnictwo Twój Styl, Warszawa 2004.

X

48. Stanisław Grodziski, *Franciszek Józef*, Ossolineum, Wrocław 1983.
49. Bolesław Lubosz, *Opowieści o sławnych kochankach*, KAW, Katowice 1987.